

OPOWIEŚĆ O CYWILIZACJI, IMPERIUM,
WOJNIE, RELIGII... I KRÓLESTWIE SNÓW

N.K.JEMISIN

MROCZNE SŁOŃCE

Druga część cyklu SEN O KRWI

N.K. JEMISIN

MROCZNE
SŁOŃCE

Tytuł oryginału: *The Shadowed Sun*

Projekt okładki: *Krzysztof Krawiec*

Redakcja: *Julia Celer*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska, Elżbieta Steglińska*

Copyright © 2012 by N.K. Jemisin

By arrangement with the author. All rights reserved.

For the cover illustration © Krzysztof Krawiec

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Maciejka Mazan

ISBN 978-83-7758-733-1

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2014

Wydanie I

Na pustyni
widziałem stworzenie – nagie, podobne do bestii,
które, przyczajone, trzymało serce w dłoniach
i jadło je.
Spytałem:
„Przyjacielu, smakuje ci?”
„Jest gorzkie. Gorzkie – odpowiedziało. – Ale smakuje
mi. Bo jest gorzkie i jest moim sercem”.

Stephen Crane
Czarni jeźdźcy i inne wiersze

Spis treści

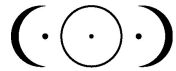
1. PRÓBA DAWCY
2. TEST ŁOWCY
3. PRÓBA DZIEWICY
4. BEZSENNOŚĆ
5. NOSICIEL DANINY
6. OKUPACJA
7. CIEŃ
8. TRUCIZNA
9. UMIZGI
10. SONTA-I
11. ZDRADA
12. DRUGI TEST
13. PRZYMIERZE
14. MERIK-REN-AFERU
15. WEZWANIE DO BOJU
16. CENA DAWCY
17. NEGOCJACJE STAŁĄ
18. NEGOCJACJE MILCZENIEM
19. BARBARZYŃSTWO
20. PRZYŃĘTA
21. PUŁAPKA
22. REAKCJA
23. NEGOCJACJE MAGIĄ
24. DZIEDZICTWO

25. NEGOCJACJE BÓLEM
26. NAUCZYCIEL
27. SEN NA JAWIE
28. LITOŚĆ
29. PROTEKTORZY
30. IMIĘ DUSZY
31. KOSZMAR
32. ŚMIERĆ
33. ZAPROSZENIE
34. OPŁAKIWANIE
35. POCIECHA
36. DAR
37. PRZYWÓDCA
38. TAJEMNICE
39. WYBUCH WOJNY
40. PRZYMIERZE
41. ZNISZCZONY SPOKÓJ
42. POWRÓT
43. WALKA O CIAŁO
44. WALKA O DUSZĘ
45. WALKA O KREW
46. KSIĄŻĘ ZACHODU SŁOŃCA
47. SŁUGA POKOJU

Glosariusz

Podziękowania

1. PRÓBA DAWCY



Istnieje dwieście pięćdziesiąt sześć miejsc w ciele człowieka, w których może się on ukryć. Żołnierz umierający pod dłońmi Hanani uciekł gdzieś głęboko. Przeszukała jego serce, rozum i trzewia, choć dusza odwiedza te organy rzadziej niż się to wydaje laikom. Sprawdziła jego usta i oczy, te drugie ze szczególną uwagą. Wreszcie za płatem wątroby odnalazła szlak duszy i poszła za nim w sen o tonących w cieniu ruinach.

W mgłach zmierzchu majaczyły sterty gruzów – kruszących się ruin, tak gigantycznych, że każda cegła była większa od człowieka, o tak nieznannej konstrukcji, że Hanani nie potrafiła odgadnąć ich przeznaczenia. Pałac? Świątynia? W każdym razie służył jako dekoracje. Pod jej stopami iskrzył się jakiś pył, coś bardziej błyszczącego od miki; przy każdym kroku z ziemi unosił się milion migoczących gwiazdek. Hanani zadbała o to, by wracały na swoje miejsce.

Aby znaleźć żołnierza, musiała najpierw zająć się otoczeniem. Uporządkowanie ruin było proste. Zrobiła to, przykucając i dotykając dłonią ziemi. Nitki sennego ichoru, jaskrawożółte i rozjarzone, spłynęły z jej palców, na chwilę wyżłobiły w tej ziemi rowki, po czym wsiąkły w nią. Ułamek chwili później pył uniósł się i zabił pęknięcia w kamieniach – pierwszy zwiastun zmian. Potem wielkie cegły zaczęły się prostować i unosić w powietrze przy drzeniu pękającej ziemi; z łomotem ustawiały się na sobie, tworząc kolumny i ściany. Wszędzie wokół Hanani – gdyby chciała spojrzeć – na tle szarego nieba pojawiały się zarysy monstrualnego miasta. Ale kiedy powstało, dziewczyna wstała i ruszyła, nie oglądając się

na nie. Miała ważniejsze sprawy.

[– To trwa dłużej, niż powinno.

– Rana się goi.

– I co z tego, skoro umrze.

– Nie umrze. Już go ma. Patrz.]

Zbliżywszy się do kamiennego łuku bramy, przystanąła, by mu się przyjrzeć. Łuk miał wysokość człowieka – jedyny w tym sennym krajobrazie element o normalnych proporcjach. Za bramą czekał mrok, taki sam jak wszędzie. Nie gęstszy.

Hanani podeszła ostrożnie i odważyła się w niego zanurzyć.

Mrok ją odepchnął.

Wyobraziła sobie oświetlenie.

Mrok stał się gęstszy.

Po chwili zastanowienia przywołała ból, strach i furję i owinęła się nimi. Opór mroku stopniał; dusza żołnierza rozpoznała swoją siostrę. Hanani przeszła przez bramę i znalazła się w ogrodzie atrium, takim, jaki ochładza serce każdego domu – ale ten był martwy. Rozejrzała się, przechodząc pod pękniętymi palmami i zwiędniętymi pnączami łączy luny. Spojrzała z troską na gnijące grządki. Potem zauważyła coś jeszcze – w samym środku ogrodu, skulony w gnieździe własnego smutku, leżał żołnierz.

Hanani zatrzymała się i skierowała część uwagi na świat jawy.

[– Dayu? Zaraz będę potrzebowała więcej sennej żółci.

– Tak, Hanani... eee, praktykantko.]

Załatwiwszy to, Hanani wróciła do snu o ukrytym ogrodzie. Żołnierz leżał w nim, skulony w kłębek, otaczając rękami kolana, jakby szukał pociechy. Z rany w jego zgiętym ciele do jamy w środku gniazda wylewały się wnętrzności. Hanani nie widziała dna jamy, tylko te wnętrzności, łączące go z nią niczym obrzydliwa pępowina.

„Śmierć” – powiedziało powietrze.

– Nie tutaj, petencie – odparła. – To krainy cienia. Można umrzeć w lepszym miejscu.

Nie poruszył się, wciąż złakniony śmierci. Jeszcze raz stawiała mu opór. „Pamięć” – podsunęła, by go zachęcić. Ból rozbłysnął zimnymi, fioletowo-białymi smużkami, oplótł gniazdo. Pojawiła się nowa postać. Mężczyzna – starszy, brodaty jak ci, w których żyłach płynie krew Nordów, również w wojskowym stroju, ale wyższy rangą niż żołnierz Hanani. Krewny? Mentor? Kochanek? Z pewnością żołnierz darzył go miłością.

– Odszedł – szepnął żołnierz. – Odszedł beze mnie.

– Oby na wieki żył w Jej spokoju – odpowiedziała. Rozłożyła ręce i przesunęła palcami po kręgu mgły. Tam, gdzie go dotknęła, cienkie ciemnoczerwone żyłki zapulsowały i wtopiły się w biel.

[– Zużyła jeszcze więcej sennej krwi? W tym tempie wykorzysta całą.

– Więc damy jej więcej. Ten pustynny bandyta niemal przeciął go na pół. Człowieku, czegoś ty się spodziewał?]

Żołnierz Hanani jęknął i ciaśniej zwinął się w kłębek, gdy czerwone żyłki wyciągnęły się ku niemu ze ścian i wniknęły w jego skórę. Mgła nagle zamigotała, wizja brodatego żołnierza stała się bezcielesna jak cień. Na jej miejscu pojawiły się nowe sceny, nakładające się i przenikające przez siebie. Samotne siedzenie na murze. Ćwiczenia z fechtunku. Koszarowa prycza. Rzeczna barka. Hanani wabiła te wspomnienia, delikatnie sterowała nimi w nowym kierunku. Ukochani. Życie. Sceny zmieniały się, aż w końcu ukazał się brodaty żołnierz i ci inni – niewątpliwie towarzysze lub krewni z klanu petenta. Śmiali się, rozmawiali i zajmowali się codziennymi pracami. Obrazy przepływały, a tymczasem Hanani ostrożnie, omijając żołnierza, sięgnęła do jamy, która go pożerała. Pierwszy kontakt poraził jej ramię bólem gwałtownym jak cios – i zimnym, tak strasznie zimnym! Zachłysnęła się i powstrzymała krzyk, gdy jej palce skostniały, zamarzły i zaczęły pękać...

Nie. Uformowała w myślach sylaby swojego imienia duszy i znów

wróciła krystaliczność myśli, świadomość, że to tylko sen, a ona nad nim panuje. „Ten ból nie jest moim”. Gdy cofnęła rękę, jej palce były całe.

Ale mężczyzna cierpiał; ból go pożerał. Hanani znowu skupiła się na wizjach; zauważyła jedną, przedstawiającą gospodę. Petenta tam nie było, ale jego zmarły ukochany i inni towarzysze śmiali się i śpiewali sprośną piosenkę. „Tu jest niebezpieczeństwo” – uświadomiła sobie nagle. Petent został ranny podczas potyczki, w której jego ukochany stracił życie. Nie miała pojęcia, czy reszta ich towarzyszy także zginęła. Jeśli tak, to to, co zamierzała zrobić, tylko zaostry jego apetyt na śmierć.

Nie miała wyjścia. Musiała spróbować.

[– ...jakbyś chciał, żeby jej się nie udało.

– Ależ skąd. Rada chce być pewna jej kompetencji.

– A gdyby Rada wiedziała cokolwiek o uzdrawianiu, przede wszystkim...

– Co to za hałas?

– Nie wiem. Dochodzi z alkowy danin. Dayu? Chłopcze, wszystko dobrze?]

W narkomancji roztargnienie może być niebezpieczne – nawet śmiertelnie groźne. Hanani skupiła się na zadaniu i znowu przywróciła scenę z gospody. Towarzysze przestali śpiewać i odwrócili się do petenta, witając go, wspominając dawne czasy i unosząc przelewające się kufle. W sennym świetle piwo lśniło ciepłą głęboką czerwienią. Ukryta za nimi Hanani dyskretnie wymazała brodatego żołnierza.

– Spójrz – zwróciła się do petenta. – Twój przyjaciele czekają. Nie chcesz do nich dołączyć?

Mężczyzna jęknął, usiadł w gnieździe i wyciągnął rękę do towarzyszy. Przez senny krajobraz powiał silny wicher, zmiatając miasto i cienie. Hanani wyteżyła siły, wspierając nimi wolę mężczyzny. Ogród odleciał, wirując, jego cienie nagle znikły, zastąpione przez jasne latarnie i ściany gospody. Ale gniazdo

zostało, bo mężczyzna był do niego przykuty bólem. Dlatego Hanani dotknęła brzegu gniazda i nakazała, aby się ono skurczyło, gwałtownie zmieniło się w małą czarną kulkę, mieszczącą się w jej dłoni. Żołnierz spojrział żałośnie na Hanani i przytulił kulkę do piersi, ale nie zaprotestował, gdy Hanani kazała wnętrznościom opaść swobodnie, zrywając więź. Przycisnęła zwisające jelito do brzucha żołnierza, a ono znikło, tak jak sama rana. W końcu przywołała ubranie, które pozostawało mgliste, dopóki żołnierz nie nadał mu kształtu kołnierza z szarego agatu i spódnicy gujaareńskiego miejskiego strażnika.

Żołnierz skinął jej głową i odwrócił się, by dołączyć do swoich towarzyszy. Otoczyli go, uścisnęli, a on nagle zaczął płakać. Ale niebezpieczeństwo już mu nie groziło – i to dzięki niej. To ona go uzdrowiła, jego ciało i duszę.

„Jestem dawcą!”

Ale nie, za wcześnie to powiedziała. To jej bracia ścieżki zdecydują, czy przeszła próbę i zasługuje na miano prawdziwego dawcy, a rada to potwierdzi – niezależnie od tego, jak dobrze spisała się Hanani. I zachowała się nieodpowiedzialnie, przestając panować nad uczuciami we śnie. Nie przekreśli wszystkiego przez taki dziecinny błąd! Westchnęła głęboko, by się skupić, opuściła sen żołnierza i poszła wzdłuż bladoczerwonej macki, która zaprowadziła duszę Hanani do jej własnego ciała...

...ale nagle coś szarpnęło ku sobie jej świadomość.

Zatrzymała się, marszcząc brwi. Senny świat Ina-Karekh leżał za nią, o ile w takim świecie można mówić o kierunkach. Hona-Karekh, królestwo jawy, czekało przed nią. Otworzyła oczy swojej sennej postaci i ujrzała szarą wersję prawdziwego świata. Napięcie i zamieszanie, jakie jeszcze przed chwilą panowało w Sali Błogosławieństw, nagle ustały. Hanani stała na podwyższeniu u stóp ogromnego, wyciosanego z kamienia nocy posągu Hananji, ale ciało jej petenta znikło. Mni-inh i nauczyciel Yehamwy, którzy nadzorowali jej próbę, także gdzieś się podzieli. W sali, cichej i pustej, została tylko ona.

Hanani, zawieszona między jawą a snem, zmarszczyła brwi. Nie zamierzała się tu zatrzymać. Skupiła się, znowu odnalazła umblikeh swojej duszy, by wrócić do świata jawy, ale jakiś odgłos znowu ją zatrzymał. Tam. Koło alków, w których praktykanci dawców i akolici pobierali sny z umysłów śpiących wiernych. Powolny, niski odgłos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. Hurgot kamienia? Czy oddech jakiejś ogromnej, ciężkiej bestii?

[– Hanani.]

W tym świecie granicznym nic nie było realne. Przestrzeń między snami była pustką, w której dusza dryfuje, nie mając się czego zaczepić – żadnych wizji, uczuć, koncepcji. Łatwo tam popaść w obłąd. Hanani, uzbrojona w imię duszy i odpowiednio przygotowana, była bezpieczniejsza, bo dawno już nauczyła się otaczać ochronną konstrukcją – w tym przypadku cieniem Sali Błogosławieństw. Ale unikała tej przestrzeni, na ile mogła, bo tylko zbieracze potrafili się po niej poruszać z łatwością. Fakt, że się tu pojawiła, był co najmniej niepokojący.

Zerknęła do alków, zastanawiając się, czy pominęła jakiś krok w uzdrawianiu żołnierza, czy popełniła błąd podczas powrotu z Ina-Karekh? Tu chodziło o ludzkie życie, miała obowiązek być precyzyjna.

[– Hanani. Uzdrowienie się dokonało. Wróć.]

Coś poruszyło się w ciszy koło wejścia do alkowy za oplecioną kwiatami kolumną, niepozwalającą Hanani wyraźnie zobaczyć, co to. Hanani czuła zamiar i moc, powolne gromadzenie złych intencji, które najpierw ją zdenerwowało, a potem gwałtownie przeraziło...

[– Hanani.]

Cień sali zafalował, pojaśniał i zaroił się od ludzi, powiewów wiatru i szeptów. Hanani zachłysnęła się, zatrzepotała powiekami; jej dusza osiadła z powrotem w ciele. Świat jawy. Obok niej stał jej mentor z zaniepokojoną miną.

– Bracie Mni-inh... Tam coś było... – Pokręciła głową,

zdezorientowana. – Nie skończyłam.

– Zrobiłaś już dość, praktykantko – odezwał się zimny głos. Yehamwy, tęgi, łysiejący nauczyciel, patrzył na nią pochmurnie. Przed dziewczyną na drewnianej ławie dla petentów leżał jej żołnierz, pogrążony w mocnym śnie uzdrowionego. Hanani odruchowo odsunęła bandażę, by spojrzeć na jego brzuch. Ciało było zagojone, bez blizn, choć nadal bił od niego zapach krwi, którą broczył, gdy go tu przyniesiono.

– Mój petent czuje się dobrze – powiedziała, patrząc pytająco na nauczyciela.

– Nie on. – Mni-inh przykucnął koło ławy i położył dwa palce na powiekach żołnierza, by sprawdzić pracę Hanani. Na chwilę przymknął oczy; gałki poruszyły się gwałtownie pod powiekami. Odetchnął i wrócił. – W rzeczy samej, bardzo dobrze. Wezwę kogoś z jego kasty, by zaniósł go do domu.

Hanani, mniej niespokojna, rozejrzała się po Sali Błogosławieństw i zmarszczyła brwi. Gdy zaczęła pracować nad żołnierzem, pomieszczenie było pełne ludzi, brzmiały głosami tych, którzy przyszli złożyć comiesięczną daninę lub ubiegać się o pomoc Hetawy albo po prostu modlić się, siedząc na pryczach wśród kwiatów łyzy luny. Promienie słońca nadal padały ukośnie przed długie okna o szlifowanych szybkach, ale teraz w sali znajdowali się tylko ci, którzy zebrali się wokół podwyższenia i Hanani, oraz grupka dawców i wartowników obok jednej z alków.

Tej samej, koło której widziała coś w krainie granicznej. To dziwne. A godziny przyjęć w sali skończyły się o wiele za wcześnie.

– Hanani nie ma z tym nic wspólnego – oznajmił Mni-inh.

Hanani obejrzała się na niego, zaskoczona jego ostrym tonem. Mentor piorunował wzrokiem nauczyciela Yehamwy’ego.

– Chłopiec niósł dla niej daniny – odparł ten. – Jasne, że to jej wina.

– Dlaczego? Była tak głęboko pogrążona we śnie, że nawet tego

nie zauważyła.

– Chłopiec miał tylko trzynaście lat. Kazała mu przynieść humory, jakby był praktykantem.

– I? Wiesz równie dobrze jak ja, że pozwalamy akolitom na noszenie humorów, jeśli zdradzają zdolności.

Członek rady pokręcił głową.

– A czasem nie są gotowi. Ten incydent to konsekwencja nadmiernego zużycia humorów przez twoją praktykantkę...

Mni-inh skamieniał.

– Nie przypominam sobie, żebyś przechodził próbę dawcy.

– A fakt, że chłopiec chciał się jej przypodobać? Nie trzeba być dawcą, żeby to zrozumieć. Chodził za nią jak oswojony pies, gotów zrobić wszystko, by jej służyć. Powążył się nawet na narkomantyczną procedurę, przewyższającą jego umiejętności.

Choć Hanani podczas uzdrawiania klęczała na poduszce, zeszywniały jej kolana. Wstała z trudem.

– Powiedz...

Obaj mężczyźni zamilkli i spojrzeli na nią. W oczach Mni-inha pojawiła się nagła litość. To ją przeraziło, bo mogli mówić tylko o jednym chłopcu.

– Powiedz mi, proszę, co się stało z Dayu.

Mni-inh westchnął i przeczesał włosy palcami.

– W alkowach doszło do incydentu... nie wiem... nie ma...

Yehamwy machnął niecierpliwie ręką i przerwał dawcy.

– Niech się dowie, co narobiła. Jeśli naprawdę uważasz, że jest godna zostać dawcą, nie osłaniaj jej.

Spojrzał na nią z goryczą i satysfakcją zarazem.

– Nosiciel daniny nie żyje. Podobnie jak akolita Dayuhotem, który ci asystował.

Hanani drgnęła i spojrzała na Mni-inha, który przytaknął z powagą.

– Ale... – Szukała odpowiednich słów. W uszach zaczęło jej dzwonić, jakby te słowa były za głośne, choć w sali Hananji, u stóp jej posągu, nikt by się nie odważył krzyknąć. Bezcenny spokój Hananji. – Ale... jak to? Przecież to prosta procedura. Dayu już ją wykonywał, i to wiele razy. Wiedział, co robi, choć był dzieckiem... – Dzikim, radosnym, psotnym dzieckiem, równie irytującym, co czarującym. Jak to: nie żyje? Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Równie dobrze można by powiedzieć, że słońce już nie zaświeci.

– Nie wiemy, jak to się stało – powiedział Mni-inh. Rzucił karcące spojrzenie nauczycielowi, który już otworzył usta. – Nie wiemy. Słyszeliśmy, jak krzyknął, a kiedy weszliśmy do alkowy, zastaliśmy jego i nosiciela daniny martwych. Coś musiało się wydarzyć podczas donacji.

– Ale Dayu... – Gdy wypowiedziała to imię, zacisnęło się jej gardło. Nie żyje. Oczy się zamglily; zasłoniła usta ręką, jakby chciała wypchnąć tę myśl z głowy. Nie żyje.

– Ciała zostaną zbadane – dodał ponuro Mni-inh. – Istnieją magiczne rytuały, które można wykonać nawet po zerwaniu umblikeh. Może to nam coś wyjaśni. Do tego czasu...

– Do tego czasu – wpadł mu w słowo Yehamwy – na mocy nadanej mi przez Radę Ścieżek oznajmiam, że do zakończenia dochodzenia praktykantka Hanani otrzymuje zakaz dalszego stosowania sztuki uzdrowicielskiej i narkomancji. – Odwrócił się do odzianego w czerń wartownika, który strzegł drzwi prowadzących do wewnętrznej części Hetawy; mężczyzna spojrzał na nich. – Wartowniku Mekhi, przekaz to swoim braciom.

Mekhi, którego twarz zgodnie z regułami nie wyrażała niczego, skinął tylko głową.

Dayu nie żyje. Hanani nie mogła oderwać spojrzenia od Yehamwy'ego. Nie mogła myśleć. Dayu nie żyje, a świat przybrał nowy, nieznaną kształt. Powinna się pochylić nad dłońmi, by okazać pokorę i zgodę na wyrok; nie zrobiła tego i wiedziała, że to zaniedbanie niekorzystnie odbije się na Mni-inhu. Ale nie mogła przestać się w niego wpatrywać, jakby skamieniała.

– Tylko dawca może karać swoich braci – powiedział jej mentor. Mówił bardzo cicho, ale Hanani wyczuwała w jego głosie powstrzymaną furję.

– Zatem czyn swoją powinność – warknął Yehamwy. Obrzucił Hanani ostatnim zimnym spojrzeniem i odszedł.

Hanani podniosła wzrok na swojego mentora, który spoglądał płonąącym wzrokiem za członkiem rady, jakby rozważał jakąś nad wyraz niespokojną myśl. Potem spojrzął na nią już bez gniewu. W oczach miał współczucie, ale i rezygnację.

– Niestety – powiedział. – Spisałaś się bez zarzutu. Nie wyobrażam sobie, żeby nasi bracia mieli z tego powodu nie uznać twojej próby, ale... – Spochmurniał. Znał się na polityce Hetawy lepiej od Hanani.

„Nie taką przyszłość sobie wyobrażałam – przemknęło jej przez głowę w zamęcie rozpacz i niedowierzania. – To się nie może dziać naprawdę”. Zmusiła się, by się pochylić nad wyciągniętą dłoń; ta dłoń bardzo się trzęsła.

– Tak, bracie.

Mni-inh znowu dotknął jej ręki.

– Chłopiec był bliski twojemu sercu. Pozwól, że wezwę zbieracza.

Pokusa, by przyjąć pociechę, była wielka, ale potem zagłuszyła ją gorycz. Hanani straciła najbliższego przyjaciela w Hetawie, a nadzieje na przyszłość zdawały się gasnąć jak on. Nie chciała pocieszenia. „Chcę, żeby wszystko znowu było jak dawniej”.

– Nie – powiedziała. – Dziękuję, bracie, ale... Wolałabym zostać sama. Czy... czy mogę zobaczyć Dayu? – spytała z trudem.

Mni-inh zastanowił się przez chwilę. Hanani zrozumiała: coś się stało z ciałem Dayuhotema.

– To tylko skorupa – powiedział mentor najbardziej przekonującym głosem. – Dayuhotema w niej nie ma. Nie dręcz się.

Skoro Mni-inh nie chciał pokazać jej ciała, oznaczało to, że Dayu nie umarł spokojnie. Gdy śmierci towarzyszy ból, strach czy gniew, dusza zostaje wciągnięta w krainy cienia, w mroczne zakamarki Ina-

Karekh, gdzie do końca swojego istnienia cierpi wśród niekończących się koszmarów. Tego losu bali się wszyscy czciciele bogini Hananji.

Hanani na uginających się nogach dobrnęła do najbliższej ławki i osunęła się na nią bezwładnie. Chciała się skulić w Wodnym Ogrodzie i przepłakać tam noc i dzień.

Mni-inh zajrzał jej w oczy.

– Hanani – zaczął, ale potem jakby stracił głos. Dawcy byli szkoleni w niesieniu pocieszenia w chwili tragedii, ale nie byli zbieraczami. Mieli do dyspozycji tylko słowa, puste słowa. Hanani nigdy boleśniej nie odczuła niedostatków tego wyszkolenia.

„A jeśli nauczyciel Yehamwy miał rację? – odezwał się cichy głosik w jej głowie. – Jeśli to przeze mnie Dayu poniósł śmierć i teraz cierpi męki?”

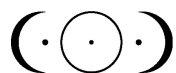
Nad jej głową wznosił się posąg Hananji, ponaddziesięciometrowy, wyciosany z lśniącego, poznaczonego białymi plamkami kamienia nocy. „Czy modlitwa im pomoże?” – zastanowiła się półprzytomnie.

Dayu i zmarły nosiciel daniny będą potrzebowali modlitw – tam, gdzie się znaleźli. Ale nie przychodziły jej do głowy żadne słowa i po chwili wstała.

– Będę w swojej celi – powiedziała do Mni-inha.

I choć kapłan podniósł rękę i otworzył usta, jakby chciał ją zatrzymać, ostatecznie tego nie zrobił. Hanani odeszła samotnie.

2. TEST ŁOWCY



Gryzący wiatr przywiał ze sobą dym. Jego słaby zapach przesączył się przez zasłonę Wanahomena, spoglądającego przez połąć zielonej doliny na odległe miasto. Jego miasto. Nad murami unosił się pióropusz dymu.

– To Wuddzeh – odezwał się stojący u jego boku Ezack. Mówił w chakti, mowie Banbarrów.

– Wiem – odpowiedział Wanahomen w tym samym języku. Jego wielbłądzica poruszyła się niespokojnie i wydała charczący dźwięk. Wanahomen pogładził ją z roztargnieniem po karku, nie odrywając oczu od słupa dymu.

– Nie sądzę, żeby Wuddzeh zamierzał zabić. Nie zrobił tego z premedytacją. Ale kiedy pierwszy Gujaareńczyk padł, drugi oszalał i rzucił się na niego.

– Nie powinien był wypatroszyć tego pierwszego.

– A ty jak byś postąpił?

Wanahomen nie odpowiedział. Zawrócił wielbłądzicę i ruszył szlakiem prowadzącym z punktu obserwacyjnego do obozu. Droga wiodła przez skalną półkę, na której bezpieczniej czuły się istoty czworonogie, nie te dwunogie. Większość koni i wielbłądów puszczono wolno, by mogły się paść na stromych zboczach nad półką skalną, choć nieopodal wyłożono dla nich paszę, którą mogły się pożywiać. Młodszy mężczyźni z obozowiska już rozpalili wieczorne ognisko. Zapach parzonej herbaty wyparł woń miasta z nozdrzy Wanahomena, choć nie z jego głowy.

Na półce Wanahomen zsiadł z wielbłądzicy, nie zdejmując jej

uzdy ani siodła. Gwizdnął, co oznaczało „zostań”. Stworzenie burknęło niechętnie, ale usłuchało. Wanahomen poszedł do obozowiska. Nie zwracał uwagi na oczy, śledzące go i usiłujące przeniknąć jego myśli. Nie odpowiadał na nieliczne wymamrotane powitania. Nie odwracał wzroku od młodzieńca – Wuddzēha – który przykucnął przy jednym z ognisk, śmiejąc się z grupką towarzyszy. Ktoś trącił go na widok zbliżającego się Wanahomena; po chwili wahania Wuddzēh wstał i odwrócił się do niego. Zasłona zsunęła mu się z twarzy. Ponieważ w pobliżu nie było kobiet ani obcych, nie oznaczało to obelgi, ale wszyscy zauważyli bezczelne spojrzenie, jakim obrzucił Wanahomena.

– *I-Dari* – powiedział; określenie pełne szacunku, którego jednak nie było w jego głosie. – Musisz przyznać, że najazd przynajmniej przyniósł zyski.

– W rzeczy samej – wycedził Wanahomen. – Plemię musi ci podziękować w modlitwach do przodków. – Położył rękę na kościanej rękojeści noża i czekał.

Wuddzēh na chwilę zapomniał o uśmiechu. O brawurze także. Odruchowo położył dłoń na trzonku swojego noża, choć go nie dobył.

– *I-Dari...* – zaczął, ale zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, zakrzywione ostrze sztyletu Wanahomena wyłoniło się z pochwy i zostawiło mu na szyi rozcięcie wielkości ust.

Wśród przyjaciół Wuddzēha rozległ się zduszony krzyk. Nikt więcej się nie odezwał ani nie poruszył. Chłopak także nie wydał żadnego dźwięku. Przez chwilę usiłował zatamować strumienie krwi, lejące się z jego rany, ale w końcu runął na ziemię.

Wanahomen strząsnął nóż i odwrócił się do najmłodszego członka grupy.

– Owiń ciało i umieść wśród bagażu. Musimy je oddać klanowi Wuddzēha.

Chłopak przełknął z trudem ślinę i skinął w milczeniu głową. Wanahomen schował sztylet i przeszedł nad kałużą krwi. Tuż

za drugim ogniskiem, otoczonym kręgiem kamieni, ukląkł i pochylił głowę.

– Unte, czy mogę wejść?

Mężczyzna siedzący przy ognisku przytaknął. Staruszek o miękkich rysach, człowiek z zachodu – niewolnik – pospieszył, by odsunąć jeden kamień. Wanahomen wkroczył w krąg.

– Bądź pozdrowiony – powiedział Unte i dał znak niewolnikowi. Gdy ten pobiegł po szczypcę do wyjmowania z płomieni metalowego piekarnika, mężczyzna przyjrzał się Wanahomenowi przeciągle, z zastanowieniem. – Staram się rozstrzygnąć, czy wybrałem na dowódcę łowców idiotę czy geniusza.

Niewolnik podał Wanahomenowi miskę. Pieczone bulwy cercrusa z kawałkami przyprawionego mięsa, być może kinpana, nielota albo któregoś z licznych gatunków pustynnych gryzoni. Wanahomen jedną ręką uniósł zastonę i zaczął szybko jeść, nie patrząc na Unte.

– Wybrałeś się w tę podróż, żeby mnie sprawdzić?

– Owszem. I sprawdziłem.

– Nie zrobiłem nic, co by pogwałciło obyczaje tego plemienia.

– To prawda. Jesteś jak zwykle uważny i uprzejmy.

Wanahomen opuścił dłoń z miską i potarł oczy. Był zbyt zmęczony na takie przepychanki.

– Odrzucisz mnie?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

„Nie! Jestem tak blisko!” Ale zamiast tego Wanahomen powiedział:

– Czy zatem mogę prosić o jeszcze jedną łaskę, dopóki jestem dowódcą łowców?

– Proś.

– Zaczekaj.

– Mam czekać? Aż klan Wuddzeha podburzy swoich pobratymców z Dzikhów do odwetu?

– Każdy członek tej grupy ma obowiązek mnie słuchać. Wuddżeh sprzeciwił się mojemu rozkazowi. Na łowach jest za to tylko jedna kara.

– Zabił wroga. – Unte mówił łagodnie, ale jego ukryte za zasłoną oczy patrzyły zimno i przenikliwie.

Wanahomen powstrzymał westchnienie.

– Wyjaśniłem to tobie i wszystkim innym. Tylko Kisuanie są naszymi wrogami, nie wszyscy mieszkańcy miast.

– A ja wyjaśniłem ci, że Banbarrowie nie zgodzą się z tym stwierdzeniem ani nie będą zawracali sobie głowy odróżnianiem jednych od drugich – odparł Unte. W blasku ogniska widać było, że zmarszczki wokół jego oczu wygładziły się; wyglądało na to, że mężczyzna kryje za welonem rozbawienie. – Choć przyznaję, że teraz mogą bardziej zwracać na to uwagę.

Wanahomen także odetchnął.

– A zatem... Idiota czy geniusz?

– Na pewno nie geniusz.

– Ale niezupełny idiota?

– Nie, na pewno nie, niech nas bogowie strzegą. Żyłoby mi się łatwiej, gdybyś był idiotą, bo mógłbym się z tobą rozprawić.

Wanahomen odstawił miskę i odruchowo skinął w podzięcie głową niewolnikowi. Wstał i uściśnął ramię starszemu mężczyźnie.

– Obiecałem uczynić cię królem nad królami. Czy to ci nie wynagradza przykrości mojego towarzystwa?

Ale Unte pokręcił głową.

– Tylko jeśli przeżyjesz, Wana. Obyś miał dziś lekki sen.

Żegnany tymi słowami, Wanahomen odszedł. Idąc przez obozowisko, patrzył nieruchomo przed siebie. Był zmęczony, nie czuł gniewu. W grupie łowców przeważali jego poplecznicy. Niewielu będzie chowało urazę za śmierć Wuddżeha. Mimo to spróbują z nim porozmawiać, by się dowiedzieć o jego planach, pochwalić jego skuteczność czy zapewnić go o swojej wierności. Paru niewątpliwie

zapropnuje mu dzielenie z nim pryczy, choć zwykle odrzucał takie oferty, by nikogo nie faworyzować. Nie pragnał niczego bardziej niż własnego postania i kojącego snu, ale najpierw musiał się zająć swoim wierzchowcem; żaden szanujący się Banbarra nie zasnąłby, nie dopełniwszy tego obowiązku. A ponieważ on nie pochodził z tego plemienia, ze szczególną uwagą musiał przestrzegać wszystkich obowiązujących tu zasad.

Jednakże kiedy dotarł do półki skalnej, przekonał się, że Laye-ka jest już rozsiodłana, a jej kremowa sierść wyczyszczona. Wielbłądzica żuła spokojnie gałązkę krzaka i powitała go parsknięciem, potrząsając naszyjnikami z amuletów, który dla niej uplótł. Zaalarmowany hałasem Ezack wyjrzał z uśmiechem zza zadu zwierzęcia.

– Wiedziałem, że wrócisz. Ta dama nie chciała czekać. Zaczęła się pieklić i burczeć od razu po twoim odejściu.

Wanahomen roześmiał się i pogłaskał wielbłądzicę po kościstym czole. Wtuliła mu się w dłoń, domagając się pieśczo.

– Czy nie zachowuje się jak kobieta? – zapytał, spełniając jej żądanie.

– W rzeczy samej! A... – Ezack rozejrzał się szybko, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Stary się wścieka?

– Nie. Zrozumiał.

Ezack westchnął z ulgą; jego oddech wydał nieznacznie zasłone.

– Spodziewałem się, ale jednak...

– Ostrzegł mnie, że bym uważał. Jak bym sam nie wiedział. – Wanahomen obejrzał się na obóz, drapiąc Laye-kę za uszami. Większość grup już się rozproszyła, jakby śmierć Wuddzaha i aprobata Unte zakończyły wszystkie dyskusje. Zostali tylko przyjaciele Wuddzaha, którzy nadal szeptali przy ognisku. Wanahomen nie czuł się tym specjalnie zaniepokojony, bo chłopak, którego zabił, był najinteligentniejszy i najodważniejszy z nich wszystkich. Bez niego stanowili niewielkie zagrożenie. Mimo to zamierzał pójść za radą Unte i uważać.

– Ha, ty nienasycone stworzenie. Dość tego. – Klepnął Laye-kę po grzbiecie, a ona rzuciła mu ostatnie żałosne spojrzenie i powlokła się do innych koni i wielbłądów. – Wypocznij dobrze, Ezack.

– Pozostawaj w Jej spokoju, Wana.

Wanahomen zastygł, zaskoczony znajomym, lecz typowo gujareńskim zwrotem pożegnalnym. Ezack zauważył jego wyraz twarzy i wzruszył ramionami.

– My, Banbarrowie, wykorzystujemy wszystko, co znajdziemy. Wykorzystaliśmy ciebie, nie?

I zaczął układać juki pod skalną ścianą, uprzejmie ignorując Wanę, który wymamrotał podziękowania po gujaareńsku. Była to zbyt delikatna chwila jak na gust Banbarrow; na coś takiego Wanahomen nie pozwoliłby sobie z nikim innym, by członkowie grupy nie uznali go za tak słabego, za jakich uznają większość mieszkańców miasta. Ale Ezack już przed laty nauczył się tolerować dziwaczne zachowanie swojego dowódcy, za co Wanahomen był mu wdzięczny. Odszedł szybko, zanim zdążył się rozczulić.

Jego miejsce było już przygotowane; ognisko paliło się wysokim płomieniem, niewolnik zaśnął pryczę. Tu nie było ochronnego kręgu; dobry dowódca nie musi odseparowywać się od swoich łowców. Wanahomen wszedł w blask ognia i usiadł, a potem położył się na boku. Skinął głową niewolnikowi.

– Jutro ruszymy do domu.

Leżący na swojej pryczy Charris – niegdyś generał gujaareńskiej armii, choć te czasy dawno już minęły – odwzajemnił powitanie.

– Dobrze to rozegrałeś – powiedział po gujaareńsku trochę dlatego, że źle mówił w chakti, trochę dla zachowania prywatności. Tylko Unte i Ezack rozumieli cokolwiek w tym języku; Unte posługiwał się nim dość płynnie, Ezack o wiele bardziej nieporadnie.

Wanahomen poczuł w piersi ciepło radości.

– Ojciec nauczył mnie szybko ujarzmić opór.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, ranny Gujaareńczyk

prawdopodobnie przeżyje. Jeżeli towarzysze będą dbali, żeby mu było ciepło, i od razu zabiorą go do Hetawy, jego rany da się uleczyć.

Wanahomen pokiwał głową powoli, spoglądając w ogień.

– Zapomniałem o tym. Uzdrowiciele. Zdumiewające, prawda? Że też mogłem zapomnieć o czymś takim.

Zamilkł, widząc oczami wyobraźni mury stolicy, ozłocone blaskiem zachodzącego słońca. Przez chwilę niemal czuł niesiony wiatrem zapach kwiatów łąy luno. Potem wszystko przeminęło. Pożegnał je z bólem; ostatnio jego wspomnienia były ubogie i rzadkie.

– Żaden prawdziwy Gujaareńczyk by o tym nie zapomniał. Prawda?

– Od dawna nie widzieliśmy domu, księżę – odpowiedział łagodnie Charris – ale na zawsze pozostaniemy Gujaareńczykami.

Tak. A Gujaareh będzie kiedyś należał do niego. Wanahomen powtórzył to sobie raz, a potem jeszcze trzykrotnie; poczwórne wypowiedzenie zdania czyniło je modlitwą. Będzie należał do niego, jeśli Hananja pozwoli.

– Spotkanie ze shunhą... Umówione? – spytał.

Charris przytaknął.

– Za trzy dni, o zachodzie słońca. Przesłałem mu wiadomość, że spotka się ze mną. – Rzucił niespokojne spojrzenie Wanahomenowi.

– Muszę z nim porozmawiać osobiście. Shunhowie mogli ślubować posłuszeństwo Gujaarehowi, ale nadal mają zbyt bliskie relacje ze swoimi kisiańskimi krewnymi, i to mnie niepokoi. Muszę być pewny, że możemy zaufać temu człowiekowi. – Wanahomen podrapał się po brudnym karku pod zawojem, myśląc tęsknie o pachnących kąpielach swojego ludu. – Bez obaw, będę uważał.

– A moja druga propozycja?

Wanahomen spochmurniał.

– Nigdy.

– Hetawa ma w Gujaarehu takie same wpływy jak arystokracja. Nawet większe.

– Hetawa może mi najwyżej wyleczyć zraniony palec. Nic więcej. Charris westchnął.

– Zatem w Jej spokoju, książę. – Położył się na wznak na pryczy.

– W Jej spokoju, przyjacielu. – Wanahomen zdjął buty i także spoczął na pościeli. Umocował dobrze zasłonę. Patrząc na cienie, tańczące na skalnym nawisie, zamknął oczy...

...i otworzył je, by ujrzeć burzliwe, zachmurzone niebo.

Tam, gdzie powinna się znajdować osłaniająca ich półka, gdzie powinny lśnić Śniąca Luna i milion Mniejszych Słońc, wrzały i kotłowały się czarne spiętrzone chmury. Piorun, który zamigotał wśród nich, był dziwnie wydłużony, cienki i wąły. Pozostał na niebie długo, bardziej podobny do arterii żył prześwitujących przez skórę niż do tworu z ognia i światła. Wanahomen nigdy nie widział takiego nieba, nawet podczas najgorszej pory powodziowej.

Usiadł. Świat pod tymi chmurami stał się szary i dziwny, jakby wypłukany z kolorów. Cienie wyostrzyły się i pociemniały tak, że pochłaniały wszystko, na czym się kładły. Opończa Wanahomena osunęła się na ziemię; zauważył, że jego zakurzony banbarryjski strój zniknął, zastąpiły go przepaska biodrowa z cienkiego, doskonale skrojonego płótna, spódnica z piór i okrągły naszyjnik-kołnier z łez lapis-lazuli. Strój godny księcia.

– Który ci się należy. – Usłyszał szept ojca.

Wanahomen odwrócił się. Banbarryjskie obozowisko znikło. Charris także. Prycza i ognisko znajdowały się na brudnych ceglach gujaareńskiej ulicy w głębokim ciemnym zaułku. W jego czeluści, tam, gdzie zalegał najczarniejszy cień, majaczyła sylwetka, jednocześnie znajoma i ohydna. Przechyliła głowę na bok; błysnęły zęby. A jednak...

– Wanahomenie... – szepnęła zjawą.

Książę wstał, całkowicie pewny tego, co się wydarzy.

– Ojczy.

– Mój synu, mój następco... – Głos był cichy, ledwie słyszalny, ale Wanahomen wszędzie poznałby jego brzmienie. Zagryzł wargę i zrobił krok naprzód, pragnąc zmniejszyć tę odległość. Wiedział, pomimo dziesięciu lat spędzonych z dala od Gujaarehu, że to pragnienie jest głupie. Kraina snu była niewyobrażalnie wielka; trzeba by eonów dusz umarłych, by ją zapełnić. Ludzie widywani w snach to na ogół tylko odzwierciedlenie myśli i lęków śniącego. Ale... – Moja odrodzona duszo...

Cień ojca pokręcił głową; brudne, wiotkie warkocze zakołysały się wahadłowo.

– Gdzie jest Aureola, Wanahomenie? Gdzie twoje królestwo?

– W rękach wroga, ojczy. – Księżę usłyszał nienawiść w swoim zwielokrotnionym przez echo głosie. – Odebrali mi wszystko.

– Nie wszystko. Nie nadzieję. Nie Jej łaski.

Wanahomen pokręcił głową, uśmiechając się blado.

– Czy Ona w ogóle wie o moim istnieniu? Od lat nie składałem Jej ofiar i nie doznałem Jej łask.

– Łaski nadejdą. – W głosie ojca, jednocześnie rozbawionym i jakby podstępny, zabrzmiała dziwna nutka. Ta nutka sprawiła, że słowa wydały się nie obietnicą, a ostrzeżeniem. Postać uniosła w górę wykrzywiony, węzłasty palec. – Już nadeszły, widzisz? I to jakże ogromne. Wstrząsną całym Gujaarehem, czuwającym i śpiącym, i zatopią słabych w ich mrocznych snach. Jej pomsta nie zna granic.

Wanahomen spojrział na burzliwe niebo i zadrżał, choć nie było wiatru.

– Mówisz o Bogini? Nie rozumiem cię, ojczy...

– Czyżby? – Cienie zakołysały się, gdy postać opuściła ramię, by wskazać Wanahomena. Zrobiła krok naprzód i wreszcie znalazła się w zasięgu blasku ogniska. Wanahomen wzdrygnął się, widząc nabrzmiałe fioletowoczarne wrzody, pokrywające skórę niegdyś

bladozłotą jak piasek pustyni. Rozkład? Nie. Te wrzody mogły być oznaką jakiejś choroby.

Stworzenie, które było kiedyś jego ojcem, zachichotało chrapliwie. Wskazywało Wanahomena; ten spojrzał na siebie i zachłysnął się ze strachu. Jego pierś obsypały takie same wrzody. Nie ukrywając obrzydzenia, przesunął dłonią po torsie, chcąc zderzyć z niego narośle, ale skóra była nienaruszona. Choroba wzbierała pod nią. W nim...

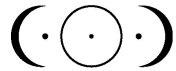
– Spiesz się – szepnął ojciec. – Widzisz, że już się zaczęło.

Wanahomen znowu otworzył oczy. Skalna półka i Banbarrowie wrócili. Sen pierzchł.

Nie. W przeciwieństwie do większości swoich rodaków Wanahomen nigdy nie uczył się technik właściwego śnienia. Ojciec na to nie pozwalał. A jednak pewne rzeczy po prostu się wie, nawet bez nauki. I on to czuł: niektóre sny to coś więcej niż sny.

Zamknął oczy, ale tej nocy już nie zasnął.

3. PRÓBA DZIEWICY



Tiaanet, córka Insurret, dziewczica z kasty shunhów, była w Gujaarehu legendą. Poetki i pieśniarki pisały hymny na jej cześć, rzeźbiarze i malarze przedstawiali ją w swoich najwspanialszych dziełach. Ci, którzy z nią rozmawiali, zauważali, że jej inteligencja i wdzięk dorównują fizycznej urodzie, i nikt nie mógł zaprzeczyć, że odkąd matka przekazała jej część obowiązków, dom był zarządzany znakomicie. Również kapitał rodzinny został dobrze zainwestowany i przynosił zyski. Niektórzy – głównie zakochani po uszy, ale także paru innych – szeptali, że w jej doskonałości odrodzili się boscy przodkowie shunhów.

Dlatego też gdy w dziesiątym roku kisuańskiej okupacji rozpoczęły się trzecie żniwa, wśród najwyższych kast zaczęły krążyć pogłoski o doniosłym wydarzeniu: pani Tiaanet zaczęła w końcu szukać męża. Nikt nie spodziewał się takiego umiaru po potężnej, wpływowej rodzinie. Choć kobiety shunhów rzadko wychodziły za mąż w tak młodym wieku, jak dziewczęta z niskich kast lub wieśniaczki, to odkąd Tiaanet osiągnęła dojrzały wiek szesnastu lat, minęły już cztery powodzie. Jej wrodzone talenty i przyszłe bogactwo – tak jak Kisuanie, shunhowie dziedziczyli majątek po matkach – były stuprocentowym pewnikiem, że wszyscy liczący się mężczyźni z obu krajów złożą jej wizytę przy najbliższej okazji.

Taką sposobnością stał się pogrzeb pana Khanwera, kuzyna ojca Tiaanet.

Tradycja nakazywała, by uroczystości pogrzebowe odbyły się w domu jego najbliższego żyjącego krewnego, z kulminacją podczas święta Wschodu i Zachodu Luny. Jednak – w jawnej sprzeczności

z tradycjami shunhów – to sama Tiaanet, nie jej matka, wystąpiła jako gospodyni – wielka odpowiedzialność dla tak młodej panny i straszny skandal. Shunhowie szanowali tradycję. Starszyzna kasty niewątpliwie wyśle do Tiaanet list z upomnieniem, a ona z pewnością złoży jej wizytę, by przeprosić, po czym znowu będzie robiła wyłącznie to, co jej się spodoba.

Tiaanet dbała, by poruszać się wśród gości powoli i z gracją, napełniając ich kielichy i podtrzymując rozmowę. Co ważniejsze, czuła na sobie spojrzenia mężczyzn. Na życzenie ojca włożyła suknię najbardziej podkreślającą jej urodę – z płótna tak cienkiego, że niemal przezrystego, a ułożonego tak misternie, iż uwidaczniało każdą jej krągłość. Mężczyźni gapili się z otwartymi ustami na jej nieskrępowane piersi, kołyszące się pod cienkim jak mgiełka materiałem; ich spojrzenia zatrzymywały się na lekkiej wypukłości brzucha, usiłując dojrzeć znajdujący się poniżej ciemny trójkąt. Tiaanet widziała, że kilku z nich rozmawiało tego wieczoru z jej ojcem, cicho, natarczywie, zerkając w jej stronę. Ale ojciec tylko kiwał uprzejmie głową, uśmiechając się za każdym razem coraz szerzej, jakby to do niego, a nie do niej zalecali się adoratorzy.

– Chyba się bardzo nudzisz – odezwał się siwowłosy mężczyzna, kiedy napełniła jego kielich. Spojrzała na gościa; uśmiechał się do niej i ten uśmiech ją zaskoczył: był zyczliwy, lecz nie pożądlivy.

– Niezbyt, panie – odpowiedziała. Pojawił się służący, który podał jej kolejną karafkę z winem. Skinęła głową i oddała mu swoją, niemal pustą. – Cieszy mnie, że mogę pełnić honory na uroczystości ku czci tak szanowanego męża.

– Hm, tak. Khanwer był ostatnim strażnikiem tradycji. Gujaareh stracił przywódcę. – Mężczyzna upił łyk wina, znieruchomiał, delektując się jego smakiem, i zadowolony, uniósł brwi. – Czy to szczep z południa? Wyborne.

Tiaanet skinęła głową.

– Wino daropalmowe, produkowane w Sitiswayi. Rzadko spotykane i trudne do zdobycia, ale mój ojciec ma wielu przyjaciół wśród kisiańskich kupców.

– Jakież to wygodne. W dzisiejszych czasach tak wielu arystokratów znajduje się w niełasce naszych nowych władców. – Pociągnął kolejny łyk, przymykając oczy z rozkoszy. – A jednak mówiono mi, że twój ojciec poróżnił się z Khanwerem przed jego śmiercią. Chyba nie popadł u niego w niełaskę?

Tiaanet zerknęła z ukosa na swojego rozmówcę, zastanawiając się, do czego zmierza. Oczywiście chodziło o wyciągnięcie od niej informacji, ale nie wiedząc nic o jego pozycji, nie mogła odgadnąć, czemu miało to służyć. Nieznajomy miał skórę brązową jak drewno orzechowe, ani ciemną, ani jasną. Wyglądał na kogoś ze średniej kasty; nie był arystokratą, a nikt z pospólstwa nie znalazłby się na liście gości. Może to artysta. Jego ubranie – prosta szata z białego hekeh – wyglądało uderzająco niestosownie na tle wyrafinowanych strojów innych gości. A jednak nie byłoby go tutaj, gdyby nie zajmował ważnej pozycji w gujaareńskim społeczeństwie. Tiaanet dobrze wiedziała, jak rozumuje jej ojciec.

– Khanwer był naszym krewnym, panie – odpowiedziała ostrożnie.

– Ależ oczywiście. Nie możesz mówić o nim źle w obecności nieznajomego. Wybacz mi wścibstwo. – Mężczyzna zamilkł i znowu uśmiechnął się tym dziwnym, życzliwym uśmiechem. – Nawiasem mówiąc, nie musisz mnie tytułować panem.

Nagle wszystko stało się jasne.

– Jesteś z Hetawy.

Przybysz uniósł brwi i roześmiał się wesoło.

– Ach, cóż za upokorzenie! Przez tych parę lat przyzwyczailem się, że jestem rozpoznawany.

A zatem to nie zwyczajny kapłan. Tiaanet pochyliła głowę nad obiema wyciągniętymi dłońmi w przepaszającym geście.

– Mój błąd. Zawsze uważałam, że mieszkanie wśród tych pól, choć tak żyznych, izoluje nasz ród od ważnych wydarzeń i miejskich dostojników...

Zwierzchnik Hetawy, zarządzający wyznawcami hananjanizmu

we wszystkich krajach czczących Boginię, pokręcił przecząco głową.

– Jesteś pod każdym względem godną gospodynią, zwłaszcza w tych okolicznościach. Jakże się miewa twoja matka?

– Odpoczywa, zwierzchniku.

– Słyszałem, że od jakiegoś czasu choruje. – Mężczyzna rozejrzał się, po czym pochylił się ku niej z takim przejęciem, że chyba zauważyli to wszyscy goście w pobliżu. – Twój ojciec pewnie nie zgodziłby się na wizytę dawcy? – spytał cicho. – Chroniczne dolegliwości często łatwo poddają się leczeniu. Można to załatwić dyskretnie.

Tiaanet zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, ostrzegającym przed dalszym drażnieniem tematu.

– Jesteśmy shunhami, zwierzchniku.

Mężczyzna westchnął i usiadł prosto.

– Zatem łaskawie poinformuj go o mojej ofercie, na wszelki wypadek. Nie byłby pierwszym shunhą, który po cichu sprzeniewierzył się tradycji.

– Przekażę mu to. – Ojciec zaczął im się przyglądać. Ponownie ukloniła się mężczyźnie i odwróciła się, zamierzając odejść. – Miłej zabawy...

– Czekaj. – Znowu zbyt ostentacyjnie powiódł wokół wzrokiem; tym razem Tiaanet skamieniała wewnątrz. Czuła na sobie uważne spojrzenie ojca, jakby zimny dreszcz na plecach. – Powiedz mi, córko Insurret, słyszałaś, w jaki sposób umarł pan Khanwer?

Ach... Sługa Hananji mógł nie gustować w kobietach, ale jeśli chodzi o tajemnice... Nawet senna krew nie mogła tego zagłuszyć.

– Zmarł we śnie – odrzekła. Uśmiechnęła się, co sprawiło, że się cofnął ze spłoszonym wyrazem twarzy. Więc nie szafowała już uśmiechem. – Marzenie każdego dobrego i wiernego wyznawcy Hananji.

Odeszła, zanim zdążył zadać jej następne krępujące pytanie i przysporzyć dalszych kłopotów. Nalewając wino następnemu

gościowi, podchwyciła zimne spojrzenie ojca i zrozumiała, że szkoda już się stała.

Jakiś czas później ostatnia kolorowa smuga Śniącej Luny schowała się za horyzontem. Na niebie została tylko malutka Czuwająca Luna i mrugające Mniejsze Słońca. Goście, spełniwszy swoje tradycyjne obowiązki, zaczęli się rozchodzić. Tiaanet zajęła się tymi, którzy nie chcieli wrócić do miasta czy własnych posiadłości. Odprowadziła ich do gościnnych komnat, gdy ojciec żegnał się z pozostałymi. Dlatego to do niej zbliżył się służący z wieścią, że jej matka potrzebuje pomocy.

Tiaanet rzuciła spojrzenie ojcu, pochłoniętemu rozmową z dwoma shunhami. Skinęła głową służącemu i ruszyła do północnej komnaty.

Za grubej zasłony w wejściu nie dochodziły żadne dźwięki. Tiaanet zatrzymała się i skinęła głową służącemu, stojącemu na straży po drugiej strony kotary.

– Matko, czy mogę wejść?

Nie usłyszała odpowiedzi, ale i nie spodziewała się jej. Weszła do komnaty.

W środku ukazał się chaos – poduszki i ubrania porozrzucone po podłodze, drewniana skrzynia przewrócona i opróżniona z zawartości, dywan ciśnięty pod ścianę. Zydel pod oknem, na którym zwykle siadywała matka, leżał na boku. Wśród tego rozgardiaszu stała Insurret, ściskając kurczowo drewnianą figurkę Hananji. Wpatrywała się w jakiś odległy punkt za oknem. Nie odwróciła się, słysząc Tiaanet.

Dziewczyna pochyliła się, by podnieść poduszkę.

– Nie rusz – odezwała się Insurret. Tiaanet zostawiła poduszkę tam, gdzie leżała.

– Chcesz czegoś? – spytała cicho.

Na odwróconej profilem twarzy matki uśmiech wyglądał jak sierp zimowej Luny.

– Twojego ojca, kiedy już z nim skończysz.

– Jest z naszymi gośćmi, matko.

Insurret zerknęła na nią przez ramię.

– A ty przyszłaś zatroszczyć się o mnie? Jakże wielkodusznie. Może pewnego dnia doczekasz się równie dobrej córki, takiej jak ty.

Tiaanet nie odpowiedziała. Czekwała. Zwykle starała się nie wychodzić, dopóki Insurret jej nie odprawi. Dobra córka zawsze pozostaje do dyspozycji matki.

– Czy twój ojciec zamierza pozwolić twojej siostrze na udział w przyjęciu? – Uśmiech Insurret był jadowity. – Tak wiele światła i hałasu... Z pewnością nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa.

– Tantufi jest w domu w posiadłości, matko. – Insurret doskonale o tym wiedziała.

– Tak, tak. Kolejna dobra córka. – Oczy matki nagle zubożały, jej uśmiech zbladł. – Takie dobre córki.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Tiaanet westchnęła i poszła do wyjścia.

– Służący posprzątają rano, jeśli pozwolisz. Dobrej nocy, matko. W Jej spokoju...

Posążek Hananji uderzył w ścianę tuż koło głowy Tiaanet i pękł na dwie części. Dziewczyna stanęła.

– Nigdy nie życz mi spokoju – warknęła Insurret. – Żmijo! Podstępna ladacznico! Niech słowo „spokój” nigdy nie wyjdzie z twoich ust w mojej obecności. Rozumiesz?

Tiaanet przykucnęła, by pozbierać kawałki figurki; położyła je na pobliskiej półce, po czym skrzyżowała ręce na piersi i pochyliła głowę w przeproszającym geście wobec Bogini.

– Tak, matko. Dobrej nocy.

Matka nie odpowiedziała.

Przed wejściem do komnaty czekał ojciec. Tiaanet zatrzymała się, szukając na jego twarzy oznak gniewu, ale on spoglądał tylko zmęczonym wzrokiem na kotarę pokoju Insurret.

– Dobrze sobie poradziłaś – powiedział.

Dziewczyna skinęła głową. Z Insurret nie można było sobie dobrze poradzić, ale na swój sposób odniosła małe sukcesy.

– Czy wszyscy goście zostali ulokowani w komnatach?

– Tak. – Ojciec kiwnął stojącym na warcie służącym i podał dziewczynie ramię, na którym się oparła. Ruszyli w stronę jej pokoju. – Czego chciał zwierzchnik?

– Dowiedzieć się, jak umarł Khanwer.

– I co mu powiedziałaś?

– Że nasz szlachetny kuzyn umarł we śnie.

Ojciec roześmiał się i poklepał ją po ręce.

– Dobrze. Usłyszałem dziś na twój temat wiele komplementów.

Widząc, że ojciec ma tak dobry humor, ośmieliła się zadać pytanie.

– A ilu komplementom towarzyszyły oświadczenia?

Ojciec uśmiechnął się do niej.

– Czterem, i to tylko dziś. Dobra wróżba, co? A będzie ich więcej, gdy mężczyźni wrócą do domów i podliczą swój majątek, by się przekonać, czy są ciebie warti. Kilku będę trzymał w niepewności, ale nie lękaj się. – Znowu poklepał jej dłoń. – Nie zmarnuję cię dla jakiegoś urzędnicy czy kupca. Mam na oku wspanialszego konkurenta.

„Kisuańskiego wielmożę?” – zastanowiła się Tiaanet, ale wiedziała, że lepiej nie pytać. Wyglądałoby, że jest zainteresowana, chętna do odejścia z domu. A to oczywiście nie wchodziło w grę. Skręcili i weszli w korytarz prowadzący do jej sypialni.

– Zwierzchnik zaproponował też, że przyśle do matki dawcę – dodała. Może to odwróci uwagę ojca. – Przypomniałam mu, że mamy inne obyczaje.

– Głupiec – parsknął pogardliwie ojciec. – Ale jego poprzednik... o, ten potrafił zadbać o sprawy, i pewnie dlatego zbieracze go zabili.

Ach, obecnie Hetawa wychodzi ze skóry, żeby wydać się nieszkodliwa, zanadto szuka zgody z Kisuanami i wszystkimi innymi... – Dotarli do pokoju Tiaanet. Ojciec dotknął jej policzka. – Dość polityki. Jesteś zmęczona?

Zmusiła się do uśmiechu. Szkoda, że ten widok nie wytrącał go z równowagi jak innych.

– Bardzo, ojcie. Po tak długim wieczorze...

– Rozumiem. – Uśmiechnął się i odsunął kotarę, pozwalając jej wejść. – Zrobimy to szybko... i cicho, żeby nie obudzić gości. Dobrze?

W Tiaanet wezbrała chęć krzyku. Ale tylko na chwilę.

Dom był pełen gości; wystarczyłoby raz zawołać, żeby ich obudzić. Czy zwierzchnik został na noc? Gdyby w jego obecności oraz w obecności wszystkich gości oskarżyła ojca o zepsucie, Hetawa musiałaby przeprowadzić dochodzenie. Zjawiliby się zbieracze. Mogłaby im pokazać jako dowód biedną, okaleczoną małą Tantufi, może nawet Insurret odzyskałaby jasność umysłu na tyle, by sformułować oskarżenia. Może zbieracze zabiliby całą rodzinę, żeby oczyścić Gujaareh z takiego zepsucia. Wówczas Tiaanet i Tantufi w końcu by się uwolniły – jeśli nie w ten, to w inny sposób.

Ale ta pokusa – jak tysiąc innych jej podobnych – znikła równie szybko, jak się pojawiła. Tiaanet nie czuła nadziei od lat. Na ogół w dobre dni nie czuła nic.

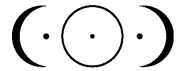
Zatem weszła do pokoju i zbliżyła się do łóżka, wpatrując się w przeciwległą ścianę. Ojciec zaciągnął tkaninę w wejściu i podszedł do niej.

– Kocham cię, Tiaanet – powiedział. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak, ojcie.

– Grzeczna dziewczynka – szepnął i pochylił się, by pocałować ją na dobranoc.

4. BEZSENNOŚĆ



Sunandi Jeh Kalawe, Głos Protektoratu Kisuańskiego i gubernator Gujaarehu z ramienia Protektorów, nie miała twardego snu. Każdy ruch ją budził. Nawet wietrzyk, który zbyt często poruszał zasłonami łóżka, mógł nie dać jej zasnąć do świtu. Przez lata małżeństwa dostosowała się do tego; trzymała na nocnym stoliku dzban rozwodnionego miodu, a męża zsyłała do salonu, gdzie chrapał na kanapie, bądź też, jeśli już spał w łóżku, sama kładła się na tej kanapie, by mu nie przeszkadzać. Ale udawało jej się zapadać w sen na krótkie, niewystarczające chwile. Czasami budziła się bardziej zmęczona, niż wówczas kiedy się kładła.

Nieodmiennie zdarzały się jej noce, kiedy kojące napoje i liczenie czwórek nie pomagały. Wtedy pracowała w gabinecie, by przynajmniej nie marnować czasu. Niekiedy wychodziła na balkon mieszkania w Yanya-iyani i spoglądała na Śniącą Lunę, sycąc się jej srebrzystym wielobarwnym światłem i nie myśląc o niczym.

Ale tym razem zatrzymała się, wstrząśnięta, ponieważ balkon był już zajęty.

– Nie krzycz – powiedział zbieracz Nijiri. Siedział z jedną stopą opartą na balustradzie, drugą kołysząc nad ośmiopiętrową przepaścią. Przyglądał się jej z rozbawieniem. – Twój żołnierz przygalopowałby tu z bronią w ręku i spokój tego miejsca natychmiast by uleciał.

Sunandi wypuściła z płuc powietrze, którego rzeczywiście nabrała, by krzyknąć, i wyszła na balkon.

– Spokój nie byłby zagrożony, gdybyś nie siedział tu jak niebnik

czyhający na mysz.

– Jestem zbieraczem, Jeh Kalawe. Chyba się nie spodziewasz, że wejdem z eskortą przez główną bramę? Może jeszcze z pieśniarką, recytującą nazwiska moich przodków? W każdym razie powinnaś się była mnie spodziewać.

Sunandi przewróciła oczami i stanęła obok niego.

– Spodziewałam się ciebie o zmroku. Wysłałam wieści natychmiast po porannym ataku tych przeklętych Banbarrów. – Zapomniała o rozdrażnieniu, zaprzątnięta bardziej osobistym lękiem. – Od dawna tu jesteś?

Kochała się z Anzim tuż przed północą.

Uśmiech ujął Nijiriemu lat, przypomniał jej o chłopcu, którego znała dziesięć lat temu. Od tego czasu urósł, jego młodzieńcza uroda stała się bardziej wyrafinowana, elegancka i surowa, ale nadal był dość młody, nawet według standardów Kisui, gdzie nie żyło się długo. To jego profesja dodawała mu dojrzałości, nie lata.

– Gdybym się wcześniej pojawił, wcześniej nawiedziłyby cię tęskne sny, które przyciągnęły cię na ten balkon.

Nie od razu zrozumiała, a kiedy w końcu znaczenie jego słów do niej dotarło, miała ochotę go zabić.

– *Keb-na!* Wiesz, że nie lubię, kiedy manipulujesz moimi snami.

Patrzył na nią w milczeniu. Po chwili westchnęła. To jasne, że zamierzał robić z jej snami to, co uznał za stosowne. Był zbieraczem.

– Przyjmij do wiadomości – podjęła, zmieniając temat – że te napaści Banbarrów muszą się skończyć.

Nijiri nadal patrzył na nią w milczeniu, bo wiedział, jak ten cholerny gujaareński spokój ją irytuje, a może po prostu dlatego, że nie miał na to odpowiedzi.

– Zagrożają spokojowi – powiedziała, powodowana irracjonalną potrzebą, by wypełnić ciszę. – Jeśli przestaniemy kontrolować Gujaareh, zapanuje chaos. Zamieszki. Sabotaż.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Hetawa ma posłuch u ludu. Ktoś musi mieć jakiegoś banbarryjskiego kuzyna czy jakąś ciotkę. Przecież wiążecie się, z kim popadnie.

Nijiri westchnął tylko; słyszał już z jej ust gorsze rzeczy. Znosili u siebie to, czego nie tolerowaliby u nikogo innego.

– Hetawa popiera każdego, kto potrafi zapewnić miastu trwałą pokój. Na razie jest to Kisua. Drogo za to płacimy, bo zaufaniem ludu.

– Tym razem zginął Gujaareńczyk! Miejski strażnik. Kolejny odniósł poważne rany, choć podobno wasi uzdrowiciele zdołali go uratować. Banbarrowie zabili dwudziestu ludzi mojego męża. Czy to według ciebie jest pokój?

Nijiri zmarszczył brwi.

– Według mnie to coś wyjątkowego. Osiem napadów, dwudziestu martwych Kisuan i tylko jeden zabity Gujaareńczyk? Co wzięli?

Zaczęła odliczać na palcach.

– Zawartość trzech magazynów, używanych przez naszych żołnierzy, w tym jedną rzekomo ukrytą skrzynię z bronią. Konie. Snopy jęczmienia, przygotowane do przewiezienia do Kisui, zapewne karmią nim konie. Jeden Merik wie, co jeszcze można z nim zrobić na pustyni. Pnącze łyzy luny. Skórę i płótno hekeh. Lapis-lazuli i morską sól.

Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

– Towary na handel – podsumował. – Czy powiedziałaabyś, że w Kisui są one szczególnie cenione?

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Tak, za większość z nich można by dostać dużo pieniędzy na każdym kisuańskim rynku. Dzięki nim podbicie Gujaarehu nieco wynagrodziło nam straty finansowe. – Westchnęła. – W rzeczy samej, utrata tych towarów już w tej chwili spowodowała straty; grupa kupców z Kisui domaga się ostrzejszych środków kontroli nad gujaareńską stolicą...

– Nie wzięto żadnych jeńców? Ci pustynni barbarzyńcy lubią niewolników.

Zignorowała ten przytyk – Kisuanie także ich mieli.

– Nie. Nie mieli oporów przed wytoczeniem krwi tym, którzy stanęli im na drodze, ale nie brali więźniów. Pewnie to uśmiech losu.

– Wątpię.

Zmarszczyła brwi. Coś w zachowaniu Nijiriego uległo zmianie. Wahala się, nie mogła określić tego poruszeniem, bo u zbieracza oznaczałoby to kłopoty. Ale nie mogła inaczej zinterpretować tego napięcia jego ciała.

– Wyjaśnij mi to.

Powoli pokiwał głową, spoglądając na miasto. Wodził spojrzeniem w jedną i drugą stronę, nieustannie, po dachach i ulicach. Sunandi przelotnie zastanowiła się, czy i on nie ma problemów ze snem.

– Dla plemion pustynnych – zaczął – my, ludzie z miasta, Gujaareńczycy i Kisuanie, jesteśmy zniewieściami, słabymi, tchórzliwymi dekadentami, niegodnymi posiadanych bogactw. Nawet Shadounowie, nasi sprzymierzeńcy, paktują z wami tylko dlatego, że Gujaareńczyków nienawidzą bardziej niż was. Dlatego kiedy Banbarrowie nie biorą jeńców i unikają zabijania Gujaareńczyków, choć Kisuan kładą trupem czwórkami...

Sunandi mocno chwyciła balustradę i jęknęła cicho. Ale z niej idiotka, że tego nie wiedziała.

– Traktują Gujaareh jak sprzymierzeńca!

Nijiri nie odpowiedział, ale nie było potrzeby: Sunandi zrozumiała, że ma rację. Plemiona z Pustego Tysiąca waśniły się między sobą, odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią. Wojny Banbarrów z Shadounami – dwoma najpotężniejszymi plemionami – były tematem legend, ale od paru ostatnich stuleci, gdy Gujaareh urósł w siłę, zapanował względny pokój. Żadne plemię nie mogło pozwolić sobie na walkę z dawnymi rywalami, skoro tak blisko

istniało nowe zagrożenie.

Najazdy stanowiły dowód, że trwająca od dawna sytuacja patowa została opanowana. Shadounowie byli kisuańskimi partnerami handlowymi i czasem sprzymierzeńcami – a teraz Kisua podbiła Gujaareh. W ten sposób Banbarrowie, których terytorium rozciągało się między południowo-zachodnią granicą Gujaarehu i leżącymi w południowych górach fortcami Shadounów, zostali uwięzieni między dwiema sprzymierzonymi siłami. Nic dziwnego, że postanowili coś z tym zrobić.

– Sądzisz, że Banbarrowie umyślnie namierzają magazyny z towarami? – spytała, zastanawiając się nad słowami Nijiriego. – Dlaczego? Żeby nasz podbój Gujaarehu stał się nieopłacalny? Żeby spowodować jakąś polityczną zmianę w Kisui?

– Tego nie powiedziałem. Ale ich taktyka zdradza postępowanie z pewną premedytacją, nie sądzisz?

Przesada. Sunandi spojrzała na niego spode łba.

– Ciemni nomadzi nie wpadliby na taki pomysł.

Po jego twarzy przemknęło rozdrażnienie – przelotne i łagodne.

– Oni nie są głupi. Mówienie takich rzeczy cię ośmiesza.

– Nawet twój lud nazywa ich barbarzyńcami!

– Ale handel z nimi nas wzbogacił, pamiętaj. W przeciwieństwie do Kisui nigdy nie pozwoliliśmy, by uprzedzenia przesłoniły nam zyski lub zagrożenia związane z barbarzyńskim narodem.

Sunandi zlekceważyła naganę. Splotła ręce na piersi i zaczęła krążyć po balkonie.

– Do tej pory duma nie pozwalała Banbarrom prosić o pomoc w walce z Shadounami. Dlaczego teraz jej szukają? I to w Gujaarehu, upokorzonym jeńcu Kisui? Ludy pustyni szanują siłę, Gujaareh jest słaby.

– Jeśli w to wierzysz, to ty jesteś głupia – warknęła.

Odwróciła się do niego gwałtownie z zaciśniętymi pięściami.

– Armia gujaareńska...

– Armia gujaareńska stanowiła jedynie część potęgi Gujaarehu przed nadejściem Kisuan. Zapomniałaś już o naszych związkach z północą i ze wschodem? Jak mówisz, połowa zinhów jest spokrewniona z tymi czy innymi barbarzyńcami. A w tym kraju istnieje kasta wojskowych, w większości urodzonych wojowników, którzy od czasu rozwiązania armii żyją w bezczynności i gniewie. Popelniliście błąd; nie macie pojęcia, jak wiele wysiłku włożyła Hetawa w uspokojenie tej kasty. A strażnicy miejscy i prywatne oddziały, chroniące ziemie arystokracji... i samej Hetawy... Masz pojęcie, co mogą zrobić moi bracia, kiedy powstaną? Sami wartownicy...

Pokręcił głową, przełożył nogę przez balustradę balkonu, by usiąść twarzą do niej, i pochylił się ku przodowi. Sunandi powstrzymała chęć cofnięcia się przed tym przenikliwym spojrzeniem. Zbieracze nie powinni ulegać działaniu silnych emocji, ale Nijiri zawsze miał ognisty temperament.

– Wiem, co myślą o nas Kisuanie. Nazywacie nas śpiącymi owcami, uciekającymi przed wszystkimi problemami. Ale kiedy gniew Gujaarehu się obudzi, zapłonie równie gwałtownie jak w każdym innym kraju, nawet gwałtowniej, bo tak często go tłumimy. Jeśli kiedykolwiek wybuchnie, Kisua utraci władzę nad nami.

Zmierzyła go nieruchomym spojrzeniem, usiłując nie dopuszczać do głosu swojego niepokoju.

– Powiedziałaś, że Hetawa nas popiera.

– Na razie. Ale jeśli pojawi się lepsza możliwość do wyboru, Jeh Kalawe, jeśli Hetawa uzna, że najszybszą i najpewniejszą drogą do stabilizacji jest wymordowanie wszystkich Kisuan w granicach naszego kraju, bądź pewna, że tak się stanie. – I, ku zaskoczeniu Sunandi, gniew w jego oczach stał się czymś podobnym do smutku. – Tyle lat, a nadal jesteśmy dla was obcy.

– Nie obcy – sprzeciwiła się, dziwnie urażona. – Wiem, jak ważny jest dla was spokój.

– Spokój jest bardziej niż ważny. Spokój to nasz bóg. – Nijiri wstał i westchnął. – Tyle mogę ci powiedzieć: dobrze się domyślasz. Zwrócił się do nas przedstawiciel przywódcy Banbarrów.

Sunandi wstrzymała oddech.

– Nie wiedziałam, że w ogóle mają przywódcę.

– To prawda, Banbarrowie to liczne plemiona z wieloma przywódcami. Ale w czasie wojny stają się jednym ciałem z jedną głową. Mężczyzna, z którym mamy do czynienia, najprawdopodobniej zostanie tą głową.

– Kiedy się do was zwrócili?

– Po pierwszych napadach na miasto. To, co mi powiedziałaś, tylko potwierdza nasze podejrzenia. I nie pytaj mnie, kiedy i czy odbędzie się to spotkanie. Sprawy Hetawy nie powinny interesować Protektorów.

I oczywiście, będąc Głosem Protektoratu, nie mogła obiecać, że zachowa tę informację w tajemnicy, tak jak on nie mógł obiecać jej trwałej współpracy. Oboje mieli swoich zwierzchników, którym musieli służyć.

Zatem następne pytanie sformułowała tak, by Nijiri mógł swobodnie manewrować między lojalnością wobec niej i swoich panów.

– Czy jest coś, co możesz mi powiedzieć?

Skinął głową z ledwie widoczną aprobatą.

– Przedstawiciel przywódcy Banbarrów, jak się okazało, pochodzi z gujaareńskiej kasty wojskowej. Żołnierz wysokiej rangi. Twierdził, że przed podbojem był generałem. Urodził się jako zhinha. – Po ostatnich słowach Nijiri spojrzał uważnie na Sunandi.

– Bogini, ratuj... – szepnęła. Skóra jej ścierpła nie tylko od nocnego chłodu. Shunhowie i zhinhowie, dwie szlachetne kasty Gujaarehu, nieczęsto pozwalały swoim członkom wstąpić do wojska jako zbyt dumne, by przyjmować rozkazy od kogoś nisko urodzonego. Ledwie tolerowali służbę pod rozkazami swoich

współbratymców, osób z tej samej kasty. Ale istniał ród, któremu generał z kasty zhinha mógłby chętnie służyć nawet na zesłaniu.

Nijiri nie zareagował na bluźnierstwo może dlatego, że wyczuł szczerłość Sunandi.

– Zrozum to, jak chcesz – powiedział. – Teraz wracaj do męża, zanim zauważy twoją nieobecność.

Wstał, przerzucił przez ramię jeden z warkoczy zaplecionych na karku. Ten gest i fryzura były tak znane Sunandi, że poczuła w sercu ukłucie bólu.

– Jak się miewasz, Nijiri? – spytała, kładąc bardzo delikatny akcent na słowo „jak”.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił się do niej.

– Dobrze, Jeh Kalawe.

– A ja... – zawahała się, ale w końcu rzuciła z desperacją: – A ja za nim naprawdę tęsknię. Uwierzysz? Nie byliśmy przyjaciółmi. A jednak...

Nijiri chwycił się balustrady.

– Oboje kiedyś go spotkamy. Może nawet znajdziesz go przede mną; jesteś kobietą, masz większą moc, by odszukać go w Ina-Karekh. I nadal możesz śnić.

O tym zapomniała. Nijiri stał się prawdziwym zbieraczem. Płacił za swoje umiejętności taką cenę jak każdy zbieracz.

– Przepraszam – szepnęła. Nie wiedziała, czy to, co zabrzmiało w jego głosie, było smutkiem czy zwykłą rezygnacją; w każdym razie w tle tego uczucia pobrzmiwał ból. Z ociąganiem dotknęła jego ramienia, choć nie wiedziała, czy to go pocieszy. Ledwie go musnęła, gdy się odwrócił i chwycił jej rękę.

– Nie przepraszaj – powiedział. Położył jej dłoń na swoim policzku i wtulił się w nią na chwilę, zamknąwszy oczy. Pewnie wyobrażał sobie kogoś innego na jej miejscu. W tej chwili uświadomiła sobie, jak samotny musiał się czuć. Nikt nie dotykał zbieraczy, w każdym razie nie rozmyślnie. Bracia jego ścieżki koili

cudzy ból, ale swój znosili w samotności.

Jednak ku jej zaskoczeniu Nijiri otworzył oczy i zmarszczył brwi.

– W tym stanie nigdy go nie spotkasz. Dlaczego nie przyszłaś do mnie? Wiesz, że bym ci pomógł.

I zanim zdążyła spytać, o co mu chodzi, wyciągnął rękę ku jej twarzy. Mrugnęła odruchowo i poczuła, jak jego palce muskają przez chwilę jej powieki. Potem dłoń się cofnęła. Gdy otworzyła oczy, Nijiri właśnie wskakiwał na balustradę; gdy się na niej znalazł, przycupnął zgrabnie jak ptak.

– Nie wzywaj mnie znowu – rzucił przez ramię. – Wszystko zmienia się zbyt szybko. Nie wyraziłem się właściwie, mówiąc, że nas nie rozumiesz. Rozumiesz nas, na ile może nas pojąć cudzoziemka, rozumiesz nas lepiej niż jakikolwiek mieszkańiec Kisui. Dlatego ci wybaczam bez względu na to, do czego zmuszą cię Protektorzy.

Sunandi patrzyła za nim osłupiała, usiłując zrozumieć jego słowa, a on wstał, bez trudu utrzymując równowagę, nie zważając na wysokość. Chwycił znajdujący się powyżej występ i podciągnął się na nim jednym płynnym ruchem. Potem zniknął.

Dopiero gdy wróciła do łóżka, zrozumiała, co zrobił. Ścisłej mówiąc, zrozumiała to rano, kiedy obudziła się w ramionach Anziego, ukojona i wypoczęta tak, jak nie zdarzyło jej się to od lat. Anzi przytulił ją w nocy, a pewnie także potracił ją kilka razy, ale nie obudziła się ani na chwilę.

5. NOSICIEL DANINY



– Nie – powiedział Mni-inh.

Hanani nie podnosiła głowy znad wyciągniętych rąk. Mni-inh, który siedział na wyściełanej ławie, masując sobie kolano, spochmurniał, kiedy zrozumiał, że Hanani nie zamierza odejść.

– Powiedziałem: „*nie*”, Hanani. – Wyprostował się i wygładził czerwoną draperię biodrową. – Już przeprosiliśmy rodzinę nosiciela daniny. Zostanie uroczyście pochowany w krypcie Hetawy, co zwykle jest zaszczytem przysługującym tylko sługom Hananji. To powinno wystarczyć.

– To nie Hetawa doprowadziła do śmierci tego nosiciela daniny – sprzeciwiła się Hanani, wpatrując się w pierś Mni-inha. W łagodnym porannym świetle rubinowy naszyjnik, symbol jego godności, wyglądał jak krople krwi, rozsiane na bladej skórze.

Mni-inh wzdrygnął się i usiadł. Ale Sala Dawców od świtu do południa na ogół była pusta, ponieważ ci, którzy pracowali w nocy, spali, a reszta była zajęta zwykłymi codziennymi obowiązkami w Sali Błogosławieństw lub w komnacie ziół i wyciągów. Ci nielicz ni, którzy leżeli na ławach i w zakamarkach sali, pilnie się uczyli lub byli pogrążeni rozmowie z innymi. Nikt nie patrzył na Hanani i Mni-inha; mimo to kapłan rozejrzał się dla pewności, zanim znowu przemówił:

– *Ty mała idiotko, to nie twoja wina!* Nie wyręczaj Yehamwy’ego. Jak możesz oczekiwać, że Rada uwierzy w twoje kompetencje, jeśli w nie sama nie wierzysz?

Hanani, zaskoczona, podniosła głowę.

– Nie uważam, że jestem niekompetentna, bracie. Jakże bym mogła tak myśleć, skoro to ty mnie szkoliłeś?

– Więc po co chcesz odwiedzić rodzinę nosiciela?

To samo pytanie Hanani zadawała sobie przez całą noc, którą spędziła, płacząc, modląc się i kołysząc na łóżku, aż w końcu zasnęła. Nie miała snów; jej prośby o spokój lub zrozumienie nie zostały wysłuchane. I tak obudziła się rano, myśląc tylko o jednym: dlaczego Dayu zginął.

– Ponieważ w moim sercu nie ma spokoju – odpowiedziała. Mni-inh cofnął się, zasepiony. – Jego miejsce zajęło zwątpienie. Czy rzeczywiście popchnęłam Dayu za daleko? Czy nosiciel daniny umarł, bo wymagałam, by dziecko wykonało pracę dorosłego? Wiesz, co w narkomancji może zdziałać zwątpienie, bracie. Nawet jeśli członek Rady nie sprecyzował wyroku, w tej chwili nie zgodziłabym się leczyć.

Mni-inh westchnął z bezsilnym gniewem.

– Rozumiem to. Ale jak przeproszenie pogrążonej w rozpacz widowy, która może cię oskarżyć o śmierć męża niezależnie od tego, czy to twoja wina, ma rozstrzygnąć twoje wątpliwości? – Nagle spojrzął na nią ze skupieniem. – Zaraz. Wiem, o co chodzi. Po raz pierwszy miałś do czynienia ze śmiercią.

– Nieprawda – rzuciła, choć musiała odwrócić głowę, by nie widzieć współczucia w oczach swojego mentora. Na początku nauki Hanani podejrzewała, że Mni-inh ma utajone skłonności do sadyzmu, skrywane przed zbieraczami, lecz z satysfakcją wykorzystywane pod pozorem nauczania. Był wobec niej dwa razy bardziej surowy niż inni dawcy wobec uczniów mężczyzn, a kiedy się na to poskarżyła, zauważył, że musi być dwa razy lepsza od innych dawców, by petenci pozbyli się obaw związanych z jej płcią. Była pewna, że Mni-inh jej nienawidzi, ponieważ jest kobietą.

A jednak gdy miesiące zamieniły się w lata, a Hanani dojrzała, w końcu zrozumiała, że Mni-inh tylko udawał surowego. Miał o wiele łagodniejszy charakter. Zbyt łagodny, uznała teraz. Bardzo

brakowało mu spokoju i stoicyzmu, których wierni spodziewali się po sługach Hananji. Zniewagi, jakie ją spotykały, brał do siebie, nieustannie narzekał na zbyt wolno następujące zmiany w Hetawie, zapominał o takcie i sam szkodził swojej pozycji. Fakt, że przez ten niekonwencjonalny sposób bycia stał się wymarzoną nauczycielem dla niej, ale czasem Hanani myślała, że łatwiej było jej z surowym nauczycielem, którego poznała w młodości, niż z zuchwałym i nadmiernie opiekuńczym starszym bratem, w którego się zmienił.

– Spotkanie z nią poprawi mi nastrój – oznajmiła w końcu zdecydowanie. – I po prostu muszę się dowiedzieć czegoś więcej. Chcę poznać człowieka, który umarł z Dayu. Muszę zrozumieć, co się stało, albo przynajmniej spróbować. Bez tego nie ma dla mnie spokoju.

Mni-inh patrzył na nią długo. W końcu westchnął raz jeszcze i przesunął dłonią po swoich osobliwych, falujących i jakby tłustych włosach.

– Świetnie. Idź.

Zerwała się na nogi i zdążyła zrobić trzy kroki, zanim rzucił:

– Jak to, już? Ach, nieważne, idź, bo zmienię zdanie. Tylko uważaj.

– *Dziękuję, bracie!*

Wymamrotał pod nosem coś, co – jak podejrzewała – nie było modlitwą.

I tak Hanani opuściła Salę Dawców, przeszła przez ogromny otwarty dziedziniec w wewnętrznej części Hetawy i skierowała się do Sali Błogosławieństw. Dwaj praktykanci ze ścieżki nauczycieli, idący z naręczami zwojów, zerknęli na nią i zaczęli szeptać ze sobą niemal natychmiast, gdy oddalili się na bezpieczną odległość. Siedzący pod drzwiami wejściowymi starszy wartownik przyjrzał jej się zmrużonymi oczami, jakby ją oceniał. Skinęła mu głową; odwzajemnił ten gest.

Nietrudno było odgadnąć, co kryje się za tymi spojrzeniami, którymi obrzucano ją przez cały ranek. O świcie dołączyła

do grupowego tańca modlitewnego i czuła na plecach spojrzenia wielu oczu. W łaźni niektórzy praktykanci bardziej ostentacyjnie niż zwykle odwracali oczy od jej nagości. Nie wszyscy jej bracia uważali, że jest odpowiedzialna za śmierć tych dwóch nieszczęśników. Ale spojrzenia i szepty świadczyły, że takich, którzy ją oskarżają, jest wielu.

Ale i tak nic nie mogło jej zranić bardziej niż śmierć Dayu.

W Sali Błogosławieństw mogła znaleźć pewne ukojenie, bo pracujący w niej dawcy byli zbyt zajęci, by przynajmniej zerknąć w jej stronę. Kolejka petentów, dwukrotnie liczniejszych od nosicieli daniny, była dłuższa niż zwykle. Niemal wszyscy obecni mieli jakieś widoczne obrażenia – rękę na temblaku, obandażowaną stopę czy głowę. Kolejne ofiary najazdu Banbarrów oprócz zwykłych poszkodowanych w wypadkach przy zniwach i w codziennym życiu miasta. Ci najciężej ranni, jak żołnierz, którego Hanani uleczyła poprzedniego dnia, zostali przyjęci jako pierwsi. Teraz nadeszła kolej na innych.

„Praca szłaby szybciej, gdybym tu była” – pomyślała, mijając podest. Ale takie myśli nie przynosiły spokoju ani nie miały sensu, więc poszła dalej.

Podwójne drzwi z brązu były zawsze otwarte podczas godzin przyjmowania petentów. Hanani wyszła z chłodnego mroku sali na dwór, w hałas i olśniewający blask, i zatrzymała się na schodach, by jej oczy przywykły do światła. Upał był tak nieznośny, że skóra zaczęła jej cierpnąć – w pierwszej chwili przyjemnie, ale zaraz potem już mniej, gdy zaczęła się pocić. Hanani osłoniła oczy dłonią i spojrzała na rojny, tłoczny plac Hetawy. W pobliżu na schodach siedziała garstka modlących się wiernych, za nimi krążyli kupcy, sprzedający przechodniom wodę i pokrojone w cząstki owoce. Główną drogą, przebiegającą za placem, w kierunku rynku, nad rzekę czy kto wie, gdzie jeszcze, sunęły tłumy. Chaos, zbyt wiele osób, za dużo gapiów, wpatrujących się w jej spłaszczone, obandażowane piersi i czerwoną męską przepaskę na szerokich kobiecych biodrach. Nigdy nie lubiła wychodzić do miasta.

A jednak...

Żaden z tych zabieganych, spieszących się ludzi nie spojrział na nią nawet przelotnie, gdy stała na schodach Hetawy, patrząc na nich. Nawet ci, którzy będą się na nią gapili, kiedy zejdzie i włączy się w ten rwący nurt, będą się tylko zastanawiali, czy to kobieta w męskim stroju. Nie domyślały się, co Hanani ma na sumieniu i – co więcej – gdyby się domyślili, nic by ich to nie obeszło. Uświadomienie sobie tego było dziwne i przyniosło jej pewną ulgę.

– Powinnaś mieć eskortę.

Hanani zerknęła w górę na małe balkoniki nad schodami Hetawy. Przykucnęli na nich dwaj mężczyźni, wyróżniający się czarnymi draperiami, naszyjnikami z onyksu i bezruchem drapieżników. Ten, który do niej przemówił, nazywał się Anarim i był starszym stopniem bratem ze ścieżki wartowników. Drugiego nie знаła. Podczas gdy Anarim nie odrywał od niej wzroku, ten starszy obserwował schody i ulicę, wypatrując wszystkiego, co mogło zagrozić świątyni Bogini bądź jej czcicielom.

Skłoniła się obu.

– Wiele razy wyprawiałam się do miasta, by służyć petentom. Potrafię znaleźć drogę.

– W to nie wątpię. Ale nie dlatego zaproponowałem eskortę. – Anarim, jak większość braci z jego ścieżki, był chudy jak tyczka (efekt treningu). W jego przypadku bardziej rzucało się to w oczy, bo był wysoki i strzelisty, miał długie palce, pociągłą twarz i wargi tak wąskie, jak u człowieka z północy. Te wąskie usta drgnęły teraz w ledwie widocznym grymasie dezaprobaty, choć na ogół wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Wiedziała, że ta dezaprobata nie była skierowana pod jej adresem.

– Ostatnio Kisuanie najwyraźniej nie potrafią zapobiec najazdom i innym niepokojom za murami miasta. Obecnie nie jest tak spokojnie jak niegdyś. Ja lub któryś z moich braci możemy ci towarzyszyć.

Hanani zastanowiła się, ale pokręciła głową.

– Idę upokorzyć się przed obcą osobą. Gdybym zjawiła się w towarzystwie wartownika, mogłoby to zostać źle zrozumiane. Poza tym – wskazała swój strój – te draperie to świetna ochrona. Aż tak wiele się nie zmieniło.

– Doskonale. Idź i wróć w Jej spokoju. – Ku wielkiemu zaskoczeniu Hanani, Anarim skłonił przed nią głowę. Zdumiała się, bo była tylko praktykantką, a on jako członek Rady Ścieżek należał do najbardziej szanowanych sług w Hetawie. Wyprostował się i znowu przyjął postawę strażnika, wodząc wokół wzrokiem i wypatrując ewentualnych zagrożeń. Gdyby teraz odwróciła jego uwagę, pytając go o taki drobiazg, byłoby to uznane za brak szacunku z jej strony.

Mimo to zrozumiała – przynajmniej on wierzył, że nie jest winna śmierci tych ludzi. Odeszła, niepewna, co powinna odczuwać, ale czuła się lepiej.

Nosiciel daniny miał na imię Bahenamin i należał do kasty kupieckiej. Jego rodzina mieszkała na obrzeżach dzielnicy arystokratów, koło ogrodu Yafai w zachodniej części miasta, za rzeką. Gdyby Hanani pokazała woźnicy swój medalion z symbolem łyzy luny, zabrałby ją, gdzie tylko by sobie zażyczyła, ale zdecydowała się tego nie robić. Medalionu należało używać tylko w sprawach Hetawy. Czy przeproszenie za śmierć, którą mogła spowodować, należało do takich spraw? Nie wiedziała, ale nie miała ochoty tłumaczyć się z tego przed Radą. Poszła pieszo.

Jak zwykle tłum i ruch na ulicy jaskrawo kontrastowały z ciszą i porządkiem kompleksu Hetawy. Hanani włączyła się w potok przechodniów, który natychmiast zmusił ją do poruszania się w tempie, jaki w Hetawie byłby absolutnie niedopuszczalny – chyba że w sytuacji alarmowej. Koło targu potok się zatrzymał, a ludzie zbili się w ciasny, kłębiący się tłum. Nie znajdowała na to żadnego wytłumaczenia z wyjątkiem pozbawionej spokoju natury tej żywej rzeki: każda ma swoje mielizny. Potrącano ją i popychano, przydeptywano jej obute w sandały stopy, ktoś ochlapał jej rękę

piwem. Na widok czerwonych szat ludzie rozstępowali się, ale przeważnie po prostu nie zwracali na nią uwagi. Nie po raz pierwszy Hanani pożałowała, że któraś z jej pramatek nie zyskała względów jakiegoś przystojnego, wysokiego mężczyzny z lepszej kasty, choćby na parę nocy.

W pobliżu rzeki ścisk zelżał – dzięki niech będą Śniącej – choć głównie z powodu smrodu. Koło najbardziej wysuniętego na północ mostu krzatali się handlarze, sprzedający prosto z łodzi suszone wodorosty i poranny połów. Ryby złowione wcześniej gniły pod mostem w specjalnych zalakowanych urnach. Gdy proces rozkładu się zakończy, organiczne resztki użyźnią ziemię gospodarstw w dolinie rzeki Krew Bogini, daleko poza zasięgiem powodzi, która co roku odnawiała płodność gujaareńskich pól. Choć urny pieczętowano smołą, woskiem i pastą z nasion hekeh, czuć było odór, od którego łzawiły oczy. Hanani przebiegła ścieżką, wstrzymując oddech. Zatrzymała się dopiero, kiedy pojawiło się przed nią stado dzikich karakali, ścigających swojego brata z rybim łbem w zębach.

W końcu dotarła do dzielnicy ogrodu Yafai. Dom Bahenamina – wysoki, w stylu kisuańskim, z framugami z modrodrzewu – stał dosłownie na skraju ogrodu. Na belce nad drzwiami wyrzeźbiono rodowe piktogramy. Nad brukowaną ścieżką wiodącą do domu unosiły się motyle w lamparcie cętki; Hanani szła ostrożnie, by nie nadepnąć żadnego z tych pięknych stworzeń. Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyły się, zanim zdążyła do nich dotrzeć, i w progu stanęła młoda służąca, niosąca draperię barwy najgłębszego indygo – koloru żałoby. Dziewczyna nie była naga do pasa, jak to mieli w zwyczaju chodzić służący w upalne dni, lecz miała na sobie suknię tkaną w błękitne wzory; pogrążona w żałobie rodzina dbała o oficjalne stroje na wypadek, gdyby ktoś miał złożyć im wizytę.

Dziewczyna zawiesiła draperię na belce z piktogramami. Dopiero wtedy zauważyła czekającą spokojnie Hanani i znieruchomiała, zaskoczona.

– Witaj, nieznajoma. Czy zjawiasz się tu w jakiejś sprawie?

Hanani skłoniła się, unosząc dłonie wnętrzem do góry.

– Przybywam z Hetawy. Chciałabym porozmawiać z rodziną kupca Bahenamina.

– To jego dom. – Służąca przyglądała się Hanani jeszcze przez chwilę, zbita z tropu jak większość osób, które spotykały kapłankę.
– Powiedziałaś: z Hetawy...?

– Tak – odrzekła Hanani i zamilkła, czekając. Draperia biodrowa stanowiła wystarczający symbol jej tożsamości. Dodatkowym potwierdzeniem dla tych, którzy mogliby wątpić, był naszyjnik-kołnier z małych polerowanych karneoli, który Hanani otrzymała po wejściu na ścieżkę dawców. Dzięki niemu rozpoznawała ją większość mieszkańców miasta: jedyną kobietę, której zezwolono na kroczenie jedną z czterech świętych ścieżek służby Bogini.

Służąca potrzebowała trochę więcej czasu, ale w końcu na jej twarzy zaświtało zrozumienie. Dopiero wtedy Hanani dodała:

– Jestem Hanani, praktykantka ze ścieżki dawców.

Dziewczyna oprzytomniała i skłoniła głowę.

– Zapraszam do środka.

W domu panował miły chłód. Z holu przechodziło się do skromnego atrium, gdzie małe krzaki i rośliny otaczały piękną dorodną palmę daktylową, której pióropusz rzucał pasiasty cień. Pod drzewem ustawiono posłanie wyłożone poduszkami i kocami. Spoczywała na nim tęga siwiejąca kobieta w kisuańskiej szacie w kolorze głębokiego indygo. Jej pomarszczona twarz była spuchnięta, oczy zaczerwienione od płaczu. Ale kiedy służąca pochyliła się nad swoją panią i szepnęła jej do ucha parę słów, te oczy spojrzały bystro na Hanani. Po chwili kobieta przywołała gestem kapłankę.

Hanani weszła do atrium i pochyliła się nad obiema dłońmi.

– Dziękuję, że zaszczytasz mnie swoją gościnnością.

Służąca pospieszyła, by podać jej poduszkę. Kobieta skinęła głową i powiedziała:

– Usiądź i czuj się jak u siebie. Nazywam się Danneh. Byłam pierwszą żoną Bahenamina.

Hanani usiadła, a służąca odeszła, odebrawszy jakiś niedostrzegalny sygnał od Danneh.

– Przyszłam przeprosić – odezwała się Hanani, gdy upłynęła chwila spokojnej ciszy.

Przejmowało ją wewnętrzne zimno, choć już postanowiła, że zniesie wszystko, co powie jej kobieta, wytrzyma jej wściekłość. – Czuję, że spoczywa na mnie pewna odpowiedzialność za śmierć twojego męża. To mój pomocnik pobrał tego dnia jego daninę.

Danneh zmarszczyła brwi.

– Ten chłopiec, który zmarł razem z nim?

– Tak. Akolita, kontemplujący ścieżkę dawców. Był przeszkolony, procedura należała do najprostszych, ale... – Hanani pokręciła głową, szukając jakiegoś wyjaśnienia, które miałyby sens. Nie znalazła. – Coś się nie udało. To moja wina.

Ale Danneh patrzyła na nią coraz poważniej.

– Powiedziano mi, że to był wypadek.

– Mój pomocnik widział tylko trzynaście powodzi. Był zbyt młody, by powierzyć mu tak ważne zadanie...

– Nie. – Danneh pokręciła głową. – Wiekiem wyboru jest dwunasta powódź. Trzynaście to wiek, w którym bierze się odpowiedzialność za swoje czyny. Wierzyłaś, że podoła zadaniu?

Nie spodziewałaś się, że zawiedzie?

– Pani... – Na taką reakcję Hanani nie była gotowa. – Pani, ufałam mu.

– To był jego pierwszy raz?

– Nie. Robił to już wcześniej, wiele razy. Wszyscy akolici uczą się pobierać i przekazywać senne humory bez względu na to, którą ścieżkę wybiorą.

Danneh westchnęła.

– A zatem był to wypadek. Albo... – Rzuciła nagle Hanani spojrzenie z ukosa. – Czy ktoś kazał ci tu przyjść i przeprosić?

– N-nie. – To przekłete jąkanie; pojawiało się w chwilach zdenerwowania. – Nikt mnie nie przysłał, ale...

– Ale obwiniają ciebie. Jakżeby inaczej. – Danneh pokręciła głową i uśmiechnęła się blado. – Jedyłą kobietę w Hetawie. Myślałam, że jesteś wyższa.

Hanani poruszyła się nerwowo, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Miałam nadzieję lepiej poznać twojego męża.

Zbyt gwałtowna zmiana tematu rozmowy, niezdarna próba. Uśmiech Danneh natychmiast zniknął, a Hanani zbeształa się w duchu za brak taktu. Lecz kobieta odetchnęła tylko głęboko i skinęła głową.

– Lepiej go poznać... Tak. To mi sprawi przyjemność. To...

Ku przerażeniu Hanani oczy kobiety nagle wypełniły się łzami. Danneh odwróciła głowę i zasłoniła usta ręką. Trwała tak przez parę chwil, walcząc ze sobą. Hanani dotknęła jej drugiej ręki i przeraziła się jeszcze bardziej, bo kobieta chwyciła jej dłoń i ścisnęła ją gwałtownie. To jakoś pomogło jej się opanować.

– Wybacz – wykrztusiła z trudem, parę razy odetchnąwszy głęboko. – Wiem, że powinnam iść do Hetawy i prosić o spokój. Ale... z jakiegoś powodu jest mi lepiej, gdy nie tłumię rozpacz.

– Tak – zgodziła się Hanani, myśląc o swoich długich nocach po śmierci Dayu. Chyba zdradził to jej głos, bo Danneh zdobyła się na uśmiech przez łzy.

– Zatem powiedz, co chcesz wiedzieć o moim Henie? Hanani zastanawiała się przez chwilę.

– Czy był pobożny?

Danneh nie puściła jej dłoni, choć rozluźniła uścisk. Niemal z roztargnieniem pogłaskała jej rękę, może szukając pociechy w fizyczności, bo to, co nienamagalne, sprawiało jej tak wielki ból.

– Niezbyt. Co miesiąc zanosił daninę do Hetawy, składał ofiary

w Noc Hamyan, ale nic więcej. Choć tym razem poszedł do Hetawy, żeby się pomodlić.

– Dlaczego akurat teraz?

– Przez sny. – Danneh westchnęła i osuszyła oczy chusteczką. – Miał koszmary.

Hanani poczuła dreszcz, jakby w atrium nagle powiał zimny wiatr, choć liście palmy się nie poruszyły.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Każde gujaareńskie dziecko wie, jak postępować ze złymi snami.

– Hena też znał te sposoby, ale tym razem one zawiodły. Powiedział, że coś na niego czeka. Chodzi za nim jak lwica za ofiarą. To dlatego poszedł do Hetawy; bał się, że bogowie z jakiegoś powodu się na niego rozgniewali.

Coś na niego czeka... Ruch w ciemnościach. Przyczajone złoto.

– Czy miał dużą moc? – spytała Hanani. Jej dłoń zadrżała, ale Danneh jakby tego nie zauważyła. Pokręciła głową, uśmiechając się do siebie lekko, z dawną serdecznością.

– Hetawa sprawdziła go, kiedy miał cztery powodzie. Nie zaproponowała mu nawet laickiego wykształcenia: nie wykazywał żadnego talentu do śnienia.

– A ten sen nawiedził go tylko raz?

– Dwa razy w ciągu dwóch nocy. Trzeciej Hena nie zasnął w ogóle, strach mu na to nie pozwolił. Następnego dnia zaczęłam nalegać, żeby poszedł do Hetawy, i w końcu się zgodził. – Westchnęła. – Szczerze mówiąc, nie przemyślałam tego. Sądziłam, że dawcy zabiorą jego koszmary, dadzą mu zdrowy sen i na tym się skończy. Parę dni temu Hena był na pogrzebie Khanwera, wielkiego shunhy, z którym często prowadził interesy. Śmierć przyjaciela może każdego człowieka zepchnąć na jakiś czas w krainę cienia... – Znowu zamilkła, ale Hanani zobaczyła w jej oczach zrozumienie: Hena umarł z powodu tego snu. Hanani też to poczuła z całkowitą, zrodzoną z instynktu pewnością, choć nie powiedziała tego głośno. Jaka kobieta chciałaby wiedzieć, że drobna, rzekomo nieważna

rzecz, jaką zauważyła – i to bez troski – uczyniła ją wdową? Jaka kobieta nie poczułaby się winna?

I co bardziej niepokojące, Hanani tego dnia zdała sobie sprawę, że coś czeka na nią w przestrzeni między snami, tak, jak najwyraźniej Bahenamin odczuł to przed śmiercią.

– Dziękuję – powiedziała tylko. – Może to pomoże mnie i moim braciom wyjaśnić, co się wydarzyło. – Zebrawszy się na wielką odwagę, uścisnęła dłoń Danneh. – Niech Hananja ześle ci spokój na jawie, dopóki znowu nie zobaczysz go w Ina-Karekh.

Danneh uśmiechnęła się i wreszcie puściła jej rękę.

– Dobre z ciebie dziecko – oznajmiła. – Słudzy Hananji dokonali właściwego wyboru. Hanani skinęła nieśmiało głową i wstała.

– Chciałabym wrócić – zaryzykowała. – Żeby posłuchać czegoś więcej o Bahenaminie. A jeśli wolisz nie chodzić do Hetawy ze swoim żalem, może mogłabym wrócić, gdy otrzymam daninę od zbieracza.

– Ja także bym tego chciała – odparła kobieta. – Ale nie dla sennej krwi.

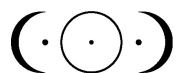
Jej uśmiech ośmielił Hanani do tego stopnia, że także się uśmiechnęła. Po raz ostatni pochyliła się w pożegnalnym ukłonie.

– Zatem z pewnością wrócę – obiecała. – Pozostawaj w spokoju, pani Danneh.

– I ty, dziecko.

Hanani powoli zeszła po schodach. Myśli kłębiły się w jej głowie jak chmury w czasie pory powodziowej. Dlatego nie zobaczyła, że służąca, która zjawiała się, by zamknąć za nią drzwi, kłania się jej nisko, z szacunkiem.

6. OKUPACJA



Idący przez centrum Miasta Hananji Wanahomen – wreszcie bez banbarryjskich szat, choć nie w stroju, który mu przysługiwał – był tak pogrążony w rozmyślaniach, że zauważył kisuańskich żołnierzy niemal w ostatniej chwili. Obezwładnił go zapach ogrodu Yafati, ciężki od woni łyzy lony i jaśminu, przywodzący na myśl minione wieczory w Yanya-iyen, spędzone z ojcem i Charrisem na grze w kości. Kiedy w końcu podniósł oczy, ujrzał dwóch żołnierzy, bijących bezlitośnie jakiegoś Gujaareńczyka; mało brakowało, a wpadłby na nich.

Ich ofiarą był sprzedawca owoców, który rozłożył koc pod bramą ogrodu i usypał na nim niewielkie piramidki fig, melonów edaki i grubych zielonych dyar-a-whe. Miejskie prawo nakazywało kupcom sprzedawanie swoich towarów wyłącznie w wyznaczonych miejscach, dzięki czemu zachowywano porządek. Ale w takie dni, gdy płyty ulicy nagrzewały się tak, że można było na nich piec chleb, i wszyscy łaknęli choćby kęsa chłodnego, sycącego pragnienie owocu, większość strażników miejskich przyrykała oko na taką samowolę.

Ale nie kisuańscy żołnierze. Sprzedawca błagał o coś głosem zduszonym i piskliwym.

– *Zbiory z całego tygodnia!* – dosłyszał Wanahomen. Żołnierz wymierzył leżącemu kolejny kopniak. – Moja rodzina nie będzie miała pieniędzy... – Jego słowa zmieniły się w jęk, gdy jeden z żołnierzy rozdeptał stosik fig.

– *Zbiory z całego tygodnia? To?* – rzucił żołnierz z mocnym akcentem z kisuańskich równin. – Pochodzę ze wsi. *Moje zbiory*

z całego tygodnia wypełniłyby ten ogród! Tylko w Gujaarehu leniwi ludzie mogą się tak wzbogacić. – Zerknął na swojego towarzysza z uśmiechem.

– Nauczmy tego tingama, jaka jest cena ciężkiej pracy? – Nadepnął stopą na inny owoc, który pękł z młaśnięciem pod jego ciężarem. Drugi żo łnierz roześmiał się głośno.

Prawdziwy Gujaareńczyk zachowałby stoicyzm i zniósł w milczeniu wszystko, co spotkało go ze strony żołnierzy. Było to jedyne rozsądne wyjście; żołnierze szukali zwady z nudów i wydawało się całkowicie jasne, że opór tylko sprowokuje ich do bardziej brutalnego zachowania. Wyglądało jednak na to, że sprzedawca naprawdę martwi się o finanse rodziny, a może po prostu nie ma w sobie spokoju. Zanim żołnierz zdążył rozrzucić kopniakiem stertę melonów edaki, mężczyzna zasłonił ją własnym ciałem.

To, co nastąpiło potem, było łatwe do przewidzenia, a jednak ścisnęło serce nawet Wanahomenowi, który przez lata spędzone na wygnaniu widywał o wiele gorsze sceny. Żołnierze zaczęli maltretować sprzedawcę, najpierw wskazując na jego ramiona i plecy, skoro nie mogli rozdeptać owoców, potem kopiąc go w żebra i boki, gdy przestał się ruszać.

Wanahomen zatrzymał się na rogu naprzeciwko tej strasznej sceny. Na ulicy znajdowało się jeszcze parę osób; Wanahomen widział, jak obserwują to całe zamieszanie i szepczą między sobą. Może ktoś zdobędzie się na odwagę, by zainterweniować... a może będą po prostu stać i patrzeć, jak ten biedny głupiec zostanie stratowany na śmierć. Wanahomen nie ośmielił się wkroczyć do akcji. Wszedł do miasta w przebraniu: w czystej, lecz skromnej spódnicy i zawoju na głowie, obuty w zniszczone sandały; jego szyję zdobił tani naszyjnik z brązu. Strój zwykłego robotnika. Pod spódnicą ukrywał banbarryjski nóż, przytroczony do uda, a w sakiewce miał banbarryjską biżuterię. Gdyby wystąpił w obronie tego biedaka, żołnierze mogliby go aresztować i wówczas z całą pewnością znaleźliby nóż i klejnoty. A to doprowadziłoby

do niebezpiecznych pytań.

Mimo to wszystko się w nim buntowało, nie chciał odejść, choćby ten krok należał do najbardziej rozsądnych...

– Co wy wyprawiacie? – odezwał się jakiś głos. Wanahomen odruchowo, nie myśląc, obejrzał się gwałtownie.

Przed żołnierzami stała kobieta. Mężczyźni przestali kopać sprzedawcę i gapili się na nią. Wanahomen też się w nią wpatrywał. Kobieta, właściwie dziewczyna, która pewnie parę powodzi temu osiągnęła wiek dorosłości, nosiła męski strój: draperie biodrowe z wyraźnym szlakiem i naszyjnik-kołnierz, przeznaczony dla ramion szerszych niż jej barki. Pod naszyjnikiem białe bandaże mocno krępowały jej piersi, niczym bandaże na zwłokach oczekujących na spalenie. Strój, zbyt dziwaczny, nie krył jej krągłości, ale nie był atrakcyjny. Puszyste brązowożłote włosy nieznajomej, ściągnięte w surowy nordyjski kok, nie dodawały jej urody. Nie ozdobiła t warzy makijażem, nie użyła nawet kohlu, by złagodzić rażący blask promieni słońca. Ale Wanahomena najbardziej zaskoczyły karneole w jej naszyjniku i głęboka, krwista czerwień draperii. Były to atrybuty dawców Hananji. A przecież kobiet nie dopuszczano ani do tej, ani do innych ścieżek.

– Dlaczego bijecie tego człowieka? – spytała. Wanahomen usłyszał w jej głosie zgrozę. Dziewczyna stała na końcu ogrodowej ścieżki; idąc nią, nie widziała być może przez listowie i zarośla brutalnej sceny, dopóki nie stanęła oko w oko z żołnierzami. – Co z was za... Jak mogliście... – urwała. Pod wpływem wstrząsu nie potrafiła najwyraźniej dokończyć żadnej z myśli.

Żołnierze spojrzeli na siebie.

„Odejdź” – pomyślał Wanahomen, patrząc na nieznajomą. Wbrew samemu sobie zwolnił kroku; jego dłonie zacisnęły się w pięści. „Odejdź i módl się, żeby nie poszli za tobą”.

– Dawczyni... – To słowo padło z ust sprzedawcy, który odkaslnął i podniósł głowę. Oddychał z trudem, twarz miał zbryzganą krwią. – Dawco, nie wolno ci... Nie zważaj na tych

panów. Dobrze? – Spojrzał na żołnierzy z przymilnym uśmiechem. – Oni tylko wymierzali mi sprawiedliwość. Złamałem prawo. Wracaj do Hetawy, nie dzieje się nic złego.

– To, co robią, jest niezgodne z prawem – odparła dziewczyna, a Wanahomen pomyślał, że albo słońce przysmażyło jej rozum, albo nigdy go nie miała. Kisuanie rzekomo respektowali Prawo Hananji, ale podczas potajemnych wypraw do miasta Wanahomen rozmawiał z handlarzami i najemnikami, którzy wyjaśnili mu, jak naprawdę wygląda sytuacja. Ludzie byli bici. Szantażowani. Porywani. Nie działo się nic nadzwyczajnego, Kisuanie nie byli aż tak bezczelni, ale to, co miało miejsce, wystarczało, by ludzie mądrzy wystrzegali się gniewu okupanta.

Może właśnie dlatego Wanahomen zatrzymał się wbrew samemu sobie.

– Posłuchaj tego jegomościa – rzucił bardziej gadatliwy z żołnierzy, znowu stawiając stopę na grzbiecie sprzedawcy. Ten wzdrygnął się, ale na razie nic złego się nie działo. – Dbamy o porządek, nie? O spokój. Lubisz spokój? Odejdź i dziękuj Hananji, że tak zacni ludzie pilnują bezpieczeństwa w mieście. – Wyszczrzył zęby.

– Ale... – Świadomość zagrożenia w końcu dotarła do wstrząśniętej dziewczyny, która przełknęła ślinę i rozejrzała się ukradkiem. Jeśli szukała pomocy, to jej nie znalazła; nikt z obecnych nie spojrzał jej w oczy. Nikt oprócz Wanahomena, który popatrzył na innych gapiów i zauważył, że jakaś kobieta pochyliła się do swojego małego synka i szepnęła mu coś na ucho. Chłopiec pobiegł w boczną uliczkę, być może po to, by sprowadzić pomoc. Nie mógł zdążyć na czas. – Ale n-nie mogę odejść – powiedziała dziewczyna. Przełknęła ślinę i uniosła głowę, choć jękanie i drżenie przeczyły pokazowi odwagi. – Jestem sługą... Poz-pozwołcie temu sprzedawcy odejść wraz ze mną. Weźcie sobie jego towar i jego pieniądze, jeśli chcecie, ale pozwólcie mu odejść.

Przez twarz gadatliwego żołnierza przemknęło rozdrażnienie. Podniósł pięść i ruszył do kobiety...

...która skamieniała, czekając na cios...

Wanahomen obrócił się ku nim i dopiero w połowie ulicy uświadomił sobie, że idzie...

Ludzie po drugiej stronie ulicy zaczęli krzyczeć, sprzedawca zawołał: „*Nie!*” i...

...mniej rozmowny żołnierz rozejrzał się dokoła. Gdy zobaczył, że obserwujący ich tłum zwiększył się do prawie dwudziestu osób, chwycił swojego towarzysza za ramię. Wanahomen znajdował się na tyle blisko, że usłyszał, jak żołnierz mamrocze w sua:

– Czekaj. Za dużo świadków. Generał się dowie.

To powstrzymało drugiego żołnierza, który spojrzał wściekle na dziewczynę i po chwili wahania opuścił pięść. Jednak pochylił się i szepnął jej coś do ucha.

Ta skamieniała i popatrzyła na niego ze zgrozą. Żołnierz wyszczerzył zęby i cofnął się, rzucając sprzedawcy ostatnie jadowite spojrzenie... po czym dostrzegł Wanahomena, stojącego na środku ulicy o krok lub dwa od niego. Wanahomen zatrzymał się, gdy zrozumiał, że żołnierz nie uderzy już swojej ofiary. Znajdował się za blisko, by udawać, że tylko tędy przechodził. Znieruchomiał, nie wiedząc, czy atakować, czy uciekać.

– Nkua ke-a-te ananki, ebee tingam? – spytał małomówny żołnierz, który najwyraźniej posługiwał się tylko sua. – Co nam zrobisz, śpiąca owco? Zabeczysz na nas?

Wanahomen znał popularny język sua na tyle dobrze, by zrozumieć słowa, ale pogarda w głosie żołnierza wystarczyła, by wzbudzić w nim gniew. Mimo to opanował się, a przynajmniej spróbował się opanować. Zbyt wiele lat spędził wśród Banbarrów. Pokusa sięgnięcia po nóż i odpłacenia żołnierzowi krwią za zniewagę była tak silna, że zadrżały mu ręce.

Gadatliwy żołnierz parsknął.

– *Patrz, jak się trzęsie!* – Pokręcił głową i klepnął towarzysza po ramieniu. – Chodź.

Nasza zmiana prawie się skończyła. Przynajmniej zabiliśmy jakoś czas.

Minął Wanahomena, umyślnie potrącając go ramieniem. Nosił epolety z brązu, i uderzenie w odsłonięty bark okrutnie zabolowało.

Ale Wanahomena zaniepokoił bardziej żołnierz mówiący w sua. Mijając go, położył mu dłoń na piersi i pchnął. Wanahomen zatoczył się do tyłu, ale z pewnym wysiłkiem udało mu się zachować równowagę.

Żołnierze odeszli, śmiejąc się do siebie. Dziewczyna w czerwonej draperii odetchnęła z ulgą i przykucnęła przy sprzedawcy. Gapie także się zbliżyli – jakże chętni do pomocy, jakże współczujący, skoro niebezpieczeństwo minęło. Wanahomen przez chwilę krzywił się z taką samą pogardą, jaką musieli czuć żołnierze, choć zabarwioną wstydem, że jego lud jest tak słaby.

„Nie mam prawa się gniewać – pomyślał. – Ci ludzie nie mają broni, nie potrafią się bić. Całe życie poświęcili służbie pokojowi, a większość z nich do czasu przybycia Kisuan nie doświadczyła żadnych aktów agresji. To wojsko, straż i Hetawa mieli ich bronić, a także księżę Gujaarehu. Ta bezradność nie wynika z ich winy”.

To tylko pogłębiło jego gorzyc. Odwrócił się, by odejść.

– Zaczekaj.

Obejrzał się niechętnie. Dziewczyna w czerwonej draperii zostawiła leżącego sprzedawcę i podeszła do Wanahomena. Z bliska dostrzegł, że pomimo męskiego stroju była ładna na plebejski sposób: mała, solidnie zbudowana, o szerokiej twarzy z wyraźnymi kośćmi policzkowymi i skórą w odcieniu ochry.

– Chciałeś mi pomóc – oznajmiła. – Nie było w tym spokoju, ale... i tak dziękuję. – Pochyliła się nad jedną dłońią; druga nadal była umazana krwią sprzedawcy. – Jeśli zaczekasz chwilę, ulecę twoje ramię. Ten mężczyzna bardziej potrzebuje mojej pomocy, ale to nie potrwa długo.

Wanahomen stał, gapiąc się na nią w osłupieniu. Nie od razu połączył tę informację z jej płcią.

– Naprawdę jesteś dawczynią?

Dziewczyna drgnęła zaskoczona pytaniem, a potem spuściła wzrok.

– Praktykantką. Tak. Nazywam się Hanani.

Tego było za wiele. *Kisuanie już i tak wprowadzili do jego kraju swoje brutalne obyczaje, a teraz jeszcze zarażali Gujaarenki swoimi obłąkanymi wyobrażeniami o miejscu stosownym dla kobiety!* Naprawdę nadeszły straszne czasy, skoro nawet Hetawa została zmuszona do pogwałcenia swoich starożytnych tradycji.

„Ale skoro czasy są tak straszne, kogo za to obwiniać?” – szepnęło znowu jego serce. Wanahomen spochmurniał, a jeśli przemówił ostrzej, niż powinien, to dlatego, że poczucie winy i gniew są trudnymi sprzymierzeńcami.

– Jesteś głupia – rzucił. Kobieta cofnęła się zraniona ale to go nie obeszło. – Jeśli naprawdę należysz do Hetawy, to wracaj do niej biegiem i nigdy więcej nie przekraczaj jej progu. Słudzy Hananji powinni być silniejsi od ciebie.

Odwrócił się i odszedł, starając się nie słyszeć szeptu sumienia, nie czuć spojrzenia dziewczyny na swoich plecach.

Kiedy dotarł do dzielnicy arystokracji, emocje nieco opadły. Znalazł się u celu w chwili, gdy słońce zaczęło zachodzić, malując miejskie mury głębokimi odcieniami czerwonego złota i bursztynu. Przed nim wznosił się rozległy piętrowy dom, ciągnący się między przecznicami. Zbudowano go w stylu gujaareńskim, ze ścianami z białej wypalanej gliny i ścieżkami obramowanymi okrągłymi rzeczonymi kamieniami, gdzieniegdzie dodano obce akcenty: osłonięty dachem boczny ganek, na którym rodzina witała gości, framugi z ciemnego drewna, używanego na południu. Akcenty kisiańskie, gdyż był to dom shunhów, a oni nigdy nie zapominali o swoim pochodzeniu.

Na ganku dla gości, przy stole, siedział, wachlując się, mężczyzna liczący jakieś pięćdziesiąt powodzi. Przed nim stały butelka i dwa kielichy. Po chwili obserwacji dla upewnienia się, że w pobliżu nie

ma żołnierzy lub niepożądanych świadków, Wanahomen podszedł do ganku. Skłonił się nad jedną ręką – był to gest zbyt uniżony jak wobec człowieka, z którym się witał, ale zbyt oschły jak na robotnika, za którego się podawał.

– Witaj, panie – powiedział w oficjalnym sua.

– Witaj, nieznajomy – odpowiedział mężczyzna równie uroczyście, mierząc go uważnym spojrzeniem. Zmrużył oczy. – A może znajomy... No, no. Spodziewałem się twojego przedstawiciela.

Wanahomen skinął głową.

– Mój przedstawiciel powiadomił mnie, że można ci ufać, panie Sanfi. Dlatego postanowiłem stawić się osobiście.

– To wielkie ryzyko.

– Ugodę najlepiej zawierać osobiście. Tak nauczył mnie mój ojciec na jawie.

Pan Sanfi skinął głową i wskazał wolne siedzenie.

– Zatem spocznij, ty, który nie jesteś obcy – przemówił – i przyjmij ten poczęstunek. Po długiej podróży musisz być spragniony.

Wanahomen usiadł. Sanfi napełnił kielichy.

– Wybacz – powiedział, przechodząc na gujaareński, skoro już dopełnili formalności. – Nie sprowadziłem służby z mojej wiejskiej posiadłości, więc musi ci wystarczyć moja niewprawna obsługa.

– Od dawna przebywam wśród barbarzyńców – odparł Wanahomen. – Wystarczy mi twoja uprzejmość. A gdyby twoi służący wiedzieli, w jakich warunkach mieszkam, niewątpliwie unieśliby się honorem i stwierdzili, że jestem zbyt zepsuty, by zasługiwać na ich uwagę.

– Akty zepsucia są koniecznością władzy, jeśli nie występują w nadmiarze – zauważył Sanfi, przysuwając kielich Wanahomenowi. – Nawet Hetawa to rozumie, a raczej rozumiała w czasach, zanim wdarli się do niej skalani intruzi. Nie jestem kapłanem, ale wydaje mi się, że twój cel jest czysty.

Wanahomen czuł się niezręcznie, prowadząc taką rozmowę

na otwartym powietrzu. Ulica przed domem Sanfiego nie była zatłoczona, ale i nie zupełnie pusta; od czasu do czasu pojawiali się na niej przechodnie i sąsiedzi. Niektórzy pozdrawiali Sanfiego skinieniem głowy. Jednak żaden szanujący się shunha nie zaprosiłby obcego do swojego domu, nie podawszy mu uprzednio poczęstunku na dworze. Odstępstwo od tradycji obudziłoby podejrzenia.

– Cieszę się, że to słyszę – oznajmił Wanahomen. Potem, jak nakazywał obyczaj, uniósł kielich i pociągnął łyk. Piwo, gorzko-cierpkie i gęste jak miód, obmyło mu gardło. Zamknął oczy i westchnął z rozkoszy.

Sanfi roześmiał się cicho.

– Wnoszę, że długo obywałeś się bez tego.

– Zbyt długo. Moi obecni towarzysze mają w pogardzie małe przyjemności, które tak cenimy w Gujaarehu. W ich oczach jesteśmy zniewieściali, zatem by zyskać ich szacunek, muszę także wyśmiewać skłonności do luksusu.

– Oznaka dobrego przywódcy.

– Konieczność przeżycia, nic więcej. – Wanahomen pociągnął kolejny łyk, rozkoszując się owocowym trunkiem rozchodzącym się ciepłem w jego ciele. – Matka przesyła pozdrowienia.

– Ach, tak. Czy jest zdrowa?

– Zadowolająco. – Wanahomen zajrzał do kielicha. Shunhowie nie mieli w zwyczaju rozmawiać o chorobach. Sanfi usłyszał powagę w jego głosie i zrozumiał. – Tęskni za moim ojcem.

Sanfi pokiwał głową.

– Jak my wszyscy. Ale widzę jego siłę i mądrość w tobie, mój młody przyjacielu – nie wymienił imienia Wanahomena z obawy, że podsłuchają go przechodnie – i to powinno stanowić wielką pociechę dla twojej matki.

– Mam taką nadzieję. Czy twoja rodzina miewa się dobrze? Czy sprawy dotyczące twej wiejskiej posiadłości układają się pomyślnie?

– Dostatecznie. – Wanahomen zmarszczył brwi i spojrzał

uważniej na Sanfiego, ale ten nie odwracał wzroku od pobliskiego figowca. – Moja posiadłość kwitnie; palmy daktylowe owocują obficie, a trzecie żniwa już zakończone. Przyjechałem wraz z córką. Wkrótce ją poznasz.

Zatem coś złego działo się z żoną Sanfiego. Dziwne, że sprowadził córkę do miasta; powinna zostać w domu i dbać o matkę, jak przystało na dobre dziecko shunhów. Chyba że Sanfi ma więcej niż jedną córkę? Nie, Wanahomen słyszał, że jego gospodarz nie ma innego potomstwa.

Lepiej nie naciskać.

– Mam nadzieję, że interesy idą dobrze?

– Znośnie, zważywszy okoliczności. Kisuanie faworyzują shunhów. Sytuacja nie wygląda tak samo pomyślnie w przypadku naszych braci zinhów, ale na to nie ma rady. Kisuanie szydzą z nich niemal tak jak z Nordów.

– To prawda. – Wanahomen odstawił kielich i przesunął palcem po jego delikatnej krawędzi. Naczynie było na pozór proste, pozbawione wszelkich ozdób i kolorów z wyjątkiem naturalnej czerwonej barwy, ale wypalana glina była cienka, a kielich miał elegancko rozchyloną czarę. Garncarz, który go stworzył, musiał być nadzwyczaj utalentowany, a Sanfi zapewne słono zapłacił za komplet tych naczyń, które świadczyły o jego umiarze i dobrym guście. – Można by się zastanawiać, dlaczego wysoko postawiony shunha, który cieszy się takimi łaskami najeźdźcy, zechciał się ze mną spotkać.

Sanfi rzucił mu rozbawione spojrzenie, ale odpowiedział cicho, pochylając się ku niemu:

– Kisua pragnie stać się ośrodkiem światowego handlu. O tak, mamy obecnie nieograniczony dostęp do południowych rynków i kupców, co nas bardzo raduje. Ale Protektorzy ustanowili wyższe podatki na produkty sprowadzane z północy i ze wschodu, zwłaszcza jeśli przechodzą one przez nasze, a nie kisiańskie porty. Ograniczyli liczbę towarów i zwiększyli wymagania co do ich

jakości, co w efekcie dało ceny zaporowe. Niektóre towary zostały zupełnie zakazane, rzekomo dlatego, że nasz kraj jest zbyt zepsuty barbarzyńskimi wpływami... ale w rzeczywistości niemal cały handel w Gujaarehu został ograniczony. Zatem pod kisuańskimi rządami mam więcej kłopotów i mniej pieniędzy, i już mnie to zmęczyło. – Wzruszył ramionami i dolał Wanahomenowi piwa. – Wybacz, kierują mną wyłącznie egoistyczne pobudki.

Wanahomen pokręcił głową i odpowiedział równie ściszym głosem:

– Egoizm także ma swoje miejsce w hołdującym spokojowi społeczeństwie. Ale ilu shunhów podziela twoje zdanie?

Sanfi prychnął.

– Wszyscy, którzy mają rozum i oczy. Pomyśl, zhinhowie już zbiednieli. Szczerze mówiąc, shunhom także niewiele brakuje. Kupcy zaczynają parać się przemytem i innymi nielegalnymi gałęziami handlu. Połowa kasty wojskowych została najemnikami na wschodzie, gdzie przelewa krew za pieniądze. Ile czasu upłynie, zanim wszystkie rodziny zaczną zwalniać służących? Ile czasu upłynie, zanim nawet Hetawa zbyt zbiednieje, by karmić potrzebujących? Potem pojawią się dzieci umierające z głodu na ulicach, zabójstwa w zaułkach, rozpacz co krok... Zupełnie jak w Kisui. – Sanfi pociągnął długi łyk i z westchnieniem odstawił kielich. – Nie, kisuańskie rządy nie wychodzą na dobre nikomu.

Wanahomen pomyślał o żołnierzach i dziewczynie w stroju dawcy.

– Rzeczywiście – zgodził się cicho.

Sanfi skrzywił usta w półuśmiechu i zakorkował butelkę.

– Wejdźmy do środka, gdzie będziemy mogli porozmawiać z dala od tego przeklętego upału.

Wanahomen wstał i wziął kielichy, zostawiając Sanfiemu butelkę.

Po piekielnym skwarze wewnątrz domu wydawało się ciemne, zwłaszcza gdy Sanfi zamknął za nimi masywne drewniane drzwi.

Oczy Wanahomena powoli przyzwyczajały się do nowego oświetlenia, gdy szedł do eleganckiego pokoju gościnnego, w którym otwarto okna w suficie, by wypuścić świeże powietrze i słońce.

I tu się zatrzymał, bo promienie słoneczne wyłoniły z półmroku najpiękniejszą kobietę świata.

– Moja córka Tiaanet – powiedział Sanfi. I choć Wanahomen czuł, że jego gospodarz czujnie go obserwuje, nie potrafił przestać się gapić.

Dziewczyna patrzyła na niego śmiało, jak przystało kobiecie jej kasty, ale jej zachowanie cechowała jakaś intrygująca powściągliwość.

Nie potrafił odwrócić wzroku, kiedy podeszła do niego; jej ciało kołysało się hipnotyzująco pod kisańską szatą z grubego brokatu.

– Witam cię, księżę Zachodu Słońca, Inkarnacja naszej Bogini – przemówiła. Jej głos, niski i aksamitny jak ciemne słodkie wino, sprawił, że ścisnęły mu się gardło, żołądek i to, co poniżej. Ale potem uklękła przed nim, wyrwijąc go z odrętwienia. Gujaareńskie kobiety nie klękały. Były boginiami; tak się nie godziło postępować. Wanahomen otworzył ust a, by zaprotestować, ale zamilkł, gdy Tiaanet uniosła ręce, krzyżując je przed sobą, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i zwróconymi wnętrzem do niego. Klęczenie krzyżem, najwyższy wyraz szacunku, który można okazać śmiertelnikom wyróżnionym przez bogów. Wanahomen widział ostatni raz taki gest w Yanya-iyam, jakby w innym życiu, gdy przyglądał się, jak suplikanci zbliżają się do jego ojca. *„Ale teraz to ja jestem księciem, nie mój ojciec. I kiedy przystoi bogini klęczeć, jeśli nie wtedy, gdy spotka potężniejszego od niej boga?”*

Sanfi położył rękę na ramieniu Wanahomena, który ocknął się z zapażenia.

– Dziesięć rodzin shunhów i osiemnaście zinhów zgodziło się poprzeć naszą sprawę. Dla syna księcia... dla ciebie, mój księżę, oddadzą swoich żołnierzy i swoje środki. Wraz z twoimi banbarryjskimi sprzymierzeńcami będą stanowili niewielki oddział

w porównaniu z kisuańską armią... ale we właściwych okolicznościach niewielkie siły są skuteczne. Tron Zachodu Słońca znowu będzie należał do ciebie.

„*Mógłbyś mieć taką kobietę*”. Te słowa, niewypowiedziane, zawisły w powietrzu między nimi jak cicha obietnica. A gdy Wanahomen spojrzał na pochyloną głowę Tiaanet, znowu usłyszał jej głos jak ciemne wino, nazywający go księciem, i ujrzał siebie, zasiadającego na tronie z Aureolą Zachodzącego Słońca za głową. Tiaanet mogłaby znaleźć się u jego boku jako pierwsza żona, a ich dzieci przycupnęłyby na schodach u ich stóp, żywa ozdoba jego chwały i jej doskonałości. Tak słodkiej wizji nie zaznał nigdy poza Ina-Karekh.

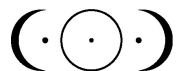
– Istnieje pewien bardzo stary nakaz gościnności, mój książę – powiedział Sanfi cicho, prosto do ucha Wanahomena. – Nawet w Kisui popadł w zapomnienie, ale wydaje się, że nadeszła pora, by go przypomnieć. Niegdyś, dawno temu, pakt między mężczyznami pieczętowano czymś więcej niż uściskiem dłoni.

Tiaanet uniosła oczy, spoglądając – jak się obawiał Wanahomen – prosto w jego duszę. Wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń – miękkość jej skóry wstrząsnęła nim niemal boleśnie – i wstała.

– Szczegóły możemy przedyskutować później – powiedział Sanfi. Puścił ramię Wanahomena, a Tiaanet zrobiła krok do tyłu, pociągając księcia za sobą. – Rano. Wypocznij dobrze, mój książę.

Co...? Wanahomen miał na tyle przytomności, że spojrzał na Sanfię, pewien, że źle zrozumiał. Ale Sanfi się uśmiechał, a Tiaanet dotknęła jego policzka, przyciągnęła do siebie jego twarz. Kiedy upewniła się, że Wanahomen patrzy tylko na nią, skinęła głową i zaczęła się cofać, prowadząc go za sobą. Dotarli do jej pokoju i zaciągnęli za sobą kotarę. W ramionach Tiaanet Wanahomen znowu stał się księciem, choćby na jedną noc.

7. CIENÍ



Hanani dotarła do Hetawy, nadal drząc. Słońce już zaszło, bo wybrała okreśną drogę przez dwa targi zamiast tę przez dzielnicę rzemieślników. Większość z nich pracowała nocami, gdy robiło się chłodniej, dlatego w dzielnicy panował względny spokój – jej mieszkańcy dopiero się budzili – ale kisuańscy żołnierze i tak mogli zjawić się tam na patrolu; krążyli po całym mieście. Hanani była bezpieczniejsza na uliczkach dzielnicy targowej, gdzie wokół zamykających się już straganów kręciło się więcej osób. Wbiegając po schodach Hetawy, pomyślała z ulgą, że Anarim skończył już zmianę. Jego zmiennik ledwie na nią spojrział. Czy Anarim wiedział, że kisuańscy żołnierze jawnie napadają na mieszkańców miasta? Nie, gdyby wiedział, nie prosiłby, a rozkazałby jej, żeby szła z eskortą. Słyszała plotki – jak wszyscy – ale sądziła, że Kisuanie przynajmniej starają się symulować szacunek dla Prawa i Mądrości, rządzących gujaareńskim społeczeństwem. Jeśli wartownicy nie wiedzieli, jak zmieniła się sytuacja, to być może zbieracze także nie mieli o tym pojęcia.

Jej obowiązkiem było ich powiadomić.

Zatrzymała się w cieniu jednej z kolumn sali i przyłożyła rękę do piersi, jakby to mogło uspokoić jej łomoczące serce. Nie chciała się spotykać ze zbieraczami. Jej niechęć była irracjonalna, nieodpowiedzialna... ale samo wspomnienie tych chwil znowu przywołało odgłos ciosów, okrutne oczy żołnierzy, kwaśny smak jej strachu. Interwencja była jej obowiązkiem. A jednak już rozumiała, że gdyby na ulicy było mniej ludzi, żołnierze by ją pobili albo zrobili coś gorszego. Co mogłaby uczynić, co powiedzieć, żeby ich

powstrzymać? Nawet teraz nic nie przychodziło jej do głowy i to z jakiegoś powodu było najgorsze. Przysięgała przestrzegać prawa, a jednak nie umiała znaleźć pokojowego rozwiązania tego problemu. Prawdziwy dawca znalazłby sposób.

„Może nauczyciel Yehamwy słusznie mnie ocenił. Może ten nieznajomy miał rację – nie jestem dość silną, żeby Jej służyć”.

Ale ta myśl przepęliła ją bólem i wstydem, a takie uczucia były niestosowne w obecności Bogini. Dlatego Hanani odetchnęła głęboko i wyprostowała się, by wrócić do celi, gdzie będzie się modliła, żeby odzyskać spokój...

– Siostró... – Zza kolumny wyłonił się akolita, usiłujący przeniknąć wzrokiem półmrok.

Drgnął, kiedy rozróżnił jej rysy. – O... wybacz... myślałem... no tak. – Zakłopotany przestąpił z nogi na nogę. – Szukali cię.

– Kto?

– Zwierzchnik i jego goście. Szukaliśmy cię, ale nikt nie wiedział, dokąd poszłaś.

Żołądek Hanani skurczył się w nowym ataku niepokoju.

– Dawno?

– Nie, tuż po zachodzie słońca. – Chłopiec przyjrzał się jej uważniej. – Czy coś się stało? Hanani uświadomiła sobie, że oplotła się rękami, jakby zrobiło jej się zimno.

Wyprostowała się i opuściła rękę.

– Nie. Nie. Już idę.

Odeszła szybkim krokiem, jakby uciekała przed ciekawością chłopca i wszystkim innym. Gabinet zwierzchnika znajdował się na czwartej kondygnacji skrzydła administracyjnego, graniczącego z Salą Błogosławieństw. Stała przed nim, zdyszana po wspinaczce schodami, i miała zaledwie chwilę na opanowanie się, zanim jeden z szmerzących wewnątrz głosów zbliżył się, a gruba kotara została odciągnięta.

– A, tu jest.

Przed nią stał uśmiechnięty zwierzchnik. Odsunął się na bok i dał jej znak, żeby weszła do jego gabinetu, co uczyniła z pewną obawą, bo ujrzała inne obecne w pokoju osoby: dwie postaci w opończach i welonach ufarbowanych na łagodny odcień żółcieni oraz zakapturzonego mężczyznę w szacie bez rękawów. Pierwsze dwie osoby były siostrami Hananji, choć z powodu welonów Hanani niewiele mogła o nich powiedzieć oprócz tego, że jedna z nich była bardzo wysoka. Zakapturzonego mężczyznę Hanani rozpoznała nie po twarzy, lecz po błękitnym tatuażu lotosu na ramieniu: Nijiri, trzeci rangą zbieracz.

Ponieważ znajdowali się w prywatnym gabinecie zwierzchnika, Nijiri zdjął kaptur, gdy Hanani przekroczyła próg. Miał krótko obcięte włosy i twarz jednocześnie plebejsko jasną i dziwnie nieziemsko piękną. Stał pod ścianą z założonymi rękami, nieprzenikniony.

– Usiądź – zwrócił się do niej zwierzchnik, wskazując siedzisko przy stole dla gości.

Hanani przełknęła ślinę i zajęła miejsce na poduszce. Starła się skupić na biegnącej wokół blatu intarsji, przedstawiającej kłosa jęczmienia. Dlaczego zwierzchnik ją tu wezwał? Skąd obecność zbieracza i dwóch sióstr? Nie ośmieliła się snuć przypuszczeń.

Zwierzchnik osunął się ze stęknieniem na drugą poduszkę.

– Oto siostry Ni-imeh i Ahmanat. Zbieracza Nijiriego już znasz.

Hanani przełknęła z trudem ślinę i skinęła głową siostrom. Zbieracza powitała bardziej ceremonialnym ukłonem nad dwiema dłońmi. Nijiri z powagą odwzajemnił gest, podobnie jak Ni-imeh. Ahmanat ujęła Hanani pod brodę, co przestraszyło dziewczynę tak, że nie mogła się ruszyć. Siostra obejrzała jej twarz ze wszystkich stron, delikatnie ją przechylając.

– Ładna – orzekła zaskakująco niskim głosem. Zatem to jedna z rzadko spotykanych męskich sióstr; Hanani nigdy dotąd żadnej z nich nie spotkała osobiście.

Nie widziała rysów twarzy za welonem, ale wydawało jej się, że

siostra się uśmiecha.

– Choć strój dawcy nie pasuje do twojej figury. Kasta rolników, tak? Podobnie jak ja kiedyś, choć teraz zapewne nigdy byś tego nie odgadła.

Zanim Hanani zdołała coś wydukać, zwierzchnik cmoknął karcąco.

– W Hetawie nie mówimy o przeszłości.

– A w naszym siostrzeństwie mówimy – odparła Ni-imeh. Głos miała kobiecy, drżący ze starości i równie zimny, jak ciepły był głos jej towarzyszki. Ona także przyjrzała się Hanani. – Ale rozbieżności w naszych poglądach przedyskutujemy przy innej okazji. Muszę przyznać, że poradziła sobie zaskakująco dobrze. Spodziewałam się, że już dawno zostanie do nas odesłana.

Hanani opanowała nerwowe drgnięcie. Znowu spojrzała na ozdobny szlak blatu stołu, ponieważ siostra najwyraźniej zwracała się nie do niej.

– Tak, radzi sobie dobrze, jeśli pominąć ostatni niefortunny incydent – oznajmił zwierzchnik. – Jej bracia ścieżki jednogłośnie twierdzą, że jest doskonałą uzdrowicielką, a niektórym to wyznanie przyszło z prawdziwym trudem – dodał ze śmiechem.

– Zatem jest wplątana – powiedziała Ni-imeh; widać nie była tym zaskoczona. – Do jakiego stopnia?

– To określi dochodzenie – wyjaśnił zwierzchnik.

Sięgnął po dzbanek z wodą i zaczął rozlewać ją do kubków, najpierw częstując starszą siostrę.

– Po obejrzeniu ciał badacze zyskali pewność, że zarówno nosiciele daniny, jak i akolita zmarli w stanie poważnego zakłócenia równowagi humorycznej. Mieli zwłaszcza nadmiar sennej żółci. Oczywiście jest to tylko objaw; nie wiemy, jaki sen mógł spowodować takie zakłócenie równowagi. Ale fizycznym objawem jest to, że prawidłowe funkcjonowanie serca i mózgu całkowicie ustały. – Westchnął. – Pojawiły się też inne anomalie, które jeszcze trzeba rozważyć.

– Anomalie potwierdzające raporty, które wam daliśmy? – Ku zaskoczeniu Hanani w głosie Ahmanat zabrzmiała ostra nuta. Dziewczyna nie znała rangi siostry w siostrzeństwie, ale skoro odgrywała kobiecą rolę, nie powinna zwracać się do zwierzchnika takim tonem. Od kobiet oczekiwano tworzenia spokoju, nie zakłócania go.

– Kto to wie? – Zwierzchnik podał kubek zbieraczowi, który bez słowa pokręcił głową, podobnie jak Ahmanat. Zatem zwierzchnik postawił kubek przed Hanani, nie pytając jej o zdanie.

– Dostaliśmy od was bardzo niewiele. Trudno na tej podstawie wyciągać wnioski. Lud Gujaarehu od paru lat żyje w wielkim napięciu, a teraz, po tych atakach pustynnych bandytów... – Wzruszył ramionami. – Zdziwiłbym się, gdyby w mieście nie pojawiło się parę nowych koszmarów.

– To coś więcej – oznajmiła Ahmanat surowo. – Ludzie stracili życie.

– Ale same przyznałyście, że nie ma to wyraźnego powiązania ze snami.

Hanani zrozumiała, co się dzieje, i z emocji przestała na chwilę oddychać. Byli inni, którzy umarli jak Bahenamin? Ale to by znaczyło...

– *Praktykantko Hanani!*

Dziewczyna odruchowo podniosła głowę i spłoszyła się, napotkawszy spojrzenie zbieracza Nijiriego. Te jego oczy miały dziwny kolor: jakby zielonkawy, ale głównie bladobrazowy, w świetle latarni nabierający czerwonych tonów. Ten kolor przypominał jej cegły, kanciaste i nieustępliwe.

– Wydaje się, że chcesz coś powiedzieć – zauważył zbieracz.

Inni natychmiast zamilkli i spojrzeli na nią. Hanani z trudem przełknęła ślinę.

– T-ten nosiciel d-daniny... – *Przekłete jąkanie!* Odetchnęła głęboko i zaczęła jeszcze raz, modląc się w duchu o spokój. – Bahenamin, z kasty kupieckiej. Dziś odwiedziłam jego żonę.

Powiedziała... – W ustach jej zaschło; znowu przełknęła ślinę. – Powiedziała, że jej mąż także miał złe sny. Tego dnia przyszedł, by złożyć je w daninie Bogini.

A Dayu, słodki Dayu, usiłował pobrać tę daninę. Znowu zapiekły ją oczy, ale Bogini chyba usłyszała jej modlitwę, a może pomogło zaciśnięcie pięści, bo po chwili to uczucie minęło.

Siostry spojrzały na siebie.

– Jak inni – powiedział zwierzchnik.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia tej rozmowy wyglądał na zbitego z tropu.

Nijiri nagle się zbliżył, obszedł stół i przykucnął przy Hanani. Dziewczyna opanowała chęć, by cofnąć się przed tym spojrzeniem, twardym jak cegły i jadeity.

Zbieracz uniósł na wysokość jej twarzy dłoń z rozstawionymi z gracją palcami wskazującym i środkowym. Drugą rękę wsunął pod szatę i nagle wszyscy usłyszeli cichy brzęk kamienia jungissy.

– Czy mogę?

Hanani skinęła głową, zbyt onieśmielona, żeby się sprzeciwić, choć nie miała pojęcia, czego chce zbieracz. Nie zdążyła podnieść głowy, gdy Nijiri błyskawicznie wyciągnął rękę i ledwie zdołała pomyśleć, czy jego nosiciele daniny też się tak boją. Ogarnęła ją fala przemożnej senności.

W tej magii nie było łagodności. Nijiri natychmiast znalazł jej duszę i w ułamku czasu, który zajmowała jej ta sama czynność, wyłuskał ją z ciała i przeniósł do Ina-Karekh. Potem przeprowadził ją przez krainę z taką siłą i mocą, że wszystko wokół niej się zamgliło, aż ujrzała miejską ulicę, pławiącą się w złocistym popołudniowym słońcu. W powietrzu ciężkim od woni ogrodu tańczyły motyle.

Sen o wspomnieniu. Hanani, wbrew samej sobie, przyglądała się z fascynacją, jak na ulicy pojawia się inna Hanani – ona, ale i nie ona. Znikła i znowu pojawiła się przed wysokim domem w stylu północnym. Nadeszła służąca, obie znikły za drzwiami, a potem

scena zmieniała się w obraz atrium, gdzie pod palmą siedziała wdowa Danneh.

Ale coś tu się nie zgadzało. Choć zbieracz panował nad wszystkim, szczegóły snu zaczęły odbiegać od prawdy. Tęgie ciało Danneh dziwnie się podwoiło, jej przypuszczalne „ja” nakładało się na inną postać, podobną do cienia, choć ten cień z jakiegoś powodu wydawał się z nią związany, złączony. Nagle obok Danneh pojawiła się senna postać zbieracza. Tu, w Ina-Karekh, gdzie mógł ukazać swoje prawdziwe oblicze, był ubrany w prostą wzorzystą draperię, nie miał sandałów ani naszyjnika. Przez jedno jego ramię przerzucone były dwa cienkie loki, hodowane od lat; odgarnął je na bok i przykucnął, by przyjrzeć się cieniowi.

Hanani, na chwilę uwolniona spod kontroli zbieracza, także nieśmiało ujawniła się w atrium.

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia, ale nie podoba mi się to, co czuję. – Zbieracz wstał i spojrzał na wspomnienie, słuchając, jak Danneh opowiada nie-Hanani o snach swojego męża. Kiedy znowu się odezwał, jego głos zabrzmiał bardzo poważnie: – Na tej kobiecie widnieje piętno tego czegoś, co zabiło Bahenamina. Zdajesz sobie sprawę, że to coś zabiło także twojego asystenta?

Hanani przytaknęła, nakazując sobie nie wpadać w rozpacz; w Ina-Karekh, gdzie ból ma kształt i siłę, to zbyt niebezpieczne.

– Czy to... – Zawahała się z szacunku, bo słyszała legendy o próbie Nijiriego... ale musiała zadać to pytanie: – Czy to Kosiarz?

Ku jej wielkiej uldze zbieracz natychmiast pokręcił głową.

– Nie, dzięki Bogini. To piętno jest subtelne, czego nie można powiedzieć o tamtych potworach.

Zamilkł, zamyślony. Scena wokół nich się zamgliła. Teraz nie-Hanani wychodziła już z domu Danneh, a serce prawdziwej Hanani ścisnęło się na myśl o tym, co się wydarzy.

Nie-Hanani już skręciła w stronę ogrodu Yafai, chcąc przejść krótszą drogą do Hetawy. A po drugiej stronie ogrodu...

„Odejdź” – pomyślała w nadziei, że zadumany zbieracz nie zauważy jej manipulacji. Nie-Hanani obejdzie ogród i nie napotka żołnierzy bijących sprzedawcę. Wówczas oni jej nie zobaczą, a rozgniewany młodzieniec w stroju robotnika minie ją obojętnie.

Sen zaczął się zmieniać zgodnie z jej sugestią. A potem skamieniał, wir popołudniowego światła i niewyraźnych budynków. Zbieracz patrzył na nią.

– Co robisz? – spytał bardzo cicho.

Przyłapana na gorącym uczynku, Hanani milczała, nie wiedziała, jak się zachować. Nie ośmieliła się skłamać, to przecież zbieracz. Ale prawda...

Przyjrzał się jej zmrużonymi oczami i znowu skupił się na śnie. Tym razem Hanani była bezradna. Zbieracz miał wolę równie nieubłaganą, jak spojrzenie, a gdy rozkazał jej przypomnieć sobie to popołudnie, nie potrafiła się obronić.

Tak jak wtedy, gdy żołnierz podniósł rękę, by ją uderzyć.

Zadrzała i skrzyżowała ręce na piersi. Wspomnienie potoczyło się dalej. Zbieracz nie odezwał się, kiedy nie-Hanani stanęła przed żołnierzami, choć znieruchomiał. Zdrętwienie ustąpiło, gdy żołnierze odwrócili się, by odejść; kiedy Hanani ośmieliła się na niego zerknąć, niemal jęknęła. Jeszcze nigdy nie widziała, by ktoś ze zbieraczy był tak zły jak furia.

Ale kiedy spojrzał na nią, ta wściekłość znikła z jego twarzy.

– Wybacz – powiedział. Głos miał równie cichy jak poprzednio, lecz bardziej kojący. – To było trudne dla ciebie, teraz rozumiem, a ja ci nie pomogłem, zmuszając cię, żebyś wszystko sobie przypomniła. Ale nie powinnaś była tego ukrywać.

– Przepraszam. P-po p-prostu... – Musiała przełknąć ślinę. – N-nie zrobili mi nic złego.

– To nieprawda. Ale miejmy nadzieję, że z łaski Bogini pewnego dnia stanie się prawdą. Zbieracz znowu spojrzał na senny krajobraz, raz jeszcze zatrzymany, i podszedł do żołnierzy. Przyjrzał się uważnie każdemu z nich i skinął głową. „*On ich zapamiętuje*” –

uświadomiła sobie Hanani, drżąc ze strachu.

– Co ci powiedział?

– Słucham?

– Co ci powiedział żołnierz? Zanim odszedł, wyszeptał ci coś do ucha. Hanani zadrżała. Miała nadzieję, że nie będzie musiała tego mówić.

– P-powiedział, że nie jestem tak ładna jak inne kobiety z Hetawy. Gdybym była, zabrałby mnie do wartowni i... – Żołnierz przemówił w mieszance gujaareńskiego i sua, której Hanani nauczyła się tylko na tyle, by prowadzić proste rozmowy. Nie potrafiła przetłumaczyć ostatnich słów, ale i nie musiała.

Nijiri nie zrozumiał.

– Inne kobiety? – Nagle spochmurniał. – Rozumiem. Siostry. Powinny były nam powiedzieć... Ach, lecz przecież mają swoją dumę. – Westchnął ciężko. – Jeśli to pomoże, powinnaś wiedzieć, że ci żołnierze nigdy więcej nie skrzywdzą żadnej Gujaarenki.

Hanani poczuła, że świadomość tego nie przyniosła jej żadnej ulgi.

Zbieracz odwrócił się, a potem znieruchomiał i szeroko otworzył oczy, ujrawszy twarz młodego robotnika, który podszedł, żeby pomóc dziewczynie.

– No, no... Więc to on.

Hanani spojrzała na niego zdezorientowana.

– Znasz go?

– Tak, choć nie widziałem go od dziesięciu lat. Założyłem, że przebywa w luksusowej posiadłości gdzieś na północy. – Nijiri zamilkł, przyglądając się uważnie robotnikowi. Jego usta drgnęły w krzywym uśmiechu. – Ale powinienem to przewidzieć. Wdał się w ojca i w wuja.

Hanani podeszła, by także popatrzeć na młodzieńca. Teraz, gdy miała okazję przyjrzeć mu się na spokojnie, stało się jasne, że to nie był robotnik. Wysoki i szczupły, miał klasyczne wąskie oczy,

pociągłe rysy cechujące wyższe kasty i skórę jedynie o cień jaśniejszą od czerni shunhów. Przystojny, gdyby nie zaciśnięte szczęki.

– Kto to?

– Nikt ważny. Choć zaryzykował, żeby ci pomóc... – Nijiri w zamyśleniu splótł ręce na piersi. – Może jednak warto uratować jego ród.

– Nie rozumiem.

– Wiem. – Dziwne, ale rzucił jej przeproszające spojrzenie. Wyraz oczu zbieracza, tak różny od tego wyrażającego tajemniczą powagę, zmusił ją, by w inny sposób popatrzyła na niego; nagle uświadomiła sobie, że Nijiri widział tylko parę powodzi więcej niż ona.

– Złamałaś zakaz – oznajmił, poważniejąc. – Chodzi o tego sprzedawcę. Uleczyłaś go. Hanani drgnęła; dopiero teraz to sobie uświadomiła. Nie myślała o zakazie po spotkaniu z żołnierzami, gdy na ziemi u jej stóp jęczał pobity człowiek. Nijiri zasiadał w Radzie Ścieżek – plotka głosiła, że żaden ze starszych zbieraczy nie ma do tego cierpliwości – więc miałyby prawo uznać ją za zepsutą.

– T-tak... Ale był tak zmasakrowany, że mógł mieć wewnętrzny krwotok, połamane kości... – Zbyt późno dotarło do niej, że się usprawiedliwia. Westchnęła i odwróciła spojrzenie. – Tak, złamałam zakaz.

– Mogłaś pójść do Hetawy po jednego ze swych braci, który by wyleczył poszkodowanego. Nie przyszło ci to do głowy?

Powinno.

– ...nie.

– Oczywiście.

Nie wydawał się niezadowolony, co sprawiło Hanani wielką ulgę. Nie spodziewała się ujrzeć w jego oczach ciepła i aprobaty.

– Ten sprzedawca cierpiał i był przerażony. Gdyby umarł w tym stanie, podczas gdy biegłabyś po pomoc, jego dusza błąkałaby się po krainach cienia przez całą wieczność. Słusznie, nie martwiłaś się,

czy to jest przyzwoite, czy też nie, ani tym, czy spotka cię kara. Postąpiłaś jak przystało słudze Hananji. – Splótł ręce na piersi i przez długą chwilę zastanawiał się w milczeniu. W końcu, podjąwszy decyzję, skinął głową i powiedział:

– Chciałabyś się zrehabilitować?

– Jak to?

Nijiri poruszył ręką i miejska ulica rozplynęła się bez śladu. Na jej miejscu pojawił się senny krajobraz pełen falistych diun, ciągnących się po horyzont pod bezchmurnym kobaltowym niebem. Hanani sądziła, że zbieracz chciał ją w ten sposób uspokoić, ale przecież nigdy w życiu nie widziała pustyni. Poczwała niepokój i samotność.

– Musisz się poddać nowej próbie – oznajmił zbieracz. – Choć w tej chwili jest oczywiste, że nie miałaś nic wspólnego ze śmiercią akolity Dayuhotema ani kupca Bahenamina, w Hetawie znajdują się tacy, którzy nigdy nie pogodzą się z faktem, że jesteś niewinna. Będą cię oskarżali, ponieważ się ciebie boją.

– Boją się? – powtórzyła zdumiona Hanani. – Mnie?

– I zmian, jakich jesteś symbolem. – Tego także nie zrozumiała, ale w końcu miała przed sobą zbieracza. Tacy jak on rozmawiają językiem snów. – Jedynym sposobem uciszenia tych głosów jest poddanie się kolejnej próbie, próbie tak niezaprzeczalnie trudnej, że żaden z twoich przeciwników nie zechciałby przez nią przejść. Ale jeśli ci się uda, nikt nigdy nie zakwestionuje twojego prawa do władania magią w imię Bogini.

Zamilkł, przyglądając się dziewczynie, a w jej głowie pojawiły się te wszystkie plotki, które o nim słyszała. Ludzie szeptali, że Nijiri pokonał Kosiarza, że pomógł wymierzyć karę ostatniemu szalonemu księciu Gujaarehu, że pośredniczył w pokojowym podbiciu Gujaarehu, by jak najmniej osób ucierpiało. Były też inne plotki, mniej pochlebne, bardziej poruszające: że Nijiri był uczniem – i nie tylko – legendarnego zbieracza Ehiru i że sam zebrał jego duszę, kiedy nadeszła pora.

„Jakie to uczucie zabić swojego kochanka?” – pomyślała, zerkając

na mężczyznę poprzez przestrzeń wyczarowanej przez niego pustyni.

A on nagle spojrzął na nią łagodnie.

– Nikt mnie nie pytał – powiedział, jakby usłyszał jej myśli. To możliwe, we śnie takie rzeczy się zdarzają. – Ja też przeszedłem ostateczną próbę, w której stawką była dusza mojego brata. Nie miałem wyboru, mogłem tylko wygrać lub ponieść klęskę. Ale ty możesz wybierać. Czy poddasz się próbie, o której myślę?

– Co to za próba? – spytała z zaciśniętym gardłem.

– Uwolnienie Gujaarehu.

Spojrziała na niego wielkimi oczami. Uśmiechnął się.

– Plan został już obmyślony. Moi bracia i ja chcieliśmy się posłużyć twoim mentorem. Ma potrzebną nam elastyczność, ale szczerze mówiąc, niepokoił mnie jego temperament. Za to teraz... sądzę, że lepiej sprawdzisz się w roli, którą mam na myśli.

– J-j... – Zdolność myślenia ją opuściła. – Jakiej roli?

– Tego nie mogę ci w tej chwili zdradzić, w przeciwnym razie źle ją odegrasz. Wystarczy powiedzieć, że scenariusz wymaga opuszczenia miasta i narażenia się na niebezpieczeństwo. Ale jeśli ten plan zawiedzie, cała nasza tradycja znajdzie się w niebezpieczeństwie. Musimy działać natychmiast, bo stracimy wszystko. – Westchnął, zapatrzony w dal rozciągającą się za łagodnymi wydmami. – Udowodniłaś, że jesteś uzdrowicielką, Hanani; to nie ulega kwestii. Ale czy naprawdę służysz Jej prawu sercem i duszą? Czy zaryzykujesz własne dobro dla spokoju tak na jawie, jak i w snach? Na tym polega próba.

Znad diun nadleciał powiew wiatru, wzniesający małe wiry piasku w odpowiedzi na zamęt w głowie Hanani. Gdyby to był sen leczniczy, zmusiłaby się do zachowania spokoju, ale skoro panowanie nad snem znajdowało się w pewnych rękach zbieracza, czuła, że może sobie pozwolić na panikowanie do woli.

A jednak miał całkowitą rację. Mogła znaleźć w Hetawie wystarczająco wielu zwolenników, którzy uznają ją za niewinną, ale

plotki zawsze będą ją prześladowały. Uzdrowicielka, która zabiła. Kobieta, której magii nie można ufać. Przez chwilę gniew zagłuszył jej strach: *to niesprawiedliwe, że musi przez to przechodzić!* Od mężczyzny by tego nie wymagano.

Ale gdyby świat był sprawiedliwy, pozostałaby wiejską półanalfabatką, którą czekałaby wyłącznie praca w polu i obejściu.

Dlatego spojrzała na zbieracza i przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

– Poddam się tej nowej próbie.

Nijiri się uśmiechnął, przez ulotną chwilę widziała, za co kochał go zbieracz Ehiru.

– Zatem chodź – powiedział i przeniósł ich do świata jawy.

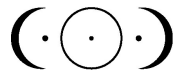
W ciągu dwóch następnych dni nic się nie wydarzyło. Hanani zaczęła się zastanawiać, czy jej druga próba w ogóle się zacznie. Jednak pewnego wieczoru, po kolejnym dniu bezsensownych rutynowych działań, w drzwiach jej celi pojawił się wartownik i wręczył dziewczynie mały zwój, owinięty cienkim fioletowym sznureczkiem, zawiązanym na misterny supeł pieczętujący. Hanani nie знаła tego węzła. Każda rodzina należąca do jednej z wysokich kast miała własny charakterystyczny wzór, na brzegu zaś tego zwoju znajdowały się piktogramy, oznaczające imię Hanani. Dziewczyna pożyczyła nóż od wartownika, przecięła węzeł, rozwinęła list i przeczytała:

Dawco,

teraz to ja miałam koszmar.

Danneh, z kasty kupców, żona Bahenamina-we-śnie

8. TRUCIZNA



Tiaanet nadal nie spała, gdy Wanahomen jęknął i przewrócił się we śnie na drugi bok. Ona nie zapadła w sen; nie potrafiła, kiedy w jej łóżku znajdowała się inna osoba. Usiadła i zapaliła latarnię, a wówczas Wanahomen krzyknął i otworzył oczy. Przesunęła przed nimi rękę, ale nie zareagował. Położyła mu dłoń na piersi; jego serce łomotało szybko i mocno. Znowu się odwrócił.

Mężczyźni nie lubią, kiedy się ich budzi ze złych snów; Tiaanet rozumiała to instynktownie. Gujaareńczycy uważali utratę kontroli nad snem za słabość, tym bardziej gdy przydarzała się wojownikom i mężczyznom z boskiego rodu. Ale kiedy Wanahomen krzyknął drugi raz i wygiął się w łuk, jakby z bólu, Tiaanet przestraszyła się, że ojciec to usłyszy. Dlatego potrząsnęła księciem raz jeszcze, a potem znowu, mocniej. Nie obudził się.

Zatem zrobiła jedyne, co jej pozostało: dotknęła jego śniącego umysłu swoim umysłem. Udało się, tak jak czasem udawało się obudzić Tantufi. Wanahomen zachłysnął się i otworzył oczy.

– Co się...?

– Sen. – Tiaanet starła mu z piersi krople potu. – To tylko sen.

Zmarszczył brwi, usiadł i przesunął palcami po splątanym gąszczu warkoczy.

– Ojciec... Widziałem mego ojca. Na schodach Hetawy. Wszystko było szare, a niebo... – Przełknął ślinę; wolna ręka mu zadrżała. – W tym mieście dzieje się coś złego.

Wzięła jego dłoń i uniosła ją do ust. Nie od razu, ale w końcu skierował na nią spojrzenie. Zdziwił ją nieufny wyraz jego oczu,

który znikł, kiedy skubnęła zębami opuszkę jego palca.

Nieufność zastąpił głód, niemal bolesny, i po chwili Wanahomen wyciągnął do niej rękę.

– Czy mam cię uczynić jedną z moich żon, kiedy zasiądę na tronie? – Pchnął dziewczynę na łóżko.

Pogłaskała go po włosach, kiedy ją całował, i stłumiła westchnienie, gdy podniósł głowę.

– Jesteś księciem Zachodu Słońca – powiedziała. – To, czego pragniesz, będzie twoje.

Przyjrzał się jej niepokojąco przenikliwymi oczami.

– Masz innego kochanka?

– Nikogo, kogo bym pragnęła. – Tiaanet pogłaskała go po twarzy. – Ale prawie mnie nie znasz, książę.

Wówczas w jego oczach pojawiło się coś jeszcze bardziej zaskakującego: samotność.

Przestała ją czuć – jak i cokolwiek innego – już dawno, ale widywała ją w oczach Tantufi na tyle często, że nie mogła o niej zapomnieć. Choćby z tego powodu obudziło się w niej współczucie dla Wanahomena.

– Mój ojciec też prawie nie znał mojej matki, gdy ją poślubił – wyznał książę. – Przez piętnaście lat co dzień od nowa walczył o jej miłość i łóżę; niemal przekroczyła wiek płodności, kiedy mnie urodziła. – Uśmiechnął się do niej na wpół żartobliwie. – Nie jestem tak cierpliwy jak on, ale dla ciebie mógłbym spróbować.

– Za wcześnie, by rozmawiać o takich rzeczach. – Sięgnęła ręką w dół. Nie spodziewał się tego; jego oczy rozszerzyły się, a potem zamglily z pożądania, kiedy go gładziła. – Ale na razie możemy się zająć czymś innym.

Skinął głową – siła żądz odebrała mu mowę – i na szczęście nie powiedział już nic o miłości.

Kiedy Tiaanet wstała i włożyła szatę, był już późny ranek. Wanahomen, który tym razem spał spokojniej, otworzył oczy

w chwili, gdy się poruszyła.

– A niech to – powiedział i usiadł. – Nie zamierzałem zostać w tym mieście tak długo.

Skłoniła głowę.

– Czy mogę przynajmniej przygotować ci kąpiel i posiłek, zanim odejdiesz?

Uśmiechnął się, zaskoczony, i skinął głową.

– Banbarryjskie kobiety w niczym cię nie przypominają. Zachowują się jak królowe, które mężczyzna ma zadowalać, albo jak pasterze strzegący rozplodowego stada. Zapomniałem już, jakie potrafią być Gujaarenki.

– Nie przypominam większości gujaareńskich kobiet, książę. Spuścił oczy, zawstydzony.

– Oczywiście, jesteś damą z rodu shunhów. Wybacz, nie chciałem cię obrazić. Nie o to jej chodziło, ale tylko przytaknęła.

Przygotowano kąpiel, Tiaanet przyniosła olejki i przybory do mycia, raz jeszcze przepaszając za brak służących. Wanahomen zapewnił ją, że i tak nie ma na co dzień takich luksusów, i poszedł sam do łaźni. Nie założył z góry, że Tiaanet będzie mu usługiwała, ani nie wystąpił z taką obcesową propozycją – to jej się spodobało. Ale nie mogła się zmusić, żeby go polubić, bo koniec końców wykorzystał ją tak samo jak ojciec, i fakt, że okazał takt i umiar, niewiele tu znaczył.

Poza tym i tak niczego między nimi nie będzie, bo pewnego dnia Wanahomen przekona się, że Tiaanet jest jego wrogiem.

Poszła do kuchni, żeby przygotować mu posiłek. Przy stole siedział ojciec. Jadł rybę i jędrne daktyle. Na jej widok uniósł brew.

– Rozumiem, że w nocy poszło dobrze? – spytał lekko, ale Tiaanet nie dała się oszukać. W jego oczach mignął cień zazdrości. Choć to on kazał jej uwieść księcia, nigdy nie lubił się niczym dzielić.

– Na ile można się było spodziewać – odparła. Przeszła obok niego, zajrzała do pieca, dorzuciła drewna i zaczęła przysmażać

paski przyprawionego mięsa. – Żle spał. Koszmary.

Odwróciła się. Ojciec skamieniał.

– Koszmary?

– Tantufi tu nie ma – przypomniała mu. Z łaźni dobiegał chlupot wody, co znaczyło, że Wanahomen ich nie słyszy.

Ale ku jej zaskoczeniu to nie uspokoilo ojca.

– Słyszałem – powiedział cicho – że cztery osoby obecne na pogrzebie Khanwera już nie żyją. Zhinha Zanem i jej mąż żołnierz, kuzyn twojej matki, pan Tun i kupiec Bahenamin.

Tiaanet nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie ludzi, których wymienił ojciec. Tun był starszym mężczyzną, żonatym, co nie przeszkadzało mu rzucać pożądliwych spojrzeń na Tiaanet. Zanem i jej mąż okazywali im chłodną uprzejmość, lecz tego należy się spodziewać po zhinhach. Ale Bahenamin...

– Ten ostatni, kupiec, zmarł w samej Hetawie – dodał Sanfi. – Chciał się pozbyć złego snu. Chłopiec, który starał się go pobrać, także stracił życie. – Splótł palce i przyjrzał jej się zimno. – Wiesz, jak to się mogło stać, córko?

Zaczęła gorączkowo myśleć.

– Bahenamin... To ten, który nie zakrywał łysiny peruką, tak? Przybył wcześniej od pozostałych. – Rzeczywiście, teraz go sobie przypomniała. Tak wiele osób przybyło na pogrzeb Khanwera tylko po to, by zetknąć się z elitą... A Bahenamin płakał, szczerze opłakiwał straconego przyjaciela. – W południe kazałam przenieść Tantufi do wiejskiego domu, ale przedtem zaprowadziłam Bahenamina na jego pokoje. Był tak zrozpaczony, że pomimo wczesnej pory musiał się położyć i odpocząć.

– A trzech pozostali?

– Po pogrzebie Bahenamin spędził noc u nas. Jeśli sen Tantufi już się w nim zakorzenił, to wszyscy z sąsiednich pokojów mogli ucierpieć. – Nie ośmielając się przybrać oskarżycielskiego tonu, dodała: – Byłam tamtego wieczoru zajęta i nie mogłam chodzić

po korytarzach, by zatrzymać sny. A matka oczywiście przebywała pod strażą w swoim pokoju. – Insurret także potrafiła przegnać złe sny, jeśli miała na to ochotę.

Wargi Sanfiego drgnęły; po chwili wstał i zaczął krążyć po ciasnej kuchni.

– Twoja matka... Nie powinienem był jej poślubić, bez względu na jej urodę. Już zalecając się do niej, widziałem pierwsze oznaki szaleństwa, ale potrzebowałem m jej pieniędzy...

– Zatrzymał się i westchnął, zaciskając pięści. – I Tantufi... Codziennie zastanawiam się, dlaczego nie zadusiłem tego monstrum od razu po urodzeniu.

Tiaanet patrzyła na niego, wychwytyując oznaki jego rozdrażnienia i niepokojąc się coraz bardziej. Ojciec wpadnie w ponury nastrój, to pewne. Zawsze tak było, kiedy ktoś pokrzyżował mu plany. Będzie przygnębiony i wściekły przez całą drogę powrotną do ich wiejskiej posiadłości, a kiedy dotrą na miejsce, wyładuje swój gniew na Tantufi. Trzeba odwrócić jego uwagę. Ale jak?

– Ojczy? – Udała, że jest całkowicie pochłonięta mieleniem orzecha shea. – Czy w Hetawie wiedzą o tych zmarłych? Czy zorientowali się, że oni wszyscy byli w naszym domu?

– Jeszcze nie. – Teraz ojciec wydawał się jeszcze bardziej niezadowolony. Gorączkowo zastanawiała się, czym go zainteresować. – Choć jeśli sen przeniesie się na kogoś jeszcze... Sanfi urwał nagle i zamilkł. Tiaanet nalała do kubka słodkie wino i postawiła go wraz z talerzem na tacy.

– Muszę zadbać o naszego gościa.

– Dobrze – rzucił ojciec z roztargnieniem. Wpatrywał się w stół, ale widział tylko myśli, przemykające mu przed oczami. Tiaanet odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, ale zatrzymała się, gdy zawołał ją po imieniu.

– Tak, ojczy?

– Tantufi... Gdybyśmy przywieźli ją do miasta, jak szybko

rozprzestrzeniłby się jej sen? Więc to mu chodziło po głowie. Zdziwiło ją nie tyle okrucieństwo, co metoda, którą wybrał. Ojciec nienawidził Tantufi.

– Nie wiem – odrzekła zgodnie z prawdą. – Ale wśród tak wielu mieszkających blisko siebie ludzi zapewne rozszedłby się szybko.

Ojciec skinął głową. Oczy mu lśniły.

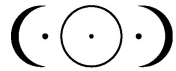
– Hetawa może zagrozić naszym planom – powiedział. – Wspiera Kisuan. Ale sen Tantufi odwróci jej uwagę, prawda? – Uśmiechnął się. – W końcu zdołają go uleczyć, ale do tego czasu...

Tiaanet ujrzała w wyobraźni twarz Tantufi. To dziecko zapłaczę się na myśl, że spowodowało takie cierpienie. Lecz zrobi to i wsączy swoją magię jak truciznę w żyły miasta, bo nie potrafi się powstrzymać. A ojciec będzie zadowolony, że ta klątwa w końcu została dobrze wykorzystana.

– Tak, ojcie – przytaknęła. – Poślę po nią, jeśli sobie tego życzysz.

– Jesteś taką dobrą córką. Zrób to natychmiast po odejściu naszego gościa.

9. UMIZGI



Podróż z Gujaarehu na pustynię była długa i nudna. Żeby zniechęcić ewentualny pościg, Wanahomen postanowił nie kierować się od razu na zachód. Pojechał więc najpierw na południe do jednego z nadrzecznych miast, gdzie zafundował sobie ostatnią gorącą kąpiel i gujaareński posiłek, zanim zamienił konia i strój robotnika na wielbłąda i pustynny przyodziewek, naturalnie bez zasłony i innych plemiennych symboli; usunął charakterystyczną uzdę i ozdoby Laye-ki, zanim zostawił ją w miejskiej stajni. Kiedy przebywał na Terytoriach Gujaareńskich uchodził za członka któregoś z dziesiątków małych plemion, żyjących w cieniu Gujaarehu. Dopiero u stóp gór, znaczących granicę między doliną Krwi Bogini a pustynią, nałożył ostatnie banbarryjskie akcesoria: zasłonę, zapętlony zawój oraz szaty w kolorach indygo i jasnego brązu.

Podróż przez góry upłynęła mu w stanie bliskim medytacji; rytm pewnych kroków Laye-ki i monotony krajobraz pełen spieczonych przez słońce skał ukołysały jego myśli. W drodze do miasta ułożył sobie setki planów, lecz teraz pochłaniało go coś zupełnie innego.

„Podobało ci się, książę? Pozwól, że pokażę ci więcej”.

Tiaanet. Bogowie, co za kobieta. Oczywiście, że się z nią ożeni. Sanfi sobie tego życzył, co było jasne jak dzień, a Wanahomen zamierzał spełnić to życzenie. Pomimo upału zadrżał na wspomnienie jej warg, jej rąk, czyniących cuda z jego ciałem, jej cierpliwości w przeciąganiu jego rozkoszy tak długo, aż wydawało mu się, że umrze z ekstazy. Gdzie się nauczyła takich rzeczy? Nieważne. Musiał mieć ją znowu, a jeśli to oznaczało uczynienie

Sanfiego dziadkiem następcy tronu, to trudno.

Zatonął w marzeniach i w południe ledwie zauważył, że Laye-ka człapie szlakiem między dwiema ostro zakończonymi skałami.

Gdy Kite-iyam znowu znajdzie się w jego rękach, Tiaanet zamieszka u niego w apartamentach. Tak samo ojciec zaszczycił matkę. A czy matka nie będzie zadowolona, że syn wybrał na pierwszą żonę pannę z rodu shunhów? Ród Sanfiego był stary i szlachetny, wielce szanowany...

Na półce skalnej nad jego głową zagrzechotały drobne kamyki.

Wyrwany z rozmarzenia Wanahomen chwycił jednocześnie nóż i cugle Laye-ki, omiatając wzrokiem góry w poszukiwaniu jakiegoś ruchu lub nietypowego cienia.

Nic.

Laye-ka stęknęła głośno, jakby karciła Wanahomena, a on nadal rozglądał się wokół. Nie zauważył żadnego ruchu, ale nerwy miał napięte. Skalne zbocza po tej stronie szlaku znajdowały się zbyt blisko i były gęsto usiane małymi jaskiniami i głazami. Nie powinien był się zamyślać w miejscu wprost stworzonym do zasadzki.

Instynkt kazał mu zsiąść z wielbłądzicy i sprowadzić ją ze szlaku w wąski wąwóz, wyżłobiony przez wiosenne deszcze. Biegł on w pobliżu tego samego zbocza, na którym rozległ się grzechot kamyków, ale był bardziej osłonięty niż szlak. Idąc za skałami, dwa razy wyższymi od Laye-ki, Wanahomen zauważył małą jaskinię...

...a potem przyczajonego w niej mężczyznę.

Księżę błyskawicznie wyjął nóż.

– Kim... – Urwał, zaskoczony, gdy obcy położył palec na ustach, a potem wskazał drogę, którą przybył Wanahomen. Niemal w tej samej chwili z kierunku, który pokazał mężczyzna, dobiegło ich echo głosów.

Co...?

Mimo to klepnął Laye-kę po łopatkę, dając szybki banbarryjski sygnał, żeby ucichła i znieruchomiała. Zwierzę rzuciło łbem, ale

usłuchało. Wanahomen wyjrzał spomiędzy dwóch gładów.

I oto dwie góry dalej: błysk brązu, mignięcie tkaniny zielonej jak lasy deszczowe. Czterej kiswańscy żołnierze.

Wanahomen zerknął na mężczyznę, który skinął głową bez słowa. Ze swojego punktu obserwacyjnego pewnie widział ich z daleka. Gdyby Wanahomen nie usłyszał tego łoskotu kamieni i nie zareagował na niego – teraz podejrzewał, że nieznajomy zrobił to specjalnie, żeby go ostrzec – żołnierze zobaczyliby go, wspinając się na ostatnią górę.

Mężczyzna spojrzął na Wanahomena z dziwnie znajomym spokojem, budzącym obawę, choć nie taką, jak nadjeżdżający żołnierze. Dlatego książę najpierw skupił się na czyhającym większym zagrożeniu.

Niemal natychmiast rzuciło mu się w oczy, że żołnierze go nie szukali. Jechali stępą, podkute końskie kopyta hałasowały na kamienistej ścieżce bardziej niż kopyta wielbłąda.

Rozmawiali głośno w prowincjonalnym dialekcie sua, który Wanahomen z trudem rozumiał, choć wydawało mu się, że mówili o zakładzie. Jeden z nich rzucił jakąś przechwałkę, a ich wrzaskliwy śmiech potwierdził domysły Wanahomena. Zaśmiewając się, znikli mu z oczu.

Wanahomen trwał w bezruchu przez – wydawało mu się – wieki, nasłuchując, aż stukot końskich kopyt zupełnie ucichnie. Potem wreszcie odwrócił się i wspiął do groty, żeby porozmawiać z mężczyzną.

– Kim jesteś, na bogów?

– Anarim – odparł mężczyzna, podnosząc się zgrabnie jak tancerz. Był odziany w czarną draperię biodrową bez ozdób, krótką, niemodną. Nie nosił naszyjnika, choć skórę na szyi i ramionach miał jaśniejszą; zatem go zdjął, to jasne. Świadomość, że jest w nim coś znajomego, stała się silniejsza i przykra, gdy Wanahomen zauważył czarne skórzane rękawice, osłaniające przedramiona nieznajomego, nagolenniki i rękojeść krótkiego miecza, wystającą zza jednego

z ramion. Mężczyzna, jakby wyczuwając ogarniającą księcia furie, przytaknął i powiedział:

– Wartownik Hananji.

Ukryty za zasłoną, Wanahomen syknął i mocniej ścisnął trzonek miecza, gotów walczyć na śmierć. Ale nagle przez czerwoną nienawiść przesączyła się do jego mózgu logiczna myśl. Wartownik mógł pozwolić, by kisuańscy żołnierze go zauważyli. Nadal mógł to uczynić, wystarczyło po prostu krzyknąć; żołnierze dopadliby go, zanim zdołałby wsiąść na Laye-kę i popędzić przed siebie.

Bardzo powoli opuścił nóż.

Wartownik zmienił pozycję – może zrezygnował z obrony, którą przygotował.

– Spodziewałem się ciebie dopiero jutro. Jesteś Charris, niegdyś generał Gujaarehu?

– Cha... – Wanahomen nagle zrozumiał; znowu ogarnęła go wściekłość. – Zatem Charris mnie zdradził.

Na twarzy wartownika odmalowało się zaskoczenie. Po chwili zastąpiła je zwykła maska obojętności.

– Ach... Jesteś Wanahomen, któremu służy Charris.

– *Jestem Wanahomen, który zabije Charrisa, kiedy tylko go zobaczy!*
– warknął ksiązę. *Charris spiskuje przeciwko niemu z Hetawą!*
Większy od gniewu był tylko pulsujący ból.

„Charris, ty przeklęty stary głupcze, zawierzyłem ci własne życie!”

Wartownik długo mu się przyglądał.

– Więc dlatego prosił o potajemne spotkanie. Nie kochasz Hetawy.

Wanahomen spojrzał na niego oniemiały, a kiedy wrócił mu głos, w ostatniej chwili przypomniało mu się, by mówić ciszej.

– *Hetawa zabiła mojego ojca! Otworzyła bramy stolicy i wpuściła cudzoziemców, którzy nas podbili!* Według mnie cały Gujaareh powinien powstać i rzucić was do morza.

– O ile pamiętam, to twój ojciec zwrócił Kiszę przeciw Gujaarehowi. – Głos wartownika, podobnie jak wyraz jego twarzy, był niemal nieludzko obojętny. Nie było w nim nawet cienia krytyki, a jednak Wanahomen odebrał te słowa jak policzek.

– *Ojciec nie chciał, żeby Gujaareh został podbity!* – krzyknął, odwrócił się i zaczął krążyć po ciasnej grocie. – *Mógł popełniać błędy, ale działał dla dobra kraju. I nie muszę go bronić przed tobą!* – Choć to właśnie robił. Wściekły na siebie, odwrócił się do wartownika i wymierzył nóż w tę oburzająco spokojną twarz. – *Mów, dlaczego chciałeś się spotkać z moim człowiekiem!*

Wartownik patrzył przez chwilę na nóż.

– Przynoszę wiadomość od moich zwierzchników. – Bardzo powoli wskazał małą sakwę podróżną, leżącą pod ścianą jaskini na złożonej opończy. – Dla ciebie.

Wanahomen zmarszczył brwi, by ukryć zaskoczenie, i podszedł do sakwy, nie spuszczając z wartownika oczu. Kiedy uniósł klapę, z jej wnętrza wyslizgnął się zwój zabezpieczony węzłem – splot używany przez miejskie urzędy. Na jego brzegu znajdowały się piktogramy rodu Wanahomena, kończące się tymi oznaczającymi jego imię.

– Generał Charris poprosił w twoim imieniu o audiencję u zwierzchnika – wyjaśnił wartownik, gdy Wanahomen rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. – Odpowiedź jest zawarta w tym zwoju.

Wanahomen spojrzał na wiadomość w osłupieniu i wybuchnął śmiechem.

– Audiencja u zwierzchnika? Na bogów, gdybym nie znał Charrisa, pomyślałbym, że rozum mu się pomieszał ze starości. Niby po co miałbym się spotykać z kimkolwiek z Hetawy?

– Chcesz odzyskać tron. W tym celu będziesz potrzebował naszej pomocy.

Księżę omal nie upuścił noża.

– Przymierze – powiedział, zaczerpnąwszy głęboko powietrza. – Charris naprawdę sądzi, że zdoła zawrzeć przymierze między

Hetawą i Banbarrami? – Prawie nie wierzył we własne słowa.

– Przymierze ma być zawarte z tobą – odparł wartownik – choć oczywiście może obejmować i tych, których uznasz za stosownych. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – To nie jest takie nieprawdopodobne. W końcu to Hetawa stworzyła monarchię i podtrzymywała ją od stuleci.

– Tak. – Wanahomen mocniej zacisnął palce na zwoju. – Aż twoi bracia zniewolili moich przodków senną krwią. Przymierze wymaga zaufania, sługo Hananji, a ja nigdy nie zaufam tobie ani twoim braciom mordercom. Charris powinien o tym wiedzieć.

Cisnął zwój na ziemię i nie wiedząc czemu wpadł w rozdrażnienie, gdy wartownik nie zdradził żadnych oznak urazy.

– Zatem odrzucasz przymierze?

– Nie mogę odrzucić tego, co nie może się wydarzyć – warknął książę. Odwrócił się i znowu spojrzał na ścieżkę między głazami, teraz już pustą. Będzie musiał znaleźć inną drogę przez góry, bo najłatwiejszym szlakiem pojechali kisuańscy żołnierze. Pewnie patrolowali wzgórza po ostatnim banbarrzyjskim najeździe, chcąc być może ostrzec mieszkańców miasta lub odstraszyć kolejnych napastników.

– Przekażę to naszej Radzie – powiedział wartownik za jego plecami. – Choć niewątpliwie wyślą swoich przedstawicieli w wyznaczone miejsce na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. – Zapadła chwila ciszy. – Pragniesz mieć zaufanych sprzymierzeńców, ale powinieneś wiedzieć, że panu Sanfiemu także nie można ufać.

Wanahomen łypnął na wartownika przez ramię.

– Śledziliście mnie?

– Śledziliśmy Sanfięgo. Od jakiegoś czasu organizuje koalicję arystokracji. Czynił to na długo przed atakami Banbarrów. Możesz być dla niego przydatny, ale tylko przez jakiś czas.

Wanahomen też potrafił przybrać kamienny wyraz twarzy. Skrzyżował ręce na piersi.

– Wyjaśnij to.

Wartownik uniósł nieznacznie jedną brew.

– Nie uwierzysz w tę wiadomość.

– Później zdecyduję, czy w nią uwierzę, czy nie. Na razie chcę ją usłyszeć.

– Wiesz, że kiedyś, przed nastaniem dynastii Zachodu Słońca, przypominaliśmy Kisuę i plemiona z południa. Rządzili nami najbardziej szanowani przedstawiciele starszyny. – Wartownik wzruszył ramionami. – Trwający od dziesięciu lat Protektorat Kisuański przypominał Gujaarehowi o tej historii. Sanfi chce doprowadzić do puczu, w którego wyniku powstanie Protektorat Gujaareński.

Wanahomen zmrużył oczy.

– Lud Gujaarehu pragnie, by na jego czele stał przywódca wybrany przez Boginię, nie garstka trzęsących się bogatych starców. Widzi, ile dobrego, a raczej złego, zdziałał Protektorat Kisuański dla ich kraju, osierocone dzieci prostytuują się na ulicach, a niewolnicy przymierają głodem wśród pól pełnych zboża.

Wartownik spuścił oczy.

– Dla dobra przyszłego spokoju prawdziwe cele twojego ojca zachowaliśmy w tajemnicy. Nikt w Gujaarehu nie wie, że król Eninket zamierzał zabić tysiące żołnierzy, by zyskać nieśmiertelność. A jednak tajemnice, które musiały wyjść na jaw, to znaczy morderstwo kisuańskiego ambasadora, torturowanie trzech zbieraczy, spiskowanie z Nordami, Kosiarz... – Pokręcił głową. – Przewiny Protektoratu to historia, na wpół zapomniana. Przewiny księcia to świeża rana. Nie możesz winić ludu za takie myśli.

„Właśnie że mogę – pomyślał Wanahomen ponuro. – Tyle że nic mi z tego nie przyjdzie”.

– Rozumiem.

– Nawet Protektorat musi mieć przywódcę. Sanfi jest na razie za młody, ale patrzy na to perspektywicznie.

– Kontakt z Sanfim nawiązałem rok temu. To naturalne, że już przedtem snuł takie plany – powiedział Wanahomen. Nawet on dostrzegł słabość własnych słów; zacisnął pięści i spochmurniał. *Co za plany, co za plany!* Niełatwo z nich zrezygnować. Czy człowiek złakniony władzy wyrzeknie się jej tylko dlatego, że pojawił się prawdziwy władca?

Nie. Nigdy tego nie zrobi.

„Jeśli poślubię Tiaanet, Sanfi zyska dzięki mnie wpływy. Potem mnie zabije i będzie twierdził, że chciał osadzić księcia na tronie, lecz niestety...”

Wartownik przyglądał mu się w milczeniu, niewątpliwie odczytując zamęt w głowie Wanahomena poprzez mowę jego ciała. Podobno potrafili robić takie rzeczy. Żeby mu to utrudnić, książę stanął wyprostowany.

– Drobne intrygi arystokracji są dla mnie niczym. Zapominasz, że ojciec od dziecka przygotowywał mnie do radzenia sobie z takimi sytuacjami.

Wartownik skłonił głowę.

– Jak sobie życzysz.

Podniósł z ziemi opończę i sakwę. Tę ostatnią przewiesił na ukos przez pierś.

– Poinformuj Charrisa, że nie musimy się już spotykać. Pozostań w Jej spokoju, Wanahomenie, synu króla.

Zostawił zwój na ziemi, tam gdzie rzucił go książę. Wanahomen łypnął na niego, ale wartownik spokojnie wyszedł i zaczął się wspinać ścieżką prowadzącą w górę. Może ukrył tam swojego wierzchowca.

„Niech sobie idzie. ”Synu króla,,! Mówi o przymierzu, a nawet nie tytułuje mnie jak należy!” – Wanahomen zagłuszył cichy głosik w głowie, szepczący, że w tej chwili tytuły nie mają znaczenia, a słudzy Hananji zawsze mówią prawdę. Zaczekał, aż kroki wartownika ucichną.

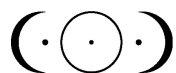
Potem podniósł zwój. Nie ośmielił się go zostawić w jaskini, żeby nie znalazły go nieodpowiednie osoby.

„Niech będą skazani na wieczne cienie. Nie potrzebuję ich. Wykorzystam Sanfiego tak, jak on chciał wykorzystać mnie, a potem osobiście go zabiję”.

Ale to nie spowoduje, że serce Tiaanet zwróci się ku niemu.

Wanahomen uciszył pomruk niepewności w myślach i schował zwój do kieszeni. Potem podszedł do Laye-ki, dając jej znak, by uklękła i pozwoliła mu się dosiąść. Po chwili zastanowienia, jaką drogę ma wybrać, ruszył przed siebie, pogrążając się w niespokojnych i ponurych myślach.

10. SONTA-I



Danneh z kasty kupców przyniesiono w palankinie do Hetawy rankiem w dzień Święta Młodego Piwa. Gwar placu wdarł się przez uchylone drzwi Sali Błogosławieństw, przez które weszli czterej praktykanci wartowników, niosący lektykę. Postawili ją na podwyższeniu i zdjęli baldachim, odsłaniając Danneh. Spała twardym snem, nerwowo poruszając się i wydając ciche jęki, jakby była w gorączce. Na jej twarzy perlił się pot. Gałki oczne pod zamkniętymi powiekami poruszały się frenetycznie, jakby kobietę dręczyło za dużo obrazów, zbyt szybko zmieniających się, by mogła nadążyć za nimi wzrokiem. Służąca Danneh, która zjawiała się razem z nią, zasłaniała usta ręką, walcząc ze łzami.

– Nie obudziła się? – Nhen-ne-verra, dyżurny dawca, ukląkł przy Danneh. Dziewczyna opanowała się, widać, jej pani dobrze ją wyszkoliła.

– Nie, dawco – powiedziała. – Kiedy wczoraj wróciłam do domu po tym, jak odniosłam wiadomość do Hetawy, już spała. Myślałam, że może w końcu znalazła spokój, ale gdy rano nie wstała, poszłam do jej sypialni i zastałam ją w takim stanie. Wiele razy starałam się ją obudzić.

Nhen-ne-verra skinął głową, wydymając usta. Podniósł powieki Danneh – Hanani zauważyła dziko przewracające się oczy kobiety – a potem otworzył jej usta, by powąchać oddech.

– Ostatnio nie przyjmowała posiłków ani napojów. Czy ma jakichś wrogów? Służąca spojrzała na niego z przerażeniem.

– *Nie takich, którzy chcieliby ją otruć!*

– Ja tylko eliminuję różne możliwości, moje dziecko. – Dawca odchylił głowę kobiety i pomasażował jej gardło, sprawdzając tętno i gruczoły, które mogły sygnalizować chorobę. Wszystko to stanowiło tradycyjny rytuał badania i, co Hanani wiedziała z całkowitą pewnością, w tej sytuacji było absolutnie bezcelowe.

Weszła na pierwszy stopień podestu.

– Bracie Nhen-ne-verra... Dawca nie podniósł głowy.

– Obowiązuje cię zakaz, praktykantko.

Hanani, rozgoryczona, zagryzła wargę, ale przemówiła łagodnie.

– Ta kobieta... – Przełknęła ślinę. – Spotkałam się z nią czwórdzień temu. To do mnie wysłała wiadomość. Bracie... – Przerwała, zaciskając pięści. Nie będzie błagała. Po prostu nie.

Nhen-ne-verra w końcu zerknął na nią przez ramię. W jego żyłach płynęła krew ludów ze wschodu, której zawdzięczał bladość skóry i długie proste włosy, na starość szokująco białe.

Jedynie oczy pozostały czarne i surowe jak u każdego shunhy.

– Doskonale. Ale nie wolno ci wejść do snu uzdrawiającego. Czy to jasne?

– Tak, bracie. – Szybko, zanim zdążył zmienić zdanie, przykucnęła po drugiej stronie łoża Danneh. Zerknęła na służącą i zniżyła głos: – Bracie, istnieje pewien sen...

– Tak, zwierzchnik poinformował starszych ze ścieżki dawców, do których należę. – Nhen-ne-verra uśmiechnął się lekko, widząc jej przerażenie. – Musisz przyznać, że to intrygujące. Mimo wszystko cieszy mnie szansa zbadania tego tajemniczego snu.

Hanani zadrżała, przypomniawszy sobie to lepkie wrażenie cienia ze snu, który dzieliła ze zbieraczem Nijirim.

– Bracie... – zaczęła, ale nie mogła powiedzieć tego, co chciała. „Uważaj” byłoby obelgą, sugestią, że traktuje go jako zbyt starego lub niekompetentnego. „Dayuhotem zginął przez ten sen” brzmiało jeszcze gorzej, bo Nhen-ne-verra miał ponad czterdzieści powodzi doświadczenia; nie można było porównywać go z dzieckiem.

Zagryzła więc tylko wargę i nie powiedziała nic więcej.

Ale on ją zrozumiał.

– Poradzę sobie, Hanani. Może sprowadź swojego mentora, jeśli w tej chwili nie ma sensnej zmiany. Rozsądek podpowiada, że przyda się tu drugi dawca na wszelki wypadek.

Bieganie na posyłki było zadaniem akolitów; Hanani poczuła gorzki smak upokorzenia. Ale mogła w ten sposób na coś się przydać, w tej chwili było to lepsze niż nic. Skinęła szybko głową i pobiegła na poszukiwanie Mni-inha.

Znalazła go w Sali Wartowników, gdzie właśnie kończył wykład na temat opatrywania ran. Zauważył ją, gdy wychodził z pokoju drzemek, prowadząc za sobą zaspanych chłopców, którzy niezwłocznie poszli na kolejną, przekazywaną we śnie lekcję.

– A, Hanani. Jeśli przysłaś... – Dopiero teraz ujrzał wyraz jej twarzy. – Co się stało? Słyszac jej wyjaśnienie, natychmiast spoważniał.

– Pójdę natychmiast. Znajdź akolitę i każ mu wezwać zwierzchnika.

Serce zabiło jej mocno.

– Zwierzchnika?

– I Yehamwy'ego, jeśli akurat nie uczy. – Zauważył jej przerażenie i westchnął. – Świadkowie, Hanani. Jeśli leczenie jest trudne, chcę, żeby to zobaczyli i uświadomili sobie, że Dayu nie był niekompetentny, tylko stanął przed czymś, co byłoby wyzwaniem nawet dla umiejętności doświadczonego dawcy. Wiem, że wolałabyś nie wykorzystywać przyjaciela, żeby udowodnić swoją rację...

Hanani pokręciła głową, usiłując się pozbyć irracjonalnego poczucia winy. Zbieracz Nijiri powiedział, że takie sposoby nie oczyszczą jej reputacji, ale rozumiała, że Mni-inh chciał spróbować. Miała też nadzieję, że mu się uda.

– Tego chciałby Dayu.

Mni-inh skinął głową i pobiegł do Sali Błogosławieństw. Hanani

złapała akolite, który wyszedł z lekcji jej mentora, i posłała go na poszukiwanie zwierchnika. Klasa Yehamwy'ego znajdowała się nieopodal w Sali Zbieraczy, więc Hanani pobiegła przez dziedziniec do najmniejszego z zabudowań, by osobiście zanieść tę wiadomość.

Ściany Sali Zbieraczy zostały wykonane z szarego marmuru, choć wszystkie inne budynki w Hetawie zbudowano z żółtobrazowego piaskowca. W korytarzach panował większy chłód, ciemność i cisza niż gdzie indziej w Hetawie, medytacyjna atmosfera dawała się odczuć wyjątkowo wyraźnie. Hanani zwolniła pomimo wzburzenia, bo pospieszne kroki brzmiały tu głośno i niespokojnie. Nie obawiała się, że będzie przeszkadzała zbieraczom, których cele znajdowały się na czwartej kondygnacji, z dala od hałasu i ruchu. Po prostu przyzwoitość nakazywała poruszać się tu z godnością, tak jak oni, przemawiać cicho jak oni i zachowywać się w sposób, który najbardziej podobał się Hananji.

Ale nie mogła sobie przypomnieć drogi do właściwej klasy. Usłyszała przed sobą głosy i poszła w tym kierunku.

– ...niebezpieczny od swojego ojca. – Tak mówił jeden z głosów. Przypominał jej te marmurowe ściany, ciemne, chłodne i szare.

– Jego życie było trudniejsze i miał więcej powodów do nienawiści.

– To prawda, powinniśmy go od razu sprawdzić – odezwał się inny, wyższy głos z nutką rozbawienia. – Ale nie jestem pewien, czy ten plan mi się podoba. Mieszkańcy pustyni nie potrafią zachowywać się spokojnie.

– Jeśli pozwoli, żeby któremuś z nich stała się krzywda, będziemy wiedzieć, co to za człowiek. – To powiedział młodszy, mniej pewny siebie głos. Idąca z tyłu Hanani skręciła i ujrzała przed sobą światło: blade promienie porannego słońca, padające na atrium. Kamienny Ogród, w którym zbieracze odbywali swoje prywatne modlitwy. Młodszy głos ciągnął: – Choć wtedy krzywda już się stanie.

– Nic na to nie poradzimy. – Gdy Hanani usłyszała czwarty głos, zatrzymała się przerażona. Należał on do zbieracza Nijiriego. Nie

powinna była usłyszeć tej rozmowy. – Nigdy nie zaufa żadnemu z nas. Ale ktoś młody, kto nie mógłby uczestniczyć w sądzie nad jego ojcem, ktoś, kto obudzi w nim uczucia opiekuńcze, nie strach...

– Milcz – rzucił nagle zimny szary głos. Na progu do atrium położył się cień, gdy wysoka chuda sylwetka zasłoniła światło. – Witaj.

Postać miała na sobie szatę z kapturem; Hanani przełknęła ślinę i pochyliła się nisko nad obiema rękami w przeproszającym geście.

– Wybacz, zbieraczu. Szu-szukałam nauczyciela Yehamwy’ego. Prowadzi lekcje w tym budynku.

– Tam. – Zbieracz wskazał głową kierunek, z którego przyszła. – Dlaczego go szukasz?

Hanani przełknęła ślinę.

– Do Sali Błogosławieństw przywieziono żonę tego zmarłego nosiciela daniny. Cierpi na ten sam sen, który zabił jej męża. – „*I Dayu*”. – Dawca Nhen-ne-verra stara się ją uleczyć. Mój mentor uznał, że być może... świadkowie...

Zbieracz zerknął w bok; nagle wokół niego zakrzętały się trzy inne postaci, czarne sylwetki na tle światła padającego z ogrodu. W jednym z nich rozpoznała Nijiriego, zanim – jak pozostali – nałożył kaptur.

– My będziemy świadkami – oznajmił chudy zbieracz. – Sądzę, że w tej roli spiszemy się lepiej niż nauczyciel Yehamwy, ponieważ potrafimy obserwować tak na jawie, jak i we śnie.

Prowadź.

Wobec tak kategorycznego tonu Hanani nie znalazła sposobu, żeby się sprzeciwić. Ale zbieracz miał rację; rzeczywiście, on i jego bracia byli o wiele bardziej stosownymi świadkami. Nikt nie odważyłby się zakwestionować ich oceny. Dlatego Hanani zaprowadziła ich do Sali Błogosławieństw, modląc się, by nie zauważyli jej zdenerwowania.

Ale przed podestem zatrzymała się, zaskoczona.

Nhen-ne-verra stał w pewnym oddaleniu od lektyki Danneh, zgarbiony, drżący, jakby dostał konwulsji. Mni-inh trzymał mężczyznę za ramiona, nie pozwalając mu upaść; jego twarz wykrzywiało niepokój.

Chudy zbieracz przemknął obok Hanani jak wąż, poruszający się wdzięcznie w precyzyjnie wybranym kierunku. Tatuaż, który zauważyła na jego ramieniu, przedstawiał wykłuty barwnikiem indygo kwiat mrocznika. To Sonta-i, najstarszy ze ścieżki.

– Co się stało? – spytał.

Nhen-ne-verra pokręcił głową bez słowa.

– Nhen-ne-verra usiłował zlokalizować duszę petentki – wyjaśnił Mni-inh. – Coś mu przeszkodziło.

Dawca zadrżał i znowu pokręcił głową.

– Nie było jej. Była... nie mogłem jej znaleźć. Ale odkryłem co innego. *O Bogini!* – Oderwał wzrok od Mni-inha i spojrzał na wielki posąg Hananji, wznoszący się nad ich głowami. Bogini wyciągała ręce w powitalnym geście. Nhen-ne-verra zrobił ruch, jakby chciał je chwycić.

Dłonie mu drżały.

– Nie stworzyłaś tego – szepnął. W jego głosie brzmiała gorączkowa, niepewna nutka, której Hanani nigdy wcześniej nie słyszała. Zerknęła na Mni-inha; on także był zaniepokojony. – *Żadne Twoje stworzenie takie nie jest!*

Zbieracz Sonta-i szybko podszedł do podestu i dotknął ramienia starego dawcy. Ten jęknął cicho i jakby omdlał; Mni-inh podtrzymał go i zaprowadził do stojącej z boku ławy.

Sonta-i spojrzał na służącą, która stała w pewnym oddaleniu, jej oczy były wielkie z przerażenia. Potem skupił uwagę na Danneh.

Do podestu zbliżył się kolejny zbieracz. Był wyższy od pozostałych, choć żółty szafrancznik na jego ręce wskazywał, że to najmłodszy ze ścieżki, Inmu.

– Bracie, czy jesteś pewien...

Ale zbieracz Rabbaneh położył mu rękę na ramieniu. Inmu spojrzał najpierw na niego, potem na Sontę-i, i ustąpił. Sonta-i ukląkł obok Danneh. Położył palce na jej zamkniętych oczach.

W tej samej chwili Hanani poczuła jakiś irracjonalny strach – irracjonalny, bo jakże mogła sądzić, że zbieracz boi się jakiegokolwiek snu? Mimo to zrobiła krok naprzód.

– Bracie...

Cztery głowy w kapturach obróciły się ku niej, choć zwracała się do Sonty-i.

– To się zdarzyło w krainie granicznej – powiedziała do niego. – Nie w Ina-Karekh, nie tutaj, w Hona-Karekh. Między nimi.

Zbieracz Nijiri przyjrzał jej się zmrużonymi oczami. Hanani wzdrygnęła się w duchu, zadając sobie pytanie, co jej strzeliło do głowy, żeby wyrywać się z taką uwagą. Ale zanim zdołała wyjąkać przeprosiny, Nijiri odwrócił się do Sonty-i. Żaden z nich się nie odezwał, ale i tak coś między nimi zaszło; wyczuwał to każdy, kto posiadał choćby odrobinę daru śnienia.

Sonta-i ledwie zauważalnie skinął głową i znowu skupił swoją uwagę na Danneh. Zamknął oczy.

Minęła chwila.

„*To się nie uda*” – szepnął jakiś głos w głowie Hanani.

Zanim zdołała się zdecydować, co powiedzieć, Sonta-i wydał cichy, zduszony dźwięk. Hanani zachłysnęła się i rzuciła biegiem na podest, ale Nijiri zatrzymał ją, chwyciwszy za ramię ręką mocną jak żelazne szczypce. Spojrzała na niego – patrzył z rozpaczą na Sontę-i. Obejrzała się na Rabbaneha, miał identyczną minę. Co się z nimi działo? Jeśli wyczuli to samo niebezpieczeństwo co ona, to dlaczego tego nie przerwą? Tylko Inmu spieszył się, napotkawszy jej spojrzenie, i odwrócił głowę, zaciskając mocno zęby.

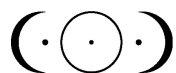
Sonta-i gwałtownie wciągnął powietrze, otworzył szeroko usta i oczy. Po jego twarzy przemknęło tyle emocji, jakich zwykle Hanani u niego nie widywała. Następowały po sobie w takim tempie, że nie potrafiła ich nawet nazwać.

– Jaka wściekłość... – szepnął. – Jaki smutek. Dotąd nie znałem takich uczuć. Co za ironia. – Zadrżał, a jego dłoń ześlizgnęła się z twarzy Danneh i oparła się o podłogę. Po raz pierwszy zobaczyła zbieracza wykonującego tak niezdarny ruch. Sonta-i skupił spojrzenie na tej ręce, najwyraźniej z wielkim wysiłkiem.

– Przestrzeń graniczna... Siła nie wystarczy. Dziecko, Nijiri. Dziki Śniący jest dzieckiem.

Niespodziewanie stracił równowagę i runął na Danneh. Zaskoczony Mni-inh przyskoczył i podniósł go, przy nim błyskawicznie znalazł się też zbieracz Rabbaneh. Ale ciało Sonty-i zwiśło bezwładnie w ich ramionach. Danneh także leżała bez ruchu. Oboje nie żyli.

11. ZDRADA



Od ścian wąwozu Merik-ren-aferu odbijały się ptasie nawoływania – sygnały strażników, tak wiernie naśladowujące naturę, że niebniki w gniazdach na gładkich skalnych ścianach rozglądały się, zaniepokojone pojawieniem się rywali.

Strażnicy od dawna obserwowali Wanahomena przez długie oczy, pewnie od chwili, gdy pojawił się na horyzoncie na grzbiecie Laye-ki. Gdyby zamiast niego ukazała się obca sylwetka – lub, co gorsza, wiele sylwetek – całe plemię znikłoby w porę z wąwozu. Pozostaliby tylko strażnicy, którzy powitaliby intruzów strzałami wycelowanymi w oczy. Banbarrowie nie słynęli z gościnności.

Ponieważ plemię oczekiwało jego przyjazdu, już u wejścia do wąwozu ukazały mu się oznaki zamieszkania. Przez luki w wysokich zaroślach ujrzął ukryte sady i grządki, oczywiście pielęgnowane przez niewolników z rolniczych plemion, gdyż żaden Banbarra nie zniżyłby się do babrania się w ziemi. W końcu pojawili się też przyczajeni wokół wąwozu wartownicy w szatach koloru skał, obserwujący go ze starannie zamaskowanych dołów. Ci, których mijał, kiwali mu poważnie głowami; wiedział, że są też tacy, których nie sposób dostrzec. Niedługo potem Laye-ka ryknęła radośnie na widok zagrody, w której odpoczywały wielbłądy i konie.

Wanahomen zsiadł i zajął się wielbłądzą. Wyczyścił ją i rozsiodłał przed odprowadzeniem do zagrody.

– Dziękuję za bezpieczny powrót – szepnął do niej, zdejmując uzdę, a ona stęknęła, jakby zrozumiała te rytualne słowa. Potem pobiegła truchtem do innych wierzchowców i zatrzymała się przy źłobie obok trzech wielbłądów. Ustąpiły jej miejsca z taką urazą, że

Wanahomen parsknął śmiechem.

Ten śmiech sprawił, że zza skały wychyliła się jeszcze jedna głowa w przekrzywionym zawoju, z odciśniętymi na policzku śladami poduszki.

– *Wana!* – Chłopiec rozpromienił się, skoczył na równe nogi i podbiegł do niego. – Nie słyszałem, kiedy przyjechałeś.

– Tak, a gdybym był złodziejem, już byśmy stracili wierzchowce – zadrwił Wanahomen.

Zarzucił juki na ramię, wziął się pod boki i spojrzał na chłopca surowo. – Co z ciebie za strażnik, skoro śpisz na warcie?

Tassa spuścił wzrok, zawstydzony.

– Zdrzemnąłem się tylko na chwilę. W nocy nie spałem, bo czekałem na ciebie.

– Coś mnie zatrzymało – mruknął Wanahomen. Pojechał rzadziej używanym górskim szlakiem, by nie natknąć się na kisuańskich żołnierzy. – Powiedz, czy Charris prosił dziś o konia?

– Twój niewolnik? – W głosie Tassy zabrzmiała typowa banbarryjska pogarda dla niższych istot. – Nie. Pozwalasz mu się oddalać samemu?

„Pozwoliłbym, zanim mnie zdradził”.

– Dopilnuj, żeby nie wziął żadnego, dopóki z nim nie porozmawiam. I tym razem nie zaśnij.

Wanahomen zmierzwił Tassie włosy, odpowiedział uśmiechem na jego nieśmiały uśmiech i wspinał się po sznurowej drabince na wyższą skalną półkę.

Na kilku najwyższych i najszerszych występach rozłożono banbarryjskie obozowisko – gęszcz misternie zdobionych namiotów i kręgów ognisk. W razie alarmu wszystkie te namio ty można było zwinąć w parę minut (i tak by się stało, gdyby zaistniała konieczność). Obecnie jednak plemię odpoczywało, przygotowując się do następnej bitwy w niewypowiedzianej wojnie z Kisuą. Wanahomen skinął głową, mijając mężczyzn, którzy plotkowali przy

wymienianiu lotek strzał i ostrzeniu mieczy. Choć pozdrawiał także kobiety, zajęte szyciem skórzanych napierśników i butów – gujaareński nawyk, którego nie potrafił się wyzbyć – one nie odpowiadały, a kilka nawet nie raczyło spojrzeć w jego stronę. Odchodząc, czuł na plecach ich spojrzenia.

W końcu dotarł do dużego ładnego namiotu z ciemnobrązowej wielbłądziej skóry. Na tyczkach u wejścia były wyrzeźbione gujaareńskie piktogramy, a nad klapą znajdował się herb: słońce i promienie Aureoli Zachodzącego Słońca, symbol rodu Wanahomena. Prawdziwa Aureola, przechowywana gdzieś w okupowanym przez Kisuan Gujaarehu, miała kształt półkola wykonanego z kutego złota, otoczonego tarczami z czerwonego i żółtego bursztynu. Ta nad namiotem została wyrzeźbiona z marmuru, zaś promienie wykonano z ciemnego i jasnego polerowanego drewna. Gustowna, a jednocześnie cenna w banbarryjskim rozumieniu – lecz nawet po dziesięciu latach Wanahomen uważał ją za nędzną imitację oryginału.

– Wejdiesz? – rozległ się głos jego matki.

Wanahomen drgnął, nie tylko z zaskoczenia. Opanował się, uniósł klapę i wszedł do środka.

– Wybacz, matko. Zamyśliłem się.

Hendet, żona gujaareńskiego króla-we-śnie, leżała na pościeli z plecionej trzciny, grubo wyścielonym futrami, podparta dwiema poduszkami z frędzlami. Odłożyła zwój na leżący na ziemi dywan i wyciągnęła ramiona.

– Jakiś ty podobny do ojca – westchnęła, gdy Wanahomen przykląkł przy niej. – Zawsze tylko rozmyślasz i rozmyślasz. Nad czym tym razem?

Jej niski jak na kobietę głos, ochryply i zwykle silny, brzmiał bardzo cicho. Teraz Hendet mówiła z trudem, jakby coś ją blokowało. Nie mógł nie zauważyć jej szczupłości ani wyschniętej jak pergamin skóry.

– Nad wieloma sprawami – odpowiedział, zmuszając się do

uśmiechu. – Jesteś piękna jak zawsze.

– Nauczyłam cię lepiej kłamać – odparła Hendet z udawaną surowością. Zaskoczyła go tak, że rozeźmiał się szczerze i na chwilę zapomniał o strachu, bo skoro czuła się na tyle dobrze, by żartować, istniała jakaś nadzieja. – Unte powiedział, że atak się udał.

Przytaknął i spoważniał. Zdjął zasłonę i zawój, żeby mogła zobaczyć jego twarz.

– Powiedz, matko, gdzie jest Charris.

Otworzyła usta, żeby przemówić, ale zauważywszy wyraz jego twarzy, obrzuciła syna drugim, bardziej chytrym spojrzeniem.

– Kazałam mu załatwić pewną sprawę – powiedziała w końcu.

– A żeby... – urwał, zanim zdążył wybuchnąć, bo matka była Gujaarenką i nigdy by mu tego nie wybaczyła. Zacisnął mocno pięści. – Kazałaś mu negocjować przymierze z Hetawą?

Hendet obrzuciła go chłodnym wzrokiem, który palił jak policzek.

– Tak, kazałam mu sfinalizować przymierze z Hetawą. Unte zgodził się na jej warunki, choć jednym z nich był ten, że mają się spotkać z tobą przed przypieczeniem umowy.

– *Unte!* I ty... – Wanahomen wstał i zaczął krążyć po ciasnym namiocie, oddychając głęboko, żeby złagodzić łomot w skroniach. Gdy w końcu poczuł, że może się znowu porozumiewać w cywilizowany sposób, zatrzymał się i spojrzał na matkę. – Oni zabili mężczyznę, którego kochałaś. Wykorzystywali go i dręczyli, a magię Bogini skalali dla żądzy władzy... – Urwał, ponieważ Hendet patrzyła na niego z desperacją i smutkiem, tak, jakby ją zawiódł.

– Jakże przypominasz ojca – stwierdziła łagodnie. Zamilkł, zaskoczony. – Spisałeś się dobrze, bardzo dobrze mimo tego, co się wydarzyło. Jestem z ciebie dumna i wierzę w ciebie. Ale w tej kwestii – jej głos stał się zimny jak wody oceanu – potrafisz się zachowywać jak głupiec.

Wzdrygnął się.

– Co?

– Gujaareh został zbudowany na czterech potęgach. – Wzrok Hendet stał się twardy jak kamienie. Wanahomen mimo woli był urzeczony tym, że pomimo choroby matka nie straciła swej drapieżności; nadal miała duszę królowej, choć ciało ją zdradziło. Ale jej słowa... – Rzeka, kasty, wojsko i Hetawa. Ci kapłani, których tak nienawidzisz, kształcą naszą młodzież, dbają o zdrowie i przyjemności ludu, działają w obronie sprawiedliwości... i mają dostęp do magii, Wanahomenie. Tej potędze nie dorównuje nic w świecie jawy. Nawet jeśli odzyskasz tron, bez ich pomocy, Gujaareh nie będzie należał do ciebie.

– Kasta wojskowych obiecała mi towarzyszyć w ostatecznej bitwie – odparł Wanahomen z uporem – a teraz mam też poparcie arystokracji. Zawarłem umowę z shunhą Sanfim. Prosty lud powita mój powrót...

– *Nieprawda! Nie bez poparcia Hetawy!* Wanahomenie, przecież masz rozum. – Westchnęła i wyciągnęła do niego rękę. Odetchnął przeciągle, ze złością, ukląkł u boku matki i ujął jej dłoń. Pogłaskała go, mówiąc: – Twój ojciec nauczył cię mądrości; ignorowanie Hetawy nie jest mądre. Nie ufasz jej, i nie powinieneś. Ja także pamiętam o jej zbrodniach. – Teraz jej twarde spojrzenie stało się jakieś odległe, nieprzystępne; jej gniew był skierowany gdzie indziej.

– Ale nawet ja wiem, że jest to konieczne.

Odwrócił wzrok w niemym buncie. Kobieta westchnęła.

– Kiedy odzyskasz tron, zawrzesz ugodę z Kisuą, prawda? A przecież jej nienawidzisz. By nagrodzić Banbarrów za ich pomoc, przyznasz im przywileje handlowe, jakimi nie cieszy się żaden inny naród, co rozgniewa kastę kupiecką – ale i tak to uczynisz, bo Gujaareh jest zbyt słaby, by prowadzić kolejną wojnę. Nieprawdaż?

Wanahomen zacisnął zęby.

– To co innego.

– Dlaczego? Zbieracz, który zamordował twojego ojca, spiskował z Kisua. A arystokraci, z którymi tak chętnie zawarłeś przymierze... kogo poparli, kiedy twój ojciec zginął, a nasza trójka rozpaczliwie potrzebowała pomocy? Zostawili nas na pewną śmierć. – Matka westchnęła i pogłaskała go po głowie. – To niezaprzeczalny fakt: nie możesz ufać żadnemu z naszych sprzymierzeńców, mój synu. Dla króla ufność jest niedostępnym luksusem. Podobnie jak nienawiść, która zagłusza zdrowy rozsądek.

Nie chciał przyjąć do wiadomości, że matka ma rację. Sama myśl o współpracy z Hetawą sprawiała, że w ustach czuł gorzki smak poczucia winy i zdrady. Co by pomyślał jego ojciec, gdyby wiedział, że Wanahomen sprzymierzył się z ludźmi, którzy go zabili?

„*Że robię, co muszę*” – nadeszła odpowiedź; skłonił głowę na znak zgody.

Pogładziła jego warkocze.

– Dobrze. Powiedz teraz, skąd się dowiedziałeś.

– Spotkałem w górach kapłana, wartownika. Dał mi to. – Wanahomen wyciągnął spomiędzy fałdów ubrania zwój.

– I nawet go nie otworzyłeś? No, przynajmniej go nie wyrzuciłeś. Co tam napisano?

Wanahomen wyciągnął nóż, przeciął węzeł pieczęci i rozwinął zwój. Zaczął gło śno odczytywać piktogramy.

Do Wanahomena, wybranego następcy króla Eninketa (oby wiecznie żył w Jej spokoju) – bądź pozdrowiony.

Twoja prośba o spotkanie została zaakceptowana. Reprezentant będzie czekał w miejscu przekazania tego zwoju czwartego dnia ósmego miesiąca żniw o zachodzie słońca. Do czasu tego spotkania od ciebie i twoich sprzymierzeńców wymagane jest powstrzymanie się przed dalszymi atakami na naszego wspólnego wroga.

W tekście nie było piktogramów podpisu. Wanahomen spochmurniał i rzucił zwój na podłogę. Znowu zaczął krążyć po namiocie.

Hendet podniosła list. Wanahomen pohamował nieco swój gniew, widząc jak bardzo trzęsą się ręce matki. Szybko ukryła to, kładąc zwój na kolanach.

– Musisz natychmiast powiadomić Unte – powiedziała.

– Nie planowałem dalszych ataków ze względu na zbliżające się spotkanie podczas święta przesilenia – odparł Wanahomen, marszcząc brwi w zamyśleniu. – To zbieg okoliczności, ale kiedy inni przywódcy plemienia usłyszą o tej „prośbie”, uznają, że płaszcę się przed Hetawą. – Zamilkł, rozważając problem. – Mógłbym ją zignorować...

– Nic podobnego – fuknęła Hendet. – Wiesz równie dobrze jak ja, że to nie prośba, lecz warunek przymierza. Unte to zrozumie.

– Nie Unte jest tu problemem – rzucił, a potem opowiedział jej o zamordowanym gujaareńskim żołnierzu i swojej decyzji, by zabić Wuddzеха. – To był akt buntu – skończył. – Wyraźnie zakazałem zabijania Gujaareńczyków, a on z premedytacją złamał mój rozkaz.

– Zatem słusznie go ukarałeś – odrzekła Hendet. – Choć niefortunnie się złożyło; klan Wuddzеха... – Urwała nagle, wyraźnie zmęczona. Odchyliła się na poduszki, by złapać oddech.

– Ma wielki wpływ na Banbarrów. Spróbuje... spróbuje obrócić to plemię przeciwko tobie.

– Wiem – mruknął ponuro. Nagle to wszystko stało się nieznośne: Banbarrowie, choroba matki, po trzykroć przeklęta Hetawa. *„W środku tego wszystkiego tkwią kapłani – pomyślał markotnie. – Gdyby nie zbieracze, ojciec by żył, Kisua byłaby najnowszym gujaareńskim terytorium, a mój największy problem stanowiłoby uwiedzenie Tiaanet. Ale czy zechciałaby mnie, gdyby mój ojciec nadal zasiadał na tronie?”* – nawiedziło go nagle brzydkie podejrzenie.

Nie ma sensu torturować się teraz takimi myślami.

– Musisz wypocząć – powiedział matce.

– Czuję się dobrze – odparła, ale nie protestowała, kiedy pomógł jej się położyć na wznak. Sama uległość stanowiła dowód złego samopoczucia: matka słuchała go tylko wtedy, gdy cierpiała.

Żołądek ścisnął mu się na myśl, co będzie, jeśli wkrótce jej stan nie ulegnie poprawie. Banbarrowie przez część roku prowadzili wędrowny tryb życia i nie zamierzali dłużej pozostawać w Merikren-afery. Po przesileniu sześciu przywódców plemion zbierze się i zdecyduje, czy poprzeć wojnę Wanahomena. Ale bez względu na to, czy wojna wybuchnie, czy nie, czy zostanie wygrana, czy przegrana, plemię rozpocznie długą podróż przez Pusty Tysiąc na zachodnie wybrzeże kontynentu, gdzie będzie handlowało i bogaciło się na sprzedaży towarów, które zrabowało lub wytworzyło w ciągu roku. Przez lata spędzone wśród Banbarrow Wanahomen wiele razy odbył wiosenną podróż przez pustynię i poznał jej surowe warunki; starzy i chorzy często nie dożywali jej kresu.

„Zatem muszę podbić Gujaareh przed nastaniem wiosny”. Wanahomen otulił matkę kocami, pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Śnij dobrze – szepnął. – W Jej spokoju.

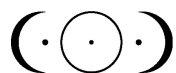
– Ty także, mój synu – odpowiedziała i zamknęła oczy.

Nie wspomniał jej o obrazach, które od paru tygodni nawiedzały jego sny; o ojcu, toczonym zgnilizną, o rozkładzie jego własnego ciała i o strasznej lawinie zła, która groziła zalaniem Gujaarehu. Matka dostrzegłaby w tych snach zły omen i może miałyby rację.

Ale co z tego, skoro nie było odwrotu? Dlaczego miałyby się martwić o senne mary, skoro lęków w świecie jawy wystarczyłoby mu na tysiąc snów?

Zatem ułożył się na futrach obok posłania matki i przyglądał jej się, aż zasnęła. Gdy przeniosła się na noc do Ina-Karekh, wstał i wyszedł, by zaplanować następny etap wojny.

12. DRUGI TEST



Zgodnie z nakazami Prawa i Mądrości ciała zmarłych przechowywano przez jakiś czas. Nikt nie wiedział, jak długo trwa ostatnia podróż do Ina-Karekh bez asysty zbieracza; najgenialniejsi nauczyciele debatowali nad tą sprawą od stuleci – bez rezultatu. Panująca opinia głosiła, że istnieje pewna możliwość, iż zbyt szybkie zniszczenie ciała może wytrącić duszę z równowagi i rzucić ją w krainę cieni. Oczywiście kobiety, jako boginie samodzielnie poruszające się po Ina-Karekh, nie były narażone na taki los; ich ciała przechowywano kurtuazyjnie przez jeden dzień, choć dziewczętom przed pierwszą miesiączką przysługiwały dwa dni, gdyż ich kobieca moc nie była dostateczna. Jednakże mężczyźni nie mieli ich daru, dlatego Prawo nakazywało przechowywać ich zwłoki co najmniej cztery dni po śmierci, a nawet dłużej, jeśli pozwalały na to balsamowanie ciała i sarkofagi. Jedyne wyjątek stanowiły zwłoki z piętrem zbieraczy i wszelkie inne, których dusze bezpiecznie trafiły do świata snu.

Ciało zbieracza Sonty-i spalono dwa dni po jego śmierci. Nie złożył Ostatniej Daniny; nikt nie znał stanu jego duszy ani nawet nie wiedział, czy dusza nadal istniała. Jednakże jego ciało poddano kremacji, tak jakby umarł w stosowny, zdrowy sposób, bo w przeciwnym wypadku pojawiłyby się pytania, na które Hetawa nie mogła i nie ośmieliłaby się odpowiedzieć. Najmniej kłopotliwe brzmiałoby: „*Jak umarł?*”. Te, które nastąpiłyby po nim, byłyby o wiele, wiele gorsze: „*Co go zabiło? Jak Hetawa może położyć temu kres?*”. A odpowiedź na to ostatnie pytanie – „*Nie wiemy, nie możemy nic zrobić*” – zakłóciłaby spokój całego miasta.

Do tego czasu bowiem pojawiło się pięć nowych ofiar.

Hanani stała w progu Sali Wytchnienia, jednego z budynków przydzielonego ścieżce dawców. To właśnie tutaj wykonywano najtrudniejsze i najbardziej przykre rytuały magii leczniczej. Uważano, że większość pokazów działania magii wzmacnia wiarę ludu, lecz niektóre metody leczenia wymagały okaleczenia lub złamania kończyn, wydobywania dzieci z łona matek lub nawet czegoś gorszego. To nie dotyczyło danego przypadku, ale widok pięciu bezbronnych śniących i tak był niepokojący, ponieważ bardzo niewiele można było dla nich zrobić.

Kilku starszych dawców chodziło wśród łóżek w sali, badając i doglądając śniących, jak tylko potrafiło. Stojący obok Mni-inh rozmawiał cicho z grupką ludzi z zewnątrz, pewnie z rodzinami ofiar, jak domyśliła się Hanani. Ciekawe, co takiego mógł im mówić?

Dziewczyna odwróciła się w stronę głównego dziedzińca; stos pogrzebowy Sonty-i w końcu się rozsypał. Śniąca Luna weszła wysoko na niebie; stos zapłonął o zachodzie słońca. Przyglądała się mu garstka żałobników, jednak kiedy się zawalił, zaczęli się rozchodzić pojedynczo i parami, jakby uznali to za jakiś sygnał. Nikt się nie odzywał. Nikt nie płakał. Może dlatego, że skoro dusza zbieracza znajdowała się w niewiadomym stanie, nikt nie wiedział, jak się zachować.

– Witaj.

Głos nauczyciela Yehamwy'ego. Fakt, że Hanani nie poczuła strachu, który odczuwała w obecności tego mężczyzny, świadczył o jej przygnębieniu. Ale może i on czuł się tak jak ona, bo w jego oczach nie zauważyła zwyczajnej niechęci.

– Witaj, nauczycielu. – Skłoniła przed nim głowę i zerknęła za odsuniętą kotarę Sali Wytchnienia. – Nie weszłam tam.

Yehamwy spojrział z roztargnieniem na wejście do sali, jakby dopiero teraz ją zauważył, i westchnął.

– Cóż. W tych okolicznościach wydaje się jasne, że śmierci

chłopca nie dało się przewidzieć. Rano powiadomię Radę, że cofnąłem zakaz. Jestem pewien, że się zgodzą.

I już? Hanani wpatrywała się w niego w osłupieniu, zbyt wstrząśnięta, żeby coś powiedzieć. Ale potem wiatr zmienił kierunek i przywiał zapach stosu – kadzidła, wonnej żywicy oraz charakterystyczny odór zwęglonego ciała – i radość, którą mogłaby poczuć, ulotniła się bez śladu. Wkrótce znowu pozwolą jej leczyć. Ale co z tego, skoro nawet sny zmieniły się w truciznę? Nie potrafiła się zmusić, żeby podziękować Yehamwy’emu.

Nauczyciel i tak nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w resztki stosu. Miał na sobie oficjalne brązowe szaty nauczyciela, co znaczyło, że prawdopodobnie był obecny na pogrzebie Sonty-i.

– Kiedyś uważałem cię za największe zagrożenie naszego sposobu życia – odezwał się, nie odrywając spojrzenia od tego, co pozostało po stosie.

Hanani drgnęła, zaskoczona.

– Mnie?

– Ciebie. Byłaś żywym dowodem naszej kapitulacji przed Kisuanami i ich „doskonalszymi” obyczajami. – Westchnął. – Ich kobiety nie są boginiami, tylko słabymi śmiertelnymi istotami, które wykonują taką samą pracę jak mężczyźni, i tak samo cierpią. Ich służący to towar, który można kupić i sprzedać, ich starsze pokolenie to brzemię, budzące niechęć... nie chciałem tego dla Gujaarehu. – Powoli pokręcił głową. W jego oczach pełgały płomienie stosu. – Ale ostatecznie jesteś głupią niedoroślą dziewczyną i nigdy nie poznasz prawdziwej kobiecości. Jeśli chcesz uzdrawiać, dlaczego mam ci tego zabronić? Jesteś niczym w porównaniu z prawdziwymi niebezpieczeństwami tego świata.

Odwrócił się od stosu i od niej.

– Przypuszczam, że Bogini uznała za stosowne przypomnieć nam o tym.

Odszedł. Hanani patrzyła za nim tak długo, aż jego brązowa szata wtopiła się w mrok.

„Nigdy nie poznasz prawdziwej kobiecości”. Co to miało znaczyć?

– Hanani?

„Jesteś niczym”.

Czuła się jak pobita. Sylaby imienia odbijały się echem w jej głowie. Nic dla niej nie znaczyły. Odwróciła się do Mni-inha, który stanął w wejściu do sali. Wydawał się bardzo zmęczony.

– Powinnaś stąd iść – powiedział. – Nie możesz nic zrobić.

Przez chwilę, spodziewając się dalszych ciosów, wydawało jej się, że Mni-inh usłyszał ostatnie słowa Yehamwy’ego i że się z nimi zgodził. Ale potem jej mentor westchnął ciężko.

– Nikt nie może.

Z trudem skupiła skołatany umysł na teraźniejszości.

– Sonta-i... To dlatego to zrobił, prawda?

Mni-inh przytaknął.

– Ktoś musiał spróbować. Zbieracze są najsilniejszymi narkomantami w Hetawie. Jeśli tę istotę można by pokonać magią...

– Westchnął. – No, teraz wiemy, że nie.

„Może to wszystko mi się śni” – pomyślała Hanani.

Minione dni miały w sobie coś ze snu, jakieś nieustanne poczucie nierealności, której jej czuwający na jawie umysł nie potrafił uchwycić. Na jawie złe sny nie zarażały dusz jak choroba, a zbieracze nie umierali z tego powodu. Na jawie żadnego akolity nie spotkała śmierć, zwłaszcza jeśli był mądry, piękny i kochany.

Na jawie kobiety same były boginiami, nie służącymi Bogini.

Zmusiła się do uwagi. Mni-inh wyglądał na tak samo zmęczonego, jak i ona; troska o niego odwróciła jej uwagę od własnego nieszczęścia.

– Powinieneś odpocząć, bracie.

– Wiem. Ale... nigdy dotąd nie czułem się tak bezradny. Nie przywykłem do tego. – Potarł oczy i westchnął. – O... a niech to, niemal zapomniałem. Zbieracz Nijiri powiadomił mnie dzisiaj, że

jutro wyjeżdżamy.

– Wyjeżdżamy?

– Tak. Gdzieś na pustynię, więc włóż na swoje zwykłe odzienie strój oficjalny, osłoni cię przed słońcem. Przygotowano dla nas wierzchowce i zapasy żywności. Wyjeżdżamy w południe przez bramę Domu Dzieci.

Na jawie dawcy nie opuszczają Gujaarehu. Hanani zmarszczyła brwi.

– Z jakiego powodu?

– Nijiri powiedział, że wiesz. – Mni-inh, ożywiony zaciekawieniem z jej strony, nagle wydał się mniej zmęczony.

Próba Nijiriego. Już? Choć Sonta-i nie żyje, a zła magia grozi miastu?

– Mówił tylko o zadaniu, które mam dokończyć – powiedziała – ale nie podał żadnych szczegółów. Pierwotnie chciał je powierzyć tobie, ale zmienił zdanie.

Mni-inh zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– *Na nieskończone senne krajobrazy!* Co mu chodzi po głowie? – Westchnął. – Ten chłopak sprawia kłopoty jak żaden ze znanych mi zbieraczy. Ehiru chyba nie zdążył mu tego wybić z głowy.

Mni-inh zamknął drzwi Sali Wytchnienia i stanął obok Hanani. Stos pogrzebowy zapadł się jeszcze bardziej. Oboje patrzyli, jak wielki kłęb iskier bucha w górę i wiruje w mroku. Potem Mni-inh dotknął ramienia Hanani i oboje w milczeniu wrócili do Sali Dawców.

Gdy następnego dnia Hanani zjawiała się na dziedzińcu Domu Dzieci, ujrzała niespodziewanie liczne zgromadzenie. Na schodach stał zwierzchnik, śledzący przygotowania do odjazdu. Wartownik Anarim naradzał się ze swoim równie poważnym praktykaniem i trzema innymi braćmi, których Hanani nie znała. Mni-inh patrzył bojaźliwie na świeckiego sługę Hetawy, który usiłował mu wyjaśnić, jak się wsiada na konia. Zakapturzony zbieracz Nijiri siedział już

w siodle, zapatrzony w dal. Nie spojrzął na Hanani. Odruchowo podeszła do mężczyzny i dotknęła jego dłoni. Drgnął i spojrzął na nią w skupieniu.

– Opłakujesz Sontę-i? – Jeszcze czwórdzień wcześniej nigdy nie odważyłaby się zadać zbieraczowi tak osobistego pytania. Ale potem ujrzała jego prawdziwą postać w sennym krajobrazie i widziała, jak wysłał swojego brata na śmierć. Tamtego dnia zobaczyła w twarzy Nijiriego, ile go to kosztowało.

Zbieracz uśmiechnął się niewesoło.

– Powinnaś zostać zbieraczką.

Spuściła wzrok, zadowolona, choć nie było to bynajmniej taktowne; wiedziała, jak Yehamwy i podobni do niego reagowali na jej obecność wśród dawców, nie potrafiła jednak sobie wyobrazić, jaka wrzawa – aczkolwiek pełna spokoju – podniosłaby się, gdyby wybrała ścieżkę zbieraczy.

– Nie posiadam twojej siły.

– Nie jestem silny. – Zanim zdążyła zareagować bardziej niż zdziwieniem, westchnął i pogłaskał kark swojego konia. – Kolejna wyprawa na pustynię. Ostatnim razem... – Milczał przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami. – No cóż. Wspomnienia potrafią być jednocześnie słodkie i bolesne.

Nie umiała sobie wyobrazić, czego zbieracz szuka na pustyni. Ale zanim zdołała sformułować to pytanie w taktowny sposób, Mni-inh zauważył ją i przywołał do siebie.

– Niech ten jegomość nauczy cię, jak dosiadać tych bestii – polecił, wskazując głową sługę, po czym po raz kolejny spróbował bezskutecznie wspiąć się na koński grzbiet. Zwierzę parsknęło i odsunęło się na bok, a Mni-inh wylądował na ziemi. Zirytowany, klepnął mocno w siodło. – *Ja też nie chcę na tobie jechać!*

Sługa, dokładając wszelkich sił, by się nie uśmiechnąć, zachęcił:

– Próbuj dalej, panie.

Odwrócił się do Hanani i znieruchomiał. Dziewczyna czekała

cierpliwie; po chwili mężczyzna oprzytomniał i szybko skłonił się przepaszająco nad jedną ręką. – W ten sposób, eee... dawczyni.

– Dawco – poprawiła z uśmiechem. – Choć ten tytuł też mi się nie należy. Jestem tylko praktykantką.

– Rozumiem – odrzekł, jeszcze bardziej zaskoczony, ale z uśmiechem. – Dosiadałaś kiedyś konia?

– Tak. – Zauważyła zdziwione spojrzenie Mni-inha. – Ale to było dawno temu.

– Pewnych rzeczy się nie zapomina. Wiesz, co masz robić?

Skinęła głową z uśmiechem, gdy przyprowadził jej konia. Było to przepiękne płowe stworzenie, mniejsze niż pozostałe, z inteligentnym spojrzeniem.

– Jak się nazywa?

– Dakha – powiedział sługa, wyraźnie zadowolony. – Płynie w niej również banbarryjska krew, ale przebaczysz jej to, gdy ujrzysz, jak sobie radzi z pagórkami.

Hanani skinęła głową, pogłaskała klacz i podeszła do niej z boku. Strzemiona zwisały nisko, by niedoświadczony jeździec mógł dosiąść konia. Była za to bardzo wdzięczna ze względu na swój niski wzrost i brak doświadczenia. Ale jak się okazało, pewnych rzeczy się nie zapomina, dziewczyna wskoczyła na siodło tak płynnie, jak ostatnio czternaście lat temu. Sługa gwizdnął z podziwem.

– Na pustyni dobry koń potrafi uratować życie – powiedział, uśmiechając się do niej. – Banbarrowie traktują swoje wierzchowce jak rodzinę, wiesz? Nadają im imiona zmarłych dzieci, obwieszają je klejnotami i tak dalej. Dlatego dobrze traktuj tę piękność.

Hanani uśmiechnęła się, zachwycona, i podrapała Dakhi po karku. Klacz wygięła szyję z lubością.

– Tak uczynię, panie.

Kątem oka zobaczyła, że do wierzchowca Nijiriego podchodzi zwierchnik.

– Jesteś tego pewny? – spytał zbieracza. Mówił cicho; Hanani

usłyszała go tylko dlatego, że znajdowała się blisko.

– Nie. – Smutek, który zabrzmiał w głosie Njiriego, zniknął, zastąpił go spokój zbieracza.

– Ale jestem pewien, że jeśli nic nie zrobimy, będziemy zgubieni.

Zwierzchnik tylko westchnął. Hanani nie ośmieliła się na nich spojrzeć. Dlatego popatrzyła na wartownika Anarima, który uniósł rękę, prosząc o uwagę.

– Opuścimy miasto przez wschodnią bramę – obwieścił. – Jest rzadko używana, co służy naszym celom, gdyż nie chcemy być zauważeni przez Kisuan; będziemy musieli okrążyć całe miasto, zanim udamy się na południowy zachód. Dotarcie do gór zajmie nam dwa dni, przeprawa przez nie kolejny dzień. – Zmierzył spojrzeniem Njiriego. – Zdążymy na czas.

Zbieracz skłonił głowę. Hanani znowu zastanowiła się nad tym, co zaplanował.

– Będziemy jechać parami – ciągnął Anarim. – Nawet na gujaareńskich ziemiach musimy mieć się na baczności. Im bardziej oddalimy się od miasta, tym więcej niebezpieczeństw nas czeka. Ja i Dwi będziemy prowadzić. – Skinął głową swojemu praktykantowi, który odważnie przytaknął, ale przeczyło to jego udawanemu spokojowi. – Wartownik Kherkhan i zbieracz Nijiri pojedą z tyłu, wartownicy Emije i Lemuneb będą strzec grupy z flanków. W razie kłopotów dawcy mają się nas trzymać.

Hanani rzuciła szybkie, zmartwione spojrzenie na Mni-inha; jej mentor był równie zaniepokojony, co ona. Owszem, przyszła na świat na wsi, lecz od chwili wstąpienia do Hetawy nie przekroczyła miejskich bram. Wiedziała, że Mni-inh urodził się w mieście i prawdopodobnie nigdy go nie opuścił.

Mni-inh westchnął z desperacją.

– A niech to, Nijiri. Staralem się być cierpliwy, ale dość tego. Kiedy nam wyjaśnisz, co to wszystko znaczy?

Nijiri uśmiechnął się, jakby spodziewał się tego pytania.

– Jedziemy na spotkanie z przyjaciółmi. Przynajmniej mam nadzieję, że to przyjaciele.

– Masz nadzieję...?

– Zorientujemy się, jeśli nas nie zabiją. O ile w ogóle się pojawią.

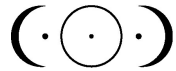
Mni-inh skamieniał. Nadal uśmiechnięty Nijiri skinął na Anarima, a ten zawróciwszy swojego wierzchowca ruszył w stronę bramy, którą za pomocą kołowrotu podniosło czterech akolitów.

– Ty pierwszy – zwrócił się do Mni-inha.

Dawca zaklął pod nosem i ostrożnie popędził swojego konia, pisnąwszy panicznie, kiedy ten ruszył z miejsca.

Potem przyszła kolej na Hanani. Dakha ruszyła kłusem, jakby nie mogła się doczekać spotkania z tym, co ich czekało.

13. PRZYMIERZE



W ogrodzie Kite-iyana czaił się lampart. Książę go nie widział, ale miał pewność, że zwierzę tam jest. Jako następca tronu miał obowiązek znaleźć i zabić drapieżnika, zanim skrzywdzi jego matkę i rodzeństwo.

– Wana.

Starając się stąpać przez ogród bezszelestnie – nogi miał krótsze, zawsze był cichym dzieckiem – uniósł dzidę i...

– *Wana! Obudź się, człowieku!* Nie czas na sny na jawie.

Wanahomen podniósł głowę i przekonał się, że lampart ma ludzką twarz. Unte. „*Muszę cię zabić*” – pomyślał.

Potem Unte znowu stał się sobą, a Wanahomen spojrział w stronę, którą wskazywał jego palec.

Kamienistą ścieżką, biegnącą przez tę część przedgórza, zbliżało się ośmiu jeźdźców. Ze znajdującej się wysoko nad nimi półki, na której Wana czekał, siedząc na koniu, wraz z resztą Banbarrów, widać było tylko fałdziste zakapturzone szaty: pięć czarnych, dwie krwistoczerwone i jedna w kolorze wypłowiałych na słońcu kości. Ta ostatnia go zaniepokoiła.

– Hetawa? – spytał Unte.

Wanahomen przytaknął.

– Ci czarni to wartownicy, kapłani-wojownicy, groźni nawet bez broni, a uzbrojeni – przerażający. Ten jasny to zbieracz. – Odślonił zęby w grymasie obrzydzenia; nie potrafił się opanować. Nie spodziewał się, że Hetawa przyśle tu zbieracza. Po co? Żeby go osądzić? I wykonać na miejscu egzekucję, jeśli uznają to za

stosowne? Mocniej zacisnął ręce na cuglach; koń stęknął. – Potrafią walczyć niemal tak dobrze jak wartownicy, ale o wiele groźniejsza jest ich magia. Nigdy nie pozwól zbieraczowi, żeby cię dotknął. Są najważniejsi w Hetawie, a zatem to przywódca. Ci czerwoni... – Zmarszczył brwi. – To dawcy. Uzdrowiciele. Ale nie mam pojęcia, co tu robią.

– Hm... – Unte sięgnął pod zasłonę, żeby się podrapać po brodzie.
– Więc jak też mamy powitać tych niespodziewanych gości, dowódco?

Wanahomen usłyszał rozbawienie w jego głosie i także się uśmiechnął. Matka by tego nie pochwaliła, ale...

– Jeśli mają być naszymi sprzymierzeńcami, rozsądek podpowiada, by zaprezentować im naszą siłę, nieprawda?

Unte roześmiał się cicho i przytaknął. Wanahomen uniósł rękę. Otaczający go jeźdźcy poruszyli się czujnie, gotowi do działania. Zatoczył ręką krąg, potem zacisnął ją w pięść i odchylił głowę, wydając banbarryjski okrzyk wojenny:

– *Bi-ju-eh!*

Przybywajcie i gińcie.

Wojownicy rzucili się naprzód, zjeżdżając do wąwozu trzema różnymi szlakami. Po jego drugiej stronie pojawiły się dwa inne szeregi jeźdźców. Ich krzyki odbijały się echem od skalnych bloków. Grupa jeźdźców z Hetawy zatrzymała się i natychmiast utworzyła krąg, w środku którego znaleźli się dwaj uzdrowiciele. Otoczyły ich dwa kręgi banbarryjskich jeźdźców, każdy jechał w innym kierunku, by trudniej było policzyć wojowników.

Wanahomen zjechał wraz z nimi, wyjąc, wymachując dobytym z pochwy mieczem i śmiejąc się za zasłoną. Kapłani omdleją ze strachu nie tylko z powodu tak licznych zastępów, które wyjechały na ich powitanie, ale także ze względu na hałas i zamieszanie. Gujaareńczycy żyli w spokoju, lecz wśród Banbarrów trudno by go szukać, a już na pewno nie wśród tych młodych silnych wojowników. „*Tak, przyjrzyjcie się nam* – pomyślał Wana, mierząc

kapłanów nienawistnym spojrzeniem. – *Zobaczcie, z kim się sprzymierzacie. Jeśli jesteście zbyt wrażliwi, żeby nas znieść, to nie potrzebujemy waszej pomocy!*”

Ale po chwili zaskoczenia, kiedy jeźdźcy się cofnęli i ich grupa znieruchomiała, Wanahomen już się znudził tą zabawą. Dlatego dał sygnał, by oddział się zatrzymał. Jeźdźcy zataczający kręgi uspokoili wierzchowce i stanęli przed przybyszami. Rozstąpili się, pozwalając mu przejechać do zbieracza w jasnych szatach.

– Pokaż twarz – rozkazał. – Chcę poznać mojego wroga.

Większość mężczyzn z plemienia Banbarrów nie mówiła po gujaareńsku, ale ci nieliczni, którzy znali ten język, pochylili się i szepnęli coś do swoich towarzyszy. Wszyscy musieli się dowiedzieć, że Wanahomen zażądał od przywódcy przybyszów z Hetawy odsłonięcia twarzy. W oczach Banbarrów było to świadectwem podległości.

Zbieracz sięgnął do kaptura i zamarł na chwilę, być może usłyszawszy szepty Banbarrów. Mimo to dokończył dzieła – zdjął kaptur. Kiedy Wanahomen ujrzał jego twarz, drgnął, wstrząśnięty.

– *To ty!* – Dziesięć lat znikło w mgnieniu oka, znowu znalazł się w Kite-ian, znowu zobaczył, jak ojciec stoi przed dwoma zbieraczami, którzy przybyli go zabić. Jeden z nich był bratem ojca; jego twarz nosiła piętno Zachodu Słońca. Ale ten młodszy... – *To ty.*

Zbieracz skinął głową, był irytująco spokojny. Urósł i zmężniał; po tamtym słodkim młodziku nie zostało śladu, ale nadal był to ten sam człowiek.

– Ja. Także cię pamiętam, synu Eninketa. Bądź pozdrowiony.

„*Mógłbym cię zabić, tu i teraz*”. Ta myśl miała dla Wanahomena ogromny urok, ale zdawał sobie sprawę, że jest głupia. I choć schował miecz do pochwy, popędził swoją klacz Iho naprzód, aż zrównała się z koniem zbieracza. W ten sposób znalazł się w zasięgu niosących śmierć dłoni mężczyzny.

– Jesteś głodny, zbieraczu? – spytał cicho. Tamten zmrużył nieufnie oczy. – Pamiętaj, że znam twoich braci. Widziałem, jak

ojciec łamie jednego z was. Jeśli chcesz mnie za to ukarać, to zrób to teraz. Drugiej szansy nie dostaniesz.

Przez chwilę w oczach zbieracza coś zamigotało, ale nie miało to nic wspólnego z głodem, czego spodziewał się Wanahomen – to był zimny gniew, który przerażał tym bardziej, że okazywał go człowiek.

– Twój ojciec postąpił okrutnie, każąc ci patrzeć, jak się rozprawia z Una-unem – powiedział z zaciekłością, której Wanahomen nigdy nie zaobserwował u innych zbieraczy. – Jak straszliwie musiał cię okaleczyć... Przykro mi, że dla twojego dobra nie zabiliśmy go wcześniej.

Wanahomen odłonił zęby w grymasie. Musiał się zdobyć na ogromny wysiłek, by nie chwycić za nóż.

– *Nigdy ci nie zaufam, ty żywiący się życiem demonie!*

Zawrócił Iho, odjechał parę kroków, by się uspokoić, i znowu stanął przed przybyszami.

– A zatem... proponujecie przymierze. Rozumiem, że pozbycie się Kisuan jest wam na rękę, ale co będziemy mieli z tego my, kapłanie? O ile mnie pamięć nie myli, Hetawa nie ma wojska.

Zbieracz skinął głową.

– Walka nigdy nie należała do naszych obyczajów. Chyba że w obronie własnej i cudzej.

– Uśmiechnął się przepraszająco do najbliższego kapłana w czarnej szacie, który skinął głową. – Jednak wiesz, że nasze wsparcie bardzo się liczyło dla dawnych książąt.

– O, wiem o tym doskonale. Ale zawsze wyznaczaliście za to poparcie cenę, której nie zgadzam się zapłacić. Nie będę waszym niewolnikiem jak moi poprzednicy.

– A my już tego nie żądamy. – Głos zbieracza złagodniał przelotnie. Czy brzmiał w nim wstyd? – Hetawa została oczyszczona z tego zepsucia. Ja i moi bracia zadbaliliśmy o to osobiście.

Postąpimy z tobą sprawiedliwie. Klnę się na Jej imię.

Szczerłość tego zbieracza zaskoczyła Wanahomena. Słyszał o zmianach w Hetawie i w cichości ducha się im dziwił, ale usłyszeć te słowa wypowiedziane głośno, otwarcie, to zupełnie co innego. Coś o wiele bardziej satysfakcjonującego. Zerknął na Unte, który zjawił się w wężowozie, lecz trzymał się z tyłu, w milczeniu obserwując sytuację.

– A zatem oferujecie swój wpływ na nasz lud i swoje poparcie dla mojego dążenia do tronu. Bardzo pięknie, podbiję miasto i wraz z moimi ludźmi przeleję krew. Ale sprzymierzeńcy dzielą się wszystkim, kapłanie, nie tylko zyskiem, ale i ryzykiem. Co możesz zrobić dla nas w tej chwili?

– Myślisz, że nic nie ryzykujemy? Jeśli wam się nie uda, Kisuanie nas zgładzą.

– Jednak możesz się wycofać z tego przymierza w dowolnym czasie, zanim przypuścimy atak. Wówczas stwierdzisz, że nie miałeś z nim nic wspólnego. – Wanahomen wskazał na wschód, w stronę Gujaarehu. – Zawsze tak działaliście, w mroku, potajemnie, wślizgując się nocą przez okna. To jest wojna. Zdeklaruj się po stronie walczących albo zostań w świątyni i zajmij się modłami. *I czekaj, aż to ja was zgładzę!*

Zbieracz skłonił głowę, jakby Wanahomen poczęstował go winem.

– Możemy zapewnić prowiant i fundusze... Wanahomen parsknął śmiechem.

– Już ukradliśmy Kisuanom więcej, niż nam potrzeba. Zaproponuj coś, co ma dla nas wartość. Może mógłbyś zebrać Sunandi Jeh Kalawe i jej męża generała?

Zbieracz złodowaciał.

– Nie uznano ich za zepsutych.

Wanahomen nie spodziewał się spełnienia tego żądania.

– Zatem co możesz mi dać?

Zbieracz milczał przez parę chwil. W końcu westchnął.

– Niech się stanie. – Odjechał parę kroków i zatrzymał się, patrząc na odzianych w czerwień kapłanów. – Tych dwoje należy do ciebie, dopóki nie odzyskasz tronu.

Czerwoni kapłani skamienieli. Wanahomen także znieruchomiał. Wśród jego ludzi słychać było pomruk.

– To jakiś podstęp? – spytał podejrzliwie.

– Największym skarbem Hetawy i Gujaarehu jest nasza magia – odpowiedział jego rozmówca. – Zbieracz nie na wiele by się wam przydał, ale dawcy mogą ocalić życie ludzi, którzy bez ich pomocy zginęliby w czekających was walkach.

Dawcy... Wanahomen spojrzał na czerwonych kapłanów, był rozdarty między uniesieniem a rozpaczą. Zbieracz miał rację: dzięki dawcom mogli znacznie ograniczyć swoje straty. I – ta myśl pojawiła się haniebnie szybko – dawca mógłby uratować jego matkę.

A jednak...

Dwaj dawcy, rzućni mu do stóp jak trofeum. Dwaj szpiegzy Hetawy w samym sercu jego obozu.

Odwrócił się do Unte, starając się zachowywać z nonszalancją, żeby rozczarowanie mniej zabolowało.

Unte podjechał do niego, przyglądając się w zamyśleniu kapłanom. Przez minione lata wiele nauczył się od Wanahomena o Gujaarehu; pewnie rozumiał całą rozmowę.

Mimo to odezwał się do Wanahomena w chakti:

– Dobrze słyszę? Czy twój lud nagle dostrzegł, że na handlu niewolnikami można zarobić?

Wanahomen potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od zbieracza. Kapłan zmrużył lekko oczy, kiedy Unte przemówił; najwyraźniej znał chakti na tyle, żeby rozpoznać słowo „niewolnik”.

– To nie niewolnicy, lecz zakładnicy, którzy pieczętują nasze przymierze. Zostaną uwolnieni, gdy osiągniemy cel.

Unte poprawił się w siodle i westchnął.

– Nigdy nie byłem za braniem zakładników. Za dużo zachodu, za mały zysk. Mimo to jeśli naprawdę znają się na magii, mogą mieć wartość.

– Mogą także przekazywać nasze tajemnice Hetawie – powiedział Wanahomen niechętnie. – Zabierzemy ich do naszego obozu, a oni później będą mogli opisać jego położenie.

Unte tylko się uśmiechnął.

– Jeszcze nie spotkałem miastowego, który potrafiłby się odnaleźć na pustyni bez pomocy tubylca. I właściwie z jakiego powodu mieliby nas szpiegować? Mamy tego samego wroga.

To była prawda. Ale Wanahomen nie mógł nie zauważyć, że nie istnieje inny prawdopodobny powód, dla którego zbieracz przywiózł tu swoich dawców. Od samego początku zamierzał oddać ich jako zakładników.

– Po prostu im nie ufam.

– Nie ufasz nikomu, mój duchowy synu. Powiedz temu ślicznemu, że ich weźmiemy. Wanahomen drgnął.

– Jesteś... – Urwał i skłonił głowę w odpowiedzi na łagodne spojrzenie Unte. – Tak się stanie.

Dał znak dwóm swoim ludziom, żeby otoczyli dawców. Jednakże jeden z kapłanów w czarnej szacie zeskokczył z konia i stanął przed Banbarrami, przyczajony i groźny, a kapłan w czerwonej szacie zdarł kaptur i krzyknął ostro:

– *Nijiri!*

Zbieracz – tak, miał na imię Nijiri – westchnął.

– Przepraszam. Ale nie pozwoliłbym twojej praktykantce iść samej, choć się na to zgodziła.

– Zgodziła się... – Dawca spojrzał z niedowierzaniem na drugą postać w czerwonej szacie. – Hanani, czy to prawda?

Postać wyglądała jak skamieniała, podobnie jak Wanahomen, którego nagle ogarnęły nowe podejrzenia. „*Kobieta?*”

Głos, który odpowiedział, rzeczywiście należał do kobiety.

– Myślałam...

– Mówiłem ci, że wiele ryzykujesz. – Twarz zbieracza była kompletnie pozbawiona emocji. – Księżę uważa was za szpiegów. Może zmieni zdanie, widząc, że nie zostaliście uprzedzeni.

Tu zbieracz spojrzął na Wanahomena.

A niech to. Księżę zacisnął zęby, przepelniony jeszcze większą nienawiścią. Ten człowiek doskonale wiedział, co znaczy wysłanie Gujaarenki do banbarryjskiego obozu. To, że towarzyszył jej mężczyzna, nie miało znaczenia: dawcy nie walczyli. To Wanahomen będzie musiał jej bronić. *„Trwa wojna, oby pochłonęły cię cienie! Nie mam czasu na walkę o bezużyteczną miastową kobietę!”*

Ale nie miał wyboru; Unte zażądał tego, a współpraca z Hetawą bez wątpienia zależała od dobrego traktowania zakładników.

Wanahomen westchnął z rozdrażnieniem, podjechał naprzód i zatrzymał się przed wartownikiem – a raczej praktykantem; ten młodzieniec był za młody, by być bratem ścieżki. Jego twarz ledwie majaczyła w cieniu kaptura, ale Wanahomen i tak zdołał spojrzeć mu w oczy; po długiej chwili młodzik westchnął i odstąpił.

Wanahomen zbliżył się do kobiety i zdjął jej kaptur. Tak, to ona, ta kapłanka, którą spotkał w mieście. Podniosła na niego przerażone oczy – w zasłonie wyglądał pewnie jak Banbarra.

– Jedź z nimi – rozkazał jej po gujaareńsku, wskazując głową swoich ludzi. Drgnęła, a w jej oczach błysnęła niemal zwierzęca panika; wydawało się przez chwilę, że dziewczyna chciała się rzucić do ucieczki. Ale odetchnęła głęboko i przybrała spokojny wyraz twarzy, niemal przekonujący, gdyby nie gorączkowy blask oczu. Podjechała do Banbarrów. Jej towarzysz, mężczyzna w średnim wieku o lśniących włosach, prostych jak u Nordów, łypnął na niego spode łba, ale pojechał za dziewczyną, trzymając się blisko niej.

– Zatem przymierze zawarte? – Zbieracz przemówił do Unte, ale spojrzął na Wanahomena.

– Zawarte między gujaareńską Hetawą i Banbarrami z plemienia Yusir – odparł Unte po gujaareńsku, choć z mocnym akcentem.

Wanahomen także skinął głową, przypominając sobie słowa wartownika spotkanego w górach: „*To przymierze zawarte z tobą*”.

Zbieracz skinął głową.

– W takim razie oczekujemy waszego ataku. Kiedy nadejdzie pora, nasi wojownicy i nasza magia wesprą was w walce. Czy uderzycie wkrótce?

– Tak – powiedział Wanahomen.

– Tuż po przesileniu – dodał Unte ku niezadowoleniu księcia.

– Do tej pory pozostawajcie w Jej spokoju – zakończył zbieracz i skinął na wartowników. Otoczyli go posłusznie i cała szóstka wróciła tą samą drogą, którą przybyła. Unte dał sygnał i banbarryjscy jeźdźcy rozstąpili się, pozwalając przybyszom odjechać.

Gdy grupa kapłanów zniknęła za najdalszym wzgórzem, Unte westchnął i odwrócił się do Wanahomena.

– Więc załatwione.

– Jeszcze głosowanie.

Unte spojrzał na niego, zaskoczony, ale i rozbawiony.

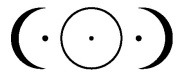
– Nie zakładasz z góry, że osiągniemy sukces? Nigdy nie powiedziałbym, że brakuje ci pewności siebie.

– Jestem pewien siebie jak zawsze, ale nigdy nie zakładam, że będę mógł przewidzieć decyzje przywódców sześciu plemion. Jeśli głosowanie nie pójdzie po mojej myśli... – Niespokojnie spojrzał za oddalającymi się jeźdźcami.

Unte uśmiechnął się, niewzruszony.

– Zatem musimy mieć nadzieję, że tak się stanie. To przymierze nam pomoże. Wracamy? Wanahomen skinął głową i dał sygnał. Jeźdźcy ruszyli do Merik-ren-aferu, prowadząc ze sobą zakładników.

14. MERIK-REN-AFERU



Znalazła się wśród barbarzyńców.

Zbieracz Nijiri zostawił ją wśród barbarzyńców.

Wśród barbarzyńców, którzy będą ją torturowali i którzy ją zabiją, poślą jej duszę w potworne krainy cienia...

Tak przedstawiały się myśli Hanani przez cztery dni, które zajęła im podróż do obozowiska. Banbarrowie narzucili ostre tempo; jechali kłusem od przedświt do południa, robili parę godzin przerwy w czasie największego upału, a potem jechali od popołudnia do zapadnięcia zmroku. Mięśnie Hanani, i tak obolałe już pierwszego dnia po wyjeździe z miasta, przestały protestować drugiego dnia, a trzeciego odrętwiały. Leczyła otarcia, ale rany nie chciały się goić.

Ich gospodarze nie zachowywali się przyjacielsko. Wszyscy wojownicy mieli na sobie podobne powiewne tuniki i kolorowe szaty, misternie wiązane zawoje na głowie i zasłony, nawet we śnie kryjące dolną połowę ich twarzy. Rzadko wymieniali swoje imiona, więc Hanani nie potrafiła ich od siebie odróżnić. Ten, którego Nijiri nazywał księciem, ledwie się odzywał.

Rzuczał tylko rozkazy. Wyglądał na najbardziej niezadowolonego z obecności zakładników. Inni Banbarrowie naśladowali jego zachowanie, choć Hanani zauważyła, że rzucają jej czasem spojrzenia pełne zastanowienia. Nie wiedziała – i nie chciała się dowiedzieć – co ich tak interesowało.

Najczęściej odzywał się do nich przywódca plemienia Unte. Raz po raz podchodził, żeby zasypywać ich pytaniami. Mówił

po gujaareńsku płynnie, choć z tak mocnym akcentem, że trudno go było zrozumieć. On i księżę mieli na sobie szaty i zasłony z lśniącego materiału w kolorze indygo. Unte był niższy, więc przynajmniej mogli go rozpoznać z daleka i przygotować się na pytania. Jak im się podoba pustynia? Mni-inh, który jeszcze nie ochłonał, odpowiedział bez zwykłej dyplomacji: „Wcale”. Ale jego opryskliwość tylko rozbawiła Banbarę. Jak długo służą w Hetawie? Czy to prawda, że potrafią śnić na jawie albo uśpić dowolną osobę w środku dnia? W jaki sposób leczą?

Mni-inh starał się odpowiedzieć na te pytania najlepiej, jak potrafił, ale Hanani nie potrafiła odwzajemnić przyjacielskiego nastawienia przywódcy. Umysł i serce miała jakby sparaliżowane od chwili, gdy zbieracz przypomniał jej, iż zgodziła się przejść próbę. Spodziewała się... Właściwie nie wiedziała czego. Ale nie tego.

Jej milczenie najwyraźniej nie krępowało Unte, który od czasu do czasu skłaniał się przed nią jakby z szacunkiem. Zauważyła, że Mni-inha tak nie wyróżniał.

Wieczorem czwartego dnia, ledwie słońce zaczęło wściekle prażyć głowę Hanani, teren się zmienił: wśród krzaków pojawiła się wielka poszarpana rozpadlina w ziemi. Jechali ku niej, jakby zamierzali przejechać przez wąwóz, zamiast go objeżdżać. Ale w miarę jak zapuszczali się coraz głębiej między wysokie poszarpane skalne ściany, Hanani zaczęła czuć woń wody. Zapach był słaby – nie taki jak mocny, ziemisty zapach rzek Gujaarehu – ale po tak wielu dniach przebywania wśród piasków i w słońcu ten powiew przyjemnie łaskotał jej nozdrza. Dakha, która pewnie poczuła go dużo wcześniej, starała się popędzać idące przed nią konie. Te, przywykłe do podróżowania, szły tym samym miarowym, niespiesznym krokiem.

Okolica zaczęła się radykalnie zmieniać. Na miejscu bezbarwnych pustynnych krzaków pojawiła się zielona trawa, a w głębi wąwozu ukazały się nawet drzewa. Ściany kanionu były wysokie i nagie, jakby wyciosane gigantycznym nożem. Miały kolor głębokiej,

nasyconej czerwieni – przyjemna odmiana po niemiłosiernie płowych pustynnych terenach.

Zieleń roślin – choć bledsza niż tych, które zrodziła żyzna, karmiona powodziami gleba Gujaarehu – była tak intensywna, że niemal raniła oczy.

Hanani, podniesiona na duchu, spojrzała na swoich towarzyszy. Banbarrowie także mieli lepszy humor. Niektórzy nawet śmiali się, rozmawiając ze sobą. *Jeden wyciągnął palec; Hanani spojrzała w tę stronę i drgnęła; na jednej z najwyższych skalnych półek kanionu ktoś stał!*

Ale zanim zdążyła krzyknąć ostrzegawczo, Mni-inh trącił ją łokciem i wskazał coś. Między drzewami dostrzegła wijącą się rzekę. Była tak mała, że Krew Bogini pochłonęłaby ją, nie przybierając ani o centymetr, ale nurt był wartki i krystaliczny. Skąd się wzięła na środku pustyni?

Unte, który z uśmiechem przyglądał się jej zdziwieniu, dotknął ramienia dziewczyny i skinął głową w stronę poszarpanych ścian wąwozu – daleko za nimi, na tle wieczornego nieba rysował się szereg masywnych gór o białych szczytach.

– W zimie pada tam śnieg – powiedział. – Wiesz, co to śnieg?

– Czytałam o nim. Deszcz i rosa, które stwardniały pod wpływem zimna?

– Mhm. Zatem w zimie jest tam śnieg. Topi się podczas przesilenia wiosennego, nazywacie to porą powodziową. Tutaj powodzie także docierają. Do pewnego stopnia. – Uśmiechnął się i zrobił lekceważący gest, by dać jej do zrozumienia, że tutejsze powodzie są niczym w porównaniu z corocznymi wylewami w Gujaarehu.

Wskazał rzekę, a potem kierunek, z którego przybyli – pustynię.

– Tam woda wsiąka w ziemię, w piasek, ale tu wszystko jest zielone. Wysycha na jesieni i w zimie do następnego przesilenia. W tej chwili dopiero zaczyna.

Hanani skinęła głową, zdziwienie okazało się silniejsze niż

skrepowanie, niepozwalające jej rozmawiać z obcym. Przełamując strach, wskazała półkę skalną, po której przebiegła jakaś drobna postać, może dziecko.

– A tam?

Nie widziała ukrytej za zasłoną twarzy rozmówcy, ale zmarszczki w kącikach jego oczu stały się głębsze.

– Sama zobaczysz.

Wjechali wzdłuż rzeki do wąwozu, z chlupotem pokonując niektóre jej odnogi. W końcu skręcili i zatrzymali się przed rozległą zieloną równiną. Pod skalną ścianą od północy znajdowała się zagroda z końmi i wielbłądami; zwierzęta kręciły się po niej w ożywieniu, witając nowych przybyszy i siekąc ogonami. Obok nich kilkoro banbarryjskich dzieci o nieosłoniętych twarzach machało rączkami na powitanie. Mężczyźni otaczający Hanani zaczęli do nich wołać w bełkotliwym chakti; wydawało się, że odpowiedzi napływały ze wszystkich stron, także z góry. Hanani uniosła głowę i pewnie zatrzymałaby się ze zdziwienia, gdyby Dakha tak się nie spieszyła do zagrody.

Na skalnych półkach przycupnęła cała wioska. Na ogół składała się z namiotów – okrągłych, kopulastych, obwieszonych futrami i innymi ozdobami w najróżniejszych odcieniach kolorów ziemi. Ale wśród nich znajdowało się też parę budynków z glinianych cegieł – *prawdziwe domy, magazyny i Bogini wie co jeszcze, położone na skalnych występach! Tuż nad kilkunastometrową przepaścią!*

Podróżnicy zatrzymali się przed zagrodą. Hanani oderwała spojrzenie od zabudowań i poszła za przykładem gospodarzy: zsiadła i spróbowała odwiązać juki. Ku jej zaskoczeniu Unte syknął, jakby płoszył zwierzę, i wyręczył ją w tym obowiązku. Zarzucił juki na ramię i skłonił się Hanani, po czym odszedł. Ale nie oddalił się zanadto – podszedł do księcia, któremu wręczył bagaże. Ten, wbrew obawom Hanani, wcale się nie rozgniewał. Spojrzał tylko z zaskoczeniem na Unte, który wskazał głową Hanani. Księżę – co zdziwiło dziewczynę jeszcze bardziej – wyraźnie się rozczarował. Przejął juki, mamrocząc coś przepaszająco do Unte, a potem

podszedł do Hanani i Mni-inha.

– Dzieci zajmą się waszymi wierzchowcami, jak nakazuje tradycja... – Powiedział coś szybko w chakti, ale Hanani wychwyciła tylko słowo „*Merik*”. Było to imię jednego z bogów, rzemieślnika, który zrównał góry z ziemią i zasypał doliny. – To siedziba plemienia Yusir. Chodźcie ze mną.

Przez całą podróż nie powiedział do nich tylu słów co teraz. Pospieżyli za nim, skrzywieni i zeszywniali po wielu dniach jazdy na końskim grzbiecie, a on ruszył długimi krokami w stronę skalnej ściany. Kiedy stało się jasne, że kierują się do kołyszącej się na ścianie sznurkowej drabinki z drewnianymi szczeblami, Hanani zwolniła kroku.

Książę zatrzymał się przy drabince. Mni-inh spojrział w górę i westchnął.

– Pewnie nie ma innej drogi?

– Nie – odparł zwięźle książę i po raz pierwszy Hanani usłyszała w jego głosie nutkę rozbawienia. – Możecie spędzić noc na dole, jeśli naprawdę boicie się wspinaczki. Nie ma tu zwierząt bardziej niebezpiecznych od skorpionów i kilku odmian węży...

– Wejdziemy – przerwał Mni-inh szybko.

Książę skinął na Hanani, dając jej znak, żeby ruszyła pierwsza. Przełknęła ślinę nerwowo, stanęła przy drabince i spojrzała w górę. Szczyt znajdował się bardzo wysoko.

– Po prostu idź – poradził książę. – I nie patrz w dół. Za pierwszym razem najlepiej wejść jak najszybciej.

Uświadomiła sobie – co sprawiło jej pewną ulgę – że dla niego też kiedyś był to pierwszy raz. Spojrzała na Mni-inha. Był tak samo zdenerwowany jak ona. Ale zdobył się na blady uśmiech.

– Idź – powiedział, kładąc sobie juki na ramionach, tak jak to robili Banbarrowie. – Będę tuż za tobą. Pamiętaj, tylko jedno z nas może spaść, bo drugie będzie musiało je uzdrowić.

Hanani uśmiechnęła się mimo woli.

– Tak, bracie. – Nieco mniej zdenerwowana, chwyciła pierwszy szczebel i zaczęła się wspinać tak szybko, na ile mogła się odważyć. Kiedy już zaczęła wchodzić, przestała się tak bać; drabina była solidna, przybita do skały kołkami i hakami. Hanani w mgnieniu oka dotarła do skalnej krawędzi i po chwili znowu stała na twardym gruncie. Odwróciła się...

...i zamarła. Serce przestało jej bić.

Przed nią rozpościerał się wąwóz skąpany w palącym świetle i pogrążony w głębokich cieniach pod niebem bezkresnym niczym Morze Chwały. Zwierzęta w zagrodzie były podobne do zabawek, pobliskie pola uprawne wyglądały jak paski intensywniejszej zieleni wśród słowiałej trawy, rzeka zmieniła się w srebrną nitkę, migoczącą między drzewami. Hanani widywała już świat z wysoka – z najwyższych kondygnacji Hetawy – ale nigdy w taki sposób. Oniemiała z zachwytu, nadal stała w miejscu, gdy Mni-inh dotarł do krawędzi. Poszedł za spojrzeniem dziewczyny, a potem zerknął w dół. Zadrżał i zrobił trzy szybkie kroki do tyłu.

– Indethe a etun’a Hananja...

– Enube an’nethe – dokończył księżę, zaskakując ich oboje. Stał za ich plecami, nadal trzymając juki Hanani. Kiedy odwrócili się do niego, on także podziwiał widok. – Bogini zwraca swoje spojrzenie na tych, którzy na to zasługują, kapłanie. A teraz chodźcie.

Ruszył przez banbarryjskie obozowisko. Mimo dziwnego umiejscowienia wyglądało jak każda gujaareńska nadrzeczna wioska, tylko z namiotami zamiast budynków. Te namioty były ustawione w kręgach po trzy lub cztery. Kręgi te oddzielała wolna przestrzeń, niekiedy było to miejsce do pracy. Nieliczne ceglane budynki zdawały się mieć bardziej praktyczne zastosowanie: Hanani dostrzegła we wnętrzu jednego z nich piec garncarski, a z drugiego dobiegł gryzący zapach roztopionego metalu, była to kuźnia. Zobaczyła też zbiornik z wodą i spichlerz. Zupełnie jak w gujaareńskich wioskach.

Oczywiście ludzie byli inni. Nie miała pojęcia, skąd pochodzą

Banbarrowie – zamieszkiwali pustynię stulecia przed powstaniem Gujaarehu – ale najwyraźniej nie koligacili się z innymi plemionami tak swobodnie jak rodacy Hanani. Od czasu do czasu widywała orzechowe oczy i jaśniejszą lub ciemniejszą skórę, ale na ogół wszyscy mieli cerę brązową jak płowy marmur i ostre rysy, które przypominały Hanani ludzi z kasty wojskowej. Mężczyźni nosili takie same szaty jak żołnierze na pustyni, choć zauważyła nieco inny styl – bardziej miękki materiał, wzory wyszywane koralikami, koronki i żywsze kolory, a także dłuższe zasłony. Wszyscy spoglądali na nią podejrzliwie i unosili zasłony wyżej, kiedy ona i Mni-inh ich mijali.

Inaczej wyglądały kobiety. Hanani zobaczyła kilka z nich po raz pierwszy zgromadzonych wokół ogniska. Obserwowały ją z nieskrywaną ciekawością. W przeciwieństwie do mężczyzn nie nosiły zasłon ani zawojów na głowie, choć ich biżuteria i fryzury były tak misterne, że zrobiłyby wrażenie nawet na najbardziej skłonnej do zbytku przedstawicielce gujaareńskiej wysokiej kasty. Hanani nie mogła oderwać oczu od złotych ozdób, biegnących od nozdrza do ucha, warkoczy przeplecionych sznurami drobnych muszelek, od powiek pomalowanych zielenią, błękitem i olśniewającą bielą. Kobiety miały bardziej obcisłe i kolorowe ubrania niż mężczyźni, przepasane w talii lub na biodrach, z obfitymi rękawami, zebranymi w nadgarstkach, i też obwieszonymi ozdobami.

Wreszcie Hanani zdołała skupić się na twarzach kobiet, które były mniej podejrzliwe niż mężczyźni, lecz również nie okazywały żadnych przyjacielskich uczuć.

Zatrzymali się przy dużym namiocie. Hanani przez chwilę wpatrywała się w osłupieniu na wiszący nad wejściem emblemat z promienistym słońcem. Zbieracz Nijiri nazywał tego człowieka księciem, ale co to znaczyło? Odkąd król Eninket zasiadł na Tronie Snów, w Gujaarehu nie rządził żaden książę. Choć oczywiście zmarły miał wiele dzieci...

Spojrzała na mężczyznę nazywanego księciem i napotkała jego

wzrok, nieufny i pochmurny.

– Tu mieszka moja matka. To jej... – powiedział coś po banbarryjsku. Zabrzmiało to jak an-sherrat. – Ognisko domowe. Jej terytorium. Macie okazywać jej szacunek.

Hanani drgnęła. Tego się nie spodziewała. Znowu spojrzała na emblemat, nie potrafiąc uwierzyć własnym domysłem.

– Twoja matka pochodzi z rodu Zachodu Słońca?

– Jest pierwszą żoną króla, który rządzi teraz w Ina-Karkh.

Mni-inh drgnął i spojrzał na mężczyznę, jakby dopiero teraz go zobaczył.

– *Jesteś Wanahomen!* Ten, którego wszyscy uważali za następcę tronu.

Pochmurność spojrzenia księcia zastąpiło inne uczucie, ale Hanani nie potrafiła go odczytać. Było to coś zdecydowanie gorzkiego.

– Wszyscy? Zatem najwyraźniej ci wszyscy nie znali mojego ojca.

Mni-inh zamilkł, zbity z tropu.

– Byłeś wybranym przez niego następcą? – odważyła się spytać Hanani.

– Książęta Zachodu Słońca wybierają swoich następców tylko nominalnie. Na tronie zasiadają ci, którzy zdołali wywalczyć sobie do niego prawo. I tym razem będę to ja.

– Czy... – Zawahała się przed zadaniem mu kolejnego pytania; w drodze zauważyła, że książę nie jest cierpliwy. Ale w Hetawie włączano jej do głowy: kasty i hierarchia społeczna sprowadzają spokój Hananji. – Czy zatem stosownie będzie tytułować cię księciem?

Mężczyzna westchnął z rozbawieniem; zasłona na jego twarzy lekko się wydeła.

– Ty naprawdę jesteś jedną z nich, kobieto. Jakby w tych okolicznościach to, co stosowne, miało jakiegokolwiek znaczenie... – Znowu westchnął. – Zwracaj się do mnie, jak chcesz.

Zabębnił palcami w napiętą ścianę namiotu. Z wewnątrz dobiegł zachr ypnięty głos, który powiedział „wejść” po gujaareńsku. Hanani zauważyła, że książę zeszywniał lekko, zanim wszedł do namiotu. Przytrzymał klapę, by wszyscy mogli wejść. Hanani podążyła za swoim mentorem.

Niemal natychmiast owionął ją zapach choroby. Zatrzymała się w wejściu, zaskoczona. Namiot był większy i urządzony bardziej luksusowo, niż się spodziewała – dywany na ziemi, piękne latarnie z brązu, zwisające z tyczek podtrzymujących sufit i szwów, które go łączyły. Na znajdującym się na środku pościeli grubo wyścielonym futrami leżała kobieta, przyglądająca się im z zaciekawieniem. Książę zawiązał klapę namiotu, wyprostował się i spojrzał znacząco na uzdrowicieli. Wskazał gestem kobietę.

– To moja matka Hendet z rodu Hinby i kasty shunhów, pierwsza żona króla Eninketa.

Mni-inh szybko pochylił się nisko nad obiema dłońmi, podobnie jak Hanani, ale Hendet nie odezwała się ani słowem. Patrzyła na nich, szczególnie uważnie przyglądając się Hanani. Obok niej siedział chłopiec, liczący jakieś sześć czy siedem powodzi. Trzymał kubek z wodą. Chłopiec przestraszył się obcych, ale na widok księcia się rozpogodził.

– Wana?

– Tassa... – Książę dodał coś w chakti, wyciągnął rękę i mały podszedł do niego. Jak inne banbarryjskie dzieci nie nosił zasłony ani zawoju. Książę dotknął jego policzka w przelotnym czułym geście i Hanani natychmiast dostrzegła podobieństwo ich oczu, a także bardziej skręcone włosy chłopca i zbyt ciemną jak na Banbarę cerę. To był syn księcia.

Wanahomen przemówił do dziecka w chakti. Dawał mu jakieś instrukcje.

– Dwa namioty – odezwała się nagle Hendet po gujaareńsku. Chłopiec obejrzał się na nią, zaskoczony. Książę także.

– Słucham?

– Szanująca się kobieta nie może dzielić namiotu z mężczyzną – powiedziała Hendet. Podniosła się na łokciu, najwyraźniej z wielkim wysiłkiem. Księżę natychmiast pospieszył jej z pomocą. Zdyszana, rzuciła mu błądy uśmiech.

– Zamów dwa namioty, Wana. I powiedz Nefri, że to ja je kupuję. Księżę znieruchomiał.

– Matko, ona jest z Hetawy, to nie ma znaczenia...

– Należy ją chronić. – Pomimo choroby było widać, że Hendet jest żoną króla; w jej głosie brzmiała rozkazująca nuta. – Wśród Banbarrów osoba bez bogactwa i krewnych jest niewolnikiem. Hetawa to nasz sprzymierzeniec, a ci... – Zająknęła się, wyraźnie tracąc siły. – Należy ich chronić...

Zamilkła; księżę gwałtownie wciągnął powietrze, przestraszony.

– *Matko!*

Pokusa, by podbiec do kobiety, była silna, ale Hanani opanowała się, Mni-inh jako starszy uzdrowiciel miał prawo pierwszeństwa. Podeszedł do posłania i kucnął przy kobiecie. Dotknął jej czoła, zanim księżę zdążył go odstraszyć spojrzeniem.

– Tylko zemdląca. Choroba zjada wszystkie jej siły. Połóż ją, żebym mógł ją zbadać. Księżę nie drgnął; Mni-inh spokojnie czekał, patrząc na niego tym łagodnym spojrzeniem, które Hanani zawsze uważała za gorsze od reprimendy. W końcu, zakławszy cicho, Wanahomen położył matkę na wznak i odszedł parę kroków, po czym odwrócił się do nich plecami. Zaciskał pięści, ale nie powiedział ani słowa. Chłopiec, który nie opuścił namiotu, podeszedł do księcia i niespokojnie dotknął jego pięści.

– Hanani. – Mni-inh wstał, by zdjąć oficjalną szatę, której szerokie rękawy utrudniałyby mu ruchy. – Widziałem już coś takiego i uważam, że potrzebujemy wielkiej ilości sennej żółci. Jakie masz zapasy?

Jego rzeźki głos, taki sam jak podczas setek lekcji i uzdrowień, bardzo podniósł ją na duchu.

– Od czasów zakazu nie mam prawie nic oprócz sennej żółci. – Jej zapasy zgromadziły się z powodu snów, ostatnio bardzo nieprzyjemnych.

– Dobrze. – Mni-inh ponaglił ją spojrzeniem, by natychmiast do niego podeszła. – Zakaz miał zostać uchylony, wiesz o tym. Twoja przysięga jest ważniejsza od zwątpienia. Ta kobieta cię potrzebuje.

Jego słowa obmyły ją jak woda tak gwałtownie, że odetchnęła głęboko i podbiegła do posłania. Zdjęła oficjalną szatę, uklękła u boku kobiety i położyła dłoń na jej mostku w drugiej pozycji leczniczej. Mni-inh klęknął przy głowie kobiety i położył palce na jej powiekach.

– To odmiana choroby guzów – powiedział, przymykając oczy i zaczynając poszukiwania duszy chorej. – Ta choroba umiejscowiła się we krwi, a dokładnie w części kości, która produkuje krew. Czuję ją tak samo, jak inne odmiany tej choroby, więc idź za mną i razem jej poszukamy.

– Tak, bracie. – Hanani zamknęła oczy i zatonęła w leczniczym transie. Jej senne ja szukało swojego partnera w ciele kobiety. Mni-inh pierwszy znalazł duszę chorej; ukrywała się między dwoma środkowymi żebrami, blisko serca. Stopił się z nią; Hanani zrobiła to samo i razem skoczyli do Ina-Karekh.

Po tak długiej przerwie nieskrępowane, pozbawione poczucia winy leczenie sprawiło dziewczynie nieopisaną radość, choć sen dręczący Hendet na pewno nie był radosny. W sennych krajobrazach kobiety roiło się od gryzących, parzących istot – skarabeuszy, much, wielonogich pasożytów, gorącego popiołu palącego wszystko, czego dotknął. Mni-inh pomógł Hanani usunąć te wizje i chorobę, która je reprezentowała; jednocześnie wrył się pod senny krajobraz i za pomocą sennego nasienia zachęcił ciało, by wymieniło chorą kość na zdrową. Była to powolna praca, ale dwojgu współpracującym ze sobą uzdrowicielom nie sprawiła kłopotu.

– Och... – Mni-inh przeciągnął się z uśmiechem, gdy w końcu

opuścili sen i wrócili do Hona-Karekh. – Bardzo mi tego brakowało. Ta wspólna praca naprawdę daje wiele radości.

Hanani uśmiechnęła się nieśmiało i znieruchomiła, widząc księcia, który przyglądał im się spod ściany namiotu. Musiało minąć parę godzin, bo zrobiło się ciemniej. W mroku ledwie dostrzegła zasłonę na twarzy Wanahomena i lśnienie jego oczu.

– Powinna być już zdrowa – powiedziała Hanani, chcąc go uspokoić. – Oczyszcziłam skażenie. Mój mentor wyhodował nową część jej ciała na miejscu chorej, więc od tej pory będzie produkowała zdrową krew.

Mni-inh przytaknął i dokończył badanie. Przysiadł na piętach.

– Woda, odpoczynek i jedzenie, zwłaszcza czerwone mięso, pomogą jej szybko odzyskać siły.

Książę skinął głową powoli, ledwie widocznie.

– Gratulacje. Udowodniliście, że warto ocalić wam życie.

Hanani odczuła przejmujące zimno jego głosu jak policzek. Cofnęła się i odruchowo spojrzała na Mni-inha, ale on także wydawał się zaskoczony. Trudno byłoby się spodziewać, że książę będzie podzielał ich doskonały humor; wydawał się niezdolny do radości. Ale wdzięczność... tak, na to Hanani miała nadzieję.

Zanim zdążyli coś odpowiedzieć, książę wstał.

– Mój służący czeka na zewnątrz. – Nie zwracał już na nich uwagi, wpatrzony w matkę. – Zaprowadzi was do waszych namiotów.

Hanani znowu spojrzała na Mni-inha, ale ten tylko pokręcił głową i wstał. Dziewczyna poszła w jego ślady.

– Teraz jesteśmy kwita, kapłanko – odezwał się książę. – Ale na tym koniec.

– Słucham?

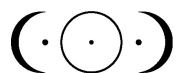
Wanahomen odwrócił się do niej i zdjął zasłonę. Drgnęła, rozpoznawszy mężczyznę, który usiłował ją uratować z rąk kisiańskich żołnierzy. Nie patrzył już na nią z taką pogardą jak

kiedyś, ale trudno by się dopatrywać w jego oczach przyjaznych uczuć. Tym samym zimnym wzrokiem mógłby zmierzyć wroga albo owada.

– A teraz wyjdź – dodał i odwrócił się do niej plecami.

Wstrząśnięta Hanani usłuchała.

15. WEZWANIE DO BOJU



Ósmdzień przed zimowym przesileniem był w Gujaarehu czasem wielkiego spokoju i kontemplacji. Za miesiąc, może więcej, wielka rzeka zwana Krwią Bogini wystąpi z brzegów i zaleje całą dolinę. Kiedy wody ustąpią, zostawią po sobie grubą warstwę czarnego mułu, którego żyzność wyczarowywała ten ogród, jakim był Gujaareh, kwitnący w środku pustyni. Gdy chmury burzowe się rozprasały, a urodzajność ziem się odnawiała, można było wreszcie nadać imiona dzieciom urodzonym w poprzednim roku.

Na rozpoczęcie powodzi Gujaareh czekał w rozżarzoną czyśćcu. Rolnicy nie mieli nic do roboty po czwartych i ostatnich zniwach, rzemieślnicy kończyli zlecenia i zamykali działalność na ten rok; ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, wybierali się do posiadłości poza doliną rzeki, by uniknąć niedogodności związanych z powodzią. W tym właśnie czasie gujaareńskie rodziny zbierały się, by celebrować miłość, szczęście, śmierć i wszystkie inne małe, przyziemne radości.

W dniach poprzedzających przesilenie najczęściej zajęć miały siostry Hananji. Trudno było znaleźć ulicę – od bogatych dzielnic wysokich kast po rybne targi – gdzie nie rozlegałyby się rytmiczne dźwięki dzwoneczków i ciche stateczne uderzenia bębna, zapowiadające procesję siostry z towarzyszkami. A żółty namiot sióstr – w którym te przedstawicielki Bogini kładły swoich nosicieli daniny i wyczarowywały dla nich sny pełne najczystszej ekstazy – stanowił zwykły widok podczas krótkich zimowych dni i długich nocy. Prawdopodobnie dlatego, że tym razem zjawily się liczniejsze grupy sióstr niż zwykle, a więcej mieszkańców Gujaarehu mogło nad

nimi czuwać, zauważono dwóch kisuańskich żołnierzy, ciągnących jedną z sióstr do starego magazynu. Tłum zebrał się ze zdumiewającą prędkością i uratował siostrę oraz jej praktykantkę, którą żołnierze wzięli jako zakładniczkę, by wymusić posłuszeństwo kapłanki. Rozgniewany złowrogi tłum obywateli otoczył żołnierzy. Ale gdy ci krzyknęli ostrzegawczo i dobyli broń, ludzie rozstąpili się przed krępyim opanowanym mężczyzną z wytatuowanym na ramieniu czerwonym makiem.

– Obserwowaliśmy was – przemówił z uśmiechem do żołnierzy. – Nie sądziliśmy, że będziecie tak głupi, by dopuścić się jawnie kolejnej napaści, ale... no cóż.

Jeden z żołnierzy, wyczuwając zamiary przybysza, wrzasnął i zadał mu cios mieczem.

Obserwujący ich tłum zamarł. Mężczyzna z makiem, szybki jak wąż, uskoczył przed ciosem i chwycił żołnierza za przegub dłoni, w której ten trzymał broń, i pociągnął go do przodu. Żołnierz niemal wypuścił miecz. Zanim zdołał się opanować, mężczyzna z tatuażem położył mu na powiekach dwa palce. Kisuanin zapadł w sen, a nieznajomy położył mu na czole jakiś mały przedmiot, który cicho brzęknął.

Drugi żołnierz w końcu zrozumiał, co się dzieje. W panice sięgnął po swój miecz, ale nim zdołał go dobyć, mężczyzna chwycił go za ramię.

– Spokój – powiedział; drugi żołnierz osunął się na ziemię.

Mężczyzna z tatuażem wrócił do pierwszego śpiącego. Na parę długich chwil położył mu palce na powiekach. Gdy żołnierz wypuścił z płuc powietrze i już nie nabrał go ponownie, tłum wydał pomruk zadowolenia. Mężczyzna z tatuażem powtórzył ten sam rytuał z drugim żołnierzem, a kiedy i ten umarł, zebrani wszyscy naraz westchnęli. Zapadła cisza pełna szacunku, jak nakazuje tradycja. Mężczyzna ułożył ciała zmarłych w godnych pozach i odcisnął im na czołach symbol czerwonego maku, taki sam, który nosił na ramieniu.

Ledwie to zrobił, przybiegli kolejni żołnierze. Widać dowiedzieli się o zamieszkach. Ich dowódca dobył miecza, utorował sobie drogę w tłumie i zatrzymał się z niedowierzaniem, wpatrzony w zwłoki. Mężczyzna z tatuażem stanął przed nim.

– Ci ludzie dopuścili się przemocy na obywatelach Gujaarehu – oznajmił. – Tym bardziej ohydnej, że wymierzonej w tych, którzy służą naszej Bogini. Zostali uznani za zepsutych i otrzymali spokój w zgodzie z Prawem Hananji.

– Nie podlegamy waszemu przekłętemu prawu, ty parszywy... – zaczął dowódca, kierując miecz w stronę mężczyzny – i zamilkł, gdy jeden z żołnierzy dotknął jego ramienia. Wśród zebranych znowu dało się słyszeć pomruk, tym razem zdecydowanie wyrażający gniew. Dowódca zawahał się i opuścił miecz.

– Miasto Hananji podlega Prawu Hananji – oznajmił mężczyzna z tatuażem.

– Miasto Hananji podlega Prawu Hananji... – powtórzył tłum jak echo, ciche i nieubłagane.

Żołnierze drgnęli i rozejrzeli się z niepokojem.

– Do tej pory zachowywaliście się znośnie – powiedział mężczyzna z tatuażem – i z tego powodu was tolerowaliśmy. W końcu jesteśmy z jednej krwi. Ale skoro nie potraficie korzystać z naszej gościnności, nie nadużywając jej, może pora się pożegnać.

Dowódca drgnął, wściekły i urażony, ale jego uwadze nie uszło to, że tłum, który z każdą chwilą stawał się liczniejszy, poparł mężczyznę okrzykami i gestami uniesionych pięści. Krzyki jednak umilkły, gdy nieznajomy rzucił zebrany łagodnie spojrzenie. To o wiele skuteczniej niż poruszenie ludzi zmieniło furję dowódcy w zimny, kłujący jak igła strach.

Gdyby mężczyzna z tatuażem wydał rozkaz, tłum rzuciłby się na żołnierzy i rozszarpał ich na strzępy.

– Proponuję, żebyście przynajmniej opuścili tę ulicę – odezwał się mężczyzna z tatuażem. Głos miał łagodny, spojrzenie naprawdę czułe; później dowódca przypomniał to sobie z wielką konfuzją.

Jeszcze nigdy w życiu nie został tak uprzejmie zastraszony. – Opanowanie bardzo trudno jest osiągnąć nawet w najlepszych czasach, a pewne prowokacje mogą zakłócić spokój nawet najpobożniejszej osoby. Wezwę moich braci dawców, by rozdzielili spokój tych żołnierzy między ludzi, co powinno załagodzić ich gniew. Powinieneś powiadomić swoich zwierzchników o tym, co tu zaszło.

Żołnierze spojrzeli niespokojnie na dowódcę, jakby liczyli na jego zgodę. Ten przyjrzał się nieufnie mężczyźnie z tatuażem.

– Chcesz, żebyśmy powiedzieli, co się tu wydarzyło?

Mężczyzna uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Oczywiście. Hetawa nie ma nic do ukrycia.

Wtedy dowódca zrozumiał: oni to zaplanowali.

– Musimy zabrać naszych towarzyszy – powiedział. Chciał w ten sposób zachować twarz.

Był zbyt wytrącony z równowagi, by zdobyć się na prawdziwą odwagę. Ale ku jego zaskoczeniu mężczyzna z tatuażem skinął głową. Potem – *zdumiewające!* – złożył ręce przed twarzą i ukląkł, pochylając głowę. Wszyscy zgromadzeni wraz z napadniętymi siostrami zrobili to samo. Ulicę wypełniły cisza i bezruch, mącone tylko przez rozdygotanych Kisuan.

„*Okazują szacunek dwóm gwałcicielom?*” – zdziwił się dowódca w duchu. Potem zrozumiał: okazują szacunek dwóm martwym gwałcicielom. Ponieważ są martwi.

A w Gujaareh śmierć się celebrowało – pod warunkiem że przynosiła spokój.

Dowódca rzucił rozkaz zabrania dwóch ciał i odniesienia ich do pobliskich koszar. Ani jeden Gujaareńczyk nie podniósł głowy, kiedy żołnierze odeszli ze swoim ciężarem. Gdy mężczyzna z tatuażem wstał, za jego przykładem poszli inni.

– Czy jesteś pewien, że to było mądre? – spytała siostra. Nadal była wstrząśnięta.

Zbieracz patrzył na nią przez chwilę, potem dotknął jej policzka. Zadrżała, gdy spokój żołnierza przeszedł między nimi i oddał jej skradzioną równowagę.

– Mądre czy nie, stało się – odpowiedział zbieracz. – Nastąpił kryzys. Gujaareh musi się zjednoczyć, jeśli chce przeżyć.

– Jeżeli Kisuanie ukarzą Hetawę za zabicie tych drani – odezwał się stojący obok mężczyzna – my ukarzymy ich.

Przez tłum przebiegł pomruk zgody.

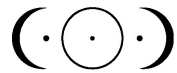
Zbieracz przyglądał się przez chwilę ludziom. Potem westchnął.

– Jeśli Hananja tego pragnie, tak się stanie.

Mężczyzna wzniósł radosny okrzyk, powtórzony przez tłum. Ludzie ściskali się lub śmiali z nadmiaru dobrych uczuć. Rzucili Kisuanom wyzwanie – małe, oczywiście, ale i tak odnieśli zwycięstwo. Hetawa w końcu ocknęła się ze swojego pogodnego, wyrozumiałego milczenia, by poprowadzić lud Hananji przeciwko okupantowi. Wkrótce opowieść o tym zbiorze rozejdzie się wśród obywateli i z każdym powtórzeniem będzie się rozprzestrzeniała, budząc nadzieję i pragnienie działania tam, gdzie do tej pory miała miejsce tylko bezsilna złość. Z czasem – już wkrótce – miasto dojrzeje do zmiany. Mało tego, będzie się do niej paliło. I z niecierpliwością czekało na walkę.

Podczas zaimprovizowanej uroczystości zbieracz Rabbaneh wymknął się po cichu.

16. CENA DAWCY



Hanani obudziła się o świcie następnego dnia głodna, jej skóra swędziała, a ona sama czuła wielką potrzebę znalezienia toalety. Podczas podróży z Gujaarehu przywykła do surowych warunków, ale tęskniła za eleganckimi alkowami i nocnikami Hetawy, które tak ułatwiały codzienne czynności. Nie miała pojęcia, jakie obyczaje panują w tym względzie u Banbarrów, teraz musiała o to kogoś spytać.

Usiadła i rozejrzała się po wielkim pustym namiocie, który jej przydzielono. Charris, gujaareński służący księcia, mniej więcej w wieku Mni-inha, dał jej pojedyncze cienkie posłanie i pouczył, żeby nie włóczyła się sama po obozie. Nawet przez myśl jej to nie przeszło, ale co miała teraz zrobić? Zesztywniała od leżenia na twardym legowisku, podniosła się, podeszła do klapy namiotu i wyjrzała na zewnątrz.

Tylko paru Banbarrów nie spało o tak wczesnej porze. Przy gęsto ustawionych namiotach po drugiej stronie ścieżki zauważyła chudego mężczyznę o wschodnich rysach, zajętego przyrządzaniem posiłku. Dobiegający z pobliza zapach przygotowywanego jedzenia połaskotał ją w nozdrza; wymknęła się z namiotu, żeby się rozejrzeć. W środku kręgu, utworzonego przez jej namiot, namioty Hendet i Mni-inha oraz ten, który pewnie należał do księcia, paliło się ognisko, siedział przy nim Charris i piekł mięso na małym rożnie.

Drżąca z zimna Hanani weszła w krąg i skłoniła się mężczyźnie.

– Witaj, panie. Czy dobrze spałeś?

Charris drgnął, a potem spojrzał na nią z lekkim rozbawieniem.

– Nigdy nie pamiętam moich snów, mała kapłanko – powiedział. Nie uśmiechnął się, ale jego zachowanie przypomniało jej Mni-inha; niemal odruchowo odetchnęła. – Hetawa uznała, że nie rokuje żadnych nadziei, zanim ujrzałem moją trzecią powódź.

Hanani uśmiechnęła się i przykucnęła przy ogniu, choć w tej pozycji pęcherz uwierał ją jeszcze bardziej.

– Mogę ci przy tym pomóc, jeśli zechcesz – zaproponowała. – Ale czy będziesz mógł mi poradzić w pewnych ważnych sprawach?

Pokiwał głową, jakby się tego spodziewał.

– Ubranie. Tak. Nie możesz chodzić w takim stroju.

Zaskoczona Hanani spojrzała na siebie. Nosiła codzienny naszyjnik-kołnier z karneolowych paciorków, czerwone draperie biodrowe, bandaże na piersiach.

– Co jest nie tak z moim ubraniem?

– Tu kobiety okrywają się bardziej niż w Gujaarehu. I nie ubierają się jak mężczyźni.

– Mój status sługi Hananji...

– Ja to rozumiem – przerwał Charris z bladym uśmiechem – ale nie Banbarrowie.

Kobieta, która ubiera się jak mężczyzna, będzie traktowana jak mężczyzna, a tutaj silni mężczyźni nie ponoszą konsekwencji wykorzystywania lub nawet zabicia słabszych od siebie. Ci ludzie nie wierzą w spokój tak jak my. Uszanuj to.

Westchnęła.

– Dobrze. Włożę oficjalną szatę. Ale najpierw... czy mogę gdzieś załatwić swoją potrzebę? I wziąć kąpiel. Już od paru dni... – Skuliła się ze wstydu.

Charris spojrzał na nią ze zdziwieniem i roześmiał się cicho, choć w jego śmiechu brzmiała ostra nuta.

– *Ach, gdzie te czasy, kiedy i mnie przeszkadzało parę dni bez kąpieli!* No, na razie sprowadzę cię na dolny poziom. Czy twój towarzysz wkrótce się obudzi?

– Tak – odezwał się Mni-inh, wychodząc zza namiotu. Wyglądał na równie obolałego i niewyspanego jak Hanani, choć ukłonił się uprzejmie obojgu. – Lepiej spało mi się na piasku i żwirze podczas podróży; przynajmniej były bardziej miękkie od skały. Gościnnieść tych ludzi pozostawia wiele do życzenia.

– Na razie cię nie zabili – zauważył Charris, wzruszając ramionami. Mni-inh uśmiechnął się, ale służący mówił całkiem poważnie. Odstawił rożen, wziął kilka glinianych garnków, które ogrzewały się przy ogniu, i wstał.

– Chodźcie ze mną.

Zaprowadził ich do drabinki, po której wspięli się poprzedniego dnia. Tu Hanani od razu zapomniała o dokuczającym jej pęcherzu, bo zejście okazało się o wiele, wiele bardziej przerażające od wejścia. Udało jej się, ponieważ zamknęła oczy i przywarła całym ciałem do drabinki, starając się nie myśleć o zimnym porannym wietrze, który smagał jej plecy, gdy szukała stopą kolejnego szczebla. Trochę jej pomogło to, że przez całą drogę w dół Mni-inh klął nieprzerwanie, odwracając jej uwagę od własnego strachu.

Stanęli na ziemi cali i zdrowi, jeśli nie liczyć nadszarpniętych nerwów. Charris zaprowadził ich do znacznie oddalonej od rzeki kępy drzew, gdzie wykopano latrynę. „*Używają jej niewolnicy*” – wyjaśnił; nie powiedział, gdzie załatwiają swoje potrzeby zwykli obywatele.

Potem zaprowadził ich przez lasek na porośnięty trawą brzeg rzeki, tuż za zakrętem wąwozu, gdzie rzeka utworzyła mały płytki basen.

– Tam jest kolejne rozlewisko – powiedział Charris, wskazując za wzgórze. Spojrzał na Hanani. – Dla ciebie.

– Zostanę z moim mentorem – odparła. Mni-inh już się rozebrał i wszedł do wody. Hanani też zaczęła się rozbierać.

Charris, wyraźnie wstrząśnięty, szybko odwrócił się do niej tyłem. Zastanawiała się nad jego reakcją, kąpiąc się w wodzie, do której

zanosła też swoje ubrania, by je wyprać. Przecież Charris był Gujaareńczykiem; w Gujaarehu widok nagich mężczyzn i kobiet na ulicy nikogo nie dziwił, zwłaszcza w upalne dni. A tu chodziło wyłącznie o kąpiel, która nie miała nic wspólnego z podniętą. Ale kiedy wyszła z wody i usiadła na kamieniu, żeby przeczesać palcami włosy i poczekać, aż ubranie wyschnie, Charris prychnął jakby z rozdrażnieniem i odszedł w kierunku zagajnika.

Mni-inh usiadł obok niej i odprowadził wzrokiem Charrisa. Jego włosy, mokre i rozplecione, zmieniły się w wężowisko lśniących fal, gęsto przetykanych bielą. Hanani uporała się ze swoimi włosami i stanęła za mentorem, by pomóc mu rozplątać pukle.

– Zdaje się – oznajmił Mni-inh – że będziesz musiała znowu stać się kobietą. Hanani znieruchomiła z dłońmi zanurzonymi aż po nadgarstki w jego włosach.

Żartował?

– Mój cykl płodności już osiągnął miesięczny szczyt, bracie, ale mam całkowitą pewność, że nadal jestem kobietą.

– Nie całkiem. Stłumiliśmy to w tobie, kazaliśmy ci się ubierać jak my i żyć jak wszyscy w Hetawie. To było konieczne, byś stała się jedną z nas i by niektórzy nasi bracia cię zaakceptowali. Ale tu musisz postąpić odwrotnie.

Zaniepokojona Hanani wróciła do rozczesywania jego włosów. Zawsze czuła się kobietą, cokolwiek to oznaczało. Życie sługi Hananji wydawało jej się naturalne i słuszne; czy to nie znaczyło, że jest odpowiednie dla niej, kobiety? Nigdy nie przeszkadzało jej ubieranie się w męskie stroje ani to, że przy uroczystych okazjach zwracano się do niej „*panie*”, bo to wszystko czyniło ją sługą Hananji w oczach jej braci i ludu. Czy bez tych męskich atrybutów... nigdy nie poznasz prawdziwej kobiecości ...mogła służyć Bogini?

Jej dłonie zadrżały we włosach Mni-inha.

Mistrz westchnął, źle odczytując milczenie dziewczyny.

– *Gdyby tylko ten przekłety Nijiri uprzedził mnie, co planuje!* Nie do wiary, że tak nas naraził. – Sięgnął po dłoń Hanani. – Zrobię

wszystko, żeby cię chronić. Ale zrozum, cokolwiek się zdarzy, musimy zrobić wszystko, co trzeba, by przeżyć i wrócić do Gujaarehu.

Wytrącił ją z równowagi.

– Zbieracz Nijiri nie zostawiłby nas wśród tych ludzi, gdyby podejrzewał, że nas skrzywdzą.

– Zbieracz Nijiri dokładnie tak by postąpił, gdyby to służyło jego celom – odparł Mni-inh zimno. – Pamiętaj, śmierć jest dla zbieraczy tylko innym rodzajem spokoju; oni nie myślą tak jak dawcy. Ale posłuchaj. – Ścisnął jej dłoń. – Nie jesteś bezbronna, Hanani, nawet w tej chwili. Domyśliłaś się, prawda? Na tym etapie większość praktykantów się tego domyśla. Ci, którzy leczą, równie łatwo mogą wyrządzać krzywdę. Technika jest ta sama, tylko intencje inne. No i efekt.

Cofnęła się, jeszcze bardziej zaniepokojona. Mni-inh był jej mentorem, starszym bratem, ojcem, związanym z nią wszystkim z wyjątkiem pokrewieństwa. Zawsze uczył ją odróżniać dobro od zła. Ale to... To przeczyło wszystkiemu, czego się nauczyła. I było tak niewłaściwe, że nie znajdowała słów, by to wyrazić.

– Ale... przysięga...? Ni-nigdy nie skrzywdzimy.

– Jeśli ktoś chce skrzywdzić ciebie, o wiele lepiej będzie, jeśli to ty skrzywdzisz drania. – Mni-inh spojrzał na Hanani; kiedy usiłowała odwrócić głowę, jeszcze raz ścisnął jej dłoń. – Nie ma spokoju bez bezpieczeństwa. Dlatego Gujaareh utrzymuje wojsko, i dlatego, mówię ci, rozkazuję, żebyś broniła siebie, jeśli do tego dojdzie. Twoim obowiązkiem jest leczyć ludzi w potrzebie, a nie będziesz mogła tego zrobić, gdy zabije cię jakiś dzikus albo zepsuty współobywatel. – Mni-inh łypnął ponuro na klif; trochę to trwało, aż Hanani zdała sobie sprawę, że chodziło mu o księcia. – Obiecuj mi, że zrobisz, co możesz, by przetrwać.

Szelest wśród drzew, obwieszczający powrót Charrisa, wybawił ją od konieczności odpowiedzi. Oboje wstali, Mni-inh szybko związał włosy, a Hanani sięgnęła po ubrania. Były jeszcze mokre, ale

wschodzące słońce szybko je wysuszy.

Charris nie patrzył na nich, kiedy się ubierali.

– Pani Hendet wstała i chce się z tobą widzieć.

Hanani znieruchomiła, przekładając bandaż przez ramię. Mni-inh sięgnął po swoją draperię.

– Czy coś się stało?

– Nie. Po prostu chce się z tobą widzieć. Z tobą – dodał, ryzykując podniesienie głowy i spoglądając w oczy Hanani. – Nie z twoim mistrzem.

Hanani drgnęła, ale kiedy zerknęła na Mni-inha, on tylko skinął głową. Ubrali się w milczeniu i wrócili do obozu.

Charris zabębnił o napiętą skórę namiotu Hendet i zajrzał do środka, gdy rozległ się cichy głos. Po paru słowach cofnął się i dał znak Hanani, żeby weszła.

Zapach choroby już zaczął odpływać z wnętrza namiotu. Hendet siedziała, oparta na poduszkach. Jej kolana i dywan pod posłaniem pokrywały zwoje. Kobieta nie podniosła głowy, pochłonięta kolumną liczb zapisanych hieroglifami. Hanani, nie wiadomo czemu zdenerwowana, zatrzymała się na dywanie pośrodku namiotu i czekała, niepewna, czy powinna stać, czy usiąść.

– Usiądź – rzuciła Hendet ku jej uldze. Dziewczyna uklękła, jak podczas wielu lekcji w Sali Dawców. Hendet zwinęła przeglądany zwój i w końcu zwróciła na Hanani spojrzenie głębokich, rozumnych oczu. Widać było, że w młodości była piękną, bo i teraz zachowała ślady urody – długą szyję i wdzięczne rysy – choć była zbyt wychudzona z powodu choroby. Stało się też jasne, że książe odziedziczył charakter po niej: w jej oczach pojawił się ten sam chłód.

– A zatem Hetawa dopuściła kobietę – powiedziała Hendet. – Zapewne by się przypodobać Kisuanom?

Hanani spuściła wzrok.

– Tak, pani.

– Powinnam się cieszyć, widząc ich tak osłabionymi... Stosowna zemsta za to, co zrobili mojemu mężowi. – Kobieta westchnęła, po czym spojrzała na Hanani, która nie zdążyła zdusić gniewu. Ale ku jej zaskoczeniu Hendet jakby się zawstydziła. – Wybacz; dla ciebie są rodziną. Od tej pory nie będę mówiła o nich źle w twojej obecności.

Hanani zawahała się, znowu zmarszczyła brwi i w końcu powiedziała to, co przyszło jej do głowy:

– Wolałabym wypowiedziane głośno słowa od ukrywanych złych myśli.

Hendet długo mierzyła ją wzrokiem. W końcu oznajmiła:

– Doskonale. Będziemy wobec siebie szczerze. – Odłożyła zwój i przywołała do siebie Hanani. Dziewczyna wahała się przez ułamek chwili, a następnie uklękła przy posłaniu matki księcia. Ta dotknęła jej kołnierza, badając kamienie. – Jesteś praktykantką. Szkoda; gdybyś była pełnoprawnym dawcą, nosiłabyś rubiny, nie karneole.

– Dlaczego to ma znaczenie, pani?

– Bo musisz być bogata. Dla Banbarrów wartość kobiety wyznacza wiano, które daje jej matka, a to z kolei zależy od majątku, jaki zdąży zbić na rozumnym handlu. Mężczyzna może się wzbogacić dzięki łupom wojennym lub bogatemu ożenkowi, ale kobiecie pozostaje tylko jej spryt. – Puściła kołnierz Hanani, ujęła ją pod brodę i obejrzała jej twarz.

Dziewczyna zniosła te oględziny z pewną konsternacją. Siostra Ahmanat uczyniła to samo. Czego szukały w jej twarzy? Byłoby miło, gdyby któraś zechciała jej to wyjawić.

– Nie jestem Banbarryjką, lecz sługą Bogini – zaprotestowała, starając się mówić obojętnym tonem. – Nie mam nic z wyjątkiem talentu, który mi dała, i umiejętności, jakie zyskałam dzięki moim braciom.

– Tak, to prawda. Dobrze sobie liczyć za uzdrawianie, dziewczyno. Altruizm nie przysporzy ci szacunku w tym plemieniu. – Hanani cofnęła się przed dotykiem Hendet, nie potrafiła dłużej znieść tego

afrontu.

– Nie biorę zapłaty za moje umiejętności. Hendet spojrzała na nią z rozbawieniem.

– Kto kupuje te ładne czerwone draperie, które masz na sobie?

Hanani drgnęła i odruchowo spojrzała na siebie. Rzeczony draperie wydymały się wokół jej kolan. Jak zwykle, były dla niej za długie.

– Barwnik jest drogi – ciągnęła Hendet – zwłaszcza ten ciemny, importowany ze wschodu. Wiem, bo mój mąż Eninket kupował mi takie luksusy. Niewielu innych możnych Gujaarehu mogło sobie na nie pozwolić. A jednak Hetawa odziewa dziesiątki uzdrowicieli w stroje warte małą fortunę. Jakimże to sposobem?

Hanani dotknęła miękkiego materiału draperii, dziwnie zaniepokojona jak nigdy dotąd.

– D-donacje – powiedziała. – Widziałam ludzi w salach danin. Pytają, czy Hetawa potrzebuje robotników, przynoszą w darze pieniądze, żywność i dobra...

– Aż tyle, by opłacić te draperie i kamienie w twoim naszyjniku? I jedzenie, którym karmiono cię przez te wszystkie lata, i posłania, na których sypiałaś, i rzemieślników, którzy budowali cysterny i akwedukty, żebyś mogła się codziennie kąpać? – Hendet pokręciła głową. – Arystokraci płacą...

– *To się skończyło!* – Hanani ścisnęła materiał draperii. – Zbieracze oczyścili Hetawę z tych wszystkich, którzy sprzedawali senną krew dla pieniędzy lub innych korzyści.

Hendet westchnęła, przeciągle i ze zmęczeniem, i ścisnęła dwoma palcami grzbiet nosa.

Dopiero odzyskiwała siły po zagrażającej życiu chorobie; Hanani powinna zalecić jej milczenie i wypoczynek. Ale nie potrafiła zmusić się, by cokolwiek powiedzieć, Hendet w końcu znowu na nią spojrzała.

– Banbarrowie nie czczą żadnych bogów – przemówiła po chwili.

– Wiedziałaś? A raczej z równym ferworem zwracali się do wszystkich bogów, ale żadnego nie wyróżniają. Słyszałam, jak modlą się do Hananji, klną się na Shirloę, pana śmierci, tańczą, by wezwać nocne duchy Vatswane. Widziałam, jak składają całopalne ofiary swoim przodkom i jak nawiedzają ich zwierzęcy bogowie, a od czasu do czasu malują się w paski na podobieństwo Śniącej. Uważasz, że zdradzają tych wszystkich bogów?

Hanani wpatrywała się w nią, dygocząc wewnątrz. Hendet zerknęła na dziewczynę i zaśmiała się cicho – nie złośliwie, lecz z litością, co było dużo gorsze.

– Banbarrowie czczą to, co stworzyło świat, we wszystkich postaciach, jakie przybiera – ciągnęła Hendet – ale nie czczą ludzi. A raczej uważają, że ludzie są tylko ludźmi, nawet ci, którzy uważają się za świętych. Czasem mimo woli zastanawiam się, czy to oni, ci barbarzyńcy, nie mają racji. Przynajmniej nie oszukują samych siebie.

– Mnie nikt nie oszukał – odezwała się Hanani z trudem.

– Nie musiał. Ty wierzysz bezgranicznie, a to wystarczy.

Litość Hendet stała się desperacją; kobieta pokręciła głową, patrząc na zeszywniałą dziewczynę.

– Pomyśl, praktykantko. Co z tymi wszystkimi wielmożami, którzy już się uzależnili od sennej krwi? Nie mogą przestać, bo popadną w szaleństwo i umrą. I co z tymi, którzy proszą o nią z własnej woli, wiedząc, jakie ryzyko niesie? Senna krew daje większą rozkosz niż pasta timbalinowa, jest mocniejsza niż jakiegokolwiek wino czy odurzający dym. Jeśli pragną jej ci, którzy mogą sobie na nią pozwolić, dlaczego Hetawa miałaby ich odesłać z kwitkiem?

Hanani wpatrywała się w kobietę, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa, nie mogąc odsunąć od siebie tego potwornego obrazu, który zaczął jej świtać w umyśle. Ale przez zgrozę przebijał wstyd. Jak mogła być tak naiwna? Przecież to oczywiste. Powinna się była domyślić.

– Hetawa robi w Gujaarehu wiele dobrego – podjęła Hendet łagodniej. – Bez niej osieroceni i chorzy musieliby sami dbać o siebie, a nasz lud tonąłby w takiej ignorancji jak lud innych krajów – niewykształcony, przesądny lub jeszcze gorszy. Nasze życie jest dłuższe i zdrowsze dzięki magii kapłanów. Dlatego Gujaareh nie ma nic przeciwko małym intrygom i wywyższaniu się Hetawy, pod warunkiem jednak że twoi zwierzchnicy nie przekroczą granic przyzwoitości. I dlatego, głupia dziewczyno, powinnaś żądać zapłaty od Banbarrów. Zawsze wynagradzano cię za twoją pracę, czy sobie zdajesz z tego sprawę, czy nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale rób, co uważasz. Udzieliłam ci dobrej rady.

– Dziękuję – powiedziała Hanani, głównie z uprzejmości. Trudno było w tej chwili nie nienawidzić Hendet.

Kobieta skłoniła głowę, choć uśmiechnęła się blado, jakby odgadując, co czuje Hanani.

– A jeśli chcesz usłyszeć jeszcze jedną, sprzedaj ten swój kołnierz. Hanani drgnęła i dotknęła naszyjnika.

– Sprzedać?

– Potrzebujesz różnych rzeczy. Odpowiedniego ubrania. Nocnika i przyzwoitego łóżka. Jesteś głodna, prawda? Tu nikt nie je za darmo. Daj swój kołnierz Charrisowi i każ mu go zanieść do niejakiego Nefriego. Pomoże ci w rachunkach i dobrze zapłaci za klejnoty. Niech twój mentor postąpi podobnie. Podarowałam wam namioty z własnego dobytku; w oczach tego plemienia oznacza to zaakceptowanie was jako moich krewnych. Dlatego Banbarrowie będą zmuszeni traktować was z pewnym szacunkiem, o ile niczym ich nie obrazicie.

„Rób, co musisz, żeby przetrwać”. Hanani dotknęła kamieni naszyjnika i spuściła głowę; w tej chwili nie mogła znieść samej myśli o pójściu za radą Hendet. Ale kobieta знаła tych ludzi.

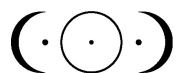
– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego nam pomagasz, skoro tak nienawidzisz Hetawy?

Kobieta uśmiechnęła się spokojnie.

– Bo jesteście sprzymierzeńcami mojego syna. I ponieważ ja także musiałam podjąć trudne decyzje, żeby przeżyć i zapewnić przyszłość mojemu synowi. – Zmierzyła Hanani wzrokiem i dodała: – A także dlatego, że pomimo wszystko cieszę się, widząc w Hetawie kobietę. Teraz odejdz; mam wiele pracy.

Hanani posłusznie wstała. Po chwili wahania skłoniła się Hendet, która odpowiedziała królewskim skinieniem głowy. Dziewczyna wyszła z głową pełną pytań.

17. NEGOCJACJE STALĄ



Wanahomen znalazł trzech swoich ludzi, przykucniętych przy północno-wschodnim punkcie obserwacyjnym. Przekazywali sobie długie oko i chichotali jak niedorostki.

– *I-Dari!* – zawołał jeden z nich na jego widok. – Chodź i popatrz.

– Co znowu za brewerie wyprawiacie? – spytał, podchodząc bliżej. Roześmiany od ucha do ucha Ezack wręczył mu długie oko i wskazał jedno z rozlewisk w dole. Wana przyłożył wizjer do oka, nastawił ostrość widzenia i drgnął. Mężczyźni, czekający na jego reakcję, zarechotali.

– *Z takimi biodrami mogłaby urodzić całą armię!* – powiedział Ezack.

– A tymi piersiami by ją wykarmiła – dodał drugi.

„*Rzeczywiście*” – pomyślał Wanahomen, pozwalając sobie na przelotny uśmiech, gdy kapłanka, naga po kąpieli, wstała, by podnieść ubranie, i zaprezentowała swoje zalety pod szczególnie dobrym kątem. Nie wyróżniała się niczym wyjątkowym, jeśli chodzi o rysy, cerę czy postawę, ale najwyraźniej i niskie gujaareńskie kasty miały się czym pochwalić.

– Słyszałem, że kobiety w Gujaarehu nie znają wstydu – odezwał się Ezack, odbierając mu długie oko – ale nie miałem pojęcia, że aż tak. Tylko popatrz, kąpie się z mężczyzną jakby nigdy nic. To kochankowie?

Wanahomen pokręcił głową.

– Mężczyźni z Hetawy magią tłumią naturalne impulsy; prawie nie zasługują na miano mężczyzn. Podejrzewam, że z dziewczyną

jest tak samo.

– *Dla mnie wygląda na kobietę!*

– Niech no tylko wpadnie w moje ręce – odezwał się któryś z mężczyzn i Wanahomen natychmiast zapomniał o rozbawieniu.

– Unte powiedział jasno, że nie wolno ich krzywdzić – skonstatował, starając się zachować nonszalancki ton.

– Przecież jej nie skrzywdzę – odparł mężczyzna i nawet Ezack dołączył do pozostałych i zaczął się śmiać, choć kiedy zobaczył wyraz twarzy Wanahomena, szybko umilkł.

– Moja matka przyjęła ją do naszego klanu – oznajmił Wanahomen i uśmiechnął się na widok zaskoczenia mężczyzn. – Zawsze chciała mieć córkę. Ja pewnie byłem dla niej nieudaną próbą.

Odwrócił się, by odejść, zanim zadadzą mu kolejne pytania. Nie miał na nie odpowiedzi. Nie wiedział, dlaczego Hendet postanowiła podarować dawcom dwa namioty. A raczej rozumiał jej motywy – dzięki temu oboje zyskiwali wyższy status, a przez to bezpieczeństwo – ale i tak jej czyn nadal go gniewał. On nigdy nie przebaczy Hetawie. Niech kapłani sami się o siebie martwią, tak jak musieli to robić on i jego matka.

– Sprytny ruch – odezwał się jakiś głos. Wanahomen zeskoczył z punktu obserwacyjnego i skamieniał. Potem odwrócił się do Banbarryjki, która do niego przemówiła.

– Witaj, Yanasso – powiedział ostrożnie, z szacunkiem. – Światło poranka błędnie przy twojej jasności.

Kobieta uśmiechnęła się i dała mu znak, żeby poszedł z nią. Tak też uczynił, westchnąwszy w duchu.

– Tassa powiadomił mnie – zaczęła kobieta – że dwoje obcych odprawiło wczoraj jakieś czary nad twoją matką. Czy to prawda?

To pytanie nieco poprawiło mu humor. Hendet obudziła się w lepszym zdrowiu, co zdarzyło jej się po raz pierwszy od lat. Wanahomen pomógł jej się umyć i ubrać, radując się z jej

powracającej siły, nienasyconego apetytu i blasku jej oczu.

– Magia Hetawy to dar naszej Bogini – wyjaśnił. – Jeśli można wierzyć w coś kapłanom, to w to na pewno.

– Miło to słyszeć. Docierają do mnie najróżniejsze plotki o przybyszach, zwłaszcza o kobiecie. Podobno chodzi niemal nago i jest we wszystkim posłuszna swojemu towarzyszowi oraz wszystkim mężczyznom. – Yanassa pokręciła głową z westchnieniem. – Zdaje się, że któraś z nas musi ją wziąć pod swoje skrzydła, zanim nasi mężczyźni wyobrażą sobie coś głupiego.

Wanahomen przystanął, zaniepokojony. Gdyby Yanassa zajęła się dziewczyną z Hetawy, oszczędziłaby mu sporo fatygi, ale jednocześnie stałby się jej dłużnikiem. Nauczył się dawno temu, że Yanassa robi tylko to, co się jej opłaca.

– Czego chcesz? – spytał wprost, porzucając uprzejmość.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Nigdy nie nauczysz się manier? Dziesięć lat wśród nas i nadal zachowujesz się jak miastowy.

– Nie przyjdę znowu do twojego łóża. Już dwa lata temu powiedziałem ci, że to ostatni raz.

– A ja nie chcę cię w moim łóżu. Mam innego kochanka, jeśli nie zauważyłeś. – Na chwilę spoważniała, a w jej oczach pojawił się cień smutku. – Tassa pyta czasem, dlaczego nigdy nas nie odwiedzasz.

– Zrozumie, kiedy będzie starszy i dowie się o metodach twojej płci. Powiedz, czego chcesz w zamian za zajęcie się tą kobietą.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Niczego, Wana. Ta dziewczyna mnie interesuje, to wszystko. Mag w kręgu przyjaciół... to się może opłacić. – Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Bardziej ci się opłaci przyjaźń z szakalem. Nie wolno ufać nikomu wychowanemu przez Hetawę.

Yanassa uniosła wdzięczne łuki brwi.

– A zatem nienawidzisz kogoś bardziej niż mnie? Niemal mnie to cieszy.

Nie nienawidził jej, a ona o tym wiedziała. Wanahomen zatrzymał się i westchnął.

– Zajmij się tą kobietą – powiedział. – Mężczyznę także. Nie mam czasu, żeby ich niańczyć. Wkrótce zjawią się łowieckie oddziały z innych plemion i chcę, żeby moi ludzie zaczęli ćwiczyć strzelanie...

– *Zbliża się przesilenie!* – rzuciła z desperacją. – Dziś zaczyna się święto, a może zapomniałeś?

A niech to. Rzeczywiście zapomniał.

– Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy się jednocześnie przygotowywać.

Zbliża się wojna.

– Nawet wojownicy muszą się podnieść na duchu. – Zmierzyła go znaczącym spojrzeniem i zatrzymała się, by musnąć palcami jego twarz nad zasłoną. – Nawet ty, o wielki władco.

Może napięcie ostatnich dni go zmęczyło, a może Tiaanet rozbudziła w nim pragnienie doznania kobiecej miękkości? W każdym razie pozwolił się dotykać nawet wtedy, gdy Yanassa odchyliła zasłonę na tyle, by odsłonić jego wargi, które musnęła czubkiem palca. Uśmiechnął się leciutko i ujrzał w odpowiedzi podobny uśmiech na jej twarzy. Zawsze podziwiał jej bezczelność.

Potem chwila minęła i Wanahomen ujął rękę kobiety. Pocałował ją i łagodnie odsunął. Bez słowa – bo ostatnio tak niewiele mogli sobie bezpiecznie powiedzieć, a te krótkie spokojne wymiany słów były zbyt delikatne, by je narażać – poprawił zasłonę, skłonił się kobiecie i oddalił się.

Najpierw zszedł na dół, gdzie podobnie jak kapłani skorzystał z szansy wykąpania się po długiej podróży. Gdy plemię stacjonowało w Merik-ren-aferu, nie potrafił się powstrzymać przed powrotem do starych gujaareńskich nawyków kąpania się rano i przed snem. Wydawał nawet część cennej wymienialnej waluty, by kupować w Gujaarehu bardzo dobre mydła i pachnące olejki,

które przedkładał nad zwykłe mydła z popiołu i łożu, używane przez Banbarrów. Ci kręcili głowami, dziwiąc się jego niemądrym miejskim zwyczajom, gdyż sami zażywali kąpieli bardziej oszczędnie, a mając awersję do marnowania wody, słynęli z „mycia”, które polegało na zeskrobywaniu naskórka i potu za pomocą piasku. Na pustyni lub przedgórzu Wanahomen postępował tak samo, ale kiedy znajdowali się w okolicy obfitującej w wodę, nie widzieli powodu, by z tego nie skorzystać.

Może dlatego, skupiony na przyjemności codziennego rytuału, nie usłyszał nadejścia napastnika. Właśnie wyszedł na brzeg, nieufnie zerkając na punkt obserwacyjny położony na urwisku, by się upewnić, że nie błyszczy na nim długie oko, kiedy zaniepokoił go ruch na skraju pobliskiego zagajnika. Odwrócił się w samą porę, by chwycić za przegub starszego mężczyznę z zasłoną na twarzy i z oczami przepełnionymi nienawiścią. Nóż trzymany przez napastnika zatrzymał się w odległości kilku centymetrów od brzucha Wanahomena. Książę usiłował myśleć pomimo wstrząsu. Oczy tego mężczyzny wydawały mu się znajome, ale...

Napastnik warknął i pchnął księcia nożem, używając całej swojej masy. Udało mu się lekko przeciąć skórę brzucha Wanahomena. Ten syknął z bólu i zgiął się, odpychając rękę nieznajomego i przenosząc ciężar ciała na drugą nogę; nagle przestał go odpychać i pociągnął do siebie. Napastnik stracił równowagę i runął jak długi. Wanahomen nie puścił jego przegubu; szybko przerzucił nogę przez jego ramię i upadł na ziemię w zapaśniczym chwycie, którego niegdyś nauczył się od pałacowej gwardii z Kite-yan. Przyszpilił mężczyznę do ziemi; jedną nogą obejmował jego pierś, drugą ścisnął ramię, które teraz ostro wykręcił. Mężczyzna krzyknął i upuścił nóż, ale książę go nie uwolnił.

– Kim jesteś? – warknął. Napastnik zaklął i szarpnął się, chcąc wstać, ale nie mógł się na niczym oprzeć. Wanahomen przycisnął ostrzegawczo jego rękę; mężczyzna krzyknął z bólu.

Uświadomił sobie, że przeciwnik jest gotów złamać mu ją w łokciu. – Kim jesteś, tchórze?

– Wutir – wykrztusił w końcu mężczyzna. – Wuj Wuddzaha.

Ach, więc to tak. Wanahomen westchnął z niesmakiem i odepchnął od siebie rękę leżącego. Wstał, zabierając nóż. Był brudny od szamotaniny na ziemi, rana na brzuchu krwawiła, ale bardziej martwiła go jego nagość. Banbarrowie nie rozbierali się w obecności innych, a ukazanie się wrogowi bez ubrania uważali za największe upokorzenie. Wutir niewątpliwie liczył, że wstyd odbierze Wanahomenowi zręczność ruchów.

Ale księżę był Gujaareńczykiem, nie Banbarą. I kiedy Wutir dźwignął się na nogi, Wanahomen przystąpił do niego i przystawił mu do gardła odebrany nóż. Wutir zamarł; jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

– Ręce do góry – rozkazał księżę i napastnik po chwili wahania niechętnie wykonał polecenie. Wanahomen obmacał go w pasie, poszukując ukrytej broni. Potem przykląkł, szukając noża przypasanego na udzie lub kostce. Nie znalazłszy go, znowu się wyprostował i objął Wutira w pasie gestem, który mógłby się wydawać poufały, gdyby nie nóż przytknięty do krtani mężczyzny i nie krew, brudząca ubranie napastnika.

– Chyba nie rozumiesz – wycedził – że to Wuddzeh popełnił błąd. Sprzeciwił się moim rozkazom. Jestem przywódcą grupy. Sam doprowadził do swojej śmierci.

– Jesteś... – Twarz Wutira, który szarpnął się w ramionach księcia, pociemniała z wściekłości i obrzydzenia. – Jesteś obcym demonem, którego trzeba było wykastrować i sprzedać na aukcji...

Wanahomen roześmiał się jadowniczo i przestał ścisnąć Wutira w pasie. Bez trudu odsunął szatę mężczyzny i znalazł sznurek jego spodni; z jeszcze większą łatwością zerwał sznurek i rozerwał spodnie. Wutir zakrztusił się i szarpnął gwałtowniej, ale księżę przycisnął nóż do jego gardła na tyle mocno, że przeciął skórę. Wutir zastygł, zgrzytając zębami. Wystarczyłoby, żeby Wanahomen poruszył ręką, a odebrałby mu życie.

– Ale mnie nie wykastrowaliście – powiedział księżę z uśmiechem

nienawiści. Ku jego rozbawieniu członek Wutira sterczał, może z podniecenia walką, a może... – *Zdaje się, że mnie pożądasz!* Mnie, miastowego demona. Zjawiał się, kiedy kąpałem się nago, i zaatakował mnie, chcąc zdobyć moje ciało w zemście za swojego bratanka. Ale niestety, nie mam upodobania do brzydkich mężczyzn, więc...

Chwycił mocno członek Wutira i z całej siły go obrócił.

Wrzask mężczyzny sprawił mu rozkosz.

Wanahomen położył Wutira na ziemię, nie przestając trzymać noża przy jego gardle, choć wspaniałomyślnie pozwolił mu się zwinąć w łkający, wyjący kłębek. By jeszcze bardziej znieważać przeciwnika, zdarł zasłonę z jego twarzy i rzucił ją do rzeki.

– Jestem winien Yanassie rozrywkę. – Uśmiechnął się do Wutira, zaczekawszy, aż ten ochrypnie od wrzasku. – Może szepnę jej słówko o tym, co zamierzałeś zrobić i co cię spotkało z mojej strony. A dziś, podczas obchodów święta, kiedy kolejne kobiety będą cię zapraszały do swych namiotów, a ty będziesz musiał im wszystkim odmówić, całe plemię będzie się śmiało z twojego upokorzenia.

Wutir zdołał posłać Wanahomenowi wściekłe spojrzenie, jego twarz lśniła od potu.

Zresztą było to najmniej groźne ze wszystkich wściekłych spojrzeń świata. Wanahomen roześmiał się i w końcu odsunął nóż od gardła leżącego. Cofnął się i przykucnął nad rzeką. Opłukał się i starannie wyszorował piaskiem dłoń, którą ukarał Wutira. Nie wiadomo, jakie świństwa na niej zostały. Potem, położywszy nóż na pobliskim głazie, sięgnął po schnącą odzież i szybko się ubrał, przez cały czas obserwując leżącego.

– N-nie – wykrztusił w końcu Wutir. Nadal się kulił, trzymając kurczowo rękę między udami. – N-nie mów... kobietom.

Wanahomen włożył sandały i wziął nóż. Usiadł na głazie, by się mu przyjrzeć. Dziwne, lecz ostrze było dobrej jakości – stal Huhoja, a jakże, południowego plemienia, słynącego z wytwarzania sztyletów. Broń miała tylko pięćdziesiąt długości, ale była dobrze

wyważona. Nie zauważył na stali żadnych zacieków, które wskazywałyby na obecność trucizny, za co podziękował wszystkim dzieciom Śniącej. Ktoś bardziej inteligentny czy przewidujący zwiększyłby w ten sposób swoje szanse; najwyraźniej Wutir nie mógł się pochwalić tymi zaletami.

– Jaką mogę mieć inną gwarancję, że twój klan przestanie mnie prześladować? Że każdy słabowity tchórz z twojego rodu przestanie mnie ścigać w zemście za twojego durnego kuzyna? Czy to twoja matka cię przysłała?

Wutir gwałtownie potrząsnął głową.

– N-nie wiedziała...

– Dobrze. Zawsze wydawała mi się rozsądna, choć jest uprzedzona do mojej matki i do mnie. Jak sądzisz, co pomyśli, kiedy przez twoją głupotę stanie się pośmiewiskiem swo ich ważnych przyjaciół? – Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej garść daktyli, część niewielkiego zapasu, który przywiózł z Gujaarehu. Żując owoc, owinął nóż w skrawek skóry z sakiewki i przyjrzał się w zamyśleniu Wutirowi. – Ciekawe, czy cię wydziedziczy?

Wutir tylko jęknął. Wanahomen parsknął cichym śmiechem i wstał, chowając nóż i resztę daktyli. Podszedł do leżącego i przykucnął przy jego głowie. Wutir spojrzał na niego i się wzdrygnął, bo Wanahomen już się nie uśmiechał. Tak bardzo chciał zabić Wutira, że ręce same wrywały się do noża, tęskniły za śliską wilgocią krwi. *Żaden wróg od lat nie zdołał zagrozić mu tak, jak ten głupiec! Akurat teraz, gdy jego plany stały się tak bliskie zrealizowania!*

A jednak...

„Nie zabijaj pochopnie, Wanahomenie. – Dobiegł do niego głos ojca, przebijający się przez huk żądzы krwi. – To obraza Hananji, a poza tym istnieją inne, lepsze sposoby, by unicestwić wroga”.

– Zrozum to – powiedział Wanahomen. Mówił cicho, żeby Wutir przestał skomleć i skupił się na jego słowach. – Dziś wszyscy zobaczą, jak wracasz do obozu ledwie żywy, prawie pełznąc. Mogą się zacząć zastanawiać, co się stało; wymyśl sobie jakieś

wytłumaczenie, kiedy będziesz tu leżał. Oczywiście nikt w nie nie uwierzy. Wszyscy zobaczą krew na twoich i moich szatach i zrozumieją, kto ci zrobił krzywdę, choć nie będą wiedzieli jaką konkretnie i dlaczego. Ale ja będę milczał... na razie.

Pochylił się do Wutira. Wiele ryzykował. Jeśli mężczyzna ukrył gdzieś broń... Ale niektóre wiadomości najlepiej przekazywać właśnie tak, oko w oko.

– Twoja matka chce przekonać inne plemiona Banbarrów, by nie popierały mojej sprawy – powiedział. – I może odnieść sukces, skoro jej wuj dowodzi plemieniem Dzikhów. Jeśli mamy mieć jakąś szansę przeciwko Kisuanom w Gujaarehu, potrzebuję lojalności wszystkich wojowników. Więc teraz mi powiesz, co planuje Shatyrria.

Wutir spojrział na niego z przerażeniem.

– Z-zdradzić mój klan? Oszalałeś?

– Wytłumaczyłem ci, co się stanie, jeśli się nie zgodzisz. Czy po czymś takim twój klan pozwoliłby ci zostać?

Wutir jęknął i zaczął płakać. Wśród Banbarrów mężczyzna niemogący płodzić dzieci był niczym. Płodność uważano za bogactwo, ciało za świętość; to, co w Gujaarehu nie miało żadnego znaczenia, tu stanowiło kwestię życia i śmierci. Żadna kobieta nie uznałaby go za swojego kochanka. Żaden przywódca łowców nie wziąłby go do swojej grupy. Stałby się bezużyteczny, w najlepszym razie – maskotką plemienia, w najgorszym – niewolnikiem, skazanym na nieistnienie, na życie w nędzy.

– Pokaż, że zrozumiałeś – zachęcił Wanahomen.

Wutir skinął głową, odwracając twarz, po której płynęły łzy. Księżę wstał i wrócił do głazu. Oprócz pogardy poczuł raptem litość.

– Jeśli będę z ciebie zadowolony, może za parę dni pozwolę gujaareńskim uzdrowicielom spotkać się z tobą. Przyślę ci mężczyznę, nie kobietę, byś zachował godność. On sprawi, że nawet twój żalony kijek stanie prosto bez względu na to, jak poważny jest uraz.

Wutir znowu skinął głową. Czuł się tak, jakby z jego ciała uszło

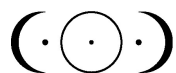
życie.

– Więc przemów – rozkazał Wanahomen i Wutir przemówił.

Gdy w końcu książę dowiedział się wszystkiego, wrócił do obozowiska, zasłoniwszy twarz, by ukryć niepokój. Shatyrria działała szybciej, niż się spodziewał, a to znaczyło, że Banbarrowie z plemienia Dzikhów będą stanowili poważny problem, kiedy już dotrą na miejsce. Będzie musiał znaleźć sposób, żeby szybko się z nimi rozprawić.

Wutirowi, który leżał, drżąc, na ziemi, nie poświęcił już ani jednej myśli.

18. NEGOCJACJE MILCZENIEM



Spośród wszystkich dziwacznych konfiguracji gujaareńskiego społeczeństwa – kast rodowitych i wybranych, dzieci z prawego i nieprawego łóża, służących, którzy nie byli niewolnikami, i osób dających rozkosz, lecz niebędących prostytutkami – shunhowie stanowili grupę, której istotę Sunandi Jeh Kalawe potrafiła zrozumieć.

Gujaareh był pełen cudzoziemskich wpływów, od północnej architektury po zachodnią muzykę i wschodnie tkaniny. Jego język stanowił mieszankę tak skażoną obcymi naleciałościami, że prawie nie przypominał sua, w którym niegdyś mówili tutejsi mieszkańcy. W połowie przypadków Sunandi nie potrafiła odróżnić Gujaareńczyków od przedstawicieli innych narodowości; mieszkańcy tego kraju tak swobodnie łączyli się z cudzoziemcami, że tylko oni potrafili się rozeznąć w tym estetycznym chaosie.

Shunhowie stanowili nieruchome kamienie, które omywała ta rwąca rzeka społeczeństwa. Podczas gdy równi im zhinhowie dążyli do tego, by rozszerzać gujaareński handel i umacniać władzę, shunhowie dbali, by ten pęd nie zaniósł ich za daleko lub za szybko i by nie doprowadził do roztrwonienia zasobów kraju. A jeśli czasem zarzucano im zacofanie lub staroświeckość, nie zmieniało to faktu, że Gujaareh nigdy nie stałby się tak wielki bez ich niezmiennego, rozsądnego umiarkowania.

Ale Sunandi nigdy nie pozwalała sobie zapomnieć, że pomimo wierności kisuańskiej tradycji shunhowie pozostawali niepoprawnie, obłąkanie gujaareńscy.

Pan Sanfi i jego córka Tiaanet przybyli do pałacu Yanya-iyana

na jej zaproszenie; Sunandi zachowała ten nawyk z czasów, gdy była ambasadorem, i nadal przyjmowała wszystkich notabli z miasta. Choć posiłek był udany, a goście zachowywali się nieskazitelnie, od samego początku wydali się jej dziwni. To wrażenie było mało wyraźne, ale uporczywe – pod koniec posiłku Sunandi była pewna tylko jednego: Sanfi jej się nie podoba. Wcale.

– Byłoby wam łatwiej, gdybyście zachowali przy życiu któreś z dzieci dawnego księcia – powiedział jej gość.

Sunandi, popijająca młode wino palmowe i odpoczywająca na poduszkach po jedzeniu, nie odpowiedziała. W trakcie rozmowy zorientowała się, że Sanfi był bardziej wyrozumiały dla Anziego niż dla niej podczas dyskusji na kontrowersyjne tematy. Gdy to ona kwestionowała jego opinie, stawał się napastliwy, a w jeszcze gorszy humor wpadał, gdy wytykała mu błędy w rozumowaniu. Najprawdopodobniej był uprzedzony do kobiet – powszechna przypadłość wśród gujaareńskich mężczyzn. Może dlatego jego córka Tiaanet nadal zachowywała milczenie.

Jej Anzi, który nie miał takiego problemu, przejął prowadzenie rozmowy; przywykł do reagowania na jej najsubtelniejsze sygnały.

– W stolicy nadal mieszka parę dzieci Zachodu Słońca – powiedział. Pyknął z fajki, którą Sunandi pozwalała mu palić w swoich apartamentach tylko po takich posiłkach. Nadszedł wieczór, wilgotny, lecz chłodniejszy, a na pałacowym dziedzińcu w dole wynajęta śpiewaczka rozpoczęła łkający pean na cześć zmroku. – Pozwoliliśmy im żyć, o ile zrzekną się prawa do gujaareńskiego tronu.

– Nie o nich mówię – rzucił Sanfi pogardliwie. – Te z miasta to głównie córki, a synowie są zbyt młodzi lub głupi, żeby zyskać poparcie. Nikt by nie odpowiedział na ich wezwanie.

– W Gujaarehu rządziły już księżne – zauważyła Sunandi, obracając puchar w dłoniach.

– To prawda. Ale wszystkie musiały starać się bardziej

od mężczyzn, by zyskać szacunek i władzę. – Sanfi pochylił się, by dolać jej wina: wcielenie dobrych chęci. – Syn z prawego rodu mógłby łatwiej stać się figurantem. Ubierzcie go w piękne stroje, postawcie za nim Aureolę, a ludzie z taką radością powitają odzyskaną Inkarnację Hananji, że ten niepokój, którego ostatnio byliście świadkami, z pewnością ustanie. Nawet jeśli to Kisua będzie nadal rządziła.

„Czy on naprawdę uważa nas za takich głupców? – pomyślała Sunandi, kiwając głową z wdzięcznością i upijając łyk wina. – Sądzi, że nie pomyśleliśmy o takiej możliwości?” Ona sama zaproponowała Radzie Kisuańskich Protektorów wykorzystanie jednego z książąt. Niestety, po czyszkach w Hetawie i przetasowaniach w kręgach władzy ci potomkowie księcia, którzy mieli trochę oleju w głowach, uciekli na północ lub zachód bądź też zabezpieczyli się poprzez małżeństwa i przymierza z kisuzańską elitą. Ci nieliczni, którzy pozostali, do niczego się nie nadawali – dzieci, darmozjady albo ktoś jeszcze gorszy.

A ten, który mógłby przysłużyć się najlepiej, ten z prawego łóża, ulubiony przez ojca i, jak twierdzili świadkowie, posiadający inteligencję i wygląd prawdziwego władcy... o nim nikt nie słyszał od dnia śmierci poprzedniego księcia. Choć po rozmowie z Nijirim Sunandi zaczęła podejrzewać, że wie, do czego zmierza ten chłopiec.

„I dobrze. Gdyby został w mieście, pewnie musiałabym go zabić”.

– A ty masz kandydata na takiego figuranta? – spytał Anzi z rozbawieniem.

– Nie, nie, skąd – rzucił Sanfi ze śmiechem, choć brzmiała w nim fałszywa nutka.

Siedząca u jego boku córka nawet się nie uśmiechnęła. – I szczerze mówiąc, teraz Kisua nie zdąży już znaleźć sobie figuranta, który nie stałby się pośmiewiskiem. Niestety przez ostatnie lata wasz lud stracił wiarygodność w oczach Gujaareńczyków. Na przykład ten podatek od eksportu na północ...

– Był konieczny – przerwała Sunandi z uśmiechem, na który nie

miała ochoty, po pierwsze dlatego, że Sanfi zachował się impertynencko, poruszając ten temat, a po drugie dlatego, że Protektorat wymusił na niej wprowadzenie tego podatku, choć tłumaczyła, że to jeszcze bardziej wyalienuje bogatsze rodziny w kraju. W Kisui narastała niechęć do okupacji Gujaarehu, więc Protektorat starał się ułagodzić rozgniewanych obywateli zwiększeniem zysków. Ale nawet po wprowadzeniu tego podatku Gujaareh nie stał się źródłem bogactw, którego spodziewali się Protektorzy. Pozbawiony importowanych z północy artykułów luksusowych, kraj nie zgodził się przyjąć w zamian towarów z południa, oferowanych przez Kisuę. Gujaareńczycy obywali się bez nich. Zmuszeni do kupowania kisuańskiego drewna budowlanego, przestali stawiać domy. Mało tego, zmuszeni do angażowania swoich służących na warunkach bardziej przypominających kisuańskie niewolnictwo (w Kisui doskonałe źródło zarobków), zaczęli wysyłać swoich służących do mieszkających w zamorskich krajach krewnych. Teraz koszt robocizny w stolicy i większych miastach stał się trzy razy wyższy, i było tylko kwestią czasu, kiedy zacznie brakować jedzenia, ubrań i innych niezbędnych rzeczy.

Nawet Sunandi była tym wszystkim zaskoczona, bo nic na to nie wskazywało. Jej szpiedzy wiedzieliby o istnieniu spisku – knowaniach kupców czy wieśniaków – bądź rewolcie służących. Ale jak się okazało, całe królestwo po prostu spontanicznie i niespodziewanie postanowiło buntować się na wszystkie możliwe sposoby. Gujaareńczycy nie walczyli. Nie protestowali. Ale i nie byli posłuszni.

Im dłużej Sunandi pozostawała w Gujaarehu, tym bardziej rozumiała, że zniszczono coś ważnego, jakąś delikatną równowagę, która zapewniała stabilność – i bezpieczeństwo – kraju.

Ale nie miała zamiaru wyjaśniać tego Sanfiemu.

Powiedziała tylko:

– Widzieliśmy już, co się dzieje, kiedy Nordowie kupowali doskonalszą broń i lepsze towary. *Anzi powiada, że po wojnie, kiedy otoczono wojowników z północy, znaleziono u nich więcej gujaareńskich*

łuków niż tych wyprodukowanych przed nich samych! Te łuki przywieźli na nasze wybrzeża, by przelać kisuańską krew.

– Gujaareńskie łuki słyną na całym świecie – zauważył Sanfi, wzruszając ramionami. – Nasi kupcy równie chętnie sprzedają je w Kisui, co na północy. Dajże spokój, Mówczyni, wszyscy wiemy, że nie z tego powodu wprowadzono podatek.

– Możliwe – nie dawała za wygraną Sunandi; uśmiechała się nadal, choć pozwoliła sobie na odrobinę ostrzejszy ton. Męczył ją ten człowiek, któremu się wydawało, że urokiem osobistym zrekompensuje swoją bezczelność. – Ale to jedyny powód, który ma znaczenie dla ciebie.

Sanfi przestał się uśmiechać. W jego oczach mignął gniew i jakiś inny błysk, który wysoce zdenerwowałby Sunandi, gdyby znajdowali się sam na sam. Widywała już taki wyraz w oczach innych mężczyzn i wiedziała, co to jest: nienawiść.

Ale zanim Sanfi zdołał wyrazić to uczucie słowem lub czynem, Tiaanet niespodziewanie przerwała milczenie.

– To powinno mieć znaczenie dla nas wszystkich, Mówczyni – powiedziała. Miała głos niski jak na kobietę, ochryply; Sunandi domyślała się, że sam ten głos potrafi łamać serca. – Słyszałam, że Protektorzy są niezbyt zadowoleni zmniejszeniem dochodów w Gujaarehu, zwłaszcza odkąd atakują nas Banbarrowie. Czy to źle wróży gujaareńskim rządóm i gujaareńskiej rządzącej?

W komnacie zapadła cisza. Anzi wpatrywał się w Tiaanet, oszołomiony jej bezczelnością, Sanfi odwrócił się i przeszył córkę wściekłym spojrzeniem. Sunandi po chwilowym zaskoczeniu doszła do wniosku, że ten wieczór nagle stał się o wiele ciekawszy.

„Mała inteligentna lamparcico! Twój ojciec jest głupi, trzymając cię na smyczy”.

Sunandi skinęła głową, jakby przyznawała dziewczynie zwycięstwo w tej słownej potyczce. Tiaanet odwzajemniła ten gest, poważna jak zawsze.

– Twoja córka jest dobrze poinformowana, panie Sanfi –

stwierdziła Sunandi. Nie mogła pohamować uśmiechu. Sanfi spojrzał na nią z konsternacją, ale kiedy uświadomił sobie, że Sunandi nie jest obrażona, odetchnął.

– Powinna być, jako spadkobierczyni szanowanego rodu swojej matki – odparł, ale jednocześnie rzucił Tiaanet spojrzenie bez wyrazu. A ona – *znowu osobliwa reakcja!* – spuściła oczy jakby zawstydzona. Właśnie ocaliła ojca przed politycznym samobójstwem. Powinien być z niej dumny, a ona powinna się cieszyć. Takie są obyczaje Kisuan i shunhów. Co na bogów dzieje się między tymi dwojgiem?

Sunandi uprzejmie odmówiła Anziemmu, który chciał ponownie napęścić jej kielich.

– I w zasadzie ma rację. Ale bądź spokojny; jeśli gniew Protektorów wzbierze, bezpieczeństwo mojej pozycji stanie się najmniejszym ze zmartwień Gujaarehu.

– I cóż mogłoby się stać? – Sanfi pociągnął łyk ze swojego kielicha, może po to, by udać beztroskę. Ale on także był zdenerwowany; Sunandi widziała, że słucha uważnie.

– Pełnię tę rolę z uprzejmości – oznajmiła. – Jestem w Gujaarehu znana i raczej szanowana. Ja także szanuję twoich rodaków. Z tego powodu okupacja ma łagodniejsze oblicze niż zwykle. – Poruszyła swoim kielichem, kołyszając resztką niedopitego wina. Spoglądając spod rzęs, zauważyła, że Sanfi wpatruje się w nią uważnie. – Ale jeśli Protektorzy mnie usuną, będzie to znaczyło, że stracili zainteresowanie łagodną polityką. Obejmą bezpośrednią kontrolę nad stolicą i większymi miastami. Zaprowadzą brutalniejsze środki przymusu. Jeszcze wyższe podatki. Masowe egzekucje i obowiązkowe niewolnictwo. Przymusowy pobór do kiswańskiego wojska. Racjonowanie żywności.

Sanfi zmarszczył brwi.

– A co z Hetawą?

Dlaczego o tym pomyślał?

– Powiedziałam Protektorom jasno, że Hetawa na razie z nami

współpracuje. W ramach wdzięczności za tę współpracę i za przysługę, którą wyświadczył nam wasz zbieracz Ehiru, rozprawiając się z Eninketem, Protektorzy zapewne pozwolą Hetawie na dalsze funkcjonowanie na obecnych warunkach, przynajmniej przez jakiś czas.

Sanfi prychnął pogardliwie.

– Powinnaś uważniej obserwować Hetawę. Niegdyś rządziła ona Gujaarehem i naginała wszystkich możliwych do podporządkowania się swojej woli. Twój lud nie przywykł do magii. W pewnych rękach może ona stanowić straszną broń.

– Broń – powtórzył Anzi z powątpiewaniem, choć Sunandi wiedziała, że to podstęp.

Oboje byli obecni dziesięć lat temu na płaskowyżu Soijaro i widzieli masakrę, urządzoną przez Kosiara Eninketa. – Zaklęcia snu i uzdrawianie? I co nam zrobią? Zaatakują naszych żołnierzy i ulecą ich choroby? Podarują im wypoczynek?

Sanfi uśmiechnął się, ale wzruszył ramionami.

– Magia występuje w wielu postaciach. Nie wszystkie są dobroczynne. Kto może zgadnąć, na co stać Hetawę?

Anzi zerknął na Sunandi, równie zaskoczony jak ona. Dlaczego pan Sanfi poruszył ten temat?

– Będę o tym pamiętała – obiecała Sunandi gościowi ostrożnie i całkowicie szczerze. Reszta wieczoru minęła szybko. Nie rozmawiano już o polityce; ostrzegłszy ich przed Hetawą, Sanfi unikał już drażliwych tematów, skłaniając się raczej ku plotkom o innych wielmożach. Sunandi pozwalała mu na to bez sprzeciwu. Po ostatniej flaszy wina Sanfi obsypał gospodarzy zwyczajowymi pochwałami i podziękowaniami, spełnił ostatni toast na cześć ich przodków i w końcu wyszedł wraz z córką.

Sunandi zorientowała się, że siedzi jak skamieniała, wpatrzona w puste miejsca po swoich gościach, nieustannie odtwarzając w myślach rozmowę. Anzi, który czuł się dużo bardziej swobodnie, odkąd pozbył się generalskiej opończy (nie znosił formalnych

strojów i wkładał je tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne), położył się obok niej, opierając głowę na jej udzie.

– Przestałaś już być Głosem Protektorów?

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po czole, rozbawiona. Nigdy nie interesował się polityką; często się zastanawiała, jak wobec tego awansował tak wysoko. Może dlatego, że grał w tę grę tylko wtedy, gdy musiał. A takie wieczory znosił jednak wyłącznie ze względu na nią.

– Zawsze jestem ich Głosem, mój ukochany. Ale dla ciebie mogę przez jakiś czas nim nie być.

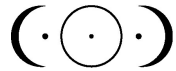
Zmarszczył brwi; jego szerokie czoło sfałdowało się pod jej palcami.

– Dziwna para z tych ludzi. Jeszcze nigdy nie widziałem córki shunhów tak... no, nie wiem. Zastraszonej.

Sunandi skinęła głową z przekonaniem. I dlaczego jej się wydawało, że wyłącznym zamiarem Sanfiego było obudzenie w niej podejrzeń wobec Hetawy?

Anzi wykorzystał moment, usiadł i pocałował ją. Teraz wymagał jej uwagi; jak na takiego twardego wojownika potrafił się zachowywać jak największy pieścuch, kiedy ogarniał go taki nastrój. A Sunandi zgodnie z obietnicą odsunęła od siebie troski i zwolniła siebie z odpowiedzialności, by przez resztę tej nocy być tylko jego żoną.

19. BARBARZYŃSTWO



W powierzchni zwierciadła z cienkiego arkusza metalu odbijała się postać kobiety: niezbyt wysoka, o włosach w kolorze miodu i migdałowej cerze, o ustach soczystych jak pola wokół Krwi Bogini. Kohl podkreślał jej oczy, brąz barwił wargi. Miała misterną fryzurę; włosy na czubku głowy ściągnięto jak zwykle w kok, ale przepleciono go dodatkowo sznurami białych muszelek z odległego Zachodniego Oceanu. Z pozostałych pasm włosów uwito z tuzin loków, których końce udekorowano ciężkimi złotymi ozdobami w kształcie łez. Te zdobienia uderzały o siebie przy każdym ruchu głowy, wydając przyciągający uwagę cichy grzechot.

– Ujdzie – orzekła Banbarryjka stojąca obok Hanani. Mówiła po gujaareńsku, choć z wyraźnym akcentem. Przesunęła palcem po jednym z krzyżującym się pasów, przytrzymujących na biodrach nową wielowarstwową spódnicę. Hanani drgnęła, uciekła wzrokiem od swojego odbicia, by po chwili znowu do niego wrócić. Nie potrafiła się powstrzymać od pochłaniania oczami odbijającej się w lustrze obcej osoby.

Yanassa mruknęła z przyjemnością na widok jej reakcji.

– *W tym tempie szybko staniesz się próżna!*

Hanani odwróciła się do niej ostrożnie, nie potrafiła się jeszcze poruszać w nowej spódnicy. Jak jej nie przydeptywać? Będzie musiała się tego nauczyć.

– Yanasso... ja... ja nigdy... – Spojrzała na siebie. – Nie wiem nawet, jak na to zareagować. Ta kobieta nie jest mną. – Uniosła ręce, ozdobione bransoletami i szarfą z frędzlami. Jak to się stało, że te ramiona należą do niej? Powinny być nagie, bez zdobień, by jej

dłonie mogły się poruszać szybko i zwinnie, ratując życie. A jednak to były te same ramiona, te same dłonie.

Yanassa uśmiechnęła się z zadowoleniem. Przyszła do Hanani tego ranka, gdy Charris odniósł kołnierze dziewczyny i Mni-inha do „mistrza rachunków”, kimkolwiek był. Z Yanassą zjawiała się mała horda rozgadanych Banbarryjek, które wdarły się tłumnie do namiotu Hanani i rzuciły się na nią z ubraniami, kosmetykami, klejnotami. Gdy dziewczyna próbowała słabo protestować, Yanassa oznajmiła zwięźle:

– Podarowałaś cenną rzecz plemieniu. – Tu powiodła palcem wokół szyi, co miało symbolizować naszyjnik Hanani. – Twój kapłan powiadomił nas, że wasze majątki mają być rozdzielone równo. A Hendet przyjęła was do swojego rodu. Jesteś teraz bogatą kobietą z dobrego klanu, a w oczach mojego ludu to zmienia wszystko.

I tak najwyraźniej było. Przez cały ten czas, gdy odbywała się przemiana Hanani, mężczyźni i dzieci z plemienia przybywali do jej namiotu, przynosząc dodatkowe pośłania, poduszki, latarnie, dywany, pojemniki z jedzeniem. Wszystkie przedmioty codziennego użytku, których tak jej brakowało – oraz nocnik. Na rozkaz Yanassy kobiety wyszły i wróciły z kolejnym kompletem ubrań podobnych fasonem do tego, który miała na sobie, z bielizną, sandałami oraz tak wielkim wyborem biżuterii, jakiego dziewczyna nie widziała nigdy w życiu.

– Wartość za wartość – powiedziała Yanassa mocnym głosem, akcentując każde słowo. Sprawdziła każdą przyniesioną paczkę, kilka z nich odesłała, głośno wymyślając, czemu Hanani przyglądała się w osłupieniu.

– Nie przepadamy za gośćmi, ale nikt nigdy nie powie, że Banbarrowie oszukują w handlu.

Dzięki takim ciętym uwagom, wygłaszanym jak hetawskie mądrości, Hanani zaczęła rozumieć niektóre osobliwości zachowania Banbarrow. Na przykład zwyczaj zasłaniania twarzy przez mężczyzn; nie chodziło tylko o wrogą postawę wobec obcych. Yanassa wyjaśniła, że ponieważ to mężczyźni przynoszą łupy

z polowania i napadów, muszą się chronić przed rozpoznaniem. Kobiety, którym nie zagraża aresztowanie czy śmierć, mają obowiązek wymieniać przyniesione zdobycze na inne towary. Dlatego mężczyźni muszą ukrywać swe twarze wśród obcych, zaś kobiety posiadły tajniki handlu, by zaspokoić potrzeby plemienia.

– Matka nauczyła mnie gujaareńskiego i czterech innych języków, a także pisanie, liczenia i inwestowania – wyjaśniła Yanassa z dumą. – Nie traciła czasu na moich braci. Ale mnie nie skąpiła niczego, bo wiedziała, że pewnego dnia zdobędę wielkie bogactwo dla naszego klanu.

I najwidoczniej tak było, bo wszyscy znani Hanani Banbarrowie i Banbarryjki odnosili się do Yanassy z wyraźnym szacunkiem, posłuszni prawom jakiejś niezrozumiałej hierarchii.

– No, myszko – dodała Yanassa (to określenie nie spodobało się Hanani, ale przynajmniej brzmiało pieszczotliwie) – na dzisiejszych uroczystościach musisz uważać, żeby się nie narzucać.

Tak robią kobiety z miast, a to nie budzi szacunku naszych mężczyzn. Twoja wartość jest i tak widoczna, nie ma potrzeby starać się jeszcze bardziej.

Hanani zmarszczyła brwi.

– Nigdy się nie narzucam – powiedziała powoli, na wypadek gdyby czegoś nie zrozumiała. – Nawet nie wiem, co masz na myśli...

– Więc powinno być ci łatwo. Mężczyźni nie będą cię zaczepiać, gdy zobaczą, że jesteś przyzwoitą kobietą. Ale jeśli jednak będą naciskali, daj mi znać. Niektórzy z nich są głupi. Ci rozsądni wykażą swoje zainteresowanie w subtelny sposób. Poznasz ich przez dotknięcie, spojrzenie, niespodziewaną życzliwość. Jeśli ty też zapragniesz takiego mężczyzny, musisz tylko upuścić na ziemię jakiś drobiazg lub sakiewkę.

– Jeśli... zapragnę...?

Yanassa wieszala wzdłuż ściany namiotu kolorowe sakwy z nową garderobą Hanani. Nie zauważyła przerażenia dziewczyny.

– To obyczaj. Jeśli wokół ciebie znajdzie się wielu mężczyzn,

spójrz w oczy temu, którego pragniesz. Potem upuść jakiś przedmiot. A później po prostu wróć do swojego namiotu i czekaj. Jeśli mężczyzna odwzajemnia twoje pragnienie, przyjdzie do ciebie, by zwrócić to, co „zgubiłaś”. Często przynosi jeszcze jakiś podarunek. – Rzuciła przez ramię uśmiech. – Wtedy go wpuścisz. Ale pamiętaj, musi wyjść rano. – Znieruchomiała i zmarszczyła brwi, jakby coś jej się przypomniało. – I lepiej nie trać czasu na Wanę, jeśli jest w twoim guście. Widziałam, jak odrzucał przedmioty upuszczone przez kobiety prosto pod ich stopy, gdy był w złym humorze. Staje się wtedy drażliwy i zapomina o dobrym wychowaniu. Wówczas kobiety na ogół dają mu spokój, i o to mu chyba chodzi.

– Ale... – Hanani szukała słów, oniemiała z przerażenia. W Gujaarehu ludzie po prostu wiedzieli, że słudzy Hananji ślubowali celibat. Nigdy wcześniej nie musiała tego wyjaśniać. – Yanasso, ja nie mogę.

– Hm? – Kobieta zatrzymała się, nie powiesiwszy sakwy, i spojrzała na nią srogo.

– Nie mogę być z mężczyzną. Nie w ten sposób. To zakazane. Yanassa znieruchomiała z otwartymi ustami.

– Wcale?

– Wcale. Ja i moi bracia ścieżki, to znaczy uzdrowiciele, bierzemy w siebie magię Bogini i dajemy ją innym. Często musimy też oddawać część własnej duszy. Tylko na to pozwala wielka Hananja; reszta nas należy do niej.

– Ile masz powodzi?

– Dwadzieścia.

– *Na bogów chmur i zimnego wiatru!* – Kobieta patrzyła na nią ze zgrozą. – Nigdy nie jesteś głodna mężczyzny? Czy wolno ci chociaż sprawiać sobie przyjemność?

Hanani poczuła, że palą ją policzki. Nikt w Gujaarehu nie pytał o to tak otwarcie.

– Hm... tak... czułam głód. Ale przewyciężenie go to kwestia siły i dyscypliny – odpowiedziała, cytując Mni-inha. – I... i... jeśli

pożądanie stanie się zbyt silne, by je znieść, mogę poprosić któregoś z moich braci lub zbieracza, by podzielił się ze mną senną krwią. To koi wszystkie namiętności. Ale nigdy tego nie potrzebowałam... w każdym razie jeszcze nie. – Zastanowiła się. – Może to dlatego, że jestem kobietą i moje namiętności nie palą się tak silnym płomieniem.

Yanassa powiedziała coś w chakti. Hanani nie zrozumiała, ale nabrała podejrzeń, że to coś bardzo ordynarnego.

– Takich głupot uczą w Gujaarehu? – Banbarryjka pokręciła głową. – *Nic dziwnego, że miejskie kobiety nie mają żadnej godności! A ty... żadnych mężczyzn? Więc może chociaż kobiety? Muszą pozwalać ci na rozkosz z kobietami!*

– W... w Hetawie nie ma żadnych innych kobiet.

– *Więc nie masz nawet przyjaciółek, z którymi dzielisz się swoimi strapieniami? Co za okrucieństwo!*

Hanani przestąpiła z nogi na nogę. Z całego serca życzyła sobie, żeby ta rozmowa wreszcie się skończyła.

– Mam mentora i... hm... nigdy nie żałowałam mojego wyboru...

– Unu-vi. Jakżebyś mogła, skoro nie wiesz, co straciłaś? – Yanassa westchnęła i poprawiła włosy Hanani. – Co za strata. Ale skoro takie są wasze obyczaje, niech będzie. – Zastanowiła się przez chwilę. – Mogę wszystkim powiedzieć o twojej przysiędze? W przeciwnym razie mężczyźni będą cię niepokoić. A ci, którzy zapragną twojego mentora, mogą być urażeni jego odmową.

– Poproszę – powiedziała Hanani z ulgą. – Nie chcę nikogo obrazić... To znaczy... wszyscy byli... hm, no tak. – Byłoby o wiele lepiej, gdyby Yanassa zechciała być pośredniczką. Hanani wołała nie powtarzać tej rozmowy nigdy więcej.

Kobieta uśmiechnęła się i poklepała ją po ramieniu.

– Dobrze. Biedactwo, jak ty się musisz męczyć. My, Banbarrowie, cenimy sobie zmysłowe przyjemności, a twój lud zdaje się ich bać bardziej niż czegokolwiek innego. Szkoda, że nie przypominacie Wanahomena... Ale on już dawno uprzedził mnie, że nie jest

podobny do innych ludzi z miasta.

Szansa na zmianę tematu! Hanani wykorzystała ją bez namysłu. Zdążyła się już nauczyć, że pauza w rozmowie oznacza, iż ktoś inny ją przegada.

– Dobrze znasz księcia?

– Na tyle, na ile może go znać Banbarra – powiedziała Yanassa ze smutkiem i czułością jednocześnie, odwracając się do lustra i poprawiając misterną fryzurę z zaczesanych do góry warkoczy. – Kiedyś byliśmy blisko, ale potem źle go oceniłam w sprawie, która mnie wydała się nieistotna. Nigdy mi tego nie wybaczył. Ten człowiek wręcz uwielbia chować urazę.

Hanani nagle doznała objawienia.

– To dziecko, które doglądało matki księcia... Jak miało na imię? Tassa...

– Moje – przyznała Yanassa ciepło. – Doglądał Hendet? Ma miękkie serce. Nie takie, jak jego ojciec. Nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć.

Jeśli syn nie odziedziczył po ojcu jego gwałtownych napadów złego humoru, to chyba był to cud, sprawiony przez Boginię.

– Jeśli chodzi o przymierze, o którym mówił zbieracz Nijiri... – W zamęcie ostatnich dni prawie o nim zapomniała. – Widzę, że Hetawa go popiera, to znaczy... księcia... Ale Kisuanie nigdy nie odejdą z własnej woli.

Yanassa spojrzała na nią dziwnie.

– Naturalnie. Twój książę poprosił wszystkie banbarryjskie plemiona o wsparcie go w wielkiej bitwie, która rozstrzygnie o wypędzeniu Kisuan do ich kraju. Na koniec święta przesilenia odbędzie się głosowanie w tej sprawie.

Hanani wstrzymała oddech; na rękach wystąpiła jej gęsia skórka. Wojna dla hananjan była największym przekleństwem. Zmieniała świat jawy w najstraszniejszy koszmar i skazywała swoje ofiary na życie pośmiertne w cieniach. Czy Hetawa naprawdę może

popierać coś tak złego?

– Nie wierzę – szepnęła.

– O czym mówisz? – spytała Yanassa, ale zanim Hanani zdążyła odpowiedzieć, kobieta drgnęła i spojrzała w stronę, z której nagle dobiegły krzyki i odgłosy zamieszania. – Co tam się znowu dzieje?

Wyszła z namiotu. Hanani podążyła za nią.

Plemię zebrało się na północnej krawędzi głównej półki skalnej. Nad głowami falującego tłumu w punkcie obserwacyjnym widać było stojącego sztywno mężczyznę z długim stożkowatym przedmiotem w dłoniach. Hanani początkowo sądziła, że to róg, ale mężczyzna przyłożył go do oka.

– Hanani.

Odwróciła się i, wstrząśnięta, spojrzała na Mni-inha. Jej mentor, spowity od stóp do głów w banbarryjskie szaty, z zawojem na głowie, uśmiechnął się z zażenowaniem. Dostał też zasłonę, która zwisała jednak luźno pod brodą.

Mni-inh obejrzał ją ze wszystkich stron, uśmiechając się pod nosem.

– Wiedziałem, że to musisz być ty, nikt inny nie ma takich włosów. Ale to... No, no... – Wziął się pod boki, nie przestając się uśmiechać, a ona spuściła głowę, żeby nie zauważył rumieńca, palącego jej twarz. Stojąca z boku Yanassa prychnęła z rozbawieniem.

Potem pomruk tłumu ucichł, gdy spomiędzy zebranych wyłonił się książę, u którego boku szedł Unte. Hanani ledwie poznała przywódcę plemienia, bo gniew, bijący od Wanahomena, przejął ją strachem ściskającym serce. Ubranie księcia było splamione krwią, a w jego oczach płonęła żądza mordy.

Wanahomen stanął i Hanani uświadomiła sobie, że ją zobaczył. Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. Nigdy w życiu nie pragnęła bardziej stać się niewidzialna.

Mężczyzna bez słowa skłonił się najpierw Yanassie, a po chwili

dziewczynie. Odwrócił się i poszedł do punktu obserwacyjnego. Unte został chwilę dłużej; zmrużył oczy w uśmiechu, ukrytym za zasłoną. Następnie podążył za księciem.

– Zaczynam poważnie wątpić, czy zbieracze mają rację – wymamrotał Mni-inh, spoglądając za księciem. – Jeśli wybrali akurat jego...

Hanani przypomniała sobie wcześniejszą myśl: „*Hetawa popiera wojnę*” i powstrzymała się od komentarza. Zresztą i tak była zbyt zaniepokojona, by coś powiedzieć.

Yanassa zawołała w chakti do mężczyzny z jej plemienia. Ten odpowiedział szybko, a zebrani wokół zaszemrali, zaskoczeni i zaniepokojeni. Nawet Yanassa wyglądała na zdziwioną.

– Zbliża się do nas karawana – powiedziała po gujaareńsku. – Wysłała stosowne sygnały powitalne. Ale delegatów z innych plemion spodziewamy się tu najwcześniej za czwórdzień.

Stojący w punkcie obserwacyjnym Unte uniósł rękę, dając sygnał, i zebrani wzniesli radosny okrzyk.

– Słucham? – spytał Mni-inh. – Jacy delegaci?

– Istnieje sześć plemion Banbarrów – wyjaśniła Yanassa. – Zwykle spotykają się tylko na Wiosennym Konklawe na zachodzie, ale Unte wezwał oddziały łowców ze wszystkich sześciu plemion, by wspólnie zdecydować, czy dołączyć do Wany w tej wojnie. Widać pierwsze oddziały przybyły wcześniej.

Na dźwięk słowa „*wojna*” Mni-inh drgnął, podobnie jak przedtem Hanani. Zmarszczył brwi i wyteżył wzrok, usiłując dostrzec przybyszy. Dopiero wtedy dziewczyna wyczuła napięcie, które ją otaczało; plemię na coś czekało. Ale na co?

Mężczyzna z dziwnym przyrzędem powiedział coś do Unte, który uśmiechnął się i odwrócił do tłumu.

– *Dzikhowie!* – krzyknął. Ludzie odpowiedzieli też krzykiem. Ale Hanani zauważyła, że Yanassa przestała się uśmiechać.

– *Dzikhowie sprzeciwiają się unii* – rzuciła cicho. – Skoro przybyli

tak wcześnie... chcą walczyć.

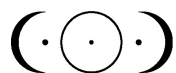
– Co to oznacza dla księcia? – spytał Mni-inh.

Yanassa pokręciła głową.

– Nie potrafię przewidzieć. Ale nie zdoła odbić swojego miasta takimi siłami, jakie ma teraz.

Unte rozkazał zebrany przygotować się na przybycie gości. Hanani zauważyła, że księżę spogląda w jej stronę. Z tej odległości – i przy zasłonie na jego twarzy – nie mogła stwierdzić na pewno, ale intuicja podpowiedziała jej to, czego nie mogły zobaczyć oczy: księżę uśmiecha się do siebie. Nie wiedziała, skąd ma tę pewność, ale nie wątpiła w to ani przez chwilę. A kiedy spojrzenie Wanahomena odnalazło ją w tłumie, zrozumiała z takim samym przekonaniem, że jego uśmiech stał się szerszy i że nie ma w nim żadnych dobrych uczuć.

20. PRZYNEŃTA



„*To musi być ta kapłanka*” – zdecydował Wanahomen. Nie ma lepszej możliwości, zwłaszcza że Dzikhowie są już w zasięgu wzroku, wcześniej o czwórdzień za sprawą intryg Shatyrrii. I pomimo łapówki, którą gromadził przez miniony rok ze swojego udziału z łupów z Gujaarehu i innych kiswańskich placówek. Unte gwarantował mu co najmniej dwa głosy: własny i przywódcy Issayirów, swojego brata. Inne plemiona miały różny stosunek do przystąpienia do wojny, zwłaszcza pod dowództwem miastowego. Dzięki udanym napaściom na Gujaareh Wanahomen przypomniał im o ich sile i teraz palili się do zbitcia majątku na wojnie, tyle że wystarczyłby jeden protest, a odmówiliby udziału w wojnie, powodowani dumą i solidarnością. Ten protest mógłby zgłosić przywódca plemienia Dzikhów Tajedd.

Ale może za sprawą Hanani da się przekabacić i jego.

– Włóż świeże ubranie – powiedział Unte, wróciwszy z punktu obserwacyjnego. Skrzywił się, bo wspinaczka nadwerżyła mu kolana. – Tajedd będzie szukał w tobie oznak słabości. Nie musi od razu widzieć twojej krwi.

– Dobrze. – Wanahomen podtrzymał Unte, jak najdyskretniej ująwszy go pod ramię. – To samo dotyczy ciebie. Mam przysłać dawcę, żeby uleczył twoje bóle?

– Potrafią to robić? Zdumiewające. – Unte zachichotał. – Kusząca propozycja, ale nie powinni trwonić swojej magii. Nikt nie uleczy starości.

„*Senna krew uleczy*”. Ale ta myśl obudziła zbyt wiele mrocznych wspomnień i Wanahomen odsunął ją od siebie.

Matka czekała na niego, gdy wrócił do ich an-sherratu. Przez chwilę sycił się tym widokiem. Stała – *stała!* – w wejściu do namiotu, obserwując wydarzenia w obozowisku. Podeszedł, ujął jej dłonie i pocałował ją w czoło.

– Przez ciebie inne kobiety pomyślą, że pozwalam ci na zbyt wiele – powiedziała i cofnęła się, zauważywszy krew na jego brzuchu. – Co się stało?

– Za długo by opowiadać. – Uścisnął jej rękę. – Ale nie martw się. Powinnaś odpocząć, kapłani mówią, że rekonwalescencja potrwa...

– Tak, tak, dobrze – westchnęła, tylko lekko rozdrażniona jego naleganiem. – Oczywiście później poproszę o pełny raport.

– Oczywiście. – Ukłonił się jej i szybko poszedł do swojego namiotu, żeby się przebrać. Włożył najlepszą ze swoich szat barwy indygo, koloru uważanego przez Banbarrów za symbol dostojności. Unte zezwolił mu na noszenie tej barwy parę lat temu. Stroju dopełnił miecz z brązu, tradycyjnie przekazywany następcom Tronu Zachodu Słońca i zwany Mwet-zu-anyan, Porannym Słońcem. Wanahomen nie nosił go często, ponieważ broń ta różniła się od zakrzywionych szabl Banbarrów i bał się ją utracić. Ale teraz musiał pokazać Banbarrom, że cudzoziemscy sprzymierzeńcy także mogą im użyczyć mocy. Nawet ręce ludzi z miasta potrafią wytoczyć krew.

Gdy odszukał Unte, grupa przybyszy wjechała już do wąwozu. Z takiej odległości trudno było się zorientować, ale Wanahomenowi wydawało się, że wśród witających gości opiekunów zagrody znajduje się Tassa. Ten chłopiec uwielbiał przebywać w centrum wydarzeń. Przez ułamek sekundy książę zaniepokoił się, że Dzikhowie wyśmieją małego; Yusirowie na ogół nie robili mu przykrości, ale Banbarrowie z zasady nie lubili mieszkańców. Lata temu Yanassa wybiła mu z głowy bronienie chłopca. *„Musisz znaleźć swój własny sposób na to, jak się bronić, a osłaniając go, nie robisz mu przysługi”* – oznajmiła, gdy Tassa wrócił do domu z zakrwawionym nosem i otartymi kostkami palców, choć Wanahomen nauczył go walczyć, używając wszystkich podstępów,

które lata temu pokazał mu ojciec. Teraz nie zamierzał nic zrobić, o ile Tassa wytrzyma. Ale gdyby przekroczyli granicę...

No cóż. Lepiej nie wzywać zbieraczy zbyt wcześnie, jak mówią w Gujaarehu. I tak miał już dość kłopotów. Pod drabinkami zapanowało poruszenie, i po chwili wysłannicy Dzikhów zaczęli się wspinać. Pierwszy dotarł na górę przywódca plemienia Tajedd, jak odgadł Wanahomen, bo mężczyzna był w podeszłym wieku, choć nie aż tak zaawansowanym jak Unte. To dobrze, dzięki temu Unte będzie miał przewagę starszeństwa. Tajedd był wysoki i szczupły, jakby wiecznie zbolący. Zatrzymał się przed Unte, który stał obok, wymienili powitania. Mężczyzna, który pojawił się po chwili, sprawił, że Wanahomenowi włosy zjeżyły się na głowie, choć Wutir go ostrzegł wcześniej: *„Tajedd przywiezie specjalną broń na ciebie”*. Ten przybysz nie był tak wysoki jak Tajedd, ale braki we wzroście nadrabiał muskulaturą, szerokimi barami i potężnymi, obnażonymi do łokcia ramionami – rzadkość wśród Banbarrów mających obsesję na punkcie odzieży – tak umięśnionymi, że mógłby przerzucać głazy. U boku miał dwa miecze w pochwach, obwieszonych amuletami i talizmanami, a jego przyczajona postawa świadczyła, że potrafi się nimi doskonale posługiwać. Był to przywódca łowców Dzikhów, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Zimne spojrzenie oczu nad zasłoną zdradziło, że Dzikh także go rozpoznał.

„Znajdzie pretekst, by rzucić ci wyzwanie, a potem cię zabije”. I choć Wanahomen wyśmiał Wutira, teraz dostrzegł prawdę w jego słowach. Sam był sprawnym wojownikiem, wytrenowanym przez Charrisa i budzącą strach gwardię pałacową Kite-iyana, ale ten Dzikh to była zupełnie inna kwestia. Prawdziwa broń, rzeczywiście.

Chociaż broń zawsze można wykorzystać przeciwko jej właścicielowi.

– Więc to jest przyczyna naszego spotkania – powiedział Tajedd, obrzucając Wanahomena przeciągłym spojrzeniem. – Wiele o tobie słyszałem, Wanahomenie z Gujaarehu.

Nic dziwnego, skoro klan Shatyrrii niewątpliwie wysłała mu listy co zmianę Czuwającej Luny.

– A ja o tobie, kuzynie.

Tajedd uniósł brwi po tym ostatnim słowie. Przywódca łowców Dzikhów zmarszczył czoło.

– Matka Wanahomena zgodziła się zostać moją czwartą żoną tuż po przyłączeniu się do naszego plemienia – odezwał się Unte, jak zwykle zwodniczo łagodnym tonem. – Wanahomen jest teraz synem mojego klanu.

– Rozumiem. – Tajedd spojrział na przywódcę takim wzrokiem, jakby chciał bez ogródek wyrazić swoje zdanie. W końcu zdecydował się na odpowiedź dyplomatyczną: – Mam nadzieję, że plemię Yusirów przyjmie gościnnie naszą grupę. Jechaliśmy co siłą, by przybyć na czas na wasze święto przesilenia.

Unte położył rękę na sercu, rzekomo zdumiony.

– Więc to dlatego przyjechaliście wcześniej? Żeby zalecać się do naszych kobiet i spożywać nasze jedzenie? Powiniennem się domyślić. – Obserwujący ich mężczyźni roześmieli się, a po chwili dołączył do nich Tajedd. Napięcie znikło. Wanahomen zawsze podziwiał tę umiejętność Unte.

– Zatem pójdźcie – zaprosił przywódca plemienia, obejmując przybyłych szerokim gestem. Reszta Dzikhów (Wanahomen oceniał, że oddział liczył ponad osiemdziesięciu wojowników) zakończyła wspinaczkę i została powitana przez plemię. Przybyszy poczęstowano napojami i jedzeniem, a potem podano im ręczniki do wytarcia twarzy i rąk. Wanahomen upewnił się, że jego ludzie znajdują się w wyznaczonych miejscach: kilku było na dole, pomiędzy ludźmi witającymi gości, ale większość czuwała spokojnie na obrzeżach obozowiska na wypadek kłopotów. Ezack stał na półce obserwacyjnej; kiedy ich spojrzenia się spotkały, skinął głową. Wszystko szło dobrze. Zadowolony Wanahomen odwrócił się i poszedł za Unte.

Namiot przywódcy był obszerniejszy od innych, ponieważ często odbywały się w nim spotkania. Trzej niewolnicy musieli się uwijać jak w ukropie, by szybko przygotować go na przybycie gości.

Zwykły bałagan – na wpół zapisane zwoje poezji, niewypalone fajki – zniknął, i wewnątrz prezentowało się schludnie i zachęcająco. Postawiono niski stół, uginający się pod ciężarem przekąsek i napojów. W kącie w ozdobnie rzeźbionej kadzielnicy tliły się zioła o odprężającym zapachu.

Tajedd, stękając z zadowoleniem, usadowił się na poduszkach przy stole i natychmiast sięgnął po butelkę wina z owoców kaktusa, tradycyjnego napoju dla podróżnych przybywających z pustyni.

Dowódca łowców usiadł obok, czekając, aż przywódca jego plemienia pierwszy zaspokoi swoje pragnienie, jak nakazywał obyczaj.

Wanahomen usiadł naprzeciwko Azimy.

– Masz tę przewagę, że znasz moje imię – powiedział uprzejmie.

– Tak – odparł dowódca i zamilkł. Wanahomen odniósł wrażenie, że mężczyzna uśmiechnął się za zasłoną.

Unte uniósł brew.

– Czyżbyśmy prowadzili wojnę, że imiona muszą być ukrywane? Czy boimy się siebie nawzajem, że zasłaniamy twarze w namiocie? – Zdjął swoją zasłonę i spojrzał śmiało na dwóch przybyszy. – Jeśli tak, to nic mi na ten temat nie wiadomo.

Tajedd szybko zdjął swoją zasłonę, ukazując twarz pociągłą i zboląłą jak cała jego postać, choć uśmiechnął się szeroko. Brakowało mu paru zębów.

– *Nie prowadzimy wojny, kuzynie, skąd!* I żaden z nas nie przybył tu w strachu. Tak, Azimo?

Dowódca łowców łypnął ponuro na mężczyznę, ale sięgnął do zasłony. Wanahomen zrobił to samo, ociągając się, żeby zdjąć materiał w tym samym czasie. Azima odstłonił twarz o twardych rysach i bezlitosnym wyrazie, choć cechowały ją także wielkie oczy człowieka z zachodu. Wanahomen spojrzał na niego z nieco większą estymą. On także był mieszzańcem.

– Nie widzę tu nic, czego trzeba by się bać – powiedział Azima

do księcia i uśmiechnął się.

Wanahomen odpowiedział uśmiechem, myśląc: „*Zabicie cię sprawiłoby mi wielką przyjemność*”. Ale nie mógł tego zrobić. Azima znacznie bardziej przyda mu się żywy.

Tajedd skosztował wina i, jak nakazywała uprzejmość, wyrecytował wiersz, sławiący trunek i gospodarzy, a tymczasem Wanahomen skinął na przykucniętego obok niewolnika Unte.

– Sprowadź uzdrowicielkę. Powiedz jej, że musi uleczyć drobną ranę.

Niewolnik skłonił się i wyszedł dyskretnie.

Tajedd skończył recytację; Wanahomen skinął głową na znak aprobaty.

– Czy z an-sherratu waszego plemienia jest do nas daleko? – spytał. Unte nalał sobie wina. Wanahomen uklonił się z wdziękiem Azimie na znak, że to on jako gość powinien wygłosić następny toast. Wargi mężczyzny drgnęły; nie sięgnął po flaszę. Nie zamierzał pić, a to znaczyło, że księżę także nie powinien. Wanahomen szczerze się zdziwił; czy przybysz naprawdę sądził, że zirytuje go drobnymi złośliwościami?

Ale Banbarrowie nie mieli takiej skłonności do intryg, jakich ciągle, mimo dziesięciu spędzonych wspólnie lat, spodziewał się po nich Wanahomen. Księżę dorastał, obserwując gujaareńskich wielmożów, którzy nieznaczną zmianą głosu i ukłonem nie w porę potrafili zasygnalizować dziesięciopoziomową obelgę. Banbarrowie byli tak bezpośredni, że kontakt z nimi sprawiał mu ulgę, nawet kiedy usiłowali być niegrzeczni.

– Cały miesiąc, ósmdzień w tę czy tamtą – odpowiedział Tajedd. Jakby nie zauważył zachowania Azimy, choć Wanahomen wiedział, co o tym sądzić. – I to tylko dlatego, że wojownicy są doświadczeni i potrafią jechać w takim tempie, jak na polowaniu.

– Trudna podróż – zgodził się Unte. Wanahomen roześmiał się lekko.

– Ale nasze kobiety bez wątpienia pomogą wam zapomnieć

o trudach podróży. – Nalał sobie herbaty, kończąc głupią gierkę Azimy. – Lubią nowe twarze. Choć możecie mieć konkurencję. Ostatnio życie w naszym obozowisku obfituje w nowości.

Unte przyglądał mu się uważnie, najwyraźniej przeczuwając jakiś podstęp. Przez te wszystkie lata musiał się nauczyć ufać Wanahomenowi; pozwolił mu na swobodę w prowadzeniu polityki plemienia, ale nie zniósłby jawnej obelgi pod adresem wysłanników Dzikhów. Banbarrowie mogli zachowywać się nieprzyjaźnie wobec obcych, lecz w swoim gronie bardzo poważnie traktowali zasadę gościnności. Na to właśnie liczył książę.

– Mówisz o sobie? – spytał Tajedd, a potem dodał, być może po to, by złagodzić przytyk:

– Choć jeśli jesteś z klanu Unte...

– Nie, nie o mnie chodzi – powiedział Wanahomen. Uśmiechnął się skromnie. – Moja atrakcyjność zbladła dawno temu. Mówię o dwójce gujaareńskich kapłanów, którzy od niedawna są wśród nas. Hetawa podarowała ich nam dla przypiecztowania naszego przymierza. Widzieliście ich, bladzi, słabi ludzie, typowi miastowi. Musieliśmy ich ubrać w banbarryjskie stroje, gdyż ich ubrania obrażały naszą skromność.

Tajedd spojrział na niego z fascynacją. Banbarryjskie plemiona kontaktowały się ze sobą przez posłańców i ptaki, lecz ta grupa zapewne opuściła obozowisko, zanim dowiedziała się o przymierzu.

Azima przejął się mniej.

– Kapłani? – rzucił ze śmiechem. – Więc potrzeba nam modlitw, by zwyciężyć?

– Ach, mają wiele talentów – odparł Wanahomen. Uśmiechnął się do Azimy, który łypnął na niego z rozdrażnieniem. Chwilę później, w idealnym momencie, powrócił niewolnik z kapłanką.

Unte otworzył usta ze zdziwienia.

– Co to ma znaczyć?

– Przepraszam, że przerywam – odezwała się szybko kobieta.

Niewolnictwo stało w sprzeczności z Prawem Hananji; niewątpliwie kapłanka bała się, że niewolnik zostanie ukarany. – Po-powiedziano mi, że jest tu ktoś, kto potrzebuje leczenia.

Wanahomen nie mógłby tego zaplanować lepiej. Tajedd i Azima wytrzeszczyli oczy, oszołomieni cichym głosem i pełnym uszanowania zachowaniem kobiety. Była ubrana jak należy; Yanassa dokonała cudu. Nawet Wanahomen podziwiał efekty jej pracy. A jednak żadna znająca swoją wartość kobieta nie stałaby przed nimi, jękając się jak dziecko.

– Tutaj – odezwał się książę, przywołując ją niecierpliwym gestem ręki.

Natychmiast usłuchała – kolejna rzecz, której Banbarryjka nigdy by nie zrobiła, zważywszy opryskliwość jego gestu – i uklękła na poduszce u jego boku.

– Gdzie jest rana? – spytała. Była już całkowicie skupiona na swoim obowiązku. Nie czuła na sobie spojrzeń dwóch Dzikhów. Wanahomen pochwycił nad jej ramieniem pochmurne spojrzenie Unte, choć przywódca plemienia najwyraźniej postanowił pozwolić mu prowadzić tę grę.

Wanahomen położył się wygodnie na poduszkach i uniósł szaty, ukazując ranę po walce z Wutirem. To także zdumiało przybyszy, gdyż Banbarrowie pokazywali wrażliwe części ciała tylko krewnym, innym mężczyznom lub kobietom, z którymi byli lub zamierzali być blisko.

– Tutaj – powiedział. Odwiązał strzęp materiału, którym zatamował upływ krwi, by nie pobrudziła jego szat.

Kapłanka pochyliła się, ostrożnie dotknęła krawędzi rany.

– Płytką – rzuciła sucho, niemal niweczając efekt, jaki chciał osiągnąć. Mając przed sobą zadanie do spełnienia, zachowywała się spokojnie, z pewnością siebie. Będzie musiał coś z tym zrobić. – Ale z powodu umiejscowienia będzie się ciągle otwierała. Może się wdać infekcja.

– Tak sądziłem – potwierdził Wanahomen, uniósł rękę i jakby

od niechcenia musnął ozdobione biżuterią włosy kobiety. Ta drgnęła lekko, spojrzała na niego z zażenowaniem, ale, na co liczył, nie zaprotestowała ani się nie cofnęła. A nawet... *ach, zarumieniła się!* Jej blada prostacka skóra zajaśniała jak latarnia.

W innych okolicznościach pewnie parsknąłby śmiechem. Ale teraz chodziło o to, by stworzyć iluzję bliskości z kobietą. Przybysze pewnie ledwie rozumieli ich wymianę słów, o ile w ogóle znali gujaareński, ale potrafili odczytywać mowę ciała i ton głosu. Chciał im pokazać pożądanego mężczyznę i płochliwą kobietę, płochliwą, a jednak niemogącą lub niechącą odrzucić jego zalotów.

– Tak, oczywiście – powiedziała ze zbytnim pośpiechem. – Leczenie nie potrwa długo. Pamiętasz, jak to się robi?

Widział raz uzdrowienie przez braci, gdy jedna z chłopięcych przygód w Kite-iyar źle się skończyła. Bez słowa odchylił głowę i zamknął oczy. Po chwili poczuł na policzkach jej palce, lekkie jak piórka. I...

Gwałtownie otworzył oczy; nawet nie zdążył zapamiętać snu. Brzuch go swędział; uniósłszy głowę, zobaczył zrosniętą ranę; krew zaczynała już zasychać. Wytarł ją szmatką służącą jako bandaż i dopiero wtedy zauważył, że kobieta siedzi obok niego blada i nieruchoma, być może przerażona. Ale ponieważ była odwrócona plecami do Dzikhów, Wanahomen zlekceważył jej stan.

Usiadł, by goście mogli zobaczyć jego uleczoną ranę.

– Widzicie?

Tajedd westchnął z podziwem; Azima łypnął na niego spode łba.

– Magia – powiedział Tajedd nabożnie. – Słyszałem, że gujaareńscy kapłani mają taką moc.

– Potrafią też zabijać – warknął Azima. – Jak demony zakradają się w nocy i zatruwają jadem twoje sny.

– To inni kapłani – oznajmił Wanahomen lekceważącym tonem, który oznaczał „*a ja się ich nie boję*”. Zasłonił ciało i skinął głową Hanani. – Ta tutaj potrafi tylko uzdrawiać. Leczą naszych żołnierzy po bitwie, dając im nową siłę i dodając animuszu, gdy tymczasem

nasi wrogowie nadal opatrują rannych. Rozumiecie teraz, ile jest warta przyjaźń Hetawy?

Tajedd spojrział na niego w zamyśleniu, Azima pochylił się do swego przywódcy i szepnął mu coś na ucho. Unte już nie marszczył brwi; jego twarz przybrała kamienny wyraz, choć on także przyglądał się gościom. Kapłanka zdołała się opanować, ale wydawała się tak samo zaniepokojona. Skłoniła się z roztargnieniem i zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Wanahomen ujął ją pod brodę; zamarła jak przerażone dzikie zwierzę.

– Dziękuję – powiedział i pocałował ją w usta.

Gdyby stała, pewnie kolana by się pod nią ugięły. Dotknął jej warg lekko, pieszczotliwe, choć się nie broniła i mógłby bez trudu odegrać przed przybyszami wielką scenę namiętności. Gdy wreszcie ją puścił, zdołała wstać dopiero za drugim razem, a nawet wtedy się chwiała, wyraźnie wstrząśnięta. Mimo woli uśmiechnęła się, przy wyjściu z namiotu znowu skinęła głową na pożegnanie – *tym razem niewolnikowi, jakby mało wstydu sobie narobiła, na bogów, nawet w Gujaarehu nikt tak nie postępował!* – i w końcu znikła.

Potem nie powiedzieli już nic ważnego. Banbarryjski zwyczaj zakazywał poruszania istotnych tematów z gośćmi od razu po ich przyjeździe; uważano to za nieuprzejme wobec zmęczonych przybyszy. Słońce zaczęło skłaniać się ku zachodowi, biesiadników dobiegły odgłosy strojonych lutni i próbnych uderzeń bębnów. Ósmdzień przesilenia zawsze zaczynał się i kończył wielkim świętem, a skoro do uroczystości dołączyli goście, dzisiejsze obchody miały być wystawne nawet według banbarryjskich zwyczajów.

Unte kazał swojemu niewolnikowi odprowadzić Tajedda i Azimę do namiotu gościnnego. Gdy przybysze odeszli, westchnął przeciągle i odwrócił się do Wanahomena.

– Jeśli nie podbijesz Gujaarehu – powiedział – będziesz musiał opuścić to plemię. Wanahomen znieruchomiał, wstrząśnięty, i niespodziewanie poczuł się zraniony.

– Co?

– Nie dlatego, że jesteś niezdolny. – Spokojny ton Unte trochę złagodził szok księcia. – Uważam wręcz, że gdybyś został po mnie przywódcą, plemię by na tym skorzystało.

– Więc dlaczego muszę odejść?

– Bo kocham cię jak syna z mojej krwi... bardziej... ale mnie przerażasz. Wiem, że posłużysz się każdym, zniszczysz wszystko, by nasycić gniew, który płonie w twoim sercu jak ogień. Wykorzystasz także to plemię. Kochasz nas, lecz nie dość, nie na tyle, żebyśmy byli bezpieczni, kiedy zaczniesz nas nienawidzić.

– Przecież... – Księżę zastygł, wpatrzony w przywódcę. Zdolność myślenia go opuściła. Szukał jakiejś riposty, jakiegokolwiek.

– Zaprzeczysz?

Wanahomen odwrócił głowę ze ściśniętym sercem i nie odpowiedział.

Unte pokiwał głową, jakby nie spodziewał się niczego innego, i westchnął.

– Każ niewolnikowi uważnie pilnować tej gujaareńskiej dziewczyny. Zasiałeś niebezpieczne ziarno.

Księżę zrozumiał, że został odprawiony. Wstał, równie roztrzęsiony jak niedawno kapłanka, i ruszył do wyjścia. Kiedy dotknął kłapy namiotu, coś się w nim poruszyło, i zobaczył...

...Ojca, wyciągającego do niego martwe, dotknięte rozkładem ramię...

...takie same plamy, rozprzestrzeniające się po całym jego ciele...

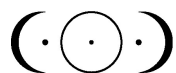
...a potem wizja, sen na jawie, czy cokolwiek to było, zniknęły.

– Wana? – odezwał się Unte za jego plecami. W jego głosie brzmiały troska, smutek i miłość. Ta miłość zaostrzyła ból w sercu księcia, bo to znaczyło, że Unte naprawdę wierzy w to, co powiedział.

Co z niego za szczęściarz! Ma dwóch ojców, obu władców, którzy tak bardzo go kochali i którzy nigdy z własnej woli nie przekazaliby mu władzy nad swoim królestwem.

– Dobrej nocy – mruknął Wanahomen. Podciągnął zasłonę i wrócił do swojego namiotu.

21. PUŁAPKA



Hanani znalazła Mni-inha w jego namiocie; siedział z zamkniętymi oczami i opuszczoną głową na stercie nowych pościół, które przynieśli mu Banbarrowie. Może naprawdę spał, a może raczej tylko się modlił. Hanani przypomniała sobie, że ona sama nie robiła tego od wielu dni. Ale gdy przykłękała na dywan, poczuła, że nie ma ochoty nawet spróbować. By znaleźć spokój w Ina-Karekh, trzeba najpierw znaleźć spokój w sobie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio go zaznała.

Mimo to bliskość ciała Mni-inha sprawiła jej ulgę, choć jego dusza znajdowała się gdzie indziej. Skuliła się na pościółkach obok niego, oparłszy głowę na jego udzie, czego nie robiła od czasów, gdy była akolitką. Gdy zaczął się jej cykl płodności, Mni-inh delikatnie wyzwał się z jej objęć i zniechęcał do innych dzieciennych gestów czułości. Zapewnił, że to nie dlatego, by były mu niemiłe, lecz jako jedyna w Hetawie dojrzewająca dziewczynka musiała nie tylko dbać o przyzwoitość, ale i o pozory.

– Jesteś dla mnie jak córka – powiedział jej – ale w miastach w górze rzeki nie jest niczym dziwnym, gdy mężczyzna w moim wieku bierze sobie żonę tak młodą jak ty. Inni będą o tym pamiętali, nawet jeśli tobie i mnie nie przyszyłoby to do głowy.

Nigdy wcześniej ani później nie pomyślała o nim w ten sposób. Nigdy nie miała takich myśli o żadnym bracie z Hetawy, ani razu przez te wszystkie lata, jakie spędziła między nimi.

Ale teraz nadal czuła smak warg księcia.

Wzdrygnęła się, przejęta niechęcią do tego wspomnienia, a jednak ciągle widziała tę scenę, przeżywając ją raz po raz. Księżę

się nią posłużył, to było oczywiste nawet dla jej niedoświadczonego umysłu. Nienawidził jej i wszystkiego, co było dla niej ważne. A jednak nadal czuła jego palce, zakładające pasmo włosów za jej ucho.

Zamknęła oczy, żałując z całego serca, że nie odmówiła poddania się testowi Nijiriego.

Że nie może wrócić do swojej celi w Hetawie, gdzie była bezpieczna przed chaosem świata.

Na jej głowie spoczęła ręka, która pogładziła lekko jej włosy, szcękające złotymi ozdobami.

– Niedługo wrócimy do domu – powiedział Mni-inh. Zawsze wyczuwał jej nastroje.

Zamknęła oczy i zrobiła wysiłek, by się nie rozpłakać, bo sługom Hananji to nie wypadało.

Mentor westchnął, nadal głaszcząc jej głowę.

– Czy pomoże ci wiadomość, że rozmawiałem z Nijirim?

– Co?

– W snach. To prosta technika. Umawiamy się w konkretnym miejscu w Ina-Karekh, jakimś wyjątkowo mocnym obrazie, z podobnych powodów ważnym dla nas obu, a potem określamy czas, kiedy się tam wybierzemy. W tym przypadku jest to Sala Błogosławieństw o wschodzie Śniącej w przeddzień nowej Czuwającej Luny.

Hanani spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Zbieracz Nijiri zawczasu umówił się z tobą na spotkanie?

– Tak. – Uśmiech Mni-inha stał się gorzki. – Nie powiedział, dlaczego musimy się spotkać, tylko że to konieczne. Zapewniam cię, że powiedziałem mu, co o tym myślę.

Hanani usiadła, choć nie tak szybko, by zdołał cofnąć rękę.

– Dlaczego nam to zrobił? Ci ludzie mogą nas zabić. Nie ma w nich spokoju...

– Wiem. Ale na razie sobie radzimy, prawda? Z tego, co powiedział mi Nijiri, wynika, że tutaj możemy być bezpieczniejsi niż w Gujaarehu.

Hanani spojrzała na niego ze strachem.

– Koszmar nawiedził innych?

– Owszem, w tej chwili zaatakował już trzydzieści osób. Sala Wytchnienia jest ich pełna, ale nie to miałem na myśli. Wczoraj zbieracze pobrali daninę od dwóch kisuańskich żołnierzy, którzy cię napastowali.

Serce Hanani zabiło mocno; przed oczami stanęła jej Hetawa w płomieniach.

– K-Kisuanie – szepnęła. – Ostrzegali, że za każdego żołnierza odpłacą nam w czwórnasób. Jeśli napadną na Hetawę...

– Nie. Nie są tacy głupi, żeby się narażać w Gujaarehu z powodu tak zepsutych ludzi.

Żołnierze zaatakowali siostrę i za to zostali osądzeni; atmosfera w mieście stała się bardzo napięta. Nijiri uważa, że Kisuanie zaczekają z rozpoczęciem działań, aż ludzie trochę się uspokoją. – Westchnął, pocierając oczy. – A kiedy już zaczną, kto wie, do czego dojdzie. Dlatego mam nadzieję, że nasz młody przyjaciel księżęcej krwi jest gotów jak najszybciej odbić miasto i że mu się to uda.

Wzmianka o księciu przypomniawszy Hanani o dzisiejszym uleczeniu i o tym, co nastąpiło potem. Spuściła wzrok i odsunęła od siebie to wspomnienie, skupiając się na ważniejszej sprawie.

– Bracie, muszę ci o czymś powiedzieć. Dziś uzdrowiłam księcia. Miał płytką ranę brzucha, chyba po ciosie noża. Ale nie to mnie zaniepokoiło. – Pokręciła głową. – Bracie, on ma dar snu.

– Co...? – Mni-inh zastanowił się, zaniepokojony. – Rzeczywiście, jego rodzina ma taki talent. Zbieracz Ehiru był jego wujem. Czy potrafisz ocenić, jak duża jest jego moc?

Hanani przełknęła nerwowo ślinę, przypomniawszy sobie uzdrawiający sen. Usiłowała narzucić prosty schemat jego sennemu

krajobrazowi – banbarryjski namiot z rozdartą jedną ścianą z wielbłądziej skóry – ale zanim zdołała skłonić księcia do zaszycia rozdarcia, on przemocą odebrał jej panowanie nad snem i rzucił ją w cień Gujaarehu, nad którym kłębiła się na niebie monstrualna chmura, podobna do rozdziawionej łakomie paszczy.

– Nie mogłam pokierować jego snem – wyznała. – Zabrał mnie tam, dokąd chciał. Nie panuje nad tym; nie sądzę, żeby planował to zrobić. Ale gdyby przeszedł szkolenie... gdyby chciał... pewnie mógłby mnie tam trzymać, jak długo by sobie życzył.

Kiedy znalazła się w mrocznym Gujaarehu, poczuła jedno: księżę także nie chciał się tam znaleźć. Coś w tym cienistym krajobrazie go przerażało, jego, człowieka tak kipiącego gniewem, że nie wiedziała, gdzie się znalazło jeszcze miejsce na strach. A jednak to z powodu tego strachu pozwolił jej się wciągnąć w łagodniejszy, mniej skomplikowany sen o pustyni, spokojnym porannym niebie i rozdartym namiocie. Zaszył go niemal z roztargnieniem.

– Jeszcze nigdy nie czułam takiej siły u nikogo z wyjątkiem zbieracza Nijiriego – powiedzia w końcu. A nawet nie była pewna, czy księżę nie przewyższał mocą Nijiriego.

– Co za dar... *Najświętsza Bogini!* Ale zawsze traktowaliśmy ostrożnie ród Zachodu Słońca. Za wiele w nim przeklętych szaleńców. Nie do wiary, że tego przegapiliśmy. – Nagle Mni-inh spowaźniał. – Ale księżę... to znaczy król, ojciec Wanahomena, knuł przeciwko Hetawie od dziesiątków lat. Jeśli Wanahomen jednak został poddany próbie, księżę niewątpliwie mógł przekupić egzaminatorów lub znaleźć jakiś sposób, by wyrzucić na nich nacisk.

Hanani tylko pokręciła głową, zbyt wyczerpana wydarzeniami tego dnia, by móc dłużej myśleć. Zapadła noc; namiot Mni-inha tonął niemal w zupełnych ciemnościach, oświetlony tylko jedną latarnią, którą kapłan musiał zapalić przed modlitwą. Gdzieś z daleka dobiegła ich wesoła melodia, wykonywana na jakiejś odmianie lutni. Hanani słyszała, jak ludzie klaszczą i śpiewają do wtóru. Rozpoczęło się święto przesilenia.

– Księżę nie jest obłąkany – powiedziała.

– Nie, nie sądzę, żeby ci barbarzyńcy pozwolili mu tutaj mieszkać, gdyby był. Ale jeśli jego dar jest tak potężny, nadejście obłędu jest tylko kwestią czasu.

Hanani pokręciła głową i wstała, nieco siłując się ze spódnicą o niezwyklej fasonie.

– Muszę odpocząć, bracie.

Te banbarryjskie osobliwości, chaos tutejszych zwyczajów i sposobu myślenia – to wszystko ją zmęczyło. Nie mogła powiedzieć Mni-inhowi o pocałunku; sama nie rozumiała, co to miało oznaczać. Księżę prawdopodobnie uczynił to tylko po to, żeby ją dręczyć.

Mni-inh spojrział na dziewczynę; na czole między brwiami pojawiła się cienka zmarszczka strapienia.

– Dobrze. Ale pamiętaj, to się wkrótce skończy. Niedługo odwiedzisz Dom Dzieci, by opowiedzieć o swoich przeżyciach; pod wpływem tych historii tłumy młodych zaczną zgłaszać się w szeregi dawców.

Skinęła głową i uśmiechnęła się z przymusem, doceniając tę próbę przywrócenia jej dobrego humoru.

– Wypocznij dobrze, bracie.

– Idź w Jej spokoju, Hanani.

Dziewczyna musiała zebrać siły, zanim wyszła z namiotu, a jednak dała się zaskoczyć burzy wrażeń, która ją powitała. Wokół płonącego ogniska stała grupa ludzi, klaszczących i nagradzających okrzykami płasy tancerzy. Gromadka dzieci przebiegła obok niej; trójka z nich niosła jakąś zabawkę, przystrojoną długimi wstążkami. Hanani musiała przystanąć, żeby jej nie przewróciły. W powietrzu unosiły się miłe zapachy: dym z palonego drewna, woń dobrze wypieczonego mięsa, kadzidła, zapach herbaty. Dalej wokół innego ogniska również zebrał się tłumek. Tam dwóch muzyków zawodziło coś niemelodyjnie. Zaszuchane twarze obecnych świadczyły o ich zachwycie, ale dla gujaareńskich uszu Hanani brzmiało to po prostu fałszywie.

Dziewczyna ruszyła do swojego namiotu. Zatrzymała się, gdy ktoś

zastąpił jej drogę.

Charris.

– Gdzie byłaś? – spytał tonem, który można byłoby określić jako rozkazujący. Mężczyzna był podobno niewolnikiem księcia (choć sama myśl o tym, że Gujaareńczyk miałby trzymać niewolnika, wydawała się oburzająca), lecz nie po raz pierwszy Hanani zauważyła w jego zachowaniu oznaki świadczące o tym, że Charris miał niegdyś wyższy status. Może nawet był zhiną, co oznaczało, że powinna okazywać mu więcej szacunku... ale była zbyt zmęczona, by się tym przejmować.

Bez słowa wskazała namiot swego mentora. Charris drgnął, chwycił ją za ramię i gwałtownie pociągnął za sobą.

– W tym plemienu kobiety i mężczyźni nie zadają się ze sobą – syknął jej do ucha – chyba że w pewnym określonym celu. *Jeśli chcesz, żeby Banbarrowie uznali cię za dziwkę, która chętnie przyjmuje każdego mężczyznę na jego skinienie, to proszę, dalej składaj wizyty swojemu przyjacielowi!*

Tego było za wiele. Wyszarpnęła się z jego chwytu.

– Czy ci ludzie nie myślą o niczym innym? Czy kobieta służy tylko do jednego? Czy cały świat poza granicami Gujaarehu dba tylko o przemoc, rozkosz, pieniądze i... – Pokręciła głową.

– Nic dziwnego, że król Eninket chciał go podbić. *Niemal żałuję, że mu się nie udało!*

Odeszła, a on, ku jej wielkiej uldze, nie poszedł za nią.

Jej namiot znajdował się na szczęście naprzeciwko namiotu Mni-inha; był zwrócony w stronę przeciwną do tej, z której dochodziła najgłośniejsza muzyka i krzyki. W środku zalegała ciemność. Dziewczyna potknęła się parę razy na nieznanomych dywanach i poduszkach, by w końcu paść na posłanie, które – do czego się jeszcze nie przyzwyczaiła – należało do niej. Kupiła je za naszyjnik praktykantki, za który zapłaciła oszczędnościami całego życia. Roześmiała się gorzko na tę myśl i objęła ramionami poduszkę, szukając w niej chociaż nędznej pociechy.

Kłapa namiotu się uniosła i na twarz Hanani padło światło, dziewczyna zasłoniła się poduszką.

– Proszę, daj mi spokój.

– Elin aanta? – Głos był głęboki, nie należał do Charrisa. Hanani podniosła głowę, a przybysz dodał coś jeszcze, wypowiadając długi szereg słów w chakti. W tym bełkocie usłyszała „*Wanahomen*”.

– Nie rozumiem cię – powiedziała. – Przynosisz wiadomość od księcia?

Czuła, że przytoczenie imienia Wanahomena jest niestosowne. Kiedy książę Gujaarehu zamieszkiwał świat jawy, nie miał imienia; dopiero po śmierci stawał się kimś więcej niż pełniącym swój urząd.

Ale przecież ci barbarzyńcy znali tylko jego imię.

– Od Wanahomena?

Przybysz był oświetlony od tyłu i dziewczyna widziała tylko czarną sylwetkę. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem pokiwał głową; jeśli nawet nie mówił po gujaareńsku, nie mógł jej zrozumieć. Ale dlaczego...

Mężczyzna wszedł do jej namiotu, zasłaniając wejście kłapą.

Hanani usiadła, zaniepokojona.

– Co robisz? – Słyszała, jak się do niej zbliża; w namiocie było zbyt ciemno, by mogła go zobaczyć. – Charris powiedział, że tutejsi mężczyźni nie...

Wtedy coś warknął tak blisko niej, że drgnęła; stał tuż obok. Jej serce załomotało.

Usiłowała odpełznąć jak najdalej, ale twarda ręka chwyciła ją za kostkę i pociągnęła do siebie. Hanani upadła na wznak. Krzyknęła, a wówczas na jej usta opadła czyjaś dłoń; palce przez chwilę przebierały w ciemnościach, po czym zacisnęły się. Mężczyzna upadł na nią jak kamień, tak ciężki, że ledwie mogła oddychać.

Znowu znalazła się w Gujaarehu przed kisuańskimi żołnierzami. Jeden pochylił się bliżej. Biła od niego groza.

– Gdybyś była ładniejsza, wiesz, co bym z tobą zrobił?

Mężczyzna szarpał za jej ubranie. Usłyszała trzask pękającego materiału i nagle jedna jej noga się oswobodziła. Kopnęła nią na oślep, w panice, ale równie dobrze mogłaby kopać kamień. Napastnik tylko stęknął, inaczej ułożył ciało i nagle znalazł się między jej nogami.

„*Nie jesteś bezbronna, Hanani, nawet teraz*” – rozległ się w jej głowie szept Mni-inha.

Chwyciła ramiona twarde jak kolumny Sali Błogosławieństw. Wpiła się w nie paznokciami. Mężczyzna syknął i usiadł, w namiocie nagle pojaśniało – nie, to cios, który pozbawił ją przytomności, nie wiedziała na jak długo. Kiedy oprzytomniała, poczuła, że nie ma na sobie spodniej tkaniny, a mężczyzna właśnie zdejmował swoje spodnie i bieliznę. Z najwyższym wysiłkiem usiłowała się odczołgać. A on po prostu przyciągnął ją z powrotem.

Jęknęła, uświadomiwszy sobie, że nie ma siły, żeby go powstrzymać...

Ci, którzy leczą, równie łatwo mogą krzywdzić.

W jej umyśle rozdzierały się namioty. Owady kąsały. Kolumny obracały się w proch.

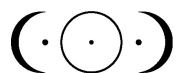
Hanani konwulsyjnie wygięła ciało i położyła dłoń na piersi mężczyzny. Strach, przerażenie, ból i gniew – wszystkie straszliwe uczucia, jakich doznała w życiu – połączyły się w niej w jeden supeł, a potem nagle eksplodowały.

Mężczyzna poszybował w powietrzu, zmieciony z jej ciała jakby ręką samej Bogini. Po nieskończonej długiej pauzie klapa jej namiotu znowu się uniosła i wszedł kolejny mężczyzna, tym razem z latarnią. Odezwał się, ale jego słowa nic nie znaczyły, były tylko bełkotem, którego umysł Hanani nie potrafił zinterpretować. Dziewczyna wpatrywała się w nieruchomy kształt, który w świetle latarni zamienił się w nieznanego Banbarre. Zawój i zasłona spadły mu z głowy, jego ubranie było rozchełstane, spodnie opuszczone. Język wystawał mu z ust, oczy wychodziły z orbit.

Mężczyzna, który właśnie wszedł – Charris, czy nazywał się Charris? – stanął, wpatrując się w nią w osłupieniu, a potem długo patrzył na zwłoki. Bez słowa sięgnął w fałdy swego ubrania, dobył nóż i ukląkł, by zatopić go w piersi trupa.

Hanani krzyknęła.

22. REAKCJA



Wanahomen ze śmiechem przyglądał się, jak Tassa stara się zaćmić wyczyny innych dzieci, stojąc na głowie, gdy zjawił się Charris, który dotknął łokcia księcia.

– Azima zniknął – szepnął mu do ucha. – Widziałem go, jak kręcił się koło an-sherratu twojej matki.

A więc pułapka zwabiła zwierzynę. Wanahomen nie przestał się uśmiechać, gdy wstał i mrugnął do Tassy na pożegnanie. Chłopiec runął na ziemię, odzyskał równowagę i niepewnie mu pomachał, po czym zaczął się siłować z innym malcem.

– Myślałem, że kogoś wyśle – powiedział Wanahomen, odchodząc. Pojawiło się kolejne, starsze dziecko z tacą mięsno-warzywnych szaszłyków. Wanahomen wziął jeden i podziękował uprzejmie; dziecko poszło dalej. Księżę uniósł zastonę i zaczął jeść. – Że nie będzie chciał sobie brudzić rąk.

– Wtedy to któryś z jego ludzi zmierzyłby się z tobą i pewnie zyskałby przywilej odebrania ci życia. – Charris zerknął w stronę an-sherratu matki Wanahomena, w którego pobliżu stały także namioty uzdrowicieli. – Powinienem do niej zajrzeć...

– Tak, tak. Idź.

Charris odszedł; Wanahomen kontynuował przechadzkę przez obóz, odpowiadając skinieniem głowy na pozdrowienia przyjaciół i wojowników. Tak jak się spodziewał, Yusirowie byli w doskonałych humorach; uznali wczesne przybycie Dzikhów za dobry omen na nadchodzący rok. W grupie wojowników Dzikhów stał Unte, który opowiadał, gwałtownie gestykulując, o jakichś

swoich młodzieńczych wyczynach. Wanahomen nie zdziwił się, widząc, że wokół tej grupki kręcą się cztery kobiety; jedna udawała, że stroi instrument, ale reszta bez skrepowania przyglądała się przybyszom chciwymi oczami. Książę zdusił w sobie rozbawienie: kobiety były nader przewidywalne; potem przystanął, bo jego oczom ukazał się jeszcze lepszy widok.

Hendet siedziała w małej grupce przy ognisku, słuchając śpiewu kobiet. Podniosła głowę i uśmiechnęła się, gdy Wanahomen dotknął jej ramienia.

– Nie rób mi wyrzutów – powiedziała w chakti. Otaczające ją kobiety zareagowały uśmiechem.

– Nigdy bym się nie ośmielił – odparł. Nawet pachniała zdrowiej. Musiał się opanować, żeby nie przytulić jej przy wszystkich. – O ile dobrze się czujesz.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, i drgnęła, bo powietrze rozdarł krzyk kapłanki. Wanahomen się go spodziewał, a jednak serce zabiło mu szybciej, bo krzyk przeciągał się w nieskończoność, trwał dłużej, niż mogłaby krzyczeć jakakolwiek kobieta. I nie było w nim strachu ani oburzenia, których oczekiwał. Nie było w nim też nic ludzkiego. Śpiewaczka umilkła, tancerze w pobliżu największego ogniska znieruchomieli, Unte przerwał w środku opowieści.

A niech to! Wanahomen dobył noża i rzucił się biegiem w stronę, z której dochodził krzyk; kątem oka zauważył, że paru innych wojowników uczyniło to samo. Trzej dotarli na miejsce w chwili, gdy krzyk wreszcie ustał. Charris wyszedł z namiotu. Wszyscy stanęli, nawet Wanahomen, który zachłysnął się z wrażenia.

Kapłanka siedziała na łóżku wśród rozrzuconych poduszek, trzymając się za głowę. Oczy miała ogromne, dzikie; w każdym razie jedno oko było wielkie, drugie natomiast tak zapuchnięte, że kobieta nie była w stanie go otworzyć. Jedna połowa jej twarzy była fioletowa i brzydka, wierzchnia suknia rozdarta, a spodnia rozcięta i poszarpana, nogi nieprzyzwoicie obnażone aż do ud. U jej stóp, rozkrzyżowany, obnażony i najwyraźniej martwy, leżał dowódca łowców Azima. W jego piersi tkwił banbarryjski nóż.

– Co... – Żaden z wariantów planu nie przewidywał takiego zakończenia. Księżę zająknął się i zaczął od nowa: – Co, na bogów...

Charris ukląkł przed nim na jedno kolano. Nie był to zwykły pokłon banbarryjskiego niewolnika, ale Charris zawsze dawał jasno do zrozumienia, że za swojego pana uważa tylko Wanahomena.

– Księżę, wszedłem do namiotu, bo ujrzałem, jak wchodzi do niego ten mężczyzna. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem szamotaninę. Ta kobieta jest z Hetawy, nigdy by go nie zaprosiła.

Za ich plecami zadudniły kroki, odezwały się nowe głosy, zaciekawione, przerażone, rozgniewane. Nagle ucichły; zjawił się Unte, torując sobie drogę w tłumie. Zatrzymał się i spojrzał na Azimę. Łypnął spode łba na Wanahomena.

Księżę nieznacznie pokręcił głową, modląc się, żeby Unte dostrzegł, jak bardzo jest on wstrząśnięty. To nie tak miało być. Spodziewał się, że znajdzie dziewczynę przerażoną, lecz wściekłą, a Azimę spłoszonego, przyłapanego na gorącym uczynku. Dotknięcie kobiety wbrew jej woli – jakiegokolwiek, z wyjątkiem niewolnic i tych z wrogich plemion – to jeden z najgorszych sposobów, w jaki mężczyzna może splamić swój honor. Gdyby ktoś zrobił to w ansherracie sprzymierzeńca, gwałcąc obyczaje gościnności, to sprowokowałby konflikt skuteczniej niż jakiegokolwiek inne wyzwanie.

Przez tłum dobiegł do niego głos Yanassy, warczącej na ludzi, aby odsunęli jej się z drogi.

Przedarłszy się przez ciżbę, obrzuciła całą scenę jednym spojrzeniem, westchnęła i podeszła do Hanani. Kapłanka nie odrywała oczu od zwłok. Nie zrobiła tego, nawet gdy Yanassa przykucnęła przy niej obok i dotknęła jej ramienia, choć szarpnęła się gwałtownie.

– Spokojnie, spokojnie... – Yanassa wyciągnęła koc ze skłębionej sterty za plecami dziewczyny i zarzuciła go jej na ramiona, a potem drugim kocem przykryła jej nogi. Odwróciła się wściekle do przyglądających się jej mężczyzn. – *Co z wami? Nie widać, co się*

tu stało? Niech ktoś zabierze te zwłoki sprzed jej oczu, zanim oszaleje!

Unte odetchnął głęboko.

– Gdzie Tajedd?

– Tutaj... – Przywódca Dzikhów, otulony w koc, przepchnął się przez tłum w towarzystwie starszej kobiety z plemienia Yusirów i stanął, wstrząśnięty. – *Azima! O bogowie, Azima...* – Podszedł do trupa, dotknął drżącą ręką obwisłej twarzy. – Kto? Jak?

– Ja go zabiłam – odezwała się kapłanka. Gdyby zebrani nie umilkli na widok Tajedda, nikt by jej nie usłyszał, jej suchego i bezbarwnego szeptu. – Ja go zabiłam.

– *Hanani!* – To drugi kapłan. Wanahomen odsunął się, gdy Mni-inh torował sobie drogę wśród gapiów, nie siląc się na uprzejmość, a potem bluznął strumieniem najohydniejszych rynsztokowych gujaareńskich przekleństw. Podszedł do kapłanki, ale Yanassa odpędziła go, machnąwszy dłonią.

– Co z tobą? – Przeszła na gujaareński, żeby mógł ją zrozumieć, choć wystarczyłyby jej opiekuńcza poza i ostry ton. – *Akurat potrzeba jej teraz dotyku mężczyzny!*

Wanahomen nigdy dotąd nie widział tak wściekłego Mni-inha. Kapłan był wściekły jak furia.

– *Ona jest w szoku, ty barbarzyńska krowo! To twoi bracia ją skrzywdzili, więc zejź mi z drogi!*

W innych okolicznościach Wanahomen roześmiałby się na widok Yanassy, która drgnęła i cofnęła się posłusznie. Kapłan przykląkł i ujął ręce dziewczyny. Potem odetchnął głęboko i zajrzał jej w oczy. Stanął tak, że zasłonił swoim ciałem zwłoki Azimy. Dziewczyna spojrzała na niego, podnosząc szybko głowę.

– Zabiłam go, bracie. Zabiłam go. – Zaczęła dygotać tak gwałtownie, że kapłan nie mógł utrzymać jej dłoni. Yanassa patrzyła na nią z niepokojem. – *Zabiłam!*

– *Ćśś* – szepnął Mni-inh i zamknął oczy. Nagle dygotanie ustało, dziewczyna osunęła się na plecy, pogrążona we śnie. Kapłan

podniósł jej nogi, ułożył je na posłaniu i poprawił koc. Yanassa westchnęła i wstała.

– Całe szczęście. – Odwróciła się do Tajedda. Jej twarz zlodowaciała. – W tym plemienu mężczyzna, który napadnie kobietę, zasługuje na śmierć. Cieszę się, że nasza gujaareńska kuzynka uznała za stosowne osobiście wymierzyć mu karę.

Tajedd drgnął i wskazał Hanani.

– *Oszalałaś? Ta niewolnica zabiła mojego dowódcę łowców! Żądam jej śmierci!*

Yanassa wzięła się pod boki.

– *Nie jest niewolnicą!* Jaka niewolnica ma własny namiot i takie bogactwa? – Powiodła dokoła dłonią. Według banbarryjskich standardów namiot był ozdobiony skromnie, ale nawet cudzoziemskie oko Wanahomena dostrzegło, że plemię dobrze zapłaciło za hetawską biżuterię.

– Nie jest? – powtórzył ogłupiały Tajedd.

– Nie. – To był głos Hendet. Wanahomen odwrócił się i ujrzał stojącą za nim matkę. Kiwnęła mu głową, mijając go. – Osobiście podarowałam jej ten namiot. Mój syn i ja uznaliśmy ją za krewną zgodnie z zasadami gościnności naszego kraju. – Skinęła głową Tajeddowi; to był uprzejmy gest wyrażający szacunek jednej dostojnej osoby w stosunku do drugiej, przypominający wszystkim zebranym w sposób oczywisty, że mają ten sam status społeczny.

– Wśród swojego ludu jest kapłanką – dodała Yanassa. – Przyznaję, że nie ma pojęcia o przyzwoitym zachowaniu, ale jestem całkowicie pewna, że nie zamierzała zaprosić tego mężczyzny do swojego namiotu. – Obrzuciła zwłoki Azimy pogardliwym spojrzeniem. – Powiedziała mi, że nigdy nie miała żadnego mężczyzny i że Bogini Snów jej tego zakazuje. Przez całe życie będzie dziewicą.

– Dziewicą? – Tajedd skamieniał. W jego oczach pojawiło się zrozumienie, a potem furia. Rzucił Wanahomenowi spojrzenie pełne żywiołowej czystej nienawiści. Książę zacisnął zęby.

W Gujaarehu dziewictwo nie miało znaczenia – ot, niewygodą, której większość osób pozbywała się po osiągnięciu wieku wyboru – ale Banbarrowie uważali to za wielką cnotę.

Zgwałcenie dziewicy było złamaniem większości ich zasad; klany popadały w niewolę, a plemiona wszczynają wojnę dla mniej poważnych przewin. Tajedd nigdy już nie uwierzy, że Wanahomen nie zaplanował zabójstwa Azimy. Książę nie miał wyboru, musiał rozegrać tę sytuację do końca.

– Zwyczaje mogą się różnić, kuzynie – zwrócił się do Tajedda, reagując spokojem na jego złość. – Może Azima uznał dziwne zachowanie dziewczyny za zaproszenie. Błędy się zdarzają. A jednak... – Wszedł do namiotu i spojrzał na dziewczynę. Dawca trzymał palce na jej powiekach, jedna z nich była czarna i spuchnięta. W ciągu kilku chwil opuchlizna zaczęła się zmniejszać. – To dziwne, że Azima ją uderzył, prawda? I że ona po takim ciosie zdołała go dźgnąć. Mógł ją zabić. – Odwrócił się do Tajedda, którego gniew się ulotnił, zaćmiony mdlącym zrozumieniem. – Niewolnica wcale by nie walczyła, prawda? Wiedzą, że to nie ma sensu. Niewolnica nie mogłaby nawet sama przebywać w namiocie, chyba że właściciel kazałby jej zaczekać. Czy Azima uważał, że ten namiot należał do kogoś innego?

Tajedd zacisnął zęby. Unte spojrzał na niego podejrzliwie. Niewiele było spraw, które Banbarrowie traktowali poważniej niż te prywatne. Każdy an-sherratt stanowił małe królestwo w łonie plemienia, rządzone przez kobietę o najwyższym statusie. W granicach an-sherratu mężczyźni mogli bezpiecznie zdjąć zasłony, jeśli jego gospodyni wyraziła na to zgodę, kobiety mogły się rozebrać i oddawać się dowolnym rozkoszom, nie narażając na szwank swojej godności. Nikt nie mógł wejść bez zaproszenia do an-sherratu innego klanu, chyba że w sytuacji alarmowej.

– To pewnie pomyłka – wymamrotał Tajedd.

– Jaka? – spytał uprzejmie Unte. Głos miał łagodny, lecz tylko głupiec nie usłyszałby w nim gniewu. Wanahomen poczuł wdzięczność za to wsparcie, ale przecież Yusirowie byli zamieszani

w śmierć dowódcy łowców Dzikhów. Unte także musiał to dostrzec. – Wtargnięcie do namiotu przyzwoitej kobiety, pobicie jej, próba okradzenia z tego, co należy wyłącznie do niej? Czy też wtargnięcie do an-sherratu Hendet Hinba’ii z zamiarem uszkodzenia własności jej klanu? O której pomyłce Azimy mówisz?

Tajedd milczał przez parę trudnych chwil. W końcu spuścił wzrok, wiedząc, że jest zhańbiony. Nie mógł niczego naprawić; chodziło tylko o to, co mniej zaszkodzi reputacji jego plemienia.

– Mój dowódca łowców nie żyje – powiedział w końcu z wysiłkiem. – Był synem mojej siostry, ukochanym przeze mnie. Porozmawiajmy o jego błędzie na osobności, może będę mógł go naprawić.

Unte skinął głową.

– Tak. To sprawa między przywódcami plemion. – Spojrzał w stronę namiotu, przy którego wejściu tłoczyli się Yusirowie i Dzikhowie. – Do świtu rozstrzygniemy tę sprawę jak należy – orzekł. – Wybryk jednego człowieka nie rzuci cienia na całe święto. Wróćcie wszyscy do zabawy, z wyjątkiem tych, którzy pomogą nam przenieść ciało Azimy.

Kilku Dzikhów przepchnęło się przez tłum, ale reszta zbiła się w gromadę i zaczęła mamrotać. Tylko kilku odeszło, tak jak rozkazał Unte. Jedna z kobiet wystąpiła naprzód.

– Unte, czy to, co się wydarzyło, wywoła między nami i Dzikhami waśń?

Kilka osób spojrzało na Tajedda, ale on nie podniósł oczu.

– Nie – rzucił Unte zdecydowanie. – Wyrządzono zło i Tajedd chce dać nam zadośćuczynienie. Więzy między Dzikhami i Yusirami są zbyt mocne, by coś takiego je zerwało.

Wanahomen zauważył, że niejedna osoba odetchnęła z ulgą, słysząc to stwierdzenie.

Zebrani chętniej zaczęli opuszczać okolice namiotu Hanani. Nic dziwnego: on także słyszał legendy o brutalnych, ciągnących się przez pokolenia wojnach Banbarrów. Niegdyś było znacznie więcej

plemion niż te sześć, które ocalały.

Przybysze z plemienia Dzikhów weszli i zgromadzili się wokół ciała dowódcy łowców.

Owinęli go dywanem kapłanki, żeby zatrzymać rozlewającą się krew. Było jej zaskakująco mało, zważywszy, że nóż przebił serce. Wanahomen nie sądził, by dziewczyna miała pretensje o utratę dobytku.

Unte wyszedł z Tajeddem, choć przedtem rzucił księciu nieodgadnione spojrzenie, od którego żołądek Wanahomenowi podszedł do gardła. Ale podstęp się udał, choć sytuacja potoczyła się w niezaplanowanym kierunku. Yusirowie mogli nawet uzyskać wyższy status, choć tego akurat Wanahomen nie był pewien; nawet po dziesięciu latach po prostu nie rozumiał niektórych reakcji. Na przykład nie potrafił przewidzieć, co zrobi Unte.

W końcu w namiocie zostało tylko pięć osób: księżę, Charris, Yanassa i dwoje dawców.

Yanassa krążyła wokół Hanani, choć w końcu przestała rywalizować z Mni-inhem. Ten zakończył uzdrawianie dziewczyny i siedział w milczeniu obok niej.

– Księżę... – Wanahomen przypomniał sobie o Charrisie i poczuł wyrzuty sumienia.

Pozwolił mężczyźnie klęczeć przez cały ten czas.

– Wstań. O co chodzi?

Charris podniósł się z klęczek i przeszedł na chakti, zerknąwszy na dawcę.

– Kiedy przybyłem, ten Dzikh już nie żył. Jego ciało było nietknięte. To ja wbiłem nóż w jego pierś.

Wanahomen skamieniał. Yanassa zmarszczyła brwi.

– Jak to możliwe? – spytała. – Mężczyzna w jego wieku i z jego zdrowiem nie pada martwy ni z tego, ni z owego. – Nagle w jej oczach mignęła podejrzliwość. – Ale to prawda, że ta dziewczyna nie miała noża, a ja go jej nie kupiłam. Szczerze mówiąc, bałam się,

że się nim pokaleczy.

Magia. Nie było na to innego wyjaśnienia. Wanahomen spojrzął na plecy odwróconego dawcy.

– Yanasso, proszę, zostaw mnie z naszymi gośćmi. Charrisie, idź z nią.

Charris skłonił się służbiście, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Yanassa spochmurniała i wydawało się, że zacznie protestować, ale ku wielkiej uldze Wanahomena westchnęła tylko i również opuściła namiot. W zapadłym milczeniu księżę zdjął zawój z głowy, przesunął dłonią po warkoczach i westchnął.

– Chcesz wiedzieć, jak umarł – rozległ się głos dawcy.

Wanahomen drgnął; ten kapłan mówił w chakti? Czy po prostu się domyślił?

– Tak. Prawo i Mądrość nie mówi nic o dawcach, którzy potrafią powalić barbarzyńcę samym krzykiem.

– Krzyknęła z powodu tego, co zrobiła – wyjaśnił kapłan, wstając. Gdy się odwrócił, przeszył Wanahomena spojrzeniem tak zimnym jak jeszcze nigdy przedtem. Przez całą podróż do obozowiska wydawał się bardziej łagodny od dziewczyny, zirytowany ich sytuacją, ale starał się zachowywać jak najlepiej. Teraz nie było w nim nic dobrotliwego. – Lecząc człowieka, dotykamy jego duszy i uczymy ją pragnąć zdrowia. By go skrzywdzić, trzeba nauczyć jego duszę pragnienia udreki. – Dawca podszedł i wyciągnął rękę, by położyć ją na piersi księcia. Ten drgnął i odskoczył, nagle zaniepokojony, ale kapłan go doścignął i dotknął. – A żeby go zabić...

Szczęki bólu zatrzęsnęły się na piersi Wanahomena tak gwałtownie, że księżę nie mógł nawet nabrać powietrza, by krzyknąć. Zatoczył się do tyłu, drąc zakrzywionymi palcami pierś, szarpiąc dłoń dawcy, która stała się hakiem wbitym w jego ciało. Ale choć jego serce krzyczało, choć szamotał się, by uciec przed tym niespodziewanym atakiem hetawskiego potwora, siły zaczęły uchodzić z jego kończyn. Osunął się na kolana, konwulsyjnie

łapiąc powietrze.

– W jej snach zobaczyłem, co się stało – powiedział dawca. Wanahomen spojrział na niego przez łyzy bólu i zrozumiał: ten człowiek nie miał żadnych oporów przed odebraniem mu życia. Wszystkie złożone przysięgi, cała wiara w sens uzdrowicielstwa spłonęły w ogniu furii. – Widziałem, jak sprowadzasz ją do tego namiotu, by uleczyła twoją ranę. Nie rozumiała, co oznacza twój pocałunek, ale ja wiem. Obrąłeś ją za cel. Wykorzystałeś ją jak przynętę.

Serce! Ból zacisnął się wokół jego serca jak wąż albo dziesiątki sznurów, których twarde włókna raniły go, w miarę jak się zaciskały. Jęknął, marząc, by sznury rozluźniły się tylko na chwilę, by ból zniknął... albo by pękły...

Przez mgłę dotarł do niego trzask pękających splotów. Znowu mógł oddychać, a dawca cofnął rękę.

– Rozumiem – mruknął jakby do siebie. – Miała rację co do twojej siły. Gdybyś przeszedł szkolenie, pokonałbyś mnie, ale nie przeszedłeś, mój książę, a ja mogę rozedrzeć twoje ciało szybciej, niż ty przebijesz się przez moje twory.

Książę usłyszał zbliżające się kroki. Odpełził w tył, choć niedaleko – ból całkiem odebrał mu siły.

Dawca przykucnął przed nim. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, jak na kapłana Hananji przystało. Furia kryła się w jego czarnych oczach.

– Wyjaśnij mi to, książę.

– C... co?

– Dlaczego naraziłeś moją praktykantkę na takie niebezpieczeństwo? Gdybyś wiedział...

– Przez jego twarz przebiegł nagle skurcz bólu. – Nie uprzedziłem jej, że może w ten sposób zabić. Jest taka młoda, tak bardzo się stara... Ta noc zostawi w jej duszy trwałe piętno, więc chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś, książę Gujaarehu, Inkarnacja Hananji. Chcę wiedzieć, czy jesteś takim samym potworem jak twój

ojciec, bo jeśli tak... – Zacisnął pięść, dygoczącą z ledwie powstrzymywanej wściekłości, i na chwilę cichnący ból w sercu Wanahomena został wyparty przez strach, że ten obłąkany kapłan znowu się na niego rzuci.

Usiłował się zastanowić.

– Potrzebowałem...

– Nie okłamuj mnie.

– *Nie kłamie, przekłety!* Potrzebowałem głosu Tajedda. – Jego serce rozrywał tępy ból, ale udało mu się zaczerpnąć powietrza. Miało upojny smak, pieściło jego płuca. – Za parę dni będzie miało miejsce... zgromadzenie plemion. Yusirowie, Dzikhowie... cztery inne. Będą głosowały... czy przystąpić do wojny z Kisuanami. Żeby uwolnić Gujaareh.

Dawca spojrział na niego z odrazą. „*Dlaczego wszyscy kapłani Hetawy wyglądają tak samo, kiedy chcą zabić?*” – pomyślał Wanahomen. Gdyby wiedział, że nawet uzdrowiciele są śmiertelnie niebezpieczni, powiedziałaby temu zbieraczowi, gdzie ich może posłać.

– I boisz się, że nie zagłosują tak, jak byś chciał?

– Sz... sześć plemion. Bo wrogowie nie widzą różnicy między jednym a drugim... cztery z sześciu muszą głosować na mnie. Nawet remis oznacza przegraną. Dzikhowie by mnie nie poparli. Podburzyliby innych. Musiałem ich natychmiast przeciągnąć na swoją stronę.

Czy w oczach dawcy mignęło zrozumienie? Wanahomen nie ośmielił się w to uwierzyć.

– W jaki sposób skrzywdzenie Hanani miało ci zjednać tych... – Zaciął się na nieznanym dźwięku – ...Dzikhów?

Księżę chciał powiedzieć, że dziewczyna wcale nie została tak bardzo skrzywdzona; Azima najwyraźniej nie zdołał w nią wejść ani wydalić nasienia. W porę zdał sobie sprawę z kompletnej głupoty takich słów.

– Zasugerowałem im, że Hanani jest moja. Że to moja niewolnica, moja kobieta. Azima, ten zmarły, szukał pretekstu do walki ze mną. Uszkodzenie własności innego mężczyzny jest obelgą, którą należy pomścić. Napadł na nią, żeby mnie sprowokować.

Tu Wanahomen spojrział spode łba na dawcę. Do zdrętwiałych kończyn zaczęło wracać czucie. Czy teraz zdoła się obronić? Nie dałby za to głowy.

– Ale potrzebuję także Hetawy, choć klnę się na wszystkich bogów, że tego nie chcę.

Dlatego kazałem Charrisowi pilnować dziewczyny i wkroczyć, zanim... no, zanim to się stanie.

Możesz mi nie wierzyć, ale nie planowałem śmierci Azimy. I nie chciałem, żeby dziewczyna została... uszkodzona. Przypuszczałem, że będzie zdenerwowana. Może urażona. Nic więcej.

Dawca długo rozważał jego słowa w milczeniu. Potem, zanim książę zdołał się uchylić, dotknął jego twarzy. Wanahomen odruchowo zamknął oczy, i znowu nastąpiła ta dziwna przerwa w czasie. Dawca cofnął rękę; książę poczuł mrowienie powiek. Usiadł; dotarło do niego, że minęło więcej czasu, niż początkowo mu się wydawało. Następnie uświadomił sobie, że nie czuje już bólu w piersi. Nawet pulsowanie posiniaczonego ciała w miejscu, gdzie chwycił go kapłan, znikło bez śladu.

– Zbieracze dostrzegli w tobie pewną wartość – powiedział dawca cicho, z obrzydzeniem.

– Uważają cię za lepszego od ojca. Nie mogę się z nimi zgodzić, ale oni są bardziej związani z Hananą niż ja. – Wstał. – Rób, co musisz, żeby wyzwolić Gujaareh i przywrócić spokój naszemu krajowi, ale nigdy więcej nie posługuj się moją praktykantką.

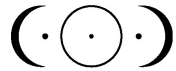
Po tych słowach odwrócił się i ukląkł u boku dziewczyny. Najwyraźniej zamierzał przy niej czuwać przez resztę nocy. A Wanahomen zrozumiał, że został odprawiony.

Po kilku próbach – jego kończyny odzyskiwały sprawność, choć bardzo powoli – książę zdołał wstać. Z jeszcze większym trudem

przyszło mu opuścić namiot dostojnie, by nie wyglądało to na ucieczkę. Chciał ocalić choć ten strzęp godności, który mu pozostał. Nie robił tego ze względu na kapłana – ten nie spojrział już na niego, przestał się nim interesować. Wanahomen robił to dla siebie.

Gdy dotarł do swojego namiotu i runął na posłanie, jeszcze bardzo długo drżał.

23. NEGOCJACJE MAGIĄ



Dziewczynka usiadła i rozejrzała się dokoła. Po chwili wstała i zakręciła się w kółko. Jej matka otworzyła usta ze zdumienia, a potem porwała małą mocno w objęcia, nie zważając na jej stanowcze protesty.

– Od siedmiu miesięcy była słaba – wyjaśniła Yanassa Hanani. – Ale po przebytej gorączce matka zaczęła się o nią bać. Ten klan ma tylko jedną dziedziczkę an-sherratu.

Hanani skinęła głową matce, która mówiła do niej coś nieskładnie, ze łzami w oczach, wstała i wygładziła spódnicę.

– Wszystkie podziękowania należą się Bogini – powiedziała. – Wyleczyłam gorączkę, ale problem, który ją spowodował, pozostał. Proszę, powiedz im, że dziecko musi jeść konkretne potrawy, bo znowu osłabnie, zwłaszcza teraz, gdy zaczął się jej cykl płodności. Najlepsze byłoby mięso, ale... – Rozejrzała się po namiocie. Należał do najbiedniejszych, jakie widziała w banbarryjskim obozowisku, miał połatane ściany, a ozdabiało go zaledwie parę świecidełek i drobiazgów, które miejscowe kobiety najwyraźniej lubiły zbierać. – Jeśli rodzina nie może sobie pozwolić na mięso, istnieją inne produkty, które także powinny się sprawdzić. Czy jeśli podam ci ich gujaareńskie nazwy, zrozumiesz?

– Jeśli nie, to je znajdę – odparła Yanassa. Również podniosła się ze swojego miejsca i wyszła za Hanani z namiotu. – W tym plemieniu umiera zbyt wiele dzieci. Jeśli wszyscy zaczną jeść wskazane przez ciebie produkty, czy to im jakoś pomoże?

– Nie wszystkim, ale młodym i kobietom w wieku rozrodczym tak.

– Zatem muszę to powiedzieć Unte, i podczas wiosennych transakcji zdobędziemy, co trzeba. – Yanassa zerknęła z uśmiechem na dziewczynę. – Znowu okazałaś się cenna dla naszego plemienia. *Jeśli zostaniesz z nami dłużej, będziemy musieli cię odesłać do domu z koniem albo i dwoma!*

Hanani nie odpowiedziała. Od pierwszych uroczystości z okazji przesilenia minęły dwa dni. Od cichego, nieopłakanego pochówku Azimy – jeden dzień. Nawet Dzikhowie nie zjawili się z rozkazu Tajedda, bo Azima okrył ich plemię hańbą. Pogrzebem zajęli się niewolnicy, a oprócz nich nad grobem stanęła tylko Hanani, by wyszeptać modlitwy w języku, którego Azima by nie zrozumiał, skierowane do bogini, którą pewnie by wyśmiał.

Od tego czasu rzuciła się w wir obowiązków, by nie myśleć o tamtej strasznej nocy. Yanassa pomogła jej znaleźć ludzi cierpiących z powodu chorób lub ran; większość z nich dała się namówić na magiczne leczenie. Pamiętając radę Hendet, przyjmowała dary i usługi, które jej proponowano w zamian, ale wiedziała, że nie z tego powodu leczy.

– Nadal cię to męczy, myszko? – Hanani poczuła na sobie spojrzenie Yanassy. Kiedy nie odpowiedziała, kobieta westchnęła. – Nigdy nie zrozumiem łagodnych serc miastowych ludzi. Opłakiwać człowieka, który tak cię znieważył... – Pokręciła głową. – Wrogów, których zabijacie w walce, też opłakujesz?

– Tak.

Yanassa spojrzała na nią w osłupieniu.

– Żartowałam.

– A ja nie. Morderstwa i agresja prowadzą do zepsucia, chyba że dopuszcza się ich ktoś o najczystszych intencjach. Dlatego mój lud zabija tylko z litości i nigdy nie zabija w gniewie. I dlatego wojna jest dla nas nie do pomyślenia... a raczej była. – Ale świat zmienił się pod tak wieloma względami...

Mni-inh zbliżył się do nich z drugiego końca obozowiska. Skinął Yanassie głową z chłodną uprzejmością i ruszył z nimi. Przyjrzał się

Hanani badawczo i musnął jej dłoń.

– Kończą ci się zapasy.

– Wystarczy na mniejsze rany i lżejsze choroby.

– Znaleźliśmy się tu z powodu wojny. Musisz być gotowa na więcej. Chodź, udaję się na spotkanie z Unte. Możemy go poprosić oboje.

– O co? – zaciekawiała się Yanassa.

– O senne humory – wyjaśniła Hanani. Prawie liczyła, że uda jej się obejść bez nich, pożytkując tylko swoje zapasy i energię z własnych snów. Potem nie mogłaby już stosować wyższej narkomancji. Nie mogłaby zabijać.

Mni-inh pokiwał głową i łypnął na nią z dezaprobatą.

– Moja praktykantka chyba zapomniała, że bogini Hananja, Ta, której sny obejmują życie po śmierci, dała nam dar magii, byśmy mogli służyć innym. Ale nasze sny nie wystarczą. Musimy prosić innych o donacje.

– Donacje... snu? – Yanassa zastanowiła się nad tym i westchnęła. – Lubimy bogów Gujaarehu tak samo, jak innych, ale wydają się wyjątkowo nachalni. Czy ta donacja boli?

– Nie – powiedział Mni-inh – i nie powoduje żadnej krzywdy, chyba że zbiera się senną krew. Ale to wolno jedynie zbieraczom. Choć podejrzewam, że gdybyśmy znaleźli ochotników, moglibyśmy pobrać od każdego odrobinę. To byłoby wystarczająco bezpieczne.

„Azima dostarczyłby więcej sennej krwi, niż moglibyśmy zużyć, gdyby umarł w spokoju” – pomyślała Hanani mimo woli, ale nie powiedziała tego na głos.

– Senne nasienie także będzie stanowić problem – ciągnął Mni-inh w zamyśleniu. – Zważywszy stosunek tego ludu do seksualności, nie wiem, jak ich poprosić o takie donacje. I nie jestem siostrą; nie mam pojęcia, jak właściwie... hm, no. – Jego twarz oblała się ciemnym rumieńcem. – Ale tego humoru także potrzebujemy.

Yanassa pokręciła głową, wyraźnie nie rozumiejąc.

– Unte da wam wszystko, czego sobie zażycycie. Już rozumiem, dlaczego wasz lud oddał was nam jako zakładników: wasza magia to ogromny skarb. – Przed namiotem Unte zwolniła. Rzuciła znacząco do Hanani: – Przyjdę wieczorem sprawdzić, co u ciebie. – Po czym skłoniła się i odeszła.

Mni-inh odprowadził ją wzrokiem.

– Zdaje się, że zyskałaś przyjaciółkę.

– Tak.

Banbarrowie poważali szybkich, skutecznych morderców.

We wnętrzu namiotu było nieco chłodniej niż na zewnątrz, ale powietrze zagęszczał dym z długiego polana, tłącego się na cokole obok Unte. Przywódca plemienia pozbawiony zasłony i zawoju okazał się łysy jak kolano. Powitał ich uśmiechem i skinął na nich, by podeszli do niskiego stolika, który Hanani już widziała. Tak jak poprzednio obok siedział Wanahomen, ale tym razem był wyprostowany i poważny. On także zdjął zasłonę. Nie spojrzął na nich. Hanani również nie czuła wielkiej potrzeby, żeby na niego patrzeć.

– Dokądkolwiek pójde, moi ludzie wychwalają waszą magię – przemówił Unte, wskazując im puste poduszki po drugiej stronie stołu. Hanani czekała, aż Mni-inh usiądzie, ale on dał jej znak, by uczyniła to pierwsza. Wtedy przypomniała sobie, że taki jest banbarryjski zwyczaj. Niezdarnie, walcząc z poczuciem niestosowności, usiadła nieopodal Unte. Mni-inh zajął miejsce obok Wanahomena.

– Z tym właśnie przychodzimy, panie – zaczął Mni-inh.

– *Panie!* Ci miastowi mają piękne maniery, co? – Unte uśmiechnął się do Wanahomena. – Nie nazywano mnie tak od czasów twojego przybycia.

Wanahomen zdobył się na blady uśmiech, który jednak nie dotarł do jego oczu.

– W moim kraju to oznaka uprzejmości.

– Hm. W dniu, gdy mój lud zacznie potrzebować fikuśnych tytułów, żeby rozpoznać swojego przywódcę, pojedę na pustynię na spotkanie z ojcem Słońcem. – Unte rozstawił małe filiżanki i nalał do nich herbaty, nie pytając przybyłych, czy mają na nią ochotę. Hanani, idąc za przykładem Mni-inha, wzięła swoją filiżankę i upiła ostrożnie łyk. Ku jej zaskoczeniu napar okazał się raczej chłodny, pikantny i bardzo słodki.

Mni-inh uniósł brwi z aprobatą i również pociągnął łyk herbaty, choć zaraz odstawił filiżankę.

– Oby ten dzień nie nadszedł przez wiele lat – powiedział kurtuazyjnie. – Jeśli chcesz, jedno z nas może sprawdzić stan twojego zdrowia i nieco je wzmocnić. Ale jeśli mamy to zrobić, a także leczyć innych, potrzebujemy twojej pomocy.

– Tak?

Mni-inh zerknął na Hanani. Już to przedyskutowali; Banbarrowie uważali milczenie kobiety za gafę, nawet jeśli ta kobieta była skromną praktykantką, okazującą szacunek swojemu mentorowi, i nie miała większej ochoty się odzywać. Dlatego Hanani odetchnęła głęboko i odstawiła herbatę.

– Czerpiemy moc ze snów, pa... – Ugryzła się w język. – Unte. W mieście, w Hetawie, pobieramy sny od tych, którzy ofiarowują je naszej Bogini w daninie. Ale tu nie mamy nosicieli daniny i wkrótce nasza moc się wyczerpie.

Unte wyprostował się, zaskoczony.

– Nie wiedziałem, że może wam się skończyć. Czy to niebezpieczne, to, eee... oddawanie snów?

Hanani zaczęła już kręcić głową, ale przypomniała sobie Dayuhotema.

– Na ogół nie. To bezbolesne i trwa parę oddechów.

Unte zerknął na Wanahomena.

– Słyszałeś o tym?

Książę skinął głową i po raz pierwszy spojrział na przybyłych.

Hanani nie potrafiła nic wyczytać w jego oczach; patrząc na nią, starannie przybierał obojętną minę.

– W stolicy Gujaarehu wszyscy obywatele powinni regularnie składać daninę, choć ja nigdy tego nie robiłem. Charris i ja – dodał, zwracając się do Mni-inha – mamy z tym więcej doświadczenia niż ktokolwiek z plemienia. Za waszą zgodą znajdę ochotników przed naszym odjazdem.

– Odjazdem? – podchwycił dawca.

Wanahomen spojrzał na niego nieprzeniknionymi oczami.

– W najbliższych dniach spodziewamy się tak wielu gości, że szpiedzy Shadounów czy innych naszych wrogów mogliby bez trudu zakraść się na nasze terytorium i może nawet przypuścić atak na wąwóz. Ja i część moich łowców zamierzamy patrolować wzgórze przez resztę uroczystości. – Wskazał niedbale ściany wąwozu.

– Ach. – Ku zaskoczeniu Hanani twarz Mni-inha przybrała niezwykle chłodny wyraz. – To kara za rolę, jaką odegrałeś w śmierci tego człowieka.

Na parę chwil zapadło bolesne milczenie. Oczy Wanahomena jeszcze bardziej zlodowaciały, wargi się zacisnęły, ale nie padło ani jedno słowo. Ciszę przerwał w końcu Unte, pociągnąwszy długi łyk herbaty.

– Mój lud nie uważa, by Wanahomen uczynił coś złego – oznajmił. – Azima nie dorósł do roli przywódcy łowców, co udowodnił, napadając na twą duchową córkę. To nie wina Wany. – Przywódca odstawił filiżankę i spojrzał na Hanani. – Mimo to zdaję sobie sprawę, że zostałeś skrzywdzona, gujaareńska dziewczico. Powinnością Yusirów jest cię pocieszyć. Dlatego zdecydowałem się odesłać Wanahomena na jakiś czas, żeby jego obecność przestała cię obrażać.

– Jego obecność mnie nie obraża – powiedziała Hanani.

Wszyscy – nawet Wanahomen – spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

– Hanani. – Mni-inh wyciągnął do niej z troską rękę. – Nie

zdajesz sobie sprawy, co zrobił.

Spojrzała na dłoń mężczyzny, potem w jego oczy, zastanawiając się, czy dociera do niego, jak bardzo bolą ją jego słowa i sugestia, że jest za głupia, by się orientować w sytuacji. Nie miał pojęcia, zobaczyła to natychmiast, i jej ból trochę złagodniał. Ale nie zniknął.

– Dobrze wiem, co uczynił, bracie – oznajmiła, a on znowu popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Wiem, że sprowokował tego mężczyznę, by napadł na mnie, choć nie wiem, czemu to zrobił, i nie obchodzi mnie to. Ale zdobywanie i utrzymywanie władzy zawsze wymagało pewnego stopnia zepsucia, na który Hetawa pozwala, dopóki nasi przywódcy myślą o większym dobru. – Spojrzała na Wanahomena. – Czy miałeś na myśli dobro Gujaarehu, książe?

Ten długo nie odpowiadał, a kiedy się w końcu odezwał, w jego słowach brzmiała dziwna zaciekłość. Hanani nie wiedziała, czy to złość, strach, czy inna silna emocja, ale głos mu zadrżał.

– Miałem je w myślach, sercu i duszy, praktykantko. Każda chwila mojego życia służy temu celowi.

Hanani skłoniła głowę.

– Zatem muszę przyjąć, że postąpiłeś zgodnie z wolą Hananji.

Tylko dlatego nie ofiarowała jeszcze Mni-inhowi swojej sennej krwi.

Unte patrzył na nią zaskoczony, ale potem pokręcił głową i westchnął.

– Mimo to patrolami należy się zająć. Wanahomen ma za zadanie strzec plemienia.

Książe ukłonił mu się szybko.

– To obowiązek i przyjemność.

Ale kiedy się wyprostował, znowu przeniósł chmurne spojrzenie na Hanani.

– Ano tak, tak. – Unte podniósł filiżankę i osuszył ją. – Wanahomenie, możesz się oddalić, by poczynić stosowne

przygotowania. A wy, moi gujaareńscy przyjaciele, czy tylko o to mnie prosicie?

– Tak – powiedział Mni-inh i dodał po namyśle: – Na razie.

Unte parsknął śmiechem.

– Szybko się uczysz, przybyszu. – Zrobił fantazyjny gest, częściowo wyraz uszanowania, częściowo pożegnania, i wziął nadal tłącą się fajkę. – Wracajcie, kiedy chcecie. Albo zostańcie i rozkoszujcie się wraz ze mną wypoczynkiem godziny słońca.

Podobnie jak Gujaareńczycy, Banbarrowie przesypiali najgorętszą część dnia.

– Dziękuję, ale nie – powiedział Mni-inh, wstając. – Najlepiej pracujemy, gdy inni śpią.

– Ach, tak. Zatem miłego wypoczynku i owocnej pracy.

Wyszli z namiotu. Wanahomen wyłonił się z niego ostatni i upewnił się, że kłapa została porządnie zamknięta. Wyprostował się i spojrzał na dawców.

– Możecie pobrać wszelkie humory ode mnie i Charrisa – rzucił. – Spytałem też matki, czy zechce złożyć daninę. Czy to wystarczy?

– Twoja matka nie może tego zrobić – oznajmił Mni-inh. – Jej ciało nadal nie ozdrowiało.

A Charris musi zgłosić się z własnej woli, bo Hananja nie przyjmie wymuszonej ofiary.

– Myślę, że się zgodzi, zawsze był pobożny. Ale wezwę go, żebyś sam mógł spytać.

Mni-inh skinął głową.

– Co do ciebie... zdajesz sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwo jesteś narażony? Czy mimo wszystko chcesz to zrobić?

Wanahomen spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

– Jakie niebezpieczeństwo?

Mni-inh drgnął. Popatrzył na Hanani, a ona odpowiedziała takim

samym spojrzeniem.

Nie musiała korzystać z narkomancji, by poczuć, jak bardzo wstrząśnięty jest jej mistrz. Czy książę mógł nie wiedzieć o niebezpieczeństwie? Chyba że nikt mu nie powiedział o problemie.

– Wyjaśnij mi to – zażądał Wanahomen. Podchwycił wymianę ich spojrzeń i oczy zwęziły mu się podejrzliwie. – W przypadku Charrisa nie wspominałeś o niebezpieczeństwie.

Mni-inh, zaskoczony, tylko pokręcił głową, mamrocząc pod nosem. Objasnienie pozostawił Hanani.

– Nie powinieneś składać daniny – powiedziała, kiedy książę na nią spojrzał. Jeszcze bardziej skrzywił twarz.

– Wyjaśnij to, kobieto.

– To może być niebezpieczne. Masz wielki dar snu. Nawet najmniejsze zachwianie równowagi twoich humorów może sprawić, że przestaniesz nad nim panować. Kiedy zabraknie ci sennej krwi, która zakotwicza cię w twoim ja, oszalejesz.

Książę drgnął, a po jego twarzy przemknęły najróżniejsze uczucia, od zgrozy poprzez zamęt do wściekłości.

– Dar snu – powtórzył po długiej chwili. Zabrzmiało to jak pytanie.

– Twój ojciec musiał wiedzieć – włączył się Mni-inh. Uśmiechał się, ale tak lodowato i gniewnie, że Hanani przestraszyła się. – Powiedziłeś, że nigdy nie składałeś daniny. Dziesiątki innych dzieci księcia robiły to podczas każdej wizyty w mieście, a jednak dla ciebie jakoś nie znalazł czasu? – Westchnął z pogardą. – Ach, lecz w tamtych czasach Hetawa była zepsuta. Wystarczyło dać łapówkę odpowiedniej osobie, żeby zachować tajemnicę bezcennego następcy tronu.

Wanahomen stał zeszywniały z kurczowo zaciśniętymi pięściami.

– Co ty opowiadasz, na wszystkie koszmary?

Hanani szybko podjęła wątek, nie pozwalając swojemu mentorowi dojść do słowa.

– Niektórzy ludzie mają tak silny dar snu, że nie pozostaje on w ich umysłach ani nie wyłania się na zewnątrz tylko we śnie – wyjaśniła. – Ich sny są bardziej plastyczne, ich umysły potrafią się poruszać między Ina-Karekh i Hona-Karekh, jakby sen i jawa stanowiły dla nich jedno i to samo. Uważamy, że taka siła to dar Bogini. O tych, którzy go posiadają, przeważnie upomina się Hetawa.

W oczach Wanahomena pojawiło się tak wielkie przerażenie, że odruchowo się cofnęła.

Co go tak przeraziło? Nieśmiało kontynuowała:

– Wielkim zaszczytem jest mieć tak potężny dar jak twój. Gdyby cię odnaleziono i zaczęto szkolić w odpowiednio młodym wieku, mógłbyś zostać dawcą lub zbieraczem. Może nawet służyłbyś u boku zbieracza Ehiru, twojego wuja...

Choć przerwała, uświadomiła sobie, co to mogło oznaczać. Wanahomen miał tyle samo lat, co zbieracz Nijiri. Czy gdyby Hetawa słusznie się o niego upomniała, to on, nie Nijiri, mógłby pomóc w zabiciu swojego ojca? Uniosła rękę do ust. W końcu zrozumiała jego zgrozę. Ale zanim zdołała naprawić swój błąd, mężczyzna zacisnął usta i odszedł.

– Książę... – ruszyła za nim, ale Mni-inh złapał ją za rękę.

– Niech idzie.

– *Bracie!*

– Powiedziałem: „*Niech idzie*”. – Mni-inh odczekał, aż książęca szata w kolorze indygo zniknie między namiotami. – Właśnie dowiedział się, że jest taki sam jak ludzie, których przez całe życie nienawidził. To dla niego trudne.

– *A ty mu tego nie ułatwiłeś!*

– Rzeczywiście. – W głosie Mni-inha nie było skruchy ani żalu. – Ty też nie powinnaś po tym, co ci zrobił. Jesteś zbyt łagodna.

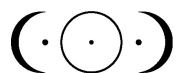
Po raz drugi odezwał się do niej jak do idiotki. I choć gniew z powodu tych słów był niestosowny i niespokojny, odczuła go tak

gwałtownie, że wyszarpnęła się z chwytu mistrza.

– Chyba lepiej, żebym była łagodna, nieprawda, bracie? – Spojrzał na nią, zaskoczony jej zaciekłością. Podeszła do niego; starczyło jej rozsądku, by zniżyć głos do gorącego szeptu: – Czy gniew przynosi ci ulgę? Zapewniam, że nie jest to dla mnie łatwe. Kiedy ponownie przestanę nad sobą panować, ktoś może znowu stracić życie. Powinam się modlić o więcej łagodności, nie sądzisz?

– Hanani... – rzucił gwałtownie, zająknął się i zamilkł. Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, Hanani uczyniła to samo, co zrobił książę. Po prostu odeszła.

24. DZIEDZICTWO



– Tak – powiedziała Hendet. – Twój ojciec wiedział i ja też wiedziałam.

Wanahomen zamknął oczy. „*Mógłbyś zostać zbieraczem*” – powiedziała ta kapłanka. Jak Ehiru, który zamordował jego ojca. Jak Una-une, ten bezmyślny duszożerny Kosiarz.

Obudził Hendet z drzemki godziny słońca, by wydobyć z niej prawdę.

– Dlaczego? – szepnął. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Ten dar dziedziczą mężczyźni – wyjaśniła matka. Głos miała suchy i chłodny, ale znał ją. Bała się. – Wiele razy słyszałeś opowieść o Pierwszym Księciu Mahanassecie. Nigdy nie zrozumiałeś jej przekazu? On pierwszy poznał cud sennej krwi, ponieważ bez niej nie potrafił odróżnić rzeczywistości od dręczących go wizji...

– I tego mam się spodziewać? Obłądu? – Wanahomen poderwał się na równe nogi. – Na demony i cienie, to mi chcesz powiedzieć?

– *Siadaj!* – Głos Hendet zabrzmiał jak trzask bicia. Książę otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uciszyła go spojrzeniem. – Siadaj, głupi chłopcze, i posłuchaj.

Ustąpił, zacisnąwszy zęby. Ukląkł na najbardziej oddalonej od niej poduszce. Matka westchnęła i potarła oczy.

– Nie dziwię się, że się gniewasz – powiedziała w końcu. Spojrzała na niego; wyraz bólu na jej twarzy sprawił, że złość rozluźniła chwyt, którym ścisnęła jego żołądek. – Kapłan, który cię badał, powiedział nam, że przy tak wielkim darze masz takie same szanse na popadnięcie w obłąd, jak i na życie w pełnym zdrowiu.

Uznaliśmy, że warto zaryzykować.

– Takie same szanse. – Wanahomen zacisnął leżące na kolanach pięści. – Mogłem w każdym momencie stać się szalejącym wariatem, a wyście uznali, że warto zaryzykować?

– Owszem, twój ojciec tak uważał – odparła spokojnie Hendet.

Księżę spojrzał na nią przeciągle i w końcu wypowiedział głośno pytanie, które go dręczyło, a którego od dziesięciu lat jeszcze nie zadał.

– Czy ojciec był obłąkany?

Przeraziło go, że matka nie zaprzeczyła od razu.

– Nie wiem – powiedziała po długim milczeniu. Odwróciła wzrok i splotła dłonie. Uczono ją nie okazywać zdenerwowania. – Z pewnością odróżniał sen od jawy. Przy mnie zawsze zachowywał się łagodnie, inteligentnie... Ale to, co robił pod koniec... to wszystko... – Zacisnęła zęby i zamilkła.

„W takim razie może zbieracze słusznie odebrali mu życie” – pomyślał Wanahomen, zanim zdążył sobie tego zabronić.

Nie. Hetawa wykorzystała jego ojca, jego przodków. A zbrodnie, które popełnił Eninket, stanowiły tylko reakcję na to traktowanie.

– Musisz zrozumieć – podjęła Hendet łagodniej niż zwykle. – Gdyby kapłani zażądali innych jego dzieci, mógłby się ugiąć, ale nie w twoim przypadku. Dlatego zaryzykował i przekupił kapłana, który orzekł, że brakuje ci zdolności.

– Wszystko to bardzo pięknie – rzucił Wanahomen ze ściśniętym gardłem – ale mogliście mi chociaż powiedzieć.

Oboje zamilkli – on zeszywniały z urazy, ona przygnieciona wyrzutami sumienia.

– Przepraszam – szepnęła w końcu. – Masz rację, oczywiście. Ale... miałaś tak wiele innych problemów. A im dłużej ukrywałam przed tobą prawdę, tym trudniejsza stawała się do wyjawienia.

Po czymś takim Wanahomen nie mógł powiedzieć nic więcej. Pokręcił głową, westchnął i w końcu wstał. Hendet wyprostowała

się z niepokojem.

– A ty dokąd?

– Przygotować się do patrolu. I znaleźć dawców.

– Wana...

Uniósł rękę, żeby ją uciszyć. Miał już dość półprawd.

– Porozmawiamy po moim powrocie.

– Przepraszam – powtórzyła matka, kiedy wychodził. Obejrzał się, nie zdołał się zmusić do pożegnania i opuścił za sobą klapę.

Znalezienie kapłanki nie zajęło mu dużo czasu. Spytał o nią jednego z członków plemienia.

– Szukała ciebie – odpowiedział zapytany. – Jest tam.

I tak znalazł ją w pobliżu an-sherratu Shatyrri, matki Wutira i babki Wuddzaha. Rozglądała się, spłoszona. Wyraz jej twarzy świadczył, że zauważyła wrogie spojrzenia krewnych Wutira. Te, którymi obrzucili Wanahomena, były jeszcze bardziej nieprzyjazne. Nie przejął się nimi.

– Księżę... – W jej głosie zabrzmiała ulga. Kiedy indziej dostrzegłby w tym ironię losu. – Proszę, wybacz mojemu mentorowi. Nadal się gniewa...

– Wiem – rzucił Wanahomen. – Chodź ze mną.

Zrobił trzy kroki, zanim dotarło do niego, że dziewczyna nie idzie za nim. Obejrzał się; przyjrzała mu się uważnie, a on uświadomił sobie, że kapłanka rozważa, czy może mu zaufać. Dobrze, że po incydencie z Azimą zaczęła być bardziej ostrożna, niemile zaskoczyło go natomiast, że traktowała nieufnie jego samego.

„Ale czy na to nie zasługujesz?” – szepnęło jego sumienie, gdy w końcu za nim ruszyła.

Tak. Zasługiwał. I dlatego ostatecznie wybaczy matce. Nie może jej obwiniać, gdy sam popełnił równie haniebne czyny.

Hanani zerknęła na niego, idąc z nim przez obozowisko, ale nie przerwała milczenia, za co był jej wdzięczny. Odezwała się dopiero

przy an-sherracie Yanassy.

– Twój syn.

Zatrzymał się i odwrócił do niej. Nie nienawidził już dziewczyny, odkąd ujrzał jej twarz, gdy zabiła Azimę. Czy ona nienawidziła jego? Modlił się, by pomimo tego potrafiła dotrzymać ślubów i udzielić mu pomocy.

– Muszę wiedzieć – powiedział. – Tassa musi wiedzieć. Powoli skinęła głową.

– Potrafię przeprowadzić próbę czwartej powodzi. Ale dar najczęściej dziedziczy się w linii męskiej. Jeśli chłopiec go ma...

– To nie znaczy, że musi oszaleć.

– Nie. Ale co się stanie, jeśli oszaleje? Jak Banbarrowie traktują swoich obłąkanych?

– Wyprowadzają ich na pustynię i zostawiają na pewną śmierć.

Dziewczyna skamieniała. Kiedy w końcu się odezwała, w jej głosie brzmiała niespotykana dotąd pogarda.

– O stopniu cywilizacji narodu świadczy to, jak traktuje najślabszych.

Zaskoczyło go, że zacytowała przysłowie Mahanassety, ale przecież Hetawa nie skąpiła na wykształcenie swoich podopiecznych.

– Jest w tym nieco prawdy – przyznał – tyle że w Gujaarehu nikt nie musi podrzynać gardeł niedołącznym rodzicom ani topić swoich kalekich dzieci. Tu nie ma zbieraczy, którzy robią takie rzeczy.

– *Obłąkany nie umiera, nie jest też zdeformowany!*
Ci barbarzyńcy...

Urwała, być może starając się zachować uprzejmość. Wanahomen niemal się uśmiechnął, słysząc w jej głosie czystą gujaareńską arogancję. Nie wiedział, że kapłanka jest zdolna mówić takim tonem.

– Życie na pustyni nie należy do łatwych. Banbarrowie nie mają takich bogactw jak Gujaareńczycy; niewiele mogą dać swoim

„najślabszym”. I pamiętaj: obłąkany może się stać niebezpieczny.

Dziewczyna machnęła lekceważąco ręką, ogarnął ją gniew.

– *Więc powiedz im, żeby przyprowadzili swoich obłąkanych do Gujaarehu!* Pomożemy im wieść długie, dobre życie. A jeśli zjawią się odpowiednio młodzi, w wieku Tassy lub młodszy, będą mogli pomagać innym jako dawcy lub zbieracze.

Wanahomen skamieniał, ale potem uświadomił sobie, że dziewczyna nie zażądała oddania Tassy.

– Kiedy wrócę do Gujaarehu, stracę mojego syna – powiedział. Starał się mówić cicho i beznamyślnie, ale mimo wszystko nie mógł powstrzymać nuty bólu. Kapłanka zamilkła, a gniew powoli ustępował. – To mój pierworodny, ale nigdy nie zasiądzie na tronie Zachodu Słońca. To pół-Banbarra z urodzenia, ale duchem jest nim bezgranicznie. Odebranie mu tego życia i klanu, który kocha, zmuszenie do życia pod stałym dachem, przykucie do ludzi, którymi gardzi... To by go zniszczyło. Rozumiesz?

Kapłanka także odezwała się łagodnie, być może starając się okazać mu życzliwość.

– Obłąd także go zniszczy, księżę. Istnieje tylko jeden pewien sposób, by go przed tym ocalić, jeśli jego dusza naprawdę zacznie się błąkać.

– Nie pozwolę go także zniewolić senną krwią.

Dziewczyna milczała przez chwilę, by złagodzić sens swoich następnych słów i pozwolić księciu się na nie przygotować:

– Zatem czy jeśli oszaleje, zabierzesz go do zbieraczy?

– Nie dopadną kolejnego z mojego rodu.

– Zatem...

– Jeśli oszaleje, sam go zabiję.

Wypowiedzenie tych słów go nie zabolowało, bolała tylko myśl o tym, że musiał je wypowiedzieć. A ponieważ dziewczyna była Gujaarenką, jej mina wyrażała współczucie, nie zgrozę.

– Ten wybór powinien należeć do niego – powiedziała.

Wanahomen skinął niechętnie głową.

– Tak. I jeśli zajdzie taka potrzeba, spytam go. Ale gdy się zagubi w wizjach i majakach, jeżeli ta klątwa, którą nazywasz darem, odbierze mu możliwość dokonania wyboru... – Zacisnął zęby. – Nie pozwolę mu cierpieć.

Westchnęła, ale nie zaprotestowała.

– Teraz poddam go próbie.

Zastali Tassę w namiocie. Bawił się małym mieczykiem, który Wanahomen dał mu po którejś wyprawie do Gujaarehu. Otworzył im klapę z gorliwością świadcząca o przedłużającej się nudzie.

– Mama kazała mi dziś zostać w domu – wyjaśnił. – Dasheuri znalazł skorpiona i powiedział, że nie odważę się go wziąć do ręki, no to mu pokazałem. Mama to widziała i strasznie się pogniewała.

– I słusznie – powiedział Wanahomen groźnie. – Te stworzenia potrafią zabić dziecko twojego wzrostu.

– Wiedziałem, co robię – odparł mały nie bez arogancji. Potem rozpromienił się, ujrawszy towarzyszkę ojca. – *To jej pomagała mama!*

– To uzdrowicielka – wyjaśnił Wanahomen. Dziewczyna przyglądała im się, wiedząc, że mówią o niej. – Z kraju, w którym się urodziłem. Chce przeczytać twoje sny i sprawdzić, czy nic ci nie dolega.

Tassa wskazał im ułożone wokół małego kwadratowego kobierca poduszki czekające na gości.

– Potrafi zajrzeć w moje sny? – spytał z fascynacją i bez niepokoju, który odczułby dorośli. – Jak?

– Połóż się, to zobaczysz – polecił Wanahomen. Tassa bez namysłu rzucił się na dwie poduszki. Księżę dał znak dziewczynie, która uklękła obok małego.

– Sen, pamiętam ja? – spytał Tassa bardzo złym, urywanym gujaareńskim.

Wanahomen drgnął z zaskoczeniem i zrozumiał: Yanassa. Pewnie

postanowiła nauczyć syna gujaareńskiego, choć na ogół banbarryjscy chłopcy nie mogli poznawać dziewczęcych umiejętności. Przez chwilę poczuł pieczenie łez pod powiekami. Szybko się opanował. Będzie musiał później podziękować Yanassie.

Kapłanka także wyglądała na zaskoczoną, ale odpowiedziała z uśmiechem:

– Mogę sprawić, żebyś pamiętał, jeśli tego chcesz. – A kiedy chłopiec spojrział na nią bez zrozumienia, dodała: – Tak. Będziesz pamiętał.

Tassa rozpromienił się w uśmiechu.

– Na ogół nie pamiętam snów – powiedział w chakti. – A chciałbym.

– Ona może cię nauczyć, jeśli chcesz.

Mały zmrużył podejrzliwie oczy.

– Nie chcę się uczyć magii. To cudzoziemskie obyczaje.

„*To twoje dziedzictwo*” – chciał powiedzieć Wanahomen, ale ugryzł się w język.

– To zależy od twojej matki – oznajmił. – Połóż się i przez chwilę milcz, bo ta magia zajmie cały dzień.

Tassa ułożył się wygodniej.

– Co teraz?

– Zamknij oczy. Ona położy na twoich powiekach palce i sprawi, że zaśniesz.

Na twarzy chłopca widać było zatroskanie.

– Ty to już robiłeś?

– Tak. I Hendet też. Widziałeś, że czuje się lepiej?

– Aha. No to w porządku. – Mały zamknął oczy, już chętny do zabawy. Dziewczyna położyła mu palce na powiekach i zaczęła cicho, monotonnie mrużyć. Po chwili ciało Tassy rozluźniło się we śnie. Wanahomen przyklęknął obok.

Zajął to mniej czasu, niż się spodziewał. Załedwie pięć minut

później dziewczyna odetchnęła i otworzyła oczy.

– Takie łagodne sny – szepnęła. – Nie spodziewałam się tego po twoim synu.

Wanahomen, niepewny, jak ma to zrozumieć, postanowił pominąć jej słowa milczeniem.

– Ma dar czy nie?

– Nie. Jego sny nigdy nie opuszczą Ina-Karekh.

Poczuł wielką ulgę, która była jednocześnie bolesna i słodka. Podświadomie, wbrew samemu sobie spodziewał się znaleźć u swojego syna kolejne piętno swojej krwi. Ale ta nedorzeczna chwila szybko minęła, a on zamknął oczy, by wyszeptać modlitwę w podzięcie za szczęście syna. Kiedy uniósł powieki, napotkał spojrzenie kapłanki.

– Nie sądziłam, że się modlisz – powiedziała.

Spochmurniał.

– Nienawidzę Hetawy, nie Bogini – warknął i podszedł do Tassy. Impulsywnie przygarnął go do siebie, na co Yanassa tak rzadko mu pozwalała, gdy chłopczyk się urodził. – Jeśli Bogini zechce mnie obdarzyć jakimś małym błogosławieństwem, poczuję się na tyle z nią związany, by jej podziękować.

– A jednak nie postępujesz zgodnie z Jej prawem.

Tassa westchnął z zadowoleniem przez sen, tuląc się do piersi ojca. Wanahomen nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Później na pewno pozartuje sobie z małego.

– Nie – przyznał. – Może w sercu, ale jeśli chodzi o fakty... Teraz, gdy opuściłem Gujaareh, stałem się twardszy i, przyznaję, czasem mnie to martwi. Ale właśnie dla Gujaarehu robię rzeczy, w których brakuje spokoju. Staram się, by były to właściwe rzeczy, ale... – Spojrzał na nią. Choć jej siniaki zbladły, a Azima nie żył, cień tamtych wydarzeń nadal pozostawał na poważnej twarzy Hanani. Westchnął; to, co powiedział, stanowiło najbliższy odpowiednik przeprosin, na jakie pozwalała mu duma: – Nie zawsze mi się udaje.

Dziewczyna lekko zmarszczyła brwi, chyba nie z dezaprobatą, lecz w zamyśleniu. Szczególnie uważnie przyglądała się, jak trzyma Tasse. Wyczuł, że coś rozważała, a może czegoś nie chciała wyjawić.

– Brak mu talentu – powiedziała – ale to jednak twój syn. Jego dzieci mogą to odziedziczyć. Dar czasem przeskakuje jedno pokolenie. – Gdy Wanahomen nie odpowiedział, bo nic nie przychodziło mu do głowy, dodała: – Będziesz musiał mu o tym powiedzieć, książę. Wiedza to broń; nie zostawiaj swoich potomków nieuzbrojonych. – Znowu na chwilę zamilkła. – Tak jak zostawiono ciebie.

Podniósł na nią gniewne spojrzenie, ale niesłusznie, skoro to nie ona ukrywała przed nim prawdę. A ona nie przestraszyła się jego gniewu może dlatego, że czuła, iż słuszność jest po jej stronie. Westchnął i ustąpił.

– Wszystko mu wyjaśnię – obiecał. – Jutro. Powiem także Yanassie i przekonam ją... spróbuję ją przekonać, żeby w przyszłości pozwoliła Tassie odwiedzić Gujaareh. Mój syn musi się dowiedzieć, jak odprowadzać dzieci na próbę do Hetawy.

Hanani zmarszczyła brwi.

– Ach, tutaj matki rządzą tymi sprawami. Rozumiem. – Zastanawiała się przez chwilę. – Przedyskutuję tę sprawę z Yanassą i moimi znajomymi. Nie mam dzieci, ale może nawet lepiej, żeby te słowa padły z ust kobiety.

– Dziękuję – powiedział zaskoczony Wanahomen. – Tak, to pomoże.

„Ale dlaczego mi pomagasz?”. O to nie spytał. Zresztą nie musiał: najwyraźniej kapłanka czuła, że pomagając mu, służy w jakiś sposób bogini Hananji. A może chciała też pomóc Tassie, a Wanahomena uważała za narzędzie, służące temu celowi.

Westchnęła niespodziewanie, a Wanahomen zrozumiał, że kiedy on zastanawiał się nad nią, dziewczyna podjęła jakąś decyzję.

– Istnieje jeszcze jeden sposób na to, jak możesz położyć kres temu szaleństwu – powiedziała. – Senna krew to najpewniejsza

metoda, ale tego oczywiście nie zrobisz, więc... – Zawahała się i westchnęła. – Musisz się nauczyć przywracania równowagi swoich humorów, kiedy się zachwieje. Tę umiejętność muszą opanować ci z nas, którzy manipulują humorami. Jeśli zdołasz się tego nauczyć, nic nie zagrozi twoim zdrowym zmysłem.

Wanahomen przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu. Potem położył Tasse, żeby chłopiec mógł przespać resztę godziny słońca.

– To trudne? Nauczyć się tej umiejętności?

– Mnie przyszło to z łatwością, ale na tym etapie kształcenia miałam już doświadczenie w narkomancji. Wiele zależałoby od tego, jak szybko się uczysz i jak cierpliwy byłby twój nauczyciel...

– Nie. – Miałbym wpuścić do swoich snów tego nienawidzącego mnie drania?

Oszalała? – Ty mnie tego nauczysz.

Dziewczyna drgnęła.

– Księżę, jestem dopiero praktykantką.

– Nic mnie to nie obchodzi. Potrafisz mnie nauczyć?

Zawahała się. Widział, że nie z niepewności, lecz dla przyzwoitości.

– Tak, ale Mni-inh ma większe doświadczenie...

– Więc wybieram ciebie. Ale powiedz mi dlaczego.

Teraz to ona spojrzała na niego jak na wariata.

– Bo nie chcesz pozwolić mojemu mentorowi...

– Nie. Powiedz, dlaczego w ogóle mi to zaproponowałaś. Obraziłem cię, praktykant ko Hanani. Zrobiłbym to znowu, gdybym to miało wpływ na wyniki głosowania Banbarrów na moją korzyść, i nie mogę za to przeproszać. A jednak mi wybaczyłaś. Dlaczego?

Cofnęła się i nagle wszystkie uczucia znikły z jej twarzy, zmieniając ją w zimne oblicze posągu. Na chwilę przypomniała mu się Tiaanet.

– Nigdy nie powiedziałam, że ci wybaczyłam – wycedziła.

– Więc czemu mi pomagasz?

– Bo teraz sędzę, że dlatego przysłali mnie tu zbieracze. Otrzymałam rozkaz wyzwolenia Gujaarehu. Pomagając ci, osiągam ten cel.

– Otrzymałaś rozkaz... – urwał, wpatrzony w nią. Nie wiedział, czy to nie jest żart. Kto przy zdrowych zmysłach zleciłby wyzwolenie ludu spod okupacji tej nieśmiałej, zastraszonej istocie? I kto by uwierzył, że ta istota się na to odważy?

Ale w tej chwili nie wyglądała na nieśmiałą ani zastraszoną. Nigdy by w to nie uwierzył, ale jej spojrzenie stało się twarde. Czy to z powodu incydentu z Azimą, czy zawsze miała to w sobie, ukryte pod pokornym gujaareńskim zachowaniem? Nie wiedział, ale zdawał so bie sprawę, że nie wolno tego lekceważyć.

– Naucz mnie tej magii – powiedział w końcu cicho, bo tylko tak mógł okazać pokorę kapłance Hetawy. – Ja przekażę ją Tassie, żeby mógł nauczyć jej swoje dzieci. Kiedy odbiję nasze ziemie, nauczę tego wszystkich moich potomków. Gujaareh nigdy więcej nie będzie się obawiał szaleńca na tronie.

Dziewczyna skinęła głową.

– Zatem zacniemy od razu. Jutro. Muszę najpierw przedyskutować metodę z Mni-inhem.

Wstała.

– *Jutro wyruszam na wyżyny!* – rzucił za nią Wanahomen.

Otworzyła klapę namiotu, zatrzymała się i spojrzała na niego. Do środka wpadł lekki wietrzyk, niosący woń późnych polnych kwiatów. Poruszył fałdami jej szaty, otaczając ją nimi jak chmurą w barwach ziemi. Wyglądała tak spokojnie i nadnaturalnie i tak bardzo po gujaareńsku, pomimo banbarryjskich szat, że książę poczuł tęsknotę za domem.

– Obozujecie tam? – Wskazała górujące nad nimi krawędzie wąwozu.

– W nocy. Za dnia będę okrążał te tereny z moimi ludźmi...

– Zatem przyjdę do ciebie w nocy. – Skinęła głową i wyszła z namiotu. Kłapa zamknęła się za nią z cichym płaskiem. Zabrzmiał jak głuchy śmiech.

25. NEGOCJACJE BÓLEM



Tiaanet zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gdy tylko przekroczyła próg pokoju, w którym jej ojciec wraz z trzema innymi dostojnikami planował bunt przeciwko Kisuanom. Kobieta, która właśnie przemawiała, była wysoka, blada, wyniosła i tylko trochę starsza od Tiaanet, choć na splecionych w koronę włosach nosiła diadem, wyróżniający ją jako głowę rodziny. Iezanem, zhinha, córka pani Zanem, niedawno straciła rodziców, którzy z niewyjaśnionych powodów umarli we śnie.

– Co nam z tego teraz przyjdzie? – rzuciła do Sanfiego pogardliwie. – Hetawa jednym ruchem podbiła ludzkie serca, jakby tych dziesięć minionych lat nie miało miejsca.

Niebezpieczeństwo ukrywało się za maską spokoju na twarzy ojca, ale Tiaanet je wyczuwała. Sanfi nie mógł sobie pozwolić na sprzeciw, ponieważ Iezanem reprezentowała tę garstkę rodzin zhinów, którzy zdołali zachować pod kisuańskim panowaniem realną władzę. Ale ojciec nigdy nie lubił, kiedy kobiety zwracały się do niego takim tonem, i Tiaanet poczuła, że skręca jej się żołądek.

– Ludzkie serca są kapryśne – odpowiedział ojciec, kiwając jej głową, kiedy nalała mu słodkiego wina. – Znienawidzą znowu Hetawę w chwili, gdy Kisuanie zaczną ich zabijać z zemsty za tamtych żołnierzy.

– Nie możesz tego zagwarantować – odparł inny gość, shunha Deti-arah z kasty wojskowych, który miał niegdyś zostać następnym gujaareńskim generałem. Fakt, że nie zdążył dostać awansu, uratował go przed egzekucją, które Kisuanie wykonali po zdobyciu Gujaarehu. – Ani zemsty Kisuan, ani obrócenia się ludu przeciwko

Hetawie. Spotkałem się z Sunandi Jeh Kalawe i jej mężem Anzim Seh Auinu. Oczywiście Anzi to żołnierz; mógłby zechcieć krwi za śmierć swoich ludzi. Ale Sunandi rozumie, czym to grozi. Ci żołnierze okradali, bili i gwałcili obywatele Gujaarehu. Zemsta za to, że Hetawa usunęła te szumowiny, doprowadziłaby do wściekłości całe miasto.

– Anzi ma władzę nad wojskiem – zauważył Sanfi, popijając wino. – Czy rozgniewany mężczyzna, który posiada środki i zaprzysiągł zemstę, będzie słuchał żony, nawet jeśli udzieli mu ona rozsądnej rady?

– Sunandi przemawia w imieniu Protektoratu – odparł Ghafir, także shunha, któremu Sanfi udzielił znacznej pożyczki. Mówiąc, zagryzał dolną wargę i marszczył brwi. Nie spojrzał na Tiaanet nawet wówczas, kiedy naląła mu wina. – Ofiarowano jej to miejsce właśnie po to, żeby powstrzymywała męża przed popełnianiem takich błędów. Jeśli jej nie posłucha i sprawy potoczą się w niewłaściwą stronę, będzie musiał później odpowiedzieć przed Protektorami.

– Ale zło już się stanie – powiedział Sanfi.

– Nie o to chodzi – warknęła Iezanem tonem tak dalekim od spokoju, że Tiaanet się skrzywiła. – Działamy zbyt powoli. Nasi żołnierze zebrali się na skraju pustyni. Dlaczego zwlekamy z atakiem? Im dłużej czekamy, tym bardziej Hetawa rośnie w siłę. W tym tempie nawet jeśli to my wygramy, lud uzna za wyzwolicieli kapłanów i nadal będzie się do nich zwracał o pomoc.

– Albo do tego, kogo poprze Hetawa – dodał Deti-arah. Westchnął i złożył palce w wieżyczkę. – W mieście krążą plotki, że Banbarrowie przeszli na naszą stronę i że dowodzi nimi ktoś z rodu Zachodu Słońca. Czy to twoje dzieło, Sanfi?

Tiaanet podeszła do stołu na końcu pokoju, by ponownie napełnić karafkę. W ciszy, jaka zapadła, chlupot przelewanego wina wydawał się bardzo głośny.

– Nie – powiedział w końcu jej ojciec, a w jego głosie słychać było

narastający głuchy gniew. – Tę informację postanowiliśmy trzymać w tajemnicy do czasu ostatecznego ataku. Ktoś z nas ma za długi język.

Tiaanet odwróciła się w stronę zebranych. Deti-arah kręcił głową.

– Słyszałem to od kogoś z Hetawy – powiedział. – Dwa dni temu zaprowadziłem mojego syna na złożenie daniny. Kapłan, który ją pobrał, powiedział mi, że wkrótce Bogini odpowie na moje modlitwy o spokój, bo Jej Inkarnacja wróci, by wyzwolić miasto. Niemal promieniał z radości, zupełnie nie jak kapłan.

Zapadło milczenie. Sanfi zacisnął dłoń na kielichu.

– Ale... wiedzieliby o tym i cieszyli się z tego tylko wówczas, gdyby powrót księcia służył ich celom – zauważył Ghefir, jeszcze bardziej nerwowo skubiąc wargę. – Prawda?

– Tak – przyznał cicho Sanfi. – Zdaje się, że Hetawa zawarła prywatną umowę z księciem. To bardzo... niefortunne.

– Niefortunne? – Iezanem wstała; dygotała z wściekłości. – Tak to nazywasz? Kto w mieście zechce teraz powstania Protektoratu Gujaareńskiego, skoro Hetawa przedstawia powrót Wanahomena jak jakieś od dawna oczekiwane proroctwo? Tak mści się twoja opieszałość. Nie mamy wyboru, musimy działać...

– Nie – warknął Sanfi, nie siląc się już na uprzejmość. – Obecni w mieście Kisuanie boją się, że lada chwila może wybuchnąć powstanie, więc podwoili czujność. Musimy poczekać, aż przestaną się mieć na baczności.

– *To może potrwać całe miesiące!*

– Nie, tylko parę dni.

Ghefir przewrócił oczami w desperacji.

– Sanfi, stary przyjacielu, o czym ty mówisz?

Deti-arah zadał bardziej konkretne pytanie.

– Co ukrywasz?

Sanfi westchnął, ściskając grzbiet nosa dwoma palcami, jakby ogarnęło go zmęczenie. Tiaanet nie dała się oszukać. Ojciec kipiał

z wściekłości, ale musiał się opanować, by mówić spokojnie i wyglądać na pewnego siebie.

– Do Gujaarehu przyjedzie czwórka Protektorów – powiedział w końcu. W pokoju rozległ się pomruk zaniepokojenia. Sanfi odczekał, aż ucichnie. – Ze względu na bezpieczeństwo podróżują potajemnie. Wiem to od znajomego, który zarządza ruchem barek na tej części rzeki i ma zadbać, by Protektorzy dotarli na miejsce. Powinni się tu znaleźć pod koniec ósm dnia przesilenia. Przybędą, by ocenić działalność Sunandi Jeh Kalawe i określić, czy powinna ona nadal rządzić miastem. Ich przyjazd nam sprzyja. Wszelka rotacja na miejscach władzy pociąga za sobą zamieszanie. A w mieście szaleje zaraza. – Zamilkł i skinął poważnie głową Iezanem, która zacisnęła zęby. Nie nosiła kolorów żałoby, ale jej rozpacz rzucała się w oczy. – Inny mój znajomy powierzył mi sekret: w głębi zabudowań Hetawy znajduje się kilka dziesiątków laików, pogrążonych we śnie dniem i nocą. Kapłani twierdzą, że badają ich chorobę i szukają na nią lekarstwa. Ale jeśli nie znajdą?

Iezanem skamieniała. Deti-arah zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Kilka dni temu zmarł zbieracz. Sonta-i.

– Tak – rzucił Deti-arah ze zniecierpliwieniem. – Co sugerujesz? Sonta-i był stary jak na zbieracza. Nic dziwnego, że złożył Ostatnią Daninę.

– A jeśli nie złożył? Jeśli umarł na tę zarazę? A jeśli rozejdzie się wieść, że Hetawa pomimo całej swej magii nie potrafi opanować ani zatrzymać szerzącej się w mieście choroby? Co wtedy?

Deti-arah otworzył szeroko oczy. Iezanem pokręciła głową, aż zaszczękały jej kolczyki z lapisu i złota.

– Miasto ogarnęłyby strach i niepokój – powiedziała – a Protektorzy zwróciliby się przeciwko Hetawie, skoro nie potrafiła spełnić swojej podstawowej funkcji. Ale to się nie wydarzyło.

Sanfi wzruszył niedbale ramionami, choć Tiaanet dostrzegła napięcie jego barków.

– A gdyby się wydarzyło?

– Ty...? – spytał Deti-arah drżącym, przerażonym głosem. – Ty spowodowałeś tę chorobę?

Iezanem, sztywno wyprostowana, gwałtownie odwróciła się w stronę Sanfiego.

– Nie – powiedział szybko, patrząc jej w oczy. – Ta choroba to magia. Kto w Gujaarehu włada magią? Hetawa. Może to ona jakoś ściągnęła tu tę zarazę. Ja jedynie sugeruję, żebyśmy przypomnieli o tym ludowi i Protektorom.

Iezanem gwałtownie odetchnęła; jej oczy błyszczały od niewylanych łez. Ghefir przestał skubać wargę. Tylko Deti-arah nadal przyglądał się Sanfiemu nieco podejrzliwie, choć nie wyraził głośno swoich wątpliwości.

Nie pozostało już nic więcej do omówienia. Iezanem i Ghefir zgodzili się rozprowadzić tę plotkę poprzez swoje kontakty. Sanfi, jako jeden z największych wielmożów w mieście, zaproponował, że zaaranżuje spotkanie z Protektorami, by wyrazić troskę odnośnie do Hetawy. Tiaanet przyniosła tacę małych przekąsek, a potem goście pożegnali się, zostawiając Tiaanet samą z ojcem. Kiedy sprzątała, Sanfi siedział w pokoju, w którym spędził cały wieczór, spoglądając na swoje złożone ręce. Milczał tak długo, że drgnęła, gdy w końcu się odezwał:

– Czy Tantufi ma pokój?

Tiaanet omal nie przewróciła wazonu. Szybko go przytrzymała, uważając, by ojciec nie zmarszczył brwi. Zbyt przywykł do martwego spokoju jej twarzy; zmiana zanadto rzuciłaby mu się w oczy.

– Tak, ojcze. Umieściłam ją w piwnicy.

– Zaprowadź mnie do niej. – Jego głos był bardzo łagodny.

Tiaanet odwróciła się do niego z wazonem w rękach, była spięta. Ojciec zerknął na nią i zacisnął zęby.

– Nie sprzeciwiaj mi się. Nie dziś.

Odstawiła wazon i jeszcze przez chwilę stała przy nim, układając kwiaty. Zastanawiała się gorączkowo, jak ułagodzić wściekłość, która biła od ojca jak żar od kominka. Ale im dłużej by zwlekała, tym bardziej rozpaliby się ten ogień. W końcu odwróciła się do niego, skłoniła się i poszła do pomieszczenia w piwnicy.

Słyszała za sobą kroki ojca, równie odmierzone i spokojne jak jej własne, choć jego oddech brzmiał nierówno i ostro. W korytarzu prowadzącym do piwnicy panował mrok, jeszcze głębszy – na stromych, biegnących w dół schodach. W tych ciemnościach ojciec nie mógł widzieć drżenia rąk Tiaanet, ale z pewnością wyczuwał jej przerażenie. Tym jednym jeszcze mógł ją zastraszyć i oboje o tym wiedzieli.

W małej piwnicy na półce z zapieczętowanymi słojami stała latarnia, paląca się równym płomieniem. Jej oliwa pachniała hyzopem, choć zapach ten nie zdołał całkiem zamaskować odoru pleśni, bijącego od podłogi z ubitej ziemi i ze ścian. Ta piwnica nigdy nie wysychała w okresie między powodziami; wykorzystywali ją tylko do przechowywania takich produktów, które nie przyjmowały zapachów. Oraz tego, co uznano za nieważne – jak tę dziewczynkę, przykutą łańcuchem do ściany.

Sanfi wszedł do piwnicy za Tiaanet i zatrzymał się, zmrużywszy oczy. Tantufi siedziała pod ścianą z opuszczoną bezwładnie głową, ale w ciszy wyraźnie brzmiało jej mamrotanie i pobrzękiwanie łańcucha, gdy miarowo pocierała nogą o kamienny mur.

– Dlaczego nie śpi? – spytał ojciec.

Tiaanet przełknęła ślinę, ale zanim zdołała odpowiedzieć, Tantufi podniosła głowę. Z wysiłkiem, mrugając wielkimi zaropiałymi oczami, skupiła się na ich głosach.

– Nie śpi – wymamrotała – nie śpi, śpi, śpi tak wielu obok, tak wielu.

Sanfi zacisnął zęby i pięści. Podeszedł do dziewczynki; jego postawa wyraźnie świadczyła o tym, co chce zrobić. Tiaanet szybko zastąpiła mu drogę.

– To nawyk – rzuciła. – Tantufi jest przyzwyczajona, że strażnicy nie pozwalają jej zasnąć. Nie rozumie, że teraz chcesz, by to zrobiła.

– Zejdź mi z drogi.

– Ona nie ma na to wpływu. W końcu będzie musiała zasnąć... Ojciec dotknął policzka Tiaanet, a ona, zdrętwiała, zamilkła.

– Chcę, żeby zasnęła w tej chwili – powiedział łagodnie. – Jej magia działa równie dobrze, kiedy jest nieprzytomna.

Nie. Tiaanet zamknęła oczy. Serce zabiło jej tak gwałtownie, że słyszała pulsowanie w uszach. W tej chwili niewiele mogło ją skrzywdzić, ale przed tym nie miała obrony. *„Bogini, błagam, nie. Nie dam rady znowu patrzeć, jak on ją bije, ostatnim razem omal nie umarła, nie, Hananjo, błagam, pomóż mi”*.

I nagle, jakby w odpowiedzi na tę modlitwę, do głowy przyszło jej rozwiązanie.

– Obiecałeś, ojcze – powiedziała. W ciszy piwnicy jej głos zabrzmiał nienaturalnie głośno, niebezpiecznie twardo, całkiem jak głos zhinhy Iezanem. Zauważyła, że ojciec zmarszczył brwi, a jego gniew znalazł nowy cel.

„Tak. Ja, nie ona”.

– Po ostatnim razie obiecałeś, że więcej jej nie skrzywdzisz. – Wyprostowała się i podniosła głowę. Była od niego wyższa odrobinę i zwykle chodziła pochylona, by nie patrzeć na niego z góry. Teraz zrobiła to umyślnie, bezczelnie. – Czy nie zadowoliliam cię tamtej nocy, ojcze? Czy nie kupiłam jej bezpieczeństwa za odpowiednią cenę?

Jego oczy się rozszerzyły, całe ciało zeszywniało z wściekłości.

– Jak śmiesz – syknął.

– Jeśli chcesz, żeby zasnęła, mogę jej podać wywar z ziół – dodała. Specjalnie podeszła bliżej, zaglądając mu w oczy, zakłócając jego przestrzeń. – Wtedy miałbyś swoją zarazę. Ale ty nie chcesz, żeby zasnęła, prawda? Chcesz, żeby umarła. W tej chwili jesteś zbyt wściekły, by myśleć, bo Wanahomen ukradł ci tę rozgrywkę, ale

dlaczego cię to tak złości? Będzie dobrym zięciem. Kłamie i manipuluje ludźmi tak jak ty. Jak to za chwilę zrobisz, jeśli skrzywdzisz Tantufi, skoro obiecałeś, że to się już nie wydarzy, a może obietnice, które składasz w łóżku, nie mają wartości? To by mnie nie zaskoczyło, nic, co robisz w łóżku, nie ma...

Prawie jej ulżyło, kiedy rozpętała się burza. Już jej się kończyły szyderstwa. Ojciec ryknął z furją i uderzył ją na odlew tak mocno, że okręciła się wokół własnej osi i upadła na worki z dekoracyjnym białym piaskiem, przeznaczonym do wysypania ścieżek w atrium. Worki były na tyle miękkie, że niczego sobie nie złamała podczas upadku, ale straciła oddech i na chwilę wszystko w jej oczach poszarzało.

Przez tę szarość słyszała, jak Sanfi krzyczy coś o tym, że jest równie jadowita jak jej matka, że jest przekleństwem dla swojego rodu, klątwą, na którą nie zasłużył. Chwycił ją za biodra, spodziewała się, że zwlecze ją z worków na podłogę, gdzie da upust swojej wściekłości, ale zostawił ją tam, gdzie leżała. Poczowała, że rozdziera jej suknię na plecach, rozsuwa jej nogi. Potem gmeranie, trzask rozdzieranego materiału i nowy, ogłuszający ból, cztery razy gorszy niż ten cios, którym ją ogłuszył, czterdzieści razy gorszy niż ten podczas pierwszej nocy, gdy ojciec przyszedł do jej pokoju tak wiele lat temu, że pewnie by już tego nie pamiętała, gdyby nie wstyd, który wtedy czuła. Tutaj też były upokorzenie i może odrobina niesmaku, kiedy ojciec, stękając i warcząc, wbił się między jej pośladki, ale nie czuła nic oprócz bólu. Czasy, kiedy wstydziała się za niego, ponieważ robił jej to, co robił, i za siebie, ponieważ była jego córką, minęły dawno temu. W tej chwili liczyło się tylko, że to ona znosi ból, nie Tantufi. Nie Tantufi.

Na szczęście był zbyt rozwścieczony, żeby starać się sprawiać jej rozkosz, co często robił, by uciszyć wyrzuty sumienia. Dlatego poszło szybko.

Kiedy skończył, czekała, aż usłyszy, jak ojciec wzdycha głęboko i doprowadza się do porządku. Wiedziała, że teraz jej nie przeprosi. Przez jakiś czas nadal będzie uważał, że to ona go sprowokowała. Że

sama się o to prosiła. Potem przeważnie zaczynał się bać, że Tiaanet go opuści, a wtedy wszędzie chodzili za nią jego strażnicy. Od dzieciństwa słyszała jego groźby, że naśle na nią zabójców, jeśli ośmieli się uciec. Ale nie pozwoli im zabić jej bronią; zleci użycie najbardziej powolnych i okrutnych metod – pożegnalny dar dla jedyne go ukochanego dziecka. (Tego się nie bała. Czym jest nowy ból? Ale zrobiłby to także Tantufi, a tego by nie zniosła).

Dopiero później na miejscu jego gniewu pojawiały się wyrzuty sumienia, a wtedy ojciec przeproszał ją słowami, które nie miały znaczenia, i obsypywał podarunkami, których nie chciała, oraz obietnicami, których nie dotrzymywał.

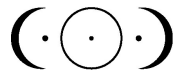
Po chwili wstał i wyszedł. Tiaanet leżała bez ruchu. Czuła, że wilgoć na jej skórze staje się chłodna. Czekwała, aż ostatnie spazmy bólu znikną z jej głowy, żeber i reszty ciała. Na jakiś czas odpłynęła. Wydawało jej się, że czuje na ustach dotyk delikatnych palców i miękkie pacnięcia łez, spadających na jej policzek. Ale to nie mogły być jej łzy, bo ona już nie umiała płakać.

Śpij.

– Śpij – szepnął jej do ucha głos. – Śpij już, śpij. Nie zasną. Bezpiecznie, bezpiecznie.

Zasnęła.

26. NAUCZYCIEL



– Zastanawiam się – powiedział Mni-inh powoli, żeby nie miała wątpliwości, jak bardzo jest zły – kiedy straciłaś zdrowe zmysły.

Hanani, która siedziała koło basenu ze złożonymi na kolanach rękami, westchnęła. Minął jeden dzień od ich ostatniej kłótni; wyglądało na to, że czas nie złagodził tej niezgody.

– To jedyny sposób, bracie.

Mni-inh siedział na kamieniu naprzeciwko i splatał włosy, dopóki Hanani nie opowiedziała mu o swoim planie. Teraz, półnagi, rozczochrany, zapomniał o wszystkim i wpatrywał się w nią z furją.

– To, moja praktykantko, kompletna nieprawda. Nie musisz pomagać księciu w żaden sposób, nie mówiąc już o tym idiotycznym pomysle, żeby uczyć go narkomancji.

– Może oszaleć...

– Niech oszaleje.

Hanani skamieniała. Po chwili Mni-inh westchnął, potarł twarz, wstał i zaczął krążyć.

– Hanani... – Pokręcił głową z bezsilną złością. – Mówisz, że gniew nie przynosi ci ulgi.

Świetnie. Jesteś lepszą sługą Hananji ode mnie, bo ja chcę go skrzywdzić tak samo, jak on skrzywdził ciebie.

Dziewczyna spojrzała na niego poważnie.

– Pragnienie zemsty to naturalne uczucie, bracie, ale nie ma w nim spokoju.

– *Wiem o tym!* Tylko nie mogę znieść myśli o tym, co zrobił ci ten

arogancki szakał. Już się nie uśmiechasz. Nie wspomniałaś ani słowem o tym, co cię spotkało. Między nami powstała pustka tam, gdzie kiedyś była bliskość silniejsza od więzów krwi.

Hanani westchnęła i przymknęła oczy, szukając spokoju. Nie chciała mówić o Azimie, nie chciała nawet o nim myśleć. A jednak Mni-inh ciągle jej o nim przypominał, raz po raz, jak dziecko, które nieustannie dotyka niezagojonej rany. Choć to była jej rana.

– To wszystko nie ma znaczenia, bracie – powiedziała, kiedy poczuła, że zdobędzie się na obojętny ton. – Hetawa przyłożyła rękę do tego, że księżę stał się tym, kim jest...

Mni-inh prychnął z rozdrażnieniem.

– Wanahomen nie ma znaczenia. *Nijiri przeklina los, że musi na nim polegać, a mnie jest obojętne, co się z nim stanie!*

Gniew wracał. Hanani zacisnęła pięści i zaczęła się modlić do Bogini, żeby dodała jej sił.

– To przez niego się tu znaleźliśmy, bracie. A może wolałbyś, żeby to wszystko poszło na marne? To, co przecierpiałam... – Teraz jej gniew zaćmiła odraza, wstrętne wspomnienie rąk Azimy i jeszcze wstrętniejsze wspomnienie jej własnych rąk, rozdzierających jego duszę. Skupiła się na słowach. Słowa jej nie skrzywdzą. – Życie, które odebrałam. Gniew nie daje mi ulgi, bracie. Ale świadomość, że to, co przecierpiałam, co robię, może pomoc Gujaarehowi, o tak, to mi przynosi ulgę. Pomagając księciu, pomagam Gujaarehowi.

Mni-inh przestał nerwowo chodzić i spojrzał na Hanani; przez jego twarz przemknęły smutek, gniew, zrozumienie i znowu smutek.

– Powiniennem był cię ochronić – powiedział cicho.

I nagle, tak po prostu, zrozumiała, dlaczego tak bardzo się gniewał.

– To, co mnie spotkało, to nie twoja wina – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła.

– Byłem dwa namioty dalej. Powiniennem był usłyszeć. Powiniennem był wiedzieć... Zamilkł z zaciśniętymi pięściami.

Hanani wstała, podeszła do niego i wzięła go za rękę. Spojrzała mu w oczy, żeby się przekonał, że go nie wini.

– Już parę lat temu przestałam być dzieckiem, bracie. Nie możesz mnie obronić przed całym światem.

Popatrzył na nią oczami pełnymi smutku i dotknął jej policzka tak, jak kiedyś, przed laty. Nie robił tego od czasu, gdy przestał brać ją w ramiona. Od tej pory strasznie za tym tęskniła.

Dlatego wtuliła twarz w jego rękę, mówiąc mu bez słów, jak wdzięczna jest za ten gest, a on westchnął przeciągle i boleśnie.

– Jesteś córką, za którą tęskniłem, choć o tym nie wiedziałem – odezwał się cicho. – Nikt nie może kochać drugiej osoby tak bardzo i zachować spokój w sercu. Nie powinienem cię tak kochać, ale wszystko mi jedno, Hanani. Wszystko mi jedno.

„Mnie także, bracie – pomyślała. – Nigdy nie będę żałowała, że tak cię kocham”.

A jednak Mni-inh powiedział prawdę. Jako dawcy przysięgali oddanie tylko swoim petentom, nosicielom daniny i innym sługom Bogini. Miłość do konkretnej osoby – egoistyczne, potężne uczucie, właściwe rodzinom i kochankom – stała w sprzeczności z tym powołaniem. Dlatego Hanani nie odpowiedziała, tylko przykryła ręką jego dłoń. Mni-inh uśmiechnął się ironicznie i spoważniał.

– A ja jeszcze dodaję ci trosk – powiedział. – Choć zmagasz się z nimi, musisz jeszcze tracić czas na pocieszanie mnie. – Westchnął. – Wybacz.

Pokręciła głową; nie chciała mówić. Ale coś się w niej trochę rozluźniło, kiedy wyraził słowami frustrację, którą pielęgnowała od wielu dni. Więc poczuła się lepiej, gdy Mni-inh westchnął ciężko i pozwolił jej odejść.

– Ucz swojego księcia – powiedział. – Jeśli potrafisz. Jest za stary i pewnie ma zbyt barbarzyński umysł. Ale jeśli postanowiłaś to zrobić, pomogę ci.

Uśmiechnęła się z przymusem ze względu na niego.

– Dziękuję, bracie.

Skinął głową i westchnął.

– Skoro zamierzasz wbijać magię do tej zakutej pały, będziesz potrzebowała wszystkich sił. Sprawdźmy, czy te dzikusy potrafią przyrządzić porządny posiłek, dobrze?

I tak tego wieczoru po zdecydowanie przepysznym posiłku przy wspólnym palenisku dla tych, którzy nie posiadali niewolników, Hanani poszła z małym Tassą długą drogą, złożoną głównie z szeregu progów skalnych, wzdłuż wschodniej ściany Merik-ren-aferu. Chłopiec, urodzony w takich warunkach i wychowany do takiego życia, wpełzał na sterty kamieni i strome zbocza zwinnie jak jaszczurka, wyśmiewając się z Hanani, kiedy stawała bezradnie albo musiała odpoczywać. Ale nie zostawił jej, za co była mu wdzięczna.

Podczas jednego z postojów, gdy usiadła na płaskiej skale, modląc się, żeby mieszkające pod nią węże i pająki zostały na swoim miejscu, Tassa zbliżył się do niej. Oczy lśniły mu ciekawością.

– Czemu? – spytał. – Idź. Wana. Ty.

Wskazał niewidoczny szczyt wąwozu: latarnia, którą niosła Hanani, rzucała szeroki krąg światła, ale poza jego granicami czała się tylko czerń. Dziewczyna miała nadzieję, że nie zostało im już dużo drogi.

– Żeby go uczyć – wyjaśniła, starając się mówić jak najprościej. – Sny.

Udała, że zasypia, składając policzek na złożonych dłoniach.

Chłopiec namyślał się, marszcząc brwi.

– Bo... – Przez chwilę szukał słów. – Idź, Wana. Do... Gujaareh. Uczy snów, bo? Trudno było to wyjaśnić. Nawet gdyby Tassa mówił płynnie po gujaareńsku, był tylko dzieckiem. Ale widziała, że księżę cierpi, nie mogąc przekazać temu chłopcu swojego gujaareńskiego dziedzictwa. Dlatego uniosła palce i zatrzymała je przed oczami Tassy, choć ich nie dotknęła.

– Mogę?

Chłopiec zmarszczył brwi. W tej chwili bardzo przypominał swojego ojca. Ale w końcu ciekawość zwyciężyła: skinął głową i zamknął oczy. Hanani położyła palce na jego powiekach i wsnuła w jego głowę szybki delikatny sen nauczający. Parę razy złożyła wizytę w pałacu Yanya-iyana, zwykle podczas corocznej procesji Hamyan. Pokazała to Tassie, wchodząc we śnie przez lśniące pałacowe bramy na ogromny dziedziniec i zatrzymując się przed podwyższeniem, z którego książę Gujaarehu tradycyjnie obserwował uroczystości. Od dziesięciu lat na tym podniesieniu nie zasiadał żaden władca, ale kiedyś w dzieciństwie Hanani ujrzała przelotnie dawnego księcia, ojca Wanahomena. Zatem posłużyła się tym wspomnieniem, by go stworzyć – szczupłego, dumnego i nieruchomego jak posąg na białym fotelu, który służył mu za tron, z rozpościerającą się za nim Aureolą Zachodzącego Słońca ze złota i bursztynu.

Potem zastąpiła powoli tego księcia innym: Wanahomenem. Siedział na tym samym tronie z twarzą wyniosłą i władczą, z kołnierzem ze złotych płytek, odziany w spódnicę z czerwonego jedwabiu. Czerwony zawój pod kopulastą koroną z kości słoniowej obramowywał jego twarz. Kiedy zakończyła sen, Tassa spojrział na nią ze zdumieniem.

– Wana?

Hanani uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Gujaareh jest Miastem Snów. Wana musi mieć dobre, zdrowe sny, żeby nami rządzić.

Żeby zostać naszym księciem. Rozumiesz?

Chłopiec zmarszczył brwi, ale chyba nie dlatego, że nie rozumiał. Usiadł na kamieniu i podciągnął kolana pod brodę. Hanani dostrzegła melancholię w jego spojrzeniu.

– Książę tutaj – powiedział naburmuszony. – Przywódca łowców przed, pod Unte, przywódca plemię po Unte. Ale...

„Nigdy mu to nie wystarczy” – dokończyła Hanani. Widziała

w oczach Tassy zrozumienie, a potem pożałowała, że pokazała mu prawdę. Książę został wychowany wśród wspaniałości, którym nie dorównywały nawet największe banbarryjskie luksusy. Tassa także powinien dostąpić tej chwały – jako syn Zachodu Słońca – ale za straszną cenę.

Yanassa jej to wyjaśniła: banbarryjskie dzieci należą do klanu matki. Ciotki i babki pomagają je wychować, a wujowie uczą chłopców męskich obyczajów. Banbarrowie nie mają prawa do dzieci spłodzonych przez siebie, tylko do tych urodzonych przez ich krewne. Jeśli książę miał dać Tassie swoje gujaareńskie dziedzictwo, musiałyby mu ukraść wszystko, co zgodnie z banbarryjskim prawem należało się chłopcu, a także całą rodzinę, którą znał i kochał.

„Gdy wrócę do Gujaarehu, stracę mojego syna”. Hanani przypomniała sobie słowa Wanahomena i zrozumiała dwie sprawy jednocześnie: że Yanassa wykazała się odwagą i wspaniałomyślnością, pozwalając Tassie na tak bliski kontakt ze swoim ojcem, i że książę był mniej egoistyczny i arogancki, niż się wydawał.

Dziewczyna westchnęła i dotknęła ręki chłopca.

– Moi rodzice sprzedali mnie, gdy byłam młodsza od ciebie – powiedziała. – Masz wielkie szczęście, że oboje rodzice darzą cię taką miłością.

Nie zrozumiał, widziała to w jego pytającym spojrzeniu. Ale potem oczy mu się rozszerzyły, poderwał się nagle na równe nogi i z fałd szaty wyciągnął ostry skalny odłamek.

„Nóż domowej roboty” – pomyślała Hanani, także wstając. Chłopiec odwrócił się w stronę mrocznej ścieżki za kręgiem światła, spięty i drżący. Ale z ciemności wyłonił się cicho tylko książę. Tassa odetchnął z wyraźną ulgą. Wanahomen podszedł do niego, patrząc z rozbawieniem na żalospną broń chłopca. Powiedział coś w chakti; zawstydzony Tassa przestąpił z nogi na nogę i usiłował schować nóż. Zanim mu się to udało, książę złapał go za rękę i przykucnął, by przyjrzeć się broni. Pokręcił głową, ale jego spojrzenie

złagodniało. Dotknął policzka syna, a Hanani mimo woli przypomniała sobie ciepło dłoni swojego mentora.

Potem książę wstał i odwiązał jeden z noży przy swoim pasie. Rękojeść miał z wypolerowanej kości, pochwę z pięknie wyprawionej skóry. Wanahomen wyjął go na chwilę; stał błysnęła w świetle. Potem go schował, owinął sznury z frędzlami wokół rękojeści i podał nóż Tassie.

Mały westchnął z zachwytu, przyjmując dar w obie ręce. Spytał o coś z uszanowaniem; książę skinął głową. Tassa zaczął paplać z błyszczącymi oczami, przejęty, najwyraźniej dziękując. Potem pobiegł w mrok, tuląc nóż do piersi i uśmiechając się od ucha do ucha.

Książę odprowadził go wzrokiem i westchnął tak, że oddech uniósł jego zasłonę.

– Przydał się wybryk Wuddzeha, choć Yanassa potem mi pewnie nagada.

– Nóż to niebezpieczny podarunek dla dziecka.

– Tak. Ale wśród Banbarrów chłopcy aspirujący do miana wojowników mniej więcej w tym wieku dostają pierwszą broń. – Przyjrzał się prowizorycznemu sztyletowi, tylko trochę lepszemu od ostrego kamienia, i rzucił go w mrok. – A skoro tak mu zależało na posiadaniu noża, powinien mieć taki, który go nie zawiedzie w potrzebie.

Książę zachowywał się dziwnie poważnie; nie zauważyła zwykłego ponurego zamyślenia czy pogardy. Odważyła się spytać.

– Jeśli to tradycja, to czy Yanassa...

– Yanassa chce, żeby został rachmistrem, bazarzem albo kowalem. Byle tylko nie wojownikiem. – Wanahomen wzruszył ramionami. – Ale to mój syn, choć teraz Yanassa może tego żałować.

Zrozumiała, że słyszał jej rozmowę z Tassą. Kamienne ściany odbijały dźwięki; w taką cichą noc słowa musiały brzmieć wyraźnie.

– Cóż, dzieci rzadko spełniają życzenia rodziców – dodał książę, siadając naprzeciwko Hanani. Usadowił się na pochyłej skale najwygodniej, jak mógł. – Ty pewnie swoich zadziwiłaś.

Złożyła ręce na kolanach.

– Moi rodzice prawdopodobnie nie myślą o mnie często, jeśli w ogóle myślą.

Zawahał się.

– Powiedziałaś, że cię sprzedali.

– Tak. Pochodzę z kasty rolników; pewnego roku mieliśmy nieurodzaj. W trudnych czasach obowiązkiem dziewczynek jest zadbać o dobrobyt swojej rodziny. Dlatego poprosiłam, żeby mnie sprzedali.

Wanahomen zmarszczył brwi.

– Słyszałem, że w niskich kastach dochodzi do takich rzeczy, ale... Ile miałaś powodzi?

– Sześć.

– Sześć! – Pokręcił głową. – Nie mogłaś rozumieć, o co prosisz.

Wzruszyła ramionami. Rzeczywiście nie wiedziała, ale to już nie miało znaczenia.

– Dlaczego Hetawa? – spytał. – Oni nie przyjmują kobiet... a w każdym razie nie przyjmowali przed tobą. Twoi rodzice na pewno więcej by na tobie zarobili, gdyby sprzedali cię do innej rodziny rolników, w której nie było córek, do domu timbalinowego albo gdzie indziej.

Hanani patrzyła na płomień latarni, tańczący na zimnym wietrze. Ten ruch hipnotyzował niemal tak skutecznie, jak zaklęcie snu.

– Tak wybrałam – powiedziała. – Hetawa zawsze wydawała mi się wspaniała... Ci mądrzy, wyrafinowani kapłani, magia i szansa nauczenia się wszystkiego, co tylko zechcę... Chciałam tego, choćby tylko przez parę lat.

– A twoi rodzice zrobili to, co dałoby ci najwięcej szczęścia, choć to im się nie opłacało. – Jego oczy wpatrywały się w nią znad

zasłony.

To nigdy nie przyszło Hanani do głowy. Dla wszystkich adoptowanych przez Hetawę dzieci Bogini Hananja stawała się matką, Jej służy ojcami, a inni przygarnięci – gromadą rodzeństwa. Dzięki temu łatwiej było przetrwać te pierwsze, przesycone tęsknotą noce, i zapomnieć o prawdziwej rodzinie. Z czasem zaczynało się w to wierzyć. Ale może i ona miała szczęście trafić na rodziców, dla których jej szczęście liczyło się bardziej od ich własnych pragnień. Skinęła głową księciu, wdzięczna za jego uwagę. Przez chwilę wydawało się, że nie wie, jak zareagować. Potem usiadł prosto.

– Zaczniemy lekcję?

– Ach... Tak. – Brutalny powrót do rzeczywistości. Nie spotkała dotąd tak nietaktownego Gujaareńczyka. Nawet Kisuanie wykazywali więcej delikatności. – No cóż. Czy mogę cię zbadać?

Skinął głową, a ona wstała i podeszła do niego. Trudno było jej przybrać właściwą pozycję w tych niewygodnych spódnicach; musiała się przytrzymać jego ramienia. Księżę zerknął na jej dłoń z dziwnie zamyślonym wyrazem oczu.

– Nie zrobił mi się siniak – powiedział.

– Co?

– Tam, gdzie uderzył mnie kisuański żołnierz. Pamiętam, zaproponowałaś wówczas, że mnie uleczysz.

Zapomniała o tym. To nią wstrząsnęło, zwłaszcza że wtedy usiłował ją uratować przed tym samym, na co ją naraził później podczas intrygi z Azimą.

Nie mogła, nie chciała tego roztrząsać.

– Zamknij oczy – poleciła. Te słowa zabrzmiały równie niezdarnie, jak niezdarna była jego próba zmiany tematu, i nawet ona usłyszała, jak nieprzyjemny stał się jej głos. Spojrzenie księcia stało się zimne, ale bez słowa oparł głowę o kamień i zamknął oczy.

„Mam w sercu zbyt wiele gniewu, by to zrobić” – uświadomiła sobie

Hanani. Ale słowo się rzekło i lekcja się zaczęła; nie miała wyboru.

Dlatego położyła palce na powiekach Wanahomena i zaczęła szukać jego duszy. Musiała przeniknąć wiele warstw, i to nie tylko ciała, ale także zapór woli i emocji. Poszłoby łatwiej, gdyby mogła go uśpić, ale poznanie go na jawie było równie ważne, jak we śnie, a nawet bardziej, jak doradził Mni-inh, ponieważ musiała uczyć jego istniejącą na jawie jaźń bez względu na królestwo, w którym się znajdują. Dlatego przebiła się przez jego zaciekłość, samotność, dumę i mechanizmy obronne, a gdy wniknęła w rwący nurt wielkiej arterii nad sercem, znalazła jego duszę i wtedy...

Co?

Coś się poruszyło.

Zamiast mroku za powiekami poczuła, że odpływa w o wiele głębszą czerń. Przez chwilę nie mogła się zorientować, co się dzieje. Potem zrozumiała: nie znajdowała się już we wnętrzu księcia. Więź między nimi pozostała – jaskrawa, krwistoczerwona nitka przecinała przestrzeń. Jego umblikeh, łącząca duszę z ciałem. Umblikeh Hanani także była widoczna w tej bezkształtnej przestrzeni.

Ta bezkształtność nie podobała się Hanani. Ale ledwie ta myśl przemknęła przez jej głowę, przestrzeń wokół niej pojaśniała, stając się ponownie Salą Błogosławieństw. Całą w szarościach.

Kraina graniczna. Zaniepokojona Hanani obróciła się gwałtownie w stronę alków, gdzie zauważyła – teraz była tego pewna – moc, która zabiła Dayuhotema. Teraz jednak nic tam nie było. Z ulgą odwróciła się w stronę posągu Hananji i podwyższenia i zobaczyła siebie – drugą siebie – odzianą w fałdziste szaty, wydymające się na wietrze, którego nie czuła.

Ta druga ona klęczała u stóp Bogini i nożem, tym samym, który książę dał niedawno synowi, uderzała raz po raz małą postać, która już w tej chwili wyglądała jak czerwona nierozpoznawalna miazga. Hanani krzyknęła. Druga Hanani znieruchomiała i spojrzała na nią, uśmiechając się przez łzy i rozbryzganą krew.

Nie! Nigdy bym...! Hanani gwałtownie chwyciła swoją więź i...

...zapadła się w siebie tak szybko i raptownie, że odskoczyła od Wanahomena, zachłystawszy się z przerażenia.

Otworzył oczy, zaskoczony i zdziwiony.

– Co się stało?

– N-nie... – Była oszołomiona, otepiała, nie potrafiła zebrać myśli. „*Czy on sam nie widział tej potwornej wizji?*” – Nie wiem. Byłam...

– Bogowie, zataczasz się jak pijana. – Książę przytrzymał ją, jedną ręką obejmując w talii, drugą kładąc na udzie.

Na udzie, jak Azima...

Panika ogarnęła ją, nie dając szansy na zastanowienie.

– *Nie dotykaj mnie!*

Jej głos zabrzmiał niemal niezrozumiale, krzyk ledwie przypominający słowa, a ona wierzgnęła i machnęła rękami, żeby się od niego wyzwolić. Przydepnęła sobie spódnicę i upadła na kamienie i w piasek, ciężko dysząc, zachłystując się powietrzem i drżąc tak bardzo, że niemal nie mogła złapać tchu. Odpełzła na czworakach i zatrzymała się dopiero, gdy dotarła do wielkiego głazu, zagradzającego drogę.

Za jej plecami zapadło milczenie. Trwało długo. Przerażenie zaczęło ją opuszczać.

– Nie dotknę cię – odezwał się książę. Mówił łagodnie, stłumionym głosem. – Co mam zrobić, żeby ci pomóc? Mogę pójść po twojego mentora, ale wtedy zostaniesz tu sama.

Zacząła odzyskiwać panowanie nad sobą. Dreszcze ustąpiły; powoli dźwignęła się z ziemi, usiłując poruszać się z godnością.

– N-nie – powiedziała, odwracając się do niego. – Przepraszam. Nie... nie wiem, dlaczego... – Ach, ale przecież wiedziała. On także. – Przepraszam.

– Akurat mnie nie powinnaś przeproszać – powiedział. Dopiero później zastanowiła się nad tymi słowami i zauważyła, jakie były smutne. – Jesteś tu bezpieczna. Nie pozwolę nigdy nikomu cię więcej

skrzywdzić.

Zdumiewające, nieprawdopodobne – ale to ją uspokoiło. Nie powinno. Nie miała powodu mu ufać. A jednak fakt, że byli tu sami, a on nie starał się jej znowu dotknąć, miał własną cichą moc. Książę nie powiedział już nic więcej, co jeszcze bardziej jej pomogło: była w stanie udawać, że go tu nie ma, i poszukać spokoju w sobie. Więc w końcu odetchnęła głęboko i przyklękła.

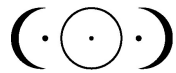
– Myśle – powiedziała, starannie wymawiając każde słowo – że na razie powinniśmy zakończyć lekcję.

Książę przykucnął obok przygasającej latarni. Skinął głową. Ku jej uldze nie spytał znowu o ten dziwny widok, który Hanani ujrziała w jego snach. Nie dopytywał się też o jej stan.

– Pozwól, że cię odprowadzę.

Skinęła głową i wstała. Książę wziął latarnię i stanął nieopodal, żeby oświetlać jej drogę, ale nie na tyle blisko, by jej dotknąć. Nie spojrzała na niego. W milczeniu towarzyszył jej do obozowiska.

27. SEN NA JAWIE



Nocne powietrze było jakieś dziwne. Zbieracz Inmu zauważył to, skacząc z jednego dachu na drugi w drodze powrotnej do Hetawy. Gdyby ten dach był jednym z tych pochyłych, wykładanych dachówkami paskudztw, ulubionych przez zhinów i innych miłośników zagranicznych nowinek, pewnie ten skok zakończyłby się liczeniem połamanych kości w zaułku. Na szczęście Inmu wylądował na płaskiej powierzchni. Przekoziółkował, żeby zamortyzować wstrząs, ale uszczerbku doznała tylko jego duma. Ta duma musiała ścierpieć kolejny cios, gdy w cieniu cysterny na dachu zauważył nieruchomą postać zbieracza Nijiriego.

Wstał, zawstydzony, ale na szczęście Nijiri nie wyśmiał jego niezdarności. Choć umówili się tutaj na koniec obchodu, chyba go nie zauważył. Kiedy chłopak podszedł bliżej, zobaczył, że starszy zbieracz stoi nieruchomo jak kamienny posąg, jedną rękę oparłszy o cysternę, ze spojrzeniem zwróconym jakby wewnątrz siebie i twarzą zastygłą w grymasie gniewu i strachu.

„Nijiri może nigdy nie poznać prawdziwego spokoju – powiedział kiedyś Rabbaneh, mentor Inmu. – Ma go wystarczająco wiele dla swoich petentów, lecz nie tyle, by poczuć szczęście. Nie tu, w Hetawie”.

Myśl, że któryś z jego braci tak cierpi, czasem niepokoiła Inmu. Wszyscy wiedzieli dlaczego: z powodu Ehiru. A jednak Nijiri pod każdym innym względem był idealnym zbieraczem – szybkim i zwinnym na polowaniu, śmiertelnie groźnym w walce, czułym podczas zbierania daniny. Czy to przez tę nieukojoną rozpacz stał się tak kompetentny? Inmu nie wiedział tego, ale postanowił przyglądać się swojemu bratu, dopóki nie znajdzie sposobu, by mu

pomóc.

Dlatego podszedł jeszcze bliżej, wstąpił w cień, do Nijiriego.

– Bracie...?

Nijiri gwałtownie poderwał głowę i Inmu przez chwilę przestraszył się, że go uderzy.

Potem dziki, przerażony wyraz znikł z twarzy starszego zbieracza.

– Inmu... Czujesz to?

To dziwne wrażenie nacisku, wypełniające otaczającą ich noc; właśnie to Inmu zauważył podczas skoku. Wydawało się nawet, że kolorowy blask Śniącej Luny przygaś.

– Tak – powiedział Inmu, marszcząc brwi. – Ale nie wiem, co to.

– Myślałem... – Nijiri zająknął się i przełknął ślinę. Inmu, którego wzrok przywykł do mroku, zauważył, że na twarzy brata lśni pot. – Przez chwilę... Sonta-i nie żyje, prawda? Spaliliśmy go... – Nijiri przymknął oczy i zadrżał.

Zaniepokojony Inmu dotknął delikatnie jego ramienia.

– Bracie, co z tobą? – Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Nijiri przeszedł pranie, doroczny rytuał oczyszczenia i potwierdzenia, jakiego wymagano od wszystkich zbieraczy. Aha, prawda: w połowie lata, zaledwie kilka miesięcy temu, Nijiri udał się w miejsce odosobnienia. Za wcześnie, żeby znowu tego potrzebował. Ale co innego mogło powodować to rozdrażnienie?

Nagle Nijiri podniósł wzrok.

– Nie, jestem głupcem, zaślepionym przez wspomnienia. To co innego. – Cofnął się poza zasięg ręki młodszego zbieracza i podszedł na skraj dachu. Zmrużył oczy. – Inmu. Chodź, zobacz.

Coraz bardziej zdezorientowany, chłopak stanął obok niego i powiódł wzrokiem w kierunku, jaki wskazywał jego towarzysz. Następny budynek, sąsiadujący z tym, na którym stali. Przez okno widzieli śpiącą w łóżku parę. Żona pojękiwała przez sen cicho, lecz słyszalnie w nocnej ciszy. Mąż rzucał się i miotał, jakby walczył z jakimś niewidzialnym wrogiem. Nagle jęknął i machnął ręką,

uderzając śpiącą żonę. Nie obudziła się; dalej skomlała żałośnie jak ranne zwierzę. Inmu zmarszczył brwi; Nijiri spochmurniał. Zapomniał o niedawnej trosce; chłodny, śmiertelnie groźny zbieracz powrócił.

– Tu się dzieje coś złego – powiedział.

„Może po prostu mają niespokojne sny” – pomyślał Inmu i zastanowił się, czy to powiedzieć. Nie zrobił tego, bo złowrogie brzmienie głosu Nijiriego przeraziło go, poza tym obawiał się, że jego towarzysz ma rację. Nie wiedzieć skąd, ale on także miał wrażenie, że ze śpiącą parą jest coś nie tak.

Potem przypomniał sobie kobietę, której sen zabił Sontę-i. Lata treningu uchroniły go przed gwałtowną reakcją, ale kiedy spojrzał na Nijiriego, ten skinął głową.

– Musimy im pomóc – szepnął Inmu. Rozpacz ścisnęła mu żołądek. Sonta-i udowodnił, że nie mogą nic zrobić. Nijiri pokręcił głową, choć w jego oczach pojawiła się ta sama bezsilna rozpacz.

– To nie wszystko – powiedział. – To dziwne uczucie, światło, smak powietrza... Prawie zapomniałem przez lata, które spędziłem jako zbieracz, ale teraz to wiem, czuję się, jakbym śnił.

Inmu uświadomił sobie, że to prawda. On sam został zbieraczem z pełnymi uprawnieniami już osiem lat temu. Na skraj Ina-Karekh wyprawiał się tylko z pomocą swoich nosicieli daniny, ale nie zapomniał jeszcze, co się czuje we śnie. Zdarzały mu się chwile, gdy kraina snów wydawała się tak podobna do jawy, że rozróżniał je tylko instynktem. I tak się czuł teraz – cichy szept zmysłów innych niż fizyczne ostrzegał go przed nierealnością tego, co się dzieje.

– Czy my śnimy? – spytał.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział Nijiri, wskazując głową parę za oknem. – Ale chyba pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy dopadnie nas to, co zabiło Sontę-i.

„Brat Rabbaneh byłby bardzo zły, gdyby przez nas został jedynym zbieraczem Gujaarehu” – pomyślał Inmu i musiał stłumić absurdalną

chęć parsknięcia śmiechem.

Kolejny ledwie słyszalny dźwięk kazał mu zapomnieć o tym chwilowym rozbawieniu. Wstał i podszedł do przeciwległej krawędzi dachu. Światło Luny było tu silniejsze, więc bez trudu zauważył źródło odgłosów: młodzieniec, niewiele starszy od niego samego, leżał skulony na schodach przed drzwiami. Spał. Jego strój i wytarta derka, którą się przykrył, wskazywały na to, że jest służącym, który za jakąś przewinę został skazany na spędzenie nocy pod drzwiami. Choć schodki domu nie wyglądały na wygodne, mimo to zasnął, ale również poruszał się niespokojnie, jęcząc przez sen.

– To mi się wcale nie podoba – odezwał się Nijiri. Inmu drgnął; jego towarzysz stanął obok niezauważalnie jak duch.

– Sen przenosi się na osoby znajdujące się w pobliżu – zauważył zaniepokojony Inmu. – Już to widzieliśmy. Kupiec Bahenamin, potem jego żona i ich służąca. A inne ofiary mieszkały w tym samym gospodarstwie lub w sąsiednich domach. Ofiarą padał każdy, kto spał, gdy w okolicy znajdował się śpiący nosiciel.

Nijiri skinął głową.

– Wygląda na to, że to kolejna fala zarazy – mruknął ponuro.

Dawcy pozbierali wszystkie ofiary, jakie zdołali znaleźć, i umieścili je razem w Sali Wytchnienia. Nie mogli w żaden sposób im pomóc, ale pocieszali się świadomością, że kiedy ci biedacy umrą, nie zarażą nikogo innego. Teraz wyglądało na to, że nawet tej małej pociechy im odmówiono.

Ale Inmu nie mógł zapomnieć o czymś innym.

– Bracie – powiedział. – Znaleźliśmy wszystkie ofiary. Wartownicy sprowadzili wszystkich cierpiących na ten sen i tych, którzy mieli z nimi kontakt, a także tych, którzy mogli mieć kontakt z nimi. Sprowadzili ich nawet wbrew ich woli.

Podczas tych wypraw wartownikom towarzyszył Inmu i paru dawców. Stosowanie zaklęcia snu jako broni wydawało się niewłaściwe, zwłaszcza że ci, których usypiali, mogli się już więcej nie obudzić, ale zachowanie spokoju często wymagało

podejmowania trudnych decyzji.

– Nasi bracia wartownicy pracują tak starannie, że nie wierzę, by mogli kogoś pominąć.

– A jednak pominęli. Jest też poważniejszy problem: gdzie kryje się źródło tego złego snu, Inmu? Nikt go dotąd nie znalazł.

Chłopak zamyślił się, ale w tej samej chwili inny osobliwy dźwięk przykuł uwagę jego i Nijiriego. Głos kobiety? I coś jeszcze, głośniejsze i znajome: turkot kół powozu na bruku.

– Późna pora na podróż – zauważył starszy zbieracz.

– Może ktoś wraca od kochanki lub z piwiarni – rzucił lekceważąco Inmu. Przykucnięty Nijiri obrócił się w miejscu, podążając za dźwiękiem.

– Słyszałeś, z której strony dochodzi?

– Stamtąd... – zaczął Inmu i znieruchomiał, uświadomiwszy sobie, że wskazuje Hetawę.

A konkretnie prowadzącą do niej ulicę w pobliżu wschodniego muru kompleksu zabudowań.

Ale dlaczego Nijiri spochmurniał jeszcze bardziej?

– Dochodził z samej Hetawy – mruknął jakby do siebie. – Nie z otaczających ją ulic, gdzie stoją domy. Panowała cisza, a potem usłyszeliśmy odgłos ruchu...

Nagle skamieniał, a oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

– Indethe...

Oszołomiony Inmu chciał spytać, co się stało, ale nim zdążył pozbierać myśli, Nijiri już zeskoczył z dachu. Gdy chłopak się opamiętał, starszy zbieracz zniknął za zakrętem ulicy.

Inmu pobiegł za nim, zastanawiając się, czy jego brat jest jeszcze przy zdrowych zmysłach. Nijiri na dobre zniknął w wąskich uliczkach; nawet tupot jego nóg ucichł.

Turkot powozu rozlegał się zupełnie blisko. Inmu zawahał się, odwrócił w stronę, z której dobiegał odgłos, i pobiegł truchtem ulicą,

która przecinała drogę pojazdowi. Coraz bardziej zbliżając się do źródła dźwięku, znowu usłyszał głos kobiety. Śpiewała. Znajdowała się tuż przed nim. Dotarł do ulicy krzyżującej się z tą, którą biegł; powóz powinien przejechać przed nim lada chwila.

– O Bogini, najśłodsza Bogini, nie... – Podniesiony, niespokojny głos Nijiriego rozniósł się echem po pustych ulicach. Zaskoczony Inmu zatrzymał się gwałtownie. Co się...?

Powóz – zwykła dwukołowa bryczka, ciągnięta przez muskularnego służącego, obwieszoną taką ilością broni, że mógł też pełnić rolę strażnika – przemknęła przez ulicę przed Inmu. Była odkryta, ale rozwieszona moskitiera uniemożliwiała dojrzenie pasażerów. W przypadkowym przebłyску światła Luny, gdy wietrzyk lekko wydał materiał, Inmu zauważył przelotnie jakiś ruch, a potem twarz kobiety, która odwróciła się na jego widok. Jeszcze nigdy nie widział tak pięknych oczu: czarnych jak ciemna strona Śniącej, hipnotyzujących jak jungissa.

I smutnych. Tak strasznie, boleśnie smutnych, że Inmu zapragnął podejść i przynieść jej pociechę, jakiej tak bardzo pragnęła, by tylko ten smutek zniknął z jej spojrzenia. Gdyby zechciała, mógłby ją zebrać albo tylko wziąć w ramiona, bo jeszcze nie widział, żeby ktoś dźwigał samotnie taki ciężar goryczy i rozpaczy. A w każdym razie, żeby ktoś, dźwigając go, pozostał przy życiu.

Potem w ramionach kobiety coś się poruszyło. „Dziecko” – domyślił się, choć widział je zaledwie przez ułamek chwili. Mogło mieć pięć czy sześć powodzi. Leżało bezwładnie, pogrążone we śnie. Wyraz twarzy kobiety się zmienił. Teraz w jej oczach pojawiło się ciepło i tak wielka czułość, że Inmu poczuł łzy, napływające mu do oczu. Cofnęła się w mrok za zasłonami, tuląc dziecko do piersi. Gdy powóz zniknął za rogiem, kierując się w stronę mostu, głos kobiety znowu rozbrzmiał, śpiewając tę samą cichą piosenkę, co poprzednio. Kołysankę.

Inmu spojrzał w ślad za powozem, czując tęsknotę za tym, czego nigdy mu dotąd nie brakowało. Stał tak pięć pełnych oddechów, zanim przypomniał sobie o Nijirim.

Odwrócił się w stronę Hetawy i zaczął biec, aż dotarł do ulicy równoległej do wschodniej strony zabudowań. Starszy zbieracz stał, oparty o mur, z pochyloną głową, gwałtownie poruszał ramionami i pięściami wpartymi o stary kamień, jakby chciał go zburzyć samą siłą woli.

– *Bracie!* – Inmu podbiegł do niego. – Bracie Nijiri, co tu się...

– *Był tu!* – Nijiri odwrócił się do młodzieńca i chwycił go za ramiona. Oczy miał dzikie. – Był tutaj. *To musi być źródło, ludzie chorują właśnie w tej chwili, źródło!* Stał tutaj, czekał, rozumiesz, co to znaczy? – Dziabnął palcem mur. – *Patrz!*

Inmu spojrział, nieruchomiejąc, i zobaczył tylko kamienie.

– To tylko wschodni mur, bracie. Nie ro...

A potem – nagle, z przerażeniem – zrozumiał.

Każda ścieżka Hetawy miała swoją część kompleksu zabudowań. Północ należała do wartowników i Sali Dzieci. Zachód zajmowała Sala Zbieraczy, gdzie uczono narkomancji. Od południa znajdowały się Sala Błogosławieństw, biura, biblioteki i klasy, z których korzystali laicy służący, nauczyciele i zwierzchnik.

Budynki we wschodniej części przydzielono tym, którzy podążali ścieżką dawców.

„*Źródło*” – powiedział Nijiri. Źródło zarazy koszmarnych snów. Ten powóz stał tuż przy Sali Dawców, nocą, gdy spali.

– Nie – szepnął. Nie potrafił myśleć. Ledwie mógł oddychać.

Potem Inmu przypomniał sobie o pojeździe i kobiecie. Śpiewała kołysankę.

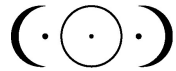
Wyrwał się Nijiriemu i pobiegł pędem ulicą, najszybciej, jak umiał, nie zwracając uwagi na hałas, który robił, ani nie dbając o spokój ruchów. Co za różnica, czy jego sandały klepały głośno o bruk, czy on sam łkał, biegnąc. Nikt w otaczających go domach nigdy się już nie obudzi.

Dotarł do ulicy, gdzie po raz ostatni widział powóz, i zatrzymał się, rozpaczliwie usiłując opanować dyszenie, żeby usłyszeć turkot

pojazdu.

Ale wszędzie panowała cisza.

28. LITOŚĆ



Tuż po nastaniu świtu Hanani weszła do namiotu Mni-inha i usiadła. Dawca spojrział na nią na wpół przytomnie, z trudem rozklejając powieki, i natychmiast się obudził.

– Co się stało?

Hanani opowiedziała mu o pierwszej lekcji księcia, choć pominęła chwilę paniki, która ją potem ogarnęła. Kiedy doszła do momentu, gdy została rzucona w krainę graniczną i ujrzała samą siebie, popełniającą zbrodnię, Mni-inh szeroko otworzył oczy.

– To było dziecko – zakończyła, zaciskając pięści na kolanach. – Oserek albo starsze, ale bardzo drobne. Nigdy bym nie skrzywdziła dziecka, bracie. Wiem, że to, co widzimy w Ina-Karekh, to odbicie nas samych, ale to, co widziałam, nie wydarzyło się w Ina-Karekh.

Znajdowaliśmy się w krainie między snem a jawą. Czy już o niej słyszałeś?

– Nie w szczegółach. – Mni-inh podrapał się po brodzie, na której przez noc pojawił się sztywny zarost. Chrobot zabrzmiał bardzo głośno. – To, czego doświadczyłaś, wygląda mi na prawowidzenie, czyli wizję wydarzeń, które mają nastąpić. – Hanani ścisnęło w żołądku jeszcze mocniej, ale dawca pokręcił głową. – Nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego wydarzyło się w krainie granicznej. Tylko Bogini może stwarzać światy, na jawie czy we śnie. Kraina graniczna jest upiorna, lecz powinna być pusta. – Westchnął. – Ale to pasuje do innych moich podejrzeń.

– A mianowicie?

– Cóż... – Mni-inh usiadł na poduszkach i spojrział na nią nieco

markotnie. – Słyszałem pogłoski, że Hetawa nie bez powodu przez tyle lat popierała ród Zachodu Słońca. Przecież król Eninket nie był pierwszym, który okrył tę rodzinę hańbą. To tylko ludzie z takimi samymi słabościami i wadami jak inni. Ale to ma coś wspólnego właśnie z nimi, z tym rodem.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Mni-inh uśmiechnął się krzywo. – O niektórych tajemnicach wie tylko Rada, zbieracze i... no, wiesz, co inni o mnie myślą. – Westchnął. – Ale wiele lat temu powiedziano mi, że nikt się nie zdziwił, gdy Ehiru, którego Hetawie oddała matka, by ratować go przed Eninketem, okazał się jednym z najpotężniejszych narkomantów ostatnich czasów. I ciekawe, że Nijiri, który należał do najgorętszych zwolenników pokojowych układów z Kisuanami, zmienił zdanie, gdy Wanahomen rozpoczął kampanię.

„A kiedy zbieracz Nijiri zobaczył, że Wanahomen starał się mi pomóc, okazał niezwykle zainteresowanie – przypomniała sobie Hanani. – Może jednak warto uratować jego ród”.

– Uważam też za interesujące – dodał Mni-inh – że wszyscy nasi książęta, każdy z nich, o ile mogę stwierdzić, mieli w jakimś stopniu dar snu.

Hanani drgnęła, zaskoczona.

– Nawet król Eninket?

– O, tak. On nie miał szczególnych zdolności, ale jednak. A kilku, włącznie z pierwszym królem Mahanassetem, wykazywało się wielkim talentem... i byli szaleni jak zające na wiosnę, zanim Hetawa nie przyszła im z pomocą. Niektórych przygarnęliśmy jak Ehiru, ale nie wszystkich. Przyglądaj się temu Wanahomenowi. – Pogroził jej palcem. – Dobrze to ukrywa; może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale z takim darem jego dusza musi przez cały czas błąkać się między snem i jawą. Nie potrafi temu zaradzić.

Hanani wygładziła w zamyśleniu niewidzialne zagniecenia spódnicy. W końcu poczuła się spokojniejsza.

– Nie wierzę, że to, co ujrzałam, to prawowidzenie – powiedziała.

– Mają je tylko zbieracze.

– On jest zbieraczem, Hanani, w gruncie rzeczy. Choć pewnie nie chce o tym słyszeć. – Mni-inh usiadł, przeciągnął się i zaczął rozmasowywać miejsca zdrętwiałe po śnie. – A kiedy dotykasz snów Wanahomena, jego moc może cię porwać ze sobą, więc uważaj. Dlatego każda ścieżka sama uczy swoich praktykantów. – *„I dlatego usiłowałem cię zniechęcić do uczenia go”* – tego nie powiedział, ale i tak to rozumiała. A on dla dobra spokoju nigdy więcej o tym nie wspomni, za co była mu wdzięczna. – Strzeż swojego imienia duszy i zdrowych zmysłów, i przygotuj się na wszystko. – Kiedy się nadal zastanawiała nad jego słowami, Mni-inh wstał. – *Jakże tęsknię za łaźniami w Hetawie!* Bogowie nie bez powodu dali temu światu gorącą wodę i wonne olejki.

Hanani nie mogła powstrzymać uśmiechu, co ją zaskoczyło, bo od wielu dni nie miała ochoty się uśmiechnąć. Wiecznie obecne wyrzuty sumienia pozostały i pewnie już miały jej nigdy nie opuścić, bo odebrała życie, nie dając spokoju, a w hananjańskiej wierze nie znano większego grzechu. Jednakże przeciągły irracjonalny strach w końcu się rozwiął.

Za to pewnie muszę podziękować księciu. Bogowie mają poczucie humoru...

– Ja już się kąpałam, bracie – powiedziała, również wstając. – Wybacz, że nie dotrzymam ci towarzystwa. Muszę odpocząć, bo uczenie księcia okazało się trudniejszym zadaniem, niż sądziłam. Ale czy później mogę zatańczyć z tobą wieczorny taniec?

Mni-inh zatrzymał się i zaczął wpatrywać się w nią przenikliwie. Potem jego twarz rozjaśnił powolny uśmiech.

– Byłbym zachwycony. Nie modliliśmy się razem od dawna. Zatem do zachodu słońca. Hanani dotknęła jego ręki, przechodząc obok. Chwytał dłoń dziewczyny i uściskał, jakby chciał dodać jej odwagi. Przyjemnie było znowu się uśmiechać, więc robiła to przez całą drogę do swojego namiotu.

Obudził ją gwar w obozie. Wyrwana z przyjemnego snu

o parującej, pachnącej olejkiem sandałowym hetawskiej kąpieli, wróciła do jawy i usłyszała...

Gniewne krzyki. Wzywanie Unte, Tajedda i innych ważnych osobistości plemienia. Szydercze wołanie i śmiech, w którym pobrzmiwała nienawiść. A także zepsucie.

Ktoś zabębnił w klapę jej namiotu. Wstała, by ją otworzyć – teraz zawsze zawiązywała rzemyki – i drgnęła zaskoczona, gdy do środka zajrzała Yanassa.

– Nadal tu jesteś? Dobrze. Zostań tu do jutra. – Banbarryjka miała zaciętą minę i zimne spojrzenie, jak nigdy. – Wana złapał szpiega.

Zaskoczona Hanani spojrzała na nią.

– Myślałam... myślałam, że wysłano go na patrol za karę, tylko na pokaz.

– Może początkowo tak. Ale nikt się nie spodziewał, że jakiś Shadoun odważy się wejść na nasze terytorium. – Kobieta pokręciła głową i rzuciła klapę namiotu z taką siłą, że materiał wydał głośny plask. – *Zapłacą za taką zniewagę!*

Hanani ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Z tyłu za Yanassą ujrzała tłum na środku obozowiska – morze krzyczących i gestykujących ludzi. Naraz przebiegły chichoczące i rozbawione dzieci. Dwoje z nich niosło patyki.

Hanani poczuła nagle zimny dreszcz.

– Yanasso, co się stanie z tym Shadounem?

– Nic dobrego. – Znienacka Yanassa rzuciła jej twarde spojrzenie. – Ale to nie twoja sprawa. Zostań w namiocie do rana i nie zwracaj uwagi na to, co usłyszysz.

Znowu sięgnęła, by zamknąć klapę namiotu. Hanani chwyciła ją za rękę.

– Co mówisz? Czy dojdzie do agresji?

To było głupie pytanie; agresja drgała jak gorące powietrze nad rozpalonym piaskiem.

– Yanasso...

Tłum rozstąpił się na chwilę i Hanani dostrzegła szpiega Shadounów.

Kobietę.

W pierwszej chwili Hanani nie zorientowała się kto to. Przywykła do kobiet ozdabiających się makijażem i biżuterią; ta była ich pozbawiona. Podobnie jak mężczyźni nosiła maskujące luźne pustynne szaty i zawój na głowie. Ten zawój zsunął jej się teraz z głowy, odsłaniając czarne, krótko obcięte włosy i twarz, niezbyt odmienną od typowych banbarryjskich twarzy. Rysy miała łagodniejsze, oczy w jaśniejszym kolorze – w tym przypadku bladozielone – i cerę w ciemniejszym odcieniu brązu. I uśmiechała się, choć wlokło ją dwóch wojowników z oddziału Wanahomena.

Ale to wszystko nie było nawet w połowie tak niepokojące jak ponura zaciekłość Yanassy.

– *Powiedz, co z nią zrobicie!* – zażądała Hanani.

Yanassa łypnęła spode łba i w końcu weszła do jej namiotu. Opuściła klapę za sobą.

– To nie zależy ode mnie, a w każdym razie nie tylko ode mnie. Łowcy oddadzą ją Unte.

A on pewnie przekaże ją plemieniu. Konkretnie kobietom. Od nas zależy jej los. – Skrzyżowała ręce na piersiach. – Niektóre z nas są tak wściekłe, że byłyby zdolne rozerwać ją własnymi rękami albo zrzucić do wąwozu, ale prawdopodobnie podarujemy ją mężczyznom z plemienia. Dopilnują, żeby cierpiała wystarczająco długo, by zadowolić wszystkich.

Hanani skamieniała, zbyt wstrząśnięta, by się odezwać.

Yanassa westchnęła i na chwilę odwróciła wzrok, nieco zawstydzona, ale i rozgniewana. To ten gniew sprawił, że spojrzała na dziewczynę wyzywająco.

– *Oni tak robią naszym kobietom przy każdej okazji!*

– I dlatego to jest w porządku?

Yanassa potrząsnęła głową, nie w odpowiedzi, lecz jakiejś

wewnętrznej rozterce.

– Ostatnia kobieta przeżyła, jeśli można to tak nazwać. Shadounowie odesłali ją do nas. Złamaną, bełkoczącą... – Zaciśnęła pięści. – Wiesz co? Zaprowadziliśmy ją do was po pomoc, choć drogo nas to kosztowało. A oni starali się jej pomóc ze zwykłej dobroci. Ale wasza magia nie potrafiła uleczyć takich ran... Uzdrowili jej ciało, ale nie umysł. Więc zabili ją na naszą prośbę, z miłosierdzia. I cieszyliśmy się z tego. – W oczach Yanassy stały łzy; na jej twarzy walczyły smutek i nienawiść. Nie był to przyjemny widok. – Od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Tą kobietą była moja cioteczna babka. Pamiętam wyraz jej oczu, myszko, a gdybyś też go zobaczyła... – Odetchnęła głęboko. – Więc nie, to nie jest w porządku. Ale to mnie nie obchodzi.

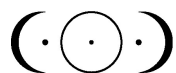
Hanani zadrżała, choć temperatura w namiocie nie była niska. W czasie pobytu w Hetawie widywała już ludzi okaleczonych w ten sposób tragedią czy innym nieszczęściem. Kiedy obłąd nie jest wrodzony ani nie powstał w wyniku zachwiania równowagi humorów, gdy rodzi się ze wspomnień, a nie z ciała, które je mieści... nie, nawet magia ma swoje granice. Właśnie po to istnieją zbieracze.

Jednakże widok drżących ust Yanassy i jej zaciśniętych szczęk uświadomił Hanani, że czasem prawdziwe rany odnoszą nie te dusze, które zostały uwolnione, lecz te, które zostały, by je opłakiwać. Zepsucie to najbardziej zaraźliwa z chorób i wystarczy mała ranka, żeby zaczęła się rozprzestrzeniać.

– Więc zostań tutaj – powiedziała Yanassa. Jej twarz nieco złagodniała. – Unte i Tajedd chcą najpierw przesłuchać tę kobietę. Może nawet ją zabiją, choćby po to, żeby nie psuć święta przesilenia.

Wyszła, a Hanani przez chwilę wpatrywała się w osłupieniu w kołyszącą się klapę namiotu. Potem sama ją odchyliła i poszła prosto do namiotu Unte.

29. PROTEKTORZY



Ptak – zwiastun zmian – przyleciał i odleciał z wiadomością. Teraz, gdy nowe czasy stały u bram pałacu, Sunandi Jeh Kalawe zaczęła się bać.

Anzi położył jej rękę na ramieniu, kiedy stali na dziedzińcu w oczekiwaniu. Wszędzie panowała cisza, ale przechodząc przez pałac, widzieli dworzan i strażników krzątających się po marmurowych korytarzach, by przygotować się na przybycie niespodziewanych gości. Tylko służący – przeważnie Gujaareńczycy, niezbyt przejęci perspektywą kiswańskiej wizyty – zachowywali spokój. Kilku Kisuan przystanęło, by skłonić się Sunandi i Anziem, ale przeważnie nie zwracali na nich uwagi. Niewątpliwie sądzili, że teraz, gdy przybywa czwórka Protektorów, która obejmie rządy nad Gujaarehem, Sunandi straciła znaczenie dla ich politycznych ambicji.

– Nie wiesz, co zrobią – mruknął Anzi. Sunandi spojrzała na niego, niewypowiedzianie wdzięczna, że zapomniał o konflikcie po incydencie przed sześcioma dniami. Dwaj żołnierze, których zabrali zbieracze, byli jego ludźmi. Ale Anzi posłuchał jej, kiedy ostrzegła, żeby nie aresztował zbieraczy. Zaczekał, dając sobie i swoim dowódcom czas na ochłonięcie. Napięcie w mieście także nieco opadło. A kiedy z Kisui przyszła wiadomość, że Sunandi powinna się przygotować na przybycie czworga przedstawicieli Protektoratu, którzy już wyruszyli rzeką do Gujaarehu, Anzi zrewanżował się za przysługę, uspokajając Sunandi i przypominając jej, że dobrze zarządzała królestwem, zważywszy ograniczone środki i kontrowersyjne rozkazy z ojczyzny. Temu nikt nie mógł zaprzeczyć

bez względu na to, z której strony wiał wiatr w Kisui.

Ale Sunandi, która dobrze wiedziała, jak zmienny może być ten wiatr, nie miała takiej pewności.

Postanowiła powitać Protektorów na wielkim dziedzińcu Yanya-iyany przed pawilonem ze szklanym dachem, gdzie księżę Gujaarehu zasiadał niegdyś na świeżym powietrzu. Teraz podest, gdzie dawniej stał tron, stanowił jedynie centralne miejsce dziedzińca, na które padało spojrzenie gości, przekraczających bramy pałacowe i idących po białym piasku.

Pierwsi pojawili się żołnierze, poruszający się tyralierą. Potem zjawili się dworzanie i tragarze, a na końcu cztery czwórki silnych młodzieńców. Każda z nich dźwigała na ramionach palankin, ozdobiony zielonymi draperiami, frędzlami i polerowanymi muszlami. Przez okno widać było zarysy postaci. Czwórki zatrzymały się i postawiły palankiny przed podestem tronowym. Sunandi i Anzi uklękli, by okazać Protektorom szacunek.

W chwili gdy Sunandi spojrzała na swoich gości, zrozumiała, że wiatr w Kisui rzeczywiście zmienił się na gorsze.

Dwoje Protektorów znała osobiście: Sasannantego, wielkiego naukowca i poetę, z którym studiowała w czasach swojej praktyki, oraz Yao, zwaną Mamą Yao, ponieważ miała trzynaścioro dzieci i posługiwała się nimi, by zostać matriarchinią jednego z najbardziej potężnych rodów armatorów. Dwóch pozostałych znała tylko z widzenia i dobrej reputacji. Pierwszym był Moib, generał w stanie spoczynku, który przed dziesięciu laty stracił oko w bitwie pod Soijaro, gdy walczył z popieranymi przez Gujaareh żołnierzami. Drugim musiał być kupiec Aksata, którego rodzina zbiła fortunę na sprzedaży mieczy i zbroi dla stacjonującej armii kisuańskiej. Mężczyzna był tak wysoki, że pewnie cierpiał przez całą podróż w palankinie. Nazywano ich Moib Podzegacz i Aksata Spekulant.

A zatem jest bardzo źle. No to pięknie. Istnieje tylko jeden powód, dla którego Protektorzy mogli przysłać tych dwóch.

Aksata uśmiechnął się, jakby usłyszał myśli Sunandi, i skłonił

głowę.

– Witajcie, mówczyni Jeh Kalawe i generale Seh Ainunu. Rada przesyła pozdrowienia.

Sunandi wstała, choć nadal miała spuszczone z szacunkiem oczy. Anzi zrobił to samo.

– Witajcie, Szacowni i Mądrzy Kisui. Witam was w Gujaarehu. Czy podróż was zmęczyła? Czy mogę wam zaproponować poczęstunek?

– Tak, wkrótce – powiedział Aksata. Zerknął na pozostałych Protektorów. Mama Yao, która wkroczyła pewnie już w siódmą dekadę, oparła się ciężko o służącego, ale skinęła głową ze znużeniem, przytakując Aksacie. Sasannante stał nieprzenikniony, wyprostowany i sztywny jak rzeźbiona laska, którą trzymał w dłoni. Moib wykonywał jakieś ćwiczenia, by się pozbyć odretwienia kończyn po podróży. Aksata wydawał się krzepki, ale na oko Sunandi miał zaledwie pod sześćdziesiątkę. W Gujaarehu, gdzie magia przedłużała życie obywateli, byłby zbyt młody, by się znaleźć w gronie starszyny. A tymczasem Mama Yao była tak stara, że przebyta podróż mogła ją zabić. Nie kochała Gujaarehu, ale nie można też było zarzucić jej nierozsądku... Więc czy inni Protektorzy mieli nadzieję, że umrze, zanim zdoła coś zdziałać? Niestety, wydawało się to całkiem możliwe.

– Podróż rzeczywiście była trudna – oznajmił Aksata – w znacznej mierze dlatego, że czas nas gonił. W drodze dostaliśmy wiadomość o waszych kolejnych kłopotach z pustynnymi bandytami. Coś związanego z Hetawą?

– Tak – powiedziała Sunandi, starannie zachowując obojętny ton. Znowu te ptaki z wiadomościami, a może posłaniec, jadący wzdłuż rzeki, by w końcu natknąć się na Protektorów.

Nie wiedziała, ile prawdziwych czy fałszywych wiadomości przeciekło do Protektorów za sprawą szpiegów znajdujących się wśród jej pracowników.

– W początkach przesilenia – zaczęła – zbieracze zabrali dwóch

naszych żołnierzy, którzy napastowali mieszkające w mieście kobiety.

– Powiedziano mi, że to kurwy – odezwał się Moib. Głos miał szorstki jak żwir; na jego szyi widniała wypukła blizna, od dawna zaleczona.

– W Gujaarehu jest niewiele prostytutek, jakie znamy – wyjaśniła Sunandi. – To służące z domów timbalinowych, jeśli tak wybiorą (Prawo Gujaarehu zakazywało ich napadać, ale tego nie zamierzała teraz tłumaczyć Protektorom). Kobiety, na które napadli żołnierze, należały do zupełnie innej grupy. Były kimś w rodzaju kapłanek.

Mama Yao skrzywiła się z odrazą.

– Zatem święte kurwy. Niewątpliwie łatwo je pomylić z innymi. Gujaareńcy zabili twoich ludzi z powodu nieporozumienia? – Spojrzała na Anziego; mężczyzna zacisnął zęby. Sunandi przez chwilę modliła się, by mąż nie stracił panowania nad sobą.

– Oni tego nie uważają za nieporozumienie, szacowna.

– Oczywiście, że nie – odezwał się Aksata i westchnął. – Cóż, spodziewaliśmy się, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Wykonałaś egzekucję zbieracza, który popełnił morderstwo?

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Nie, szacowny.

– Nie? – Coś w zachowaniu Aksaty (może kiepskie aktorstwo) natychmiast zdradziło, że nie jest tak zaskoczony, jak starał się pokazać. – Zatem go aresztowałaś? Proces wydaje się niepotrzebną formalnością, lecz...

Więc o to chodzi. Sunandi niemal się uśmiechnęła. Gdzieś w tamtym świecie, świecie snów, jej dawny mentor Kinja zanosił się śmiechem. Teraz już wiedziała, jaką rolę jej przydzielono.

– W mieście panowało wielkie napięcie – powiedziała. Ominęła wzrokiem Aksatę i spojrzała na innych Protektorów. Aksata się nie liczył; przybył, by załatwić własną sprawę. Moib najprawdopodobniej także. Możliwe, że wszyscy przybyli w tym

samym celu, ale musiała spróbować. Skupiła się na Mamie Yao i Sasannantem w nadziei, że nie wydali przedwczesnego sądu, który zagłuszy ich zdrowy rozsądek. – Po najazdach Banbarrów w mieście panował niepokój, krążą plotki o jakiejś panującej tu zarazie. Podejrzewam także niektórych wielmożów o...

– Dość, mówczyni – przerwała jej Mama Yao. Wyprostowała się i spojrzała surowo na Sunandi. – Nie przybyliśmy słuchać usprawiedliwień.

Sunandi zamknęła na chwilę usta.

– Przyjmę wszelkie rady, szacowna – powiedziała po chwili.

Sasannante zerknął na pozostałych Protektorów z uśmiechem.

– Mówiłem, że protegowana Kinji nie jest głupia.

– Może zbyt ugodowa – rzuciła Mama Yao z rozdrażnieniem, jakby spodziewała się po Sunandi gwałtowniejszego oporu.

– Być może. – Sasannante spojrzał na mówczynię w zamyśleniu. – Nadchodzą dla ciebie trudne czasy. Niełatwo zrezygnować z takiej władzy, jaką miałaś. Ale jeśli pomyślnie przetrwasz te chwile, pamiętaj, że służysz narodowi Kisui, nie Gujaarehu.

A zatem wszyscy. Sunandi spuściła oczy, drżąc w głębi duszy z gniewu, którego nigdy nie okaże. *Niech będą przekłęci!* Dziesięć lat bezsennych nocy i misternej dyplomacji, a oni to wszystko zniszczą.

Ale Sasannante miał rację: przede wszystkim służyła Kisui. Gujaareh ma własnych protektorów, o wiele bardziej niebezpiecznych niż kiswańska rada. A jeśli uśmiechając się i kłaniając tym głupcom zdoła osłonić swoją ojczyznę przed najgorszym odwetem Gujaarehu, niech tak się stanie.

Dlatego skłoniła się przed Sasannantem, rozkładając ręce na boki w dodatkowym wdzięcznym geście uniżoności, i powiedziała:

– Nigdy nie zapomniałam, że służę Kisui i, naturalnie, jej Protektorom.

Moib parsknął chrapliwym śmiechem; Aksata pokręcił głową i uśmiechnął się do niej.

– Lękam się dnia, w którym zostaniesz starszą, Jeh Kalawe – stwierdził. – *Zastanawiam się, czy odważymy się przyjąć cię wtedy do rady!*

Sunandi ukryła pogardę za przyjemnym wyrazem twarzy. „*Dopuszczcie mnie do rady, a w pierwszym rzędzie dopilnuję, żeby tacy egoistyczni krótkowzroczni głupcy jak ty zostali zamordowani we śnie*”.

– No tak. – Aksata przeciągnął się, aż głośno mu trzasnęły stawy. – Zrehabilitujcie się – polecił z grymasem. – Idźcie do Hetawy i sprowadźcie człowieka, który ośmielił się zabić Kisuanina. Przyprawdźcie go do nas, byśmy mogli go przykładowo ukarać.

A Anzi, słodki Anzi, który przez parę ostatnich dni uczył się od Sunandi, dlaczego właśnie tak nie należało postąpić, zmarszczył brwi i wystąpił naprzód.

– Szacowny, gdybyś zechciał tylko posłuchać rady mojej żony...

Sunandi położyła mu rękę na ramieniu; obejrzał się, a ona ledwie zauważalnie pokręciła głową. Żyli ze sobą prawie dziesięć lat; poznał ją lepiej niż ktokolwiek z wyjątkiem Kinji i pewnego gujaareńskiego kapłana, którzy od dawna nie żyją. Nadal czasem zdumiewała się, że potrafił na nią spojrzeć i kierując się wyłącznie miłością, zdecydować, że zaufa jej bezgranicznie.

Nie pamiętała, czym zasłużyła na takie oddanie. Ale teraz Anzi znowu je okazał i ustąpił.

– Tak się niezwłocznie stanie – powiedziała z ukłonem. Anzi poszedł w jej ślady, choć przyszło mu to z większym oporem; nie potrafił tak dobrze udawać jak ona.

Aksata skinął głową.

– Zatem dobrze. Skoro jesteście tak uprzejmi, chętnie przyjmiemy poczęstunek i zaczekamy na wasz powrót.

Sunandi i szesnastu żołnierzy z najlepszego oddziału Anziego stanęli teraz na stopniach Hetawy, czekając, aż wartownik zapowie ich przybycie. Sunandi poprosiła, żeby żołnierze byli nieuzbrojeni, ale wątpiła, by miało to jakiegokolwiek znaczenie dla tłumu Gujaareńczyków, który już zgromadził się na placu, chcąc

sprawdzić, czego kiswańscy żołnierze chcą od sług Hananji. Słyszała pomruk zebranych, czuła ich podskórny gniew, który tylko czekał na wybuch, ale się nie bała. Przynajmniej na razie. Żaden Gujaareńczyk nie odważyłby się na akt przemocy na schodach Hetawy.

Wielkie brązowe skrzydła drzwi szczęknęły, a potem rozchyliły się z jękiem. Sunandi zbyt późno zastanowiła się, dlaczego te drzwi w ogóle były zamknięte, i to na zasuwę, jeśli dobrze rozpoznała ten dźwięk. Do wieczoru zostało jeszcze sporo czasu; Hetawa na ogół pozostawała otwarta do zachodu słońca.

Potem wyłonił się zwierzchnik, zmęczony, ale wcale nie zaskoczony, a Sunandi szybko skupiła się na terażniejszości.

– Witaj, Głosie Protektorów – powiedział zwierzchnik, skłaniając przed nią głowę.

Zerknął na żołnierzy i uniósł wygiętą w łuk siwą brew. – Witajcie i wy, żołnierze Protektorów. Dziwię się, widząc was bez broni.

Dirakha, kapitan żołnierzy, złożył mu staranny ukłon, po czym spojrzał na Sunandi. Zwierzchnik uśmiechnął się blado.

– Rozumiem. Dziękuję, mówczyni. Doceniamy ten gest szacunku.

Sunandi skłoniła głowę, ale tylko jak przed równym sobie. W oczach Gujaareńczyków, dla których zwierzchnik ustępował rangą tylko panującemu księciu, równało się to z obrazą.

Zwierzchnik musiał wiedzieć, po co przyszli. Westchnął tylko lekko i przestał się uśmiechać.

– Zbieracze zapraszają cię, Sunandi Jeh Kalawe – oznajmił. – A ponieważ ci mężczyźni nie mają broni, także mogą wejść. W Sali Błogosławieństw znajduje się coś, co powinniście zobaczyć.

Tego Sunandi się nie spodziewała. Jednak ukryła zaskoczenie i skinęła głową, podążając po schodach za zwierzchnikiem do środka Hetawy. Dirakha stał przez chwilę, być może czekając na jej sygnał. Nie spojrzała na niego. Sam musiał podjąć decyzję, czy wejść do Hetawy. Poznała ją, kiedy usłyszała za swoimi plecami wymruczane przekleństwo w sua, a potem tupot szesnastu par

sandałów.

Przekroczyła próg świątyni i zagłębiła się w jej chłodne, mroczne wnętrze. Zamrugła, czekając, aż zacznie coś dostrzegać w ciemności. A kiedy tak się stało, skamieniała.

Przez salę biegły bliźniacze rzędy pryczy. Musiało ich być czterdzieści lub więcej.

Rozmieszczone w równych odstępach i ciągnęły się do połowy pomieszczenia. Na każdym posłaniu leżał ktoś pogrążony we śnie.

Sunandi ruszyła między pryczami, nie mogąc pojąć, co widzi. Czy to jakiś nowy rytuał? Ale niektórzy z leżących jęczeli i rzucali się we śnie, jakby nie mogli się obudzić z koszmaru. Na widok jednego z nich Sunandi przystanęła. Znała go. Był to jeden z dawców, których poznała dawno temu na jakimś przyjęciu. Rozejrzała się po pozostałych i zadrżała, przejęta zimnym dreszczem. Niemal wszyscy nosili hetawskie stroje.

– To głównie dawcy, ale także nauczyciele i wartownicy – wyjaśnił zwierzchnik, przyglądając się jej. Odwróciła się do niego. Znowu uśmiechnął się blado, boleśnie. – Ale nie zbieracze ani dzieci, dzięki Bogini. Chociaż tyle.

– Co to znaczy? – spytała.

– Twoi szpiedzy musieli ci powiedzieć o zarazie. – Minął ją i przystanął, żeby spojrzeć na innego swojego brata. – Walczymy z nią już od miesiąca. Przyznaję, że tego nie rozgłaszaliśmy w nadziei, że wkrótce znajdziemy lekarstwo. – Westchnął. – Teraz nie mamy już wyboru. W mieście krążą plotki, że to my rozsiewamy tę okropność. Musimy wszystko wyjawić, żeby ci ludzie mogli odnaleźć spokój w prawdzie.

Dirakha chwycił nagle Sunandi za ramię.

– Mówczyni, jeśli to zaraza...

– Ta choroba przenosi się przez sen – odezwał się znajomy głos. Sunandi odwróciła się, w ich stronę zbliżała się postać w jasnej szacie. Przybysz zatrzymał się i pochylił nad dłońmi na gujaareńską modłę; jego kok z rudobrazowych spiralek przechylił się przy tym

do przodu. Zbieracz Rabbaneh. Kiedy się wyprostował, na jego twarzy nie było uśmiechu. Sunandi przez wszystkie lata ich znajomości nie widziała go tak poważnym.

– Nie ma niebezpieczeństwa, że się przeniesie – powtórzył. Spojrzał przy tym na Dirakę, który natychmiast odwrócił wzrok, zbity z tropu, i puścił Sunandi. – Nie w tej chwili. Ale gdybyś zasnął wśród tych ludzi, nigdy byś się nie obudził.

– Dlaczego mnie o tym nie powiadomiliście? – Pomimo przerażenia Sunandi zastanawiała się gorączkowo. Protektorzy wykorzystają to uchybienie, by oskarżyć Hetawę o gujaareńskie grzechy. W najlepszym razie mogą zakazać stosowania magii, w najgorszym – zamknąć Hetawę, zażądać aresztowania lub egzekucji jej kapłanów i zrobić wszystko, żeby unicestwić wiarę hananjańską.

– Ukryliśmy to, ponieważ sytuacja została opanowana – odpowiedział Rabbaneh.

„Pustka” – uświadomiła sobie Sunandi. To miał w oczach, kiedy spoglądał na swoich umierających braci. Nie widział dla nich nadziei. – A raczej tak myśleliśmy. Dwa czwórdni temu zebraliśmy wszystkie ofiary snu i wszystkich, którzy mogli mieć z nimi kontakt. W sumie pięćdziesięcioro. Trzymaliśmy ich w odosobnieniu. Badaliśmy ich, lecz wiedzieliśmy, że jeśli nie uda nam się znaleźć lekarstwa, pozostaje jedna nadzieja: że umrą jako ostatni. – Spojrzał na leżącego chłopca, szczupłego niedorostka, który pewnie jeszcze nie osiągnął wieku dorosłego, i zamknął oczy, jakby dźgnął go ból. – Ale posiadacze snu zaatakowali nas znowu dwa dni temu.

Sunandi wpatrywała się w niego, kompletnie zapomniawszy o Protektoracie.

– Zaatakowali...?

– Tak sądzimy – odezwał się kolejny głos za jej plecami, głos, którego bała się usłyszeć. Odwróciła się, zbierając wszystkie siły, by spojrzeć w oczy Nijiriego. Ale jego twarz natychmiast zdradziła, że wie, po co przyszła, i nie nienawidzi jej za to. Potem

przypomniała sobie jego słowa: „*Dlatego ci wybaczam, bez względu na to, do czego zmuszą cię Protektorzy*”.

Nie spodziewał się, że to jej sprawi taką ulgę.

– Źródłem tego snu jest dziecko – powiedział Nijiri. – Tego dowiedział się Sonta-i. Nie wiem, jak dziecko może posiadać taką moc, ale pozostaje faktem, że ktoś się nim posługuje jak bronią. Ja i mój brat Inmu widzieliśmy to na własne oczy. – Wskazał na śpiące postaci. – To oni nam to zrobili.

– Gorzej – odezwał się Rabbaneh. – Dowiedzieliśmy się, że niektórzy przez parę dni noszą zarazę, nie zapadając w niekończący się sen. Są tak samo skazani, jak ci, którzy zasypiają od razu, ale w międzyczasie rozsiewają to przekleństwo wśród innych.

Sunandi zadrżała i splotła ręce na piersi.

– Zaraza sennych koszmarów. A niech to cienie... – Jej własne słowa obudziły pewne wspomnienie. – Czy to już się zdarzało? Sny o takiej mocy?

Zwierzchnik spojrzał na nią dziwnie.

– Nie. Magia, którą się posługujemy, występuje w wielu różnych odmianach, ale żadna nie jest tak ewidentnie szkodliwa. Wbrew temu, co mówi twój lud.

– Dziki Śniący – odezwał się Rabbaneh. Przykucnął przy szczupłym młodziku, patrząc na niego z wyraźną czułością. – Tak nazwał go na koniec Sonta-i. Ale poszukaliśmy w archiwach i nie znaleźliśmy wzmianki o nikim takim.

Sonta-i. Obwieszczenia o jego śmierci zawisły w całym mieście; kilku wybitnych rzemieślników i twórców żałobnych artykułów stworzyło na jego cześć dzieła. Śmierć zbieracza sama w sobie nie budziła w mieście smutku, gdyż każdy z nich na ogół sam wybierał czas swego odejścia i czynił to bez sprzeciwu. Ale teraz, widząc ból Rabbaneha i Nijiriego, Sunandi zrozumiała, co jeszcze zostało ukryte przed opinią publiczną.

Ostatnie słowa Sonty-i jeszcze bardziej poruszyły jej wspomnienia. Dziki Śniący.

– Nie szukaliście w archiwum Yanya-yan – mruknęła, usiłując się zastanowić, wyłuskać z zapomnienia to męczące ją wspomnienie. – Wszystkie materiały, które Eninket zebrał, próbując odkryć tajemnicę Kosiarzy... Porządkowaliśmy je latami, ale przypominam sobie, że widziałam tam coś dotyczącego tej plagi koszmarnych snów. I Dzikiego Śniącego.

Zwierzchnik znieruchomiał. Rabbaneh i Nijiri spojrzeli na siebie, a potem na nią. Rabbaneh wstał.

– Musisz mnie aresztować – powiedział Rabbaneh. – Tak?

Spuściła oczy.

– Tak.

Wstał i stanął przed nią, wyciągnąwszy przed siebie ramiona.

– Uważaj, krępując mi ręce; wiesz, co potrafimy zrobić dotykiem.

Patrzyła na niego w zaskoczeniu. W pewnym sensie spodziewała się tego. A jednak...

Przywołała gestem Diraknę i odstąpiła, kiedy jego ludzie wiązali zbieracza.

Nijiri także się zbliżył. Za nim pojawił się trzeci zbieracz, wysoki i chudy młodzieniec.

Zbliżał się ku nim wzdłuż pryczy.

– I mnie – powiedział Nijiri. – I Inmu.

– I mnie – dodał zwierzchnik, podchodząc. Uśmiechnął się blado, ironicznie. – Jestem tylko nauczycielem, ale skoro ubył nam jeden zbieracz, będę stanowił najlepszy substytut.

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Przysłano mnie tylko po Rabbaneha.

– Powiedzieliście, że za każdą krzywdę wyrządzoną Kisuaninowi odpłacicie nam w czwórnasób, tak? – spytał Nijiri. Zerknął na swoich braci i zwierzchnika. – Jest nas tylko czterech, nie ośmiu, ale może Protektorzy wybaczą ten niedobór, zważywszy, kim jesteśmy.

– Nie mogę zabrać was wszystkich – powiedziała Sunandi

w osłupieniu. Spojrzała na Nijiriego; on będzie wiedział, jak wiele kosztowały ją następne słowa. – Miasto potrzebuje zbieraczy.

Nijiri uniósł brew; po jego twarzy przemknął nikły uśmiech.

– To prawda, Jeh Kalawe. Ale w tej chwili nie możemy zrobić dla Gujaarehu nic innego.

Wiesz, jaki nastrój panował w mieście przez ostatnie dni. Nasz lud nie pragnie w tej chwili spokoju.

A kiedy ty i twoi bracia znajdziecie się w naszym więzieniu, gniew miasta rozgorzeje jeszcze bardziej. O, tak. Spostrzegła to w oczach Nijiriego. Doskonale wiedział, jak zareagują obywatele, kiedy rozejdzie się wieść, że Kisuanie aresztowali zbieraczy. Wszystkie rozmowy o Hetawie, która dręczy miasto koszmarami, w końcu ucichną; niezadowolenie Gujaareńczyków znajdzie określony cel. Obiektem tego gniewu stanie się Kisua, nie Hetawa.

Najszybsza, najpewniejsza droga do stabilności. Przed tą metodą Hetawy ostrzegł ją Nijiri.

Spojrzała mu w oczy i powiedziała:

– Przeszukam archiwa pałacu i znajdę wszelkie materiały dotyczące tej sprawy.

– Na tym etapie pomoże nam najdrobniejsza wzmianka – przyznał. Potem uśmiechnął się blado, lecz serdecznie. – Mamy na ciebie zły wpływ, Jeh Kalawe. Twoje zachowanie ostatnio stało się podejrzanie gujaareńskie.

Odwzajemniła uśmiech, mniej urażona, niż powinna była być.

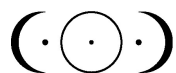
– Wiesz, że wybieram tę taktykę, która zadziała najlepiej. Mam nadzieję, że moje postępowanie przyniesie spokój obu narodom przy minimalnych stratach.

– Módlmy się o to. – Potem uniósł ręce, a dwaj ludzie Dirakhy podeszli do niego.

Dowódca kazał im najpierw obwiązać sznurkiem dłonie zbieraczy, zwinawszy je w pięści. Potem przykuli do siebie mężczyzn łańcuchem. Ustawili ich w szeregu i wyprowadzili ze świątyni,

maszerując z nimi przez wściekły tłum do Yanya-ian.

30. IMIĘ DUSZY



Wanahomen wyszedł z namiotu Unte i natychmiast zauważył tę kapłankę, maszerującą ku niemu jak nadciągająca burza. Pięści miała zaciśnięte, oczy czarne jak obsydiany. Wstążki i rękawy furkotały wokół niej.

W innych okolicznościach Wanahomen przyjrzałby się temu widokowi z podziwem.

Hanani nie była piękną jak Tiaanet i nie posiadała bezczelnego wdzięku Yanassy, ale miała w sobie coś pociągającego, zwłaszcza kiedy pozbyła się nieśmiałości i pozwoliła się zobaczyć z innej strony. W innym czasie i miejscu, gdyby nie była sługą Hananji, Wanahomen z radością zalecałby się do niej; książę powinien mieć wśród swoich dwustu pięćdziesięciu sześciu żon również kobiety pochodzące z gminu. Ale teraz musiał ją powstrzymać, zanim zrobi coś głupiego. Zatrzymał ją pięć kroków przed namiotem i chwycił za ramię.

– Chodź ze mną – rzucił.

Podniosła na niego wzrok, wstrząśnięta i rozgniewana, zbyt rozgniewana, by zareagować na jego chwyt przerażeniem, jak uczyniła poprzednio. Nie wiedział, czy to go cieszy.

– *Co? Puszczaj!*

– Chodź ze mną, głupia, chyba że chcesz rozpętać burzę, jakiej dotąd nie widziałaś. To złamało kręgosłup jej gniewu. Oszołomiona, pozwoliła w końcu odciągnąć się od namiotu. Książę trzymał ją za rękę przez całą drogę do an-sherratu matki, gdzie wprowadził ją do kręgu ogniska między namiotami i posadził na ziemi.

– Nie mogę stać bezczynnie, kiedy oni krzywdzą tamtą kobietę – powiedziała natychmiast.

– Rzeczywiście, nie możesz. – Wanahomen usiadł naprzeciwko niej. – Przynajmniej raz zgadzam się ze sposobem myślenia Hetawy.

Drgnęła; najwyraźniej spodziewała się kłótni.

– Więc dlaczego...

– Gdybyś wtargnęła tam teraz i zaczęła pouczać dwóch przywódców banbarryjskich plemion, jak traktować więźnia, wyrzuciliby cię i zabili tę kobietę w najpowolniejszy, najbardziej bolesny sposób, jaki zdołaliby wspólnie wykoncypować. A gdyby uznali, że przeciągnęłaś strunę, kazaliby ci patrzeć.

Wzdrygnęła się i naprawdę pobladła jeszcze bardziej, choć nie wydawało mu się to możliwe.

– *To barbarzyństwo!*

– Bo to barbarzyńcy. – Wanahomen zdjął zasłonę i zawój; przesunął dłonią po warkoczach, nagle poczuł się zmęczony. Przez cały dzień siedział na końskim grzbiecie, i to po źle przespanej nocy. Wizyta tej kapłanki obudziła w nim wyrzuty sumienia i odebrała mu spokój myśli. – A także mężczyźni ze starszyny, przywódcy ludzi, którzy do niedawna uważali Gujaareńczyków za wrogów. *Na spokój!* Jesteś ich gościem, jak sądzisz, jak by zareagowali, gdybyś okazała im brak szacunku? Wyobraź sobie, że wpuszczasz do Sali Błogosławieństw obcego, który najpierw zacząłby cię pouczać, jak masz się modlić, a potem obsikałby posąg Hananji. Czy po czymś takim miałabyś wielką ochotę słuchać tego, co miałby do powiedzenia?

Dziewczyna oburzyła się na samą myśl o tym wyimaginowanym barbarzyństwie, ale potem jej twarz znowu skamieniała.

– Nie mówimy jednak o zwykłej niegrzeczności, tylko o torturach i morderstwie. Pewne sprawy są złem w oczach wszystkich...

– Nieprawda. – Książę pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – W Gujaarehu zbieracze zabijają z powodu tego, co tu uważa się tylko za złe maniery. Banbarryjska niewolnica może się wykupić lub

zarobić na wolność; w Gujaarehu nasi służący nie mają nadziei na ucieczkę przed swoim losem. I rozważ: dla Unte i innych to, co ci zrobiono, jest okrucieństwem, okaleczeniem na całe życie.

– To nie... – zaczęła z oburzeniem, ale przerwał jej gniewnym gestem.

– Wiem. Ale oni tak to widzą. Kobieta, zabrana w dzieciństwie swojej rodzinie, zmuszona do ubierania się i zachowywania jak mężczyzna, do pokory, choć powinna być dumna, kobieta, której nie wolno mieć kochanków, dzieci ani tych wszystkich przedmiotów, które w ich oczach stanowią o dobrym życiu... Każdy, kto zaproponowałby, że tak potraktuje tutejszą dziewczynkę, zostałby nazwany potworem i wygnany z plemienia.

Hanani wydawała się oszołomiona takim opisem swojego życia. Wanahomen wykorzystał sytuację, widząc, że zdołał do niej dotrzeć.

– Banbarrowie są starszymi między naszymi rasami i jak wszyscy starsi mają swoją dumę i swoje ustalone obyczaje. Nie możemy od nich wymagać, możemy tylko prosić, a jeśli odmówią, pogodzić się z tym. Jeżeli zaczniesz naciskać, tylko pogorszysz sytuację.

Spojrzała na niego z nagłą przenikliwością; teraz, gdy zdjął zasłonę, zaczęła mu się przyglądać zbyt uważnie.

– Mówisz z doświadczenia.

Wanahomen zastanowił się i wybrał brutalną szczerość.

– Czasem nowy niewolnik lub nowa niewolnica protestują przeciwko swojemu położeniu i trzeba ich ujarzmić. Zaczyna się od codziennego bicia. Potem przechodzą do przypalania, ucinania tych części ciała, które zostaną uznane za nieważne...

Dziewczyna zeszywniała. Wanahomen spuścił wzrok na swoje splecione dłonie. Łatwo, przerażająco łatwo przypomniały mu się czasy, kiedy na tych przegubach znajdowały się kajdany.

– Kiedy byłem tu nowy, także protestowałem przeciwko okrucieństwu. Ale jak powiedziałem, sytuacja może się pogorszyć.

Z jej gardła wyrwał się cichy dźwięk. Wstała i zaczęła krążyć

wokół ognia, żeby dać ujście frustracji. Zdumiewająco niespokojne zachowanie jak na sługę Hananji – fizyczne wyrażenie rozterki, niestosowne wśród dobrze wychowanych Gujaareńczyków. Książę przyglądał się jej niepewnie, zastanawiając się, czy przypadkiem nie skrzywdził jej jeszcze bardziej. Kiedy przystanęła, dla odmiany zaczęły się poruszać jej ręce, drgając nerwowo, pocierając się, jakby chciały zetrzeć brud. Ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie.

– Poproszę ich, żeby nie postępowali okrutnie – powiedziała. – Ale co mogę zrobić, jeśli odmówią? Nie zniosłabym tego. Nie znam drogi powrotnej do Gujaarehu, nawet gdybym potrafiła ją uratować...

Wanahomen jęknął.

– Jesteś zupełnie głupia? Pomijam fakt, że Unte osobiście ruszyłyby w pościg za tobą za to, że go znieważyłaś, a ta kobieta pochodzi z Shadounów. Zabije cię, gdy tylko spuścisz ją z oka, nawet jeśli będziesz chciała jej pomóc. – Roześmiał się nieprzyjemnie. – Zwłaszcza wtedy, gdy będziesz chciała jej pomóc. Urodziła się na pustyni i wie, jak ją przemierzać i jak na niej przeżyć. Ty byś ją spowolniła.

Hanani skamieniała, sztywno wyprostowana, miała zaciśnięte pięści. Książę przygotował się do zbliżającej się bitwy. Ale ona nagle spuściła głowę. Z niepokojem zauważył łzy w jej oczach.

– Nie wiem, co robić – powiedziała głosem brzmiącym prawie jak szept. – Jestem sługą Hananji, powinnam wiedzieć. Powinnam znaleźć jakiś pokojowy sposób rozwiązania problemu.

– Roześmiała się z goryczą. – Ale przecież nie po raz pierwszy zawiodłam.

Wanahomen, zaskoczony tą nagłą zmianą, wstał i podszedł do niej. Zatrzymał się za jej plecami. Nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć, żeby ją pocieszyć. Wyciągnął rękę w stronę jej ramienia, ale w porę się powstrzymał. Pewnie nawet w tej chwili myślała o Azimie, uświadomił sobie z opóźnieniem, widząc jej

zaciśnięte, drżące pięści i napięte barki. Jej największa porażka. Hetawa uczyła, że prawdziwa siła leży w znoszeniu cierpienia, zadawanego przez innych, nawet jeśli oznaczało to ból lub upokorzenie. Kapłani uważali stawianie oporu za dopuszczalne, lecz jedynie po spokojnym zastanowieniu, by biorąc odwet, nie dopuścić się takiego samego zepsucia, jak krzywdziciel.

Ale to nie miało sensu. Czy dowiodłaby swojej siły, pozwalając się skrzywdzić, skoro miała możliwość się obronić? Siła ducha to jedno, zatracanie się w idealizmie – drugie. Chyba dostrzegła tę różnicę?

Wanahomen westchnął i pomyślał, że kobiety i kapłani chyba na stałe wzięli rozbrat ze zdrowymi zmysłami. Zrobiło mu się niemal żal Hanani, upośledzonej tak z racji płci, jak i powołania.

– Bogini nie troszczy się o świat jawy – powiedział. – Czy nie tak czytamy w Mądrości Hananji? To my mamy stanować o swoim losie.

– Tak, to prawda...

– Więc nie szukaj odpowiedzi w doktrynach Hetawy. Napisali je śmiertelnicy, nie bogowie. – I choć starał się myśleć o czymś innym, nie potrafił się powstrzymać. Patrząc na nią przez chwilę, zobaczył na jej miejscu Nijiriego, zbieracza, który posłał ją na pustynię, i Ehiru, jego nauczyciela. Spozrzegł też ojca, który zginął z ręki Ehiru. – A śmiertelnicy są podatni na zepsucie.

Spojrzała na mężczyznę, zaskoczona zmianą jego nastroju. Kiedy poruszyła głową, paciorki, ozdabiające na banbarryjską modłę jej włosy, zagrzecotały. Wanahomen drgnął i znowu ją zobaczył – nie zbieraczy, nie Hetawę. Zwykłą gujaareńską dziewczynę w barbarzyńskich sukniach, rzuconą w tak obcy jej świat, że nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

Ale ona nadal zaciskała pięści, a napięcie jej barków świadczyło, że zamierza działać, jeśli tylko nadarzy się okazja. Nie potrafił powstrzymać też innej myśli: lubił ją za to. Była równie obłąkana jak reszta hetawskich kapłanów, ale przynajmniej podziwiał ją za odwagę.

Wystarczy tych snów na jawie.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział. – Okoliczności schwywania tej kobiety wyglądają podejrzanie. Znaleźliśmy ją w pobliżu wawozu, na otwartym terenie. Rozpalała ognisko, żeby zrobić sobie herbatę. Tak jakby chciała zostać złapana. – Pokręcił głową. – Podsunąłem Unte i Tajeddowi, żebyśmy ją przesłuchali, by wyciągnąć z niej tajemnice. Dzięki temu zyskała na wartości, na razie.

– A jak ja mogę pomóc? Jeśli twierdzisz, że muszę prosić, nie żądać... Pokręcił głową.

– Nie teraz. – Znowu otworzyła usta, przewidywalna jak Luni. Ubiegł ją: – Czasami najrozsądniejszym wyborem jest brak działania, praktykantko. – Jeśli sytuacja będzie tego wymagać, wolałbym zostawić twoją... prośbę... jako ostateczny argument. Zaapeluj do miłosierdzia Unte i Tajedda; powiedz im, że sprawa Azimy nadal nie daje ci spokoju. – Wzdrygnęła się, a on skinął ponuro głową. Przynajmniej to, co jej zrobił, może się im jeszcze przydać. – Ponieważ jesteś gościem, nie będą chcieli jeszcze bardziej pogłębiać twojego bólu.

Powoli skinęła głową.

– Rozumiem. Zatem... zatem... pójdę za twoją radą. – Zawahała się i dodała: – Dziękuję, książę... za pomoc tej kobiecie. Wiem, że pod żadnym względem tobie się to nie opłacało.

Skrzywił się; uraziło go, że kapłanka tak nisko ocenia jego moralność.

– Nie opłaca mi się także zapomnieć, kim jestem. W końcu pochodzę z Gujaarehu. – Skrzyżował ręce na piersi, był rozdrażniony. Dziewczyna odwróciła się i patrzyła na niego tak długo i nieruchomo, że zaczęło go to niepokoić.

– Powinieneś usiąść – odezwała się niespodziewanie. – Muszę cię uspić, żeby zacząć następną lekcję.

Drgnął.

– Lekcję? Teraz?

– Powiedziałeś, że nie zrobisz nic więcej dla tej kobiety,

przynajmniej na razie. Masz inne obowiązki?

Unte i Tajedd mieli go wezwać, gdy zdecydują o losie pojmanej. Do tego czasu miał pozostać z żołnierzami w wąwozie na wypadek, gdyby Shadounowie zaatakowali. Ezack dowodził oddziałem na szczycie ścian wąwozu. Wypatrywał zagrożenia. Na razie sytuacja przedstawiała się stabilnie.

– Dobrze – powiedział, siadając na kłodzie przy ognisku. – Przynajmniej się zdrzemnę. Dziewczyna stanęła przed nim, położywszy mu dłoń na potylicy. To go zaskoczyło.

Dotknęła palcami podstawy jego czaszki, sprawdziła napięcie mięśni. Nie miała jungissy, której używali tylko zbieracze; słyszał, że bez niej za dnia trudno rzucić zakłęcie snu. Pamiętając o tym, wziął głęboki oddech, by oczyścić myśli. Kapłanka skinęła głową z zadowoleniem. Gdy stwierdziła, że rozluźnił się w wystarczającym stopniu, pochyliła się i spojrzała mu w oczy.

– Tym razem postaraj się pozostać w sobie – poprosiła poważnie, jakby mógł coś z tego zrozumieć. – Nie mogę cię uczyć, gdy ciągniesz mnie przez krainy.

Wanahomen znowu westchnął.

– W życiu nie spotkałem tak dziwnej kobiety.

Powieki jej drgnęły; po wargach przemknął uśmiech? Wanahomen zobaczył go po raz pierwszy od wielu dni. Podniosła rękę, wydała cichy pomruk, a on zamknął oczy i po chwili już spał.

Kiedy uniósł powieki, an-sherrat zniknął. Podobne jak kapłanka, ognisko, ziemia i nawet niebo. Książę nie widział siebie; wierzył tylko, że istnieje. Unosił się w czarnej nicości, przestraszony i samotny. Nie. Nie samotny...

– Tutaj.

Głos kapłanki dobiegł do niego z mroku, choć jej samej nigdzie nie było widać.

Wanahomen wyciągnął rękę, by jej dotknąć, i nie znalazł niczego, choć w świecie jawy stała tuż przed nim.

– Co to za miejsce? – spytał.

– Kraina graniczna pomiędzy Ina-Karekh i Hona-Karekh, pozbawiona ozdób i dekoracji.

Nie ma nazwy.

To mu nie pomogło.

– Gdzie jesteś?

Jej obecność nagle go otoczyła, tak bliska i namacalna, że czuł ją, gdziekolwiek się odwrócił. Nie pojawiła się jako ciało – nadal nie mógł jej zobaczyć ani dotknąć – ale czuł spokój, moc i kobiecość tak właściwą jej charakterowi, że niemal miała teksturę: miękką, ciepłą, promienną. Ale kryjące się pod nią jej zapach, smak i dotyk były inne. Twardsze, jak kość albo pestka w środku owocu. Nie, to nie był jej środek, tylko jego zewnętrzna powłoka, a nazywała się...

Cofnęła się natychmiast, a on z najwyższym trudem nie okazał strachu na myśl, że zostanie sam w tej pustej ciemności.

– Taki silny – powiedziała z łagodną kpina. – Taki natarczywy. Nigdy nie czekasz na zaproszenie, książę?

Chyba się nie gniewała. Nawet usłyszał rozbawienie w jej głosie.

– Na ogół widzę, kiedy nie mogę wejść – rzucił z irytacją.

– Jeśli w tej krainie coś nie jest dla ciebie widoczne, powinieneś badać to z największą ostrożnością. Skoro musisz być wścibski, zadbaj o swoje bezpieczeństwo. Gdzie jest twoje imię duszy?

– Nie mam go.

Jej spokój zmienił się w litość, co rozdrażniło go jeszcze bardziej niż jej rozbawienie. A ona, być może to wyczuwając, niemal natychmiast się uspokoiła.

– Wybacz mi – powiedziała. – Myślałam, że otrzymałeś przynajmniej takie wykształcenie, jak wszystkie gujaareńskie dzieci...

– Ojciec by na to nie pozwolił.

– ...rozumiem. Nie szkodzi. Teraz będę musiała cię tego nauczyć.

Powiedz, wiesz, czym jest imię duszy?

Wstydził się niewiedzy, więc powiedział tyle, ile pamiętał.

– Wiem, że trzeba go bardzo strzec. Ten, kto zna imię duszy drugiej osoby, ma nad nią władzę w snach.

– Tak. W snach można się zagubić. Imię duszy to kotwica twojej jaźni. Mając je, zawsze będziesz mógł odnaleźć drogę. Same jego sylaby nie posiadają mocy, ale znaczenie, które im nadajesz, wcielenie samej koncepcji ma zasadnicze znaczenie dla zachowania twojego ja. – Westchnęła; poczuł jej troskę, zanim zdążyła ją ukryć. – Gdybyś nadal był dzieckiem, poszłoby łatwiej. Byłbyś... podatny. Jako dorosły mężczyzna z tak silnym poczuciem własnej tożsamości... – W jej głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta. – To nie będzie przyjemne.

– Jak prawie wszystko w moim życiu, kobieto – powiedział, prostując się, o ile to mogło mieć jakieś znaczenie w tej bezkształtnej przestrzeni. – Rób, co musisz.

– Doskonale.

Poczucie jej obecności zupełnie się zmieniło. Nadal go otaczała, ale nie potrafił jej już rozpoznać. Miętkość, którą interpretował jako kobiecość, jako ją, uniosła się, odsłaniając dotyk krzemienia i metalu, ostry i zimny. Potem poczuł jej napór na istnienie, które – zaczął to rozumieć – było nim. Poczuł w ustach smak metalu; cofnął się z odrazą. Ale ona naparła znowu.

– Co robisz? – spytał.

Nie odpowiedziała, naparła jeszcze mocniej, a on zrozumiał z niepokojem, że nie zostawiła mu drogi ucieczki. Gdziekolwiek się odwrócił, natykał się na nią. A kiedy znowu nacisnęła, twarde brzegi jej obecności przygniotły go jak kamień młyński. *To bolało!* I jednocześnie było czymś więcej niż ból i czymś mniej od niego ważnym. Zaskoczony tym nowym uczuciem krzyknął mimo woli w pustkę. Czy ta kobieta oszalała? Żwir zdierał mu skórę, kwas palił odsłonięte ciało... Znowu naparła. Zaczął się szarpać, w końcu zrozumiał, co się dzieje. Te jej zimne brzydkie krawędzie

rozdziarały go, wbijały się w samą istotę jego istnienia. Nie wiedział, co się wydarzy, jeśli Hanani dalej tak będzie robiła, czy wchłonie go w siebie, pożre jak Kosiarz? Czy jego dusza przestanie istnieć, a ciało umrze? Nie miał pojęcia, ale obawiał się, że wkrótce się dowie, jeśli nie znajdzie sposobu, żeby ją pokonać.

– *Dość, ty hetawski potworze!* – Dał z siebie wszystko, żeby się wyzwolić. Jakby szamotał się w grząskim piasku: za każdym razem, gdy robił sobie przestrzeń, w której mógł istnieć, ona wypełniała ją sobą. A teraz zrozumiał ku swojemu przerażeniu, że przegrywa. Ona, kim była ta ona? Nie potrafił sobie przypomnieć, ale co ważniejsze, nie przypominał sobie własnego imienia. Wydarła mu kolejną część siebie.

– *Odejdź!* – krzyknął, ale ciemność i cisza połąkły ten krzyk.

Skończyła zdziarać z niego zewnętrzne części i cofnęła się, zbierając siły przed ostatecznym ciosem. On dyszał w jej chwycie, obnażony, odsłonięty, wyczerpany, świadomy, że zyskała dostęp do jego najbardziej wewnętrznej części. Gdyby dotknęła go tam chociaż raz, unicestwiłaby go; wyczuwał to z instynktowną pewnością. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

Wtedy sięgnęła po niego, po tę jego część, która pulsowała jak serce i była równie niezbędna do życia, a on rozplakał się, zaczął się miotać i w końcu krzyknął jedyne słowo, które mogło go ocalić. Dwie sylaby. Dźwięk. Przez chwilę nie potrafił go umiejscowić, potem sobie przypomniał: dzieciństwo w pałacu Kite-iyana. Jedna z żon jego ojca w porwywie gniewu rzuciła o ścianę filiżankę z cienkiej gliny, rozbijając ją na kawałki. Ale ten dźwięk zabrzmiał jaśniej, czystiej, bardziej metalicznie czy może krystalicznie...

Ledwie to pomyślał, stało się. Wokół niego utworzył się kryształ, twardy i przejrzysty jak brylant, z fasetami o ostrych krawędziach, rozświetlający mrok swoim tęczowym blaskiem. Krzem i metal uderzyły o niego, sypiąc iskrami, i cofnęły się, bezradne. I nagle zrozumia ł.

Nazywał się Wanahomen. Był przywódcą łowców plemienia Yusirów, przyszłym księciem Gujaarehu, potomkiem Zachodu Słońca

i Inkarnacją Bogini. Ale przede wszystkim był...

Otworzył oczy, przebudzony. Znowu znalazł się w an-sherracie matki. Kapłanka nadal stała przed nim.

– Niim – powiedział, spoglądając na nią ze zdziwieniem. – Jestem Niim.

Pogłaskała go po głowie z uśmiechem.

– Tak, we snach.

– Co... – Prawie nie pamiętał, jak się wydobywa głos. Ile czasu minęło? Ognisko płonęło tak samo jasnym płomieniem, a jednak miał wrażenie, że upłynęły godziny. A może lata. – Co...

– Znam tylko taką metodę, żeby wymusić z ciebie imię. Na szczęście okazałeś się wystarczająco pomysłowy, by przetrwać.

Był zbyt oszołomiony, żeby się rozgniewać.

– To imię... – Ale zamilkł, zaskoczony, gdy położyła mu palec na ustach.

– Teraz widzisz, dlaczego to imię należy wyjawiać tylko nielicznym zaufanym osobom. Pewnie będziesz żałował, że je znam – dodała z przeproszającym uśmiechem. – Dlatego w zamian dam ci to: we snach jestem Aier.

Zrozumiał już, jak wiele znaczy imię. Pestka pod miękkim miąższem owocu. Zadrżał, zastanawiając się nad nią, rozdarty między podziwem i uczuciem, którego nie potrafił określić. Pożądanie? Tak, trochę; był na tyle mężczyzną, żeby je rozpoznać. Nie była to ta powódź żądz, którą budziła w nim Tiaanet, ani przyływy i odpływy, które czuł podczas związku z Yanassą, ale jednak coś. Może cichy, stały strumień pragnienia. Ale temu pożądaniu towarzyszyło ważniejsze uczucie, zarazem silniejsze i bardziej poruszające niż zwykła żądza. Uszanowanie i komfort. Tak czuł się w tych rzadkich chwilach, kiedy się modlił.

– Dziękuję – powiedział, wdzięczny za wiele rzeczy.

Hanani spuściła wzrok, cofnęła rękę i odstąpiła o krok. „*Za dużą bliskość*” – uświadomił sobie Wanahomen. Dziewczyna przysięgła

oddawać się tylko Bogini; wyjawiając mu swoje imię duszy, niebezpiecznie zbliżyła się do podobnego rodzaju oddania. Zateśknił za jej bliskością, pragnął jej więcej. Ale Hanani już raz złamała przysięgę z jego powodu. Dalsze krzywdzenie jej byłoby grzechem.

– No, to już? – spytał z wymuszoną rzeźkością. – To ta technika, której miałaś mnie nauczyć?

– Nie – powiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy, znowu nieśmiała. – Ponieważ nie miałeś imienia duszy, musieliśmy się tym zająć. Ale na następnej lekcji będziesz gotów nauczyć się techniki równoważenia humorów.

Urwała i zmarszczyła brwi. Wanahomen raptem uświadomił sobie, że spoza an-sherratu dobiega jakiś zgiełk – krzyki i rozgorączkowane wołanie. Dobre samopoczucie zniknęło, zastąpił go zimny dreszcz. Hanani zeszywniała. Ale w głosach brakowało brzydkiego, nienawistnego tonu, którego można by się spodziewać, gdyby podjęto decyzję co do losu schwytej.

Za namiotu wyszedł Charris. Odetchnął z ulgą na widok Wanahomena.

– Nadjeżdżają oddziały z dwóch plemion – powiedział. – Banbarrowie Madobowie i Issayirowie, jak twierdzą strażnicy.

Wanahomen natychmiast wstał, zapomniawszy o zmęczeniu.

– Nie moglibyśmy sobie życzyć lepszego wyczucia chwili. Daleko są?

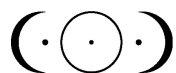
– Godzinę drogi od nas.

– Dobrze. – Księżę odwrócił się do kapłanki, która przyglądała im się z niepokojem. – Teraz nie podejmą decyzji aż do jutra. Muszą dopełnić obowiązków gościnności. A rano rozstrzygną o jej losie z chłodniejszymi głowami. – Położył rękę na ramieniu kapłanki. Wiedział, że to śmiały gest. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale nie wzdrygnęła się ani nie cofnęła, więc uśmiechnął się i pozwolił sobie na szybki, krzepiący uścisk. – Niczego nie obiecuję, ale zrobię wszystko, co będę mógł, by ta kobieta umarła bezboleśnie.

Dziewczyna skinęła głową. Na jej twarzy pojawił się przebłysk

nadziei – wielki postęp w stosunku do wcześniejszego nastroju. Wanahomen skłonił się na pożegnanie, wziął swój zawój i zasłonę i poszedł z Charrisem, by powitać gości.

31. KOSZMAR



Po odejściu księcia Hanani stała przez długą chwilę między dwoma namiotami an-sherratu, spoglądając z tego względnie bezpiecznego miejsca na banbarryjskie obozowisko.

Lekcja ją zmęczyła, choć nie dlatego tęskniła za cieniem. Potrzebowała czasu, by na nowo przywyknąć do dziwności tego świata. Banbarrowie nigdy nie przerażali jej bardziej niż dzisiaj, a książe nigdy nie wydawał się bardziej normalny. *„Chyba cały świat stanął na głowie. Może bogowie znowu upili się winem z komety, jak w legendach”*.

Na ramieniu czuła jeszcze mrowiące ciepło dłoni Wanahomena. Co to znaczy, że każdy jego dotyk – nawet ten wstrętny, podstępny pocałunek, który miał zwieść Azimę – zostawiał w niej ślad na tak długo? Całe życie spędziła wśród mężczyzn, czasem tak pięknych, że książe nie mógłby z nimi konkurować. Wiedziała też o męskim pożądaniu, nie była tak ślepa, żeby nie zauważyć, w jaki sposób niektórzy przyglądali się jej w hetawskich łaźniach, a kiedy dotykali jej ręki, ich dłonie pociły się i drżały. Gdy wyjawili sobie swoje imiona dusz, zainteresowanie księcia nadało smak nawet powietrzu między nimi, a przecież Wanahomen niczym nie różnił się od innych pożądających jej mężczyzn, na których przez lata nauczyła się nie zwracać uwagi. W takim razie dlaczego tak trudno było jej go ignorować?

„Może dlatego, że w nim nie ma spokoju” – przyszło jej do głowy. Pragnienia innych kapłanów nie miały znaczenia; jej bracia przywykli do dyscypliny, powściągnięcia lub przekierowywania niepożądanych impulsów. Książe oddawał się swoim zachciankom

bez skrepowania, nie myśląc o tym, jak szkodzi swojemu wewnętrznemu spokojowi lub spokojowi innych. Czy zatem to przez strach tak na niego reagowała? Wykorzystał ją, żeby zabić człowieka. Sam niewiele różnił się od tych barbarzyńców. Powinna się go bać. A jednak się nie bała, już nie, ani trochę.

Najwyraźniej żałował tego, co jej zrobił; zauważyła, że starał się nie czynić nic, co by się jej mogło skojarzyć z napaścią Azimy. Nawet odzywał się do niej łagodnie – drobna uprzejmość, którą jednak doceniała. Widziała też, że stara się przypomnieć sobie swoją gujaareńską naturę. Jako służka Hananji nie mogła uznać go za straconego, obserwując te wysiłki.

Postanowiła znaleźć Mni-inha. Odańczy z nim wieczorną modlitwę i sprawdzi, czy to uspokoi jej myśli i uczucia.

– Hanani. Tu jesteś.

Odwróciła się, mile zaskoczona, że słyszy głos swojego mentora. Ale kiedy Mni-inh pojawił się między namiotami, minę miał wyjątkowo ponurą.

– Bracie, co się stało?

– Znowu śniłem z Nijirim – powiedział. Oczy miał spuszczone; Hanani zauważyła z niepokojem, że cały drży. – Czekałem dłużej niż zwykle. Musiał wyjść poza Hetawę i upewnić się, że jego śniący jest bezpieczny. Wydarzyło się coś okropnego.

– Co, bracie?

– Napaść. – Kapłan zacisnął zęby. – Parę dni temu ktoś napadł na Hetawę. Dziki Śniący. Połowa... – Mni-inh znowu zadrżał, a jego twarz wykrzywił ból. – Więcej niż połowa naszych braci dawców... większość z nich zasnęła, Hanani.

Dopiero po paru oddechach dotarło do niej, co to znaczy. Nhen-verra, Fierat, również praktykant, który często zapominał, że Hanani jest dziewczyną, i opowiadał w jej obecności sprośne żarty. Wielu z jej starszych braci traktowało ją pogardliwie jak jakieś egzotyczne, niebezpieczne stworzenie, ale oni nie zasługiwali na śmierć.

Nikt nie zasługiwał, by umrzeć tak jak Dayu. Uniosła rękę do ust.

– O Bogini. Nie...

Mni-inh oparł się o ścianę pobliskiego namiotu, tego, który należał do niego.

– Ci, którzy przeżyli pierwszy atak, zostali zakażeni snem i są tak samo skazani na śmierć, jak ci, którzy już nie żyją. Starają się jak najdłużej nie zasnąć, ale kiedy się w końcu poddadzą... – Pokręcił głową. – Tymczasem nikt w Hetawie nie ośmiela się zasnąć. Nijiri mówi, że prawdopodobnie lepiej nam będzie tutaj niż w domu. Co za straszny, straszny obrót sytuacji – dodał z westchnieniem.

Hanani także oparła się o namiot, zbyt wstrząśnięta, żeby utrzymać się o własnych siłach.

– Kto uczyniłby coś takiego? Dlaczego? Dawcy nie robią nikomu krzywdy. To bez sensu.

– To ma sens, jeśli ktoś z rozmysłem rozprzestrzenia ten koszmar. Nasi bracia ścieżki pracują dniem i nocą, by znaleźć lekarstwo. Sprawca chyba się bał, że im się uda. – Zacisnął szczęki z goryczą. – Zadając ten cios, uniemożliwił nam leczenie ofiar i walkę. Dawcy, którzy przetrwali, nie mają nadziei na powstrzymanie zarazy. Mogą jedynie dbać o braci do końca.

Tego było za wiele.

– Chciałam wrócić do domu – szepnęła Hanani. Oczy znowu ją zapiekły jak wtedy, gdy ksiązę opowiadał jej o niewyobrażalnych okropnościach, ale co by jej przyszło z łez? Potrząsnęła głową. – Parę chwil temu wątpiłam, czy Banbarrowie w ogóle są ludźmi. Ale ksiązę miał rację, niczym się od nich nie różnimy. Tylko Gujaareńczyk użyłby snów jako broni. Tylko my skazujemy naszych wrogów na udrekę przez całą wieczność.

– Też o tym myślałam – powiedział Mni-inh. Nigdy nie słyszała, żeby jego głos brzmiał tak głucho. – Może nigdy nie wykorzenimy z siebie zepsucia... nie do końca. Ale ważne, żebyśmy ciągle próbowali.

Jakby w odpowiedzi na jego słowa rozległ się głos wzywającego

ich dziecka, ich imiona zniekształcone ciężkim chaktyjskim akcentem. Wyrwana z melancholii Hanani poszła sprawdzić, kto ich woła.

Tassa stał koło namiotu Mni-inha, rozglądając się dokoła; na jej widok rozpromienił się w uśmiechu.

– Dawca – powiedział. – Nu-dari, Unte, przywódca... mówi chodź. Magia... Ty magia...

– Zachmurzył się, usiłując przypomnieć sobie słowo. – Potrzebuje ty magia. Tak. – Skinął na nią i wskazał namiot Unte.

Mni-inh wyszedł spomiędzy namiotów.

– Ktoś jest ranny?

– Ranny? Nie. – Tassa zmarszczył brwi, nie potrafiąc przekazać swoich myśli. – Shadoun... potrzebuje magia.

Zimny dreszcz wstrząsnął Hanani. Czy zrobili kobiecie krzywdę? Mni-inh położył rękę na jej ramieniu, ponury i gniewny; jego wzrok także zdradzał podejrzliwość.

– Pójdę – powiedział do Tassy. – Choćby tylko po to, żeby powiedzieć tym głupcom, że nie zbrukamy naszej magii, jeśli chcą uleczyć tę kobietę tylko po to, żeby znowu zrobić jej krzywdę. Hanani...

– Ja też pójdę.

Mni-inh otworzył usta, żeby zaprotestować, spojrzał na nią i nic nie powiedział. Pokręcił głową.

– Nauczyłem się już nie kłócić się z tobą. Zawsze wygrywasz.

Hanani skinęła głową, Tassa zaprowadził ich przez obozowisko do siedziby Unte.

Kiedy weszli do zadymionego namiotu, scena, która im się ukazała, nie była tak straszna, jak spodziewała się Hanani. Unte stał koło związanej kobiety, którą zmuszono do ukłęknięcia na środku pomieszczenia. Tajedd siedział za stołem naprzeciwko niej; miejsce obok Tajedda zajęli dwaj inni mężczyźni w szatach koloru indygo zakurzonych po podróży – dwaj nowo przybyli przywódcy.

Shadounka nie miała żadnych widocznych obrażeń z wyjątkiem podbitego oka. Siniak wyglądał na świeży.

– Co to ma znaczyć? – spytała, mierząc wzrokiem Hanani i Mni-inha. Jej gujaareński, pewnie jedyny wspólny język między Shadounami i Banbarrami, miał dziwny śpiewny akcent, którego Hanani do tej pory nie słyszała. Kobieta uniosła wargę w grymasie obrzydzenia. – Twój ludzki parzą się teraz z Nordami? Ci dwoje są bladzi jak piasek.

Unte siedział z kamienną twarzą, nie reagując na zaczepkę.

– Wanahomen często mówił mi, że potraficie uleczyć szaleństwo – zwrócił się do Hanani i Mni-inha.

Dziewczyna drgnęła; jej mentor spojrział na nią równie zaskoczony.

– Do pewnego stopnia – powiedziała w końcu Hanani. – Pewne rodzaje szaleństwa dobrze reagują na naszą magię, choć nie wszystkie.

Przywódca skinął głową i wskazał kobietę.

– Proszę, powiedzcie, czy jest szalona.

– *Gujaareńczycy!* – Oboje kapłani wzdrygnęli się, bo schwytna rzuciła to słowo jak przekleństwo. Hanani jeszcze nigdy nie widziała w ludzkich oczach takiej nienawiści. Nagle zrozumiała, dlaczego przywódcy Banbarrów powątpiewają w zdrowe zmysły Shadounki. Kobieta aż dygotała. – Gujaareńczycy i Hetawa. Wiem, że wasi ludzie spółkują z psami, Banbarro, lecz nigdy nie sądziłam... – Nagle splunęła, wyciągając z wysiłkiem szyję. Plwocina wylądowała tuż przed sandałami Mni-inha.

Unte uderzył ją w twarz równie spokojnie, jak przed chwilą przemówił, i tak mocno, że przewróciła się na bok. Potem chwycił ją za kołnierz szaty, podniósł i przytrzymał, aż odzyskała równowagę.

Kiedy Banbarra uderzył kobietę, Hanani zasłoniła usta ręką; Mni-inh zacisnął pięści i zrobił krok naprzód.

– *Przestań, na bogów!*

Unte spojrział na nich bez słowa; martwota jego twarzy przejęła Hanani zimnem do szpiku kości. Nawet Mni-inh pobladł i się cofnął. Kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał bardziej pojednawczo.

– Wybacz... Przemówiłem bez zastanowienia. Ale... nie wątpię, że k... że Wanahomen opowiedział ci o naszej wierze, która uważa agresję za wielkie zło.

– Wiem to – powiedział przywódca. Hanani miała wrażenie, że jego twarz trochę złagodniała, przynajmniej taką miała nadzieję. – Dlatego proszę, żebyście określili, czy ta kobieta jest obłąkana. Jeśli tak, nie proszę, żebyście ją uleczyli. – Rzucił okiem na pozostałych przywódców, równie ponurych. – Oni by to zrobili, żebyśmy mogli ją oddać dla zabawy kobietom, ale ja nie. Jeśli jest szalona, zabijemy ją, by nas nie zaraziła. Jeśli jed nak ma zdrowe zmysły... – Zamknął usta.

Hanani zrozumiała i bolesny supeł w jej brzuchu trochę się rozluźnił. Gdyby mogła, pewnie uścisnęłaby Unte. Jeśli uznają schwytaną za wariatkę, to będzie oznaczało jej szybką śmierć. Będą więc musieli skłamać, gdy kobieta okaże się normalna, ale żaden czyn, który służy spokojowi, nie może być całkowicie godny potępienia, prawda? Spojrzała na Mni-inha w nadziei, że ją poprze, choć starała się zachować równie nieprzeniknioną minę, jak Unte. Wątpiła, żeby pozostali przywódcy plemion mówili po gujaareńsku, ponieważ byli mężczyznami. Ale rzucało się w oczy, że Unte nie okazuje żadnych oznak życzliwości dla schwytanej.

– Nie dotkniesz mnie – odezwała się nagle kobieta, patrząc z nienawiścią na Mni-inha. – Wiem, kim jesteś, choć przebrali cię w swoje jaskrawe szmaty. Dash ta hinakri en em... – Na chwilę przeszła na własny język, dygocząc z wściekłości. – *Demony! Robactwo! Nie zniosę twojego dotyku!*

– Jesteśmy dawcami Hananji – powiedział Mni-inh, skłaniając głowę. – Uzdrowicielami...

– *Nie obchodzi mnie to!* Niech ci tteba mnie wezmą. – Skinęła gwałtownie głową w stronę klapy namiotu. – *Wolę, żeby mnie brał tysiąc tych psów, niż przebywać z tobą w tym samym namiocie!*

Mni-inh spojrział na nią bezradnie, po czym zerknął na Hanani. Dawca pod żadnym pozorem nie powinien narzucać leczenia petentowi; tylko zbieracze mieli prawo do stosowania magii wbrew czyjejś woli. Ale gdyby tego nie zrobili, nie wiadomo, jak zareagowałiby Banbarrowie.

– Zrobię to – zdecydował w końcu. Westchnął, podwinął rękawy i podszedł.

Kobieta stężała; oczy błyszczały jej jak przypartemu do ściany zwierzęciu. Hanani krzyknęła ostrzegawczo na chwilę przed jej skokiem. Ale co zamierzała zrobić? Ugryźć? Mni-inh także zauważył ten ruch i uskoczył w bok, jednocześnie chwytając mocno jej ramię.

Oczy kobiety się zaszkliły, ona sama zachłysnęła się powietrzem i osunęła się na podłogę.

Senna krew. Mni-inh przykląkł, kręcąc ponuro głową, odwrócił ją z pomocą Unte i położył palce na powiekach jej zapadniętych oczu.

Dopiero teraz Hanani zauważyła ciemne cienie pod oczami kobiety i jej wyczerpanie, które do tej chwili maskowała wściekłość. Samotna podróż przez pustynię, zwłaszcza przez terytorium wroga, nie była dla niej łatwa. Ta biedaczka wyglądała tak, jakby nie spała od wielu dni...

Jakby nie spała od wielu dni.

„Starają się jak najdłużej nie zasnąć” – powiedział Mni-inh o ich braciach, zarażonych chorobą koszmarów.

Zapadło milczenie. Nagle Mni-inh jęknął i gwałtownie otworzył oczy. Unte, który pomagał mu przytrzymać kobietę, spojrział na niego groźnie.

„Ale kiedy wreszcie się poddadzą..”

– Nie. – Hanani usiłowała zmusić się do ruchu, ale kończyny odmówiły jej posłuszeństwa. Oczami duszy zobaczyła zbieracza Sontę-i oraz Dayuhotema. – Nie...

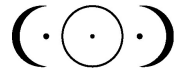
Za późno. Mni-inh zaczął drżeć na całym ciele. Twarz mu się wykrzywiła. Wydał jeden zduszony dźwięk, ni to krzyk, ni to szloch.

– *Nie!* – W Hanani coś pękło. Podbiegła do niego, odepchnąwszy Unte. Ale zanim zdołała chwycić Mni-inha, ten osunął się na ziemię.

Hanani rzuciła się na niego i szarpnęła z całej siły, by odwrócić go na plecy. Palcami zamknęła mu powieki; był przerażony, miał otwarte oczy. Musiała przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby się uspokoić i wejść w leczniczy sen; zrobiła to, rzuciła się w jego ciało, szukając duszy Mni-inha.

Nie znalazła w nim nic oprócz ciszy.

32. ŚMIERĆ



Wanahomen wszedł do namiotu Unte; przez chwilę miał wrażenie, że się cofnął w czasie. Hanani znowu siedziała nieruchomo i znowu otaczała ją atmosfera śmierci i grozy. Ale teraz na dywanach leżały dwa ciała: pojmanej kobiety i dawcy Mni-inha.

– Co tu się stało, na krainę cienia? – spytał.

Fakt, że pierwszy odpowiedział Tajedd, świadczył o tym, jak bardzo ten wypadek wstrząsnął przywódcami plemion.

– Ta kobieta coś bełkotała – powiedział w osłupieniu. – Dawaliśmy jej jedzenie i napoje, strasziliśmy ją, a ona tylko obrzucała nas przekleństwami. Więc wezwaliśmy ich – skinął w stronę ciała Mni-inha i odwróconej do nich plecami Hanani – żeby sprawdzili, czy jest szalona.

– Nie chciała, żeby jej dotknęli – dodał inny mężczyzna, którego Wanahomen nie znał.

Sądząc z podobieństwa do Unte, był jego młodszym bratem i przywódcą plemienia Issayirów. – Dlatego uzdrowiciel uczynił coś, żeby ją uspokoić. Kiedy położył palce na jej o czach... – Wzdrygnął się. – Nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał taki wyraz twarzy.

– To był śmiertcionośny koszmar. – Głos kapłanki, zawsze cichy, teraz stał się ledwie słyszalny. Trzymała na kolanach głowę swojego mentora. Wanahomen zauważył ze zdziwieniem, że rozplotła mu włosy, które zwykle miał związane w kok. Głaskała je jedną ręką. Raz po raz, powoli, miarowo. – Sen, który zabija jak zaraza. Niektórzy nie umierają na niego od razu, ale noszą go w sobie, przekazując wszystkim, którzy zasną w pobliżu. – Przez chwilę

milczała, choć nie przestała głaskać włosów zmarłego. – Zapada noc.

Wanahomen na chwilę przestał oddychać.

– Mówisz...

Ale zrozumiał. Kiedy odwiedził Sanfiego, w mieście krążyły plotki o pladze koszmarów, choć nie spodziewał się, że to coś tak poważnego. A teraz przypomniał sobie, w jakich okolicznościach spotkali tę Shadounkę. Rozpalała ogień na herbatę, mocną czarną herbatę, żeby nie zasnęła. *„Musiała wiedzieć, że nosi w sobie śmierć. Dlatego weszła pomiędzy wrogów, nie dbając o to, jak zginie, byle tylko zabrać nas ze sobą”*.

Przywódcy plemion patrzyli na niego wyczekująco; Hanani odezwała się po gujaareńsku. Przełknął ślinę i zaczął wyjaśniać.

Tajedd odskoczył.

– *Zaraza!* Czy można się zarazić od tych ciał?

– Magia snu nie działa w ten sposób. Nie ma niebezpieczeństwa.

– Wanahomen zerknął na Hanani, zaniepokojony jej bezruchem. – Ta Shadounka musiała ostatnio być w stolicy Gujaarehu. Pewnie handlowała. Od czasu kisiańskiej okupacji spośród wszystkich pustynnych plemion tylko Shadounom wolno handlować w murach miasta. Jeśli spędziła tę noc w Gujaarehu, w pobliżu kogoś zarażonego... Z tego, co słyszałem, nie trzeba więcej.

– Zwierzęta – warknął inny przywódca plemienia, patrząc z nienawiścią na zwłoki kobiety. *„Madob”* – odgadł Wanahomen. – *Podstępni tchórze! Zbyt słabi, żeby stanąć przeciwko nam na polu walki, więc uciekają się do podstępów!*

– Tak – odezwał się Unte. On także patrzył na zmarłą, leżącą z wyszczerzonymi zębami. – Zjechało się tu wielu najlepszych wojowników z sześciu plemion. Gdyby jej plan się powiódł, w jedną noc osiągnęłaby coś niemożliwego dla pokoleń jej braci. – Westchnął ciężko i spojrział na ciało dawcy. – Powiedz tej kobiecie, kiedy uznasz to za stosowne, że jej przyjaciel zostanie pochowany ze wszystkimi honorami należącymi się banbarryjskiemu

wojownikowi. Stracił życie, ratując nas.

Wanahomen skinął głową. Zapadło niezręczne milczenie, w którym słyhać było tylko szmer, gdy dłoń Hanani przesuwała się po włosach jej mentora.

Wanahomen przykucnął obok. Zajrzał jej w oczy. Nie płakała. Jej twarz wyglądała dziwnie martwo, a to się mu bardzo nie spodobało.

– Praktykantko... – Przez chwilę wahał się, niepewny, czy nie odtrąci jego ręki, ale w końcu dotknął jej dłoni, zatrzymując nieustanny ruch.

Spojrzała na niego i martwa maska pękła. Przez jedną straszną chwilę jej twarz wykrzywiała tak straszna męka, że zmieniła ją prawie nie do poznania. Wanahomen przestraszył się, że ta rozpacz ją przygniecie, że odbierze jej zdrowe zmysły albo i życie. Ale ta chwila minęła i twarz dziewczyny znowu skamieniała. Hanani nabrała tchu, skinęła głową i delikatnie zdjęła głowę kapłana ze swoich kolan.

– Macie sprawy do przedyskutowania – powiedziała. – Wybaczcie.

– Hanani... – odezwał się książę. Czuł się niezręcznie, nazywając ją po imieniu. – Powinnaś...

– Czy zatroszczysz się o jego pogrzeb? – wpadła mu w słowo, jakby wcale się nie odezwał. – Mimo... okoliczności... kremacja powinna wystarczyć. Jego dusza nie została w Hona-Karekh ani nie śni w Ina-Karekh. Ciało nie ma już znaczenia.

Wanahomen chciał ją spytać, gdzie w takim razie podziewa się dusza jej mentora, ale nie znalazł w sobie odwagi.

– Banbarrowie nie palą zwłok, lecz nauczę ich, jak się buduje odpowiedni stos.

– Dziękuję, książę. – Wstała powoli i niezdarnie, jakby utrzymanie tej spokojnej maski stanowiło zbyt wielki wysiłek. Nie zostało jej sił na grację.

– W tych okolicznościach muszę znowu poprosić plemię o senne

humory, ponieważ zostałam jedyną uzdrowicielką.

– Powiem Unte. – I dodał szybko, zanim znowu zdołała mu przerwać: – Hanani. Nie powinnaś być sama.

Podniosła na niego oczy, a on zobaczył w nich krainę cienia.

– Kto ofiaruje mi teraz spokój, książę? Ty?

– Jest więcej niż jeden rodzaj spokoju – odparł, spoglądając na nią spode łba. – Yanassa.

Poproszę ją o...

– Dziękuję za troskę. – Chciała odejść, ale jeszcze się zatrzymała.

– Oczywiście tego wypadku nie dało się przewidzieć. Kiedy wrócę do Hetawy, wytłumaczę to moim braciom.

Wanahomen skrzywił się, zawstydzony swoim egoizmem, bo w głębi duszy właśnie o to się martwił. Ale nie dała mu czasu na odpowiedź. Z widocznym wysiłkiem wyprostowała ramiona, skłoniła się z szacunkiem przywódcom plemion i wyszła z namiotu.

– Wana. – To Unte. Patrzył za Hanani ze zmarszczonymi brwiami. – Nie znam obyczajów twojego kraju, ale...

– W Gujaarehu odesłalibyśmy ją do Hetawy – powiedział książę ciężko. – Mój lud traktuje rany duszy tak samo, jak ciała; nie pozwalamy im się jątrzyć. Ale nikt z nas nie może jej uleczyć.

Unte westchnął i skinął głową.

– No tak. Uroczystość końca przesilenia odbędzie się jutro wieczorem. W ciągu dwóch następnych dni zagłosujemy, o ile dwa pozostałe plemiona przybędą na czas. Tak czy inaczej wkrótce zabierzesz ją do domu.

Wanahomen nie był pewien, czy Hanani wytrzyma długo, ale zachował tę myśl dla siebie.

– Kapłanka wyjaśni swoim braciom z Hetawy, że to nie my spowodowaliśmy śmierć jej brata. – Spojrzał na zwłoki i zadrżał. – Ale przecież to moja wina. To ja ściągnąłem tę okropność na plemię.

Zacisnął pięści, podszedł do Unte, zdjął zasłonę i zawój. Ukląkł.

Już dawno uzgodnili, że nie będzie się kłaniał przywódcy – król nie okazuje pokory królowi – lecz teraz to zrobił. Położył obie dłonie na ziemi i dotknął ich czołem w pełnym formalnym gujaareńskim geście skruchy. Słowa, które miał powiedzieć, budziły jego nienawiść, nienawidził samego siebie za to, że je wypowie, ale nie ulegało wątpliwości, że to konieczne.

– Dopuszciliem się zaniedbania – powiedział po gujaareńsku; nie potrafił się stosownie upokorzyć w chakti. – Założyłem, że ta Shadounka nie zrobi nam krzywdy, i nie zauważyłem tego, co powinienem, choć oznaki rzucały się w oczy. Słusznie we mnie zwątpiłeś; nie zachowałem wystarczającej ostrożności.

Długo panowała cisza, w której Wanahomen słyszał każde uderzenie swojego serca. Unte dotknął jego ramienia.

– Teraz będziesz ostrożniejszy – odezwał się z zaskakującą łagodnością. Potem przeszedł na chakti, żeby inni przywódcy mogli go zrozumieć. – Uspokój się. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

– Ale moje zaniedbanie... Przywódca pokręcił głową.

– W takim razie zatroszcz się o swoją rodaczkę, jeśli pragniesz odpokutować. Ale nie wiem, czy na twoim miejscu postąpiłbym inaczej. – Spojrzał na pozostałych przywódców; dwaj skinęli głowami. Tajedd nie drgnął, ale tego należało się spodziewać.

Księżę na chwilę przymknął oczy; wypełniły go ulga, wdzięczność i jednocześnie udreka.

Gardło mu się zacisnęło, ale przecież nie mógł się rozplakać. Nie w namiocie pełnym mężczyzn, których chciał przekonać do swojej sprawy, choć po tym wydarzeniu jego szanse najprawdopodobniej rozwiążą się jak mgła w słońcu. Teraz nie mógł już nic zrobić. Przełknął z trudem ślinę, skinął głową i wstał.

– Kapłanka poprosiła, by go spalić – powiedział, wskazując zwłoki dawcy. Unte potarł brodę w zamyśleniu.

– Znam jaskinię, gdzie można to zrobić. Na północy wąwozu, daleko od pól, gdzie rzeka biegnie pod ziemią. W jaskini jest wiele otworów, prowadzących do innych pieczar; dym może się przez nie

rozproszyć.

Wanahomen skinął głową.

– Znam to miejsce. Każę moim ludziom wszystko przygotować. –
Zerknął na Shadounkę.

– A ona?

Unte uśmiechnął się ze smutkiem.

– Ją także należy pochować z honorami jako wojowniczkę, która
zadała pożyteczny dla swego ludu cios.

Zanim Wanahomen zaczął szukać Hanani, zdążył już zapaść
mrok. Książę był rozgrzany, spocony, pachniał olejami i ziołami
i nie miał sił, żeby znowu się wykapać. Martwił się też o dziewczynę.
Nie sądził, żeby mogła zrobić sobie krzywdę, przynajmniej nie w tej
chwili. Jako dobra hananjanka zechciałaby przed śmiercią oddać
senną krew.

Yanassa stała w małej grupce kobiet, słuchając muzyka, który
grał niedaleko namiotu Hanani. Ponieważ w wąwozie zjawilo się
kilkuset gości, a katastrofa została zażegnana, Unte dał pozwolenie
na kontynuację uroczystości. Jednakże panował ponury nastrój.
Muzyk Neapha Siedmiopalcy grał powolny lament żałobny. Nigdzie
nie było widać tańczących, brakowało głośnych i radosnych zabaw,
powszechnych w przedostatnią noc przesilenia. Może jutro wszyscy
wrócą do dawnych zwyczajów, zwłaszcza jeśli głoszący opowiedzą
się za wojną. Dziś plemię nie miało dobrego humoru.

Yanassa zauważyła go i zrobiła przeproszający gest w stronę
towarzyszek, potem wstała i podeszła do mężczyzny.

– Zobaczysz się z nią?

Skinął głową.

– A ty się z nią widziałaś? W jakim jest stanie?

– Wpuściła mnie na chwilę, ale nie chciała mówić o swoim bólu.

– Yanassa spuściła wzrok. – Mówiliśmy wcześniej o tej Shadounce
i chyba już mi nie ufa. Może tobie się uda lepiej.

Skoro to jego uważała za ostatnią instancję, to znaleźli się

w niezłych opałach.

– Pójdę do niej.

Kiedy zapukał w klapę namiotu Hanani, natychmiast usłyszał ruch. Dziewczyna podniosła klapę.

– Książę... Przyszedłeś na lekcję? Wanahomen drgnął; tego się nie spodziewał.

– Nie wydaje się, żeby to była pora na...

– Yanassa powiedziała, że za dwa dni odbędzie się głosowanie. Nie zostało nam wiele czasu na naukę. Chodź.

Wyłoniła się na zewnątrz i poszła na tyły namiotu, znowu kierując się w stronę kręgu wokół ogniska.

Wanahomen uświadomił sobie, że w an-sherracie nadal stoją cztery namioty. Rano musi posłać swoich ludzi, żeby usunęli domostwo Mni-inha.

Kapłanka poruszała się swobodniej niż po południu. Jej ruchy nie zdradzały bólu ani żadnego innego uczucia. Fizycznie także prezentowała się lepiej, choć to pewnie zawdzięczała Yanassie. Jej włosy zostały na nowo ułożone w kręte pukle, ciężkie ozdoby zastąpiono maleńkimi złotymi monetkami, które cicho brzęczały przy każdym kroku. Banbarrowie uważali, że ten dźwięk odstrasza nieszczęście w czasie żałoby.

Wanahomen westchnął i usiadł na kamieniu przy ognisku. Dziewczyna zajęła miejsce naprzeciwko niego.

– Zająłem się ciałem twojego mentora najlepiej, jak umiałem – powiedział. – Nie pamiętałem wszystkich obrzędów i nie miałem całunu, ale oszczędłem się z nim z uszanowaniem. Moi ludzie zbierają drewno; rano zaniemiemy go tam, gdzie ustawimy stos. Chcesz przyjść?

Przez chwilę nic nie mówiła. Język jej ciała był równie nieprzenikniony jak twarz.

– Nie.

Ani jednej łzy, ani jednego drżenia, ani jednej oznaki rozpacz.

Gdyby nie wiedział, że jej zwykłe zachowanie to osobliwe połączenie siły i niepewności, uznałby, że nic się nie stało.

– Znalazłaś nosicieli daniny?

– Yanasę. I Charrisa, kiedy przyszedł mnie odwiedzić. Paru innych.

– Masz dość zapasów?

– Wszystkiego z wyjątkiem sennej krwi, ale tego należało się spodziewać, skoro nie pomaga mi zbieracz. Żyjący nie mogą oddać mi wiele swoich zasobów.

Wanahomen chciał odwrócić jej uwagę od śmierci.

– Ta lekcja... będzie tak nieprzyjemna jak ostatnia? – Zdobył się na uśmiech, którego nie odwzajemniła.

– To zależy od ciebie. – Ten jej głuchy głos, tak inny od zwykłego współczującego tonu, brzmiał naprawdę przerażająco. – Proszę, zaśnij.

„Łatwo powiedzieć” – pomyślał z przekąsem, ale usiadł na ziemi, oparłszy się o kamień. Mimo wyczerpania długo nie potrafił zapaść w sen. Zbyt wyraźnie czuł na sobie jej spojrzenie, trzaskanie ognia, twardość i nierówność ziemi.

– Nie możesz.

Jak ten głos zabrzmiał!

– W końcu mi się uda – warknął. – Jeśli trwa to za długo jak na twoje upodobanie, zawsze możemy skończyć lekcję jutro.

– Wyobraź sobie coś, co jest dla ciebie ważne.

Zmarszczył brwi.

– Na przykład?

– Przedmiot lub symbol, który ma dla ciebie znaczenie. Może hieroglif. Wyobraź go sobie. Kontempluj jego zarysy.

Zastanowił się przez chwilę, po czym starannie, z szacunkiem nakreślił w wyobraźni Aureolę Zachodzącego Słońca. Nie tę imitację z namiotu matki, ale prawdziwą: tyczkę wyrzeźbioną z białego

nhefti, drewna, z którego robiono tylko święte przedmioty. Mosięzna rama, wykuta przez rzemieślnika z tak zamierzchłych czasów, że jego imię dawno zapomniano. Płyty z polerowanego bursztynu – każda wyciosana w całości z brył, które musiały mieć rozmiar melonów, każda warta całego skarbcza mniejszego królestwa, symbolizowały promienie słońca. Osiem czerwonych, osiem żółtych kręgów. Wanahomen pamiętał, jak w dzieciństwie słuchał z fascynacją ojca, wyjaśniającego, że środkowa płyta – półokrąg ze złota mający dwie dłonie szerokości i czerwony niemal jak krew – reprezentuje boga Słońce, który zapoczątkował ich ród, gdy jego wiecznie wędrujące oko wyłowiło z tłumu piękną śmiertelniczkę. Złoto zostało wykopane z góry przykrytej tak grubą warstwą śniegu, że można by w nim zatonać...

– Niim.

Tym razem głos kobiety nie sprawił mu przykrości. Coś się w nim poruszyło. Nagle poczuł chłód o wiele bardziej dotkliwy niż w pustynną noc. Powietrze stało się suche i drapiące jak rdzewiejący metal. Otworzył oczy i zobaczył an-sherrat w biało-szarych kolorach. Nawet ogień, tłący się u jego stóp, stał się dziwnie bezbarwny. Ściany namiotu i wszystkie inne płaszczyzny pokrywała biel, migocząca i dziwna. Dotknął jej; zimno sparzyło mu palce. Śnieg? Nigdy dotąd go nie widział, ale myślał o nim, przypominając sobie opowieści ojca...

Wreszcie zrozumiał.

– Ja śnię.

– Tak. Ale nie w Ina-Karekh. – Kapłanka stała parę kroków od niego. Z jej senną postacią działo się coś dziwnego, czasem pojawiała się i znikwała, jakby usiłowała przybrać inny kształt. Hanani zdołała ją opanować.

– To kraina między jawą i snem – powiedziała. – Twoja dusza ściągała mnie tutaj zamiast do Ina-Karekh. Sądzę, że to znak, iż jakoś sprzeniewierzyłeś się prawdzie. – Zamilkła na chwilę.

– Często miewasz wizje?

Wanahomen drgnął.

– Nie – skłamał.

Hanani długo milczała, aż zrozumiał, że jej nie oszukał. Ale nie miał zamiaru przyznawać się do tego.

– Nieważne – powiedziała w końcu. – I tak chcę cię nauczyć, jak się uleczyć.

Zaniepokojony, zmarszczył brwi i splótł ręce na piersi; to zimno przenikało jego szaty.

– To mi się nie podoba.

– Więc to zmień – odparła. – To twoja kraina.

– Nie rozumiem.

– Zbieracz to ten, którego umysł tworzy nowe światy poprzez akt snu. Przychodzi mu to naturalnie. Gdyby nie równoważąca moc sennej krwi, niektórzy spędziliby całe życie w świecie stworzonym przez siebie. Można to nazwać obłędem.

Księżę wzdrygnął się, a może zadrżał. Kapłanka z jakiegoś powodu nie odczuwała zimna, choć miała na sobie cieńszą szatę.

– Nie jestem zbieraczem. – Gdy nie odpowiedziała, spochmurniał i zmienił temat. – Jak mam opuścić to miejsce?

– Stwórz inne. Tak jak stworzyłeś to.

Przed chwilą przywołał w pamięci opowieści ojca i wyobraził sobie otulony w śnieg senny krajobraz. Teraz postanowił sięgnąć po inne wspomnienie z dzieciństwa: ogrody Kite-iyana, pałac jego matek i rodzeństwa. Oczami duszy ujrzał delikatne miniaturowe palmy, poczuł zapach kwiatów, pnączy i pobliskiej rzeki, wchodzącą między palce wilgotną ziemię...

Palce. Miał na stopach sandały, ale nagle stał się bosy. Powietrze było ciepłe. Otworzył oczy i ujrzał Kite-iyana, bezbarwny, pogrążony w cieniu, lecz rozpoznawalny.

Hanani rozejrzała się i skinęła głową z aprobatą.

– Masz silną wolę. Ale to nigdy nie ulegało wątpliwości.

Przeszła przez ogród; w tych barbarzyńskich szatach i z ruchami zdradzającymi hetawską dyscyplinę wydawała się w nim bardzo nie na miejscu. Przesunęła palcami po roślinach, gładkich, kamiennym murze.

– Co tu widzisz? Czy wszystko jest jak należy?

Książę zmarszczył brwi, zastanawiając się, o co, na bogów, może jej chodzić.

– Owszem, wszystko wygląda tak, jak zapamiętałem. Z wyjątkiem tej brzydkiej szarości.

– Nic nie odbiega od normy? Masz pewność?

– Oczywiście, że nie mam. Nie byłem tu od dziesięciu lat. – *Och, jak mógł tego nie zauważyć!* Jako dziecko bawił się z braćmi w tych ogrodach w chowanym, z siostrami – w budowanie zamków z piasku. Słyszał głos matki, który brzmiał jak w czasach, zanim wiek i choroba odebrały mu siłę, śpiewał rodzime pieśni w starożytnym języku sua. Słuchał...

Dźwięk. Coś w tym ogrodzie dziwnie brzmiało.

Odwrócił się w stronę tego dźwięku i ruszył wśród palm i paproci. Woda. Tak, stara fontanna, niemal o niej zapomniał. Osadzona w murze głowa lamparta pluła wodą w otwarte pyszczki trzech lamparciąt, z których wypływała do zbiornika umieszczonego pod nimi.

– Szumi za cicho – mruknął na poły do siebie. – Jest jej mało, ciurka za wolno.

– Popraw to. – Kapłanka stanęła w ciszy obok niego. Czy przeszła, czy się po prostu objawiła?

Wanahomen rozejrzył się dokoła, szukając jakiegoś mechanizmu; choć fontanna została zbudowana setki lat temu, nigdy nie wiedział, na jakiej zasadzie działa. Ale Hanani dotknęła jego ramienia.

– To twój świat – powiedziała. Dziwne migotanie jej postaci ustało; skupiła się na nim bez reszty. Dziwnie pochlebilo mu to. – Napraw to.

Nagle zrozumiał. Nie potrzebował znajomości mechanizmu, skoro to on rządził tu wszystkim samą siłą woli. Dlatego skupił się na wspomnieniu szumu wody, dostrajając się do niego. Gdy w końcu uznał, że brzmi on tak, jak we wspomnieniach, po grzbiecie przebiegł mu dreszcz, który nie miał nic wspólnego z płatkami śniegu topniejącymi we włosach. Odruchowo podniósł głowę i spojrzał na niebo. Ono także prezentowało się niewłaściwie. Na początku nadał mu wygląd rozprążonego bezchmurnego błękitu pustyni wokół Merik-ren-aferu. Teraz pogłębił jego odcień i dodał cienkie smużki oparów, które znikną w połowie dnia, lecz wrócą wieczorem.

Znowu przeniknął go dreszcz, teraz silniejszy, a wraz z nim poczucie, że wszystko jest tak, jak powinno, tak potężne, że aż zaparło mu dech.

– To, co czujesz, to równowaga – wyjaśniła Hanani. – Spokój. Zapamiętaj je. Kiedy uczucie równowagi się zmieni lub odejdzie, wróć w to miejsce i zrób to, co przed chwilą. Albo stwórz inne, to nieważne. Gdy wypowiesz swoje imię duszy, pozbędziesz się skorupy swego ciała na jawie. Gdy stworzysz krainę w tym pustym miejscu, wszystko, co widzisz, będzie tobą. Zmień to, a zmienisz siebie.

Wanahomen odetchnął głęboko, rozkoszując się cudownym poczuciem, że wszystko jest takie, jak trzeba. Zdumiało go, że do tej pory nie czuł, jak bardzo mu tego brakuje. Czy to znaczyło, że powoli osuwa się w szaleństwo? Przerazająca myśl.

– Nie rozumiem, jak to działa.

– Nie musisz. Nikt nie rozumie. – Kiedy spojrzał na nią, zaskoczony, uśmiechnęła się, nie siląc się na wesołość. Miał wrażenie, że zrobiła to z przyzwyczajenia. – To sen, księżę. Boska kraina. Tylko najsilniejsi zbieracze mogą mieć nadzieję, że to rozumieją: urodzili się, by posiadać potęgę Bogini w sposób, który reszta z nas tylko stara się naśladować. To dlatego nami dowodzą i dlatego pokładamy w tobie takie nadzieje, Inkarnacja Hananji.

Wanahomen zmarszczył brwi, ale jednocześnie uświadomił sobie, że od początku widział wszystkie oznaki tak oczywiste, jak podkrążone oczy Shadounki. Sądził, że Hetawa interesuje się nim z powodów czysto politycznych. Że potrzebuje nowego figuranta i pomocy militarnej w pozbyciu się Kisuan. Teraz zrozumiał: kapłani uważali go za jednego z nich. Przekłętego ich magią, nieuczonego, niepoddającego się kontroli, ale również pobłogosławionego łaską Bogini. Dla Hetawy tylko to się liczyło.

Nigdy nie wierzył naprawdę w Hananję. O tak, śnił i dostrzegał potęgę magii Hetawy, ale myślał, że jakaś bogini mogłaby przejmować się małymi istotkami, zakradającymi się do Jej snów, wydawała mu się idiotyczna. Cała ta sprawa z inkarnacją była dla niego tylko kolejnym tytułem, mającym jeszcze mniejsze znaczenie niż inne. Ale jeśli właśnie dla tego tytułu Hetawa zgodziła mu się pomóc, to miał on prawdziwą moc. A jeśli nie był pusty? A jeśli moc, której posiadanie kapłani mu wmawiali, moc, która powinna go uczynić zbieraczem, miała jakiś inny, święty cel? Jaki? I dlaczego Bogini ją mu dała?

Pokręcił głową i wstał. Pomyślał o tym później.

– Czyli koniec? Teraz będę umiał się ustrzec przed obłędem?

– Możesz korzystać z tej metody, żeby zachować równowagę humorów. Ale bądź czujny, bo obłęd przybiera wiele postaci i nie wszystkie można uleczyć senną krwią. Dowodzi tego zepsucie twojego ojca.

Książę skamieniał; nagle w ogrodzie powiał porywisty wicher.

– Ojciec nie oszalał.

– Zatem sądzisz, że był po prostu zły? Nawet my nie zapędzamy się tak daleko.

Odwrócił się do dziewczyny i spojrzał na nią gniewnie.

– W to także nie wierzę.

– Wiesz, co chciał zrobić. Dwukrotnie dopuścił się torturowania zbieracza i czynił to tak długo, aż zbieracz stał się potworem. Wypuścił te potwory na swoich wrogów i sprzymierzeńców,

skazując ich na los o wiele, wiele gorszy od śmierci...

– *To nie tak! Ojciec nie był taki! Był...*

Ogród zmienił się, zalany jasnym, choć nadal bezbarwnym światłem słonecznym. Książę znalazł się na balkonie Kite-iyana, prowadzącym do luksusowego wielopokojowego apartamentu, który kiedyś należał do niego. Spojrzał na siebie i ujrzał odzienie, które nosił w tamtym życiu: ulubioną spódnicę ze skóry lamparta i luźną koszulę z importowanego jedwabiu, a na niej jaspisowy naszyjnik, prezent od matki na ceremonię dojrzałości. Dłonie miał bardziej miękkie, ramiona mniej umięśnione niż teraz, po dziesięciu latach trudnego życia wojownika...

– Wanahomenie – odezwał się głos za jego plecami. Serce przestało mu bić. Potem się odwrócił.

Eninket, obecnie zasiadający na gujaareńskim Tronie Snów, przemierzył pokój długimi krokami jak za życia na jawie. Uśmiechał się i wyciągał ręce, by wziąć ulubionego syna w ramiona. Wanahomen niemal sparaliżowany wstrząsem, wspomnieniami i nadal świeżą rozpaczą, odwzajemnił uścisk. W oczach wezbrały mu łzy, bo sen zawierał wiele ważnych szczegółów, o których prawie zapomniał. Zapach ojca – pot, kadzidło i olejek goździkowy. Dźwięczenie malutkich złotych walców wplecionych w jego włosy. Siła jego ramion, które nawet wtedy, gdy Wanahomen był już młodzieńcem wyzbytym dziecinnych złudzeń, wydawały mu się niepokonane.

Ten dzień. Tak, pamiętał go dobrze. Wigilia spotkania armii Kisui i Gujaarehu na Soijaro w północnej Kisui. Przeddzień śmierci ojca.

– Ojcie – szepnął książę, mocno ściskając go w objęciach. – Ojcie.

Kiedy otworzył oczy, drgnął: kapłanka, nadal szaro-biała i bezbarwna, przyglądała im się z rogu komnaty. Znowu się rozmyła. Tym razem dostrzegł mgnienia jej drugiej postaci: płaczącej, zawodzącej, wynędzniałej, z oczami pełnymi gorzkiego współczucia.

No tak. Ona również wiedziała, co znaczy stracić ojca.

Wanahomen odstąpił od człowieka, który tak długo był bogiem jego świata. Czy za szerokim uśmiechem Eninketa naprawdę błąkał się taki smutek? A może to przekłamanie wspomnień?

– Co się stało, Wana? – spytał zdziwiony ojciec z lekkim uśmiechem.

– Nic – powiedział książę. – Po prostu cieszę się, że cię widzę.

Uśmiechnięty ojciec zarzucił mu rękę na ramiona i poprowadził w stronę balkonu.

„*To twój świat*” – powiedziała Hanani. Widział to, co chciał zobaczyć. Jako rozpieszczony młody książę wolał wtedy nie dostrzegać wielu spraw dotyczących jego ojca. Teraz...

Zawahał się jeszcze na krótką chwilę, zamknął oczy i rozkazał wspomnieniu, by ukazało mu się we właściwej postaci.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że ojciec odstąpił od niego i oparł się o balustradę balkonu, spoglądając na zachodzące słońce. Teraz Wanahomen dostrzegł zmarszczki niepokoju wokół oczu księcia, odczytał nietypowe napięcie jego ciała. Teraz – w końcu – zauważył, że ojciec unika jego spojrzenia.

– Chcę, żebyś wiedział – odezwał się książę – że to, co zrobię jutro, zrobię dla ciebie.

Skoszenie armii. Ojciec zdecydował się na nie, by osiągnąć nieśmiertelność. Posłużył się magicznymi zakazanymi tekstami, tak starymi, że świat niemal zapomniał o ich istnieniu. Wtedy Wanahomen tego nie wiedział, lecz w późniejszych latach Charris wyznał mu prawdę. Gdyby Eninket stał się nieśmiertelny, Wanahomena czekałby los jego rodzeństwa – życie pozbawione sensu, bogactwo i przywileje, które do niczego nie prowadzą. Jako ulubiony syn mógłby poślubić dziewczynę z jakiegoś możnego rodu, co wzmocniłoby jego więzi z tronem, ale nigdy nie zdobyłby władzy i nie miałby własnych zasług, nawet gdyby zajął się rzemiosłem lub sztuką. Syn księcia, zaćmiewający chwałą swojego ojca, to potencjalne zagrożenie tronu Zachodu Słońca.

Czy Eninket kazałby zabójcom zgładzić Wanahomena, tak jak

nakazywała tradycja?

W tej samej chwili ojciec spojrział na niego. Jak to możliwe, że młody książę nigdy nie dostrzegł wstydu w tych oczach, tak podobnych do jego własnych?

– Chcę, żebyś był bezpieczny – powiedział cicho Eninket. – Chcę, żebyś wiódł spokojne życie. Ciężar władzy... – Westchnął. – Chciałbym cię przed nim uchronić, jeśli zdołam. Chciałbym, żebyś pozostał taki jak w tej chwili, nieskażony.

„Chciałbyś, żebym się nie zmienił? Chłopiec w ciele mężczyzny? Piesek kanapowy?”

Kapłanka stojąca za plecami ojca odwróciła głowę.

– Wana? Rozumiesz? – Ojciec spojrział na syna, zaniepokojony jego milczeniem.

„Tak, rozumiem. Jaki człowiek wybiera taki los dla swojego syna? Bardzo dobrze rozumiem, co zamierzałeś”.

Wanahomen westchnął, potarł oczy i uściśnął ramię ojca. Ta dłoń, co go nawet nie zdziwiło, należała do dorosłego mężczyzny. Nie była miękka, lecz pomarszczona, wysmagana wiatrem, ogorzała na słońcu, posiekana bliznami po nauce władania nożem, mieczem, walki wręcz. Ręka człowieka, którym ojciec nie chciał go uczynić.

– Kocham cię – powiedział książę, i to była prawda. – Nie mówiłem ci tego wystarczająco często. Ale w tym świecie, który jest moją duszą, istnieje coś niewłaściwego... – Zamknął oczy. Nienawidził siebie za tę zdradę, za młodzieńczy sposób widzenia ojca. – Czyli ty.

Zamknął oczy i zmusił, żeby wszystko zniknęło. Poszybowali w przestrzeni między krainami, która zrzuciła przebranie i ukazała swoją prawdziwą naturę jak niekończąca się bezkształtna ciemność. Pasowała do jego nastroju.

– Przykro mi – rozległ się głos kapłanki.

– Jak to możliwe, że tam byłeś? – spytał. W kryształowych ścianach, które chroniły najbardziej ukrytą jaźń, czuł pustkę. Jego

gniew całkiem się wypalił. Nawet nie potrafił już znienawidzić Hetawy, bo w końcu zrozumiał, że słusznie zabiła jego ojca. – Skoro to ja rządę tym miejscem?

– Widać chciałeś mnie tam zobaczyć. Ale teraz mogę już odejść, żebyś zasnął w spokoju.

Lekcja skończona.

– Nie. – Zmusił kryształowe ściany swojego imienia duszy, by stały się cienkie i łatwe do przeniknięcia. Zaproszenie. – Zostań. Możemy się nawzajem pocieszyć.

Poczuł, że pojawiają się ściany jej jaźni, solidne, ale kruche jak kość.

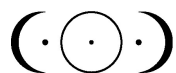
– Nie potrzebuję pocieszenia. Jeszcze nigdy dotąd nie skłamała.

Ale zanim zdołał jej to wypomnieć, cofnęła się.

– Wypocznij, księżę. W Jej spokoju. – Znikła, szybka jak światło.

– Ty też pozostawaj w Jej spokoju – szepnął, wiedząc, że jeszcze długo się tak nie stanie.

33. ZAPROSZENIE



Hanani siedziała w mroku, kontemplując szaleństwo. Z każdą upływającą chwilą wyraźniej czuła jego bliskość. Czuła je w Ina-Karekh z Wanahomenem i w krainie granicznej. Nie wiedziała, jak przed nim uciec. Nie była też całkiem pewna, czy tego chce.

Dayu. Danneh z kasty kupców. Mni-inh. *„Wszyscy, na których mi zależy, umierają”*. Ale nie tylko oni, prawda? Azima, zbieracz Sonta-i, nawet ta bezimienna Shadounka. Może to nie sama Hanani za każdym razem odbierała życie, ale kontakt z nią zapowiadał tragedię. Stała się żywym zwiastunem śmierci.

„Bałam się Banbarrów, ale to oni powinni się bać mnie. Powinnam opuścić krainę jawy, zanim unicestwię całe to plemię”.

To mówiło szaleństwo.

Hanani wiedziała, że myśli nieracjonalnie. Hetawa nauczała, że omeny nie istnieją, z wyjątkiem tych pochodzących bezpośrednio od Bogini w postaci prawowidzenia. Szczególnie Mni-inh wpadłby w furję, gdyby dowiedział się, że jego podopieczna pozwala sobie na takie herezje. Ale choć ze wszystkich sił walczyła z tymi myślami, zawsze wracały. I stawały się coraz silniejsze.

Pozostało jej przestać czuć i myśleć o tym, co sprawiało ból. To trudne, gdy tak wiele osób chciało z nią rozmawiać, dotykać jej, pocieszać. Nie rozumieli. Nic nie mogło jej pocieszyć po stracie Mni-inha. Nigdy więcej nie zazna pociechy.

Skuliła się w kłębek wśród poduszek i zasnęła.

Gdy w końcu wyszła rano z namiotu, w obozowisku panowała doskonała atmosfera.

Hanani spała dłużej niż zwykle; po raz pierwszy, odkąd pamiętała, jej ciało nie obudziło się o świcie. Nie miała snów. Na dworze rozejrzała się; Banbarrowie, którzy nie spali, znowu zgromadzili się wokół punktu obserwacyjnego. Wskazywali coś z ożywieniem; zrozumiała, że zbliża się kolejna grupa łowców.

Hanani zeszła na dół, żeby się wykąpać, tym razem zaskakując parę Banbarryjek w kąpeli. Pomachały dziewczynie i zrobiły jej miejsce, okazując więcej życzliwości niż dotąd. Nie miała pojęcia, co mówią, kiedy szczebiotały obok, ale sam ich ton ją drażnił – były takie... szczęśliwe. Gdy poczuła, że nie zniesie dłużej ich wybuchów śmiechu, wyprostowała się, ukloniła się uprzejmie i wyszła z wody. Zamilkły, a ona, ubierając się, czuła na plecach ich spojrzenia. Niewątpliwie po jej odejściu zamierzały o niej plotkować, więc zrobiła im tę uprzejmość i oddaliła się najszybciej, jak mogła.

Wspiąwszy się do obozowiska, przekonała się, że przywódcy ostatnich dwóch plemion – Wilisjów i Amaddurów – już się zjawili, by wymienić z Unte i pozostałymi powitalne uprzejmości. Niewolnicy biegali tak szybko, że prawie nie było ich widać, uwijając się przy przygotowaniach do ostatniej nocy przesilenia i uroczystości, która z pewnością jeszcze nigdy nie miała być tak dzika. Kobiety gorliwie się upiększały, mężczyźni robili to samo, choć powściągliwiej. Tego dnia odbywały się walki zapaśników, taneczne konkursy na wytrzymałość, w których nagrodą była upragniona biżuteria, a mężczyźni ukradkiem unosili zastony, by porównać lśnienie swoich zębów.

Hanani bardzo się starała ich nie nienawidzić.

Ale nienawiść była uczuciem, a ona nie mogła sobie pozwolić na żadne uczucie, żeby się nie rozsypać. Więc w końcu wróciła do namiotu i została w nim przez resztę dnia.

Pod wieczór ktoś zapukał w klapę. Hanani nie chciała nikogo widzieć, ale wstała i rozwiązała rzemyki. Wanahomen wszedł do namiotu, zostawiając wejście otwarte, żeby z zewnątrz było widać, co się dzieje w środku. W przeciwieństwie do wszystkich innych, których widziała tego dnia, był ponury, smutny i wcale nie

miał świątecznego nastroju. Potem zobaczyła glinianą urnę, którą niósł pod pachą, i zrozumiała.

Podał jej urnę.

– Zapieczętowana. Powinnaś ją dowieźć do Hetawy.

Hanani spojrzała na urnę z prochami i poczuła pierwsze pęknięcie w otaczających ją murach obronnych. Mni-inh, jego roześmiane oczy, łagodny głos – i tylko tyle z niego zostało. Odwróciła głowę i zamknęła oczy.

– Dziękuję, książę. Czy mógłbyś to gdzie postawić?

Usłyszała, jak Wanahomen wchodzi w głąb namiotu. Potem skrzypnęła skóra i zaszeleścił materiał.

– Włożyłem ją do juków. Owinąłem w szal, żeby ją zabezpieczyć.

Hanani skinęła głową i wróciła na poduszki. Nie odważyła się odezwać; w gardle zaczął jej się tworzyć grzeł. Żadnych uczuć, żadnych uczuć. Powtarzała tę myśl, aż stała się prawdą. Kiedy nareszcie wróciła jej mowa, powiedziała:

– Czy głosowanie odbędzie się wkrótce?

– Jutro. Najpóźniej pojutrze. Jeśli plemiona zagłosują na moją korzyść, wojownicy będą gotowi do wymarszu w ciągu dnia. Banbarrowie to rzeczywiście barbarzyńcy, ale skutecznością bojową prześcigają wszystkie cywilizowane kraje.

– A jeśli plemiona cię nie poprą?

– To już nie wchodzi w grę. – Tak, oto ktoś, kto rozumie, że nadchodzi wojna. Świadczył o tym poważny ton Wanahomena, który wcale nie był dumny ze swojego osiągnięcia. – Ta Shadounka przeważała szalę; przywódcy zjednoczyli się w gniewie. Oczywiście jeśli odniesiemy sukces, poproszą o pomoc Gujaareńczyków w zgładzeniu Shadounów.

– Ci ludzie już ucierpieli, jeśli zawlekli do siebie zarazę.

– To nieważne – powiedział Wanahomen sucho. – Gujaareh będzie potrzebował sprzymierzeńców, dopóki nie odzyska sił. A ja muszę spłacić długi.

Hanani westchnęła.

– Mówisz tak, jakbyś odbicie miasta uważał za pewnik.

Księżę stanął obok otwartej klapy, by wyrzucić na zewnątrz albo może tylko pokazać innym, że nie zbliża się do Hanani. Nie zdjął zasłony, ale znała go już na tyle, by wyczuć jego gorzki uśmiech.

– Co innego mi zostało? Jeśli poniosę klęskę, nie przekonam do siebie żadnych wojsk ani sprzymierzeńców. Będę musiał uciec na północ, o ile Kisuanie mnie nie schwytają i nie zmienią mojej egzekucji w widowisko dla gawiedzi. – Wzruszył ramionami. – Optymizm jest łatwiejszy.

Musiała mu przyznać rację. Ale...

– Przyciągniesz do siebie tłumy. W końcu jesteś Jej Inkarnacją. Może jednak twoje zwycięstwo to naprawdę pewnik.

– Nic nie jest pewnikiem. Wojska banbarryjskie... – Księżę westchnął i milczał przez chwilę. – Mój ojciec wyśmiałby mnie, słysząc, że nazywam tych dzikusów wojskiem. Jeśli wszyscy wojownicy plemion połączą się w armię, ich liczba nie przekroczy tysiąca sześciuset. Walczą jak demony, ale Kisuanie mają cztery tysiące żołnierzy, a za ósmdzień z Kisui przyjedzie ich drugie tyle. Wielmoże dadzą mi wojska w liczbie około dwóch tysięcy... ale nie ośmielę się im zaufać. Boję się, że nie wszyscy moi sprzymierzeńcy są tak honorowi jak Hetawa i Banbarrowie.

Naprawdę się bał. Widziała to w napięciu jego ramion i założonych rąk, w oczach, które patrzyły na bawiący się tłum, ale go nie widziały. Jednak nie miała dla niego słów pocieszenia. Mogła wyrecytować hetawskie przysłowia, mądrości nauczycieli, ale wszystko to nie miało już znaczenia.

Westchnął.

– No tak. Za długo tu siedzę. Nie chcę, żeby plotkarze zaczęli mleć ozorami. – Obejrzał się na nią z nieprzeniknioną miną. – Wiem, co chcesz zrobić – powiedział w końcu. – Ja też to zrobiłem, kiedy... kiedy razem z matką opuściliśmy Gujaareh. Ale nie zostawaj tu dzisiaj, Hanani. Cisza... Cisza rozszarpie cię na strzępy.

Wydawało mu się, że rozumie, bo stracił ojca. Ale jego ojciec był potworem, a Mni-inh – dobrym, mądrym i życzliwym człowiekiem. Odwróciła od niego wzrok, żeby i jego nie znienawidzić.

– Poradzę sobie, księżę – odparła, dbając o to, żeby jej głos zabrzmiał bardzo zimno.

– Nieprawda – rzucił rozdrażniony. – Ale jesteś uparta i arogancka, jak każda kobieta... *Bogowie! Po co w ogóle się starałem!* Rób, co chcesz. – Wyszedł, zaciągnąwszy za sobą klapę.

Hanani zawiązała rzemyki i usiadła nieruchomo w ciemnościach i ciszy namiotu. Chciała poczuć coś z Mni-inha w prochu, który z niego pozostał.

Po zapadnięciu zmroku zrozumiała, że wkrótce się załamie.

Wanahomen miał rację z tą ciszą. Przesiedziała w namiocie jeszcze godzinę, wpatrując się w juki i walcząc z pragnieniem, by wyjąć urnę, rozwinąć ją, objąć i otworzyć, by sprawdzić, czy pachnie jej mentorem, wiedząc doskonale, że wtedy zdrowe zmysły by ją opuściły. W końcu nie miała już żadnego wyjścia; mogła nienawidzić Banbarrów za to świętowanie tuż po śmierci Mni-inha, ale nienawiść do nich była lepsza od tęsknoty za nim. Dlatego w końcu wyszła z namiotu i rozejrzała się dokoła.

Wszystko wyglądało tak, jak pierwszego wieczoru ośmiodniowej uroczystości przesilenia. Obie półki, na których był położony obóz, i kilka innych w pobliżu, przysposobionych dla gości, roily się od ludzi. Ścieżki między namiotami były oświetlone lepiej niż zwykle dzięki dziesiątkom latarni zawieszonych na linach; w całym wąwozie panował niezwykły hałas. Wszędzie rozbrzmiewały głosy, muzyka, oklaski i śmiech. Nawet niewolnicy świętowali przy ognisku na dnie wąwozu. Wysoko na niebie widniała czterobarwna tarcza Śniącej Luny, nie tak wielka jak zwykle i zasłonięta z prawej strony powiększającym się cieniem, który w północnych krainach uważano za zwiastun nadejścia pory najostrzejszego zima. Po raz pierwszy od kilku miesięcy jasna mrugająca gwiazda, nazywana w starosuańskim języku Myani lub Piękny Chłopiec, wyjrzała zza pociemniałego globu Luny. Rozpoczął się nowy rok.

Hanani szła przez obóz jak we śnie. Nikt jej nie zauważał – ani mężczyźni i kobiety, ani dzieci. Stała wśród tysiąca osób i czuła się zupełnie sama.

– *Hanani!*

Znajomy głos. Odwróciła się i zobaczyła Yanasę, siedzącą z Hendet i kilkoma innymi kobietami przy ognisku. Wstała i podeszła do niej z uśmiechem. Wzięła ją za rękę.

– Wyszłaś. *Dobrze!* Nie po to tak się męczyłam nad twoimi włosami, żeby nikt tego nie zobaczył. Chodź, chodź.

Kapitulacja była łatwiejsza od oporu, więc dziewczyna poszła w stronę ogniska.

– Proszę – odezwała się jedna z kobiet, podając jej wydrażoną tykwę. Hanani wzięła ją i upiła łyk, nie myśląc; dotarło do niej, co jej podano, kiedy poczuła w gardle ogień. Krztusiła się i kaszłała, i pewnie upuściłaby naczynie, ale ktoś wyjął je z jej rąk. Rozległ się dobroduszny śmiech, ktoś inny zaczął masować ją po plecach, żeby pomóc jej dojść do siebie.

– Sipri – powiedziała ta sama kobieta, która podała jej napój. – Z herbaty, tak?

– C-co? – Hanani nadal usiłowała złapać oddech.

– Ten napój jest robiony z tej samej rośliny co zimna herbata, którą tak lubisz – wyjaśniła Yanassa. To ona masowała jej plecy. – Chcesz więcej?

Jakiś alkohol. Dawcy nie powinni pić, ponieważ narkomancja wymagała w pełni przytomnych zmysłów. Hanani wzięła tykwę i przełknęła jeszcze parę łyków, krzywiąc się, gdy płyn sparzył jej przełyk.

Hendet, która obserwowała ją zmrużonymi oczami, odezwała się:

– Nie czujesz się dobrze.

Hanani spojrzała na nią. Yanassa pochyliła się, by spojrzeć jej w twarz. Jej uśmiech zbladł.

– Nie – odpowiedziała Hanani gujaareńskiej królowej. – Nie czuję

się dobrze. Yanassa uśmiechnęła się z ubolewaniem i szybko odebrała jej tykwę.

– Dojdiesz do siebie. Zadbamy o ciebie. Nie martw się.

Hanani wcale się nie martwiła. Po prostu jej to nie obchodziło.

– No, no – odezwała się inna kobieta. Pozostałe poszły za jej spojrzeniem.

Przy sąsiednim ognisku młoda kobieta, licząca jakieś szesnaście lub siedemnaście powodzi, podeszła kokieteryjnym krokiem do wojownika z plemienia Issaiyrów, siedzącego w grupie innych mężczyzn. Jego spojrzenie zabłysło; nadal rozmawiał z towarzyszami, ale najwyraźniej ich nie słyszał. Dziewczyna trzymała w dłoni jakąś błyskotkę. Mijając wojownika, zajrzała mu w oczy i upuściła przedmiot, jakby przypadkiem. Z niewinnym spojrzeniem, które nikogo nie oszukało, poszła ku ognisku kobiet. Wojownik uśmiechnął się i chwycił klejnot. Jego kompani tręcali go łokciami i żartobliwie szturchali, usiłując wytrącić mu trofeum, ale on trzymał je mocno.

– *Więc Teniant wreszcie się zdecydowała!* – ucieszyła się Yanassa. – To przywódca łowców Issayirów. Dobry wybór.

– Nie zgadzam się – odparła inna kobieta złowieszczo. – Mężczyzna gotujący się do boju może być zbyt szorstki dla tak młodej dziewczyny.

– Na pewno potrafi złagodzić naturę wojownika na jedną noc – odrzekła Yanassa pojednawczo. – Nie wyobrażam sobie, żeby brat Unte mianował przywódcą łowców kogoś, kto krzywdzi przyzwoite kobiety. Issaiyrowie to nie Dzikhowie.

Inna kobieta szybko ją uciszyła, rozglądając się, by sprawdzić, czy obok nich nie siedzi jakiś wojownik Dzikhów. Hanani nie słuchała ich, wpatrzona w Issayira. W jej sercu pojawiło się pragnienie, niesprecyzowane, nielogiczne. Nazwałaby je instynktem, gdyby chciało jej się szukać nazw. Ale nie miała ochoty myśleć. I kiedy Yanassa dalej kłóciła się z towarzyszką, Hanani wstała. Yanassa dała jej piękną, misterną zausznicę, która obejmowała ucho

w trzech miejscach. Dziewczyna zdjęła ją.

– Praktykantko...? – Głos Hendet, zaskoczony i trochę podejrzliwy. Hanani odeszła bez słowa.

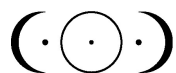
Znalazła tego, którego szukała, przy ognisku na skraju obozowiska. Rozmawiał cicho ze swoimi ludźmi. Obok pod skalną ścianą stał Charris, dyskretny strażnik. Zauważył nadejście Hanani przed innymi i zaskoczony zmarszczył brwi. Potem ktoś trącił Wanahomena, który obejrzał się, zaciekawiony.

Zausznica zlodowaciała w dłoni Hanani. Dziewczyna ścisnęła ją tak kurczowo, że ostrzejsze części zraniły ją do krwi. Ale zdołała podejść, spoglądając na Wanahomena najspokojniej, jak umiała. Rzuciła zausznicę do jego stóp.

Mężczyźni zamilkli. Nie spojrzeli na nich; nie interesowali jej. Książę znieruchomiał, zapatrzony w błyskotkę szeroko otwartymi oczami. Podniósł wzrok na Hanani w niemym niedowierzaniu.

A ona w milczeniu, bez jednej myśli wróciła do namiotu.

34. OPŁAKIWANIE



Ludzie ze wschodu opowiadają historie o duszach, które z jakiegoś powodu nie mogły dotrzeć do Ina-Karekh i zostały skazane na wieczne błąkanie się po krainie jawy jako mgła i smutek. Kapłanka wyglądała jak jedna z tych dusz.

Wanahomen odprowadził ją wzrokiem, kiedy odeszła, a potem spojrzął na leżącą u jego stóp zausznicę.

– Nie mogła tego zrobić umyślnie – mruknął. Podniósł ozdobę; była tak ewidentnie przeznaczona dla niego, że żaden z mężczyzn nawet nie udawał, że chce po nią sięgnąć. – Nie może wiedzieć, co to znaczy.

– A mnie się wydaje, że bardzo dobrze wie – odezwał się Ezack. Nawet on wyglądał na speszzonego, choć się uśmiechał.

– Uparta, arogancka kobieta – rzucił książkę, zamykając dłoń wokół kolczyka. Był zimny, choć dziewczyna ścisnęła go w dłoń; przy upadku jeden z delikatnych drucików się złamał. Zimny i złamany jak ona. – Bezmyślna, głupia kobieta...

Wstał i pobiegł za nią, nie pozwalając sobie na zastanowienie, skąd bierze się jego furia.

Wszedł do jej namiotu, zdarł zasłonę z twarzy i rzucił zausznicę do stóp kapłanki.

– *Zwariowałaś!* – warknął.

Namiot oświetlała jedna latarnia, zwisająca z głównej tyczki. Hanani stała daleko, na poły w cieniu, odwrócona do niego plecami. Wanahomen nagle zapomniał o gniewie, uświadomiwszy sobie, że dziewczyna wpatruje się w juki, do których włożył urnę z prochami

dawcy Mni-inha.

– W to nie wątpię – odezwała się głosem niemal przypominającym szept. Potem parsknęła słabym, drżącym śmiechem, który zaniepokoił go jeszcze bardziej.

Wanahomen westchnął, zdjął zawój i odruchowo przesunął dłonią po warkoczach.

– Nie tego potrzebujesz, Hanani. Potrzebujesz... Bogowie, nie wiem. Ale nie tego.

– O tym decyduję ja, prawda?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Kiedy w grę wchodzi moje ciało?

Lekko przechyliła głowę, ukazując nieozdobione ucho.

– Wczoraj mnie pragnąłeś.

– *To nie znaczy, że teraz też!*

Ku jego przerażeniu zaczęła dygotać, tak gwałtownie, że ozdoby w jej włosach zabrzęczały. Kontrast między tym drzeniem a zbyt spokojnym, zbyt suchym głosem był prawdziwie zdumiewający.

– Rozumiem. W takim razie wybacz pomyłkę. Wybiorę kogoś innego.

– *Co?!* – Podszedł do niej i chwycił za ramiona. Odwrócił ku sobie. Tak jakby złapał dzikie zwierzę; zeszywniała, a jej oczy stały się dzikie i bezmyślne z potwornego strachu. Nie krzyknęła, ale to chyba był odpowiednik krzyku. – Hanani... – Pokręcił głową, choć natychmiast rozluźnił chwyt. – Bogini miłosierna, spójrz tylko na siebie. Nie chcesz mężczyzny. Czemu to robisz?

W jej oczach nie było już paniki. Zastąpiło ją spojrzenie tak rozpaczliwie żałosne, że Wanahomen całkiem zapomniał o gniewie. Odwróciła wzrok i bez przekonania spróbowała się mu wyslizgnąć.

– Nieważne. Wiem, czego chcę.

– Nie, chcesz...

– *Wiem, czego chcę!* – krzyknęła, zaciskając pięści, z twarzą tak

wykrzywioną gniewem, że przez chwilę przestała być podobna do siebie. Potem skoczyła na niego z palcami zakrzywionymi jak szpony i musiał ją przytrzymać, żeby nie wyrwała mu krtani albo nie skrzywdziła go magią. Nie mógł pozwolić sobie na to, by się jej bać, nie teraz. – *Wyjdź! Do niczego mi się nie przydasz, nie mogę ci już ufać, nie możesz mi pomóc!*

Szarpał się z nią przez chwilę, a potem uświadomił sobie, że musi zmienić taktykę.

Zamiast odpychać od siebie jej dłonie, przyciągnął je do swojej piersi.

– Proszę – warknął, przytrzymawszy je na swoim sercu. – Chcesz, żebym odszedł? Wiesz, jak to zrobić. Zrób ze mną to, co z Azimą.

Zamarła; jej oczy rozszerzył nagły strach.

– Nie. Już nie zabiję.

– Nie musisz. Twój mentor raz zadał mi ból. Rzucił mnie na kolana samym dotykiem.

Zrób to, a zrozumieć, że naprawdę chcesz, żebym zostawił cię jakiemuś idiocie, który tu przyjdzie i stanie się dla ciebie „przydatny”. Zrozumieć, że przynajmniej potrafisz się obronić. – Przygotował się na wypadek, gdyby źle ją ocenił, choć nie sądził. I rzeczywiście, zamiast go skrzywdzić, znowu usiłowała się wyrwać.

– *Puszczaj!*

– *Mówisz, że wiesz, czego chcesz! Kogo chcesz oprócz mnie? Mam ci przysłać Charrisa?*

Albo Unte? Jest stary, ale w zeszłym roku spłodził kolejne dziecko. *A może wolisz pierwszego lepszego mężczyznę, który kieruje się tylko żądzą, nie rozumem? W takim razie powinnaś była pozwolić się zgwałcić Azimie!*

Drgnęła, ale potem wzruszyła ramionami.

– Co cię to obchodzi, księżę? I tak mnie nienawidzisz. Puść mnie. Wanahomen odetchnął głęboko.

– Nie czuję do ciebie nienawiści. Kiedyś tak, ale niesłusznie.

Szczerze mówiąc... – Niemal się roześmiał; nigdy by się nie spodziewał, że odbędzie taką rozmowę z kapłanką z Hetawy. – ...jesteś na tyle ładna i godna podziwu, że czuję pokusę. Ale to także jest niewłaściwe, nie rozumiesz? Z tobą dzieje się coś złego, a to cię nie uleczy.

Powoli podniosła głowę; wystarczyłby już sam wyraz zagubienia na jej twarzy, by obudzić jego współczucie. Podczas gdy szukała właściwych słów, on uściśnął jej dłonie i dodał:

– Powiedziałaś, że nie mogę ci pomóc. W czym, Hanani? Czego potrzebujesz?

Nie odpowiedziała, ale znowu spojrzała na juki. Pożałował z całego serca, że nie dał jej tej przeklętej urny dopiero przed powrotem do Gujaarehu.

– Twojego mentora już nie ma. – Stwierdził to tak łagodnie, jak umiał, a jednak wzdrygnęła się, jakby podniósł na nią rękę. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Powiedz mi, co na moim miejscu zrobiłby Mni-inh. Powiedz, jak by ci pomógł.

Myśl była kompletnie irracjonalna. Gdyby Mni-inh żył, dziewczyna nie wymagałaby pomocy. Ale ci, którzy pracują ze snami, uczą się myśleć według ich logiki, więc wcale go nie zdziwiło, kiedy Hanani zatrzepotała powiekami, zmarszczyła brwi i spojrzała na niego uważnie, jakby pytanie miało sens.

– Przy... przytuliłby mnie. – Spuściła oczy. – Nie. Nie robił tego często, już nie. Ale... ale chciałam. Zawsze chciałam.

– Dobrze. – Ostrożnie, bo nadal była spięta, gotowa uciec albo zrobić coś gorszego, puścił jej dłonie i objął w zamian jej ramiona. Przyciągnął do siebie, a kiedy nie szarpnęła się ani nie spanikowała, zamknął ją w objęciach. – Proszę. Tak?

Zadrzała. Oparła o niego głowę. Wtuliła twarz w jego pierś. Poczuł, że coś w jej ciele się spina, zbiera do skoku... A potem zawyła. Tylko tak potrafił opisać ten dźwięk, który wydała, tak bardzo odległy od łkania czy jęku, że brzmiał, jakby wydarło go z jej duszy. Brzmiał nawet gorzej niż tamten, który wyrwał się z jej

gardła po śmierci Azimy. W tamtym brzmiała udręka, agonia, i Hanani powtórzyła go znowu, wczepiona w Wanahomena, uczepiona jego ubrania i trzęsąca się tak bardzo, że sam ten dygot mógłby ją złamać.

Nie ma innego sposobu na uwolnienie takiego bólu, niż pozwolić mu się wypalić, więc książę trzymał dziewczynę w ramionach i czekał, aż się wykrzyczy.

Kłapa namiotu Hanani uniosła się i do środka ktoś zajrzał. Hendet. Jako pani an-sherratu tylko ona miała prawo zakłócać spokój domostwa kapłanki. Patrzyła na nich przez chwilę, po czym skinęła głową Wanahomenowi, cofnęła się i opuściła kłapę. Niewątpliwie poszła w yjaśnić innym, którzy mogli usłyszeć krzyk i źle go zrozumieć, co naprawdę się dzieje.

Hanani straciła głos gdzieś po dwudziestym czy trzydziestym krzyku. Rozpłakała się, bezradna i udręczona, a także rozgniewana, bo od czasu do czasu uderzała Wanahomena pięścią.

A on pogodził się z siniakami i mokrą tuniką; w końcu podniósł ją i zaniósł na poduszki, po czym ułożył się z nią tak, że mogła płakać mu na piersi przez całą noc, jeśli tego chciała. Po pierwszym ataku zrozumiał, że to coś więcej niż rozpacz po śmierci Mni-inha. Może opłakiwała też inne straty, a może po prostu szukała ujścia dla uczuć tłumionych przez całe życie w Hetawie. W każdym razie głaskał ją po plecach i mamrotał na chybił trafił słowa pociechy – „*Ćśśś, ćśśś, nie jesteś sama, nie martw się*” – które działały na nią kojąco. A niewykluczone, że zobaczywszy ojca na nowo i bojąc się nadchodzącej bitwy uspokajał także siebie.

Stopniowo ucichła. W pewnym momencie książę przysnął i obudził się, kiedy podpowiedział mu to instynkt. Minęły godziny, choć odgłosy uroczystości wcale nie przycichły. Odpowiednio zmotywowani Banbarrowie potrafili się weselić przez całą noc. Latarnia się wypaliła, ale przez otwór na dym wpadało silne światło Śniącej. Wanahomen podejrzewał, że zbliżyła się północ. Odwrócił głowę; Hanani nie spała. Leżała z głową opartą o jego pierś, z oczami otwartymi i suchymi, lecz zamyślonymi. Jedną rękę nadal

zaciskała na materiale jego tuniki. Wyglądała bardzo młodo.

– Czujesz się lepiej? – spytał.

Odetchnęła głęboko, nadal zapatrzona w dal.

– Zmęczona – szepnęła. Jej głos brzmiał ochryple.

– Więc powinnaś odpocząć.

Zmarszczyła brwi, podniosła głowę i spojrzała na niego. Powstrzymał grymas, kiedy odsłoniła wielką moką plamę na jego tunice.

– Chcesz odejść?

– Nie. – Uśmiechnął się krzywo. – Szczerze mówiąc, skoro przyjąłem twoje zaproszenie, powinienem zostać całą noc albo póki się mną nie zmęczysz. Zmęczyłaś się mną?

Spuściła wzrok i uśmiechnęła się bardzo bladym, ledwie zauważalnym uśmiechem, choć jego widok sprawił Wanahomenowi taką ulgę, że niemal łzy stanęły mu w oczach. To była jej pierwsza normalna reakcja od paru dni.

– Nie. Ale przecież żadne z nas nie zrobiło nic, co by mogło nas zmęczyć. Jej barki znowu stężały, ogarnęło ją skrępowanie.

Zmęczyć powinien ją ten wybuch rozpaczy, ale Wanahomen postanowił tego nie tłumaczyć. Za to skomentował jej skrępowanie.

– Banbarrowie pomyślą sobie najróżniejsze rzeczy, ale my znamy prawdę. – Wzruszył ramionami. – O ile wieści o tej nocy nie dotrą do Hetawy, nie będzie problemu. Pozwól mi wstać na chwilę.

Chyba się zdziwiła, że nadal go trzyma. Pozwoliła mu się podnieść. Usiadł, zdjął tunikę i koszulę i rozłożył je na dywanie, żeby wyschły. Potem, zauważywszy nietknięty posiłek pod ścianą namiotu, wstał i zajrzał do flaszki: zimna herbata. Znalazł tylko jeden kubek, ale przyniósł go i napełnił. Podał go dziewczynie. Skinęła głową ze zmęczeniem i wypila dwa kubki. Dopiero potem nalał herbaty sobie. W końcu położył się i wyciągnął rękę, żeby mogła się znowu do niego przytulić.

Zawahała się na widok jego nagiej piersi.

– Skóra wysycha szybciej niż materiał – wyjaśnił. – Teraz możesz wypłakać wszystkie łzy.

Znowu sprowokował kolejny blady uśmiech. Zmęczenie zwyciężyło; Hanani położyła się, łaskocząc mu włosami ramię, z ręką opartą na jego brzuchu. Wanahomen westchnął, przykrył ich leżącym obok kocem. Ta bliskość go cieszyła. Zawsze lubił, kiedy kobiety czerpały przyjemność nie tylko z jednego.

Milczenie przeciągało się, podkreślane dalekim biciem bębnow i wrzaskliwym śpiewem dziesiątków głosów. Wanahomen zaczął znowu zasypiać, kiedy głos Hanani go obudził. Herbata jej posłużyła; jej głos nie brzmiał już tak ochryple.

– Nie obchodzi mnie – powiedziała – czy w Hetawie się dowiedzą. Zamknął oczy i pogłaskał jej plecy. Chciałby, żeby już zasnęła.

– Po powrocie twoja sytuacja stanie się niezręczna. Moja także.

– Powiem im, że zmusiłam cię, żebyś do mnie przyszedł. Nie mogą cię o to obwiniać. I tak ja jestem jedyną winną. Ty nie składałeś przysięgi Hananji. – Jej ręka, spoczywająca na jego brzuchu, stężała, jakby dziewczyna znowu chciała go uderzyć. Miał nadzieję, że tego nie zrobi. – Ale nie obchodzi mnie już, co pomyślą.

Oczywiście zmieni zdanie, kiedy przestanie opłakiwać Mni-inha i będzie musiała znowu myśleć o swojej przyszłości. Wanahomen poprosi Yanasę, żeby pomogła mu w ukróceniu plotek, które plemię uwielbiało, by pogłoski nie doszły do uszu zwierzchników Hanani.

– Śpij – powiedział twardo. – Tym razem nie będzie lekcji ani magii. Oboje musimy wypocząć.

Skinęła i zamilkła, a on po jakimś czasie zasnął.

Znowu miasto, tym razem w kolorach. Znalazł się w Ina-Karekh, prawdziwym śnie, nie w tym odbiciu swojej duszy, którym była kraina graniczna. A jednak z jakiegoś powodu krainy cienia go pociągały.

Niebo wyglądało jak cmentarny dół, pełen wzdętych, stłoczonych chmur, czasem rozjaśnianych błyskawicami. Wanahomen stał

na schodach Hetawy, w której drzwiach majaczyła kołysząca się mroczna sylwetka.

Ta mroczna postać nie odzywała się i nie starała się ruszyć z miejsca; kolebała się tylko na boki. Książę spojrział na swoje ciało, ale nie znaczyły go plamy rozkładu jak poprzednio. Szkody zostały zażegnane.

– Mój synu, mój następco – powiedziała postać głuchym głosem.
– Moja odrodzona duszo.

– Nie – rzucił gniewnie. – Jestem twoim synem, twoim następcą, jeśli Hananja pozwoli, ale dusza należy tylko do mnie, ojcze. Podobnie jak przyszłość.

Na chwilę zapadła cisza. Książę przysięgłby, że wyczuwa zaskoczenie istoty w drzwiach.

Potem w mroku błysnęły zęby, odsłonięte w grymasie lub uśmiechu, nie wiedział tego na pewno.

– Niim. – Głos się zmienił. Nagle przestał brzmieć świszcząco, stał się bardziej ludzki i realny. – Siła pożera siłę w krainach snu. Nienawiść i strach stają się jeszcze potężniejsze. Ale współczucie... Zaznała go tak niewiele. A zaufanie? Miłość? Nie ma na nie wpływu.

– Kto? – Zaskoczony zmianą nastroju snu Wanahomen wszedł na jeden stopień, potem na drugi. – Kto, ojcze? Hanani? Yanassa? – Te imiona wydawały się nie na miejscu. – Tiaanet? – To zabrzmiało autentyczniej, choć bardziej niepokojąco. – Czy chcesz mnie ostrzec przed kobietą, którą pragnę uczynić moją królową?

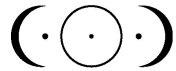
Znowu błysk zębów; zdecydowanie to uśmiech, i to szczery. „*To naprawdę ojciec*”. Książę czuł to instynktownie: nie zjawą, nie zniekształcone wspomnienie, lecz prawdziwa dusza Eninketa, skazana za swoje okrucieństwo i chciwość na krainy cienia. Hetawa ogłosiła go obłąkanym i taki był na jawie. Ale tu jakoś odnalazł pewien spokój. I powiedział jak zrównoważony, uzdrowiony człowiek:

– Bądź zdrow, mój synu. Bądź lepszy ode mnie.

– *Ojczy!* – Wanahomen wbiegł po schodach, nie myśląc już o okropnościach, które mogły na niego czekać w tych cieniach. – *Ojczy, nie!* Czekaj...

Ale odpowiedziała mu tylko cisza. Miasto się rozwiało.

35. POCIECHA



Hananni czekała we śnie w hetawskiej Sali Błogosławieństw. Po długiej chwili – czas nic tu nie znaczył, ale z nawyku i tak go odmierzała – cienie w pobliżu alków donacyjnych poruszyły się i wystąpił z nich zbieracz Nijiri.

– Hanani? – odezwał się z zaskoczeniem. – Gdzie Mni-inh?

Wstała, zeszła z podestu i pochyliła się nisko nad wyciągniętymi dłońmi.

– Nie żyje.

Usłyszała, jak cicho odetchnął. Nie powiedział nic, ale cała sala zadygotała od jego wstrząsu. Ponieważ Hanani spodziewała się tego, zdołała utrzymać równowagę snu, wzmacniając jego strukturę, by nie poddać się przypływowi bólu Nijiriego.

– Zaraza koszmarnych snów – wyjaśniła. – Kobieta z plemienia Shadounów przywlokła ją do obozowiska Banbarrów. Nie wiemy jak. Brat Mni-inh chciał ją uleczyć.

Nijiri wydał westchnienie, które brzmiało trochę jak jęk, i odwrócił się, by położyć dłonie na nocnym kamieniu, z którego wyrzeźbiono posąg Bogini. Na jawie taki gest był zakazany, ale we śnie zasady nie istniały. Gdy Hanani podniosła wzrok, ujrzała go opartego o posąg, jakby nie mógł ustać o własnych siłach. Głowę pochylił tak, że nie widziała jego twarzy.

– *Nawet na pustyni!* – szepnął i znowu głośno westchnął. – Mni-inh był ostatnim z moich hetawskich przyjaciół oprócz braci z mojej ścieżki. Ta zaraza to obrzydliwość gorsza od Kosiarza. Indethe etun'a Hananja, pozwól mu chodzić w Twoim spokoju aż po kres snów.

Hanani przysiadła na podeście w milczeniu. Dała Nijiriemu czas na opłakanie przyjaciela, jak nakazywał obyczaj. Jednak kiedy zbieracz w końcu odwrócił się do niej, jego twarz wyrażała skruchę. Podszedł i przykucnął, ujmując jej dłonie.

– Wybacz, Hanani. Zajęty swoim bólem, zapomniałem o twoim. Pozwól, że ofiaruję ci spokój...

Dziewczyna wstała i wysunęła dłonie z jego uścisku najuprzejmiej, jak potrafiła.

– Znajdę go sama, zbieraczu. Dziękuję. Książ... Banbarrowie traktują mnie bardzo życzliwie. Pomagają mi.

Nijiri spojrzał na nią zaskoczony, ale skinął głową.

– Czy zaraza przeniosła się na innych, zanim...

– Nie. Śmierć brata Mni-inha powstrzymała ją.

– Straszne, że można się cieszyć z czegoś takiego. – Nijiri milczał przez jakiś czas.

Powietrze stało się ciężkie od jego smutku. Potem pokręcił głową.
– Ale mam niewiele czasu. Przekaż to księciu: miasto jest już gotowe. Jeśli wkrótce zaatakuje, ludzie staną po jego stronie. Są na tyle rozgniewani, że zaczną walczyć i bez niego, ale mamy nadzieję, że zdąży na czas.

Skinęła głową.

– Powiem mu to. Sądzę, że jego plany dojdą do skutku w ciągu następnych dni.

– Dobrze. Wartownicy doszli do porozumienia z niektórymi wojskowymi, tymi nielicznymi gwardzistami Zachodu Słońca, którzy uniknęli egzekucji, oficerami z dawnej armii, paroma oddziałami najemników, którzy dali się nakłonić do powrotu i walki za darmo. Przeprowadzą serię akcji sabotażowych, gdy tylko wojska księcia rozpoczną atak. W ten sposób wprowadzą zamęt wśród Kisuan i utrudnią im szybkie przegrupowanie. Reszta zależy od niego.

– Dobrze.

Zbieracz zamilkł i przyjrzał jej się uważnie. Postanowiła się

pojawić w banbarryjskim stroju, który dostała od Yanassy, nie w czerwonych draperiach. Czujnemu oku Nijiriego z pewnością nie umknęły i inne, bardziej subtelne zmiany.

– Czy rzeczywiście dobrze się czujesz, Hanani?

Tego także się spodziewała, lecz to nie pomogło jej się opanować.

– Lepiej niż się czułam i sądzę, że z czasem mi się poprawi. Ale...
– zawałała się i powiedziała szczerze, bo zbieracz i tak już to wyczuł. – Ale nie wiem, czy kiedykolwiek dojdę do siebie. Mni-inh... i Dayuhotem... – Schyliła głowę. – Wiem, że musimy kochać wszystkich braci jednakowo, ale w całej Hetawie nie było nikogo mi droższego. Bez nich jestem jak barka dryfująca z prądem prosto w odmęty morza.

Nijiri jeszcze nigdy nie patrzył na nią z takim współczuciem.

– Rozumiem – powiedział bardzo cicho. Wiedziała, że to prawda.
– Niestety, nie mam dla ciebie żadnej pociechy. Senna krew to tylko środek doraźny; przez jakiś czas, gdy rana jest świeża i najbardziej podatna na zakażenie, łagodzi ból. Potem najlepiej będzie, jeśli dusza sama się uleczy... – Urwał. – Ale to ty jesteś uzdrowicielką.

– Uzdrowiam tylko ciało. Duszą zawsze zajmowaliście się wy, zbieracze.

Nijiri uśmiechnął się tak łagodnie i serdecznie, że nie mogła uwierzyć, iż uważała go kiedyś za zimnego.

– Łączy nas więcej, niż sądzisz. Nauczył mnie tego twój mentor. Zanim zdołała się odezwać, obejrzał się nagle, marszcząc brwi.

– Muszę odejść. Mój śniący się budzi. – Jak wszyscy zbieracze nie potrafił śnić. Musiał do niej przybyć poprzez sny jakiegoś hetawskiego akolity lub praktykanta, a może innego sługi tej samej ścieżki. Dziwne tylko, że nie położył po prostu jungissy na śpiącym, by ten się nie obudził. – Bądź zdrowa, Hanani – dodał, cofając się. – Nie tylko Dayu i Mni-inh darzyli cię przyjaźnią, choć możesz sądzić inaczej. Nie jesteś sama.

I zniknął, unosząc rękę w pozdrowieniu.

Hanani otworzyła oczy w ciemnościach namiotu. Nie wiedziała, która jest godzina, ale odgłosy świętowania już umilkły. W obozie nadal rozlegały się hałasy, lecz muzyka przycichła i zwolniła. Dzieci nie biegały już z krzykiem, co znaczyło, że przynajmniej one poszły spać.

Obok niej – z głową na jej ramieniu – spał Wanahomen, którego oczy gwałtownie poruszały się pod powiekami. Zastanowiła się, czy zbieracz Nijiri zgodziłby się go uczyć. Czy Mni-inh mu o tym powiedział? Znając swojego mentora wątpiła w to. A tak przy okazji zastanawiała się, co by powiedział Nijiri, gdyby wiedział, że Wanahomen spędził noc w jej łóżku, aczkolwiek całkowicie niewinnie. Nie byłaby pierwszą osobą w Hetawie, której dotyczyły krępujące plotki. Przed nią znosił je sam Nijiri, a o wartowniku Ranemhucie powiadano, że ma kobietę i córkę w dzielnicy rzemieślników. Nauczyciel Ide podobno miał upodobanie do czarnych jak shunhowie praktykantów. W gruncie rzeczy gdyby wierzyć plotkom, wyszłoby na to, że sporo akolitów i kapłanów ma potajemne romanse, choć pewnie większość z nich stanowiłaby wytwór rozgorączkowanej wyobraźni plotkarzy. Hanani nigdy nie rozumiała, dlaczego Mni-inh tak starannie zachowywał dystans między nimi, skoro i tak pół Hetawy podejrzewało ich o romans, a drugie pół miało własne tajemnice do ukrycia.

Westchnęła. Ramię Wanahomena przygniatało ją swoim ciężarem. Zbieracz Nijiri by to zrozumiał. Księżę nie jest zbieraczem i nie mógł jej dać sennej krwi, ale posiadał z bieracki dar wyczuwania, kto potrzebuje pociechy. Załamałaby się, gdyby nie on.

Mni-inh. Zamknęła oczy i przez chwilę pogrążyła się w bólu. Tak jakby ktoś wydarł jej duszę. Brzegi rany były nadal poszarpane. Nic nie mogło zappełnić pustki, ale obecność Wanahomena trochę ulżyła jej w cierpieniu.

Nie mogąc zaznać spokoju, zmieniła pozycję na wygodniejszą. Jej ręka, spoczywająca na jego brzuchu, natrafiła na zgrubiałą linię – bliznę. Zaskoczona – rana, którą uleczyła, powinna się zagoić bez

śladu – przesunęła po niej ręką i zrozumiała, że to ślad po innym skaleczeniu. Nie był długi, ale grubość i kształt ją zaniepokoiły, podobnie jak umiejscowienie – tuż pod żebrami. Ta rana była głęboka i źle się zrastała, otwierając się co najmniej raz.

– Nóż o zębatym ostrzu – odezwał się Wanahomen.

Powiedział to cicho, ale Hanani drgnęła z zaskoczenia. Książę pogłaskał kojąco jej plecy, co omal nie doprowadziło jej do kolejnego nerwowego drgnienia. Zauważyła, że Banbarrowie nieustannie się dotykali w sposób, którego Gujaareńczycy nie tolerowali: brali się pod ręce, tręcali się, czule pieścili dzieci czy nawet zwierzęta. Wanahomen przebywał między nimi na tyle długo, że musiał przejąć niektóre ich nawyki. To niedbałe, nieuważne dla niego dotknięcie było dla niej niepokojące i dziwne.

Potem skupiła się na jego słowach.

– Zębaty nóż? Po co atakować czymś takim człowieka?

– Pewnie żeby sprawić mu ból. I przypuszczam, że zadana nim rana bardziej się jątrzy. Gorączka prawie mnie zabiła. – Wanahomen miał głos zachrypnięty od snu; Hanani widziała w świetle Luny, że nie otworzył oczu. – Głupio używać takiej broni, zbyt łatwo nią o coś zaczepić w nieodpowiednim momencie. Ale człowiek, który mnie nim zaatakował, nie był wojownikiem, tylko tchórzem, zepsutym jak każdy inny handlarz niewolników.

Hanani pokręciła głową zdziwiona, że Wanahomen przeżył to wszystko bez pomocy dawcy.

– Byłeś niewolnikiem?

Książę skinął głową i ziewnął, trochę przytomniejszy.

– Przez krótki czas. Ja, moja matka i Charris. Kiedy uciekaliśmy z miasta, schwytali nas handlarze Damlushi, którzy jak sępy krążyli przy szlakach prowadzących na północ w nadziei, że pojną jakichś Gujaareńczyków. Wiedzieli, że nasze wojska przebywają gdzie indziej. Najwyraźniej słyniemy jako dobrzy niewolnicy, zdrowi, wykształceni, nieagresywni. – Wanahomen uniósł wargę w grymasie obrzydzenia. – I choć mieliśmy ze sobą resztki gwardii

Zachodu Słońca, tamtych było więcej. Mieli nadzieję, że się na nas obłowią.

Hanani spojrzała na jego przeguby. Już wcześniej zauważyła na nich cienkie blizny.

– Nościeś kajdany.

Książę skinął głową i otworzył w końcu oczy.

– Zabrali nas na południe. Bali się sprzedać Gujaareńczyków tak blisko ojczyzny. Na południu mogliby nas rozdzielić, a nam byłoby o wiele trudniej uciec lub się wykupić. Dlatego rzuciłem przywódcy karawany wyzwanie. Zaprosiłem go do gry, nie pamiętam już jakiej. Gdybym wygrał, miał nas sprzedać blisko domu. Wygrałem, ale nie dotrzymał słowa. Kiedy przygotowywano nas do sprzedania, dźgnął mnie nożem i obwiązał ranę, żeby nikt nie zauważył. Musiałem wyglądać zdrowo i udawać, że nie czuję bólu, w przeciwnym razie nikt by mnie nie kupił.

Hanani wstrzymała oddech. Akt strasznego zepsucia, ale tu, poza zasięgiem zbieraczy zepsute dusze wydawały się niezliczone jak mrówki.

– I Banbarrowie cię kupili?

– Mhm. Pierwsza żona Unte Widanu. Wpadła w furję, kiedy zobaczyła moją ranę. Moja matka nas uratowała, bo już toczyła mnie gorączka od zakażonej rany i Widanu chciała mnie zabić, żeby zakończyć moje męki. Matka kupiła moje życie za wszystkie klejnoty, które wyniosła z Gujaarehu. Ukryliśmy je w jaskini w górach, zanim złapali nas Damlushi. To nadało jej wartość w oczach Banbarrów, a przez nią i mnie jako jej synowi. Dlatego nas uwolnili. Charris... No cóż. Widanu musiała kogoś przywieźć. Ale gdy matka pomnożyła nasz majątek – zawsze była chytra – odkupiliśmy go. Nie chciał wolności, bo posiadanie niewolnika dodawało naszemu klanowi prestiżu. Uparty staruch.

Hanani słuchała, z czystej ciekawości wodząc palcami po bliźnie. Nie widziała dotąd wielu blizn. Magia nie zostawiała śladów. Potem zauważyła kolejną skazę na jego skórze, małe zagłębienie wielkości

szklanej monety, ubytek ciała tuż pod obojczykiem. Usiadła, zaciekawiona; znalazła jeszcze dwa takie same znaki: jeden tuż nad kością biodrową, drugi niebezpiecznie blisko serca. Jeśli wszystkie miały taką historię jak ta, którą przed chwilą usłyszała, teraz stało się dla niej jasne, dlaczego książe ma w sobie tak mało spokoju.

Skóra wokół blizn była delikatna jak ircha. Tak delikatna, a jednak wytrzymała okrutne traktowanie. Hanani przesunęła palcem po obojczyku Wanahomena aż po bark, potem w dół po ramieniu, przez wznoszące się i opadające mięśnie. W trakcie szkolenia w Hetawie studiowała ciała zebranych. Znała nazwy wszystkich ścięgien i kości, zagłębiała się w nienazwane części ciała, by znaleźć wiecznie zmieniająca się siedzibę duszy, ale to było co innego niż kontemplowanie ciepłej, oddychającej istoty ludzkiej. Tak niewiele trzeba, by zmienić to tętniące życie w popiół. Pewnego dnia i Wanahomen stanie się jak Mni-inh – garstką nicości. Wszystko, co w nim najważniejsze, przeniesie się do Ina-Karekh. Dlatego tak ważne jest, by chronić życie, doceniać je, rozumieć jego pełnię, dopóki się go nie utraci.

– Książe – powiedziała. Patrzył na nią z lekkim zdziwieniem. To Banbarrowie szczerze szafowali dotykiem. Gujaareńczycy nie mieli tego w zwyczaju. Zaskoczyła go tymi badaniami. – Czy jesteś Gujaareńczykiem?

Wyprostował się, nagle rozdrażniony.

– Doskonale wiesz, że tak.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, na ile przejąłeś banbarryjskie obyczaje – powiedziała, nadal przyglądając się jego ciału, śledząc ruch oddychającej piersi. – Rozumiem dlaczego. Tutaj bezpieczniej być Banbarrą niż Gujareńczykiem. Bezpieczniej być kimkolwiek, byle nie Gujaareńczykiem. – Znieruchomiła z ręką na jego brzuchu. Jego mięśnie napięły się bardziej, niż powinny. – Ale czy to tylko udawanie? Rola, którą przybrałeś, żeby osłonić prawdziwego siebie? A może stałeś się postacią, którą grasz? Pytam, bo byłeś dla mnie dobry, ale także okrutny, i nie wiem, kiedy zachowywałeś się zgodnie ze swoją prawdziwą naturą.

Jego brzuch uniósł się, gdy mężczyzna wziął głęboki oddech. Przez chwilę panowała cisza.

– Chyba jestem tym i tym – odezwał się w końcu książę. – Nie zastanawiam się.

Mieszkam wśród Banbarrów prawie pół życia; przebywając wśród nich, zachowuję się jak oni. Nawet myślę w chakti. Ale w towarzystwie twoim i twojego mentora... – Westchnął. – Chyba muszę się stać bardziej gujaareński. Dziwnie być dwiema osobami. – Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym ujął ją za rękę. Poczuli, że spogląda jej w twarz. – Ale okrucieństwa nie nauczyłem się od Banbarrów, jeśli o to pytasz. To moja całkowicie gujaareńska cecha. Odziedziczyłem ją po ojcu. Przez te ostatnie dni pomogłaś mi to zrozumieć.

Skinęła głową.

– Czy to cię cieszy? Że jesteś okrutny jak ojciec?

Przez parę chwil nie odpowiadał; gdy się w końcu odezwał, jego głos brzmiał bardzo cicho, z nutką wstydu.

– Nie. Potrzebuję tego okrucieństwa. Nie przeżyłbym tak długo bez niego. Ale go nie lubię.

Hanani skinęła głową. Wstała i zdjęła buty, po czym przystąpiła do mozolnego usuwania wszystkich brzęczących bransolet i kołyszących się klejnotów, które kazała jej włożyć Yanassa. Wrzuciła je do ozdobnego woreczka, gdzie miały być przechowywane.

– Zatem nie jesteś zepsuty.

Wanahomen podparł się na łokciu i przyjrzał się jej z zaskoczeniem.

– Dobrze wiedzieć. Co robisz?

– Rozbieram się. – Sama się dziwiła swojemu spokojowi.

Za jej plecami zaległa nagle głucha cisza. Zdjęła koszulę i powiesiła na kołku; kiedy odwróciła się do księcia, napotkała jego osłupiałe spojrzenie.

– Hanani, to nie jest dobry pomysł.

Miała już serdecznie dość ludzi, którzy traktowali ją, jakby nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów.

– Nie żądam. Proszę. – Wyszła z leżącej na ziemi spódnicy. Powiódł wzrokiem po jej nogach, jakby nie dowierzał sam sobie. – Proszę twoje banbarryjskie „ja”, czy też lepsze „ja”, jakkolwiek je nazywasz. Chciałabym seksu. Czy zechcesz to zrobić ze mną?

Powiesiła spódnicę i znowu na niego spojrzała. W jego oczach pojawiło się coś w rodzaju przerażenia. Chwycił własną koszulę i zacisnął na niej dłonie, jakby zamierzał się nią bronić przed Hanani.

– Znowu oszalałaś?

– Nigdy nie byłam szalona.

Pomógł jej się cofnąć znad krawędzi i cieszyła się z tego. Może nie powinna prosić go o więcej, ale nikt inny by nie zrozumiał. Musiała mieć nadzieję, że to, co miał w sobie ze zbieracza, jakkolwiek by było niewyrafinowane, skłoni go do ponownego udzielenia pomocy.

– Ty nie żartujesz. Ty... – Zamarł, kiedy rozwiązała przepaskę biodrową i upuściła ją do kosza. – Naprawdę chcesz to zrobić.

Hanani zdjęła halkę, którą nosiła pod koszulą. Pod nią miała już tylko bandaże na piersiach; z rozbawieniem zauważyła, że księżę na nie spojrzał, jakby nigdy nie widział jej w odzieniu dawcy. Może wtedy jej piersi w obramowaniu męskiego stroju go nie pociągały? Przystąpiła do mozolnego rozwijania bandażu, a on patrzył na nią, jakby umierał z pragnienia na pustyni.

– Jak widać.

Z wysiłkiem przeniósł wzrok na jej oczy. Dostrzegła w jego spojrzeniu wyraźną nieufność.

– Ty mnie nie kochasz.

Znieruchomiała, zaskoczona.

– Nie, nie kocham. Muszę?

Po jego twarzy przemknął półuśmiech, półgrymas.

– Chyba nie. Nikt nie może ci zarzucić nieszczerości, kapłanko, to ci przyznaję.

Wstał i w końcu odwrócił się do niej, nadal trzymając przed sobą koszulę, choć nie zrobił nic, żeby ją włożyć. – Ale musisz mi ufać, a... – Odwrócił wzrok. – A sama powiedziałaś: zachowałem się wobec ciebie okrutnie.

Hanani westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu. Ten mężczyzna reagował tak mocno, tak szybko. Miała nadzieję, że da się ponieść pożądaniu. Nie przewidziała, że będzie wolał zagadać ją na śmierć. A jednak powinna się tego spodziewać; człowiek tak pełen emocji musi oczywiście się im poddać przed podjęciem decyzji. Mni-inh nauczył ją tego dawno temu, kiedy spytała, dlaczego zgłosił się na jej mentora. *„Nie zastanawiałem się nad tym – wyjaśnił. – Zauważyłem, że potrzebujesz mentora, a inni dawcy zachowywali się tak, jakby twoja kobiecość była zaraźliwą chorobą. Taka głupota mnie rozgniewała. Zdaje się, że zadziałałem właśnie dlatego”*.

Myśl, że Wanahomen miał w sobie coś z Mni-inha, choć jemu to porównanie mogłoby się nie spodobać, utwierdziła ją w decyzji.

– Wpuściłam cię do moich snów – powiedziała. – Widziałam tajemnice twojej duszy i pokazałam ci parę własnych. Ciało... – Wzruszyła ramionami. – Można je uzdrowić, zmienić, unicestwić. Łatwo nim manipulować. Ale dusza jest ważna i trwała... – Zmarszczka na jego czole się pogłębiła. Hanani zająknęła się i urwała. To za trudne do wyjaśnienia. Nie była nauczycielką.

– Zatem dla ciebie to nic nie znaczy. – W jego głosie zabrzmiała gorycz. Nie rozumiała dlaczego. Podeszła bliżej, dotknęła jego ramienia, żeby zrozumieć, ale on nie chciał spojrzeć jej w oczy. Obraziła go, chcąc go w ten sposób wykorzystać? Być może. A może mogła go jeszcze przekonać, mówiąc prawdę.

– Nie, księżę. – Z bliska pachniał potem i piaskiem oraz ziołami, tymi używanymi przez większość Gujaareńczyków do kąpieli

i leczenia, czyli anyżkiem i rumiankiem, które rosły wokół wąwozu, a także czymś bardziej wyrafinowanym, co musiał kupić w Gujaarehu: dojrzałą ambłą. Był to zapach, który przypominał jej Hetawę, gdzie ambłą palono jako kadzidło. Kolejny luksus, nad którym się nie zastanawiała tak jak nad swoimi czerwonymi draperiami; widywała ambłą na targu i wiedziała, że osiąga ona fantastyczne ceny. Ale wcale jej nie zaskoczyło, że Wanahome n, żyjący z barbarzyńcami na wygnaniu, znajdował sposoby, by żyć jak książę. Uśmiechnęła się i znowu dotknęła blizny pod jego obojczykiem. Wyprostował się, zaskoczony. Barbarzyńska skóra, gujaareńskie krew i kości. Uważał się za dwóch mężczyzn, ale ona widziała tylko jednego.

– To oznacza dla mnie życie. – Spojrzała mu w oczy, usiłując przemówić do kryjącej się w nich nieufności. – To ciało. To... ból, słabość i to, co mnie przeraża. Ale nad ciałem potrafię panować, książę. Mogę mu dodać siłę. Mogę je uzdrowić, kiedy dzieje się z nim coś złego. W tej chwili tego potrzebuję, tej pewności. Czy to wydaje ci się sensowne?

Po jego twarzy przemknęło kilka uczuć, zbyt szybko następujących po sobie i zbyt złożonych, żeby potrafiła je zinterpretować.

– Hm... tak. Dziwne, ale tak. A co z twoją przysięgą służby Hananji? Już i tak wiele ci odebrałem. Nie chcę jeszcze powiększać tego ciężaru.

– Tylko ja mogę złamać moją przysięgę. Nie masz z nią nic wspólnego. – Hanani zacisnęła zęby. – Może jutro zdołam znowu oddać się bez reszty Hananji bez żalu. Lecz dziś... – Westchnęła; czuła się bardzo stara i jednocześnie młoda oraz niewiarygodnie samotna. – Hananja także wiele mi odebrała, książę.

„Więcej, niż miała prawo”. Ale tego nie dodała głośno, bo Wanahomen pozostał na tyle Gujaareńczykiem, żeby poczuć się urażony.

Książę spojrział na dłoń dziewczyny spoczywającą na jego ramieniu, a potem w jej oczy. Nie miała pojęcia, co zobaczył, ale

po chwili westchnął. Ostentacyjnie upuścił koszulę na podłogę.

– Ciało to nie tylko ból – powiedział cicho. – Nie powinnaś tak myśleć.

Wzruszyła ramionami i powróciła do rozwijania bandażu.

– Tylko tyle wiem.

– Mogę ci pokazać więcej. – Oznajmił niemal nieśmiało. Uśmiechnęła się wbrew samej sobie.

– Byłabym wdzięczna.

Kiedy ostatnie bandażu upadły na podłogę, patrzył na nią długą chwilę, badając ją wzrokiem tak, jak ona badała go dłońmi. Kiedy zdjął spodnie – gotowy – odwróciła się, żeby położyć się na poduszkach. Powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu, a potem, ku wielkiemu zaskoczeniu, ukląkł u jej stóp. Oddech miał przyspieszony, ale w jego oczach widziała nie tylko żądzę, ale i uszanowanie.

– Kobiety są boginiami – powiedział. – Rozkosz to należna ci danina. To przecież gujaareński obyczaj, tyle pamiętam. A ja jako książę mam obowiązek dopilnować, byś dostała odpowiednią daninę. – W jego słowach nie było najmniejszej ironii czy szyderstwa. Hanani patrzyła na niego ze zdziwieniem. A kiedy rozłożył ramiona, uniósł głowę i uczynił z siebie ofiarę, coś w niej dotychczas zaciśniętego nagle się rozluźniło.

Podeszła, a on zamknął ją w najdelikatniejszym z objęć.

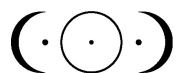
Wówczas objawił się spokój: cisza. Byli Gujaareńczykami. Nie czuli potrzeby krzyków, jęków, imion wypowiedzianych jako deklaracja dumy czy oddania. On nie narzucał jej niczego, czego nie chciała, nie zabraniał jej niczego, czego pragnęła. Kiedy się poruszał, skupiała się na miarowym napinaniu się jego mięśni, szybkości i brzmieniu oddechu, na tym, jak każde jej westchnienie i dotyk zmieniało kierunek humorów w cudzie jego ciała. To była prawdziwa magia, zapisana w namacalny sposób, obecna we krwi, żółci, ichorze i nasieniu. Na szczycie tego wszystkiego Hanani wlała tę nową magię w modlitwę za Mni-inha, by Bogini mogła

sprowadzić jego duszę do domu. I w tym powstrzymanym oddechu, gdy Hanani niemal opuściła granice własnego ciała, Inkarnacja Hananji chwyciła ją mocno, zadrżała w niej i tchnęła gorącym szeptem do jej ucha:

– Tak.

Hanani zamknęła oczy, pełna wdzięczności i spokoju.

36. DAR



Po internowaniu zbieraczy i zwierzchnika Sunandi nie miała kłopotu z załatwieniem pewnych spraw w Yanya-iyān. Protektorom było wszystko jedno, gdzie znajdują się więźniowie, dopóki pozostawali pod kluczem, dlatego Sunandi umieściła ich w apartamentach gościnnych, najwyraźniej dostosowanych do północnych obyczajów – z mocnymi drzwiami wyposażonymi w zamki i oknami najwęższymi z możliwych. W miesiącach pory wzrostu w apartamentach panował męczący skwar – Gujaareńczycy nie bez powodu nie uznawali drzwi w pokojach – ale teraz, przed porą powodzi, dawało się w nich wytrzymać. Poza tym Sunandi wybrała pokoje oddalone od siebie i przed każdymi drzwiami postawiła strażnika, żeby nikt nie zarzucił jej zaniedbania obowiązków. Jednak poprosiła, by Anzi wybrał strażników o pewnych pożytecznych cechach. Jeden, którego mianowała zwierzchnikiem, był potajemnym synem nauczyciela z hananjańskiej świątyni w Kisui. Dwaj inni wyznawali hananjanizm, jak niemal jedna piąta Kisuan. Czwarty był Gujaareńczykiem, jednym z niewielu przedstawicieli kasty wojskowych, którzy zdołali znaleźć zatrudnienie w kisuańskiej armii. Został zwykłym piechurzem; w gujaareńskim wojsku byłby oficerem.

Gdyby Protektorzy spytali – Sunandi wątpiła w to, ale zawsze warto mieć gotowe wyjaśnienie – powiedziałaaby, iż tacy strażnicy to gwarancja, że zbieracze i zwierzchnik nie ucierpią podczas internowania. Już teraz przez te dwa dni od pojmania zbieraczy odnotowali zajścia: liczne aresztowania rzemieślników, którzy nie zgodzili się oddać artykułów zamówionych przez kisuańskich

obywateli i kupców, którzy nie chcieli obsłużyć kisuańskich klientów lub przestali przyjmować kisuańskie monety. Gdy grupy rozgniewanych Gujaareńczyków napadły i pobiły kilka dwójek żołnierzy, Anzi rozkazał, by patrole liczyły po szesnaście osób i każdej dzielnicy przydzielił jeden oddział. Mimo to godzina policyjna i zakaz zgromadzeń nie zapobiegły zamieszkom – pierwszym od stuleci – w Dzielnicy Niewierzących. Dopiero później dowiedzieli się, że w chaosie, który się rozpętał, splądrowano arsenał. Żołnierze przeszukali dzielnicę, ale nie znaleźli broni. Sunandi podejrzewała, że już przesz muglowano ją przez mur do pozostałej części miasta.

Dziwiło ją tylko jedno: że zamieszki jeszcze się nie rozprzestrzeniły. Miała wrażenie, że miasto wstrzymuje oddech, czekając. Na co? Nie wiedziała.

W korytarzu, w którym trzymano kapłanów, panowała cisza, nie tak jak na gwarnych, hałaśliwych górnych piętrach, na których Protektorzy mieszkali i pracowali od czasu swojego przybycia. Ta cisza przypominała Sunandi Kamienny Ogród, modlitewną przestrzeń w hetawskiej Sali Zbieraczy; na korytarzu panowało takie samo kontemplacyjne milczenie. Trzej strażnicy skinęli poważnie głowami; Sunandi odpowiedziała tym samym. Czwarty, ten, który powinien pilnować drzwi Nijiriego, gdzieś zniknął. Sunandi zatrzymała się i spojrzała na innych strażników. Nie podnieśli alarmu, żaden nie wyglądał na zaniepokojonego. Po chwili drzwi komnaty otworzyły się i strażnik, Gujaareńczyk z kasty wojskowych, wyszedł na korytarz. Na widok Sunandi z szacunkiem skłonił głowę.

– Kolacja – powiedział w sua o mocnym akcencie.

– Ach... – Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, aż zaczął czuć się niezręcznie. Minęła północ, za późno na kolację, nawet dla żyjącego w nocy zbieracza. Ale w końcu podeszła, a on otworzył przed nią drzwi.

W pokoju panowała cisza. Źródła światła stanowiły jedynie lampa i Śniąca, której blask wpadał przez okno. Sunandi zobaczyła

stół z posiłkiem; strażnik miał przynajmniej dość rozumu, żeby trzymać się prawdy. Nijiri siedział na łóżku, oparty o ścianę. Przyglądał się jej najniewinniejszym wzrokiem, na jaki było go stać. Czyli mało przekonującym.

Sunandi skrzyżowała ręce na piersi.

– Dobry wieczór, mały zabójco. A może powinnam powiedzieć: „*mały intrygancie*”?

Uśmiechnął się lekko, jakby do swoich myśli.

– Poprosiłem strażnika, żeby pomógł mi przesłać wiadomość do przyjaciela. Nic więcej. – Potem spoważniał. – Ale przyjaciela... nie było.

Nie zrozumiała.

– Strażnik zdołał już dostarczyć wiadomość?

– Tak, we śnie. To coś, co potrafią wykształceni narkomanci. – Nijiri położył ręce na piersi. Spojrzał na trzy zwoje, które Sunandi trzymała pod pachą. – Przyniosłaś mi podarunek, Jeh Kalawe?

Nie odpowiedziała.

– Kiedy skończy ci się senna krew?

Nijiri nawet nie drgnął. Już dawno przyzwyczał się do jej braku manier.

– Za trzy lub cztery ósmdni. To samo dotyczy innych. Pamiętaj, że mieliśmy czas się przygotować.

Chociaż tyle dobrego.

– A kiedy uderzy burza, którą wezwałeś?

Nijiri uniósł brwi, znowu jak wcielenie niewinności.

– Jaka burza?

– Wiem, że wielmoże coś knują. I z każdym dniem widać coraz wyraźniej, że miasto gotuje się do walki. Wywierasz na ludzi wpływ poprzez sny?

Teraz sprowokowała autentyczny uśmiech.

– Żaden zbieracz nie ma takiej mocy, Jeh Kalawe.

– Z wyjątkiem Ehiru.

Chwila milczenia.

– Wtedy Ehiru nie był zbieraczem. – Uśmiech zniknął, głos Nijiriego zabrzmiał lodowato.

Sunandi natychmiast pożałowała swoich słów, ale nie mogła już naprawić błędu. Zresztą Nijiri był Gujaareńczykiem; puści tę obelgę płazem dla dobra spokoju. Nie wybaczy jej tak szybko, ale trudno.

Westchnęła i zaczęła brnąć dalej.

– Wcześniej zasugerowałam, że któryś z synów Eninketa może nadal żyć i przebywać wśród Banbarrów. Moi informatorzy twierdzą, że podobne plotki krążą po mieście. Mówią, że ma się zjawić nowy książę, który uwolni Gujaareh. Czy to prawda?

Nijiri spuścił wzrok.

– Powiedziałem, że ci wybaczę. Ta obietnica pozostaje aktualna, nawet jeśli nie odpowiem na twoje pytania, a ty każesz mnie za to ukarać.

– *Nie zamierzam cię karać, głupcze!* Staram się pomóc nam obojgu.
– Podeszła bliżej i zniżyła głos. – Protektorzy sprowadzili ze sobą tysiąc żołnierzy. Rozmieścili ich w całym mieście, by zadbać o spokój i rozkazali im bardzo ostro reagować na wszystkie niepokoje, uśmiercać wszystkich, którzy będą się opierali. Zaplanowano coś jeszcze na wypadek ataku lub buntu. Coś, co ma złamać ducha ludu.
– Zacisnęła zęby. – Nie wiem co. Wypadłam z łask, podobnie jak Anzi.

Nijiri wstał i podszedł do okna, jakby chciał sprawdzić, gdzie znajduje się Śniąca. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby zbieracz okazał taki niepokój.

– Nie odzyskasz łask, pomagając nam. Więc czemu to robisz?

Sunandi przewróciła oczami.

– Pomagam Kisui. Ten kraj stał się zbyt niebezpieczny, żebyśmy mogli tu pozostać. Kilku moich co bardziej chciwych rodaków, którzy właśnie objęli tu rządy, wzbogaci się na wzroście napięcia,

ale reszta Kisuan ucierpi, gdy Gujaareh pożre nasze środki i naszych żołnierzy i nie da w zamian nic oprócz kłopotów. I bardzo się boję, że plaga koszmarów przeniesie się na moich rodaków. Wiesz, że nie mamy obrony przed magią.

– Moglibyśmy wam pomóc, gdy tylko sami nauczymy się z tym walczyć. Choć wtedy twój lud musiałby się otworzyć na magię.

– Tu nie trzeba magii, tylko cudu.

Nijiri odwrócił się do niej powoli. Przyjrzał się jej uważnie, a potem zerknął na zwoje, które przyniosła.

– Coś znalazłaś.

Skinęła głową, opanowując rozgorączkowanie, i podeszła do stołu. Zdjęła z niego tacę z jedzeniem i postawiła ją na podłodze.

– Szukając tajemnicy nieśmiertelności, Eninket zgromadził wspaniałą kolekcję tekstów o najróżniejszych magicznych osobliwościach.

Nijiri skrzywił się, pomagając jej rozłożyć zwoje.

– Na przykład o Kosiarzu.

– I ciekawszych sprawach. Na przykład o tym. – Wskazała jeden zwój, zapisany archaicznymi symbolami, kreślonymi grubą czarną kreską. Nie potrafiła odczytać połowy z nich, ale naukowiec, który przekazał jej tłumaczenie, tak się ucieszył na widok słów swoich przodków, że z wdzięczności za przywilej kontaktu z nimi policzył jej o jedną czwartą mniej niż zwykle.

– Czytamy tu o zarazie, która niemal unicestwiła miasto. Przenosiła się przez sny i żaden uzdrowiciel nie mógł sobie z nią poradzić. Tekst wspomina o setkach ofiar i rozpaczy w całym kraju... To już raz się wydarzyło, Nijiri.

Zbieracz wyprostował się sztywno.

– W Hetawie nie mamy dokumentów o takim wypadku.

– Nie macie także podań o nieśmiertelności, a jednak Eninket je znalazł. Może ktoś, albo wiele osób na przestrzeni wieków, zadbał o oczyszczenie akt Hetawy. Cały brud i prawda są tutaj.

– Znowu poklepała zwoje.

Nijiri westchnął, choć nie zaprotestował.

– Pewnie wtedy znaleziono jakiś sposób na zwalczenie snu. W przeciwnym razie Gujaareh byłby dziś wyludnioną ruiną. Czy tekst wspomina coś o lekarstwie?

– Tak. – Sunandi przełożyła zwoje i znalazła kolejny, podarty i poplamiony, zapisany niezdatną hieratyką. Ten potrafiła odczytać sama, zrobiła to późno w nocy, zawiesiwszy na drzwiach tabliczkę, ostrzegając Anziego i nawet służących przed wchodzeniem. Oczy nadal ją bolały. – Tu jest napisane: *„Dziecko mieściło w sobie sen, który wciągał i więził wszystkich. Gdy dziecko śniło koszmary, inni cierpieli z ich powodu, i wielu umarło. Niektórzy umarli we śnie, nie mogąc jeść ani pić. Dopiero gdy dziecko zostało zasiezione, jego ofiary się uwolniły”*. – Wyprostowała się i spojrzała surowo na zbieracza. – Dalej napisano, że tylko parę osób wiedziało o tej sytuacji i że rozwiązanie problemu odkrył ówczesny zwierzchnik. To on zabił dziecko, a potem rozkazał zamordować wszystkich, którzy o tym wiedzieli.

Nijiri patrzył na nią coraz bardziej poważnym wzrokiem.

– Dlaczego?

– Nie wiadomo. Spisał to były hetawski akolita, który był świadkiem śmierci dziecka, lecz nikt go nie zauważył. Gdyby go spostrzeżono, i on by stracił życie. – Położyła dłoń na zwoju, zasłaniając symbole, żeby Nijiri przeniósł spojrzenie na nią. – Ten zwierzchnik nie był zepsuty. Założył ścieżkę dawców, napisał kilka najpiękniejszych modlitw waszej wiary i wprowadził prawa, które ulepszyły życie miasta. Był dobrym człowiekiem. Dobrzy ludzie zabijają tylko po to, by dochować najbardziej niebezpiecznych tajemnic.

Zbieracz powoli podniósł na nią oczy.

– Do czego zmierzasz, Jeh Kalawe?

– Do tego, że musisz się otworzyć na rozwiązania, których normalnie nie brałbyś pod uwagę. Że zepsucie jest kwestią intencji,

nie czynu, czego nauczył mnie dawno temu twój mentor.

Nijiri milczał przez chwilę.

– Naukowiec, który pomógł ci przy dokumentach... Co z nim zrobiłaś?

Jeszcze przed tą rozmową zdecydowała, że mu powie, jeśli zapyta, choć miała nadzieję, że tego nie zrobi.

– Pogrzebano go jak należy z innymi ofiarami zarazy. Ponieważ to przez nią zginął, chociaż nie za jej sprawą.

Gdy Nijiri zacisnął wargi, pochyliła się, mocno chwyciwszy się blatu stołu, i zbliżyła twarz do jego smukłych śmiercionośnych dłoni.

– A ty jak wiele osób zamordowałeś, żeby tajemnice Eninketa nie wyszły na jaw? Nie wyciągnął do niej ręki ani nie drgnął, co musiała mu przyznać. Ona także powstrzymała się przed drzeniem na widok zimnego morderczego spojrzenia jego oczu, co uratowało jej dumę.

– Zbieracze nie popełniają morderstw – zauważył z ironiczną nutą w głosie, która zmroziła Sunandi jeszcze bardziej. – To, co robimy, to błogosławieństwo, zesłane przez Hananję Jej ludowi.

Na takie słowa Sunandi nie mogła zareagować inaczej niż chwilą stosownego gujaareńskiego milczenia. Już dawno uznała, że ten zwyczaj oczyszczania krótką ciszą powietrza skażonego niebezpiecznymi słowami i myślami ma w sobie coś.

– Nie przypisuję sobie świętości, ale ja także zrobię, co muszę, by zachować spokój – powiedziała w końcu. Dotknęła podartego zwoju. – Człowiek, który to spisał, nie powinien był przenieść tych słów na papier. Zrobił to, by ulżyć swojemu sumieniu, i jego słabość może nas uratować... Ale kiedy znajdziemy ludzi, którzy posługują się tym stworzeniem jak bronią, musimy zachować więcej czujności niż nasi przodkowie. Musimy dopilnować, żeby ta zła magia zginęła bez śladu. Zgodzisz się z tym?

Skinął głową.

– To zepsucie najwyższego rodzaju. Hetawa musi zrobić wszystko,

co konieczne, by je oczyścić.

– Nawet jeśli oznacza to zabicie dziecka?

– Może istnieje inny sposób.

Sprawiło jej ulgę, że się zawahał, choć nie mogła mu pozwolić na upór w tej kwestii.

Mogłaby się go bać tylko wtedy, gdyby jego sumienie umarło albo gdyby zrobiła coś złego bez powodu. Wtedy przyszedłby po nią. Zawsze to wiedziała i pogodziła się z tym.

– To jedyny pewny sposób. Czy zrobisz to, jeśli do tego dojdzie? Zbierzesz niewinne dziecko?

Minęła kolejna konieczna chwila milczenia.

– Nie jestem moim mentorem – odpowiedział cicho Nijiri. Z zaskoczeniem ujrzała na jego twarzy wstyd. – Nigdy nie miałem tego zaszczytu.

Zawahała się, ale położyła mu rękę na ramieniu.

– Różnisz się do Ehiru, to prawda, ale to nic złego. On myślał tylko o Hananji, dla ciebie przede wszystkim liczy się Jej lud.

Nijiri uśmiechnął się blado; smutek tego uśmiechu ją zaskoczył.

– Nie daj się oszukać, Jeh Kalawe, myślę tylko o sobie. Muszę potrafić spojrzeć mu w oczy, kiedy znowu spotkamy się w Ina-Karekh.

Nigdy nie przywykła do tego, że zbieracze nieustannie czekali na swoją śmierć.

– W zbiorach znalazłam coś jeszcze. – Niezdarna, ale konieczna zmiana tematu. Wyjęła trzeci zwój i rozłożyła go na dwóch poprzednich. – Poznajesz?

Nijiri przyjrzał się ze skupieniem dokumentowi, pewnemu rodzajowi grafiku. Na karcie widniały symbole imion, połączone precyzyjnymi, równymi liniami.

– A powinienem? Nie jestem nauczycielem. – Urwał, ujrzawszy mały znak twórcy w dolnym rogu karty, i znieruchomiał.

– Inunru. – Sunandi przyglądała mu się uważnie. – W tamtych czasach to imię było bardziej popularne, ale mam powody przypuszczać, że to ten sam Inunru, który stworzył twoją wiarę, narkomancję i ścieżkę zbieraczy. – „A także *pierwszych Kosiarzy*” – czego nie dodała, bo Nijiri i tak o tym myślał – oraz dlatego, że unikanie bolesnych tematów stanowiło obyczaj popularny tak w Kisui, jak i Gujaarehu.

Nijiri zacisnął zęby, ale nic nie powiedział. Wpatrywał się w dokument.

– Co to jest? Matki, ojcowie, wujowie... – Skrzywił się niecierpliwie. – Jeh Kalawe, urodziłem się w kaście służących, rozmnażaliśmy się, jak chcieliśmy, i nigdy nie dbaliśmy o czystość krwi tak jak wasze wysokie kasty. Co to znaczy?

– Z tego, co widzę, wasz założyciel badał pewne rody. Dar snu jest dziedziczny, tak? Nijiri skinął głową z roztargnieniem.

– Częściej przechodzi z ojca na syna niż z matki na córkę. Kiedy w linii męskiej rodzi się syn ze zdolnościami narkomantycznymi, obserwujemy go uważnie.

Sunandi wskazała malutki symbol ptaka w locie przy niektórych nazwiskach.

– To pierwszy symbol waszego słowa „sen”. Może to oznaczać, że Inunru podejrzewał tych ludzi o posiadanie talentu.

Nijiri dotknął kreski, jednej z nielicznych nakreślonych czerwienią, nie czernią.

– Ale to linia kobieca – powiedział. – Siostra wartownika, który posiadał duży talent snu... – Przesunął palcem po kresce. – Urodziła troje dzieci, bez wyjątku córki... – Jego palec znieruchomiał. – Tu ślad się urwał. Ale nic dziwnego, nigdy nie obserwowaliśmy kobiet.

– Bo kobiety rzadziej dziedziczą dar? – spytała Sunandi, zakładając ręce na piersi. – Czy dlatego, że wasza wiara odtrąca kobiety?

Nijiri spojrział na nią z rozdrażnieniem.

– Czcimy kobiety.

– Nie sędę, skoro pomijacie te mające dar. Ta dziewczyna, którą przyjęście do ścieżki dawców... Jak miała na imię?

– Hanani.

– Czy jej dar jest duży?

Nijiri zastanawiał się przez chwilę.

– Wystarczająco – przyznał w końcu. – Mni-inh... – Nie wiadomo dlaczego wstrzymał oddech. – Mni-inh nigdy nie skarżył się na jej umiejętności, tylko na brak pewności siebie.

– Czy mogłaby zostać zbieraczem?

Po twarzy Nijiriego przebiegł skurcz, szybko go opanował.

– Brakuje jej temperamentu. Ale praca zbieraczy i dawców to dwie strony tej samej monety. – Westchnął. – Więc tak.

Sunandi dotknęła zwoju przy imionach trzech siostrzenic wartownika.

– Zatem każda z tych kobiet mogła posiadać dar dorównujący siłą zbieraczowi czy dawcy. Czy kobiety w Gujaarehu często popadają w obłąd?

Nijiri zaniepokojony odwrócił wzrok.

– Niezbyt, ale nie jest to całkiem niespotykane. – I dodał nieco bardziej spokojnym tonem: – Dawaliśmy im senną krew, żeby mogły opanować obłąd, tak jak zrobiliśmy z mężczyznami.

– Ale mężczyźni obdarzeni talentem są zabierani w młodym wieku do Hetawy, zanim ucierpią. Cenicie ich i chronicie. Lecz to odizolowanie... – Przyszła jej do głowy nowa myśl.

Brzydka myśl. Sunandi z odrazą zastanowiła się nad nią. – Zakaz przyjmowania do Hetawy kobiet może mieć swój cel. Mężczyźni obdarzeni tym darem prowadzą życie w celibacie, ale podobnie utalentowane kobiety nie mają takiego zakazu; większość rodzi dzieci. Ta praktyka wcale się nie różni od pozostawiania przydatnych klaczy w stadzie i trzebienia bardziej kłopotliwych ogierów o takich samych cechach. – Wskazała na czerwone kreski,

oznaczające linie żeńskie. – Te kobiety to gwarancja, że dar snów nie zniknie z Gujaarehu. W przeciwnym razie Hetawa dawno by je wyłapała i wkrótce zabrakłoby dawców i zbieraczy.

Nijiri nie odzywał się przez parę chwil. Wpatrywał się w podpis twórcy grafiku.

– To Inunru zdecydował, że kobiety nie mogą służyć Hananji – powiedział w końcu. – Tego nauczono mnie w Domu Dzieci. Wy tłumaczył, że to dlatego, iż kobiety są boginiami, a ich magia przypomina krainę snów, jest potężna, lecz nieprzewidywalna. Zbyt niestabilna, by można się nią było posługiwać w narkomancji. To dlatego tak wielu miało Hanani za złe, że... – Urwał i zmarszczył brwi.

– Hanani stanowi dowód, że kobiety z darem snu nie różnią się od mężczyzn – oznajmiła Sunandi twardo. – Ciekawe, jak wiele kobiet podobnych do niej żyje w Gujaarehu? Może niektóre wyszły za mężczyzn, którzy także odziedziczyli dar. Ich synowie mogli się stać zbieraczami, a córki zostałyby wariatkami.

Nijiri skrzywił się, ale potem pokręcił głową; Sunandi chciała go ukarać za opór.

– Nie wszyscy obdarzeni darem tracą zdrowe zmysły, Jeh Kalawe.

– Nie, ale tych, których to spotyka, można by uratować. Przypuszczam, że w twojej wierze uważa się szaleństwo za niewielką cenę. – Westchnęła z goryczą. Nijiri nie odpowiedział.

– Co jakiś czas rodzi się dziecko o tak potężnym darze, że staje się niebezpieczne dla wszystkich w pobliżu. – Lekko uderzyła zwój. – Postawiłabym moją fortunę na to, że wasz założyciel szukał właśnie takiego dziecka.

– Szukał? Dlaczego miałby...

– *Z tego samego powodu, z jakiego robił notatki o potencjale Kosiarzy!* Nieśmiertelność, magia, sny, które mogą zabijać całe armie... lub narody. Władza. Wasz założyciel był nią zafascynowany.

Prywatnie Sunandi cieszyła się, że Inunru od dawna nie żyje. Nie

chciałaby się mierzyć z mężczyzną tak genialnym i tak bezgranicznie bezwzględny. Słudzy Hananji zabili go za jego zbrodnie, ale wtedy liczył już prawie trzysta powodzi, gdyż potrafił przedłużyć sobie życie za pomocą magii. Większość tego czasu przeznaczył na kształtowanie Hetawy i Gujaarehu zgodnie ze swoimi potrzebami. Długi czas na sianie zła.

„Gdybyż zatruty owoc nie dojrzał w moich czasach...” Nijiri westchnął ciężko.

– Kiedy Ehiru się tego dowiedział, to go zraniło – powiedział. – Tak wysoce ceniał naszą wiarę. Mnie martwi to mniej, bo zawsze wiedziałem, że możemy wyrządzać zło, lecz mimo to...

– Zwiesił głowę. – Indethe ne etun’a Hananja. Najwyraźniej nie przyglądasz się nam wystarczająco uważnie, moja Bogini.

Sunandi zerknęła na drzwi, usiłując ocenić, jak wiele czasu minęło. Nie mogła na długo zniknąć z piętra Protektorów i swoich apartamentów, by nie budzić podejrzeń.

– Możesz przesłać tę informację do swoich braci w Hetawie? W snach lub inaczej?

– Tak. W mieście mamy akolitów, z dala od Hetawy, w miejscach, gdzie mogą bezpiecznie śnić. Skontaktuję się z jednym z nich. – Nijiri usiadł na łóżku. Był bardzo poważny.

– Chcesz, żeby nauczyciele sprawdzili akty urodzenia, szukając rodów, które mogły wydać silnych narkomantów, ale tym razem kobiet.

– Tylko najsilniejsze rody albo te, które ostatnio wydały zbieraczy lub dawców. Nie ma czasu sprawdzać wszystkich. Możecie nic nie znaleźć, ale nie pozostaje nam nic innego, jeśli nie chcecie przeszukiwać wszystkich domostw w mieście, by sprawdzić, czy gdzieś nie ukrywa się jakieś śniące koszmary dziecko.

– Dobrze, Jeh Kalawe. Stanie się, jak mówisz.

Sunandi skinęła głową i zaczęła szybko zbierać zwoje. Zerkała przy tym ukradkiem na zbieracza. Wydawał się przygaszony, ale może to z powodu uwięzienia lub niepewności. Mimo to nie mogła

się powstrzymać przed pytaniem:

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Czy czegoś potrzebujesz?

Pokręcił głową.

– Zaryzykowałeś już wystarczająco. – Ale cień nie opuścił jego twarzy, więc nie zdziwiła się, kiedy dodał: – Martwi mnie tylko jedno.

– Tak?

– Gdy Inunru rządził naszym wyznaniem, wydał wiele dekretów. Im więcej się o nim dowiaduję, tym większą mam pewność, że każda z tych decyzji służyła jakiemuś wyższemu celowi. – Sunandi skinęła głową zadowolona, że nie tylko ona o tym pomyślała. Nijiri potarł dłonie, jakby zmarzł, choć w pokoju było ciepło. – W mieście istnieje jeden ród, do którego Hetawa nigdy nie zgłasza roszczeń, w każdym razie nie bezwarunkowo. Zgodnie z tradycją i decyzją Inunru każdy książę Zachodu Słońca musi mieć dar snu. Tylko hetawska Rada Ścieżek wie o tej zasadzie, ale jako następcy Inunru od stuleci staramy się wypełniać jego wolę. Właśnie między innymi z tego powodu postanowiliśmy poprzeć Wanahomena; jego ojciec usiłował ukryć to przed nami, ale chłopak ma potężny dar. – Westchnął. – Niektórzy z nas uznali to nawet za znak Bogini.

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Dlaczego Inunru wydał taki nakaz?

– Nie wiem. Ale mam pewne podejrzenia, których się lękam.

Widząc jego wahanie, odgadła, o czym myśli. Właściwie to było oczywiste. Skoro Inunru nie mógł znaleźć Dzikiego Śniącego, postanowił go stworzyć. Książęta Zachodu Słońca mieli wiele żon i dzieci; już chociażby dlatego ich ród musiał być idealny dla celów Inunru. Takie dziecko, nawet niewykształcone, stawało się w nieodpowiednich rękach potężną żywą bronią. W rękach Inunru... Sunandi zadrżała na samą myśl o tym. A teraz Hetawa zaczęła pomagać Wanahomenowi, potomkowi szaleńców i magów, następcy innego potwora, który wymknął się spod kontroli kapłanów. Kolejny niebezpieczny sekret Inunru.

Sunandi wzięła zwoje pod pachę i westchnęła.

– Zostaw to na następną wojnę, głupcze. Mamy za mało kłopotów?

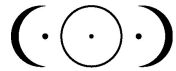
Zaskoczony, spojrział na nią i nagle zachichotał. Nie pamiętała, żeby kiedyś słyszała z jego ust tak szczery śmiech.

– Wypocznij dobrze, Sunandi. Będę się dziś za ciebie modlił.

Nigdy też nie pamiętała, żeby nazwał ją po imieniu. Nie obrażała jej ta formalność, dzieląca ich pomimo lat przyjaźni; ostatecznie Nijiri był Gujaareńczykiem. Ale...

– W Jej spokoju, Nijiri – powiedziała i wyszła, powstrzymując uśmiech.

37. PRZYWÓDCA



Gdy Wanahomen opuścił wreszcie namiot Hanani, już dawno się rozwidniło. Dziewczyna nadal spała, zaplątana w cienki koc, pomiędzy rozrzuconymi poduszkami. Zanim wyszedł, pocałował jej kark i jedną bezpretensjonalnie odsłoniętą pierś. Nie poruszyła się.

Obozowisko jeszcze nie całkiem się przebudziło, większość jego mieszkańców i gości bawiła się aż do zachodu Czuwającej Luny. Wanahomen zauważył kilku zaspanych niewolników, doprowadzających teren do porządku, oraz kilku jeszcze bardziej zaspanych wojowników, pijących mocną herbatę przy ogniskach. Poza tym wszyscy spali. Wróciwszy do namiotu, umył się szybko w miednicy i przebrał w świeże ubrania, po czym zgłosił się do Unte.

– No, no – odezwał się przywódca, gdy niewolnik wprowadził księcia do namiotu. Unte leżał na długiej płaskiej poduszce z uniesionymi nogami, trzymając duży kubek. Gorzki zapach świadczył, że to herbata na kaca. – Nigdy nie wybierasz łatwych rozwiązań? Połowa obozowiska cię podziwia, druga połowa uważa, że ściągniesz na nas śmierć.

Wanahomen uśmiechnął się krzywo i usiadł na drugiej poduszce.

– Dobrze. Nie tak dawno podziwiała mnie tylko jedna czwarta. A tak przy okazji, w której połowie się znajdujesz?

– Ocenię to, kiedy zobaczę twarz dziewczyny. Zakładam, że jest zadowolona?

Przechwalanie się swoimi seksualnymi wyczynami stanowiło praktycznie święty obowiązek każdego Banbarry. Mężczyźni snuli niestworzone opowieści o niezdołanych kobietach, które im padały

do stóp, i o nieprawdopodobnych pozycjach. Słyszał też pogłoski, że kobiety trzymały gdzieś tabelę, służącą do zakładów, włącznie z rankingiem umiejętności wszystkich mężczyzn z plemienia. Ale chociaż i on miał na koncie parę opowieści, czasem prawdziwych, przeważnie zmyślonych, jak to zwykle bywa, tym razem nie miał ochoty mówić. Cała ta sprawa była zbyt delikatna i znacząca, niemal święta, jak sama kapłanka. Jeszcze nie wiedział, co o tym sądzić.

– Tak przypuszczam – powiedział, siląc się na nonszalancki ton. – Choć oczywiście z kobietami nigdy nie wiadomo. Myślę też, że trochę uwolniła się od smutku. W każdym razie na tyle, że nie oszaleje ani się nie zabije.

Unte stłumił ziewnięcie i zmarszczył brwi.

– Było takie niebezpieczeństwo?

– Wczoraj? Bogowie, tak. I powinna przebywać pod staranną obserwacją jeszcze przez jakiś czas. – Wanahomen nalał sobie kubek herbaty. – Moi rodacy nie radzą sobie z bólem.

– Więc dobrze, że dałeś jej rozkosz. Choć teraz martwię się, że jej przyjaciele kapłani, ci jegomości o zimnych oczach, którzy zabijają nocą, pogniewają się na nas.

– Pogniewają się na mnie, owszem. – Herbata miała obrzydliwy smak, ale zawierała silny stymulant. Wanahomen skrzywił się i wmusił w siebie łyk. – Ale obwinia ją, nie mnie.

– Mogą twierdzić, że ją uwiodłeś.

– Kapłani mają wiele wad, ale nie kłamią. Jeśli ją spytają, powie, że to ona poprosiła mnie o to. – Westchnął i dopił resztę herbaty. – Na razie nie wiem, co jej zrobią.

– No tak. – Unte usiadł, skrzywił się i dotknął skroni, jakby ten ruch kosztował go sporo bólu. – W każdym razie to się stanie po bitwie. – Znowu sięgnął po karafkę z herbatą.

Wanahomen znieruchomiał, zapatrzony w niego.

– Głosowanie? Ale myślałem...

– Tylko Asnif z plemienia Madobów mógł się sprzeciwić, a to na nim zrobiłeś największe wrażenie po śmierci uzdrowiciela. Wczoraj powiedział, że zamierza cię poprzeć, a pozostali przyznali, że planują to samo. Nawet Tajedd, choć on akurat nie miał wyboru.

– Unte uśmiechnął się blado. – Dlatego zamiast zostać na ceremonii uznaliśmy, że głosowanie się odbyło. Inni powiadomią swoich dowódców łowców... nie, dowódców wojsk. Przyznali ci tytuł wojennego herszta – dodał z uśmiechem. – Pierwszy od pokoleń.

Wanahomen zamknął oczy i wyszeptał krótką dziękczynną modlitwę do Hananji. Potem odetchnął, czując w żyłach pierwsze drgnienia gotowości bojowej.

– Zatem wyruszamy jutro – oznajmił. – Niech plemię przygotowuje racje dla wszystkich wojowników i juczne konie do przewożenia paszy. Po południu zwołam zebranie przywódców. I wyślijcie posłańca z wiadomością; dotarcie do miejsca spotkania z gujaareńskimi żołnierzami zajmie nam trzy dni wyteżonej jazdy.

Unte uniósł brwi z rozbawieniem, choć kiwał głową po każdym żądaniu Wanahomena.

– Racje są już oczywiście przygotowane, ponieważ się tego spodziewaliśmy. Pasza i konie także; resztę można załatwić w mgnieniu oka. Ale zachowasz ostrożność, Wana, dobrze? Nie chcę widzieć, jak dziesięć lat pójdzie na marne.

Wanahomen uśmiechnął się i ukląkł przed przywódcą plemienia.

– Powiedziałem, że uczynię cię władcą nad władcami, prawda? Gujaareh znowu będzie mój i wszyscy poznają potęgę Banbarrów. Dam ci powód do dumy.

Unte roześmiał się cicho, uścisnął ramię księcia, usiadł i ku jego zaskoczeniu pocałował go w czoło.

– Już dałeś – powiedział.

Słońce dawno już zaszło, gdy Wanahomen wrócił, zmęczony, lecz zadowolony, na skalną półkę, na której obozowali Yusirowie. Spędził to popołudnie na dyskusowaniu z innymi przywódcami, teraz jego podwładnymi, nad strategią, podczas gdy wojownicy

czynili ostatnie przygotowania do wojny. Nie myślał o niczym z wyjątkiem posiłku i snu, ale oczywiście to się zmieniło, gdy Yanassa pojawiła się i wzięła go pod rękę.

– Yanasso, wiatr staje się świeższy w twojej obecności – powiedział w ostrożnym powitaniu.

Uśmiechnęła się słodko, ale on nie dał się oszukać. Czegoś chciała.

– Jaki przyniosłeś dar dla Hanani?

Hanani. Myślał o niej, oczywiście, ale zajmowało go tyle innych spraw, że to akurat mu umknęło. Banbarrowie mieli zwyczaj rekompensować kobiecie utratę dziewictwa. A ponieważ Hanani nie była Banbarryjką i prawdopodobnie mało ją to obchodziło, inicjatywa musiała wyjść od Yanassy.

– Na cienie – mruknął.

Kobieta poklepała go po ramieniu.

– Uważam, że ta bursztynowa bransoleta na kostkę w zupełności wystarczy. Drgnął i spojrzał na nią z urazą. Dał tę bransoletę Yanassie przed laty, gdy zostali kochankami. Oddała mu ją, gdy się rozstali, ale zawsze miał nadzieję...

– No, nie wiem – mruknął.

– Więc nie dbasz o nią? Była dla ciebie tylko rozrywką?

– Nie, tylko... – zająknął się, zagubiony. Mimo woli polubił Hanani, ale co mu z tego mogło przyjść? Nie kochała go. Właściwie go wykorzystywała, choć sam na to pozwolił. Tak należało po tym, co jej zrobił... ale prawda wyglądała tak, że po wszystkim kapłanka wróci do tej swojej Hetawy i w końcu o nim zapomni, a on o niej. – Zamierzałem oddać tę bransoletę jednej z moich żon – skończył.

Yanassa przystanęła i spojrzała na niego gniewnie.

– A ty ciągle to samo. Jedna noc w ramionach kobiety i już chcesz ją zamknąć w jakimś pałacu. A jeśli z jakiegoś powodu nie możesz, przestaje się dla ciebie liczyć. Dlaczego nie możesz przyjąć daru, nie domagając się o wiele więcej?

On także przystanął. Oparł ręce na biodrach, nie myśląc o tym, że pewnie przygląda im się pół plemienia.

– *Bo nie jestem Banbarą, który rozdaje nasienie, komu popadnie i jeszcze się tym chwali!*

– *Ona także nie jest Banbarryjką!* – warknęła Yanassa. – *Bogowie, żadna z naszych kobiet nie jest tak głupia, żeby zadawać się z tobą po tym, co przez ciebie przeszłam! Ale Hanani jest do ciebie podobna, gniewna, zraniona i samotna, choć udaje, że nie, i potrzebuje kogoś, kto się nią zajmie, nawet jeśli miałbyś to być akurat ty. Więc jeśli złamiesz jej serce, nigdy nie dam ci spokoju!* – I odeszła jak burza w trzepocie wstęg i dzwonieniu klejnotów, zostawiając go osłupiałego na ścieżce.

Charris wyszedł spomiędzy namiotów i stanął u jego boku.

– Mój ojciec nigdy nie miał tyle kłopotów z kobietami, prawda? – spytał Wanahomen przez zaciśnięte zęby.

– Nie, panie. Choć może dlatego, że trzymał wszystkie zamknięte w jakimś pałacu. Wanahomen rzucił mu ostre spojrzenie, ale Charris miał uprzejmie obojętną minę.

Księżę westchnął i potarł twarz pod zasłoną.

– Przynieś tę bursztynową bransoletę, dobrze? – A gdy Charris nie drgnął, Wanahomen spojrzał na niego i dostrzegł na jego dłoni małą paczuszkę.

Księżę rzucił mu ostatnie palące spojrzenie, chwycił pakunek i pomaszerował do namiotu Hanani.

Nie zastał jej. Po rozmowie z paroma osobami dowiedział się, że kapłanka wyszła z namiotu koło południa, poszła się wykąpać, po czym wróciła i poprosiła paru Banbarrów o podzielenie się z nią sennymi humorami.

– Jak wyglądała? – spytał starszego mężczyznę, od którego pobrała senną krew.

– Dość dobrze – odpowiedział ten i uśmiechnął się szelmowsko. – Nie była niezadowolona, jeśli liczysz na kolejną pracowitą noc.

Wanahomen stłumił nieuprzejmą odpowiedź i pożegnał się ze starcem.

W końcu znalazł kogoś, kto widział, jak dziewczyna rusza w stronę wysokich krawędzi wąwozu. Znalazł ją w połowie drogi na półkę, gdzie zaledwie czwórdzień temu dała mu pierwszą lekcję narkomancji. Siedziała na tym samym kamieniu z podkulonymi kolanami, które obejmowała rękami. Spoglądała na wąwóz, skąpany w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Wanahomen podszedł i usiadł obok niej. Drgnęła i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby wracała z miejsca oddalonego o miliony kilometrów.

– O – odezwała się. – Dobry wieczór, książę.

Powstrzymał chęć, by odgarnąć jej z twarzy lok gęstych włosów w kolorze piasku. Pomimo wczorajszej nocy dotykanie jej wydawało mu się niewskazane. Położył niezdarnie ręce na kolanach.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, dziękuję. – W jej głosie brzmiała tylko uprzejmość. Nagle naszała go obawa, czy ją zadowolił. Potem przypomniał sobie słowa Yanassy i uświadomił sobie, że dziewczyna może w ogóle nie myśleć o minionej nocy.

– Przywódcy zagłosowali na twoją korzyść – odezwała się cicho, potwierdzając jego domysły. – Wszyscy o tym mówią.

Skinął głową.

– Wkrótce wszystko się skończy, w ten czy inny sposób. – Zerknął na nią i dodał: – Wtedy wrócisz do Hetawy.

Zauważył, że spuściła na chwilę wzrok.

– Tak.

Zebrał się na odwagę i spytał:

– Jednak żałujesz? Zacisnęła usta.

– Martwię się.

– Że...?

Powoli pokręciła głową, jakby nie była pewna własnych słów.

– Spokój, który niegdyś czułam jako sługa Hananji, opuścił mnie. Gasł już wcześniej, ale śmierć Mni-inha go unicestwiła. Śmierć idzie za mną jak cień. Jestem uzdrowicielką. Powinnam przynosić życie, prawda? Co to znaczy, że przyciągam śmierć?

Wanahomen przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy Hanani zadreślała się takimi pytaniami przez cały dzień? I jak on, któremu bardzo daleko jest do kapłana, miał na to odpowiedzieć?

Westchnął i zdjął zasłonę. Również spojrzął na wąwóz.

– Nie spowodowałaś śmierci Mni-inha – powiedział. – A Azima sam ją na siebie ściągnął, napadając na ciebie.

– Gdybym uleczyła tę Shadounkę, Mni-inh by nie umarł. Księżę spojrzął na nią jak na obłąkaną.

– *Bo sama byś umarła!* Hanani... – Pokręcił głową, westchnął i wyciągnął do niej rękę. Zesztywniała, a on znieruchomiał z dłonią w powietrzu, dopóki się nie uspokoiła. Wtedy przyciągnął ją na swoje kolana. Miał wrażenie, że pozwoliła na to tylko dlatego, że ją zaskoczył.

– Księżę, co...

– Wanahomenie.

– Co?

– Byłem w twoim namiocie i w tobie. Mogłabyś mnie chociaż nazywać moim przeklętym przez ciebie imieniem.

To z całą pewnością kazało jej zapomnieć o melancholii. Na jej twarzy rozlał się ciemny rumieniec, widoczny nawet w półmroku. Po nim pojawił się nieśmiały uśmiech; Wanahomen uznał go za małe zwycięstwo.

– Niech będzie, Wanahomenie.

– Doskonale. – Objął ją lekko. – Zachowujesz się niemądrze. Kiedy ostatnio zachowywałaś się niemądrze, objąłem cię, a to pomogło ci odzyskać zdrowe zmysły. Znam tylko ten sposób.

Z ulgą ujrzał, że dziewczyna uśmiecha się śmieiej.

– Tak, ksią... Wanahomenie. To dziwnie pomaga.

Zadowolony, usadowił się wygodniej na twardym kamieniu, żeby nogi mu nie zdrętwiały.

– Zaczęła się wojna – powiedział poważniej. – Nikt nie może już sobie pozwalać na głupie zachowanie. Tylko przebrnięcie przez to sprawi, że spokój powróci.

Skinęła głową, także poważniejąc.

– Będę jechała z tyłu za twoją armią, z niewolnikami, kowalami i innymi niewojownikami.

Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że Hanani pojedzie z nim. Ale przecież po to Hetawa w ogóle dała mu uzdrowicieli, prawda? Zaniepokojony, ośmielił się położyć rękę na jej plecach. Zastanowił się nad ryzykiem.

– Noś dalej ten strój – powiedział. – Nikt nie będzie niepokoił Banbarryjki, kiedy wokół pełno Banbarrów. Ale samotna Gujaarenka zostanie uznana za łatwy łup.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Dawca musi być zauważalny. Te czerwone szaty... każdy Gujaareńczyk wie, co znaczą. W trakcie bitwy będę mogła łatwiej dotrzeć do rannych...

– Nie chcę, żeby łatwo cię było znaleźć – warknęła. Cofnęła się zaskoczona. – Nie ufam moim sprzymierzeńcom z miasta, Hanani. Mogą liczyć, że Hetawa zerwie przymierze ze mną, jeśli zrobisz ci krzywdę.

– Nikt by... – Ale urwała. Widziała już dość, żeby zmądrzeć.

Wanahomen pogłaskał ją po karku i ramionach, które napięła.

– W czasie bitwy każę odnosić rannych tam, gdzie rozbijemy obóz. Możesz ich tam leczyć. Gdy wtargniemy do miasta, odeślę cię do Hetawy. Do tego czasu jesteś moją uzdrowicielką i służysz tylko moim ludziom. Czy to jasne?

Spojrzała na niego przeciągle. Zbyt późno zastanowił się, co właściwie będzie chciał zrobić, jeśli dziewczyna odmówi.

– Zaczekam z pomocą przeciwnikom, dopóki nie powiesz, że jest bezpiecznie – oznajmiła w końcu. – Ale tylko dlatego, że inaczej mogłabym spowodować więcej szkód niż pożytku.

Odetchnął i skinął głową. Siedzieli tak długo, aż czerwona jak krew górna krzywizna Śniącej Luny zaczęła wypełniać niebo nad wąwozem.

– Boli cię? – spytał, kiedy minęło odpowiednio wiele czasu, by mogli przejść do bardziej intymnych spraw.

– Czuję niewygodę. Niewartą leczenia. – Wzruszyła ramionami. – Byłeś bardzo ostrożny. Dziękuję.

Dotknęło go, że Hanani nie spodziewała się po nim delikatności. Dotknęło go, że wydawała się kompletnie niewzruszona tym, co między nimi zaszło; zachowywała się, jakby była to kolejna lekcja snu. Dlatego rzucił bez namysłu:

– Żałujesz? Teraz, kiedy myślisz przytomniej?

Westchnęła, ale ku jego uldze pokręciła głową.

– A ty?

Poczuł w jej ciele lekkie napięcie; sprawiło mu zaskakującą radość. Lubiła go przynajmniej na tyle, żeby przejmować się tym, co o niej myśli.

– Tylko tego, że musisz wrócić do tej swojej Hetawy.

Te słowa przywołały na nowo jej smutek i spowodowały, że on sam oprzytomniał.

– Co będzie z nami? – spytał. – I z Hetawą? Westchnęła.

– Opowiem zwierzchnikowi o wszystkim, co zrobiłam. On zdecyduje, jak mnie ukarze, choć starsi z mojej ścieżki również będą mieli prawo głosu. Zbieracze też, zważywszy, że odebrałam człowiekowi życie. Rozejdą się plotki i moja reputacja ucierpi jeszcze bardziej. Niektórzy od zawsze twierdzili, że kobietom brak dyscypliny, by odpowiednio służyć Bogini, a ja udowodniłam, że mieli rację.

Nie spodobało mu się, że zbieracze będą mieli głos

w podejmowaniu decyzji o losie Hanani. Bardzo, ale to bardzo mu się nie spodobało.

– Co za absurd – powiedział z nonszalancją, której nie czuł. – Nie mogłabyś zostać dawcą, gdyby brak ci było dyscypliny.

– Jeszcze nim nie jestem. A teraz mogę nigdy nie zostać. Mni-inh... To on mnie popierał. I... – Zadrżała i zamilkła. Wanahomen poczuł, że przeszedł ją dreszcz.

– Twój mentor i ja nie darzyliśmy się przyjaźnią – przyznał ze skrępowaniem. Ale czuł, że dziewczyna słucha go uważnie. – Może dostrzegał we mnie mojego ojca. Ja na pewno widziałem w nim Hetawę, w tobie początkowo także. Ale był silny i zaciekły w swoich przekonaniach, nawet ja muszę przyznać, że go za to podziwiałem. Nie wyobrażam sobie, by taki człowiek mógł cię popierać, nie wierząc, że jesteś godna służyć Hananji.

– Co z tego, skoro nikt inny w to nie wierzy? – Głos Hanani był bardzo słaby. Brzmiała w nim tylko rezygnacja i Wanahomen w końcu zrozumiał, że dziewczyna tłumiała nie żal, lecz rozpacz, ciężącą jej na duszy jak stos kamieni. Nadal przeżywała żalobę, aczkolwiek szukała nietypowych metod odwrócenia uwagi od bólu. Tak niewiele wystarczyło, żeby na nowo rozdrapać jej rany.

– Zatem nie zasługują na twoje towarzystwo – warknął, rozgniewany w jej imieniu. – Ale zastanów się, zbieracze wybrali cię do wypełnienia bardzo ważnej misji, czyż nie? Twój mentor uważał cię za godną czerwonych szat, to rzucało się w oczy. Unte i Banbarrowie, a nawet moja matka, cię szanują, a jej szacunek trudno zdobyć, wierz mi.

Hanani nie odpowiedziała, ale Wanahomen poczuł, że mięśnie jej pleców trochę się rozluźniają. Zadowolony, zmienił pozycję i położył rękę na jej brzuchu.

– A... Banbarrowie tego nie rozumieją, ale nie dzielę łoża z każdą kobietą. Możesz stać się matką następnego księcia Gujaarehu.

W ciemnościach nie widział wyraźnie jej twarzy, ale wydawało

mu się, że odwróciła wzrok.

– Nie będzie dziecka – powiedziała. – To niewłaściwy czas.

Drgnął zaskoczony, ale przecież była uzdrowicielką; znała się na takich rzeczach. Przez chwilę czuł rozczarowanie; potem ochłonął.

– Nieważne. – Pogłaskał osłonięte spódnicą udo i dotknął jej policzka. – Choć jesteś śliczna i zachwycająca, jak wczorajszej nocy, nigdy nie zgodziłbym się na twoją prośbę, gdybym nie dostrzegł twojej siły i inteligencji i nie zapragnął ich dla moich następców.

Uśmiechnęła się dziwnie, choć z prawdziwym rozbawieniem.

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

– Podziękuj – powiedział z udawaną wyniosłością. – Mile widziana byłaby też pochwała moich umiejętności, nieskazitelnego gustu i umiejętności wyboru.

Ucieszył się, kiedy roześmiała się cicho, ale większą przyjemność sprawiło mu to, że objęła go ramieniem.

– Dziękuję, że jesteś dla mnie miły – szepnęła mu do ucha. Potem go pocałowała. Zaskoczony, przytrzymał ją i oddał pocałunek, jeszcze raz zdumiewając się tym, jak bardzo zatraciła się w tej chwili. Może dlatego, że przebywając z nim, łamała przysięgę; na jej miejscu też chciałby przeżywać każdy moment całym sobą. Po to, by móc powiedzieć, że opłaciło się zdradzić.

Dlatego westchnął, odsunął ją delikatnie i wyjął z fałd szat paczuszkę, którą przyniósł mu Charris.

– To ja dziękuję – powiedział, rozchylając zawiniątko. Hanani wstrzymała oddech na widok bransolety; nawet w nikłym świetle Śniącej zwisające wisiorki lśniły. Wanahomen zapiął ozdobę na kostce dziewczyny i musiał przyznać, że na tle jej bladej skóry prezentuje się nadspodziewanie pięknie.

– Ale dlaczego? – spytała, wreszcie poruszona jakimś jego czynem. Przynajmniej to mile połechtало jego dumę.

– Dałaś mi rozkosz – powiedział. Pogłaskał jej łydkę; tylko tam

ośmielił się jej dotknąć bez obawy, że straci nad sobą kontrolę. Mógł liczyć tylko na tę jedną noc, nic więcej. Uświadomił sobie, że to mu nie wystarcza. – I zaszczyt bycia twoim pierwszym kochankiem. Nawet pomijając twoją przysięgę, to coś wyjątkowego i znaczącego.

Pokręciła głową.

– Dar był obopólny, książę... Wanahomenie. Ty także dałeś mi rozkosz.

– To prawda. Ale Banbarrowie niczego nie dają za darmo... Zaskoczyła go, kładąc mu palce na ustach.

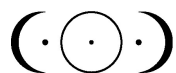
– Nie jesteś Banbarrą. – Podniosła się i stanęła nad nim, dzika i barbarzyńska, choć jej chłodna determinacja była bardzo gujaareńska. – Siostry mówią, że rozkosz to oddanie czci Hananji, ponieważ przynosi spokój. Dziś chciałam się modlić o szybkie zakończenie tej wojny. Jeśli chcesz... – Schyliła głowę, na chwilę znowu zawstydzona, choć spojrzała na niego spod rzęs tak, że cały jego żal zniknął – mo... możemy się pomodlić razem.

Odwróciła się na pięcie i zaczęła schodzić ścieżką, jej ruchy były bardzo niespokojne.

Była już w połowie drogi do obozu, kiedy do Wanahomena dotarło, co mu zaproponowała.

Wtedy popędził za nią na złamanie karku.

38. TAJEMNICE



Tiaanet i jej ojciec przebywali w wiejskiej posiadłości zaledwie pół dnia, gdy zjawili się służący z wiadomością, że do domu zbliżają się goście.

– Ośmiu żołnierzy, pani, i mężczyzna z włócznią – powiedziała przerażona dziewczyna. – Kisuanie.

Ojciec Tiaanet przygotowywał wyprawę w góry, gdzie armie wielmożów gromadziły się przed bitwą o Gujaareh. Nie było czasu ukryć juków ani stosów zapasów, złożonych na dziedzińcu. Trzeba było wymyślić jakąś historię.

– Zaproście ich do środka – rozkazała. – Przyjmijcie jak gości, ale jeśli będą o coś pytali, mówcie, że nic nie wiecie.

Dziewczyna skinęła głową i oddaliła się biegiem; drugi służący pozostał, równie zaniepokojony.

– Powiadom mojego ojca – poleciła mu Tiaanet, a on natychmiast odszedł.

Obyczaje shunhów nie pozwalały kobietom witać gości, gdy można było zlecić to służącym. Tiaanet stanęła naprzeciwko wejścia do pokoju powitalnego i zaczęła się zastanawiać, co zrobi, jeśli Kisuanie odkryją intrygę jej ojca. Z pewnością by go zabili, prawdopodobnie publicznie i powoli, z typową dla siebie brutalnością w wymierzaniu sprawiedliwości. Wówczas to ona objęłaby rządy nad rodem. Matka i Tantufi znalazłyby się pod jej opieką. Ale tak stałoby się dopiero, gdy Kisuanie uznałyby ją za niewinną. W tym celu musiała przekonująco odegrać niewiedzę. Gdyby schwytali innych spiskowców, na przykład tych wielmożów,

którzy rozmawiali o znowie w jej obecności, z pewnością w ich zeznaniach pojawiłoby się jej imię. Wtedy nie udawałaby nieświadomej, lecz zniewoloną przez ojca. A gdyby naciskali, pokazałaby im Tantufi, i wszystkie tajemnice wyszłyby na jaw. Gdyby jeszcze potrafiła coś czuć, pewnie poczułaby coś bliskiego radosnemu oczekiwaniu.

Usłyszała zamieszanie przed domem, podniesiony głos służącej, po nim odgłos uderzenia (dobrze znała ten dźwięk), a następnie krzyk zaskoczenia i bólu. Potem żołnierze pojawili się w pokoju powitań. Stali po obu stronach swojego przywódcy, a Tiaanet nagle zaczęła podejrzewać, że wcale nie przyszli po jej ojca.

Przywódca rzeczywiście miał przypasaną na plecach krótką włócznię, tak jak powiedziała służąca. U jego pasa kołysał się tradycyjny zakrzywiony miecz. Ale dziewczyna pochodziła z kasty służących, na niczym się nie znała; to oczywiste, że widziała tylko włócznię. Tiaanet zwróciła uwagę na zupełnie inne rzeczy, na przykład na to, że mężczyzna był niższy niż większość Kisuan, choć szczupły i muskularny, a okrągłe rysy zdradzały, że w jego żyłach płynie więcej niż kilka kropel zachodniej krwi. W przeciwieństwie do Gujaareńczyków i Kisuan przybysz miał rozpuszczone włosy, wygładzone olejkiem i przycięte równo przy uszach. A zamiast luźnej draperii z materiału, którą nosili na ramionach niemal wszyscy kisiańscy kapitanowie, osłaniał plecy grubą czarną zwierzęcą skórą, spiętą misterną broszą z kości słoniowej. Do stworzenia, z którego zdarto owo futro, należały zapewne także kły, które mężczyzna nosił jak naszyjnik.

Łowca, członek jednego z najstarszych i najbardziej szanowanych kisiańskich kast, choć ich chwała i liczebność nie były już takie jak przed stuleciami.

– Tyś jest panią Insurret z kasty shunhów, z rodu Insawe? – spytał przybysz i zastanowił się. Mówił z mocnym suijskim akcentem; Tiaanet, choć znała ten język, nie od razu zrozumiała jego urywane, zniekształcone słowa. – Nie, jesteś za młoda. Pewnie mam przed sobą jej córkę, panią Tiaanet.

– To prawda – powiedziała Tiaanet z ukłonem, który stanowił tylko uznanie rangi przybysza, nic więcej. – Z kim rozmawiam?

– Jestem Bibiki Seh Jofur, kisuański kapitan, ostatnio przydzielony Protektoratowi w Gujaarehu. Gdzie Insurret?

– Jest niedysponowana – odrzekła Tiaanet. Powtarzała to kłamstwo tak często, że przychodziło jej bez trudu, i wydawało się łatwiejsze niż pytanie, co się stało z jej odźwiernym. – Od jakiegoś czasu zarządzam jej sprawami za pozwoleniem jej i ojca. Czy mogę przekazać twoją wiadomość?

– Możesz odprowadzić mnie do jej komnat, a potem nam towarzyszyć.

Przez chwilę Tiaanet sądziła, że się przesłyszała.

– Moja matka...

– Teraz – przerwał jej Bibiki z uśmiechem, niezmiernie uprzejmy. – Przed nami daleka droga, a chciałbym wrócić do miasta przed zmrokiem.

– O co chodzi? – ubrany po domowemu Sanfi wszedł do komnaty. Ocierał rękami czoło po kąpielu. Tiaanet zauważyła jego strach, a to znaczyło, że ojciec wpadł w gniew i zachowa się opryskliwie. – Kim jesteś? Służący mówią, że...

– Ach, pan Sanfi – ucieszył się Bibiki. – Miło mi, że w końcu mogę cię poznać. Wiele o tobie słyszałem. – Dał znak dwom żołnierzom po swojej prawej stronie, którzy natychmiast minęli Sanfięgo i ruszyli w głąb domu. Sanfi zachłysnął się z oburzenia i zaczął protestować, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Co to ma znaczyć? – syknął.

– Wasi Protektorzy zażądali tej przysługi od wszystkich arystokratycznych rodzin z Gujaarehu. – Bibiki stanął w niedbałej pozie, z rękami założonymi do tyłu i dobrotliwą miną, która nikogo nie przekonała. – Okazuje się, że niektórzy gujaareńscy wielmoże, niestety, nie wiemy kto, zaczęli spiskować przeciwko naszemu rządowi. Trudno mi w to uwierzyć, zwłaszcza w przypadku rodzin takich jak twoja, które tak honorowo starają się dotrzymać

wierności ideałom naszej ojczyzny. Jednakże dopóki nie znajdziemy zdrajców, z żalem powiadamiam cię, że twoje kobiety na czas nieograniczony muszą skorzystać z gościnności Protektorów.

Na ledwie dostrzegalny sygnał Bibikiego jeden z pozostałych żołnierzy stanął obok Tiaanet.

– *Co za absurd!* – Sanfi spojrział na niego, na korytarz, w którym znikli dwaj inni żołnierze, i w końcu znowu na Bibikiego. Dygotał z gniewu, ledwie nad sobą panując. – Bierzecie je jako zakładniczki? Wiernie służyliśmy Kisui...

– Tak, tak – rzucił Bibiki i choć nie zmienił uprzejmego wyrazu twarzy, w jego głosie pojawiła się nuta, która przejęła Tiaanet dreszczem. – Wiernie, niewątpliwie. Nawiasem mówiąc, twoja domowa armia nie będzie sprawiała kłopotów, prawda? Jadąc przez twoje tereny, nie widzieliśmy żadnych żołnierzy. Jak bronisz się przed Banbarrami i innymi najeźdźcami?

Sanfi zamilkł; w oczach mężczyzny pojawiło się wyrachowanie. Jego prywatni żołnierze wyruszyli poprzedniego dnia, by dołączyć do wojsk stacjonujących w górach. *„Bibiki już o tym wie – uświadomiła sobie Tiaanet – w przeciwnym razie nie zjawiłby się w towarzystwie zaledwie ośmiu żołnierzy”*. Sanfi także to zrozumiał.

– *Kapitanie!* – zawołał w sua jeden z żołnierzy, którzy poszli w głąb domu. Dopiero teraz Tiaanet zdała sobie sprawę z prawdziwego niebezpieczeństwa. Po powrocie z miasta umieściła Tantufi na pewien czas w magazynie. Po zapadnięciu zmroku zamierzała ją przenieść do do mku w polu. Ale jeśli żołnierze przeszukiwali dom...

– Nie – szepnęła. Bibiki spojrział na nią uważnie, a potem ominął ich i ruszył w kierunku wołającego, by sprawdzić, co oni znaleźli. Do uszu Tiaanet dotarł szmer głosów, a po chwili mężczyźni znowu się pojawili. Jeden z nich trzymał za ramię Insurret. Drugi niósł Tantufi.

Tantufi nie mogła chodzić. Lata spędzone w przykutych do podłogi łańcuchach zrobiły swoje; dziewczynka miała rachityczne

nogi o zanikłych mięśniach. Choć w Gujaarehu pozwalano jej spać, lata bez prawdziwego wypoczynku odcisnęły się na tej zwiotczącej, przedwcześnie postarzałej twarzy, wychudłych kończynach, przerzedzonych włosach i szarej cerze, a przede wszystkim w ogromnych obłąkanych oczach. Żołnierz trzymał ją w ramionach, dziewczyna opierała się na jego biodrze. Jej głowa opadła do tyłu.

– Mama, mama, mama, mama... – szeptała. U jej kostki kołysał się łańcuch, który żołnierz musiał przeciąć, żeby ją uwolnić. Klucz od łańcucha Sanfi trzymał w sobie tylko wiadomym miejscu.

Tiaanet odruchowo zrobiła krok w stronę Tantufi, ale strzegący jej żołnierz chwycił ją za ramię i zatrzymał. Insurret, która wlokła się bez słowa protestu, na dźwięk głosu Tantufi drgnęła z odrazą.

– Co to tu robi?

Sanfi podszedł do Bibikiego.

– Nie możecie... – Kolejny żołnierz zatrzymał go, dobywając miecza. Sanfi natychmiast stanął.

– Panie – odezwał się Bibiki karcąco. Przyglądał się z jawną ciekawością Tantufi. – Powiedziano mi, że masz żonę i jedną córkę.

– Proszę... Moja żona jest chora. A to dziecko... – Spojrzał na Tantufi i odwrócił wzrok.

– Widać, że ona także. Proszę, pozwólcie odejść im i mojej Tiaanet.

W innym życiu, w innych okolicznościach Tiaanet mogłaby się uśmiechnąć. Ojciec nigdy by nie poprosił o nic dla Insurret, Tantufi ani dla niej samej.

– Co im dolega? – Bibiki uniósł głowę Tantufi z zaskakującą łagodnością i zajrzał w jej błyskające białkami oczy. Tiaanet nieco odetchnęła, widząc, że kapitan nie zamierza skrzywdzić dziewczynki.

– Chroniczna choroba – odpowiedział Sanfi. – Cierpią na nią niektóre kobiety z naszego rodu. Wymagają nieustannej opieki.

Bibiki spojrział na niego łagodnie.

– W mieście ją otrzymają.

Tiaanet zrobiła kolejny krok, uważając, by żołnierz nie przyciągnął jej znowu do siebie.

– Z całym szacunkiem, panie... To mój ojciec, ja i nasi służący wiemy, jak o nie dbać. W mieście...

– Nie zabieram ich do Hetawy, jeśli tego się boicie. Oczywiście my, łowcy, podobnie jak shunhowie, nigdy byśmy nie zrobili czegoś takiego. – Bibiki skinął głową żołnierzowi, dając mu znać, że teraz to on ma podtrzymać głowę Tantufi, co mężczyzna niezwłocznie uczynił. Potem na znak kapitana żołnierze prowadzący Tantufi i jej matkę ruszyli do wyjścia.

Nikt nie spodziewał się, że Insurret w ułamku sekundy oszaleje. Rzuciła się dziko na Tantufi, wyciągając do niej zakrzywione jak szpony palce.

– *Zabierzcie stąd tego potwora! Utopcie go, spalcie, zatłuczcie, zabijcie, zabierzcie go, zabierzcie go z mojej głowy, zabierzcie go z tego świata!*

Prowadzący ją żołnierz tak osłupiał, że rozluźnił chwyt. To jej wystarczyło, by się mu wyrwać i chwycić Tantufi za pasma rzadkich włosów. Szarpnęła za nie brutalnie, najwyraźniej zamierzając złamać kark dziewczynce. Jej twarz wykrzywił ohydnie radosny grymas, a głos stał się upiornym skrzeczeniem:

– Utopcie, spalcie, zatłuczcie...

– *Nie!* – Tiaanet chwyciła ją za ramię, zanim matka zdążyła po raz drugi szarpnąć pukle Tantufi. – *Matko, nie!*

Żołnierz znowu złapał Insurret i odciągnął ją od córki, ale ona wczepiła się we włosy dziewczynki jak pijawka, warcząc coś niezrozumiałego. Z nich wszystkich tylko Tantufi zachowała milczenie i spokój, choć Insurret zdołała pociągnąć ją po raz drugi. Sanfi przystąpił do nich ze złowróbnym grymasem; Bibiki sięgnął po krótką włócznię.

Tiaanet straciła cierpliwość.

Stanąła przed obłąkaną Insurret, zmuszając, by kobieta spojrzała na nią.

– Właśnie za to cię znienawidził – powiedziała.

Matka odskoczyła od dziewczynki. Przestała walczyć; ręce jej opadły.

– C-co?

– Spójrz na siebie. – Tiaanet nasyciła głos pogardą; przyszło jej to bez trudu. – Egoistyczna, ziejąca nienawiścią bestia, ślepa na ból własnych dzieci, tak wściekła, że mogłaby je zamordować. Kto by cię chciał?

W oczach Insurret stanęły łzy.

– Ale... ale... – Grymas wykrzywił jej twarz. Puściła włosy Tantufi i zakryła twarz ręką.

– Nie rozumiesz, co czułam. Nosiałam cię, twoje sny wiecznie we mnie szeptały, szarpiąc i popychając moją duszę... – Ale potem jej nastrój znowu się zmienił, szybko jak sen, i spojrzała wściekle na Tiaanet spomiędzy palców. – Ach, jak mogłam zapomnieć. Przecież dobrze wiesz, co się wtedy czuje, nieprawda? Ty zdraдлиwa suko.

Odchyliła się i pewnie splunęłaby na Tiaanet, gdyby ta nie uderzyła jej w twarz tak mocno, że cios przekreślił jej głowę. Insurret zamrugnęła, oszołomiona. Tiaanet zwróciła się do Bibikiego.

– Jak widzisz, panie, mój ojciec mówił prawdę. – Usiłowała mówić spokojnie, ale bez skutku. To, co Insurret zrobiła Tantufi, obudziło w niej gniew, prawdziwy gniew. Furia dodała mocy jej głosowi. – Tylko on i ja potrafimy się właściwie zająć tymi członkami naszej rodziny.

Bibiki patrzył na nią w osłupieniu. Przeniósł wzrok na Tantufi, potem znowu na nią i zmrużył swoje bystre oczy łowcy.

– Rozumiem – powiedział cicho. – To dziecko jest twoją córką, nie siostrą.

Tiaanet nie odpowiedziała, choć w jej wnętrzu rozluźnił się jakiś

wielki supeł. Czy to ulga? Może i tak. Musiała bardzo nad sobą panować, żeby nie uśmiechnąć się do Bibikiego.

„*Mów dalej* – pomyślała błagalnie, chciwie. – Tak wiele widzisz, tak dużo rozumiesz, łowco.

Widzisz także resztę, prawda? Powiedz to na głos”.

Sanfi zeszywniał, choć nie przestał się uśmiechać.

– Słusznie zgadujesz, panie – powiedział z takim właśnie zażenowaniem, jakie powinno zabrzmieć w tej sytuacji: szacowny arystokrata, zmuszony do wyznania wstydliwego, choć mało znaczącego rodzinnego sekretu. Tiaanet zastanawiała się, czy od sześciu lat ćwiczył te słowa w wyobraźni. – Gdy dowiedzieliśmy się o jej stanie, wysłaliśmy ją na rok do krewnych w Kisui. Jakiś miejscowy chłopak, zupełnie nieodpowiedni. Musieliśmy zadbać o jej szanse zamążpójścia. Z pewnością rozumiesz, jeśli masz rodzinę.

– Na razie nie mam – odparł Bibiki, patrząc na niego z zimną pogardą. – Ale gdybym miał, wątpię, żebym okazał się tak zdeprawowany, by zapłodnić własną córkę.

Tiaanet przymknęła oczy, rozkoszując się uwolnieniem od tajemnic. Pokochałaby tego Bibikiego, gdyby potrafiła kochać kogoś poza Tantufi.

Sanfi wzdrygnął się po raz pierwszy, odkąd pamiętała, naprawdę był wstrząśnięty.

– Ale... – zaczął. Otworzył usta jeszcze parę razy, lecz w końcu zrezygnował. Może akurat tej odpowiedzi nie przećwiczył.

Bibiki pokiwał głową.

– No tak. Masz wiele rzeczy do przemyślenia, panie Sanfi. – Odwrócił się i dał znak żołnierzom, żeby poszli za nim. Ten, który stał najbliżej Tiaanet, wyciągnął rękę, by ją pociągnąć za sobą. Ruszyła, zanim jej dotknął.

– Tiaanet – odezwał się Sanfi z bólem. Dziewczyna obejrzała się na niego. Zrobił krok w jej stronę. – Tiaanet, nie chciałem... to nie

było... Przecież rozumiesz, prawda?

Nigdy nie rozumiała. Przez te wszystkie lata, odkąd po raz pierwszy do niej przyszedł, i po wszystkich późniejszych okrucieństwach nigdy nie rozumiała, co go pchnęło do zrobienia tego, co zrobił. Po jakimś czasie przestało ją to obchodzić, bo czy zrozumienie cokolwiek zmieniało? Ale nawyk posłuszeństwa, zadowalania ojca zakorzeniły się w niej zbyt głęboko, nawet teraz to odczuwała.

– Rozumiem, ojciec – odpowiedziała. Jego twarz rozjaśniły ulga i radość.

– Nie martw się – rzucił zaciekle. – Jeśli będzie trzeba, pójdę do samych Protektorów, żeby cię uwolnić. Nie martw się.

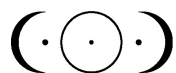
Wcale się nie martwiła. Nie obchodziło ją, co się stanie z nią, z nim czy Insurret. Nie obchodziło jej, co Kisuanie, którzy nigdy nie zrobili jej krzywdy, myślą o tym, że ma dziecko z własnym ojcem. Już teraz okazali Tantufi więcej dobroci i troskliwości niż jej własna rodzina. Nie mogło jej spotkać nic gorszego, niż do tej pory ją spotkało.

Ale skinęła głową ojcu. Nadal mógł się jej przydać. Potem zbliżyła się do Tantufi. Bibiki przyglądał jej się w zamyśleniu podczas tej rozmowy, jakby słyszał jej myśli.

Może i tak; nigdy nie starała się ich ukrywać. (Nigdy nie musiała. Sanfi i tak widział tylko to, co chciał widzieć). Kiedy skinął jej głową w geście, który mógł wyrażać szacunek lub zwykłą kurtuazję, odpowiedziała tym samym. Jego też mogła kiedyś potrzebować. Tej ważnej lekcji udzielił jej dawno temu ojciec: każdego można wykorzystać. Nikomu nie można ufać.

Kisuanie wyszli, prowadząc Tiaanet, jej matkę i córkę.

39. WYBUCH WOJNY



– Wstawaj, myszko – rozległ się głos Yanassy. – Wiem, że ten głupiec nie dał ci spać, ale masz dużo do zrobienia.

Hanani usiadła, mrugając nieprzytomnie. Przykrywał ją lekki materiał. Miejsce wśród poduszek, które zajmował Wanahomen, było puste. Książę wyszedł, zostawiając za sobą niezawiazaną klapę namiotu.

– Wejdz – powiedziała Hanani w chakti. Yanassa zajrzała do środka, po czym weszła.

– Opuścił namiot przed świtem – odezwała się łagodnie, zauważywszy zagubienie Hanani. Uklękła przy niej i zaczęła rozplatać jej włosy. – Przed wyruszeniem wojsk musimy poczynić wiele przygotowań. *Ach, dał ci ją!* – Hanani wysunęła nogę spod materiału. Yanassa wskazywała bursztynową bransoletę.

Dziewczyna poczuła gorąco na policzkach, ale powstrzymała się przed schowaniem nogi.

Nie miało to sensu, skoro Yanassa już ją zobaczyła.

– Tak.

Kobieta poklepała ją po ramieniu.

– Oczywiście powinien ci ją dać od razu, ale nie miej mu tego za złe. Nie nauczono go właściwych manier. Teraz rozumiesz, jak mają wyglądać sprawy między wami? – Rozczesała włosy Hanani i wstała, by przynieść nowe ozdoby ze szkatułki na klejnoty.

– Jakie sprawy? – Zaskoczona Hanani sięgnęła po bandaż na piersi i zaczęła szukać końca z węzłem. Po śmierci Mni-inha Yanassa przyszła, by ją pocieszyć i przeprosić za ostre słowa

o Shadounce. W Gujaarehu musiałyby jeszcze przeprosić Boginię za niespokojną chęć ujrzenia gwałtownej śmierci innej osoby. Niemal z całą pewnością wymagano by od nie j złożenia dodatkowej daniny i poddania się rytuałowi oczyszczenia w Hetawie lub przynajmniej jakiejś pokrewnej świątyni. Ale tu, na pustyni, wystarczały same przeprosiny i Yanassa wróciła na ścieżkę przyjaźni, tak jakby nic się nie wydarzyło. Hanani starała się dotrzymać jej kroku.

– Nie możesz sypiać z innym mężczyzną przez miesiąc albo do pojawienia się miesięcznego krwawienia – wyjaśniła Yanassa, przesuwając palcami po włosach Hanani. Skręcone pasma sploty się w kędziory, z którymi na szczęście umiała się obchodzić. – Mężczyzna zasługuje choć takiego potwierdzenia jego wartości, zanim z nim skończysz. Teraz oczywiście już wiesz, że nie musisz znowu zapraszać go publicznie. Możesz też odwiedzać jego namiot, jeśli najdzie cię taka ochota, a pani jego an-sherratu wyrazi zgodę... – Nagle westchnęła.

– Choć znam Wanę, przez tę wojnę pewnie ci odmówi. Nigdy nie pozwalała sobie na przyjemności, gdy jego ludzie muszą się bez nich obywać.

Hanani pożegnała się z nadzieją, że będzie jej dane ubrać się bez utraty godności. Objęła kolana ramionami i pozwoliła Yanassie zadbać o swoją fryzurę. Wanahomen poświęcił jej w nocy wiele godzin, głaszcząc ją i pieszcząc długo po tym, jak przeminęła pierwsza namiętność. *„Chcę, żebyś za mną tęskniła, gdy już wrócisz do Hetawy – powiedział, robiąc z nią rzeczy, które odbierały jej oddech i na nowo budziły żądzę. – Jeśli musisz znieść karę za to, że dzieliłaś ze mną łóżko, to przynajmniej powinienem dać ci rozkosz wartą swojej ceny, nie sądzisz?”* I dawał jej coraz więcej, aż w końcu zapadła w nieprzytomny sen bez snów.

Uznała, że to dobre pożegnanie.

– Nie będzie następnego razu. – Jej głos zabrzmiał prawie jak szept. Yanassa znieruchomiała.

– Chciałam cię ostrzec, żebyś się w nim nie zakochała –

powiedziała ze współczuciem. – Jest zbyt powściągliwy; nietypowo jak na mężczyznę. Ale czy miłość nigdy ci nie zagroziła?

Hanani zacisnęła pięści. Nie potrafiła wyrazić tego, co w niej kipiało. Wanahomen popełnił wobec niej pełną czwórkę przewinień, ale od tego czasu był na swój szorstki sposób uważny, nawet życzliwy. Ta rozważność zbijała ją z tropu; życzliwość zmieniła jej gniew w coś zupełnie innego. Zaniepokoiła ją świadomość, że kiedy to wszystko się skończy, straci i jego równie nieodwracalnie, jak Mni-inha i Dayuhotema.

Ale pod jednym ważnym względem Wanahomen nigdy nie będzie ich przypominał. Jeśli nie straci życia na tej wojnie, mogą się już nigdy nie zobaczyć, ale przynajmniej będzie miała tę kojącą świadomość, że księżę gdzieś żyje.

Yanassa westchnęła, uznając jej milczenie za odpowiedź.

– Cieszę się, że mój lud nie wyznaje na serio nauk twojej Bogini – powiedziała w końcu.

– Zbyt wiele od was wymaga.

– Daje nam wielką moc. To sprawiedliwe, że także wiele żąda.

Yanassa prychnęła.

– Nie ma w tym sprawiedliwości.

Przypięła coś do włosów Hanani i stanęła przed nią.

– Czy nie możesz opuścić swojej Hetawy? Przyjęlibyśmy cię do plemienia.

Hanani zdziwiła się tak bardzo, że zapomniała się obrazić.

– Hetawa wychowywała mnie, odkąd skończyłam sześć powodzi. Jest moim domem.

Słudzy Hananji to jedyna rodzina, jaką znam.

– *Rodzina robi to, co jest dla ciebie najlepsze!* Jaka rodzina karze kobietę za podążanie za jej naturą? Dowiedziałaś się, ile jesteś warta, znalazłaś w sobie dumę. Gdybyś żyła wśród nas, mogłabyś wychować synów i córki, zbudować własny klan dzięki swoim uzdrowicielskim umiejętnościom, żyć wśród ludzi, którzy będą cię

szanowali tak, jak na to zasługujesz. Czy twoja Hetawa ci to da?

– Nie synów i córki, a wszystko, co zarobię, przejdzie na jej własność, ale... – Hanani urwała, zastanawiając się nad słowami Yanassy. Kiedy wróci do Hetawy, jeśli w ogóle pozwolą jej znowu służyć, dostanie karę za swoje czyny. Gdy w pełni odpokutuje, może pewnego dnia dostąpi zaszczytu otrzymania statusu dawcy. Wtedy dzięki umiejętnościom zyska reputację, zyska akolitów i praktykantów, pozna głębsze tajniki swojego rzemiosła, może nawet awansuje do Rady Ścieżek...

Zmarszczyła brwi zaniepokojona. Może to naturalna droga dla każdego służącego Bogini mężczyzny, ale czy dla niej też? Jaki akolita zechce jej służyć po Dayu? Jaki praktykant zechce samotną chorą kobietę za mentorkę? Czy kiedykolwiek zyska taki szacunek wśród braci ścieżki, by reprezentować ich w ważnych hetawskich sprawach? Nawet Mni-inh nie zdołał tego osiągnąć, a nie miał utrudnień w postaci kontrowersyjnego statusu.

Ale myśl o Mni-inhu uciszyła jej wątpliwości.

– To moja rodzina – odezwała się pewniej. – Mój mentor poświęcił pół życia na uczenie mnie i zbudowania wiary we mnie. Chciał, żebym nosiła rubinowy naszyjnik i została prawdziwym uzdrowicielem. Nie mogę o tym po prostu zapomnieć.

Yanassa westchnęła i przysiadła na piętach.

– To potrafię zrozumieć. Czasem szacunek dla rodziny wymaga, by własne potrzeby odeszły w niepamięć. – Zebrała resztę ozdób i wstała, by je schować. Hanani spojrzała w lustro.

Jej loki zostały szesane do tyłu i związane pierścieniem z zachodzących na siebie płytek z brązu. Dobra podróżna fryzura. Ale potem zauważyła wśród swoich kędziorków czerwony sznureczek. Przesunęła po nim palcami i zorientowała się, że został wpięty we włosy. Obok niego znajdował się drugi.

– Jeden to twoje miesięczne cykle – wyjaśniła Yanassa, odpowiadając na jej pytające spojrzenie. – Drugi – twoja dziewicza krew. Trzeci pojawi się, gdy urodzisz dziecko. Czwarty

na zakończenie cykli. To znaczniki.

– Znaczniki...?

– Aha. Mężczyźni z wielkim hukiem obchodzą rytuał dwunastego roku. Robią coś ze swoimi penisami, tańczą z wujami i braćmi, stękają, pierdzą i mówią sobie, że są mężczyznami. Kobietom wystarczy, że spojrzą na swoje ciało. – Yanassa zamknęła szkatułkę i wróciła do Hanani. Położyła jej ręce na ramionach i uśmiechnęła się do jej odbicia w lustrze. – Wybacz, może macie własne gujaareńskie obyczaje w takich sprawach. Nie chciałam cię obrazić. My uważamy te sznurki za symbol kobiecości. – Odwróciła się, żeby pokazać trzy czerwone nitki, wplecione w jej warkocz.

Hanani nie miała pojęcia, czy Gujaarenki mają podobne obyczaje. Spojrzała na sznurki Yanassy, potem na swoje i na chwilę świat jej się zamglił.

– Je... jeden kapłan z Hetawy – zaczęła. Gardło jej się ścisnęło, więc urwała i wzięła głęboki oddech. – ...powiedział, że nigdy nie będę prawdziwą kobietą.

Yanassa otworzyła usta.

– A co, na cienie, kapłan może wiedzieć o kobiecości? Chyba nie przejęłaś się tymi bredniami?

– No...

Kobieta jęknęła i obróciła Hanani twarzą do siebie.

– Posłuchaj no mnie. Stajesz się kobietą, gdy dasz powody do dumy swojemu klanowi czy tej twojej Hetawie, nieważne. Gdy szcycisz się swoją urodą, doskonalisz moc swojego ciała, opiekujesz się światem lub przynajmniej najbliższą okolicą... Te sznurki to tylko symbol najbardziej oczywistych etapów. – Uśmiechnęła się krzywo. – Zawsze mówiłam, że powinno być ich więcej, jeden za znoszenie głupców, jeden za każde bezczelne dziecko, ale niestety, wtedy nasze głowy znikłyby pod czerwonymi kłębami.

Hanani uśmiechnęła się mimo woli, ale gardło znowu szybko jej się ścisnęło. Przełknęła ślinę i wypuściła sznurki, które na powrót ukryły się w jej włosach. Postanowiła uwolnić coś jeszcze.

– Yanasso, dziękuję. Jeszcze ciągle nie całkiem cię rozumiem, ale byłeś dla mnie dobra, i to liczy się najbardziej. – Coś przyszło jej do głowy. – Wszystkie te przedmioty... Nie mogę zabrać ich ze sobą. Czy mogę podarować je tobie?

Yanassa drgnęła i spojrzała na nią rozszerzonymi oczami.

– Dałabyś mi tak wiele? Przecież nawet nie jestem z twojego klanu.

– Tam, skąd pochodzę, rodzina to kwestia serca, nie więzów krwi. Uważam cię za przyjaciółkę, jedyną, jaką miałam. To liczy się dla mnie o wiele bardziej niż bogactwo.

Yanassa pokręciła głową i uścisnęła ją.

– Zrobiłam tylko tyle, ile wypadało – szepnęła jej do ucha. – Każda kobieta może stawić światu czoła w samotności, ale czy koniecznie musimy?

Hanani odpowiedziała mocnym uściskiem. Powtarzała sobie, że nie może pragnąć niemożliwego. Udało się jej tylko częściowo.

W końcu Yanassa puściła ją, pociągnęła nosem i otarła oczy perfumowanym rękawem.

– No tak. Jeszcze trochę i wojsko cię zostawi.

Hanani skinęła głową, nie ufając własnemu głosowi. Wróciła do pakowania. Kiedy skończyła, nie zapełniła całych juków, choć włożyła do nich swoje hetawskie odzienie, małe przybory toaletowe i akcesoria lecznicze, a także pakunki racji żywnościowych, które Yanassa przyniosła jej od kwatermistrza.

– A to? – spytała Yanassa, pokazując szkatułkę z biżuterią.

– To także twoje.

– Co? Nie, potrzebujesz tego... Ach, każą ci znowu nosić ten głupi czerwony strój, tak?

Hanani skrzywiła się lekko, ale wytłumaczyła sobie, że na tym polega ryzyko przyjaźni z barbarzynką.

– W Hetawie odgrywam rolę mężczyzny. Gdy w Gujaarehu mężczyzna idzie drogą żeńską albo kobieta męską, muszą przybrać

odpowiedni wygląd.

Yanassa przewróciła oczami.

– Dadzą ci też penisa z gliny i wielkie jądra z brązu? Uważaj, bo Wanahomen mógłby się bardzo pogniewać, gdyby twoje były większe. A będzie porównywał, wierz mi.

Ta myśl była tak idiotyczna, obraz, który przywołała, tak komiczny, a charakterystyka Wanahomena tak trafna, że Hanani mimo woli zachichotała.

– *Nie, skąd!*

– No, w takim razie... – Yanassa podeszła do juków, otworzyła jeden z nich i wrzuciła do niego biżuterię Hanani. – Widywałam mężczyzn z twojego kraju. Lubią ozdoby tak samo, jak kobiety. I jeszcze to, mężczyźni malują oczy, prawda? To znaczy, że ty też możesz. – W ślad za kasetką do juków trafiły także kosmetyki.

Hanani nie wiedziała, czy się śmiać, czy rwać włosy.

– Mężczyźni nie malują ust.

– *To niech zaczną!*

Yanassa zamknęła juki, podeszła do Hanani i wzięła ją za rękę. Dziewczyna nie od razu opanowała rozbawienie na tyle, żeby dostrzec jej powagę.

– Nie zapominaj, kim jesteś, gdy tam wrócisz – powiedziała kobieta z naciskiem. – Skoro musisz, wróć tam na własnych warunkach. Służ waszej Bogini na swój sposób.

Hanani spoważniała i odwróciła wzrok.

– Laikom wydaje się, że tak można. Ale jestem sługą Hananji. Mam pogwałcić tradycję, zakłócić hetawski porządek i twierdzić, że podążam ścieżką spokoju?

– Nigdy nie będziesz mężczyzną, Hanani, choćbyś nie wiadomo jak ściśle bandażowała sobie piersi. Nie chcesz być mężczyzną. A oni mogą cię nigdy nie przyjąć, choćbyś wiernie stosowała się do ich zasad i naśladowała ich zachowanie. *Więc dlaczego nie pogodzisz się z tym, że jesteś, kim jesteś? I wtedy służ tej waszej Bogini, jak ci się*

podoba!

Hanani milczała, zaskoczona samą tą myślą. Potem zrozumiała coś po raz pierwszy: to, co zrobiła, będzie uznane za precedens, jeśli jakaś inna kobieta zechce wstąpić do Hetawy. Każda jej decyzja, każde osiągnięcie ustanowią nowy schemat.

Yanassa miała rację także w innej sprawie. Hanani ciągle starała się postępować tak jak jej bracia dawcy. Pracowała ciężiej, uczyła się dłużej, ograniczała się i upokarzała, by stać się doskonałą, a jednak Yehamwy nadal się jej bał. Inni bracia uważali ją nie za służącą Hananji, lecz kobietę, która udaje, że potrafi odgrywać tę rolę.

Nie ma spokoju w dalszym robieniu tego, co już okazało się niewykonalne. Czasami sama tradycja mąci spokój i tylko coś nowego może wyprostować drogę.

Ktoś zapukał w klapę namiotu i jakiś mężczyzna zawołał Yanassę.

– *Jestem!* – zawołała kobieta i do namiotu zajrzał młodzieniec niewiele starszy od Hanani o widocznych nad zasłoną najpiękniejszych na świecie oczach z długimi rzęsami. Powiedział coś w chakti. Yanassa skinęła głową. Młodzieniec uklonił się także Hanani i zniknął.

– Ładny, prawda? – powiedziała Yanassa z uśmiechem do zapatrzonej dziewczyny. Hanani oblała się rumieńcem.

– M-ma ładne oczy.

– *Ha!* Nie patrz więcej na niego, myszko, jest mój. Garnrcarz, więc nie pójdzie na wojnę, dzięki bogom. Wana był ostatnim wojownikiem, z którym się zadałam, i wybił mi z głowy myśli o innych. – Odwróciła się i wzięła jedną z sakw, dając Hanani znak, żeby podniosła drugą. – A garnrcarz ma zręczne ręce również gdy idzie o inną sztukę...

Hanani zakryła usta ręką, żeby zdusić śmiech.

– *Yanasso!*

– No co, to prawda. – Kobieta uśmiechnęła się pod nosem i uniosła klapę namiotu. – Więc chodź ze mną, a pokażę ci coś

wyjatkowego.

Hanani podążyła za nią, pozdrawiając po drodze tych Banbarrów, z którymi kiedyś rozmawiała lub których uleczyła. Paru nie odpowiedziało; zwłaszcza kilka młodych kobiet ostentacyjnie lekceważyło ją, odkąd spędziła pierwszą noc z Wanahomenem. Ale pozdrowień było więcej i Hanani zorientowała się z zaskoczeniem, że poznała wielu mieszkańców obozowiska, nawet jeśli trudno by to nazwać prawdziwą przyjaźnią. Przebywała między nimi od miesiąca; wydawało się, że o wiele dłużej.

Dotarły na krawędź wąwozu, gdzie Hanani zatrzymała się zdumiona, pełna podziwu.

Cały wąwóz od ściany do ściany, a także drugi brzeg rzeki wypełniały rzędy mężczyzn. To zbiorowisko musiało chyba stanowić tylko część armii, bo poruszało się powoli, opuszczając wąwóz. Hanani niemal czuła smak gotowości bojowej wojowników, który bił od nich jak kurz, wzbijany kopytami ich koni. Było to wyjątkowo niespokojne uczucie, a jednak nie potrafiła się go pozbyć. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu poczuła przypływ energii i nadziei. Ci wojownicy z pewnością pomogą wyzwolić Gujaareh. Z pewnością dzięki nim kraj znowu pogrzeży się w spokoju na kolejny tysiąc lat.

Yanassa niespodziewanie sięgnęła pomiędzy fałdy swojego stroju i wyciągnęła ukryty nóż. Uniosła go nad głowę i wydała rozziewający uszy śpiewny krzyk:

– *Bi-ju-eh!*

Zanim Hanani zdołała oprzytomnieć, wokół niej rozległy się inne głosy; większość kobiet z plemienia niepostrzeżenie stanęła obok nich, odprowadzając wzrokiem wojowników. One także unosiły broń i wydawały ten nieludzki krzyk.

Ktoś dotknął ramienia Hanani. Dziewczyna odwróciła się i ujrzała Hendet.

– Śpiewaj – powiedziała kobieta niskim głosem z arystokratycznym gujaareńskim akcentem. – Za zwycięstwo

wojowników. Za spokój i niewiele ofiar, jeśli to bardziej cię przekonuje, i za szybki koniec tego całego zamieszania. Możesz to uznać za modlitwę, ale śpiewaj. – I ku zdumieniu Hanani także królowa wydała niższy, choć nie mniej barbarzyński krzyk. Coś w sua.

Obyczaj wydawał się dziwny, ale Hanani zrozumiała jego znaczenie. Nie miała broni, ponieważ od czasu incydentu z Azimą nie zgodziła się jej nosić, to by tylko przypominało jej o bólu. Ale przecież zabiła Banbarę gołymi rękami, prawda? Magia to jednocześnie pożyteczne narzędzie i śmiercionośna broń, tak jak nóż, gdyż jest darem Bogini. Dlatego dziewczyna uniosła z wahaniem rękę. Zamknęła oczy, nabrała tchu, odrzuciła wszystkie obawy o przyzwoitość i dołączyła do pożegnania. Wzywała Hananę, czyniąc z jej imienia modlitwę. *„Niech wkrótce znowu zapanuje spokój we mnie i we wszystkich tych ludziach, a kiedy to uczynisz, nie odbieraj mi już nic więcej”*.

Kiedy zabrakło jej tchu, a pieśń innych kobiet zaczęła cichnąć, poczuła na ramieniu dotyk Yanassy. Obie skłoniły się na pożegnanie Hendet, która odwzajemniła ten gest z królewskim dostojeństwem, po czym pobiegły do drabin i zeszły na dół. Niespokojny Tassa czekał na nie przy zagrodzie, trzymając wodze osiodłanego konia Hanani. Wraz z dwoma innymi chłopcami szybko pomógł jej przytroczyć juki do siodła. Potem dziewczyna dosiadła Dakhy, która niecierpliwie przebierała nogami, chcąc dogonić swoich przyjaciół. Ostatni wojownicy opuszczali wawóz, a za nimi podążali kowale, myśliwi i ci wszyscy, którzy postanowili wyruszyć z armią jako wsparcie.

Gotowa do drogi Hanani spojrzała na Yanassę i Tassę. Gardło jej się ścisnęło.

– Yanasso...

Kobieta pokręciła głową.

– Bez pożegnań. To przynosi pecha.

Dziewczyna skinęła głową, ale nie mogła się powstrzymać przed

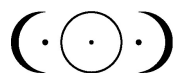
wypowiedzeniem słów błogosławieństwa.

– Idź w Jej spokoju we śnie i na jawie. Wiedz, że spotkamy się na tym lub innym świecie. Yanassa uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Zobaczymy się na tym świecie, niemądra dziewczyno. Gdy Wana odbije swoje miasto, przyjadę tam, żeby wzbogacić się na handlu. Obiecuję, że odnajdę cię w Hetawie. *I lepiej, żebyś nosiła przynajmniej kolczyki!* A teraz jedź.

Hanani przełknęła ślinę i wyprostowała się, jak przystało wartościowej kobiecie i słudze Hananji, po czym popędziła klacz, by dołączyć do maszerującego wojska.

40. PRZYMIERZE



Armia Banbarrów, jadąca z wiatrem i kierująca się zapachem zieleni, szybko dotarła do Sabesst na zachodnim gujaareńskim przedgórzu. Sabesst była nieprzyjazną kamienistą doliną o stromych zboczach z bardzo wąską drogą. Gujaareńska legenda głosiła, że to tutaj Merik, bóg, który wyciosał góry, niegdyś odłożył swoje narzędzia, by się zdrzemnąć. Było to jedno z niewielu miejsc na przedgórzu, gdzie wojska mogły się przegrupować, nie zwracając na siebie uwagi.

Jadący na czele kolumny Banbarrów Wanahomen przeprowadził ich przez środek obozu sprzymierzeńców, starając się nie krzywić z pogardą na widok byle jak skleconych zagród, bezrozumnie rozsianych namiotów czy malutkiej kuźni, która wydawała się nieprzystosowana nawet do podkuwania koni. Jedynym plusem, jaki dostrzegł, były rozmiary tego zgromadzenia, niemal trzykrotnie przewyższającego liczebnością jego Banbarrów. Ale ci ludzie, których dostrzegł Wanahomen, prezentowali się żałośnie. Nie tworzyli formacji, nie ćwiczyli musztry. Większość zjawiała się samowolnie, by pogapić się na przybyszy. Nosili różne barwy i herby, symbolizujące ich podległość tej czy innej arystokratycznej rodzinie; nikt nawet nie próbował ujednoczyć ich wyglądu, dając im takie same wstęgi czy kolory. Co gorsza, Wanahomen zauważył niepokojąco wielu mężczyzn w podeszłym wieku albo też młodzieńców, którzy dopiero wyszli z wieku chłopięcego. Niektórzy byli zbyt wątli, by podnieść miecz, albo tak grubi, że udźwignąć ich mogły tylko największe konie.

– Z czymś takim chciałeś iść na Kisuan? – spytał Ezack w chakti.

Rozważnie zniżył głos, może po to, by nowi sprzymierzeńcy nie usłyszeli brzmiającej w nim pogardy. – Sporo z nich należałoby wysłać na pustynię, żeby umarli i przestali być ciężarem dla reszty.

Wanahomen podzielał to go lekceważenie, ale nie odważył się go wyrazić. Mieli tylko takich żołnierzy. Nie mógł wybrzydzać.

– Wielu z nich to najemnicy – powiedział i poprawił się, kiedy Ezack spojrział na niego pytająco: – Nie są prawdziwymi wojownikami. Raczej przypominają niewolników, są posłuszni temu, kto ich karmi.

Ezack prychnął z niesmakiem.

– Każą niewolnikom walczyć za siebie? I to nas nazywacie barbarzyńcami?

Wanahomen rozejrzał się i dostrzegł parę budzących nadzieję oznak. Nie wszyscy żołnierze wylegli na spotkanie Banbarrów. Spora ich liczba przyglądała się im z namiotów. Ci mężczyźni byli w lepszej kondycji, a ich oczy wyrażały coś więcej niż ciekawość i zdumienie. Szczególnie uważnie przyglądali się Wanahomenowi, gdyż tylko on miał na sobie szaty indygo i jechał na czele kolumny; pozostali przywódcy znajdowali się wśród własnych ludzi. Żołnierze z obozu go rozpoznali.

– Tam – odezwał się do Ezacka, starannie omijając wzrokiem mężczyzn, o których mówił. – Tam są prawdziwi żołnierze, mężczyźni z kasty wojowników i ci, którzy niegdyś należeli do armii Gujaarehu. Miałem nadzieję, że zobaczymy ich choć kilku. Oni nadrobią to, czego nie dostaje innym.

Ezack zamilkł i przyjrzał się w zamyśleniu żołnierzom. Wyprostował się lekko, jakby chciał zrobić na nich wrażenie.

Przed nimi znajdowała się grupa większych namiotów, każdy w ozdobnym gujaareńskim stylu – z żółtego materiału z frędzlami ze skóry i złotych nici, trzy razy większe od najwspanialszych banbarryjskich domostw.

Wanahomen, który przez dziesięć lat na pustyni wyćwiczył sobie oko, nie mógł nie czuć pogardy wobec takiej rozrzutności. Te polowe

pałace rozbijało się i zwijało godzinami i pewnie trzeba było je transportować na grzbietach licznych zwierząt jucznych. Cienki lśniący materiał wyglądał ładnie, ale przepuszczał nocny chłód i upał dnia.

Mimo to książę opanował pogardliwy grymas, i to w samą porę, bo draperie w wejściu namiotu poruszyły się i jego sprzymierzeńcy wyszli, by go powitać. Nie spodziewał się ich tak wielu, prawie dwudziestu, w różnym wieku, z różnych kast, choć przeważnie bogato odzianych i dostojnych.

– Zatem wśród twojego ludu są przywódcy wojenni? – spytał inny Banbarra.

– Raczej przywódcy plemion.

– Nie uśmiechają się – zauważył Ezack. – Nie potrafię zgadnąć, jakie myśli ukrywają te kamienne miny. Niektórzy wyglądają, jakby chcieli cię zabić.

Wanahomen uśmiechnął się pod nosem.

– Bo pewnie chcą.

– A, czyli mają trochę rozumu.

Książę nie odpowiedział i podniósł pięść, sygnalizując, by żołnierze się zatrzymali. Jego zastępcy natychmiast powtórzyli ten gest, po nich przywódcy pomniejszych oddziałów i ich zastępcy i w kilka chwil tysiącosobowa formacja znieruchomiała. Zadowolony z tego pokazu dyscypliny – ludzie z kasty wojskowych go docenią – Wanahomen zsiadł z konia i ruszył przed siebie. Wśród zebranych widział wiele twarzy, znajomych mu z czasów, gdy był następcą ojca, choć przypominał sobie tylko kilka imion. Inni, o ile się orientował, pochodzili z mniej ważnych lub zubożałych rodów arystokratycznych bądź też byli bogatymi kupcami, a może nawet znanymi rzemieślnikami. Taka zbieranina jednocześnie podobała mu się i budziła jego niepokój. Każdy z tych ludzi przywiózł pewnie dodatkowe zaopatrzenie dla wojsk, ale co naprawdę oznaczała ich obecność? Ilu kisuańskich szpiegów – albo gorzej, szpiegów z innych krajów – śledziło sprawy niegdyś najpotężniejszego królestwa

świata? Martwił się także, że okupacja bardziej dała się jego narodowi we znaki, niż się spodziewał. Tylko wielkie cierpienie lub słuszny gniew mogły pchnąć tak wielu Gujaareńczyków do odrzucenia Prawa Hananji. *„Ale to dla mnie błogosławieństwo. Zatem chodźcie, pójďte za mną, a ja dobrze wykorzystam wasz ból”*.

– Witajcie – powiedział. Zdjął zawój, potem zasłonę i z przyjemnością dostrzegł, że kilka osób natychmiast go rozpoznało. Zawsze był podobny do ojca, z wyjątkiem wzrostu i ciemniejszej cery, świadczącej o pochodzeniu z shunhów. Zważywszy, że jego ojciec był synem tancerki i z tego powodu miał plebejsko jasną skórę, Wanahomen zawsze cieszył się z tej drobnej przewagi.

– Książę – odezwał się jeden ze sprzymierzeńców, starszy mężczyzna, który natychmiast ukląkł krzyżem. Pozostali poszli w jego ślady, choć nie wszyscy, jak zauważył Wanahomen. Uśmiechnął się do tych, którzy nadal stali, i dostrzegł w niektórych oczach wyzwanie, w innych jawną wrogość.

– Przyjaciele – przemówił wprost do nich. – Nie musicie nazywać mnie księciem, jeszcze nie. Dopóki nie usiądę przed Aureolą i nie otrzymam błogosławieństwa naszej Bogini. Do tego czasu jestem po prostu Wanahomenem, jednym z was, który marzy o uwolnieniu Gujaarehu. – Skinął na tych, którzy klęczeli. – Proszę, wstańcie.

Uśluchali, szepcząc między sobą. W końcu naprzód wystąpił mężczyzna, którego Wanahomen widział po raz pierwszy.

– Jestem Deti-arah, shunha z rodu Mun-arah – powiedział. – Witamy cię serdecznie, ksią... panie. Zechciej do nas dołączyć, mamy wiele do przedyskutowania.

Wanahomen skinął głową i spojrzał na Ezacka.

– Rozbijcie namioty – rozkazał w chakti. – Wybierzcie bardziej odpowiednie miejsce; nie podoba mi się rozkład tej doliny.

Również dlatego, że wypełniali ją ludzie, którym nie ufał. Ezack pokręcił głową.

– Poza doliną będzie widać nasze ogniska i namioty. Jeśli chcesz, żeby nikt nie zauważył tej armii...

– To już nie ma znaczenia. – Wanahomen powiódł wzrokiem dokoła. Tyle tysięcy osób, i wszyscy chcą za niego walczyć. Nie mógł sobie odmówić uśmiechu i powtórzenia tych słów po gujaareńsku, żeby wszyscy zrozumieli.

– Kisuanie nie mają szans na powstrzymanie nas, nawet jeśli się dowiedzą, gdzie stacjonujemy.

– Ach, tak. – Ezack, który wsłuchiwał się w gujaareńskie słowa ze zmarszczonymi brwiami, skinął głową z zadowoleniem. – Skoro tak mówisz...

Wyprostował się i dał rozkaz do zawrócenia. Wojownicy usłuchali i kolumna wycofała się w stronę, z której nadciągnęła. Tuż przed Sabesst widzieli dogodne wzgórze; Wanahomen podejrzewał, że Ezack tam właśnie się skieruje.

Ale zanim odeszli, czterej wojownicy z czoła kolumny zatrzymali konie i zeskoczyli, stając za plecami Wanahomena. Jeden pochodził z plemienia Yusirów, drugim był Charris, co nie zaskoczyło księcia; pozostali dwaj należeli do innych plemion, i już to wydało mu się dziwne. Zaskoczony, zerknął na nich. Ezack przyglądał mu się z uśmiechem, który marszczył mu skórę w kącikach oczu, po czym zawrócił konia i odjechał.

– Masz imponujących sprzymierzeńców – odezwał się Deti-arah. Zerknął nerwowo na mężczyzn strzegących Wanahomena. Charris nadal robił wielkie wrażenie, jeśli chciał, ale nawet on wydawał się mały w porównaniu z trzema Banbarrami, których Ezack wybrał chyba ze względu na posturę.

Wanahomen stłumił śmiech. Później będzie musiał pochwalić tę inicjatywę.

– Potrafią tacy być.

Deti-arah skinął głową.

– A zatem... – Dał znak księciu, by poszedł przodem. Wanahomen zrobił to, a banbarryjscy strażnicy natychmiast ruszyli w ślad za nim. Tak jak podejrzewał, to jeszcze bardziej wytrąciło jego gospodarza z równowagi.

– Panie... – Deti-arah spojrział znacząco na Banbarrów. Księżę odpowiedział miną wcielonej niewinności.

– Z pewnością i ty masz swoich strażników, panie Deti-arah?

– Mam, ale...

– No, to załatwione. – Uśmiechający się dobrotliwie Wanahomen dał znak Banbarrom, żeby poszli za nim, i skierował się do namiotu. Po chwili zirytowany Deti-arah podążył za nim wraz z kilkoma innymi wielmożami. W namiocie zrobiło się ciasno, ale Wanahomen bez trudu dotarł do stojącego na środku stołu; wszyscy zebrani rozstępowali się przed nim.

Przy stole stała wysoka szczupła młoda kobieta, spoglądając chmurnie na zwój, który wydawał się mapą. Wanahomen zdołał się powstrzymać przed uniesieniem brwi ze zdziwienia, bo kobieta miała włosy splecione w zwykły warkocz i nosiła bojowy strój – skórzany półpancerz, luźny na tyle, by zmieściły się jej drobne piersi, męską spódnicę, wysokie buty i rękawice łuczника. Na biodrze miała przypasany sztylet. Obrzuciła Wanahomena nieufnym taksującym spojrzeniem; po chwili skinęła mu głową z powściągliwym szacunkiem.

– Iezanem – przedstawił ją Deti-arah. – Z kasty zhinhów i rodu Zanem.

– Z kasty zhinhów i wojskowych, panie – poprawiła go kobieta. – Zasadniczo ważniejsza jest kasta mojej matki, ale postanowiłam uszanować obie, na ile mogę. Mój ojciec przekazał mi tyle umiejętności, ile potrafił. Ty jesteś Wanahomen.

Deti-arah wyraźnie się zirytował, choć trudno orzec, co rozdrażniło go bardziej: fakt, że Iezanem przyznała sobie prawo do dwóch kast, to, że sama dopełniła prezentacji czy też sama jej obecność. Wanahomen nie widział dotąd Gujaarenki o tak jasnej skórze. Miała włosy koloru rdzawej żelazistej ziemi, a na nosie chmarę piegów i czerwone plamy od słońca. Nie była ładna – wąskie biodra, wargi tak cienkie, że znikwały, kiedy mówiła, nos zanadto po gujaareńsku szeroki jak na resztę jej północnych rysów.

Nic dziwnego, że zachowywała się tak wojowniczo. Nawet zhinhowie musieli kpić z jej wyglądu. Ale w tym połączeniu siły i wojowniczości było coś, co przypomniało Wanahomenowi Hanani i sprowokowało go do uśmiechu, który zaskoczył kobietę tak bardzo, że jej powieki zatrzepotały.

– Jestem Wanahomen. – Podszedł do mapy, która zdawała się przedstawiać ulice Gujaarehu. – Skoro zapoznałaś się z sytuacją, czy zechcesz mnie wprowadzić w temat?

Zerknęła na niego spod rzęs. Potem dotknęła zwoju.

– Nasz obecny plan. Zamierzaliśmy zbliżyć się do miasta od strony zachodniej bramy o zachodzie słońca, mając światło za plecami. Wkrótce potem zapadnie ciemność, która utrudni zadanie gujaareńskim łucznikom. Nasi przebywający w mieście agenci zaatakują strażników, co przynajmniej na tyle odwróci ich uwagę, że zdołamy przerwać linię obrony i przystawić drabiny do murów, by je sforsować. Oczywiście w najlepszym wypadku może się okazać, że nie napotkamy żadnego oporu, a miejskie bramy same otworzą się przed nami. – Uśmiechnęła się blado. – Wtedy rozpocznie się prawdziwa walka.

– O pałac.

Kobieta przytaknęła.

– Kisuańscy żołnierze wycofają się do Yanya-iyana – odezwał się inny mężczyzna. „*Ghefir* – podszeptała Wanahomenowi pamięć – *daleki kuzyn z rodu matki*”. Książę skinął mu głową w milczącym powitaniu. Ghefir odwzajemnił gest. – Ósmdzień temu z Kisui przybyło czterech Protektorów, którzy przejęli władzę nad miastem. Kisuanie będą walczyli o nich do ost atniej kropli krwi. Z pewnością czeka nas trudna walka, ale musimy ją wygrać. Kisua zapłaci wielki okup, by odzyskać członków swojej starszyny całych i zdrowych, w przeciwnym razie ich obywatele chwycą za broń. Pojmanie tych zakładników może oznaczać wygraną wojny.

Wanahomen pokręcił głową, wpatrzony w mapę.

– Nie. Yanya-iyana to zły cel.

Przez twarz Iezanem przemknął kpiący wyraz.

– Tak? Powinniśmy zaatakować tutaj? – Stuknęła palcem w dzielnicę rzemieślników. – Albo najpierw ratować kasty służących?

– Służących? Tak. – Wanahomen jakby nie zauważył jej sarkazmu. Wiedział, co nią kieruje. Nie różniła się od najmłodszych mężczyzn z jego oddziału, przerażonych i rozpaczliwie starających się udowodnić swoją wartość. Ukrywali strach pod wojowniczością; nic w tym złego, dopóki wiedzieli, kiedy zaczynają mu grać na nerwach.

– Naszym celem powinna być Hetawa – oznajmił. – Yanya-yan został zbudowany jak twierdza. Ma metalowe bramy, na które nie można łatwo się wspiąć, drzwi, których nie można szybko wyważyć. Łucznicy mogą nas wystrzelać, gdy będziemy się zbliżali którąkolwiek z prowadzących do niego alei, są proste właśnie z tego powodu, a rydwany zmieszczą się nawet w najwęższych uliczkach, by wykończyć ocalałych. Jeśli nawet rozpoczniemy oblężenie, w spiżarniach Yanya-yan jest tyle ziarna i innych zapasów, że starczyłoby dla całej wioski. Obrońcy wytrzymają do przyjazdu posiłków z Kisui.

Ghefir łypnął na niego spode łba.

– Ale Protektorzy...

– Tak, trzeba ich pojmać, z tym się zgodzę. Ale istnieją inne sposoby. Wielką słabością Yanya-yan jest jego rozmiar i wiele wejść. Łatwo bronić jednej bramy przeciwko nadciągającej armii, ale bronić wszystkich ogrodowych furtek, drzwi dla służby, każdej szczeliny każdego muru przeciwko pojedynczym intruzom? To co innego.

Ghefir drgnął.

– Zabójcy? Chcesz ich zamordować? – W jego głosie zabrzmiała zgroza, i słusznie. Nawet Wanahomen pozostał Gujaareńczykiem na tyle, żeby cofnąć się przed zabijaniem starszyny, choć zamierzał to zrobić, i co gorsza, tylko tak mógł zwyciężyć.

– Nie. – Wanahomen znowu stuknął palcem w dzielnicę Hetawy; zatrzymał go na samej Hetawie. – Myślałem o pewnym szpiegu...

Ale Deti-arah pokręcił głową.

– Czyli nie słyszałeś. Kisuanie wzięli zbieraczy do niewoli niemal ósmdzień temu.

Trzymają ich w Yanya-iyana.

– Zabra... – Wanahomen znieruchomiał w osłupieniu; potem powoli zaczął się uśmiechać. Nie potrafił się powstrzymać. – A niech to. *Co za okazja!*

– Okazja?

– *Tak!* – Wanahomen oparł się o stół, żeby podkreślić to słowo; Iezanem cofnęła się, jakby odstręczona jego rozgorączkowaniem. – Jeden manewr odwracający uwagę, jeden wyłom w linii obrony Kisuan i zbieracze będą wolni. W Yanya-iyana. Powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby to ułatwić, i z całą pewnością będziemy potrzebowali pomocy kapłanów. Oni potrafią ze sobą rozmawiać we snach. – Zmarszczył brwi, zamyślony. – Już to samo powinno się nam przydać, jeśli mogą nam pomóc skoordynować nasze działania. Ale najważniejsze jest to, że ludzie zbiorą się wokół Hetawy. Kisuanie mogą walczyć z wojskiem, ale nie z całym miastem.

Na twarzy Iezanem zaskoczenie walczyło z konsternacją i niechętnym uznaniem.

– Hetawa ma wartość symboliczną – powiedziała w końcu. – Będzie także dobrą bazą wypadową, jeśli sładzy na to pozwolą. – Zerknęła na Wanahomena znowu lodowato. – Pozwolą?

– Tak sędzę. – Spojrzał jej w oczy; zrozumiał, że jego przymierze z Hetawą wyszło na jaw. Dobrze; niech liczą się też z kapłanami, jeśli zamierzają go zdradzić. – Przysięgli zrobić wszystko, co konieczne, żeby szybko przywrócić spokój w Gujaarehu. Jeśli to oznacza spalenie Yanya-iyana do fundamentów wraz ze wszystkimi Kisuanami, którzy się w nim znajdują, zrobią to.

Na chwilę w namiocie zapadło milczenie.

– Tak – odezwał się mężczyzna, który nie został przedstawiony i wyglądał na kupca.

Patrzył na Wanahomena rozświetlonymi oczami. – Tak.

– *Śniąca na wysokości!* – odezwał się w końcu Ghefir. – Zaczynam sądzić, że to się może udać.

Głos mu się załamał; kilku wielmożów roześmiało się nerwowo.

– Zatem pozostaje nam uzgodnić jeszcze jedną ważną sprawę, zanim zaczniemy się zmagać z niezliczonymi drobiazgami. – Wanahomen spojrzał na Deti-arahę, Ghefira i Iezanem. Sanfiego nie było. Nie pozwalał sobie zastanawiać się nad tą sprawą. – Żadną armią nie może rządzić rada, choćby najbardziej szanowana. A Banbarrowie nie pójną za żadnym Gujaareńczykiem z wyjątkiem mnie.

Chwila milczenia przeciągnęła się jeszcze bardziej. Potem Deti-arah skinął powoli głową.

– Nikt z nas z wyjątkiem Iezanem nie jest wojownikiem – przyznał. – Zawsze wiedzieliśmy, że twoje przywództwo będzie naszym atutem.

Spojrzał na Iezanem, która odwróciła głowę, jakby nie chciała o tym rozmawiać. Kiedy Wanahomen skierował na nią wzrok, westchnęła.

– Będziemy posłuszni twoim rozkazom – powiedziała.

Ghefir pokiwał energicznie głową.

Wanahomen poczuł, jak wzbiera w nim gotowość do działania. Na to czekał od dziesięciu lat. To właśnie zamierzyła jego Bogini. Ku swojemu zdziwieniu zapragnął, żeby była tu Hanani. Ona także znała potęgę błogosławieństw Hananji. Dobrze by było dzielić z nią tę chwilę spokoju. I niebezpiecznie, kusząco łatwo było odszukać jej namiot. Nie żeby się kochać, nie w przeddzień bitwy, ale ponieważ lubił prostą przyjemność rozmawiania z kobietą i może spania u jej boku.

Ale pożegnali się trzy dni temu w Merik-ren-aferu, a teraz

ponowna rozmowa krępowałaby ich oboje. Ona także to wiedziała, bo nie starała się nawiązać z nim kontaktu.

– Zatem niech się stanie – powiedział do zebranych wielmoży. – Wyruszymy rano. Jeśli Luny nam sprzyjają, Gujaareh wkrótce znowu stanie się nasz.

A potem stanęli przy stole i przez parę następnych godzin omawiali plan.

41. ZNISZCZONY SPOKÓJ



Czwartego dnia nowego roku zachód słońca przyniósł Gujaarehowi wielką zmianę. Bitwa zaczęła się od plotki, która rozeszła się po mieście późnym popołudniem i szybko zaalarmowała żołnierzy. Na horyzoncie zauważono unoszący się pył, raczej zmniejszający się niż narastający, który wkrótce zmienił się w armię, zmierzającą z pylistych okolic gór na bardziej wilgotne łąki, a potem podążającą wzdłuż kanału irygacyjnego w stronę miasta. Miała dotrzeć do niego za parę godzin. Oddziały kisuańskie, rozproszone po całym mieście, żeby utrzymać spokój, szybko zareagowały na nowe rozkazy z Yanya-ian. Niektóre przeniosły się na mury, inne przygotowały się, żeby bronić obrońców, świadome, że mieszkańcy miasta przedstawiają sobą większe niebezpieczeństwo niż nadciągające wojska. Jeszcze inne udały się do Yanya-ian, gdzie zwały szyki w oczekiwaniu na największą bitwę.

Gdy plotki stały się potwierdzonymi raportami, obywatele Gujaarehu wylegli na ulice i zgromadzili się na rynkach, placach do tańca i w parkach. Wielu przyniosło broń lub narzędzia, które mogły ją zastąpić. Większość była uzbrojona tylko w gniew, co okazało się wystarczająco straszną bronią, gdy kisuańscy żołnierze zaczęli się wycofywać.

Ci, do których szczęście się nie uśmiechnęło, albo ci poruszający się zbyt wolno, znaleźli się w tłumie obywateli, którzy jeszcze miesiąc temu daliby się bez trudu zastraszyć. Teraz ten sam tłum bił żołnierzy na śmierć lub rozrywał ich na strzępy i niósł okrwawione kawałki ich ciał jak trofea. Taki sam los czekał wszystkich kisuańskich obywateli, którzy nie dostrzegli znaków ostrzegawczych

i nie uciekli w porę. Rabowano sklepy. Spalono kilka kupieckich domów wraz z zamkniętymi w nich kobietami, dziećmi i niewolnikami. Gujaareńczycy także ginęli, głównie od mieczy, noży i strzał żołnierzy, ale byli o wiele liczniejsi od Kisuan i na miejscu każdego poległego zjawiało się czterech nowych, gotowych do walki. A w rozgniewanym tłumie kręcili się ci, którzy czekali na takie właśnie okoliczności. Na schodach Hetawy nauczyciele wygłaszali kazania do wiwatujących tłumów i zachęcali ludzi do szybkiego i zdecydowanego działania, tak jak czynią to zbieracze, by nie przedłużać cierpienia wrogów bardziej, niż to konieczne. U zachodniej bramy wojownicy z kasty wojskowych, ubrani jak zwykli obywatele, zaatakowali Kisuan, zachęcając krzyczący tłum do zajęcia pozycji obronnych. Siostry Hananji niosły cichą, lecz skuteczną pomoc, zestrzeliwując kiswańskich łuczników z wejść sklepów i kopuł timbaliniarni. Ich hetawscy bracia ze ścieżki wartowników napadali i rozbierali spieszące na pomoc oddziały, nie pozwalając Kisuanom na zorganizowanie prawdziwej obrony. Kiedy mogli, ratowali żołnierzy z tych oddziałów przed gniewem tłumu, co nie zawsze im się udawało. Mieszkańcy Gujaarehu płonęli zbyt wielkim gniewem. W ich sercach nie pozostało wiele spokoju.

Gdy zapadłe ciemności spowiły dogasające pożary, ostatni obrońcy skapitulowali przed garstką niedorostków, uzbrojonych w cegły i odłamki glinianych naczyń. Bramy natychmiast otworzono i niespełna godzinę później pierwsze trzy tysiące wybawców wjechało do miasta. W awangardzie znaleźli się krwiożerczy barbarzyńcy w jasnych pustynnych szatach, którzy przemierzali ulice, błyskając dobytymi mieczami i wydając przerażające okrzyki wojenne. Ich głosy szybko utonęły w wiwatach Gujaareńczyków, gdy rozeszła się wieść, że przywódcą barbarzyńców jest od dawna zaginiony książę, Inkarnacja Hananji, przystojny młodzieniec o szlachetnych rysach, dzierżący miecz Porannego Słońca.

Książę zatrzymał konia przed zatłoczonym rynkiem, powiódł wzrokiem po ludziach, wpatrzonych w niego z zapartym tchem, i wypowiedział trzy słowa, które rozeszły się po wszystkich ulicach i domach z prędkością snu.

– Wróciłem do domu.

W tej samej chwili we wschodniej części miasta nauczyciel Yehamwy stanął na murach wraz z wartownikiem Anarimem i dwoma innymi członkami Rady Ścieżek, patrząc, jak dym i ogień pełzną ku nim z zachodu.

– Sytuacja wymyka się spod kontroli – powiedział Anarim.

– Jak zawsze chaos – odezwała się siostra Ni-imeh. Wraz z innymi siostrami Hananji, tymi, które nie walczyły, schroniła się w Hetawie po pierwszych oznakach zbliżających się kłopotów. – Sądzicie, że księżę przybędzie najpierw tutaj?

– Tak zasugerował we snach – powiedział Yehamwy. – Oczywiście bez kontroli sennej krwi nic nie jest pewne. – Spojrzał na dawcę Anakhemata, który skinął głową ze znużeniem.

– Nie będziemy mieli pewności, dopóki się nie zjawi, a nawet wtedy nie dowiemy się, czy podjął tę decyzję pod naszym wpływem, czy z własnej woli – wyjaśnił. – Jego dar snu stał się ostatnio silniejszy; musimy zachować ostrożność. Narkomancja na odległość zawsze jest trudna. I od paru dni nikt nie miał czasu, by dla wzmocnienia wpływu wyprawić się na granicę.

Ni-imeh przytaknęła.

– Zatem musimy się tym zadowolić. Jeśli nie poprosi, żebyśmy pobłogosławili jego rządy, przepaść między Hetawą i Yanya-iyam może nigdy nie zniknąć.

– Jakież wieści od zwiadowców? – spytał Yehamwy.

– Wyśledzili pięć rodów, zanim zaczęło się to wszystko – odpowiedział Anarim. Skinął głową w stronę rozplomionego horyzontu. – Znalezione kilka kobiet i dziewcząt o znacznym surowym darze snu. Tylko jedna miała wizje i okazywała oznaki utraty kontroli. Ale nawet jej moc nie wyjaśniała wybuchu zarazy. – Skrzywił się. – Niestety, przy tym chaosie, który panuje w mieście, dalsze poszukiwania się odwloką.

– Czy mogłybyśmy wam pomóc? – spytała Ni-imeh. – Dom Sióstr ucierpiał niewiele podczas zarazy. Te z sióstr i praktykantek, które

mają konieczne umiejętności narkomantyczne, mogą podróżować w przebraniu dla bezpieczeństwa. – Yehamwy i Anarim spojrzeli, zaskoczeni, na siebie. Ni-imeh zacisnęła usta z lekkim rozdrażnieniem. – To, że dopiero teraz zdaliście sobie sprawę z potencjału kobiet, nie znaczy, że my byliśmy głupie przez cały czas.

Twarz Anarima złagodniała, jej wyraz przypominał uśmiech, jaki mógł się pojawić tylko na twarzy wartownika.

– Oczywiście z radością przyjmiemy wszelką pomoc, ale może to pociągnąć za sobą wyprawę poza miasto. Czasami są to rody arystokratów, czasem rodziny wieśniaków, mieszkające na wsi lub w miastach w górze rzeki.

– To żadne utrudnienie... – Ni-imeh urwała, zaskoczona, gdy względną ciszę dziedzińca Hetawy przerwał jakiś dźwięk. Wszyscy odwrócili się i ujrzeli chłopczyka, za małego jak na akolitę, który biegł do nich co sił w małych nóżkach. Nawet z wysokości muru widzieli, że płacze.

– Co się stało? – Yehamwy wystąpił naprzód i nabrał tchu, żeby zawołać dziecko. Wartownik Anarim przyskoczył i bezceremonialnie zasłonił mu usta ręką.

– Dom Dzieci – mruknął.

Ze swojego miejsca na murach widzieli budynek, o którym mówił. Stał on po drugiej stronie długiego hetawskiego dziedzińca, naprzeciwko Sali Błogosławieństw. Choć prawie wszystkie jego okna były ciemne – dzieci wysłano do łóżek tuż po wieczornym tańcu modlitewnym i kąpeli – widać było latarnie, poruszające się w budynku, a kiedy wiatr zmienił kierunek, przyniósł ze sobą dziecięce krzyki strachu. Po chwili z bram Domu Dzieci wybiegł ktoś jeszcze, ktoś wyższy. Dorosły, pracujący w tym domu.

– *Strzeżcie się, Kisuanie!* – krzyknął. Jego głos był wstrząsająco donośny w ciszy Hetawy; nawet Anarim skamieniał, przerażony, słuchając z niedowierzaniem. – W Domu Dzieci kisuańscy żołnierze...

Za nim wybiegły inne postaci. Wszyscy usłyszeli przenikliwy świst strzały; ułamek chwili później nauczyciel umilkł i upadł.

– O Bogini – szepnęła Ni-imeh. Yehamwy zasłonił usta drżącą ręką.

– Bahal, to był młody Bahal, praktykant Deshephemuna...

– Wejdźcie do środka – rzucił Anarim. – Do Sali Błogosławieństw. Powiedz wszystkim, których spotkasz, żeby się tam zgromadzili. Może chcą tylko dzieci.

– Tylko dzieci? – Anakhemat spojrział na niego ze zgrozą. – Co ty mówisz?

– Wzięli dzieci jako zakładników. Ja i moi bracia to załatwimy. *Idźcie!*

– Ale... – Yehamwy zrobił krok i zatrzymał się nagle. – Anarimie, większość twoich braci... – Spojrział w stronę zachodniej części miasta, gdzie nad dachami domów wznosił się pałac Yanya-iyana.

– Zostało nas ośmiu – odpowiedział Anarim, krzywiąc usta w półśmiechu. – Ośmiu wartowników Hananji to cała armia. – I pobiegł w mrok, zanim zdążyli znowu zaprotestować.

Pan Sanfi, płaszczący się w sali tronowej w Yanya-iyana, ostatnio nazywanej Salą Protektorów, miał w sobie coś, co skojarzyło się Sunandi z krokodylem.

– Nieporozumienie, a może podła potwarz – kwilił. Padł na kolana niemal w progu i od tej pory nie podniósł się z klęczek. Właśnie to, oprócz innych spostrzeżeń, jakie zapamiętała z tego wieczoru, gdy jedli wspólną kolację, upodobiło go w oczach Sunandi do gada. Łatwość, z jaką się upokarzał, jakby duma była tylko kolejnym narzędziem z szerokiego arsenału środków, za których pomocą manipulował wszystkimi dokoła. To, w jaki sposób przyglądał się swoim słuchaczom, wypatrując w nich oznak słabości. Szybkie spojrzenie, które rzucił Sunandi, oceniając ją i od razu lekceważąc. Przestała być dla niego przydatna; teraz polował na t łustszą zwierzynę.

– Tak powiadasz, panie Sanfi – odezwała się Protektorka Yao. Wydawało się, że ona także się nim nie zachwyciła. – Ale słyszeliśmy zeznania zagranicznych kupców, od których kupowałeś

broń i inne artykuły przydatne na wojnie. Co powiesz na to?

– Tylko to, że jestem niewinny, szacowna. – Pan Sanfi mówił płynnie w sua, ale tytułami posługiwał się niezręcznie. Najwyraźniej nie przywykł do ich stosowania. – Jeśli to cię przekona, znam innych, którzy mogli złamać...

Ta zdrada z zimną krwią przejęła Sunandi obrzydzeniem. Tiaanet dobrze by postąpiła, gdyby zabiła ojca i przejęła rządy nad rodem, zanim Sanfi pogrąży go jeszcze bardziej.

– Z całym szacunkiem, szacowna – odezwała się, przerywając mężczyźnie. – Nie mamy na to czasu. Ostatni raport, jaki dotarł do nas od zachodniej bramy, głosił, że obrona może się lada chwila załamać. Zamknijmy tego człowieka w więzieniu wraz z żoną i córkami, jeśli to mu odpowiada, i zajmijmy się obroną.

Mama Yao skinęła głową, podobnie jak Sasannante, ale Aksata potarł oczy, znudzony i zmęczony. Wszyscy byli zmęczeni. To Aksata uparł się, żeby Protektorzy przejęli salę tronową i postawili swoje krzesła tam, gdzie niegdyś stało siedzisko księcia Zachodu Słońca. Od tej pory pałacowi słudzy zaczęli im dostarczać wystygłe jedzenie, gubili ich ubrania i „przypadkowo” hałasowali nad ranem.

– Nie martw się, mówczyni – powiedział, na tyle panując nad sobą, by się do niej uśmiechnąć. – Zachodnia brama to niewielka strata. Wysłaliśmy już twojemu mężowi rozkaz wycofania wojsk i przyprowadzenia ich tutaj.

– Rozumiem. – Sunandi zmarszczyła brwi, bezskutecznie usiłując pojąć strategię Aksaty.

– Zatem, szacowny, ten gujaareński książę i jego wojownicy wejdą do miasta. Zdołają zaatakować Yanya-iyan.

– Tak – zgodził się Aksata i wymienił uśmiech z Moibem, który prychnął cichym śmieszkiem. – To służy naszym obecnym celom.

Sanfi przysłuchiwał się im uważnie; Sunandi zauważyła lekką zmarszczkę na jego czole, choć nie podniósł się z klęczek. Ta jego troska niemal ją rozbawiła, zważywszy, że przed chwilą chciał zdradzić własnych sprzymierzeńców, ale to nie martwiło jej nawet

w połowie tak, jak myśl o oblężeniu.

Zanim jednak zdołała sformułować pytanie tak, żeby nie rozdrażnić jeszcze bardziej Protektora Aksaty, za drzwiami komnaty rozległy się podniesione głosy. Po chwili drzwi otworzyły się i do środka wszedł szybkim krokiem pałacowy strażnik. Zatrzymał się koło Sanfiiego i przykląkł.

– Szacowni i mądrzy, wybaczcie mi to wtargnięcie, ale mój dowódca wysłał mnie z wiadomością, że zostaliśmy zaatakowani – oznajmił w sua z szorstkim akcentem z puszczy, zdradzającym jego pochodzenie z niskiej kasty. – Przeciwnik wtargnął już do pałacu. Wszyscy łucznicy z pierwszego szeregu nie żyją... Sądzymy, że weszli z cofającymi się żołnierzami, przebrani w nasze mundury...

– Zaraz – przerwała mu Mama Yao. – Jak mogą być w pałacu? Ostatni raport donosił, że księżę z armią zdrajców dopiero dotarł do bram...

– *To nie ludzie księcia!* – Żołnierz nie dał dokończyć Protektorce, zapominając o manierach. – Nie wiem, kim są. Jak wspomniałem, weszli między nas w przebraniu... znaleźliśmy trzydziestu martwych gwardzistów bez jednej krwawiącej rany. Wielu miało skręcone karki i zmiażdżone krtanie. Nikt nie usłyszał ich krzyku. A teraz ludzie w ich mundurach... – Urwał, kręcąc głową. – Niektórzy mówią, że wspinają się po ścianach jak skarabeusze. – Zerknął na sufit sali, jakby się upewniał, że nikt po niej nie pełźnie. Sunandi zadrżała. Po karku przebiegł jej lodowaty dreszcz.

– Wartownicy – mruknęła. – Hetawscy kapłani. Moib zmarszczył brwi.

– Ci, którzy strzegą Hetawy? Mówiono mi, że tylko zbieracze...

– Wartownicy uczą zbieraczy, szacowny – przerwała mu. Była to niewyobrażalna nieuprzejmość, ale musiała im jakoś dać do zrozumienia, w jak strasznych opałach się znaleźli. Tej możliwości nie przewidziała; ona także uważała wartowników za obrońców, nie napastników. Niemądrze, bo Nijiri ją ostrzegał. Całe miasto stało się burzą, którą ściągnął on, a jego bracia byli błyskawicą gotową

do uderzenia.

Sunandi podeszła i stanęła obok Sanfiego.

– Widziałam, jak nieuzbrojony zbieracz złamał rękę konnego żołnierza ciosem, który wydawał się lekki. A zbieracze nie dorównują w walce wartownikom. To wartownicy ścigają i dopadają zbieracza, który oszalał i zmienił się w Kosiarza. Nie dysponują magią, lecz mają broń, a ich jedynym celem jest walka.

– Ale sprowadziliśmy ze sobą prawie całą armię Kisui – zaczął Sasannante i nagle wyprostował się, tknięty nieprzyjemną myślą. – Zaraz, ilu jest tych kapłanów-wojowników?

– Dziesiątki lub setki. Nie wie tego nikt oprócz Hetawy – wyjaśniła Sunandi, kręcąc głową. – Szacowni, odejdźcie stąd; istnieją bezpieczniejsze kryjówki niż ta.

– Mamy się ukryć? – prychnęła Mama Yao.

– Tak. – Sunandi miała ochotę krzyknąć. – Możemy się ukryć albo poczekać tutaj i walczyć z nieznanym wrogiem o nieznaną siłę i mieć nadzieję, że szczęście się do nas uśmiechnie na tyle, byśmy mogli wygrać. Co wybieracie?

Mama Yao otworzyła usta, w których brakowało połowy zębów, ale zmieniła zdanie i spojrzała na swoich towarzyszy. Aksata wyglądał tak, jakby chciał zaprotestować, ale Sasannante i Moib natychmiast wstali. Kiedy zeszli z podwyższenia, żołnierze otoczyli ich, a Sunandi rozkazała przeprowadzić ich do ogrodu Yanya-iyana, najbezpieczniejszego miejsca pałacu.

Po drodze przysięgła sobie, że kiedy zostanie starszą, będzie słuchała młodszych doradców. Młodość nie oznacza głupoty, a prawdziwa mądrość to najwyraźniej coś, co nawet starszym nie przychodzi z łatwością.

Za ich plecami shunha Sanfi wymknął się niepostrzeżenie z sali.

Pogrążony w kontemplacji, zbieracz Rabbaneh poczuł za drzwiami obecność nowych śniących. Czterech, tam, gdzie niedawno znajdował się jeden, i kolejna czwórka dla Nijiriego, Inmu i nawet dla zwierzchnika. I jeszcze dwie czwórki, czekające w sali

za apartamentem gościnnym. Aż tylu, żeby obezwładnić trzech zbieraczy? Rabbaneh niemal się roześmiał.

Drzwi stanęły otworem. Zbieracz otworzył oczy, słuchając, jak trzech żołnierze cicho zatrzymują się w małym pomieszczeniu, otaczając go. Czwarty – Rabbaneh poczuł zapach skóry i niedawno wykutego metalu oraz usłyszał szcęk jakichś zawiasów czy zamka. A więc to planowali.

„Ach, Ehiru, mój przyjacielu, dziesięć lat temu bardzo przeraziłeś tych ludzi. Teraz uważają nas za tylko trochę lepszych od Kosiarzy. Już choćby tylko dlatego powinienem dać im lekcję...”

– Zbieracz... – Głos należał do młodego żołnierza, który strzegł go przez ostatni czwórdzień. Rabbaneh polubił tego młodzika, który, jak się okazało, pochodził z kasty rzemieślników, tak jak on sam, z rodu zasłużonych kisuańskich pieśniarzy. Był na tyle uprzejmy, że w porze posiłków zaprezentował mu niektóre pieśni. Rabbaneh zadba o to, by nie skrzywdzić go tak bardzo, jak pozostałych.

Zbieracz wstał i odwrócił się do chłopca, który trzymał koszmarną konstrukcję ze skóry i żelaza, mającą zmusić więźnia do zaciskania pięści. Była najeżona najróżniejszymi zapięciami i obręczami; Rabbaneh skrzywił się z obrzydzeniem z powodu samej brzydoty tego urządzenia.

– Zgaduję, że to dla mnie.

Młody żołnierz skinął głową i głośno przełknął ślinę. Zerknął na swoich towarzyszy, którzy stali z dobytymi z pochew mieczami, i w końcu ośmielił się spojrzeć Rabbanehowi w oczy.

– Przepraszam, ale to rozkaz Protektorów. W tej sytuacji...

Inny żołnierz, starszy wiekiem i prawdopodobnie stopniem, warknął coś w sua. Rabbaneh, który znał ten język najwyżej w jego ceremonialnej postaci, domyślił się, że to ponaglenie. A zatem ten będzie pierwszy.

Żołnierz nie skończył jeszcze karcieć chłopca, gdy Rabbaneh błyskawicznie wyciągnął rękę do jego oczu. Zamiast lekko położyć mu palce na powiekach, mocno nimi dźgnął. Mężczyzna wrzasnął

i zasłonił oczy rękami; zbieracz przykucnął, by przejść pod mieczem żołnierza z lewej strony (miecze nie stanowiły wielkiego zagrożenia w tak ciasnym pomieszczeniu, zwłaszcza że przybysze zrobili mu tę uprzejmość i stanęli daleko od siebie). Rabbaneh, nieco urażony tym, że przeciwstawili się zbieraczowi tak źle przygotowani, uderzył żołnierza w kolano nieco mocniej, niż było to konieczne. Odgłos pękającego stawu zabrzmiał nieprzyjemnie głośno, jak trzask gałęzi złamanej przez wichurę. Krzyk żołnierza jeszcze bardziej zmącił spokój i połączył się w kakofonię z wyciem tego, któremu zbieracz wyłupił oczy.

„Powiniennem być ich uciszyć – pomyślał Rabbaneh ze spóźnioną skruchą. – Sonta-i skarciłby mnie, gdyby to widział...”

Trzeci żołnierz rzucił się na niego z uniesionym mieczem i twarzą wykrzywioną wściekłością. W ten sposób stał się łatwiejszym celem, bo nie różnił się od setek agresywnych mężczyzn, których Rabbaneh zebrał przez dwadzieścia dwa lata swojej służby. Trzy szybkie uderzenia w twarz i mężczyzna osunął się na ziemię, ogłuszony i na wpół ślepy. Właściwie nie było potrzeby go już usypiać, ale Rabbaneh zrobił to dla porządku. Gdy i ten upadł – całe zajście trwało tyle, co trzy głębokie oddechy – zbieracz odwrócił się do młodego żołnierza. Chłopak nawet nie drgnął przez całą walkę; zrobił tylko krok wstecz i zaczął trząść się jak rzeczna trzcina.

– Przepraszam – powiedział Rabbaneh kojąco. – To było konieczne...

Urwał, zaskoczony, bo z piersi chłopca wystawało zakrzywione ostrze miecza.

– Zbieraczu – wykrztusił młodzieniec, po czym spojrzał na siebie z równym zaskoczeniem i zaraz potem padł na twarz, martwy. Odślonił dwóch innych kisuańskich żołnierzy, którzy wpadli do środka, przepychając się i nawołując w panice innych towarzyszy.

Wzięli chłopca za zbieracza czy też po prostu sprzątnęli go z drogi? Rabbaneh nie wiedział tego i miał się już nigdy nie dowiedzieć; skoczył na nich, zanim zdążyli przekroczyć próg. Zakrył

im twarze dłońmi i wtłoczył do ich przytomnych umysłów czystą furie. Jego wściekłość była tak potężna, że krzyknęli, gdy ich dusze zrywały się z uwięzi. Zbieracz nie chciał wiedzieć, dokąd uleciały te dusze. Upuścił ciała na ziemię i wyskoczył na zewnątrz, by zabić resztę, zabić wszystkich, niech będzie przeklęty spokój...

Cios, który nim wstrząsnął, wytrącił go z morderczego transu. Rabbaneh usiłował się odwrócić i odtrącił miecz, który sunął w stronę jego twarzy, ale poczuł, że jego ruchy są dziwnie spowolnione. Znowu doznał tego dziwnego, wstrząsającego uczucia i ponownie odzyskał zdolność ruchów.

Żołnierz, który znajdował się za nim tuż koło drzwi (Rabbaneh go nie zauważył), odstąpił, unosząc miecz do kolejnego ciosu. Ostrze miecza już pokrywała czerwień.

Zbieracz zamachnął się pięścią, ale jego ręka poruszała się w zwolnionym tempie, jak we śnie. To niemądre, bo przecież we śnie panował nad wszystkim, a ruchy stanowiły tylko kwestię skupienia woli...

Kolejny wstrząs. Rabbaneh odwrócił głowę, nadal dziwiąc się swojej powolności, i zobaczył następnego żołnierza, który kończył zadawać mu cios. Dłoń mężczyzny obejmowała rękojeść miecza, którego czubek wbił się między żebra Rabbaneha tuż koło mostka.

– *Rabbaneh!* – Głos Nijiriego, niespokojny, poruszony. Głowa żołnierza, który zadał cios Rabbanehowi, nagle przekrzywiła się pod nienaturalnym kątem. Mężczyzna osunął się na bok, wyszarpując miecz z rany. Rabbaneh poczuł zupełnie niestosowną i pozbawioną szacunku chęć parsknięcia śmiechem na widok zaskoczenia na twarzy trupa, ale na razie bardziej zastanawiała go własna nagła niezdolność do utrzymania się na nogach. Udało mu się osunąć na kolana nawet z wdziękiem, ale nie umiał zapobiec przewróceniu się na bok w niezdatny, upokarzający sposób. Potem Nijiri przypadł do niego, Inmu także, obaj przestraszeni i niespokojni. Podobnie wyglądał zwierzchnik, spoglądający z lękiem zza ich pleców. Ale dlaczego? Przecież żołnierze zostali unieszkodliwieni. Zbieracze odzyskali wolność.

– Protektorzy... – zaczął mówić Rabbaneh i raptem uświadomił sobie, że zapomniał reszty zdania. O co mu chodziło?

– Bracie... – Inmu, nadal bardzo młody pomimo siedmiu lat zbierania, był bliski łez. – Nijiri, czy nie możesz...

– Nie jestem dawcą – odparł Nijiri z miną bardziej ponurą niż dotychczas. – Może mógłbym uleczyć małe ranki. Nie taką. Nie zdążę, zanim życie go opuści.

Inmu stłumił łkanie. Rabbaneh otworzył usta, żeby mu przypomnieć, iż zbieraczowi nie przystoją takie błazenady. I że mają ważniejsze sprawy na głowie, na przykład... na przykład... jakie? Nie potrafił sobie przypomnieć. Oddychanie przychodziło mu z trudem.

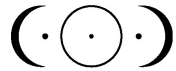
– Zatem pozostaje tylko jedno – odezwał się Inmu. Ból w jego oczach zmienił się w rezygnację, gdy Nijiri odwrócił wzrok, a Rabbaneh z zadziwieniem ujrzał przemianę swego nieśmiałego, nieporadnego najmłodszego brata ścieżki w zbieracza Hananji.

– Bracie – szepnął Inmu, wyciągając rękę do jego policzka. – Dobrze służyłeś Hananji.

Bogini na ciebie czeka. – Przełknął ślinę z trudem. – Przekaż moje pozdrowienia Soncie-i, dobrze?

Położył palce na powiekach zbieracza i oto świat jawy zniknął dla Rabbaneha.

42. POWRÓT



Jadąca z innymi na tyłach armii Hanani przekroczyła bramy miasta po raz pierwszy od miesiąca. Nie wyglądało jak ten Gujaareh, który zostawiła.

Dym zasłaniał wszystko. Kisuański arsenał w pobliżu zachodniej bramy spłonął; belki stropowe się zapadły, zostały tylko osmolone gliniane ściany niczym pusta skorupa. W oddali rozlegały się krzyki, piski, czasem wiwatowanie tłumu. Dakha spłoszyła się nagle, rzuciła łbem i ominęła coś leżącego na ziemi. Hanani ściągnęła wodze i drgnęła, spojrzawszy w niewidzące oczy kisuańskiego żołnierza, jednego z kilkuset poległych na placu przy bramie.

Towarzyszający jej Banbarra, mężczyzna w wieku Unte, położył na ramieniu dziewczyny stwardniałą od odcisków rękę i powiedział coś pocieszająco w chakti. Należał do rzemieślników, którzy obsługiwali wojowników, zajmował się bronią. Wraz z paroma innymi Banbarrami trzymał się blisko Hanani przez całą podróż, choć żaden z nich nie był wojownikiem i nie miał broni innej niż zwykły nóż, taki, jakie nosili chyba wszyscy. Skinęła mu głową, wdzięczna za pociechę, choć nie na wiele się zdała wobec widoku ohydneho koszmaru, który niegdyś nazywano Miastem Snów.

Ale kiedy po przekroczeniu bramy ruszyli alejami wiodącymi do wschodniej części miasta, Hanani przekonała się z ulgą, iż zniszczenia nie są tak wielkie, jak sądziła. Żadne inne budynki nie płonęły, dostrzegła jedynie kilka sklepów, które chyba złupiono. W większości okien w domach zalegała ciemność, choć Hanani dostrzegła w nich ludzi, przyglądających się zza zasłon jeźdźcom. Na rynkach nie było równie spokojnie; zaścielały je zwłoki, a kiedy

przejeżdżali przez krużganek, nadal ozdobiony kolorowymi wstążkami z okazji święta przesilenia, Hanani dostrzegła kisuańskiego żołnierza, biegnącego równoległą ulicą. Chwilę później pojawiło się dziesięciu lub piętnastu rozkrzyczanych gujaareńskich podrostków.

W nadrzecznej dzielnicy panowała cisza. Pod mostem znajomy smród ryb został zagłuszony odorem spalenizny i koni. A gdy przemierzali dzielnicę rzemieślników, kolumna przed nimi nagle zaczęła co chwilę przystawać, wymuszając takie samo zachowanie na grupie Hanani; dopiero wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że armia musiała dotrzeć do hetawskiego placu, jedynej otwartej przestrzeni w tej części miasta na tyle dużej, by pomieścić całą formację. Oczywiście, kiedy i oni dotarli na plac, Hanani ujrzała, że żołnierze podzielili się na uporządkowane oddziały, z wojownikami osłaniającymi ich tarczami od zewnątrz i łucznikami na dachach najbliższych domów i zabudowań. Kilka wojennych rydwanów, zwrotnych i lśniących, przejeżdżało z turkotem przez sąsiednie ulice, patrolując je.

Na obrzeżach placu zebrali się też zwykli mieszkańcy miasta: mężczyźni i kilka kobiet w różnym wieku, ze wszystkich kast. Hanani dostrzegła ich więcej poza placem, w bocznych uliczkach i otwartych drzwiach domów. Paru chłopców, którzy ledwie przekroczyli wiek wyboru, o ile w ogóle przekroczyli, podbiegło do gujaareńskich jeźdźców i zaczęło błagać ich o zabranie ze sobą. Dorośli zachowywali się bardziej powściągliwie; niektórzy wyciągali szyje, by dostrzec Wanahomena, inni pokazywali sobie Banbarrów. Szeptali do siebie, zasłaniając usta rękami, z oczami płonącymi podnieceniem i z niecierpliwością, która jeszcze przed chwilą wydałaby się Hanani przerażająca. Teraz, choć nadal ją niepokoiła, stała się zrozumiała. To, co odbijało się w oczach tych ludzi, nie różniło się od słusznego gniewu Mni-inha, kiedy uważał, że Hanani postąpiła źle, bądź też determinacji, która pomogła Wanahomenowi przetrwać niewolę i zdradę. W takim uczuciu nie było spokoju i dziewczyna dokładnie wiedziała, jak niebezpieczne może się stać bez dozoru, ale niespokojne uczucia same w sobie nie były

niebezpieczne. Wszystko zależało od tego, kiedy i jak się je wyrażało.

Ale gdy Hanani znowu spojrzała na zbudowane z piaskowca ściany Hetawy, poczuła, że jej serce przepelniają radość i obawa. Tu mieszkali jej bracia, jedyna rodzina dziewczyny. Czy przyjmą ją do siebie, zbrukaną złamaniem przysięgi i barbarzyńskimi obyczajami? Czy zdołają jakoś ukoić ból po stracie Mni-inha i cierpienie z powodu odebranego komuś życia? A może spojrzą na osobę, którą się stała, rozłożą ręce i poproszą zbieraczy, żeby uratowali ją przed dalszą męczarnią?

Z zamyślenia wyrwało ją poruszenie wśród stojących przed nią żołnierzy. Po chwili rozstąpili się, ukazując jadącego konno mężczyznę w płowych banbarryjskich szatach. Jego sylwetka miała w sobie coś znajomego; Hanani rozpoznała go, zanim jeszcze zauważył ją i przystanął.

– Praktykantko – odezwał się Charris. – Nasz książę cię wzywa. Chce cię odprowadzić do domu.

Zaskoczona Hanani zastygła bez ruchu na parę chwil. Nie przyszło jej do głowy, że Wanahomen może zrobić coś takiego. Na razie nie doszło do żadnej bitwy; jej uzdrowicielskie umiejętności nie były potrzebne. Więc na tym koniec? Już mu się nie przyda, więc pozbywa się jej jak niechcianego obowiązku?

Ale nie, zachowywała się nierozsądnie. Wanahomen przybył tutaj, do Hetawy, nie do Yanya-iyana. Musiał to zrobić ze względów strategicznych. I zachowywał się przyzwoicie, odprowadzając ją do braci, dopóki mógł. Odsunęła od siebie niepokój, skinęła głową i pojechała za Charrisem.

Mężczyzna przejechał w milczeniu wśród kolumny wojowników aż do stopni Hetawy.

Hanani natychmiast dostrzegła Wanahomena, który zdjął zawój i zasłonę i zsiadł z konia. Kiedy Hanani i Charris podeszli do niego, odwrócił się od brązowych drzwi, którym uważnie się przyglądał. Skinął im głową przyjaźnie, lecz bezosobowo.

– Dziękuję, Charrisie. Przynieś jej juki.

Przeniósł spojrzenie na Hanani i nie odwracał go przez długą chwilę. Zacisnął zęby; w jego oczach pojawił się ciężar niewypowiedzianych słów. Ale zamiast je wyrazić, wyciągnął tylko do niej rękę.

Zeskoczenie na ziemię stało się dla niej niewytłumaczalnie trudnym zadaniem. Dwa razy podnosiła się z siodła, zanim w końcu z niego zsiadła. Podchodząc do księcia, potknęła się, choć na drodze nie było żadnych przeszkód. Wanahomen złapał ją za ramię i przytrzymał, dopóki nie złapała równowagi. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Książę... – Gardło jej się zacisnęło; ledwie zdołała wykrztusić to jedno słowo. Co się z nią działo? Przecież go nie kochała. Był dla niej tym, czego potrzebowała, czyli przyjacielem w czasie zagubienia, lecz niczym więcej. Dlaczego czuła się gorzej niż podczas rozstania z Yanassą?

Wanahomen westchnął, widząc rozterkę Hanani, i położył palec na jej ustach.

– Nic nie mów – szepnął tak cicho, że tylko ona go usłyszała. – Albo cię zatrzymam i wybuchnie nowa wojna.

Mówił lekko i z uśmiechem, ale Hanani przez ułamek chwili poczuła napięcie w jego dłoniach. Raptem zrozumiała: gdyby o to poprosiła, naprawdę by ją zatrzymał, choćby z tego powodu z jego dopiero co odbitym krajem miało się stać coś strasznego.

Właśnie to Yanassa usiłowała jej wytłumaczyć, a zresztą Hanani sama o tym wiedziała.

Wanahomen nie znał umiarkowania. Nienawidził i kochał z taką samą zaciekłością i mógł być wyjątkowo niebezpieczny. Nie było to szaleństwo w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale łagodniejsza wersja tej samej przypadłości, która doprowadziła do upadku jego ojca.

Ta świadomość sprawiła, że jeszcze trudniej było jej uśmiechnąć się w odpowiedzi, jakby książę naprawdę zażartował. Powolne,

zrezygnowane zniknięcie jego uśmiechu zostawiło jej w ustach gorzki posmak wyrzutów sumienia.

– Odprowadź mnie do domu, Wanahomenie – powiedziała. Po długiej chwili skinął głową, puścił ją i odwrócił się, by wejść z nią po schodach. Charris ruszył za nimi, niosąc na ramionach juki Hanani.

Wielkie brązowe drzwi Hetawy otworzyły się ze zgrzytem, który odbił się echem na placu. Za nimi ukazała się cisza. Hanani szła ze wzrokiem skierowanym przed siebie, z wysoko uniesioną głową, choć serce jej łomotało, a wszystkie myśli uleciały z głowy. Zatrzymali się w połowie drogi – Wanahomen musiał odwiązać od pasa swój ciężki miecz z brązu. Położył go na stopniu przed sobą, potem zdjął pas z banbarryjski nożem, które spoczęły tuż obok. Uniósł puste ręce, by wszyscy widzieli, że wchodzi do Hetawy z właściwym uszanowaniem, i zrobił krok naprzód.

Z rozdziawionej mrocznej paszczy drzwi śmignęły dwie strzały: jedna wbiła się w pierś księcia, druga w jego prawe udo.

Wanahomen osłupiał podobnie jak Hanani, kiedy księżę cofnął się i powoli osunął się na kolana. Ale zapadłą na chwilę ciszę zmaćił krzyk wojowników i obywateli, ich furia natychmiast zatrzęsała hetawskim placem. Opór stawiała im tylko garstka wartowników, podczas gdy oddział Bibikiego wypędził jakąś setkę dzieci na dziedziniec, skąd miały zostać przeprowadzone do Sali Błogosławieństw. Kapłani działali szybko i morderczo skutecznie; kładli żołnierzy czwórkami, choć tych było dziesięciokrotnie więcej. Dzieci wiwatowały; przez jakiś czas wyglądało na to, że kapłani odniosą zwycięstwo. Bibiki zmienił sytuację jedną decyzją – rozkazał swoim łucznikom celować w dzieci, stłoczone na brukowanym dziedzińcu. Wartownicy znieruchomieli. Wtedy Bibiki rozkazał strzelać do nich.

Tiaanet, niosąca Tantufi, oraz towarzysząca im Insurret znajdowały się wśród Kisuan wraz z trzydziestką innych „gości *Protektoratu*”. Tiaanet rozpoznała kilka osób, ale tylko dwie z nich pochodziły z rodzin zamieszanych w spisek: Orenajah, starsza z rodu

zhinhów i ciotka Iezanem, oraz Uayad, ośmioletni syn Deti-araaha. Orenajah stała wyprostowana i gniewna. Ruszała się z miejsca tylko wtedy, gdy żołnierze ją do tego zmuszali. Uayad bardzo się starał zachowywać odważnie, ale kiedy wartownicy padli, szybko otarł oczy pięścią.

Po uśmierceniu wartowników ludzie Bibikiego popędzili zakładników przez zabudowania; niewielkie oddziały odłączały się przy każdym z budynków, by schwytać lub zabić pozostałych kapłanów. Kiedy dotarli do Sali Błogosławieństw, okazało się, że większość sług Hananji, wiedząc o inwazji, ukryła się właśnie tam. Wśród nich nie było już wojowników; zostało kilkuset nauczycieli w brązowych szatach i dawców w czerwonych draperiach. W sali znajdowali także akolici i praktykanci. Gdy ludzie Bibikiego weszli do środka, ujrzeli kapłanów, stojących w dwóch nierównych szeregach po obu stronach drzwi. Zebrani byli cisi i uważni, nienaturalnie spokojni, jak zwykle słudzy Hananji. Jeden ich szereg blokował dojście do schodów na podwyższenie, by ludzie o niespokojnych intencjach nie zbrukali ołtarza Bogini. Drugi rząd zasłaniał leżące nieruchomo na pryczach postaci, które ułożono czwórkami z jednej strony sali, to były ofiary plagi koszmarów.

Pędzona przez żołnierzy Tiaanet zatrzymała się, by spojrzeć na śpiących. Napierający z tyłu ludzie popchnęli ją tak, że prawie upadła. Stary dawca o skórze równie jasnej, jak ciemna była skóra Tiaanet, podszedł, żeby ją podtrzymać.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

– Nic – powiedziała. – Dziękuję.

Kiedy się nie odezwał, podniosła na niego wzrok. Wpatrywał się w Tantufi.

– Czy mam... – zaczął.

– Nie – ucięła, przytuliła Tantufi do siebie i poszła szybko dalej.

Bibiki rozkazał swoim ludziom zabezpieczyć salę; natychmiast stanęli przy głównym wejściu, by przygotować się do obrony. Kilku łuczników weszło na korytarze prowadzące do sali i na balkony.

Potem Bibiki polecił zakładnikom wejść do alków donacyjnych, biegnących wzdłuż Sali Błogosławieństw. Pomieszczenia te były małe i dzieci szybko je wypełniły. Tiaanet i inni dorośli musieli przycupnąć pod ścianami i u stóp kolumn, rzeźbionych w pnącza i kwiaty. Bibiki zmierzył kapłanów i śpiących długim zamyślnym spojrzeniem i stanął na środku sali.

– Nie ucierpicie, jeśli będziecie z nami współpracowali – powiedział donośnie, ponieważ w wielkiej komnacie głos wydawał się cichszy niż zwykle. Kilku kapłanów skrzywiło się, zgorszonych zmęczeniem świętej ciszy. – Chyba że mieszkańcy miasta zdecydują, iż nie warto ratować wam życia, ale to już wasz problem, nie mój.

Niektórzy słudzy Hananji odetchnęli z ulgą, ale większość stała w milczeniu, sztywno wyprostowana, bardziej urażona niż przestraszona. Po chwili z ich grupy wystąpił starzec w szatach nauczyciela.

– Będziemy współpracowali – powiedział cicho, ledwie dosłyszalnie, może dlatego, by skarcić Bibikiego za jego wrzaskliwy głos. – Jeśli pozwolicie, podamy waszym ludziom pożywienie i napoje i zadbamy o rany, które odnieśli. Nie magią. – Spojrzał na śpiących i westchnął cicho. – Nasza magia zależy od snu, a przy tych nieszczęśnikach sen jest niebezpieczny, więc uważajcie. Ale pozostało nam ziołolecznictwo, operacje i na małą skalę alchemia. Prosimy tylko, byście powstrzymali się w tej sali przed dalszymi aktami przemocy. Stoimy przed podobizną Hananji, a nasza Bogini ceni sobie spokój.

Bibiki spojrzał na niego, autentycznie zaskoczony.

– Podżegacie miasto do buntu, a potem oferujecie nam gościnę? – Pokręcił głową i westchnął. – Chyba nigdy was nie zrozumiem. Moi ludzie nie przyjmą pożywienia ani napojów z waszych rąk, nie potrzebujemy też waszego leczenia. Ale jeśli któryś z zakładników tego wymaga, możecie się nim zająć.

Nauczyciel skłonił się i odwrócił się, by odejść.

– Co do aktów przemocy – rzucił za nim Bibiki – nie mogę

obiecać, że ich nie będzie. Jesteśmy żołnierzami. Trwa wojna. Robimy, co trzeba.

Z głębi sali dobiegły pomruki aprobaty żołnierzy, którzy mierzyli kapłanów głównie nieprzyjaznymi spojrzeniami.

Nauczyciel długo przyglądał się z obrzydzeniem Bibikiemu i jego ludziom. Odwrócił się bez słowa i zaczął rozmawiać ze swoimi braćmi.

Tiaanet – zmęczona, bo od minionego czwórdnia nie wypoczęła jak należy – usiadła w cieniu kolumny i położyła Tantufi na swoich kolanach, żeby odciążyć ręce i barki. Parę razy, gdzieś pomiędzy konną jazdą a tłoczeniem się w prowizorycznych zagrodach z innymi zakładnikami, ośmieliła się zdrzemnąć, choć Tantufi była tak blisko. Na szczęście już dawno nauczyła się wyczuwać, kiedy dziewczynka zaczyna śnić, i budziła się, zanim jej dusza wpadła w pułapkę. Ale choć działanie leków musiało ustać już wiele dni temu, Tantufi nieustannie broniła się przed snem, stosując wszystkie sztuczki, jakich nauczyła się przez lata: nieustannie poruszała którąś częścią ciała, przewracała oczami, gryzła się w język i dłonie i szeptała do siebie nieustannie, monotonnie, bełkotliwie. Nie mogła tak robić w nieskończoność i Tiaanet już dostrzegła oznaki, że dziewczynka wkrótce zaśnie, choćby tego nie chciała. Jej nerwowe ruchy stawały się wolniejsze. Gdy jej okrągłe jak Luna oczy się przymykały, coraz więcej czasu zajmowało ponowne uniesienie powiek. Gdyby w pobliżu znajdował się brutalny strażnik ojca, Tantufi wytrzymałaby dłużej, ale po wyczerpujących minionych dniach i w usypiającej ciszy Hetawy sen po prostu musiał nadejść.

Insurret usiadła pod ścianą naprzeciwko Tiaanet, wpatrzona w nią roziskrzonymi oczami.

Podczas tej podróży matka zachowywała się tak przytomnie, jak jej się to nie zdarzyło od lat, jakby trudy podróży wyrwały jej umysł z niekończących się pętli obłędu. Jednak jej nienawiść pozostała równie mocna. Ale ku uldze Tiaanet matka nie odezwała się ani słowem od czasu, gdy żołnierze wyprowadzili je z posiadłości.

– Pani, czy chcesz wody? – Hetawski młodzik, któremu pewnie

starsi zlecili ten obowiązek, zatrzymał się przy niej z naczyniem i czerpakiem.

– Dziękuję – powiedziała Tiaanet. Chłopiec podał jej czerpak, który zbliżyła do ust Tantufi. Potem napiła się sama i oddała czerpak.

– I moja matka – dodała, wskazując Insurret.

Chłopiec machinalnie skinął głową, jakby jej nie słyszał. On także zapatrzył się na Tantufi. Tiaanet rzuciła mu zimne spojrzenie i przesunęła się tak, żeby zasłonić twarz dziewczynki przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Skarcony chłopiec drgnął, skłonił się przepaszająco i odwrócił się, żeby podać wodę Insurret.

– To nie ma sensu – mruknęła siedząca obok Orenajah. Jak inni zakładnicy pierwszego dnia przypatrywała się ciekawie Tantufi, ale teraz wygląd dziecka już jej nie dziwił. – To miasto oszalało. Nikogo nie obchodzi, że nas tu trzymają.

Tiaanet wiedziała, że ojca to obchodzi, i to bardzo. Z pewnością zaproponował okup. Mógłby nawet zdradzić swoich towarzyszy i spisek, choć podejrzewała, że cofnie się przed pogrążeniem samego siebie. A innym spiskowcom okupacja Hetawy także nie będzie obojętna, tak bardzo, że mogliby przestać popierać Wanahomena, choć akurat teraz jednomyślność jego sprzymierzeńców stanowiła sprawę najwyższej wagi.

– Kisuanie nadal są silni – powiedziała. – Słyszałam, jak Bibiki mówił swoim ludziom, że większość kisuańskich sił została skierowana do Yanya-iyana. Jeśli przymierze księcia się rozpadnie, to Kisuanie bez większego wysiłku odzyskają władzę. Zabiją księcia, zburzą Hetawę i złamią ducha narodu. Gujaareh znowu będzie należał do nich.

Orenajah zastanowiła się, marszcząc brwi.

– Nie dbam o to, czy umrę – powiedziała w końcu. – I tak wkrótce wezwałabym zbieracza. Ale... – Spojrzała na alkowy, z których dobiegał płacz dzieci.

Tiaanet mimo woli popatrzyła na prycze ze śpiącymi. Dawcy

i akolici chodzili wśród nich, doglądali, co pewnie robili od miesiąca. Właśnie zaczęli zmieniać pieluchy starszej od niej kobiecie.

– Nieważne – mruknęła, odwracając się. Już widywała ofiary mocy Tantufi. Nie można było im pomóc. Najlepiej uważać ich za zmarłych. – Teraz musimy myśleć o sobie.

Orenajah prychnęła cicho z dezaprobatą, ale nic nie powiedziała.

– Mama – szepnęła Tantufi. Tiaanet spojrzała na nią; ogromne przekrwione oczy wpatrywały się w jej twarz, na chwilę przytomne. – Ludzie.

Śpiący.

– Ćśśś – powiedziała Tiaanet. – Chcesz jeść? Tantufi gwałtownie potrzaskała głową.

– Nie, nie, nie. – Odwróciła się, spoglądając nad ramieniem Tiaannet na prycze. Jej twarz stężała w wyraźnym grymasie niepokoju. – Tak dużo.

– To nieważne – powtórzyła Tiaanet. – Dla ciebie ważna jestem tylko ja, a dla mnie tylko ty. Zawsze tak było, prawda? Więc już cicho.

Tantufi w końcu ucichła, znowu wykonywała te obłąkane ruchy, które nie pozwalały jej zasnąć, ale nie spuszczała wzroku ze śpiących i od czasu do czasu wydawała cichy, świszczący odgłos rozpaczy. Insurret prychnęła z pogardą, ale nie skomentowała, więc Tiaanet nie zwróciła na nią uwagi.

W sali zapadła względna cisza oczekiwania, Tiaanet nie wiedziała, na co właściwie tak czekają. Przeszedł kolejny akolita, tym razem z płaskimi bochenkami chleba; najwyraźniej B ibiki pozwolił mieszkańcom Hetawy odwiedzić spiżarnie w towarzystwie strażników. Tiaanet wzięła kawałek chleba bardziej po to, żeby nie zasnąć, niż dlatego, że była głodna. Z tego samego powodu zaczęła nakłaniać Tantufi do jedzenia. Dziewczynka ostatnio nieruchomiała na długie chwile. Kolejny sygnał, zapowiadający sen.

Ale zanim Tantufi coś przełknęła, drgnęła, przestraszona głośnym

krzykiem żołnierza przy głównym wejściu Hetawy.

– *Kapitanie!*

Bibiki, naradzający się w kącie z paroma swoimi podwładnymi, natychmiast podszedł, by sprawdzić, co się dzieje. Przez długą chwilę nic się nie działo, Tiaanet jadła i karmiła Tantufi. Musiała przeżuwać dla niej chleb, ponieważ zęby dziewczynki się chwiały. Ale w końcu stało się jasne, że na zewnątrz coś się wydarzyło. Zaniepokojeni żołnierze zgromadzili się przed drzwiami i w oknach, trzymając broń w pogotowiu. Ich napięcie zmąciło spokojną atmosferę sali.

Nagle Tiaanet usłyszała pomruk Bibikiego:

– No nie wierzę. – Potem kapitan parsknął śmiechem. – Coś podobnego... Może jednak ten bałagan skończy się szybciej, niż myślałem. Spróbujmy wziąć go żywcem.

Mężczyźni szybko się przegrupowali, choć Tiaanet nie rozumiała, co robią ani dlaczego.

Potem usłyszała zgrzyt otwieranych brązowych drzwi.

Słudzy w sali skamienieli.

– Wyjęli broń – odezwał się jakiś dawca donośnym oburzonym szeptem. Zacisnął pięści.

– *Broń!*

– Spokój – rzekł stojący obok nauczyciel, ale wcale nie wyglądał na bardziej zrównoważonego.

Potem rozległ się okrzyk Bibikiego: „*Teraz!*” i świst strzała. W sali rozeszło się echo ryku tysiąca gniewnych głosów mężczyzn, kobiet, starców i dzieci. Przez ten krzyk przebiło się wołanie Bibikiego:

– *Strzelać w pierwszą linię! Odpędzić ich! Wy czterej idźcie po niego. Szybko! Reszta niech ich kryje!*

Zatupotały nogi i po chwili drzwi znowu skrzypnęły. A potem do sali wbiegła grupa ludzi Bibikiego. Jeden ciągnął za sobą kobietę w barbarzyńskim stroju, która dziko szarpała się w jego chwycie. Drugi włókł kolejnego Banbarre, ale Tiaanet nawet ze swojego

miejsca widziała, że mężczyzna nie żyje; w jego gardle tkwiła strzała. Kiedy rzucili go na podłogę, wokół ciała zaczęła się powiększać kałuża krwi.

Trzeci jeniec, którego przyprowadzono, także krwawił, ale kłął i miotał się, gdy go cisnęli na podłogę. Wanahomen.

– Uważaj na swoją zmijkę, córko. – Głos Insurret przypomniał Tiaanet o jej własnych problemach. Matka uśmiechała się; skinęła głową w stronę dziewczynki. Tiaanet z ukłuciem strachu uświadomiła sobie, że Tantufi leży bezwładnie z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami.

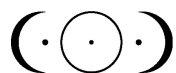
– Nie... – Tiaanet natychmiast nią potrasnęła tak mocno, jak mogła, by nie zrobić małej krzywdy. Tantufi uchyliła nieco powieki, odsłaniając zaszkłone, niewidzące oczy, ale natychmiast znowu je zamknęła. – Tufi, obudź się. Nie wolno ci zasnąć, nie teraz.

Nie w pokoju pełnym śpiących, których dusze już osłabły w długiej niewoli. Nie w sercu Hetawy, gdzie roi się od narkomantów, którzy natychmiast rozpoznają, kim jest dziewczynka.

Ale było za późno. Tiaanet znowu potrasnęła córką, uderzyła ją w twarz, nawet uniosła jej bezwładną rękę i zacisnęła zęby na niedawnych bliznach, ale dziewczynka ani drgnęła. Zawsze tak było, gdy w końcu zasypiała; jeśli nie zbudziło się jej od razu, ciało dziecka bezwzględnie rekompensowało sobie zaległe noce odpoczynku. Na tym etapie nie obudziłoby jej nic oprócz bicia.

Tantufi westchnęła, przytuliła się do piersi przerażonej i bezradnej Tiaanet i zaczęła śnić.

43. WALKA O CIAŁO



Wanahomen nie potrafił powstrzymać szamotania się pod dotykiem Hanani.

– *Zrodzone przez cienie gównożerne pomioty szakala!* – Odrzącił jej ręce, kiedy usiłowała zbadać ciało w miejscu, gdzie ugrzęzła w nim strzała. Łypnął z furią na zebranych wokół nich kisuańskich żołnierzy i spróbował usiąść. – Nie macie honoru? Za zbezczeszczenie Hetawy powinien spaść na was gniew wszystkich bogów...

Tłum rozstąpił się, ukazując władczygo mężczyznę w czarnej skórze lamparta, który pochylił się, by na nich spojrzeć.

– Możliwe, że spadnie, księżę – powiedział po gujaareńsku z mocnym akcentem. – Ale cierpiąc, będę czerpał pociechę ze świadomości, że mój lud uznał mnie, choćby tylko na jakiś czas, za bohatera za to, że cię pojmałem. A ty... – Spojrzał ostro na Hanani – jesteś jakąś uzdrowicielką czy tylko jego kobietą?

Rana w udzie Wanahomena za bardzo krwawiła. Strzała wbiła mu się w pierś na tyle głęboko, że mogła przebić płuco, ale to udo było najbardziej zagrożone.

– Jestem praktykantką ścieżki dawców z Hetawy – powiedziała Hanani do Kisuanina, mocno chwytając szaty Wanahomena i rozdzierając je, żeby zobaczyć ranę. – Wypożyczoną księciu jako dowód naszego przymierza.

Zaskoczenie kisuańskiego dowódcy odbiło się raczej w jego głosie niż spojrzeniu.

– Rozumiem. No cóż, skoro to twoja rola, utrzymaj go przy życiu.

Wyśle jego żołnierzom wiadomość, że księżę zginie, jeśli spróbują staranować drzwi.

– Utrzymujesz mnie przy życiu, żeby móc mnie zabić. – Wanahomen roześmiał się gorzko i skrzywił się, bo ból przeszył mu pierś.

– Tak, tak, jak sobie życzysz – warknęła Hanani, zniecierpliwiona nimi oboma.

Niepotrzebne groźby i bezsensowny opór; nie miała czasu na te barbarzyńskie pozy. Widziała, że za żołnierzami zbierają się kapłani. Dostrzegła wśród nich znaną twarz.

– *Bracie Nhen-ne-verra!*

Wezwany drgnął i wystąpił naprzód.

– Tak...? – Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. – Hanani?

– Strzała chyba naruszyła wielką tętnicę w nodze – powiedziała. Usiadła i rozpięła jeden z pasków, który dostała od Yanassy, ten, na którym miała nosić dary od kochanków. Zdjęła go i obwiązała nim udo Wanahomena nad raną. – Mogę go uleczyć, ale nie ośmielę się jeszcze wyjąć strzały. Może tylko ona powstrzymuje krwotok...

Urwała, kiedy jeden z żołnierzy odsunął się na bok, i ujrzała Charrisa, leżącego twarzą w dół w kałuży krwi, nadal z jej jukami na ramieniu.

– *Charris!*

Wanahomen usiłował wstać; jeden z żołnierzy przyłożył mu miecz do gardła; księżę bluznął banbarryjskimi przekleństwami.

– Hanani... – Odwrócił się do niej z oczami rozszerzonymi strachem. – Pomóż mu.

Proszę.

Wokół ciała Charrisa było zbyt wiele krwi. Hanani skupiła się na zaciśnięciu paska na udzie Wanahomena, żeby jeszcze przez chwilę nie mówić mu prawdy. Ale Nhen-ne-verra przykucnął obok niej.

– Nasz akolita się nim zajmie.

Przy Charrisie przykląkł chłopiec, dość młody jak na praktykanta. Badał go tylko przez chwilę. Wyraz jego twarzy stanowił wystarczające potwierdzenie.

– Nie – szepnął Wanahomen. Z jego gardła wyrwał się ni to jęk, ni to szloch. – Bogowie, nie.

Hanani zmusiła się do skupienia na ranie. Później go pocieszy.

– Mieliśmy trochę szczęścia – powiedziała do Nhen-ne-verry. – Strzała w piersi mogła nie przebić płuca. Nie słyszę świstu i chyba nic mu nie utrudnia oddychania.

Nhen-ne-verra podszedł i rozdarł ubranie na piersi księcia, żeby lepiej się przyjrzeć ranie.

– Ach, tak... wbiła się między żebrami, zwyczajna rana. Chwila. – Wyszarpnął strzałę z piersi Wanahomena, który wrzasnął i łypnął na niego z czystą urazą. Hanani niemal się uśmiechnęła; gdyby człowiek mógł żyć samym gniewem i dumą, Wanahomen doszedłby do siebie w jeden dzień.

– Jeśli zajmiesz się nogą i wyciągniesz strzałę, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila... – Spojrzała Wanahomenowi w oczy, ale Nhen-ne-verra gwałtownie chwycił ją za przegub.

– Nie możesz go uleczyć – powiedział. – Nie magią, nie tutaj. – Wskazał salę; Hanani w końcu dostrzegła rzędy uśpionych postaci. – Jeszcze więcej odeszło – dodał Nhen-ne-verra, kiedy zamarła ze zgrozy. – Co parę dni coś przepływa przez nich jak powódź. To tylko nowi, których przyniesiono po ostatniej fali. Nie możemy uratować ani ich, ani nikogo innego, bo leczniczy sen na tyle przypomina prawdziwy, że... no, cóż.

Przybita takim obrotem sprawy, Hanani spojrzała na Wanahomena, który trochę pobladł; nadał dyszał ciężko po wyciągnięciu strzały. Na widok kropli potu na jego czole ochłonęła z oszołomienia.

– W jukach, tych, które niósł ten człowiek – powiedziała do akolity, który zbadał Charrisa, a teraz stał nieopodal – są moje akcesoria. Proszę, poczyń przygotowania do rytuału operacji.

Młodzik przez chwilę stał, zaskoczony, ale potem podszedł do juków i zaczął szukać wskazanych przedmiotów.

– Hanani... – Nhen-ne-verra pokręcił głową. – Masz senną krew, żeby złagodzić jego ból? Po uwięzieniu zbieraczy sami prawie jej nie mamy. Jeśli straci przytomność, zabierze go plaga koszmarów.

– Jeśli nic nie zrobimy, wykrwawi się na śmierć – odpowiedziała, z wysiłkiem zdobywając się na szacunek. Przecież zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Uważał ją za idiotkę? Oczywiście, że tak, teraz to sobie uświadomiła. Podobnie jak wielu pełnoprawnych dawców, którzy często odzywali się do niej jak do akolitki albo upośledzonej umysłowo, choć już dawno udowodniła, że dorównuje innym praktykantom. Myślała, że przywykła do tego odruchowego lekceważenia. Co się zmieniło przez miniony miesiąc, że straciła cierpliwość do takiego traktowania?

– I nie możesz magią oczyścić jego ciała – dodał Nhen-ne-verra pouczająco. – Kiedy rana się zakazi...

– Chętnie posłucham, jaki masz inny pomysł, bracie. – Spojrzała mu w oczy, wiedząc, że nic nie usłyszy. W końcu Nhen-ne-verra odwrócił wzrok i pokręcił głową.

Hanani spojrzała na Wanahomena. Już się uspokoił po wyjęciu strzały, a teraz patrzył na nią. Nagle przypomniała sobie tę noc, kiedy opłakiwała Mni-inha, a on trzymał ją w objęciach, i przejął ją dotkliwy, bolesny strach. Miała już dość tracenia ludzi. To, że Wanahomen musiał odejść z powodu objęcia rządów, to jedno, lecz gdyby miała go jej odebrać śmierć... O, to coś zupełnie innego.

– Jesteś silny, książę – powiedziała, dotykając jego warg. Na jej palcach zostało trochę krwi. Zabarwiła jego usta jak banbarryjski barwnik. – Zbyt wiele przetrwałeś, żeby teraz się załamać.

Wanahomen uniósł brwi, zaskoczony jej gestem. Zbyt późno uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie wykazała tyle czułości. Może sprawiła mu tym przyjemność.

– To jasne, że nie umrę – wymamrotał. Ironia w jego głosie podniosła ją na duchu. – Pospiesz się i napraw mnie.

Skinęła głową i wstała.

Jej banbarryjskie szaty – luźne, brudne po podróży od piasku i końskiego potu – zupełnie nie nadawały się do przeprowadzenia operacji. Zdjęła wierzchnią tunikę i odrzuciła ją na bok. To samo zrobiła z luźną spodnią koszulą. Przestała obwiązywać piersi od pierwszej wizyty Wanahomena, bo bandaże przeszkadzały, kiedy chciała seksu. Banbarryjskie skórzane opaski na piersi ocierały ją, a ponieważ nie znalazła żadnego dobrego substytutu, w końcu postanowiła nie nosić niczego. Nhen-ne-verra poczerwieniał, jak zwykle się dzieje w przypadku mężczyzn o jasnej skórze. Wstrząśnięty, spojrzał na jej piersi, ale natychmiast odwrócił wzrok i nic nie powiedział, wiedząc podobnie jak ona, że nie czas na kłótnie o przyzwoitość.

Akolita wrócił z akcesoriami Hanani i wodą w słoju. Tuż za nim spieszył inny młodzieniec z dużą miednicą rozgrzanego czerwonego wosku, który trzymano w jednej z komnat modlitewnych na wypadek rytuału operacji. Jeśli któregoś zaskoczył widok obnażonych piersi Hanani, żaden nie był na tyle głupi, żeby to okazać.

– Czy możemy asystować, praktykantko? – spytał pierwszy.

Hanani spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie spodziewała się, żeby po Dayu jakiś akolita zechciał jej służyć, tym bardziej dwóch naraz. Ach, oczywiście: operacje wykonywano rzadko i chłopcy mogli nie mieć szansy, by być świadkami jakiegokolwiek innej.

– Możecie – powiedziała. – Przytrzymajcie miednicę.

Przygotowała się na ból – bo wosk był tak gorący, że aż parzył – i zanurzyła w niego dłonie. Pszczeli wosk, który jak miód zapobiegał zakażeniu ran, był zmieszany z włóknami hekeh i ziołami znanymi z leczniczego działania. Zanurzyła ręce czterokrotnie, za każdym razem szepcząc inwokację do Bogini. Po czwartym razie uniosła dłonie; wosk pokrył je po łokcie cienką, sprężystą powłoką jak rękawiczki. Kiedy Nhen-ne-verra podszedł, by zanurzyć ręce, drugi akolita podał dziewczynie akcesoria na skórzanej poduszce. Zauważyła, że wypolerował je maścią z piekającej akacji i ułożył

we właściwym porządku. Gdy skinęła głową z aprobatą, promienny uśmiech chłopca przypomniał jej boleśnie o Dayuhotemie. Ale odsunęła to wspomnienie, wzięła długi, cienki jak opłatek nóż z białego opalu i przykucnęła przy księżcu.

– Chcesz na czymś zacisnąć zęby?

Księżę spojrział w sufit i odetchnął głęboko.

– Co mi z tego przyjdzie? Zaczynaj.

Skinęła głową, pochyliła się i zrobiła szybkie, głębokie do kości cięcie po obu stronach strzały. Cienkie ostrze wbiło się w skórę i mięśnie jak w masło. Niestety, nie tak bezboleśnie; Wanahomen zachłysnął się, jego ciało stężało z wielkiego cierpienia. Udało mu się nie wydać żadnego dźwięku. Hanani odłożyła opalowy nóż na poduszkę i rozchyliła palcami ranę, choć księżę odetchnął bardzo ciężko i zacisnął pięści tak mocno, że zadrżały.

Trudno było coś dostrzec przez sączącą się krew, ale stało się jasne, że strzała przebiła tętnicę na wylot. I może dobrze się stało, bo grot zablokował prawie cały powstały otwór. Gdyby nie on, księżę dawno by się wykrwawił.

– Jadeit – rzuciła i akolita szybko podał jej cienką zakrzywioną igłę z nitką z wysuszonego końskiego ścięgna. – Bracie Nhen-ne-verra...

Dawca chwycił strzałę. Kiedy Hanani skinęła głową, wyszarpnął ją z tętnicy. Natychmiast bluznęła krew, mała fontanna, która byłaby o wiele obfitsza, gdyby nie zaciśnięty pasek. Hanani najszybciej jak umiała parę razy przekłuła tętnicę igłą i przeciągnęła przez nią nić. To zatrzymało strumień, choć nie zapobiegło małym przeciekom...

– Hanani. – Niepokój w głosie Nhen-ne-verry ostrzegł ją przed niebezpieczeństwem. Powieki Wanahomena zatrzepotały, oczy błysnęły białkami.

– Księżę – rzuciła umyślnie ostrym tonem. – Wanahomenie.

Księżę mrugnął parę razy i w końcu zdołał wyostrzyć wzrok, choć najwyraźniej przyszło mu to z trudem.

– Chcesz wiedzieć, co Yanassa mi o tobie powiedziała?

To mu przywróciło przytomność, choć jęknął cicho.

– P... powiedziała...?

Hanani zmieniła igłę na inną, malutką, z nocnego kamienia i zaczęła szybko zaszywać drobne otworki. Skinęła głową na jednego z akolitów, żeby wkropił w ranę słoną wodę, by mogła zobaczyć tętnicę. Wanahomen wydał zduszony skowyt, wyprężył się i zaczął dyszeć przez zaciśnięte zęby.

– O, wiele tajemnic – podjęła, żeby odwrócić jego uwagę. – Powiedziała, że raz, szczytując, zawołałeś matkę, a matka odkrzyknęła ze swojego namiotu, żebyś wykrzykiwał jakieś inne imię i nie robił jej wstydu.

Nhen-ne-verra czekał z ręką na przepasce. Kiedy Hanani założyła ostatni szew, skinęła głową. Dawca rozluźnił pasek. Rana niemal natychmiast wezbrała krwią, ale była to przede wszystkim krew ze skóry rozciętej przy poszerzaniu rany, kiedy Hanani poszerzała ranę, nie z wielkiej tętnicy. Hanani odetchnęła z ulgą. To mogło oznaczać, że kończyzna nie zostanie tknięta gangreną; Nhen-ne-verra skinął aprobująco głową. Dziewczyna znowu wzięła jadeitową igłę i szybko zaczęła zaszywać mięsień.

– N... na pewno ci t... tego nie powiedziała – rzucił Wanahomen przez zęby. Przy każdym wkłuciu otwierał i zamykał konwulsyjnie jedną dłoń. – Jesteś... *ach! Bogowie, bogowie!* Najgorszym kłamcą świata.

Zaszycie skóry było najłatwiejsze, ale i najboleśniejsze. Hanani zwijała się jak w ukropie, ale Wanahomen dygotał przy każdym ruchu igły, rzucał głową i sapał jak kowalskie miechy. Gdy wreszcie skończyła, cały spływał potem, a kałuża krwi, która zebrała się pod jego nogą, przemoczyła spódnicę Hanani od kolan po kostki.

– Trzeba to opatrzeć – powiedziała w końcu, prostując się z westchnieniem. – Ale skończyłam.

Nhen-ne-verra także odetchnął. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że był niemal równie spięty jak książkę. Dawcy chcą odruchowo

usuwać ból, nie powodować go.

Ale Wanahomen się nie odezwał i Hanani spojrzała na niego szybko w obawie, że zemdłał. Był przytomny, ale wpatrywał się w coś za kolumnami, a na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Hanani poszła za jego spojrzeniem i zobaczyła młodą kobietę, wysoką i szczupłą jak Shunhowie czy Kisuanie. Siedziała oparta o ścianę, trzymając w objęciach dziecko o rachitycznych nogach. Potrząsała nim i szeptała czule, chcąc je obudzić, ale małe ciało przelewało się jej przez ręce.

– Przynieście bandażę – rzuciła z roztargnieniem. Jeden z akolitów natychmiast oddalił się biegiem do magazynu między alkowami, gdzie trzymano narzędzia i opatrunki. – Bracie Nhen-ne-verra, ta kobieta...

Dawca obejrzał się w stronę, którą wskazała.

– Tak, widziałem je, kiedy weszły. To dziecko toczy jakaś wyniszczająca choroba. Chciałem je zbadać, ale kobieta... no cóż, jest shunhą...

– Tiaanet? – odezwał się nagle Wanahomen. Mówił bełkotliwie; siły, które pomogły mu przetrwać operację, szybko go opuszczały. – T-Tiaanet?

Kobieta podniosła głowę. Była niewiarygodnie piękna, choć teraz jej rysy szpecił wie lki strach. Patrzyła przez chwilę na Wanahomena, ale potem odwróciła wzrok i znowu zaczęła potrząsać dzieckiem.

– Mogę opatrzeć ranę, jeśli chcesz z nią porozmawiać – odezwał się Nhen-ne-verra.

Hanani skinęła głową i wstała. Spojrzała na swoje spódnice, od kolan w dół zbroczone krwią. „*Więc jednak noszę czerwone szaty*” – pomyślała nieprzytomnie. Zdarła wosk z rąk i oddała go czekającemu akolicie, po czym zbliżyła się do kobiety.

– Przepraszam – odezwała się do niej. Nieznajoma podniosła głowę; w jej oczach malowała się tak zaciekła chęć obrony, że Hanani znieruchomiała. Teraz zrozumiała, o czym mówił Nhen-ne-

verra: dziewczynka była ewidentnie chora, choć Hanani nie znała takiej przypadłości. Miała niemal łąsą głowę i choć jej wzrost wskazywał, że widziała pięć lub sześć powodzi, jej skóra była cienka i pergaminowa jak skóra staruszki. Kości rysowały się pod nią tak wyraźnie, że Hanani widziała miejsca, w których zostały złamane, a potem zrosły się krzywo, lub były zwyrodniałe. Rzucało się też w oczy, że dziecko nigdy nie było dobrze odżywiane. Już to samo mogło niepokoić, ale, co gorsza, dziewczynka spała.

Hanani oderwała od niej wzrok i skupiła się na... matce? Siostrze? Matce, zdecydowała instynktownie.

– Jeśli chcesz, możemy się nią zająć – powiedziała.

– Nic jej nie jest – warknęła kobieta.

Hanani pokręciła głową.

– Ta choroba to jakaś magia – rzekła. – Twoja córka nie obudzi się sama. Ale możemy przynajmniej zadbać o jej wygodę.

Dziewczynka jęknęła, a jej twarz wykrzywił grymas, który dodał jej lat. Całe kruche ciało stężało; rzuciła głową tak, jak niedawno Wanahomen, reagując na jakieś wewnętrzne cierpienie. Koszmar. Hanani odwróciła wzrok. Tak właśnie umarł Mni-inh.

Ale dźwięk, który przemknął przez Hetawę jak wiatr, wyprowadził ją ze stanu melancholii. Odwróciła się zaskoczona i zrozumiała: śpiący. Niektórzy rzucali się przez sen, jęcząc tak samo, jak przed chwilą jęczała dziewczynka. Ten dźwięk był połączeniem wielu głosów cierpiących.

– O Bogini, broń nas. – Nhen-ne-verra wstał, zaciskając pokryte woskiem pięści. – Tylko nie znowu.

Kisuańscy żołnierze również zareagowali nerwowo. Niektórzy unieśli broń. Ich dowódca wyszedł na środek komnaty, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na śpiących, rzucających się w nagłej fali poruszenia.

– Co to...? – zaczęła Hanani, ale raptem zrozumiała. Nhen-ne-verra powiedział, że od czasu do czasu coś przechodzi przez śpiących. Teraz stało się jasne, że to koszmar, ten sam, który

atakował wszystkich jednocześnie.

Ale...

– Nie, nie, nie, nie – zakwiliła dziewczynka przez sen. – Nie, nie, papa... A po chwili...

– *Nie!* – krzyknęła we śnie leżąca nieopodal kobieta bełkotliwym, lecz rozpoznawalnym głosem. – *Nie, ojcze, proszę!*

Jakiś starzec wydał słaby, rozpaczliwy jęk.

– *Ojcze, błagam, nie, nie!*

– *Przestań!* – zapłakał kolejny mężczyzna, masywny, wyglądający na żołnierza lub strażnika. – Nie, bogowie, proszę... *nie!*

Ten ostatni krzyk zabrzmiał przeraźliwie, jakby został wydarty ze śpiącego. Mężczyzna otworzył niewidzące oczy, wyginając ciało w łuk. Podbiegł do niego jeden z dawców zajmujących się chorymi, ale zanim zdążył go dopaść, żołnierz zakrzuszył się i chwycił za pierś. Przeszedł go silny dreszcz, po chwili jego ciało zwiotczało, a oczy obróciły się białkami do góry.

Dawca przykucnął i zbadał go, a potem jęknął, jakby powtarzając jak echo krzyk śpiącego.

Włosy zjeżyły się na karku Hanani. Odwróciła się powoli do kobiety z dziwnym dzieckiem.

A ona – Wanahomen nazwał ją Tiaanet – przyglądała jej się, przyczajona i spięta jak dzikie zwierzę. W ciągnącej się w nieskończoność chwili, która nastąpiła, Hanani zrozumiała, co się dzieje i co dziecko ma z tym wspólnego. A kobieta zrozumiała, że Hanani wie.

Dziewczynka wyprężyła się, dławiąc krzyk. Chwilę później wszyscy śpiący krzyknęli, niektórzy na całe gardło. I to było jakby sygnał: kobieta zerwała się na równe nogi i rozmyślnie wpadła na Hanani, trzymając dziecko w objęciach. Hanani przewróciła się, a kobieta rzuciła się w głąb Sali Błogosławieństw.

Kisuańscy żołnierze, zdezorientowani tym, co się działo ze śpiącymi, początkowo nie zwrócili uwagi na uciekającą. Dopiero

gdy krzyki zaczęły cichnąć – niektóre niepokojąco gwałtownie – głos Hanani przebił się przez wrzawę.

– *Bracia, to dziecko!* – Wskazała kobietę. – *To dziecko jest źródłem snów!*

Żołnierze w końcu zauważyli, co się dzieje, ale żaden nie znajdował się blisko Tiaanet. Kapłani zareagowali szybciej; niektórzy natychmiast rzucili się w pościg. Kobieta wbiegła za grubą zasłonę, oddzielającą salę od wewnętrznej części Hetawy.

Kisuański dowódca rzucił soczyste przekleństwo i zawołał coś, przekrzykując jęki śpiących. Czterech żołnierzy natychmiast rzuciło się za kobietą. W drzwiach zderzyli się z trzema dawcami, którzy także ścigali uciekającą. Hanani również chciała pobiec, ale zatrzymało ją poczucie obowiązku: nie mogła zostawiać Wanahomena, dopóki nie wydobrzeje. Dlatego uklękła przy nim i wzięła go za rękę.

– Tiaanet – wymamrotał. – to była Tiaanet. Na pewno. – Zmarszczył brwi. – Dlaczego nie...?

– Kimkolwiek była, chyba bała się o swoje dziecko – powiedziała Hanani. Akolita zdążył już wytrzeć kałużę krwi, a teraz bandażował nogę Wanahomena. Drugi położył na jego ranie skórzaną poduszkę, wypchaną ziołami. Hanani skinęła głową z zadowoleniem. Chłopcy podziękowali jej z wielką powagą. – Choć jeśli to dziecko naprawdę jest źródłem tych koszmarnych snów, które zabiły tak wielu, to niejedno wyjaśnia. Znasz ją?

Wanahomen powoli pokiwał głową. Niepokoilo ją, że ciągle się poci. Teraz w dodatku zaczął lekko drzeć. Dotknęła chłopca nakładającego okład i dała mu znak, żeby przyniósł wodę i koc.

– To shunha. Jej ojciec... mój sprzymierzeniec. Miałem nadzieję... – Zmarszczył brwi, jeszcze bardziej zaniepokojony. – Powiedziałaś „dziecko”?

– Tak sędzę. – Zamilkła, zaskoczona, bo ktoś przepchnął się przez tłum otaczający Wanahomena; to był nauczyciel Yehamwy.

– Co widziałaś? Jesteś pewna co do tego dziecka?

Hanani drgnęła, równie wstrząśnięta wyglądem przybysza, jak jego pytaniami. Yehamwy był wycieńczony i krańcowo wyczerpany, jakby nie spał od wielu dni, i pewnie tak było. Ale jego oczy płonęły gorączkową zaciekłością, która ją przestraszyła.

– Nie, nie jestem – powiedziała. – Ale wyglądało na to, że śpiący reagują na sny tego dziecka. – I dodała z wahaniem: – Księżę mówi, że ta kobieta to Tiaanet z kasty shunów. To dziecko to jej córka.

Yehamwy spojrział na nauczyciela, którego Hanani nie знаła. Ten ponuro pokiwał głową i powiedział:

– Ród Insurret. Jeden z tych, które mieliśmy sprawdzić.

– To żmija – odezwał się głos spomiędzy kolumn. Wszyscy obejrzelili się i ujrzeli kobietę w średnim wieku, przykucniętą pod ścianą. Jej podobieństwo do Tiaanet natychmiast rzucało się w oczy, tak samo jak szaleństwo, iskrzące się w jej oczach. – Zawsze syczy, syczy w mojej głowie, a najgorzej, kiedy śpię. Wiedziałam, że to jadowita gadzina nawet wtedy, gdy była w moim łonie. Chciałam się jej jak najszybciej pozbyć. A teraz urodziła własną żmijkę i oby zginęła od jej jadu. *Oby zginęła!*

Yehamwy zerknął na nauczyciela.

– Insurret?

– Na to wygląda.

Yehamwy nabrał tchu, podszedł do kobiety i przykucnął przy niej.

– Bądź pozdrowiona, pani Insurret – zaczął. – Powiedz, co znaczy, że słyszałaś syk córki w swojej głowie?

Insurret nagle spochmurniała.

– Dlaczego o nią pytasz? Wszyscy pytają o nią. Wszyscy chcą jej, nie mnie.

Yehamwy spuścił głowę, skrepowany. Niewątpliwie żałował, że nie może wezwać dawcy, który uleczy szaleństwo kobiety. Jednakże pochylił się i przemówił z naciskiem:

– Musimy ją znaleźć, pani. Jeśli się nie mylimy, ona i... ona i jej

dziecko mogą ocalić wiele istnień.

– Więc ty też jej chcesz. – W głosie Insurret zabrzmiało tyle jadu, że po plecach Hanani przebiegł dreszcz. Gdyby nie dostrzegła obłędu w oczach kobiety, zauważyłaby go teraz w jej tonie. – Więc ją sobie weź, jeśli chcesz, nie dbam o nią. Przychodzi do mnie z płaczem, o tak, przychodzi z płaczem i mówi, że jej ojciec... że ojciec... – Insurret zaczęła się kołysać z twarzą wykrzywioną grymasem. Po chwili znieruchomiała, pocierając dłońmi kolana. Nagle potrząsnęła głową. – *Kłamliwa, podła kurwa! Jeśli nawet to zrobił, to go sprowokowała! To jej wina!*

Yehamwy cofnął się, tak samo wstrząśnięty i przejęty wstrętem jak Hanani. Potem wyraźnie wziął się w garść i spróbował raz jeszcze:

– Pani, bez względu na to, jak wygląda prawda, chcemy zrozumieć, co za choroba dręczy jej dziecko. Czy zechcesz nam powiedzieć? Czy jej córka może uwolnić ludzi, których więzi we snach?

– Dlaczego pytacie o nią? – Insurret obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. – Tego potwora trzeba było udusić po urodzeniu. Ale on zawsze, zawsze spełnia jej zachcianki. Wystarczy, że powiedziała: „*Pozwól mi ją zatrzymać*”, i od razu jej ustąpił, taka ładna dziewczyna, o wiele ładniejsza ode mnie, dziecko jest jej brzemiem, więc dlaczego miałabym się przejmować tym przeklętym kurewskim pomiotem?

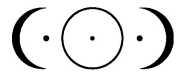
I zanim Yehamwy zdążył zareagować, Insurret poderwała się i popchnęła go z całych sił.

Zaskoczony nauczyciel krzyknął i stracił równowagę, spróbował ją odzyskać, ale mu się nie udało, i choć Hanani wiedziała, co się zaraz stanie, nie zdołała zareagować tak szybko, by temu zapobiec. Machając rękami, Yehamwy upadł na nogi Wanahomena.

Księżę krzyknął i wyprężył się z bólu; zanim ostatni oddech opuścił jego płuca, oczy wyróciły mu się białkami do góry, a powieki opadły.

– *Nie!* – Hanani zepchnęła z niego Yehamwy’ego, nie dbając o zachowanie przyzwoitości, ale było za późno. Otaczali ich śpiący. Ci, którym udało się przeżyć, nadal jęczeli i rzucali się nieprzytomnie. Wanahomen spadnie w sam środek najgorszego koszmaru.

44. WALKA O DUSZĘ



Świat składał się z czerwieni i kości. Spadający w niego z krzykiem człowiek, który był kiedyś Wanahomenem, poczuł się zredukowany do cyfry. Wspomnienie jawy nadal w nim tkwiło, choć stawało się odległe i spłowiałe, jak wspomnienie dzieciństwa. Nie był już księciem. Czerwony świat go zmienił. Tu stał się słabą istotą, stojącą najniżej w niezrozumiałej hierarchii. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że tu nie ma nadziei na przetrwanie, ponieważ nie było to niedoskonałe odbicie krainy granicznej czy nawet nieuniknionego cienia olśniewającej duszy Hananji, lecz zupełnie inne miejsce, miejsce należące do kogoś innego, miejsce, w którym słowo „nadzieja” nie miało znaczenia.

Nie upadł, a ugrzązł. Czerwień była gęsta i miejscami skrzepnięta, nie na tyle twarda, żeby na niej stanąć, lecz wystarczająca, by po niej pełznąć. Zatem pełzł, po brodę zanurzony w ciepłym cuchnącym szlamie, napinając ręce i nogi, by ominąć kości, które nie przypominały niczego znanego: ludzkie czaszki z dodatkowymi szczękami, ręce z dziesięcioma palcami, niezidentyfikowane zrosnięte twory. Zapłakał, bo jego serce przepełniła rozpacz, jakiej nie znał na jawie. Znalazł się zupełnie sam. Bał się. Czuł się słaby. Czuł smak nieuniknionego jak gorycz dzikich jabłek, a może tego czerwonego szlamu? I wkrótce miał spotkać pana tej krainy.

Przez niekończące się pory roku mężczyzna, który kiedyś był Wanahomenem, szamotał się i walczył. Gdy z góry padło na niego światło i buchnął żar, pomyślał, że w końcu nadchodzi śmierć, i do pewnego stopnia to go ucieszyło. Ale poczuł instynktownie, że ten ogień, który bluznął przez czerwień, miał w sobie czystość, która nie

pochodziła z tego miejsca. Skąd się wziął? Nie wiedział, ale czuł tylko tępą zazdrość, aż ogień otoczył go i wyrwał z czerwonej mazi.

– To miejsce gwałci duszę – odezwał się znajomy kobiecy głos. Do kogo należał? Człowiek, który był kiedyś Wanahomenem, nie wiedział, ale przywarł do jej świetlistej, bezcielesnej obecności, żałośnie wdzięczny za to, że nie jest już sam. – *Nigdy nie widziałam tak odrażającego tworu!* Chroń się, książę.

Początkowo nie zrozumiał, co to ma znaczyć, i kogo kobieta nazywa księciem. Jego? I co to jest „twór”?

Ale potem w czerwieni pojawiło się potężne pulsowanie, a kości pod jego stopami uniosły się, gdy zza widnokregu wyłonił się jakiś kształt. Był podłużny, giętki jak wąż, gdyby węże dorównywały rozmiarami rzekom. Z jego boków wystawały poruszające się odnóża, należące jakby do skorpiona czy stonogi, choć każde kończyło się potężnymi dłońmi wielkości budynków. Większość tych dłoni zaciskała się w pięści, a kiedy unosiły się i opadały w rytm ruchów stwora, na niektórych palcach błyskały pierścienie. Zostawiały one wypełnione krwią zagłębienia w gąbczastym gruncie. Ale to na widok głowy potwora, wznoszącej się nad czerwoną mazią na długiej grubej szyi, mężczyzna będący kiedyś Wanahomenem zaczął krzyczeć, bowiem głowa należała do jego ojca.

Twarz pozostała taka sama, choć wykrzywił ją radosny sadystyczny grymas głodu. W tej twarzy odbijało się szaleństwo ojca. To właśnie był potwór, który niemal unicestwił swój naród, by zaspokoić swoją ambicję, i który z taką samą bezwzględną łapczywością pożarł przyszłość swojego syna. Był straszniejszy od Kosiarza, bo choć obaj żywili się życiem, tylko jeden robił to z pełną świadomością. Z lubością.

Ale kiedy mężczyzna krzyknął, w kobiecie obudziła się nagle furia.

– Ty! – warknęła.

Mężczyzna, wyrwany z otępiełej zgrozy, wzdrygnął się, gdy

kobieta przybrała pewien kształt, ale nie taki, który pasował do jego wspomnień o niej. Kiedy je przywołał, widział coś delikatniejszego: miękkie palce, kaskady pierścionków włosów w kolorze mokrego piasku, niepewny głos, dojrzałe piersi o brązowych sutkach, które smakowały morską solą i słodyczą, choć nie potrafił sobie przypomnieć, skąd o tym wszystkim wie. Ale kobieta, która mu się ukazała, nie przypominała tych wizji. Była ubrana jak mężczyzna: w zwykłe draperie, zbyt proste jak na jej zaokrąglone biodra, w kołnierz zbyt szeroki dla jej wąskich barków, z burzą włosów zwiniętą w ścisły kok, oplątany opaskami. I niektóre rzeczy go niepokoiły, bo jakoś wydawały mu się niewłaściwe. Jej draperie biodrowe były czerwone, ale poznaczone ciemniejszymi mokrymi plamami. Gęsta czerwień pokrywała jej łagodne dłonie. Krew? Ta gęstsza, obrzydliwsza maź z tego świata? Nie wiedział, ale kiedy kobieta zacisnęła pięści, czerwień napięła się jak delikatne rękawiczki.

– Zdejmij tę twarz – rozkazała. Jej głos brzmiał jak szept, ale przepęniała go taka wściekłość, że cały czerwony świat zafalował. Nie wiadomo skąd zerwał się wichur, który smagnął kościane pustkowie. Twarz kobiety zamgliała się, rozdwoiła. Za tą gniewną twarzą kryła się płacząca, rozpaczająca istota. Kiedy znowu wrzasnęła, w jej głosie brzmiały szorstkie nuty szaleństwa: – *Jak śmiesz udawać brata Mni-inha, skoro go zabiłeś? Zdejmij tę twarz, ty potworze!*

„Zapomina samą siebie” – pomyślał mężczyzna. Wiedział, że to prawda, choć nie wiedział, skąd to wie.

I kobieta pobiegła przez czerwoną maź jak po twardej ziemi, popędziła w stronę stwora.

Ten zaś stanął dęba – sto razy większy od niej – i uniósł liczne pięści, wyzywająco rycząc tubalnym głosem słonia.

Mężczyzna został w czerwonej mazi, zapomniawszy o własnym cierpieniu. Kiedy jego desperacja osłabła, zaczął rozumieć.

To nie tylko jego ojciec. Ta bestia przybierała twarze wszystkich ojców, każdego ojca na ziemi, pustki pozostałej po nieobecnych ojcu,

i robiła to, gdy ktoś ośmielił się na nią spojrzeć.

Wykorzystywała te twarze i wspomnienia, które budziły, by zadawać bezgłośnie cio sy i zostawiać nieblednące siniaki. Ale pod tą koszmarną maską... koszmarną, koszmarną, bogowie, przecież to koszmarny sen ...musiała się kryć prawdziwa twarz. Jaka?

Bestia uderzyła pięściami w ziemię. Czerwona substancja zatrzęsała się i zafalowała pod stopami mężczyzny, który znowu w nią upadł. Kiedy się dźwignął, ze zdumieniem ujrzał powalonego potwora. Przygniótł cielskimi kilkoma dziesiątkami swoich rąk, które zaczęły się kurczyć w oczach. A wśród jego młócających kończyn stała kobieta i wyła jak bestia. Dotknęła kolejnego ramienia, które natychmiast uschło, a mięśnie poskręcały się i popękały z trzaskiem. Kiedy stanęła na rozstawionych nogach i krzyknęła w twarz stwora: „ZDEJMIJ JĄ! ZDEJMIJ JĄ!”, z jej ust wypłynęły jakieś fale, od których szyja potwora skręciła się i poczerniała jak od gangreny. Jego głowa osunęła się na ziemię, jego twarz... twarz mojego ojca – nie, nie jego ...wykrzywił grymas bólu. Kobieta zabijała potwora każdym dotykaniem, sprawiając siłą woli, że jego ciało chorowało i umierało.

I to było złe. Mężczyzna poczuł to całym sobą. Kobieta nie była łagodną istotą, za którą ją uważał, to był błąd, ale nie była też tym dzikim, mściwym siewcą śmierci. Doskonale wiedział, że rozpacz obdziera duszę ze skóry, zostawiając rany, które będą gnily tak długo, że w końcu ich ból będą zdolne koić tylko gniew i okrucieństwo. Ale to nie była ona. Ona była... ...pestką w dojrzałym owocu. Krzemieniem i metalem, krwią i łzami. Modlitwą u szczytu miłosnego aktu...

Aier. Nazywała się Aier.

A on, on nie był jakimś bezimiennym tchórzem; nie tkwił w tej krainie przez lata, stulecia, wieczność. Na jawie był wojownikiem. Uniósł rękę, zacisnął ją w pięść, przypomniał sobie, jak to jest, gdy się trzyma w niej rękojeść miecza. A kiedy to zrobił, okazało się, że już dzierży miecz. Tak. Miecz ojca, Mwet-zu-anyan. Miecz księcia Zachodu Słońca.

Jego miecz. Bo na jawie był Wanahomenem, przywódcą łowców z banbarryjskiego plemienia Yusirów. A we śnie...

(Hanani. Nazywała się Hanani i była jego kochanką i uzdrowicielką).

...we śnie nosił imię Niim.

A Niim śnił omeny i przepowiednie, Niim był bratankiem największego zbieracza Gujaarehu, potomkiem cudownie obłąkanych i obłąkańczo cudownych władców. Był Inkarnacją Hananji. Pewnego dnia zostanie księciem, a kiedy to się skończy, zasiądzie po prawicy samej Bogini Snów.

Księżę Gujaarehu wstał z mieczem w dłoni i poszedł przez czerwony świat, by przypomnieć słudze Hananji samą siebie.

Ogród Yanya-iyen był tajemną twierdzą pałacu. Prowadziły do niego jedne jedyne szklane drzwi, prawdziwe, z mocnym zamkiem, nie te niebroniące nikomu dostępu otwory w ścianach, które Gujaareńczycy nazywali drzwiami. Stała w nim mała szopa pełna narzędzi ogrodniczych: motyk o ostrzach jak noże, wideł z groźnymi zębami, toporów, długich noży. Mury otaczające ogród wyłożono grubymi płytami z obsydianu, które miały zatrzymywać ciepło w nocy, płyty były tak twarde, że oparłyby się wszelkim taranom. Dzięki nim mogły tu rosnąć egzotyczne rośliny z dalekich krajów, w tym trujące zioła, których używano w zwalczaniu wrogów lub jako ostatnią drogę ucieczki, gdy wszystko inne zawiedzie.

Zbieracze i wartownicy wdarli się do ogrodu w mgnieniu oka. Anzi ustawił swoich ludzi tak, by bronili Protektorów; łucznikom polecił strzelać do drzwi seriami, gdy wartownicy rozpoczęli atak. Oczywiście nie spodziewał się, że szklane drzwi wytrzymają długo, i słusznie. Wkrótce z korytarza rzucono kamień, wokół posypały się szklane odłamki, a żołnierze Anziego przygotowali się do ataku. Ale zamiast wojennego okrzyku Sunandi usłyszała znajomy przerażający dźwięk: cienki brzęk jungissy. Kiedy się obudziła, leżała w grządce kwiatów liti i pnączy księżycowej łązy, a nad nią stał Nijiri.

– Powiedziano mi – odezwał się cicho – że do Hetawy wdarły się

wojska, które wzięły jako zakładników moich braci, nasze dzieci i innych gujaareńskich obywateli.

To oprzytomniło ją brutalnie. Usiadła gwałtownie, rozejrzała się i ujrzała klęczącego w kącie związanego Anziego i wszystkich kisuańskich żołnierzy. Otaczali ich kapłani-wojownicy o bezlitosnych oczach. Sunandi, Protektorzy i inni kisuańscy dworzanie zostali porzuceni na grządkach, ale strzegli ich zbieracze, którzy najwidoczniej mieli poprowadzić przesłuchanie.

Ale jeśli Protektorzy byli tak głupi, żeby zarządzić atak na Hetawę, miałoby szczęście, gdyby zbieracze poprzestali na zadawaniu pytań.

Nijiri podszedł bliżej, i choć znali się od dawna, Sunandi zadrżała pod jego spojrzeniem. W tej twarzy nie było współczucia, w oczach próżno by szukać ciepła.

– Nie wiedziałas o tym, mówczyni? – spytał.

– Nie wiedziałam, zbieraczu.

Nijiri doskonale zdawał sobie sprawę, że próbowałaby temu przeciwdziałać. Nowy książę Gujaarehu – gdyż Wanahomen już zdobył ten tytuł, gdziekolwiek się znajdował – miał powody, by zachować Protektorów przy życiu. Natomiast Hetawa nic by na tym nie zyskała, a teraz pod chłodnymi spokojnymi maskami kapłanów zapewne buzowała wściekłość.

Nijiri pokiwał głową w zamyśleniu. Stojący obok niego drugi zbieracz – ten najmłodszy, chyba nazywał się Inmu – także płonął gniewem, ale jego Sunandi bała się mniej. Gniew chłopaka był gorący i ludzki. To, co biło od Nijiriego, należało do zupełnie innego rodzaju.

– Które z was zdecydowało o tej obeldze wobec naszej Bogini? – spytał, spoglądając na Protektorów. – Niech przemówi i odda się pod sąd.

Aksata łypnął na niego spode łba.

– Nie macie prawa nas sądzić – powiedział. – Nie uczyniliśmy nic złego i...

Ręka Nijiriego śmignęła ku niemu i po chwili Aksata padł na ziemię, nieprzytomny, z brzęczącą jungissą w kształcie ważki na czole. Nijiri skinął władczo głową Inmu, który przykucnął przy Aksacie i położył palce na jego powiekach.

– Bogowie – odezwał się Sasannante piskliwym głosem. – *Nie możecie go zabić!*

Ale po kilku chwilach Inmu wstał i oddał Nijiriemu jungisę. W dodatkowym geście pogardy chłopak zostawił ciało Aksaty w upokarzającej niedbalej pozie. Sasannante jęknął cicho, zdjęty zgrozą, i zamilkł.

– *Dość!* – krzyknął Anzi z drugiego końca ogrodu. Sunandi posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, ale nie usłuchał. – *Jak śmiecie!* Kisuańscy Protektorzy...

– Miasto Hananji jest posłuszne Prawu Hananji – uciał Nijiri. Rzadko podnosił głos; teraz nawet Anzi ucichł, słysząc w nim powstrzymywaną furję. – Jeśli nie chcecie podlegać temu prawu, nie powinniście byli tu przybywać.

Mama Yao wyprostowała się, okazując odwagę, która w bardziej odpowiednich okolicznościach obudziłaby podziw Sunandi.

– To wojna, zbieraczu – powiedziała. – Na wojnie prawo nie obowiązuje. Twoi bracia także popełnili okrutne czyny; czy i ich osądzicie?

– Tak. A ci, których dusze skaziła przemoc, muszą umrzeć. Ich spokój zostanie wykorzystany, by ukoić i uzdrowić pozostałych, w ten sposób dochowamy wierności prawu. – Nijiri spojrzał przenikliwie na starą kobietę. – Czy to ty rozkazałaś zaatakować Hetawę?

– Nie – odpowiedziała z niespokojnym drżeniem powiek. Stwierdzenie, że Nijiri zamierza uśmiercić Gujaareńczyków, wytrąciło ją z równowagi; Sunandi po raz pierwszy widziała ją tak zbitą z tropu. – Ale wspieram prawo moich braci Protektorów do postępowania zgodnie z tym, co najlepsze dla Kisui.

Nijiri nie skinął głową, ale Sunandi zauważyła, że jego gniew

niewiele złagodniał. Zbieracz przeniósł wzrok na Sasannantego.

– A ty?

– Nic nie wiedziałem o planowanym ataku – odparł ten cicho i żałośnie. Nijiri przyjrzał mu się uważnie.

– Ale się go spodziewałeś.

– *Tak, ale nie sądziłem, że się na niego odważą!* Wzięcie dzieci za zakładników... nigdy bym na to nie pozwolił. Ale Aksata nie spytał nas o zdanie. Zadziałał z własnej woli pewnie dlatego, że spodziewał się naszej odmowy. A może by chronić nas przed konsekwencjami. – Sasannante pokręcił głową z goryczą, spoglądając na ciało Protektora.

Po chwili Nijiri skinął głową i spojrzał na Moiba.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – oznajmił ten i znowu Nijiri położył mu jungisę na czole, powalając go jak kłodę. Gdy przykucnął przy nim, by tym razem osobiście dokonać zbioru, Anzi krzyknął:

– *Powiedział, że nie miał z tym nic wspólnego, przeklęty Yao!*

– Kłamał – rzucił sucho Nijiri. Zamknął oczy i dziesięć oddechów później Moib także umarł.

Nijiri wstał i stanął przed Anzim.

– Czy udasz się do Hetawy, żeby odwołać swoich towarzyszy? Anzi zacisnęła zęby, dygocząc z gniewu.

– *Nie przyjmuję od ciebie rozkazów!*

Ku zaskoczeniu i wielkiej uldze Sunandi Nijiri tylko skinął głową. Zwrócił się do Mamy.

– Proszę, rozkaż generałowi Anziemmu uczynić to, o co prosiłem. Przegraliście. Od was zależy, czy chcecie zostać i stawić czoła naszemu księciu, czy od razu wrócić do Kisui. Jeśli wybieriecie to drugie, odprowadzimy was do bram i damy zapasy na podróż przez pustynię.

Mama Yao patrzyła na niego, wstrząśnięta do głębi. Wszyscy wiedzieli, że Moib kłamał; on i Aksata mieli podobne cele i metody.

To, że zbieracz wyczuł kłamstwo, było bardziej druzgoczącym dowodem na moc jego magii niż jakiegokolwiek zaklęcie snu.

Staruszka spojrzała na Sasannantego, który skinął głową; Mama Yao zrobiła to samo, ciężko wzdychając.

– Generale – powiedziała – proszę przekazać nasze rozkazy kapitanowi Bibikiemu w Hetawie. Niech uwolni zakładników i wróci tu ze swoimi ludźmi, zabierając wszystkich Kisuan, którzy pozostali w mieście. Niezwłocznie wracamy do domu.

Tiaanet potknęła się, biegnąc przez brukowany hetawski dziedziniec. Omal nie upadła razem z Tantufi między rozrzucone tam zwłoki. Odzyskała równowagę i spojrzała na leżącego u jej stóp kisuańskiego żołnierza ze złamanym karkiem i twarzą zastygłą w zaskoczeniu, o którego rękę się potknęła. Oddziały Bibikiego jeszcze nie wróciły, by pozbierać ciała poległych w walce z wartownikami. Leżący mężczyzna miał na sobie podobnie jak Bibiki zwierzęcą skórę, zarzuconą na ramiona jak płaszcz: złotopłowe krótkie futro, usiane rozmytymi białymi plamkami.

Kolejny łowca. Tiaanet nie wiedziała, z jakiego zwierzęcia zdarto tę skórę, ale w dłoni mężczyzny zauważyła śmiertelny długi sztylet z kościaną rękojeścią. Bez namysłu przerzuciła sobie Tantufi przez ramię i przykucnęła, żeby zabrać broń.

Przystanek na nowo ją otrzeźwił. Szła w stronę Domu Dzieci z nieśmiałą nadzieją, że ucieknie do miasta, wykorzystując te same środki, za których pomocą Kisuanie wtargnęli do hetawskich zabudowań. Za jej plecami rozległy się krzyki, którym odpowiedziały głosy przed nią. To byli kisuańscy żołnierze, podnoszący alarm. Oczywiście, zostawili strażników i w Domu Dzieci, i na każdej ulicy prowadzącej do Hetawy i z powrotem. Nie mogła uciec. Musiała się ukryć. Dlatego skręciła w bok z dziedzińca i wpadła do jednego z wielu budynków kompleksu Hetawy. Korytarz, jakieś schody, kotara w wejściu. Znalazła się w malutkim pokoiku z niezastaną pryczą po jednej stronie i paroma półkami i kufrem z prywatnymi rzeczami. Cela jakiegoś kapłana.

Tiaanet położyła Tantufi na pryczy i przykucnęła koło kotary,

obracając nóż w dłoniach. Tantufi śniła dalej, bezpieczna pod opieką swojej matki.

Nie czuła nienawiści do Azimy.

Teraz to już wiedziała, idąc z rozłożonymi, pokrytymi czerwienią rękami ku powalonemu potworowi, który był Dzikim Śniącym. Azima był dla niej obcy; zabiła go ze strachu, gniewu i zwyczajnej woli przeżycia. Ale go nie znała. Nie zrobił nic, by zasłużyć na jej gniew, oprócz tego, że był nienawistnym, zdegenerowanym głupcem.

Dziki Śniący zamachnął się na nią wielką pięścią, warcząc nieludzko, ale tego się nie bała. Już przechadzała się po koszmarach Bogini; dlaczego miała się martwić zwykłym śmiertelnikiem? Zatem nie sprawiło jej kłopotu wzniesienie wokół siebie ściany krwi, która schwytała spadającą pięść, i nie ustąpiła. Tak, na tym zawsze polegało leczenie w krainach cienia, choć niegdyś tak trudno było jej to zrozumieć. W tych okolicznościach dusza petenta nie chce uleczenia, tylko więcej bólu i brzydoty. Chce kogoś, kto potwierdzi brud życia, jego nikczemność i gorycz. By wejść do duszy uwięzionej w koszmarze, trzeba się stać koszmarem.

Właśnie dlatego Sonta-i nie zdołał zabić Dzikiego Śniącego; nie miał emocji, nie potrafił tego zrozumieć. A Mni-inh mimo wszystkich zdolności i wybuchowego temperamentu nie miał tego, czego potrzebował ten śniący: powolnej, kipiącej od dawna, bezsilnej bezowocnej wściekłości. Świadomości, co znaczyło zostać zdradzonym (wydanym, nieszanowanym, wyzyskiwanym) przez tych, którzy powinni chronić i karmić. Wiedzy, co znaczy być słabym przy silnych, nie zaznać nawet tego podstawowego szacunku, jaki należy się istocie ludzkiej za sam fakt istnienia. Co znaczy być w oczach innych podłym, niegodnym stworzeniem.

(Sonta-i? Mni-inh? Azima? Przez chwilę świadomość, kim byli, wymknęła się jej, ale potem wróciła stopniowo, niechętnie).

Ale nawet jeśli Mni-inh wiedział, jak przebić się przez metody obrony bestii, nie miał w duszy wystarczająco wiele nienawiści, by ją pokonać.

– Przez ciebie go straciłam – powiedziała. Dotknęła zaciśniętej pięści, która rozsypała się pod jej dotykiem; ciało zeszło się, a kości obróciły się w pył. Stworzenie wrzasnęło, a Hanani zaczęła iść wzdłuż jego cielska, zabijając metodycznie każdą jego część. (Czy bestia cofnie się po jej słowach? Trudno powiedzieć. Jeszcze trudniej się przejąć). – Mni-inha. I mojego... – Przez chwilę wahała się, usiłując przypomnieć sobie imię. Dopłynęło do niej z trudem przez czerwień i kości. – Mojego Dayuhotema, jego też. Przez ciebie zginęło tyle osób, tyle dusz uległo zepsuciu. Nie zabierzesz już nikogo więcej.

– Hanani.

Nie zwróciła uwagi na to słowo. Nieważne, kim była. Liczyła się tylko jej nienawiść. Klepnęła w bok stworzenia i patrzyła, jak jego skóra szarzeje i pokrywa się plamami szybko rozchodzącego się zakażenia. Istota wiała się, usiłowała uciec, ale Hanani trzymała rękę na jej ciele, szczerząc zęby z wysiłku i naciskając tak mocno, aż martwe mięso wybrzuszyło się między jej palcami. Trudno panować nad taką ilością sennej żółci. Miała jej zbyt wiele w kipieli rozpachy w swojej duszy. Bestia musi cierpieć; nie wolno jej zabić za szybko.

– *Nie powinnaś się była urodzić!* – krzyknęła. Bestia znowu drgnęła, tym razem na pewno, dygotała i jęczała w nagłej bezradności. Dobrze.

Znowu ten głos za jej plecami.

– W tym nie ma spokoju, Hanani. To okrucieństwo do ciebie nie pasuje.

Nie obchodziło jej, co do niej pasuje.

– Odejdź.

– A jeśli nie odejdę, zabijesz także mnie?

Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tego nieznośnego głosu. Zabić? Tak. Zabicie każdego, kto staje jej na drodze, sprawiłoby jej wielką przyjemność. Nie. Była tu tylko jedna dusza, która zasłużyła na jej nienawiść.

– *Ta bestia zabiła Mni-inha!* – warknęła, usiłując się skupić. – Musi

umrzeć.

– Nie w ten sposób. – Głos zamilkł na chwilę. – Pamiętaj, kim jesteś, Aier.

Wstrząs.

Przestała wylewać senną żółć na bestię i drgnęła.

– Aier? Kto...

Falujące czerwone draperie, czerwony wosk, karneole j-j-jąkanie, posąg z nocnego kamienia, zamknięte oczy, uśmiech Mni-inha, usta Wanahomena, jej rozpuszczone włosy, kadzidło, dźwięk dzwonów, smak sipri, jungissa Dayu, falujące pole zboża, prawie zapomniane głosy rodziców. Przysięgam na imię Hananji nie szkodzić.

Hanani zachłysnęła się i znowu spojrzała na bestię.

Ale u jej stóp kulił się nie potwór, lecz drobne wynędzniałe stworzenie, kwilące z bólu.

Kiedy Dziki Śniący spojrzał na nią, Hanani popatrzyła w twarz zabójcy Mni-inha i zobaczyła...

Dziecko.

Zwykłe dziecko. Takie, które mogło się stać wesołą, roześmianą dziewczynką, gdyby ktoś nie złamał jej duszy i nie roztarł jej odłamków na proch. To dziecko jęczało i kuliło się, osłaniając się przed Hanani rękami, które złamano już zbyt wiele razy.

Co ona narobiła?

– By krzywdzić człowieka, trzeba nauczyć duszę głodu udręki – powiedział głos za jej plecami. – Wanahomen, to Wanahomen. Powaga jego słów przypomniawsza jej Mni-inha i Hanani wzdrgnęła się znowu, zapatrzona w dziecko. – Ta miała jej już dość – dodał Wanahomen ze smutkiem.

– O Bogini – szepnęła Hanani, osuwając się na kolana. Dziewczynka starała się odpełznąć od niej, ale bezskutecznie, bo jej osłabłe kończyny bezsilnie gmerały w mazi, którą stworzyła jej dusza. I nagle Hanani zrozumiała, że byli inni dręczyciele, przed którymi dziewczynka nie uciekła. Inne okrutne słowa, bicie

i niekończące się bolesne rozpaczliwe pragnienie, by odpocząć, tylko przez chwilę...

– Mama – szepnęła dziewczynka. Prosiła, by ktoś uratował ją przed Hanani. Dziewczyna wyciągnęła do niej rękę, ale mała wydała cienki świszczący dźwięk, odgłos przerażenia.

– Przepraszam – powiedziała w końcu Hanani, kiedy zdołała opanować zgrozę. – Przepraszam. Nie pomyślałam. Bardzo mi przykro, wybacz, nie chciałam cię skrzywdzić. – Ale to była nieprawda. Każdą kończynę atakowała z największą satysfakcją. – Nie chciałam skrzywdzić ciebie. – I teraz nie skłamała. Ta wieloreka bestia była symbolem lęków dziewczynki, zrodzonym z aktów przemocy przeciwko niej. Hanani słusznie jej nienawidziła. Ale zapomniała o najważniejszej regule dawców: człowiek nie jest swoimi snami. I żaden narkomanta nie stanąłby przed sennymi wytworami duszy bez spokojnego serca, w przeciwnym razie zaginąłby we śnie i zapomniał o sobie. Tego nauczył ją Mni-inh na pierwszej lekcji.

Wanahomen podszedł bliżej.

– Hanani?

– Nie wiem, co zrobić – szepnęła. – Nie ma we mnie spokoju. Nie wiem, jak się stać... jak się stać tym, czego jej potrzeba. – Nie potrafiła się zmusić do wypowiedzenia słowa „dawca”. Nie była już nim. – Nie potrafię znaleźć sposobu, żeby jej pomóc.

Wanahomen westchnął i przykucnął obok; objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Nie martw się. Znajdziesz sposób.

Kątem oka Hanani zobaczyła, że dziecko przestało się czołgać i przyglądało się im wielkimi okrągłymi oczami.

– Ni... nigdy nie czułam takiego gniewu. – Nadal dygotała na to wspomnienie. Sprawiał jej przyjemność: polowanie na bestię, zadawanie bólu, myślenie, że nie potrzebuje broni, bo jej dłonie nią były. Nadal pokrywał je czerwony wosk. Nie... Czy to w ogóle wosk? Czując podchodzącą do gardła żółć, zaczęła gorączkowo zdzierać

paznokciami czerwoną maź z rąk i nadgarstków, nie dbając o krwawe smugi, które zostawiała. Wanahomen chwycił ją za dłonie.

– Nie dotyka – odezwała się dziewczynka. Wstała na równe nogi. Tu, we śnie, nie była okaleczona, chyba że sama tego chciała. Teraz, kołysząc się lekko, przyglądała się im, przyglądała się Wanahomenowi, a jej buzię wykrzywiła śmiertelna nienawiść. – Nie dotyka nie śpi nie dotyka nie krzywdzi.

– Nie krzywdzę jej, ty głupia... – zaczął Wanahomen, ale jego usta znikły.

Książę zadygotał z oczami rozszerzonymi przerażeniem i dotknął miejsca, gdzie przed chwilą znajdowały się jego wargi. Ale wówczas znikły też jego ręce, skurczyły się, pozostawiając po sobie tylko zeschnięte kikuty. Nie połała się krew; kikuty kończyły się gładką skórą, jakby nigdy nie znajdowały się tu dłonie. Potem przedramiona rozszczepiły się i również znikły. Wanahomen wydał przerażony skowyt...

– *Nie!* – Hanani zerwała się na nogi i zasłoniła go własnym ciałem. Dzika Śniąca drgnęła, spojrzała na nią groźnie i świadomość Hanani, świadomość tego, kim jest, zamgliła się i powoli zaczęła się oddalać. Nie była już Hanani, była matką, pełną wściekłości...

„*Nie! Jestem Aier!*” Hanani zacisnęła pięści i wyteżyła wolę, żeby pozostać sobą. Na tym polegała moc śniącego tu, w tym świecie, który tworzył się w krainie granicznej. W Ina-Karekh sny stanowiły odzwierciedlenie tożsamości, tak jak rozkazała Bogini Hananja. Ale w tworze Dzikiej Śniącej tożsamość jej ofiar zaczynała odzwierciedlać ją samą, to, co dziewczynka w nich widziała lub co pragnęła w nich zobaczyć. Czy zdawała sobie sprawę, że zabija ludzi, zupełnie nieznanym, którzy nie zasłużyli na jej gniew? Hanani nie wiedziała, ale kiedy Wanahomen upadł na ziemię ze zwierzęcym skowytym, a jego nogi skrzyły się i znikły, wszystkie lęki ją opuściły.

– Cicho – odezwała się, robiąc krok naprzód. Wola Śniącej znowu na nią naparła i tym razem Hanani pozwoliła się przekształcić,

w każdym razie na zewnątrz. W środku pozostała Aier. Jej wygląd się zmienił, stała się wyższa, ciemniejsza, smuklejsza, piękniejsza, niż kiedykolwiek mogłaby być na jawie. – Już cicho – powtórzyła, a jej głos zabrzmiał cicho i łagodnie. Kojący matczyne głos. – Nie bój się.

I gniew Dzikiej Śniącej znikł. Dziewczynka zrobiła krok wstecz, potem naprzód, a na jej zapadniętej twarzycze pojawił się rozpaczliwy strach.

– Mamamamama?

Hanani otoczyła ją ramionami, przytuliła do siebie. Dziecko zadrżało i wtuliło twarz w jej pierś.

– Mama – powiedziała znowu... i uśmiechnęła się.

– Tak – powiedziała Hanani. Pogłaskała kościste barki, przesunęła delikatnie palcami po czerwonych żyłkach. Tyle bólu w tej jednej istocie, tak wiele, że zwykła magia nie mogła jej pomóc. Dusza Dzikiej Śniącej wchłonęła senną krew jak pustynia wodę, i raptem Hanani nie miała nic już oprócz własnej, a jej oddanie mogłoby ją kosztować życie. Nie cofnęłaby się przed zapłaceniem tej ceny, ale to by nie rozwiązało problemu. Śniąca potrzebowała zbyt wiele. Hanani mogłaby wlać w nią całe swoje życie, a ta dziewczynka nawet by tego nie poczuła.

Jej dusza została okaleczona tak, że magia nie mogła jej uleczyć. Podobnie powiedziała kiedyś Yanassa, mówiąc o rozpacy, utracie i litości. Dawcy zabili tę kobietę, jej cioteczną babkę. Banbarryjka nie dodała, bo pewnie nie wiedziała, że bracia Hanani prawdopodobnie unicestwili tę duszę, by nie pozwolić jej odejść do Ina-Karekh. Dusza dotknięta takim zepsuciem nigdy nie znalazłaby spokoju, nawet dusza kobiety, która ma wrodzone zdolności magiczne, nawet gdyby tej kobiecie pomagał zbieracz. Odpłynęłaby w ból i ciemność umysłu Bogini, szukając tego, co do niej podobne, by przez całą wieczność cierpieć koszmarnie męki. Bardziej miłosier nym czynem było zakończenie istnienia duszy niż pozostawienie jej w takim stanie.

Yanassa pewnie by to zrozumiała, gdyby wiedziała. I cieszyliśmy się z tego.

Więc kiedy czerwone nitki się skończyły, Hanani zamknęła oczy i wysłała czerń.

Ale tym razem nie po to, by zadać ból.

– Bezruch – szepnęła w ucho dziewczynki. – Cisza.

Dzika Śniąca odezwała się bełkotliwie tak udreńczonym głosem, że do oczu Hanani napłynęły palące łzy:

– Spać?

– Spać. Tak. Możesz spać. Jak długo chcesz.

I Dzika Śniąca oparła się o nią z przeciągłym zadowolonym westchnieniem. Wsnucie sennej żółci w to westchnienie, przeciągnięcie go nieco dłużej, aż całe powietrze opuściło płuca dziecka, nie było trudne. Rozproszenie duszy także.

Brzydki świat z krwi i kości zniknął. Hanani i Wanahomen ulecieli w czystsze ciemności krainy granicznej. Nie został w niej ślad duszy Dzikiej Śniącej. Dziewczynka przestała istnieć.

– Księżę – odezwała się Hanani cicho w ciemności. – Wróć na jawę. Powiedz moim braciom, jeśli jeszcze tego nie wiedzą, że to już koniec plagi koszmarów.

Po chwili milczenia, kiedy Wanahomen prawdopodobnie upewniał się, czy wszystkie części jego ciała są na swoich miejscach, rozległo się westchnienie.

– Dzięki Bogini. – Pauza; w tej bezcielesnej przestrzeni Hanani poczuła nagłą podejrzliwość księcia. – Ale sama możesz im to powiedzieć.

– Nie. Nie mogę.

Milczenie, wstrząs i nagły strach. Nie chciał, żeby umarła. Chciał jej, ale to nic dziwnego.

Jak ostrzegła Yanassa, Wanahomen ma zbyt kurczowy chwyt.

„Po śmierci Mni-inha udzieliłeś mi swojej siły, Niim, kiedy jej

potrzebowałam. Ale tego nie możesz ze mną dzielić”.

– Moja dusza też jest zepsuta – powiedziała. W łagodnych ciemnościach jej głos odbił się głuchym echem. – Już dwa razy zabiłam rękami, które mają uzdrawiać, i nawet mnie to cieszyło. Raz po raz łamię przysięgi. Ale nadal kocham Hananję; znam swoją powinność.

Od jego gniewu ciemność zafalowała, starając się stać czymś innym, ale woła księcia była zbyt rozproszona i rozgorączkowana, by nadać jej konkretny kształt. Wanahomen nie miał władzy jak zbieracz, miał tylko moc.

– Nie, nie, nie zrobisz tego, zakazuję...

– Nie masz prawa mi zakazywać – przerwała mu, nie martwiąc się już, czy zabrzmiało to grzecznie, czy nie. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Wszyscy, których kochała, nie żyli, a jej sny odeszły. Pewnie nie powinna nawet próbować dostać się do Ina-Karekh. Powinna tu zostać i poczekać, aż jej dusza się rozwieje tak, jak to się stało z Dziką Śniącą. – W Gujaarehu nic na mnie nie czeka.

– *Zatem wróć do Merik-ren-aferu!* – rzucił gorączkowo. – Zamieszkać z Banbarrami.

Powiem kapłanom, że umarłaś.

– Nie bądź niemądry, książe. Narazisz się na zepsucie dla mnie? I zniszczysz wszystko, na co pracowałeś? – Wanahomen zamilkł, skonsternowany, a ona pokręciła głową. – Sługa Hananji nie boi się śmierci. A ja...

Zabrakło jej głosu. Wszystko ją bolało. Niech będzie przeklęty za to, że jej to utrudnił. Nie myślał o nikim z wyjątkiem siebie? Przecież będzie za nim tęskniła. Nie chciała tego, ale wiedziała, że tak się stanie, i to był kolejny cios, kolejny ciężar, dodany do tak wielu, że prawie przygięły ją do ziemi.

– Chcę umrzeć – szepnęła w końcu. – Proszę.

To powinno zakończyć sprawę. Gdyby Wanahomen był przyzwoitym cywilizowanym człowiekiem, zrozumiałby. Żaden Gujaareńczyk nie zlekceważyłby prośby o spokój.

Ale Wanahomen był w połowie barbarzyńcą, a w połowie szaleńcem, w dodatku księciem, przywykłym do stawiania na swoim, wojownikiem, przywykłym do walczenia o swoje, a na dodatek jeszcze zbieraczem. Dlatego skoczył na nią, a kiedy się oparła, zaskoczona, wypowiedział jej imię duszy. Nie po to, żeby ją skrzywdzić, choć mógł, tak jak i ona mogła skrzywdzić jego, znając jego imię. Po prostu trzymał ją w objęciach, tuląc do siebie, żeby mogła poznać jego nadzieje i pragnienia tak dobrze jak własne.

– Nie pozwolę ci – szepnął ledwie dosłyszalnie.

– Mówiłam ci, nie masz...

– *Jestem Jej Inkarnacją, niech cię koszmary, więc mam jakieś prawo!* A jeśli mnie nie posłuchasz, zrobisz mi to samo, co Mni-inh zrobił tobie.

– To egoizm.

– *Tak! Tak!* Ale to nie znaczy, że nie mam racji.

Spleciona z Wanahomenem, poczuła nitkę jego strachu. Z nawyku poszła za nią i znalazła korzenie w jego duszy, tuż za sercem. Usunięcie jej z tego miejsca spowodowałoby ziejącą, może śmiertelną ranę. Tę ranę spowodowałyby u niego utrata Hanani.

To ją zaskoczyło tak, że zaczęła go słuchać, zamiast natychmiast odtrącić. Wiedziała, że to wyczuł, a wyczuwszy swoją przewagę, zdecydował się na inną taktykę.

– Niech zbieracze zdecydują – powiedział szybko.

– Co?

Niewidoczne dla niej ręce przytuliły ją mocno.

– Jak możesz sądzić, że potrafisz ocenić swoje zepsucie? Jesteś tylko dawcą, w dodatku praktykantką. Wracaj i poddaj się ich osądowi. Powiedz im prawdę. – Drgnienie jego strachu, szybko stłumione. – Wtedy zrozumieją, tak jak ja, że nie kierowało tobą zepsucie.

Zaskakująco sensowne rozumowanie. Chciała go posłuchać,

a może tylko łatwiej było jej się poddać, przynajmniej na razie.

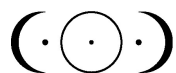
– Doskonale – odezwała się w końcu, lecz zanim zdążył się ucieszyć, dodała: – Ale oddam się pod sąd zbieraczy, księżę. I postąpię zgodnie z ich wyrokiem, jakkolwiek się okaże.

Przestał się bać, ale tylko trochę, bo wiedział równie dobrze jak ona, że popełniła wielkie zbrodnie. Zbieracze nie słynęli z wyrozumiałości, a Prawo Hananji nie dopuszczało półcieni.

– Niech tak będzie – powiedział w końcu. Zaskoczyła ją jego poważna rezygnacja. – Jesteś dawcą Hananji; od początku wiedziałem, co to znaczy. Godzę się na wszystkie twoje decyzje.

A potem wrócił z nią do świata jawy, żeby stawić czoło jego wszystkim groźbom i obietnicom.

45. WALKA O KREW



Tiaanet szła samotnie przez miasto z nożem łowcy w dłoni. Ulice, na których snuły się tylko dym i cienie, odbijały echem kroki jej stóp w sandałach. Parę razy usłyszała stąpanie innych nóg i głosy, dochodzące z sąsiednich ulic, lecz nikt się do niej nie zbliżył. Miasto nadal było rozgniewane, ale nie na nią, więc dało jej spokój.

Ciało Tantufi zostawiła w pokoiku, w którym znajdują je kapłani. Zobaczą poznaczone bliznami, zabiedzone ciało dziecka i użalą się nad nim; może nawet zatrudnią płaczki, by ktoś uronił nad nim łzy. Może posłużą się magią, żeby jakoś sprawdzić, jak wyglądały ostatnie godziny dziewczynki; podobno potrafili to robić. Wtedy zobaczą, że Tantufi wezwała raz matkę z głębin snu. Zobaczą, że Tiaanet trzymała ją w ramionach, aż poczuła, że jej twarz jest mokra od łez; zobaczą, że Tantufi przytuliła się do niej, ukryła twarz na jej piersi i zadowolona westchnęła głęboko. I przeżyją tę straszną wspaniałą chwilę, kiedy jakaś niewytłumaczalna siła przepłynęła przez Tantufi do Tiaanet. Ta siła dotknęła starych głębokich blizn Tiaanet i trochę je złagodziła, może nawet usunęła kilka tych najstarszych i najgrubszych. Ale kiedy ta chwila minęła, pojawiła się nowa, świeża rana, ponieważ Tantufi umarła w ramionach matki.

Tiaanet skreśliła do dzielnicy wysokich kast.

Kiedy wychodziła z Hetawy, kisiańscy żołnierze już ją opuścili. Łatwo byłoby jej zostać i zaczekać, aż słudzy Hananji ją znajdą. Odkąd Tantufi odeszła, nie miała powodu się ich bać. Ale gdy Śniąca Luna rozpoczęła drugą połowę nocnej podróży przez niebo, Tiaanet wyszła z Hetawy przez pusty Dom Dzieci. Przemierzała miasto krętą drogą, głównie dlatego, by uniknąć miejsc, gdzie płonął ogień

i panował hałas, ale od początku wiedziała, dokąd zmierza.

W ich miejskim domu panował mrok. Tiaanet zamierzała posłużyć się kluczem ukrytym na tarasie dla gości – Gujaareńczycy na ogół nie zamykali drzwi wejściowych na klucz, ale Sanfi tego wymagał – lecz okazało się, że to nie jest konieczne. Otworzyła drzwi i przez chwilę stała w progu, nasłuchując. Z położonych w głębi korytarzy dobiegały ciche odgłosy, a na końcu jednego z nich majaczyła poświata, pewnie od blasku latarni o przykręconym płomieniu, by światło nie przyciągnęło uwagi sąsiadów.

Tiaanet poszła w stronę tego światła.

Znowu ogarnął ją strach. Niefortunny efekt uboczny tej mocy, która zabiła jej córkę. A może to sprawka Tufi? Może w swoim zmaconym umyśle dziewczynka uważała to za dar? I może Tiaanet pewnego dnia podziękuje jej za to, że powróciły do niej uczucia, które straciła tak dawno temu? Ale nie teraz. Nie w tej chwili, gdy serce łomotało jej w uszach, a przed oczami stały okropne wspomnienia.

Ale może dobrze się złożyło? Stała w drzwiach gabinetu i patrzyła w milczeniu, jak ojciec przegląda dokumenty i mamrocze do siebie. Ona po tych wszystkich latach udręki uciekła w martwicę uczuć, ale jej córka nie miała takiej możliwości. Gdyby Tiaanet nadal nienawidziła siebie, mogłaby przezwyciężyć inercję, przez którą poddawała się ojcowskiej woli. Czy dobra matka nie znalazłaby klucza, którym Sanfi zamykał kajdany jej dziecka? Czy dobra matka nie wynajęłaby zabójców? Czy dobra matka nie zabiłaby Tantufi własnymi rękami, skoro wiedziała, że jej córka nie może inaczej uniknąć takiego cierpienia?

Upewniła się, że framuga drzwi zasłania nóż.

– Ojczy – odezwała się.

Sanfi drgnął gwałtownie, upuścił zwój i niemal przewrócił latarnię. Ale na widok córki na jego twarzy pojawił się widok lubości.

– *Tiaanet! Na oczy Bogini! Co... jak... Uciekłaś żołnierzom? Poszedłem do Yanya-iyán, błagałem Protektorów, ale nie chcieli mnie słuchać...*

Tiaanet rozejrzała się i weszła do pokoju. Trzy donice z kwiatami zostały przesunięte lub przewrócone. Za nimi widniały wnęki, o których istnieniu nie miała pojęcia. Jedna z nich była otwarta; w jej środku znajdował się mały pusty kuferek. Rozchylna sakiewka z pieniędzmi, klejnotami i zwojami, które miały węzeł właściciela, leżała na podłodze obok Sanfiego. Podobnie jak znajomy klucz na długim sznurku.

– Tantufi nie żyje – powiedziała Tiaanet, przenosząc wzrok z klucza na ojca.

Po jego twarzy przemknęła radość, choć potem odkaszlnął i udał, że się smuci.

– No cóż, zdrowie twojej siostry...

– Córkę. Nie ma tu nikogo oprócz nas; nie musimy udawać. – Lekko przechylona, obeszła drewniany stołek, by zbliżyć się do ojca. – Naszej córki. Mojej i twojej.

Ojciec spochmurniał, jak zawsze, gdy przypominano mu o jego występkach.

– Co z twoją matką?

– Nadal jest w Hetawie. Zapewne ją uleczą, na ile to możliwe. – Sanfi spochmurniał jeszcze bardziej; najwyraźniej zastanawiał się, na ile jest prawdopodobne, że uzdrowiona Insurret wyjawia kapłanom liczne zbrodnie swojego męża.

– Musimy opuścić miasto – zdecydował w końcu, odwracając się, by podnieść upuszczone zwoje. – W górze rzeki mam znajomych, podobnie jak w Kisui. Oni nam pomogą. Może jeszcze zdołamy uratować nasze plany, jeśli...

Tiaanet wbiła mu nóż w plecy. Zadała cios oburącz, znad głowy, choć sztylet łowcy był ostry. Chciała mieć pewność, że przebije się przez żebra.

Ojciec odwrócił się do niej gwałtownie. Na jego twarzy malowało się przede wszystkim zdumienie.

– Tiaanet? – Sięgnął do tyłu, usiłując złapać nóż, potem zbliżył dłoń do oczu, przerażony widokiem własnej krwi. – Co... przecież...

Nie trafiła w serce. Szybko, zanim zdołał dojsć do siebie, pchnęła go obiema rękami. Zatoczył się do tyłu, potknął o sakwę i upadł niezdarnie między kufry i zwoje. Kiedy usiłował się podnieść, dźwignęła ciężką metalową donicę. Nie zdołała jej unieść wysoko, ale mogła ją przenieść bliżej ojca, co też uczyniła.

– *Tiaanet!* – Zaskoczenie mężczyzny zmieniło się w strach. Sanfi zaczął się odczołgiwać w panice, zapomniawszy o opanowaniu. – *Tiaanet!*

Upuściła donicę. Ojciec w ostatniej chwili osłonił się ręką; donica wylądowała mu na szyi i piersi, a nie na głowie. Z gardła wyrwał mu się bełkotliwy charkot; może nóż wbił się głębiej w płuco albo jakiś inny organ. Tiaanet przyglądała się przez chwilę, jak ojciec coraz słabiej szamocze się, chcąc się wyzwolić, po czym usiadła na donicy.

Płomień latarni dopalił się, gdy ojciec zaczął umierać. Wpadający przez okno blask Luny wystarczająco oświetlał pokój, choć okazało się, że widok agonii ojca nie sprawia Tiaanet przyjemności. Mimo to patrzyła, bo musiała się upewnić, że umarł. Lecz choć zmuszała się, żeby przypomnieć sobie, co zrobił, choć w jej sercu buzowała nienawiść, której dotąd nie ośmieliła się poczuć, wzrok jej się zamglił, gdy patrzyła, jak Sanfi krztusi się i spazmatycznie łapie powietrze. Trzęsącymi się rękami dotknęła jego szyi, by sprawdzić, czy jego serce przestało bić. Dla pewności posiedziała jeszcze trochę na donicy, ale w końcu, gdy dostała mdłości, musiała wstać.

Martwy. Nie żyje. Umarł. Umarł.

Zwymiotowała, a potem płakała przez chwilę.

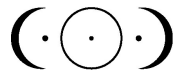
Doszła do siebie, wzięła sakwę i wypełniła ją ubraniami podróżnymi i jedzeniem. Wzięła też klucz do łańcuchów Tantufi, zawiesiła go sobie na szyi i ukryła pod brokatową suknią. Zrobiła

to zupełnie bezmyślnie. Nie miała zamiaru zapamiętać córki, nosząc przy sobie narzędzie, którym ją zniewolono. Po prostu czuła, że tak trzeba, a dla niej, która przetrwała tak długo, kierując się rozsądkiem, nie emocjami, by pokonać ojca rozumem, skoro nie mogła siłą, pozwolenie sobie na kierowanie się uczuciami było nowe i sprawiało dziwną ulgę.

W progu zatrzymała się, nagle zagubiona, bo w swoich planach nie sięgała poza zabicie ojca. Ale gdy ostatnia smużka Śniącej Luny znikła za dachami miasta, podniosła wzrok i zauważyła najwyższą gwiazdę konstelacji zwaną Żałobnicą. Pojawiała się tylko podczas pierwszej pory nowego roku; Czuwająca Luna już wyłaniała się z ukrycia, chcąc ją zasłonić. Ale na razie zawieszona nisko na zachodzie gwiazda lśniła jaśniej od innych.

Tiaanet odwróciła się i poszła w jej kierunku.

46. KSIĄŻĘ ZACHODU SŁOŃCA



Świat znowu się zmienił, gdy Wanahomen otworzył oczy.

– Bądź pozdrowiony, książę.

Znajomy głos, choć niebudzący sympatii. Wanahomen podniósł wzrok na przykucniętego przy nim zbieracza Nijiriego.

– *Wana!*

Książę drgnął. Po jego drugiej stronie siedział Ezack. Teraz, widząc przebudzenie swojego dowódcy, wstał.

Wanahomen dźwignął się na łokciu. Był boleśnie zeszywniały i zmęczony, jakby wcale nie spał. Potarł twarz i z opóźnieniem uświadomił sobie, że przecież był ranny. Ale pierś ani udo go nie bolały, a kiedy dotknął tych miejsc, przekonał się, że rany się zagoiły. Przypominały o nich tylko zakrwawione dziury w banbarryjskich szatach.

– Hanani – odezwał się Nijiri. – Uleczyła cię, gdy cię uratowała przed Dziką Śniącą. Jak się czujesz?

– Zmęczony – mruknął Wanahomen. Mógłby spać przez tydzień.
– Głodny.

– Nakarmimy cię – powiedział Ezack łamanym gujaareńskim. Uśmiechnął się szelmowsko. – A raczej ty nakarmisz nas, skoro jesteś bogatym władcą.

Wanahomen rozejrzał się dokoła. Słońce, wpadające do Sali Błogosławieństw przez szlifowane szybki, rzucało tęczowe błyski na ściany. Leżał na jednej z kilku ław uzdrowicieli, które ustawiono na podwyższeniu u stóp posągu Bogini. Za zbieraczem i Ezackiem widział wielu innych. Jego ludzie mieszały się z gujaareńskimi

sprzymierzeńcami, sługami Hananji i siostrami.

Iezanem była pogrążona w rozmowie z jakimś nauczycielem; Deti-arah przykucnął, by porozmawiać ze swoim synem. Księżę nie widział nigdzie kisuańskich żołnierzy. Prycze, na których spoczywali śpiący, także znikły.

– Ty śpisz całą noc i dzień – dodał Ezack, poważniejąc. – Myślimy, to fuh atat, trucizna, ale kapłan mówi nie. Mówi ty zajęty magią.

– Tak było – powiedział Wanahomen, marszcząc brwi. Wspomnienia stały się mgliste, splątane. Gdyby uczono go zapamiętywania snów, może potrafiłby je przywołać, ale teraz przypominał sobie tylko czerwień i obrzydzenie. I... przerażone dziecko? Coś o zbieraczach?

Spojrzał na Nijiriego; zauważył tylko, że mężczyzna jest zmęczony tak samo jak on. I że w jego manierycznym zachowaniu pojawił się jakby dziwny ciężar. Przez chwilę go to zastanawiało, dopóki nie przypomniało mu się, jak wiele ludzi zginęło. Również Charris. To wyjaśniało nastrój zbieracza.

– Możesz tego sobie nigdy nie przypomnieć – powiedział Nijiri. – Nawet ci z nas, którzy wychowali się w Hetawie, nie zawsze potrafią wyjaśnić za dnia to, co spotkało ich w snach. Dość powiedzieć, że plaga koszarów się zakończyła, a Gujaareh jest bezpieczny, przynajmniej w snach.

Wspomnienia wydawały się Wanahomenowi jak poranna mgła, która rozproszyła się po przebudzeniu. Potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myśli, i ostrożnie wstał. Przez chwilę świat wirował mu przed oczami, ale to uczucie szybko minęło.

– Śpiący znieruchomieli, gdy ty i Hanani walczyliście z Dziką Śniącą – ciągnął Nijiri, podnosząc się wraz z nim. – Nie obudzili się, ale przestali umierać. Dzięki temu zrozumieliśmy, że coś się zmieniło. Po paru chwilach zaczęli odzyskiwać przytomność. To oznaczało, że wygraliście.

Parę chwil. Wydawało mu się, że minęły lata.

– Co się stało z Kisuanami? – spytał, by zmienić temat. Przeciągnął zeszywniałe kończyny.

– O świcie odeszli z miasta. Zgodnie z warunkami kapitulacji.

To otrzeźwiło Wanahomena.

– Kapitulacji?

Jeden z kapłanów, starszy człowiek, który rozmawiał z kapłanem-wojownikiem odzianym w czerń, odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Bezwarunkowej – powiedział. – Podobno opuścili Yanya-iyana w bardzo niespokojnym pośpiechu, być może mającym coś wspólnego z tłumem rozgniewanych obywateli, który zaczął oblegać bramy pałacu.

Wanahomen spojrzał na Ezacka, czekając na potwierdzenie. Banbarra, który zdołał zrozumieć, o czym mężczyźni rozmawiali, wzruszył ramionami.

– Nie wystrzeliliśmy ani jednej strzały – powiedział w chakti. – Niektórzy zginęli, głównie tam, gdzie wpadłeś w zasadzkę, ale było ich o wiele mniej, niż się spodziewaliśmy. Ranni już zostali uzdrowieni. Gdybyś nas uprzedził, że będzie tak łatwo, już dawno przyjechalibyśmy odbić twoje miasto.

„*Nie było w tym nic łatwego*” – chciał powiedzieć Wanahomen, ale Ezack nie był Gujaareńczykiem. Nie zrozumiałby.

Księżę odwrócił się do zbieracza.

– Nie o takiej wojnie myślałem. – Byłem gotów stanąć przeciwko rydwanom i włóczniom, ale demony ze snów i magia? – Pokręcił głową.

– Bogini zsyła nam takie przeciwności, jakim potrafimy się przeciwstawić – odparł zbieracz. – Nie takie, jakich się spodziewamy.

– Teraz czeka cię wiele trudności, księżę – dodał starzec, klepiąc przyjacielsko Wanahomena po ramieniu, choć ten nie przypominał sobie, żeby go znał. – Może to ci pomoże...

Dał znak dwojgu hetawskim dzieciom, które przyniosły dwa

owinięte w materiał przedmioty. Jednym z nich była, sądząc po kształcie, długa tyczka. Drugim... Wanahomen wstrzymał oddech, przeczuwając, co to może być. Chłopiec zatrzymał się przed nim i z pomocą kolegi odwinął przedmiot, ukazując czerwone i złote bursztynowe tarcze Aureoli Zachodzącego Słońca.

– Przechowaliśmy to w naszych lochach, gdy Kisuanie podbili miasto – powiedział starzec cicho. Wanahomen z uszanowaniem ujął Aureolę, uniósł ją do światła, zdziwiony, że wydaje się o wiele jaśniejsza niż ta, którą zapamiętał. – Jeśli chcesz, możesz wypożyczyć któregoś z tych chłopców, by niósł ją za tobą, gdy pojedziesz do Yanya-iyau.

Przejechać przez ulice miasta z Aureolą za swoją głową... Wanahomen przełknął ślinę, by pozbyć się gruzła w gardle, i bez słów skinął głową chłopcu, który uśmiechnął się i natychmiast zaczął wraz ze swoim towarzyszem odwijać tyczkę.

– Trzeba zrobić tak wiele, by przywrócić porządek w Gujaarehu – powiedział Wanahomen, gdy wrócił mu głos. – Chętnie przyjmę pomoc Hetawy. Oraz shunhów, zhinhów i moich banbarryjskich sprzymierzeńców.

Odwrócił się do ludzi zebranych na podwyższeniu; ogarnęło go zdenerwowanie, gdy zobaczył, że wszyscy wpatrują się w niego wyczekująco. Ale bardzo, bardzo szybko się uspokoił.

– Oczywiście Hetawa udzieli ci pomocy – oznajmił starzec, który, Wanahomen wreszcie uświadomił to sobie, musiał być obecnym zwierzchnikiem.

– I shunhowie – dodał Deti-arah, unosząc syna w ramionach, by i on mógł spojrzeć na księcia. – Nie mogę się wypowiadać w imieniu zhinhów, ale...

– Ja mogę – przerwała mu Iezanem, urażona, że choćby o tym pomyślał. – Już przysięgliśmy nasze wsparcie rodowi Zachodu Słońca. Jednakże niektóre szczegóły tego wsparcia wymagają jeszcze przedyskutowania.

Spojrzała znacząco na Wanahomena, który skinął głową na znak,

że zrozumiał. Będzie musiał dać arystokratom więcej władzy niż jego ojciec; kupcom i wojskowym prawdopodobnie także. Nie miał nic przeciwko temu, ale jeśli Iezanem uważała go za kogoś, kto bez sprzeciwu przyjmie rolę figuranta, powinna przygotować się na następną wojnę.

„Może lepiej ją poślubię; wtedy się zamknie”.

– Czy to znaczy, że teraz to ja jestem przywódcą łowców? – spytał Ezack w chakti. Przeciągnął się nonszalancko.

Wanahomen spojrzał na niego, jednocześnie rozbawiony i zdziwiony jego bezczelnością.

– To zależy od Unte.

– Niech to. Unte mnie nie lubi.

– Powiem mu pochlebne słówko o tobie – obiecał Wanahomen – jeśli przez ósmdzień lub dwa zostaniesz tu z Yusirami jako moja gwardia pałacowa. Potrzebuję zaufanych wojowników na wypadek, gdyby pojawili się asasyni.

Ezack natychmiast się rozpogodził.

– *Jeszcze nigdy nie zabiłem asasyna!* Dużo ich będzie?

– Mam nadzieję, że wszyscy wystraszą się tak wielu krwiożerczych barbarzyńskich wojowników.

Ezack westchnął.

– Tyle możemy zostać. Unte nie powinien mieć do nas pretensji, bo wkrótce kobiety przybędą do miasta, żeby handlować z naszymi nowymi klientami. Mogą zechcieć naszej ochrony na wypadek jakichś wybryków, choć szczerze mówiąc, twoi rodacy tak się uradowali naszym przybyciem, że nie wyobrażam sobie żadnych kłopotów. – Zamilkł i odprowadził wzrokiem zhinę, za którym podążała służąca z nagimi piersiami. Wszyscy łowcy gapili się na nią; Wanahomen zapamiętał, żeby szybko pouczyć ich o gujaareńskich obyczajach. – Skoro mowa o radości, będzie zabawa?

– Później – obiecał Wanahomen. Odwrócił się do zwierzchnika,

ale nie mógł nie spojrzeć na zbieracza. – Najpierw opłaczymy umarłych, potem zajmiemy się żywymi. Wszystko w swoim czasie. To zasada spokoju, prawda?

Zbieracz skinął głową bez słowa.

– Prawda – odpowiedział zwierzchnik.

– Zatem przystąpmy do dzieła – zakończył Wanahomen.

I choć zebrani nie zaczęli wiwatować, w sali dało się wyczuć zmianę nastroju. Książę dostrzegł uniesienie na twarzach wielu osób, które zaczęły wracać do swoich obowiązków albo wychodziły, by rozpocząć długi, mozolny proces podnoszenia narodu z upadku. Ezack zaszutował zawadiacko i oddalił się, pewnie by porozmawiać z innymi przywódcami łowców. Nijiri zniknął w tłumie, jak przystało zbieraczowi. Ale kiedy zwierzchnik odwrócił się, by odejść, Wanahomen powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Wszystko w swoim czasie – odezwał się cicho, przystępując do niego. – Praktykantka Hanani. Co z nią?

Zwierzchnik natychmiast spoważniał.

– Ma się dobrze. Obudziła się parę godzin przed tobą i powiedziała, co zaszło w krainie snu. Jeśli chcesz, przekażę twoje pożegnanie...

– Sam je przekażę, dziękuję.

Zwierzchnik zawahał się, wyraźnie skrepowany.

– Opowiedziała nam szczerze o śmierci Mni-inha – rzekł powoli – i o... o innych wydarzeniach, które miały miejsce podczas jej pobytu na pustyni. Rozumiem, że mogło się rozwinąć pewne... hm, przywiązanie... że twoje uczucia... – Nabrał tchu, ale potem tylko pokręcił głową. – Jesteśmy jej rodziną, książę. Lepiej, żebyś nigdy więcej jej nie zobaczył.

Tylko maniery wpojone przez matkę powstrzymały Wanahomena przed natychmiastowym warknięciem w odpowiedzi. Dotarła do niego smutna świadomość, że będzie musiał na nowo nauczyć się taktu; ostry język, który tak dobrze służył mu wśród Banbarrów,

w Gujaarehu mu się nie przyda.

– Jeśli Hanani podejmie taką decyzję, wówczas oczywiście ją uszanuję – oznajmił, starając się zachować pełen uszanowania ton pomimo krnąbrnych słów. – Dlatego spotkam się z nią, by usłyszeć to z jej własnych ust.

Zwierzchnik nie przyjął tego z radością, ale w końcu westchnął z rezygnacją.

– Chodź ze mną – powiedział i zaprowadził Wanahomena w głąb Hetawy.

Kilkaset ciał ułożono na brukowanym dziedzińcu. Ofiary plagi koszmarów, Kisuanie i Gujaareńczycy, który zginęli podczas zamieszek, wartownicy polegli w walce o Hetawę... I Charris. Zwierzchnik zatrzymał się taktownie w pewnej odległości, gdy Wanahomen poszedł zobaczyć się ze starym przyjacielem, kiwając głową siostrze Hananji, która owijała ciało, przygotowując je do kremacji. Ale Charris, jakiego ksiązę znał, dawno zniknął z tego ciała. Po chwili Wanahomen poszedł dalej.

Wśród ciał klęczała Hanani. Najwyraźniej nie spała już od dawna, bo umyła się i przebrała w hetawski strój, który miała na sobie podczas ich pierwszego spotkania, Wanahomen zauważył też parę zmian. Zachowała luźną ozdobną banbarryjską fryzurę – gęste kędziory w kolorze piasku przepasane skórzaną, wyszywaną koralikami przepaską. Nie tylko obrysowała oczy czarną kreską, co czynili niemal wszyscy Gujaareńczycy, by chronić się przed oślepiającym słońcem, lecz także pociągnęła wargi delikatnym brązowym barwnikiem, podkreślającym jej cerę; nadal nosiła bursztynową bransoletę na kostce i zwykłe, praktyczne sandały. Ale na naszyjniku-kołnierzu, osłaniającym jej ramiona, miała teraz kilka tuzinów drobnych szlifowanych rubinów, nie karneoli, jak wcześniej.

Wanahomen zatrzymał się za nią i z trudem przełknął ślinę przez nagle ściśnięte gardło. Przez chwilę wydawało mu się, że Hanani nie usłyszała jego kroków, ale dziewczyna się odezwała:

– Zbieracze uznali, że nie jestem zepsuta.

I w końcu sobie przypomniał tę umowę, którą z nią zawarł, by zwabić ją do Hona-Karekh i z powrotem w życie. Nie przyszło mu do głowy, że podda się osądowi, nie czekając na jego przebudzenie. Przekłeta uparta kobieta. Ale cieszył się, cieszył się ponad wszystko, że pozwolili jej żyć.

– Dobrze – powiedział. – Bo nie byłaś.

– Tak mówią. – Westchnęła, gładząc twarz leżących przed nią zwłok. – Ale zabiłam już pełną czwórkę.

Nie zrozumiał tego, dopóki nie spojrział na drobne, wynędzniałe ciało, którym się zajmowała, i nie rozpoznał tej spokojnej już twarzy.

– Miłosierdzie to nie morderstwo – stwierdził. – Byłaś dla tego dziecka błogosławieństwem. Spójrz na nią: jej cierpienie się skończyło. Przecież taka była wola Bogini.

– A co to znaczy? – Hanani spojrzała na niego. Nie płakała, ale wyraz zagubienia w jej oczach był mu boleśnie znajomy. W tej chwili towarzyszyło mu jeszcze zmęczenie, większe nawet od tego, które przygniatało serce Wanahomena. Księżę spochmurniał; zwierzchnik powiedział, że się o nią zatroszczą. W takim razie dlaczego kazali jej siedzieć wśród zmarłych i zazdrościć im?

– Dayu umarł przypadkiem, ale nie mogę sobie tego wybaczyć. Śmierci Mni-inha także.

Azima. To było czyste zepsucie bez względu na to, co mówią zbieracze. Podobnie jak to, co zrobiłam temu dziecku we śnie. Ale co to oznacza, że popełniłam takie grzechy i jednak zostałam prawdziwym dawcą? Co to oznacza, że modliłam się o oświecenie i taką dostałam odpowiedź? – Wskazała ciało Dzikiej Śniącej.

Wanahomen westchnął. Oto dowód, że nie był zbieraczem bez względu na swój jakże ogromny dar snu: nie przychodziły mu do głowy żadne pocieszenia. A tutaj, w środku Hetawy, nie mógł jej wziąć w ramiona i przytulić, jak zrobiłby wszędzie indziej. Zwłaszcza w tym hetawskim kołnierzu podobnym do krwawej

obroży.

– Nie czuję się już dawcą, książe. – Hanani odwróciła się i spojrzała na zmarłą dziewczynkę. – Nie wiem, kim jestem.

Nie mógł znieść jej bólu. I był wściekły na jej zwierzchników, braci czy kogoś tam, kto wpadł na pomysł tej demonstracji, bo teraz już wiedział, że zrobiono to z myślą o nim. By ostrzec, że brak mu umiejętności, by złagodzić jej ból. Ranili ją, żeby go od niej odsunąć.

Dlatego kucnął przy niej i wziął za rękę.

– Odejdź stąd. Drgnęła, zaskoczona.

– Co?

– Dziewczynka nie żyje, trzeba było to zrobić. Tego czasem wymaga spokój. Pogódź się z tym albo nie, jak wolisz, ale nie siedź tu i nie pograżaj się w smutku. Chodź.

Pomógł jej się podnieść, a potem poprowadził za sobą do Sali Błogosławieństw. Ale zwierzchnik stanął im na drodze. Spojrzał z niezadowoleniem na ich złączone ręce.

– Książe, dawca Hanani ma obowiązki...

– Tak – przerwał Wanahomen. – Opiekowanie się żywymi, nie umarłymi. Prowadzę ją tam, gdzie jest potrzebna.

Zwierzchnik zdumiał się tak bardzo, że na chwilę odjęło mu mowę.

– Dokąd? – spytała Hanani.

– Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w tym mieście doświadczyli czym jest wojna.

– Niech przyjdą tutaj – odparł zwierzchnik surowo. – Akolici i siostry wyszli w miasto, by zebrać tych, którzy nie mogą się poruszać. Wartownicy rozprawiają się z tymi, którzy nie chcą wrócić na drogę spokoju. Uzdrowimy tych, których możemy uzdrowić, i do tego potrzebujemy Hanani...

– Ale ona nie potrzebuje was. – Wanahomen usłyszał gniew w swoim głosie i zrozumiał, że taktowne zachowanie kiepsko

mu wychodzi, ale przestało go to obchodzić. – *Co zrobicie? Nafaszerujecie ją senną krwią i zamkniecie w celi, aż przestanie płakać? Nie tego potrzebuje!*

– Uważasz, że ty wiesz to lepiej – rzucił zwierzchnik gorąco, choć cicho. – My...

– Dość. – Hanani odezwała się jeszcze ciszej, ale niesmak w jej głosie podziałał skuteczniej niż reprimenda. – Zwierzchniku, to nie ma sensu. Proszę o zwolnienie mnie z obowiązków na parę dni. Wiem, że potrzebujecie każdego dawcy, ale... – Pokręciła głową. – W tej chwili nikomu się nie przydam.

Zwierzchnik spojrział na nią zaskoczony.

– To... to niestosowne, ale... no cóż, pewnie to rozsądna prośba, a jednak...

– Dziękuję – przerwała mu Hanani z zapierającą dech w piersiach niegrzecznością. Wyjęła dłoń z uścisku Wanahomena i odeszła w stronę Sali Błogosławieństw. Wanahomen, równie zaskoczony, wymienił spojrzenie ze zwierzchnikiem.

Przy drzwiach Hanani zatrzymała się i spojrzała na nich przez ramię.

– Księżę?

Wanahomen nie zdołał pohamować tryumfalnego uśmiešku. Skinął zwierzchnikowi głową w dość niecywilizowany sposób i pobiegł za dziewczyną.

Wjechał do Yanya-iyana z Aureolą, którą wiozł za nim konny jeździec, i z Hanani siedzącą przed nim na siodle. Gdyby towarzyszyli mu Charris i Hendet, niewątpliwie nie pochwaliliby obecności Hanani. Nie tylko zaprezentował całemu miastu z całą dobitnością, że dziewczyna jest jego kochanką – jedni bogowie wiedzą, jak na to zareaguje Hetawa – ale okazując jej łaskę, zaszкодził sobie. Po jego powrocie wszystkie arystokratyczne i bogate rodziny będą się ubiegały o zawarcie z nim przymierza. Szczególnie wybór pierwszej żony wzmocniłby jego nadal chwiejną pozycję. Wanahomen stracił już złudzenia co do Tiaanet. Ale jaka

inna kobieta z dobrego, ustosunkowanego rodu zechce zostać pierwszą żoną człowieka, który tak się afiszuje ze swoją faworytą?

Gdy tak przemierzali miasto na czele armii i sprzymierzeńców, a Wanahomen kiwał głową tłumom, które zebrały się po obu stronach ulic, wiwatując i płacząc, Hanani w końcu przestała myśleć o przyzwoitości. Oparła się o księcia, trzymając głowę na jego ramieniu. Oczy miała szeroko otwarte, lecz była zagubiona w wewnętrznym zamęcie. Nie wiedziała, czy jego bliskość ją pociesza. W Yanya-iyana miło zaskoczyło go, że pamięta z młodości twarze służących i personelu. Wyglądało na to, że Kisuanie nie byli na tyle głupi, by brać na siebie wykonywanie tak wyspecjalizowanych i wymagających funkcji. Dlatego Wanahomen czuł się bezpiecznie, powierzając Hanani ich opiece. Rozkazał im traktować ją jak jego żonę. Ale zaniepokoiło go, że odchodząc z nimi, nawet na niego nie spojrzała.

Następne godziny poświęcił naradom w sprawie bezpieczeństwa miasta i ustalenia nowych struktur jego rządów. Konieczna, choć wyczerpująca praca. Dopiero gdy Śniąca Luna ukazała w pełni swoją czwórbarwną twarz, księżę mógł odejść do komnat, które jeszcze przez wiele miesięcy nazywał komnatami ojca. Służące wykąpały go i namaściły pachnącymi olejkami, rozplotły rozczochrane warkocze i na nowo je splotły, zabrały jego banbarryjskie stroje i ubrały go w złoty kołnierz i spódnicę z tak delikatnego materiału, iż prawie nie czuł jej dotyku.

W tym stanie, czując się nagi i obcy samemu sobie, zmęczony i niezrozumiale samotny, poszedł do Hanani.

Leżała skulona wśród poduszek jego wielkiego okrągłego łoża. Służące zajęły się także nią; zastąpiły banbarryjską opaskę złotym diademem wysadzany tygrysim okiem, ubrały ją w fałdzistą lnianą suknię, która opinała jej krągłości i była o wiele za przejrzysta dla kobiety o jej karnacji. Widok w pełni ubranej kobiety jeszcze nigdy go tak nie podniecił.

Ale księżę powstrzymał żądzę, bo instynkt wojownika podpowiedział mu, że jeśli teraz popełni błąd, straci ją. A jej

obecność nagle stała się dla niego rozpaczliwie, dojmująco ważna.

Dlatego położył się obok i czekał. Tak jak się spodziewał, odwróciła się do niego. Wtedy zauważył, że nie zdjęła rubinowego kołnierza dawcy.

– Gratulacje – powiedział, wskazując go brodą. Gest wyszedł niezdarnie i sztywniej niż zwykle, ale Wanahomen uznał, że udawanie braku uczuć nie ma sensu.

Hanani skinęła powoli głową.

– Brat Mni-inh byłby dumny. – Dotknęła jego splecionych na nowo włosów. – Tak jak twój ojciec byłby dumny z ciebie.

Nie mógł się powstrzymać; chwycił jej dłoń i ucałował jej wnętrze, a potem pogłaskał jej ramię, żeby uwolnić choć trochę pożądania. Ku jego wielkiej przyjemności z jej oczu zniknęło nieco melancholii. Ale po chwili smutek wrócił.

– Nie wiem, co zrobić – zaczęła Hanani. – Hetawa... Dziś siedziałam w Sali Dawców, w Sali Błogosławieństw i czułam się jak intruz. Spędziłam tu prawie całe życie, ale to już nie jest mój dom.

– To uczucie może z czasem minąć – powiedział, z trudem zmusiwszy się do tego.

– Nie. Nie sądzę. – Przełknęła z wysiłkiem ślinę. Najwyraźniej szukała właściwych słów.

– Nadal kocham Boginię. Z czasem chyba mogłabym znowu pokochać uzdrawianie. Ale wrócić do tego życia... nie mam już siły, książę. Nie po tych wszystkich stratach. Nie wiem... nie wiem, co innego mogłabym robić.

Ich oczy się spotkały, co obudziło cichą radość Wanahomena... do chwili, gdy Hanani znowu odwróciła spojrzenie.

Ostrożnie, och, ostrożnie. Chciał od niej tak wiele, a sprawy między nimi nadal przedstawiały się niepewnie.

– Zostań tutaj, dopóki nie zdecydujesz – poprosił. – Czwórdzień, ósmdzień, sezon, rok.

Jak długo zechcesz. Spędzaj każdy dzień na modlitwie w ogrodzie,

jeśli to sprawi ci radość. – „I każdą noc ze mną”. – Tu nie będziesz miała kłopotów.

Zmarszczyła brwi.

– Nie będę nadużywała twojej gościnności...

Dotknął jej ust, żeby ją uciszyć, tak jak dawniej ona postąpiła z nim.

– Jak kiedyś słusznie zauważyłaś, nie jesteśmy Banbarrami. A Gujaareh uwolnił się od Kisuan. Możemy znowu zacząć się zachowywać jak cywilizowani ludzie i okazywać sobie życzliwość bez powodu i zapłaty.

Uśmiechnęła się nieśmiało, choć ten uśmiech zaraz zbladł. Niepokoiło go, że jej radość jest tak nietrwała. Wtuliła twarz w jego dłoń i przytuliła się do niego, szukając pociechy. Objął ją, rozkoszując się jej ciepłym zapachem. Zadowoliliby się leżeniem z nią tak całą noc, ale ona uniosła twarz i odnalazła jego usta, a jej język miał słodki smak pożądania.

„Delikatnie” – napomniał siebie, choć jego ciało nagle zapomniało o zmęczeniu. Ale nim zdążył rozpocząć powolne uwodzenie, o którym tak marzył, Hanani nagle się cofnęła.

– Nie kocham cię, księżę – powiedziała ze strapieniem. – Rozumiesz to? Chcę cię kochać, ale jest we mnie coś, co się przed tym buntuje. W ostatnim czasie straciłam wszystkich, których kochałam. Łatwiej, bezpieczniej jest cię nie kochać.

Niemile zaskoczony Wanahomen podparł się na łokciu i zastanowił się nad jej słowami.

Właściwie tego powinien się był spodziewać. Hanani zeszła się z nim w trakcie żałoby, dla ukojenia serca. Czy gdyby nie to, w ogóle by go zechciała? Nie sposób zgadnąć. Kraina jawy nie przypomina snów; nie można jej zmienić zgodnie z własną wolą. Wanahomen mógł tylko przyjąć lub odrzucić to, co dostał.

A nie chciał jej odrzucić. To jedno wiedział na pewno.

– Nie będę udawał, że to mi odpowiada – oznajmił. Ale

jednocześnie położył rękę na jej brzuchu. – Mam w sobie dość próżności, by pragnąć wzbudzać miłość w każdej kobiecie, z którą dzielę łożę. Ale jestem księciem; nauczyłem się obchodzić bez miłości. – Zawahał się przez chwilę. – Przypuszczam, że ja też powinienem zrewanżować się szczerością. Chciałem cię poślubić. Ale nauczyłem się od Yanassy, że zbyt szybkie oświadczanie się kobiecie bez załatwienia pewnych spraw to kiepski pomysł. – Udał, że pogrąża się w zadumie. – Mogę zaczekać nawet czwórdzień.

Ucieszył się, widząc znowu jej uśmiech.

– Raz spytałeś, czy nic dla mnie nie znaczysz. Chcę, żebyś wiedział... że to nie tak. Jesteś moim przyjacielem. Jedynym, którego tak nazwałam. – Westchnęła. – Pewnie chodzi też o to. Bo... bo nie umiem się przyjaźnić. Nie umiem być kochanką, nie mówiąc już o byciu żoną. Nie wiem, czego chcę.

Pochylił się i pocałował jej szerokie czoło.

– Więc zostań, dopóki się tego nie dowiesz.

Przez jakiś czas nie odpowiadała, co go zaniepokoiło.

– Chcesz także dzieci. – Spojrzała na niego bardzo poważnie. – Skoro zamierzasz mnie poślubić.

– Oczywiście. Będiesz wspaniałą matką... – Ale na widok wyrazu jej twarzy urwał w pół zdania.

– Nigdy nie spłodzimy dziecka, księżę. Dar snu to niebezpieczna rzecz; nie da się przewidzieć woli Bogini. Już ci mówiłam, że mógłbyś zostać zbieraczem, a nigdy dotąd nie zdarzyło się, by zbieracz i dawca spłodzili dziecko. Takie dziecko nigdy nie powinno się urodzić. W najlepszym wypadku moglibyśmy jedynie wzmocnić dar snu, obecny w twoim rodzie, a już to samo byłoby niebezpieczne. W najgorszym... moglibyśmy stworzyć kolejnego Dzikiego Śniącego.

Wstrząśnięty Wanahomen długo milczał. Usiadł, tak bardzo zaniepokojony, że nie potrafił wyrazić swoich uczuć słowami.

Hanani westchnęła ciężko i także się podniosła. Przytuliła się do pleców Wanahomena.

Jej oddech połaskotał mu kark.

– Przykro mi. Ale nigdy nie kłamię. Może to coś, co wypada robić kochankom, ale... jestem, kim jestem.

Czy to go cieszyło? Mogła milczeć, dzielić z nim łożę i udawać, że jest bezpłodna. Była uzdrowicielką; mogła zapobiec wszystkiemu, czego nie chciała. Chyba lepiej, że wyjaśniła mu swoje powody?

Ale go nie kochała. Nie chciała jego dzieci. Nie potrzebowała jego bogactwa, bo mogła wrócić do Hetawy. Nie potrzebowała jego siły, gdyż sama była bardzo silna. Zatem co mógł jej dać? Nie przywykł do takiej bezradności.

– Jeśli chcesz, żebym odeszła... – zaczęła.

– Nie.

– Księżę...

Odwrócił się i znowu się z nią położył. Odgarnął faliste pasma włosów z jej twarzy, twarzy wieśniaczki, zastanawiając się, co się z nim dzieje. Czy tak bardzo pragnął tej kobiety dlatego, że odtrącił Yanasę? Czy przez fałsz Tiaanet? A może przez majaczącą na horyzoncie groźbę, że nigdy nie pokocha ani nawet nie polubi żadnej ze swoich innych żon, które poślubi z obowiązku? Pragnął mieć jedną kobietę, która odwzajemni jego miłość. To chyba nie takie nieosiągalne marzenie; ojciec dostał to od jego matki. Ale serce Wanahomena już wybrało tę kobietę i nie pragnęło żadnej innej. Po prostu.

Dlatego powiedział:

– Niczego bardziej nie jestem pewien niż tego, że nie chcę, żebyś odeszła. Odetchnęła, a z jej twarzy znikło napięcie.

– Dziękuję. – Przysunęła się i położyła rękę na jego dłoni. Wydawało się, że tę część jego ciała lubi najbardziej. Pozwolił jej rozewrzeć swoją lewą dłoń, rozłożyć palce, pogłaskać jej wnętrze kciukiem. Ale gdy uniosła jego rękę, by ją pocałować, jej kołnierz się przechylił, kamienie szcęknęły o siebie, a Wanahomen zrozumiał, że jest pewien jeszcze czegoś.

Odetchnął głęboko.

– No tak. To, czy spędzimy dziecko, czy nie, to kwestia twojego osądu – powiedział i dotknął palcem kamieni kołnierza. Były to piękne rubiny najwyższej klasy, bez trudu mogące zaćmić te, które posiadał w pałacowym skarbcu. Hetawa wreszcie uznała prawdziwą wartość Hanani. – Każę służącym przynieść konieczne prześcieradła i maści, jeśli nie chcesz marnować na to magii. Istnieją też inne sposoby, jak możemy sprawić sobie rozkosz. Ale chcę ciebie, nie Hetawy. Wybierz mnie lub mnie odrzuć, zniosę każdą twoją decyzję, ale zdecyduj.

Przez chwilę dotykała kołnierza w zamyśleniu, dłużej, niż potrafił wstrzymać oddech. Nie powinien jej o to prosić i dobrze o tym wiedział. Hetawa stanowiła dla niej nie tylko władzę Gujaarehu; była jej rodziną. Ale kiedy Hanani spojrzała na niego, w jej oczach nie było wątpliwości. Podjęła już decyzję.

Gdy usiadła, by rozpiąć kołnierz, Wanahomen stłumił tryumfalny uśmiech. Wiedział, że tak nie wolno. Ale trudno mu było zachować powagę, kiedy obserwował, jak starannie złożyła kołnierz, odłożyła go i położyła się obok niego.

– Oddałam Jej już dość – rzekła, unosząc głowę. W jej głosie brzmiała wyzywająca, zaczepna nuta. – Oddałam już wszystkim wystarczająco wiele. Czas, żebym zaczęła brać.

Dlatego Wanahomen starał się jej dać wszystko, czego pragnęła. Dotknął jej powoli, dając jej czas do namysłu, gotów się wycofać, gdyby zmieniła zdanie. Ale ona tylko westchnęła, gdy pieścił i smakował jej delikatną skórę, a kiedy sięgnął między jej nogi, żeby ją przygotować, wydała jęk rozkoszy, który Wanahomen miał odtąd słyszeć w najpiękniejszych snach.

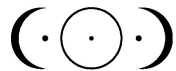
Wtedy połączył się z nią, ostrożnie, z szacunkiem, bo czyż kobiety nie były boginiami?

Nie szczędził sił, by ją zadowolić, nawet kiedy sam już osiągnął satysfakcję. Wiedział, że to być może jego jedyna szansa, by ją zdobyć. Kiedy ogień przygasł, wydawała się zadowolona, więc

otoczył ją ramionami – luźno, pamiętając o naganie Yanassy – i w końcu pozwolił sobie na sen.

Ale kiedy zbudził się rano, Hanani nie było.

47. SŁUGA POKOJU



Gdy wokół Hanani utworzyła się Hetawa z Ina-Karekh, dziewczyna nie zdziwiła się na widok czekającego na nią Nijiri.

– Witaj, zbieraczu.

Nijiri podniósł się i stanął naprzeciw niej na podniesieniu, gdzie się modlił. Przez chwilę się jej przyglądał.

– Zatem podjęłaś decyzję.

Skinęła głową, wpatrzona w niego. We śnie miała na sobie strój dawcy; sięgnęła do rubinowego naszyjnika, by go zdjąć. Podała kołnierz Nijiriemu, który po długiej chwili milczenia przyjął go.

– Mogę go zwrócić także na jawie... – zaczęła.

– Nie. Sen liczy się bardziej. – Naszyjnik zniknął z jego rąk. – Przepraszam, Hanani. Nie chciałem, żeby ta próba uczyniła ci taką krzywdę.

Zmarszczki na twarzy mężczyzny były głębsze, jego oczy się postarzały od czasu, gdy ostatni raz spotkała go we śnach. Powiedziano jej o śmierci zbieracza Rabbaneha. Na jawie nie wyjawiałaby swoich myśli, ale we śnie nie było powodu ich ukrywać.

– Zostałeś tak samo skrzywdzony.

Nie starał się zaprzeczać.

– Czy znajdziesz z nim spokój?

– Spokój? Z Wanahomenem? – W bardziej pogodnym nastroju pewnie by się roześmiała.

– Nie. Nie wiem. Być może. Jest we mnie pustka, której nic nigdy nie zapełni. Nie wiem, co z nią zrobić. Senna krew... – Pokręciła

głową. Nie potrafiła znaleźć słów, które by to wyjaśniły, ale czuła z instynktowną pewnością, że senna krew nie zdołała nic dobrego.

Nijiri westchnął i pokiwał głową.

– Czas i przyjaciele wypełnią tę pustkę, Hanani. Ale... – Odwrócił wzrok. – Ból nigdy nie zniknie w pełni. W każdym razie tak jest ze mną.

Z wielkim zdziwieniem przekonała się, że jego słowa sprawiły jej ulgę. Jakoś pomogła jej świadomość, że nie przestanie tęsknić za ludźmi, których kochała. Nie poczuła się z tym dobrze, ale wydawało jej się słuszne i właściwe, że strata wiary zostawi trwałą bliznę.

Odwróciła się do odlanych z brązu drzwi w głębi sali. Nijiri ruszył razem z nią między kolumnami, oddalając się od posągu.

– Inmu i ja zaczęliśmy odnajdować dryfujące dusze w krainach między jawą a snem – powiedział. – Wiele nie pamięta siebie w pełni; dzielenie bólu Dzikiej Śniącej okazało się zbyt wielkim wyzwaniem. Ale są na tyle nieuszkodzone, że można je odesłać do Ina-Karekh, by zaznały spokoju.

Zatrzymała się gwałtownie, wstrzymując oddech.

– Mni-inh? Dayuhotem?

– Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.

Zamknęła oczy; łzy zapiekły ją pod powiekami, a ta wielka pustka, którą w sobie czuła, trochę się zmniejszyła. Tak jakby ktoś zapalił w niej latarnię. Małe światełko, dające odrobinę ciepła, nieistotne w prawdziwym mroku, ale lepsze niż nic.

– Chciałabym ich znowu zobaczyć.

Nijiri nie odpowiedział. Zapewnianie osoby pogrążonej w żałobie, że zobaczy kiedyś znowu swoich ukochanych, było uświęconym obyczajem. Ale kraina Ina-Karekh nie miała końca. Hanani mogła ją przeszukiwać przez wiele istnień ludzkich i nie znaleźć duszy, za którą tęskniła, nie mówiąc już o dwóch. Nijiri zachował się uczciwe i za to była mu wdzięczna.

Ale nie musiała tracić nadziei. Dopóki żyje, będzie śniła, a ponieważ jest kobietą, nie przerwie poszukiwań nawet po śmierci. Dlatego zdecydowała: pewnego dnia ich zobaczy.

– Dziękuję ci, zbieraczu – powiedziała. Nijiri skłonił głowę.

– Czy zamierzasz dalej uzdrawiać?

– Chciałabym. Lubię pomagać ludziom. Ale zwierzchnik miał rację, tu, w Gujaarehu, nikt nie potrzebuje moich umiejętności. Hetawa daje ludziom wszystko, czego potrzebują.

– Świat to nie tylko Gujaareh – odrzekł Nijiri znacząco i zamilkł. Dotarli do brązowych drzwi, za którymi tu, w Ina-Karekh, znajdowały się nie schody i plac, lecz prostokąt jednolitego światła, droga powrotna do krainy jawy.

– Mni-inh dobrze cię wykształcił – powiedział zbieracz – więc ufamy twojemu osądowi w tej i innych sprawach. Ale uważaj, żeby nie uczyć swojego księcia więcej magii, jeśli postanowisz go zatrzymać. Dobrze, że pokazałaś mu, jak zachowywać równowagę, ale brak mu dyscypliny, by szkolić się w wyższej narkomancji. Po takim wysiłku, jaki w niego włożyliśmy, szkoda by było zbyt szybko go stracić.

Hanani spuściła oczy na znak zgody.

– Dobrze.

Nijiri skinął głową i ujął jej dłonie.

– Zawsze będziesz należała do Hetawy, Hanani. Czy służysz na swój sposób, czy nasz, pozostajemy twoimi braćmi. Nie zapomnij nas, proszę.

Hanani uśmiechnęła się, podeszła do niego i bez zastanowienia wzięła go w objęcia. Nijiri wyglądał na wstrząśniętego – nikt nie przytulał zbieraczy. Ale w końcu pokręcił głową, rozluźnił się i także otoczył ją ramionami.

– Najwyraźniej – mruknął rozbawiony, z ustami w jej włosach – następnym razem musimy się skonsultować z siostrami w sprawie prawidłowego postępowania z kobietami.

– Najwyraźniej – powiedziała Hanani i zamknęła oczy. – Żegnaj, zbieraczu.

Otworzyła oczy w Hona-Karekh i przez wiele godzin leżała sennie w ramionach Wanahomena.

Jeden z banbarryjskich wojowników zgodził się zaprowadzić Hanani do Merik-ren-aferu. Spodziewała się, że Unte nie przyjmie jej z otwartymi ramionami, ale ku jej zaskoczeniu zgodził się spełnić niemal wszystkie jej życzenia. Później wspomniała o tym w rozmowie z Hendet, która także postanowiła przez jakiś czas pozostać wśród Banbarrów.

– To barbarzyńcy – powiedziała królowa, wruszając ramionami.
– Prawie zapomnieliśmy, co znaczy dokonywać trudnych wyborów; oni nie.

– A... ty? – spytała Hanani z pewnym skrepowaniem; w końcu odeszła od syna Hendet i nie wiedziała, co ona o tym sądzi.

– Ja dokonywałam wyborów, których nie potrafisz sobie wyobrazić – odparła kobieta i odeszła.

Na prośbę Hanani zbudowano dla niej samotne obozowisko po drugiej stronie wąwozu, na stabilnej półce, na tyle nisko położonej, żeby wysokość jej nie przerażała. Skoro bogate gujaareńskie rynki w końcu otworzyły się dla Banbarrów – a Wanahomen płacił wojownikom za pełnienie roli jego gwardzistów – plemię postanowiło zrezygnować ze zwyczajowej wiosennej wyprawy na zachód. To oznaczało, że Hanani mogła liczyć na jego ochronę i towarzystwo przez co najmniej rok.

Za rubinowy kołnierz kupiła piękny namiot i wszystko, czego potrzebowała. Co tydzień łowca przywoził jej świeże towary i wiadomości. Yanassa i kobiety z plemienia także często składały jej wizyty, czasem przyprowadzając innych gości: dziecko z krzywymi plecami, kobietę, której zaczęły wypadać włosy, mężczyznę ze wstydliwym upośledzeniem genitaliów. Wychodzili od Hanani uzdrowieni, a w ślad za nimi pojawiali się następni. Banbarrowie z innych ple mion zaczęli się do niej zjeżdżać z daleka, a na mocy

umowy Hanani z Unte witano ich przyjaźnie w Merik-ren-aferu bez względu na sytuację polityczną między nimi i Yusirami. Skalny występ Hanani stał się terytorium neutralnym, bardziej niż an-sherrat jakiegokolwiek kobiety; nikt, kto zjawił się tu, by się z nią spotkać, nie mógł ucieść, nawet ci z wrogich plemion. Hanani nie zdołała jeszcze przekonać Unte, żeby pozwolił na wizyty także Shadounom, ale nie zamierzała rezygnować z perswazji.

W zamian za opiekę i pomoc plemienia Hanani nie pobierała opłaty od Yusirów. Dlatego nawet najbiedniejsi mogli prosić ją o uzdrowienie. Wkrótce zaczęła miewać gości codziennie. Raz zjawił się nawet Unte, twierdząc, że chce tylko sprawdzić, jak się miewa niezwykła podopieczna jego plemienia, ale przy okazji wyszedł z uleczonymi kolanami.

Yanassa w końcu zdołała namówić Hanani do bliższego kontaktu z Yusirami, choć Hanani martwiła się, że w ten sposób zniweczy swoje wysiłki, by pozostać neutralnym sprzymierzeńcem, a nie członkiem plemienia. Jednakże nie mogła się oprzeć, bo noce na pustyni były zimne i długie, a Nijiri miał rację: towarzystwo rzeczywiście sprawiało, że można było na chwilę zapomnieć o bólu. Dlatego zjawiała się na obchodach świąt i na uroczystościach, nawet zaczęła kształcić pewną dziewczynkę, tę, którą jakiś czas temu uleczyła z gorączki. Dziecko nie miało wielkiego talentu do snów i wyglądało na to, że nigdy nie zdoła opanować nic poza podstawowymi zaklęciami sennymi, wspomagającymi działanie ziół i operacji. Jednak dobrze było znowu kogoś uczyć.

Ugiąwszy się pod namowami Yanassy, Hanani wypróbowała młodzieńca, który parę razy z własnej woli przyniósł jej zapasy. Był młodszy od niej, nieśmiały i jąkał się jeszcze bardziej niż ona, a sympatię do niej okazywał w prostacki sposób. Ona także go polubiła, zwłaszcza kiedy jej zaproszenie do spędzenia z nią nocy wprawilo go w zachwyt. Ale okazało się, że popełniła błąd. Miłość z nim sprawiała jej pewną przyjemność – miał mnóstwo zapachu – ale potem nie pragnęła go już spotkać, co okazało się rozczarowaniem bolesnym dla nich obojga. Hanani prawie się

zgodziła spotkać się z nim znowu z litości, ale w porę uświadomiła sobie, że w ten sposób by go poniżyła. Chłopak zasługiwał na kochankę, która naprawdę by go pragnęła.

Gdy w końcu dotarło do niej, że to dotyczy także jej samej, wysłała do Gujaarehu przez posłańca zwój. Parę czwórdni później – niemal rok po tym, jak go opuściła – w Merik-ren-aferu zjawił się Wanahomen.

Nie krzyczał. Nie żądał wyjaśnień. Później Hanani dowiedziała się, że stało się tak za sprawą Yanassy, Hendet, Ezacka i Unte. Oznajmili, że nie zaprowadzą Wanahomena do jej obozowiska, dopóki nie przysięgnie, że zachowa spokój. Nie był aż tak rozwścieczony, żeby wypowiedzieć wojnę sześciu plemionom, choć mało brakowało.

Dlatego usiadł z Hanani na skalnej półce, z nogami zwieszonymi nad dziesięciometrową przepaścią. Wyglądał wspaniale z głową ozdobioną diademem z paciorków z lapis-lazuli, w rękawicach bez palców i sięgającej ziemi brokatowej opończy. Hanani miała na sobie tylko zwykłe beżowe szaty; czuła się przy nim jak niepozorna samica pawia przy bajecznie upierzonym partnerze.

Mimo to Wanahomen nie odrywał od niej wzroku. Nie wiedziała, co to znaczy.

– Przepraszam – odezwała się w końcu.

Westchnął.

– Chciałem za dużo i za szybko. To ja powinienem przeprosić.

Zaskoczył ją, bo nie spodziewała się, że księżę potrafi przeproszać za cokolwiek, nie mówiąc już o tym. Na widok jej otwartych w osłupieniu ust Wanahomen łypnął na nią spode łba. Odwróciła się szybko, żeby ukryć uśmiech. Dziwne, ale brakowało jej tych jego morderczych spojrzeń.

– Podejrzewałem, że tu przyjechałaś – powiedział, gdy się opanowała. – Dokąd mogłabyś uciec bez większego problemu? Ale nie ścigałem cię, bo byłem zły.

– To zrozumiałe.

– I ponieważ miałem nadzieję, że pewnego dnia zmienisz zdanie i do mnie wrócisz.

Spuściła wzrok na swoje zwisające nad przepaścią stopy w sandałach i lekko nimi zakołysała.

– I wróciłam, przynajmniej w pewnym sensie.

– Zatem czego sobie życzysz? – Odwrócił się do niej z wyniosłą opanowaną miną; jeszcze nie całkiem pozbył się swojej banbarryjskiej osobowości. Jego napięcie zdradzała siła, z jaką ścisnął skalną półkę aż palce mu pobieleły, a także to, że nie odrywał od dziewczyny spojrzenia.

– Chciałabym... chciałabym znowu być twoją kochanką – powiedziała, czując gorąco na policzkach. – I twoją przyjaciółką. I może kimś więcej. Jeśli mnie zechcesz.

Trudno było jej patrzeć na cień nieufności, który przemknął po twarzy Wana.

– To zależy. – Ton jego głosu był zbyt obojętny. – Kochasz mnie?

Skinęła głową, a on wyraźnie odetchnął.

– Stanowiłeś część tej pustki we mnie – wyznała. – Początkowo tego nie wiedziałam, bo pustka była zbyt wielka. Ale zbieracz Nijiri miał rację: czas i przyjaciele ją zmniejszyli i teraz widzę, że z tobą jestem szczęśliwsza niż bez ciebie.

Na jego policzku drgnął napięty mięsień.

– Skoro tak, wymagam, żebyś mnie poślubiła. – Kiedy spojrzała na niego z zaskoczeniem, zacisnął szczęki jeszcze bardziej. Już zapomniała, jaki jest uparty. – Z jakiegoś niepojętego powodu czuję potrzebę połączenia się z tobą pewnymi więzami.

Hanani pewnie by się uśmiechnęła, gdyby nie powaga chwili.

– Jestem gotowa to zrobić, choć nie znam się na małżeństwie. Nie powinnam najpierw poznać twoich żon? Chociażby po to, żeby się upewnić, czy się porozumiemy.

– Nie mam żon.

Zmarszczyła brwi. Od wyzwolenia Gujaarehu minął rok, a każdy

książę ma wrogów.

– Czy to nie... no, nieodpowiedzialne, że książę Zachodu Słońca nie ma żon? Ani spadkobierców?

– Już mam syna z mojej krwi i kości. Mam też kobietę, która mnie kocha i pragnie, ale oboje są na wpół dzicy. Uciekają na pustynię, kiedy chcę okazać im miłość. Gdybym był mniej pewny siebie, zacząłbym się niepokoić.

Hanani schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech. Wanahomen w końcu trochę się odprężył.

Dotknął jej dłoni, którą oparła o udo, przesunął palcami po jej nodze, podniósł jej spódnicę. Zarumieniła się, ale wkrótce zrozumiała, czego szuka: bursztynowej bransolety, którą wciąż nosiła na kostce. Na jej widok skinął głową z zadowoleniem i zamknął oczy, westchnąwszy ciężko.

– Nie uciekaj znowu ode mnie – odezwał się niemal szeptem.

Przykryła jego rękę dłonią.

– Nie ucieknę.

– I zostaniesz moją pierwszą żoną?

– Ale... – Zaskoczył ją; zapomniała o konsekwencjach tego, że Wanahomen nie miał innych żon. – Pierwszą żoną? Nie pochodzę z wysokiej kasty. Nie mam ważnych koneksji, w oczach Gujaareńczyków mój majątek to grosze...

– To mnie nie obchodzi.

– Ale...

– Kobieto, to mnie nie obchodzi. Ale jeśli to cię zadowoli, lud się ucieszy, że wziąłem sobie pierwszą żonę z niskiej kasty. To będzie jasny znak, że nie zapomniałem, kto pomógł mi odzyskać władzę. A nasze małżeństwo może symbolizować pogodzenie Hetawy z Zachodem Słońca i tak dalej. – Machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Mów, jaka odpowiedź?

Nie mogła wydusić z siebie słowa. Coś ją ścisnęło w gardle, ale nie był to smutek, więc tylko skinęła głową. Wanahomen westchnął

przeciągle i ciężko; reszta napięcia wyraźnie go opuściła.

– Zatem zorganizuję uroczystość. Szybko, żebyś nie zdążyła zmienić zdania, i z morzem wina, bo wiem, że Banbarrowie urządzają dom wariatów. Może dwie ceremonie: jedną w mieście, żeby kapłani mogli się na niej zjawić, jedną tutaj... – Urwał i przez chwilę zastanawiał się nad czymś. – Wolisz mieszkać w Yanya-iyam czy Kite-iyam?

Podjęcie decyzji przyszło jej z zaskakującą łatwością, może przez kontrast z pozostałymi.

– Niech twoje inne żony mieszkają w pałacach. Ja zostanę tutaj i będę leczyła Banbarrów.

– Zostaniesz i... – Spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Pierwsza żona księcia nie powinna sobie brudzić rąk pracą.

– Pierwsza żona księcia, która urodziła się w kaście rolników, została wychowana w Hetawie i jest sprzymierzeńcem Banbarrów, w naturalny sposób znajduje spełnienie w pracy, służącej Bogini i innym. To także spodoba się ludowi, nie sądzisz?

– *Ale co jeśli zechcę się z tobą spotkać? Na koszmary!* Wzruszyła ramionami.

– Wtedy przyjedziesz tutaj. To nie dłuższa podróż niż do Kite-iyam, prawda? Choć tutaj będziesz musiał zrezygnować ze służących; ta półka nie pomieści kolejnego namiotu...

Jęk księcia odbił się echem od ścian wąwozu.

– *Na demony i cienie, naprawdę jesteś najdziwniejszą kobietą na świecie!* Nie rozumiem, dlaczego cię pragnę.

– Cieszy mnie, że mnie pragniesz – powiedziała bardzo cicho. Spojrzał na nią i gniew zniknął z jego oczu. Znowu ujął ją za rękę, a ona jej nie zabrała.

Patrzyli w milczeniu, jak cienie spływają po czerwonych ścianach Merik-ren-aferu.

Właśnie z takim spokojem powinno się rozpoczynać nowe życie.

Potem Hanani wstała i podała rękę Wanahomenowi. Łypnął

na nią spode łba, początkowo trochę rozdrażniony. W końcu przyjął jej dłoń i pozwolił, żeby mu pomogła wstać.

W ostatnich blaskach słońca zaprowadziła go do namiotu, gdzie przygarnął ją do siebie i znowu zapadła cisza. A to się podobało Hananji, bo nawet najdrobniejszy akt spokoju to błogosławieństwo spływające na ten świat.

GLOSARIUSZ

Akolici – chłopcy w wieku od dwunastu do szesnastu powodzi, którzy postanowili służyć Hananji, lecz jeszcze nie złożyli przysięgi wierności jednej z czterech ścieżek.

Anzi Seh Ainunu – kisuański generał, nadzorujący okupację Gujaarehu.

Aureola Zachodzącego Słońca – symbol władzy i boskości rodu Zachodu Słońca. Emblemat składający się z ułożonych na zmianę płyt z czerwonego i złotego bursztynu, tworzących promienie wokół umiejscowionego pośrodku złotego półokręgu, osadzonego na tycze z czarnego nhefti.

Banbarrowie – pustynny naród, od dawna zwaśniony z Gujaarehem. Składa się na niego sześć autonomicznych plemion, które zdominowały handel na Pustym Tysiącu. Wrogowie Shadounów.

Bogini – w Gujaarehu określenie Hananji. W Kisui słowo to może oznaczać dowolne bóstwo płci żeńskiej.

Czterokrotna poczwórność – cztery razy cztery razy cztery razy cztery albo dwieście pięćdziesiąt sześć. Święta liczba.

Cztery – liczba pasów na tarczy Śniącej Luny. Święta liczba, podobnie jak jej wielokrotności.

Czuwająca Luna – młodsza siostra Śniącej Luny. Widoczna tylko przelotnie przed wschodem Słońca.

Danina – obowiązkowa ofiara, składana Hananji przez obywateli Gaaarehu. Ludzie, którzy ją składają, nazywani są nosicielami daniny.

Dawcy – jedna z czterech ścieżek Służby Hananji, odpowiedzialna za zdrowie w mieście. Posługują się narkomancją, czasem

operacjami i ziołolecznictwem.

Donacja – comiesięczna ofiara snów, wymagana od wszystkich obywateli Gujaarehu.

Draperia – kiswańska szata zawiązywana na piersi lub w pasie. Kobięce draperie zwykle mają długość do kostek, męskie mogą sięgać do kolan lub wyżej i są wyposażone w dekoracyjne fałdy na ramieniu.

Draperia biodrowa – strój noszony głównie przez gujaareńskich mężczyzn. Składa się z dwóch kawałków płótna (sięgających do kolan lub kostek), połączonych na biodrach rzemykami lub metalowym łańcuszkiem.

Drewniany Ogród – przestrzeń medytacyjna w wewnętrznej części Hetawy.

Ehiru – hananjański zbieracz, czarna róża oazy. Niegdyś syn rodu Zachodu Słońca.

Fizyczne humory – krew, żółć, ichor (osocze) i nasienie.

Głos Kisui – ambasador Kisui, który przemawia w imieniu Protektorów. Właściwym jego tytułem jest Mówca.

Gujaareh – miasto-państwo, którego stolica (również Gujaareh albo Miasto Snów, albo Miasto Hananji) znajduje się u ujścia Krwi Bogini nad Morzem Chwały.

Hanani – praktykantka ścieżki dawców z Hetawy.

Hananja – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Bogini snów, kojarzona także ze śmiercią i życiem pozagrobowym.

Hekeh – włóknista roślina występująca w dolinie Krwi Bogini, hodowana w Gujaarehu i innych nadrzecznych krajach. Stosowana w wytwórstwie ubrań, sznurów i wielu innych produktów.

Hetawa – centralna świątynia wiary hananjańskiej i centrum życia duchowego w Gujaarehu. Hetawa nadzoruje edukację, prawo i publiczną służbę zdrowia.

Hieroglify liczbowe – graficzne symbole, używane w matematyce. Podobno mają własną magiczną moc.

Hona-Karekh – królestwo jawy.

Imię duszy – imię nadawane gujaareńskiemu dziecku dla ochrony w Ina-Karekh.

Ina-Karekh – królestwo snów. Żyjący mogą odwiedzać tę krainę podczas snu. Zmarli zamieszkują je na wieczność.

Indethe – suańskie słowo, oznaczające uwagę/honor/miłość.

Inunru – wielka szanowana postać w historii wiary hananjańskiej.

Jellewici – mały naród, żyjący u wybrzeży Wschodniego Oceanu w pobliżu Kisui.

Jungissa – rzadki kamień, który wibruje w odpowiedzi na uderzenie. Używają go wykształceni narkomanci do sprowadzania i kontrolowania snu. Wszystkie jungissy to nasienie Słońca, które spadło na ziemię z gwiazd.

Kasta – społeczna lub zawodowa klasa w Gujaarehu i Kisui, przypisywana człowiekowi po urodzeniu. Można zmienić kastę jedynie, wstępując do służby publicznej (jak Hetawa lub wojsko).

Kisua – miasto-państwo w środkowo-wschodnim regionie kontynentu, ojczyzna Gujaarehu.

Kite-iyān – drugi pałac księcia, dom jego żon i dzieci.

Kłęczenie krzyżem – gest szacunku, wykonywany tylko wobec tych, którzy są wyróżnieni łaską boską. Osoba wykonująca ten gest przyklęka na jedno kolano i krzyżuje przedramiona (z dłońmi odwróconymi wierzchem do góry) przed twarzą. Mniej oficjalna wersja tego gestu (ramiona ułożone prostopadle do piersi, dłonie skierowane wewnątrz do dołu w połączeniu z ukłonem, którego głębokość zależy od stopnia okazywanego szacunku) jest wykonywana w Gujaarehu jako pozdrowienie lub gest przeprosin.

Kołnier – ozdoba noszona w Gujaarehu i czasem w Kisui. Składa się z obręczy otaczającej szyję i zwisających elementów ozdobnych, które spoczywają na piersi i ramionach.

Kosiarz – narkomanta, którego duszę pochłonęła żądza sennej

krwi. Opętany przez wielką moc i wielkie zepsucie. Potwór.

Krainy Cienia – miejsca w Ina-Karekh, stworzone przez koszmary wszystkich śniących.

Ci, którzy umierają w cierpieniu, trafiają tam na całą wieczność.

Krew Bogini – rzeka, której źródło znajduje się w kisuańskich górach. Wpada do Morza Chwały w północnym Gujaarehu.

Król – w Gujaarehu ostatni zmarły książę (oby spoczywał wiecznie w Jej spokoju).

Książę/pan Zachodu Słońca/Inkarnacja Hananji – władca Gujaarehu w świecie jawy. Po śmierci zostaje wyniesiony na tron Ina-Karekh, gdzie włada u boku Hananji do nadejścia nowego króla (oby spoczywał wiecznie w Jej spokoju).

Łza luny – kwiat spotykany na brzegach Krwi Bogini, kwitnący tylko w świetle Śniącej Luny. Święty w wierze hananjańskiej.

Łzewidzenie – sen, który robi wrażenie wizji przyszłości, lecz jest zbyt zniekształcony, żeby można go było zinterpretować, lub po prostu jest nieprawdziwy.

Magia – moc uzdrawiania i snów.

Mądrość Hananji – zbiór powiedzeń, przepowiedni i innych podań, których musi się nauczyć pobożny hananjanin.

Merik – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Miażdży góry i zasypuje doliny.

Merik-ren-aferu – wąwóz na północnym zachodzie gujaareńskiej stolicy, na skraju Pustego Tysiąca. Siedziba banbarryjskiego plemienia Yusirów.

Mędrcy Założyciele – założyciele Gujaarehu, w tym Inunru.

Miasto Hananji – inna nazwa gujaareńskiej stolicy.

Miasto Snów – popularna nazwa stolicy Gujaarehu, znanej także jako Miasto Hananji. Oficjalnie miasto nazywa się po prostu Gujaareh.

Mnedza – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Daje

rozkosz kobietom.

Mni-inh – hetawski dawca.

Narkomancja – gujaareńska umiejętność prowadzenia snu, kontroli nad nim i posługiwania się sennymi humorami, potocznie zwana magią snu.

Nauczyciele – jedna z czterech ścieżek Służby Hananji, odpowiedzialna za edukację i zgłębianie wiedzy.

Nhefti – twarde drzewo o grubym pniu, rosnące w pobliżu gór w dolinie Krwi Bogini. Jego drewno ma kolor białego bursztynu i naturalny perłowy kolor po wypolerowaniu.

Stosowane jedynie do wytwarzania przedmiotów sakralnych.

Niebnik – nocny ptak drapieżny, który poluje na terenie Pustego Tysiąca. Zobaczenie niebnika za dnia lub poza pustynią w porze deszczowej jest złym znakiem.

Nieskończony – wielki ocean na zachód od Morza Chwały.

Niewolnik – w Kisui jeniec, dłużnik, ubogi, niepożądany cudzoziemiec lub przestępca skazany na służbę w niewoli na określony czas. W Gujaarehu niewolnictwo jest nielegalne.

Nijiri – hetawski zbieracz, błękitny lotos.

Niska kasta – kasta znajdująca się na dole gujaareńskiej drabiny społecznej: rolnicy i służący.

Noc Hamyan – najkrótsza noc roku, gdy sny stają się tak rzadkie, że Bogini Hananja głoduje. W Gujaarehu obchodzona jako święto przesilenia.

Nordowie – zbiorcza nazwa plemion z północy Morza Chwały. Uprzejme określenie barbarzyńcy.

Nosiciel daniny – osoba, która decyzją Hetawy otrzymuje błogosławieństwo Hananji w zamian za daninę z sennych humorów.

Operacja – niebezpieczny, lecz czasem nieunikniony rytuał leczniczy, który mogą wykonywać tylko najbardziej zaawansowani praktykanci i pełnoprawni dawcy.

Ostatnia Danina – ofiara sługi Hananji, obejmująca oddanie Bogini reszty jego sennej krwi i koniec jego służby.

Pismo hieratyczne – uproszczona forma gujaareńskiego języka pismemnego.

Pismo obrazkowe – graficzna postać języka gujaareńskiego, bazująca na pismemnym języku sua. Używane w oficjalnych prośbach, poezji, historycznych adnotacjach i pismach religijnych.

Plemiona wschodnie – zbiorcza nazwa ludów zamieszkujących ziemię na wschód od Morza Chwały.

Południowcy – zbiorcza nazwa różnych plemion, zamieszkujących poza źródłem Krwi Bogini, z których wiele jest wasalami Kisui.

Powódź – cykliczne wystąpienie rzeki Krew Bogini z brzegów, która zalewa dolinę, odnawiając żyzność ziemi. Ponadto metoda odmierzania corocznych zmian, na przykład wieku.

Praktykanci – młodzieńcy, którzy osiągnęli wiek dorosłości i rozpoczęli wyższe kształcenie w wybranym zawodzie.

Pranje – rytuał, któremu poddają się narkomanci, by przetestować panowanie nad sobą.

Prawo Hananji – zbiór zasad obowiązujący w Gujaarehu. Jego podstawową zasadą jest spokój.

Prawowidzenie – senna wizja, przedstawiająca przyszłość lub przeszłość.

Protektorzy – rządząca Kisua rada starszych.

Pusty Tysiąc – pustynia, która ciągnie się od granicy najbardziej wysuniętych na południe Terytoriów Gujaareńskich po najbardziej wysunięte na północ rejony Protektoratu Kisuańskiego.

Rabbaneh – hananjański zbieracz, czerwony mak.

Rada Ścieżek – obok zwierzchnika organizacja zarządzająca Hetawą. Znajdują się w niej starsi wartownicy, nauczyciele i dawcy, jak również (bez prawa głosu) przedstawicielki sióstr. Zbieracze kurtuazyjnie działają pod egidą tej organizacji, choć oficjalnie są

samodzielni.

Ród Zachodu Słońca – gujaareńska rodzina królewska, podobno potomkowie Słońca.

Sanfi – shunha, ojciec Tiaanet.

Senna krew – jeden z czterech sennych humorów, stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierana z ostatecznego snu, który pojawia się w chwili śmierci, jest stosowana do zaprowadzania spokoju.

Senna żółć – jeden z czterech sennych humorów, stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierana z koszmarów, jest stosowana do ograniczania szkodliwych narośli i niszczenia niepotrzebnej tkanki ciała.

Senne humory – magiczna energia, pobierana ze snów. Służą dawcom do uzdrawiania.

Senne nasienie – jeden z czterech sennych humorów, stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierane z erotycznych snów, jest stosowane do stymulowania wzrostu, który zwykle ma miejsce tylko w łonie (np. wzrostu nowych kończyn).

Senny ichor – jeden z czterech sennych humorów, stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierany ze zwykłych „bezsensownych” snów, jest stosowany do leczenia uszkodzeń ciała.

Shadounowie – pustynne plemię, niegdyś wrogowie Gujaarehu, obecnie sprzymierzeńcy Shunhowie – jedna z dwóch gałęzi gujaareńskiej szlachty, której przedstawiciele podobno pochodzą ze związków między śmiertelnikami i dziećmi Śniącej Luny. Shunhowie pielęgnują obyczaje i tradycje swojej ojczyzny (Kisui).

Siostry Hananji – zakon (niepodlegający Hetawie), składający się głównie z kobiet, które służą Hananji, zbierając senne nasienie.

Słudzy Hananji – kapłani, zaprzysiężeni służbie Bogini.

Służący – w Gujaarehu członek najniższej kasty. Słudzy nie mogą gromadzić bogactw, mają prawo wybierać sobie panów.

Sonha – kisuańska szlachta, która podobno wywodzi się

ze związków śmiertelników z dziećmi Śniącej Luny.

Sonta-i – hananjański zbieracz, nocny mrocznik.

Spódnica – strój noszony głównie przez gujaareńskich mężczyzn – sięgający kolan kawałek hekeh lub plecionej draperii płóciennej.

Sunandi Jeh Kalawe – kobieta z rodu sonhów, pełniąca w Gujaarehu rolę gubernatorki i Głosu Protektoratu.

Śniąca Luna – matka wszystkich bogów i bogiń z wyjątkiem Słońca i Czuwającej Luny, pani nieba. Zwana także Śniącą.

Średnia kasta – kasta znajdująca się pośrodku gujaareńskiej drabiny społecznej. Należą do niej kupcy i rzemieślnicy.

Terytoria – zbiorcza nazwa miast i plemion, które zaprzysięgły wierność Gujaarehowi.

Często nazywane po prostu Gujaarehem.

Tiaanet – dziewczyna z gałęzi shunhów, z rodu Insurret.

Timbalin – popularny gujaareński narkotyk. Umożliwia niekontrolowany sen.

Umblikeh – więź, która łączy duszę z ciałem i pozwala na podróż poza ciało w inne krainy. Po jej przecięciu następuje natychmiastowa śmierć.

Una-une – nieżyjący już hananjański zbieracz. Mentor Ehiru.

Uzdrawianie – wszelkie niemagiczne sztuki lecznicze, w tym ziołolecznictwo i operacje.

Wartownicy – jedna z czterech ścieżek służby Hananji. Strzegą Hetawy i wszystkich dzieł Bogini.

Wiek dorosłości – w Gujaarehu i Kisui cztery razy cztery, czyli szesnaście powodzi.

Osiągnąwszy taki wiek, młodzi obywatele otrzymują przywileje prawne i wszelkie inne i mogą potwierdzić swój wybór powołania.

Wiek starszeństwa – w Gujaarehu cztery razy cztery razy cztery, czyli sześćdziesiąt cztery powodzi. Wiek, w którym obywatel

zostaje uznany za dość dojrzałego, by otrzymać godność przywódcy lub inną szanowaną pozycję. W Kisui obywatele zostają uznani starszymi w pięćdziesiątym drugim roku życia.

Wiek wyboru – w Gujaarehu i Kisui trzy razy cztery, lub dwanaście powodzi. Wiek, w którym młodzi obywatele zostają uznani za dość dorosłych, by zacząć się kształcić w wybranym kierunku, ożenić się lub podejmować inne ważne decyzje.

Wojsko – podobnie jak słudzy Hananji gałąź gujaareńskiej służby publicznej i kasta, z której można się wywodzić lub też do której można zostać dopuszczonym.

Wysoka kasta – gujaareńska rodzina królewska, shunhowie i zhinhowie; w Kisui do wysokich kast zaliczają się sonhowie i łowcy.

Yanya-iyen – główny pałac księcia w stolicy, siedziba gujaareńskiego rządu.

Zbieracze – przedstawiciele jednej z czterech ścieżek służby Hananji, odpowiedzialni za przestrzeganie Prawa Hananji.

Zhinhowie – jedna z dwóch gałęzi gujaareńskiej szlachty, której przedstawiciele podobno pochodzą ze związków między śmiertelnikami i dziećmi Śniącej Luny. Zhinhowie uważają, że siła Gujaarehu leży w jego zdolności do przystosowania się i zmiany.

Znaczniki – ozdobne sznurki, które banbarryjskie kobiety noszą dla zaznaczenia etapów życia: pierwszej menstruacji, straty dziewictwa, pierwszego porodu, menopauzy.

Zwierzchnik – administracyjny zarządca Hetawy, który podejmuje decyzje wspólnie z Radą Ścieżek i zbieraczami.

PODZIĘKOWANIA

Podobnie jak w przypadku Zabójczego księżycy dziękuję bardziej źródłom niż ludziom, ale ponieważ dostęp do tych źródeł zapewnili mi ludzie, oni również zasługują na specjalne wyróżnienie.

W 2004 r. otrzymałam grant Gulliver 's Travel Research, fundowany przez Speculative Literature Foundation (SLF). Była to niewielka kwota – wówczas tylko sześćset dolarów – ale dzięki niej mogłam pojechać do kanionu De Chelly w Chinle w Arizonie, na terytorium Indian Nawaho.

Z moich badań wynikało, że cywilizacja Anasazi, starożytnego ludu Pueblo, który zamieszkiwał kanion jako pierwszy (teraz zajmują go Nawahowie i nie zapominają o jego pierwotnych mieszkańcach, czczą ich pamięć), mogła runąć z powodu nagłego drastycznego przewrotu religijnego, być może spowodowanego przez przybyłych z południa wyznawców innej wiary bądź też przez jakieś wewnętrzne objawienie, które uderzyło jednocześnie z niemiłosiernie długą suszą. Właśnie wtedy przyszedł mi do głowy mglisty pomysł powieści fantasy, osadzonej w społeczności, która zмага się właśnie z taką rewolucją. Pomysł ten jakby się rozplątał i podzielił na wiele powieści i opowiadań, ale tym, co przetrwało w tej książce, jest sam kanion, któremu postanowiłam oddać cześć w postaci wąwozu Merik-ren-aferu. Rozbite na skalnych półkach obozowisko Yusirów wzorowałam na widzianych przeze mnie wioskach Anasazi, które na ogół budowano tysiąc lub więcej stóp nad dnem kanionu. Dlatego dzięki, SLF, że mogłam je zobaczyć.

Jeśli interesuje was więcej informacji o Anasazi, Nawahach i innych amerykańskich narodach, które w swoich czasach osiągnęły naprawdę wiele, bardzo polecam książkę Charlesa C. Manna 1491: New Revelations of the Americas Before Columbus. Dla mnie bomba. Ponadto Those Who Came Before Roberta Listera i Florence Lister –

cudowne fotografie samych ruin. Zauważcie, że SLF to organizacja non-profit i wpłaty na jej rzecz można odpisać od podatku. Jeśli chcecie pomóc innym pisarzom w zwiedzaniu supermiejsc, prześlijcie datki na www.speculativeliterature.org!

Dziękuję także ludziom z Totsonii Ranch w Chinle, którzy prawie zabrali mnie na fantastyczną konną przejażdżkę, ale niestety, wiosenna powódź zalała kanion, więc okazała się ona zbyt niebezpieczna. Opowiedzieli mi też wiele o kanionie (gratis). I jeszcze większe podziękowania dla Tima z Canyon De Chelly Jeep Tours, który zabrał mnie na przerażający rajd w zawrotnym tempie do (tak, zalanego) kanionu i który oznajmił mi, gdy głośno wyraziłam obawę przed – nazwijmy to wprost – gwałtowną śmiercią w wodnej kipieli, że przynajmniej zginę, robiąc coś ciekawego.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz